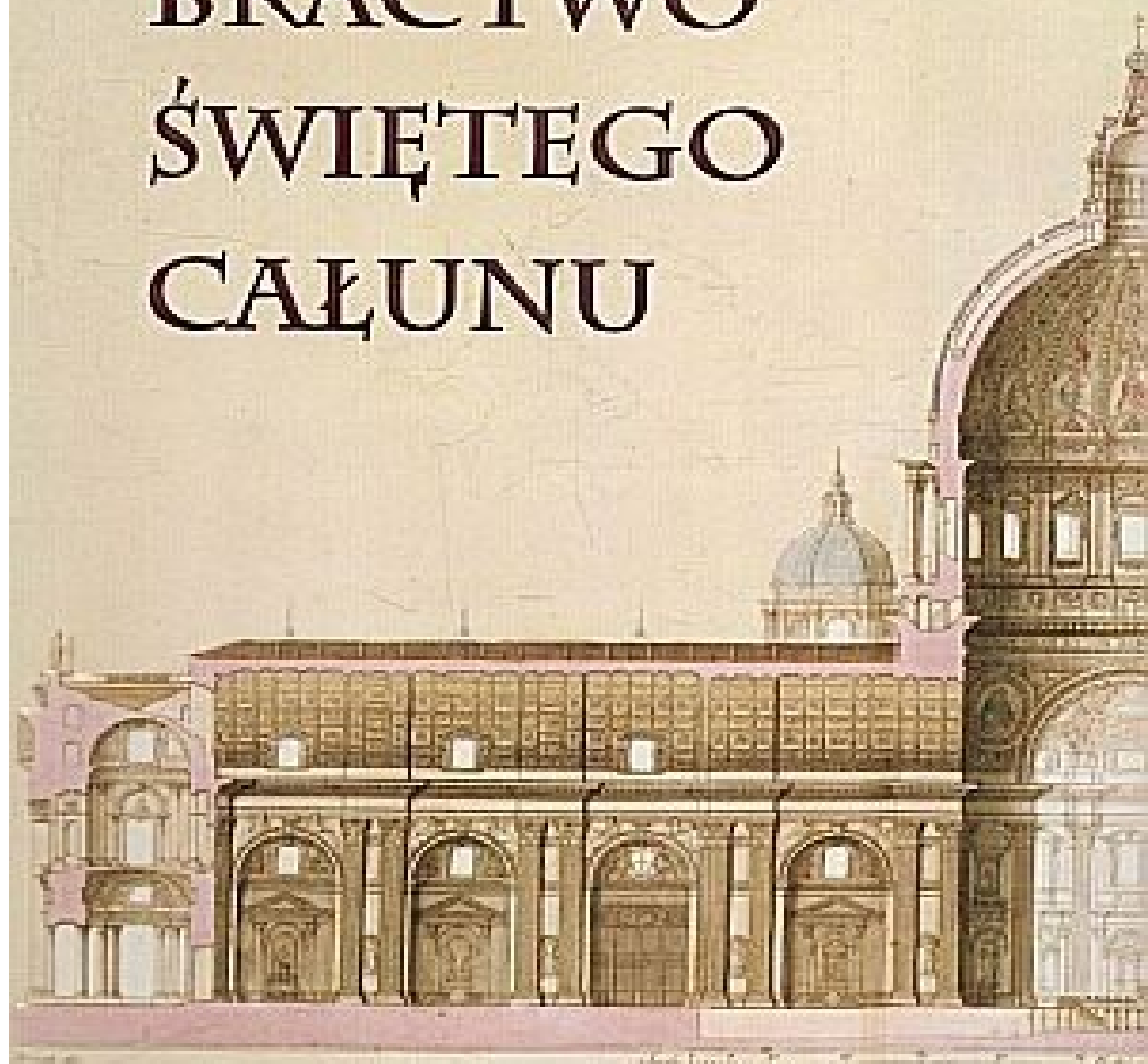


JULIA NAVARRO

BRACTWO ŚWIĘTEGO CAŁUNU



JULIA NAWARRO

BRACTWO ŚWIĘTEGO CAJUNU

Tytuł oryginału: LA HERMANDAD DE LA SABANA SANTA

(tłum. Agnieszka Mazuś)

Dla Fermina i Aleksa - bo czasem sny stają się rzeczywistością.

PODZIĘKOWANIA

Dla Fernanda Escribano, który odkrył przede mną tajemnice turyńskich tuneli i zawsze jest „na dyżurze”, gdy potrzebują go przyjaciele.

Ogromny dług wdzięczności zaciągnęłam u Giana Marii Nicastro, który był moim przewodnikiem po sekretach swojego miasta, pozwalając patrzeć na Turyn swoimi oczami, i na każde zawołanie błyskawicznie wyszukiwał wszystkie potrzebne mi informacje.

Carmen Fernandez de Blas i David Trias trzymali kciuki za tę książkę - dziękuję.

I jeszcze wielkie podziękowania dla Olgi, życzliwego głosu Random House Mondadori.

Są inne światy, ale na tym świecie

H. G. Wells

Król Agar [Abgar Ukkama (panował 4 r. p.n.e. - 7 r. n.e. oraz 13 - 50 n.e.); Euzebiusz z Cezarei przypisywał mu wymianę listów z Jezusem; w rzeczywistości dopiero Abgar IX (179 - 216 r.) przyjął chrześcijaństwo], syn Euchariasza, pozdrawia Jezusa dobrego Zbawcę, który pojawił się w Jerozolimie. Słyszałem o Tobie, że uzdrawiasz ludzi bez lekarstw i ziół, że słowem swoim przywracasz wzrok ślepym, chromym każesz chodzić, trędowatych oczyszczasz, a zmarłych wskrzeszasz.

Usłyszawszy to wszystko o Tobie, uznałem po rozwadze, że jedno z dwojga to być może: albo jesteś Bogiem, który zstąpił z nieba, aby czynić cuda, albo też jesteś Synem Bożym, który takie cuda czynić może. Dlatego też w tym liście pragnę Cię błagać, abyś raczył przybyć do mnie i uleczyć mnie z choroby, na którą cierpię już od dawna.

Dowiedziałem się bowiem także, iż Żydzi szemrzą przeciw Tobie i nastają na Twe życie. Przybądź więc do mnie, bo moje miasto małe, lecz zacne, wystarczy dla nas obydwu. [apokryficzna Korespondencja Jezusa i Abgara]

Król pozwolił odpocząć ręce i posłał strapione spojrzenie mężczyźnie młodemu jak on sam, który czekał bez ruchu, aż monarcha zakończy pracę, z należnym szacunkiem zachowując dzielącą ich odległość.

- Jesteś pewny, Josarze? - zapytał król.

- Wierz mi, panie...

Mężczyzna zrobił kilka szybkich kroków w stronę stołu, przy którym pisał Abgar, i zatrzymał się tuż przed nim.

- Wierzę ci, Josarze, wierzę - uspokoił go król. - Od dzieciństwa jesteś moim najwierniejszym przyjacielem, nigdy mnie nie zawiodłeś. Chociaż cuda, o jakich opowiadasz, czynione rzekomo przez tego Żyda, wydają się niezliczone, obawiam się, że twe pragnienie, by mi pomóc, sprawiło, iż je wyolbrzymiłeś...

- Panie, uwierz mi, tylko ci, którzy wierzą w Żyda zostaną zbawieni. Królu mój, widziałem, jak Jezus, ledwie dotknąwszy wyblakłych oczu ślepeca, przywrócił mu wzrok, widziałem, jak ubogi paralytyk musnął krawędź szaty Jezusa, a ten rozkazał mu wstać i iść. Ku zdziwieniu wszystkich,

tamten wstał i nogi poniosły go jak - nie przymierzając - twoje, panie. Widziałem, królu mój, jak kobieta zarażona trądem przyglądała się Nazarejczykowi, ukryta w zaułku ulicy, kiedy wszyscy uciekali od niej z przestachem. Jezus zaś, podchodząc do niej, rzekł: „Jesteś uzdrowiona”, a ta, nie wierząc własnemu szczęściu, zaczęła krzyczeć: „Uleczył mnie! Uleczył!”. Jej twarz odzyskała ludzkie rysy, dłonie zaś, dotąd skrywane pod suknią, stały się idealnie gładkie...

Ja sam byłem świadkiem największego cudu, kiedy podążałem za Jezusem i jego uczniami i napotkaliśmy rodzinę oplakującą śmierć krewnego. Jezus wszedł do ich domu i nakazał zmarłemu, by wstał. Sam Bóg musiał przemawiać jego głosem, bo klnę się na wszystko, mój królu, że człowiek ów otworzył oczy, usiadł i sam nie mógł się nadziwić, że powraca do życia...

- Masz rację, Josarze, żeby wyzdrowieć, muszę wierzyć, chcę wierzyć w tego Jezusa z Nazaretu. Musi on być synem Boga, skoro potrafi wskrzeszać zmarłych. Ale czy zechce uleczyć króla, który dał się ponieść żądzy?

- Abgarze, Jezus leczy nie tylko ciała, uzdrawia też dusze. Widzisz, głosi on, iż żal za złe uczynki i chęć, by wieść godne życie, wyrzekając się grzechu, wystarczą, by zyskać przebaczenie u Boga. Grzesznicy znajdują pociechę w Nazarejczyku...

- Obyś miał rację... Ja sam nie potrafię sobie wybaczyć wszeteczeństwa, jakiego dopuściłem się z Anią. Ta niewiasta skaziła moje ciało i duszę...

- Skąd miałeś wiedzieć, panie, że jest trędowata, że dar od króla Tyru to nikczemny podstęp? Jak mogłbyś podejrzewać, że ma w sobie nasienie choroby i je na ciebie przeniesie? Ania była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widzieliśmy, każdy mężczyzna straciłby dla niej głowę...

- Jestem królem, Josarze, i nie powinienem dać się omamić nawet najpiękniejszej tancerce... Teraz ona pokutuje za swe piękno, bo choroba trawi jej białe lico, mnie zaś, Josarze, zalewają poty, wzrok zachodzi mgłą, i lękam się, że wkrótce moja skóra zacznie gnić...

Szmer czyichś ostrożnych kroków wzbudził czujność mężczyzn. Do komnaty, uśmiechając się łagodnie, weszła drobna kobieta o śniadej cerze i czarnych włosach.

Josar patrzył na nią z uwielbieniem. Zachwycała go doskonałość jej ciała i promienny uśmiech. Szanował ją za to, że jest tak lojalna wobec króla i że z jej ust nie padło słowo wyrzutu, kiedy jej miejsce w królewskim łóżu zajęła Ania, tancerka z Kaukazu, kobieta, która zaraziła jej męża trądem.

Abgar nie pozwalał się nikomu dotknąć, by choroba nie przeszła na bliskich. Coraz rzadziej pokazywał się poddanym.

Nie umiał jednak sprzeciwić się żelaznej woli królowej, która nalegała, że sama będzie go pielęgnowała. Podnosiła męża na duchu, przekonując do opowieści Josara o cudach, jakie czynił Jezus.

Król popatrzył na nią ze smutkiem.

- To ty... Właśnie rozmawialiśmy o tym Nazarejczyku. Poślę po niego, ugoszczę go, a nawet podzielę

się z nim królestwem. Josarze, powinienes pojechać z eskortą, by nic złego nie spotkało cię po drodze i by ten człowiek dotarł tu bezpiecznie.

- Zabiorę trzech lub czterech konnych, tylu wystarczy. Rzymianie są nieufni i nie lubią, kiedy kręcą się po ich ziemiach oddziały żołnierzy. Nie lubią też Jezusa. Mam nadzieję, pani, że uda mi się skłonić go, by ze mną pojechał. Wezmę najlepsze wierzchowce, by jak najszybciej przywiozły wam wieści, kiedy tylko dotrę szczęśliwie do Jerozolimy.

- Chcę teraz skończyć list, Josarze.

- Pożegnam cię więc, panie. Wyruszę o świcie.

* * *

Języki płomieni zaczynały sięgać ławek, dym spowijał główną nawę. Cztery ubrane na czarno sylwetki posuwały się, prawie biegnąc, w stronę jednej z bocznych kaplic. W drzwiach, nieopodal głównego ołtarza, stał mężczyzna, ze zdenerwowania wyłamując palce. Przeszywające wycie syren słycać było coraz wyraźniej. Za chwilę strażacy wtargną do katedry, to tylko kwestia sekund. Znowu się nie udało.

Już są. Mężczyzna szybkim krokiem podążył za czarnymi sylwetkami. Jedna z postaci parła przed siebie na oślep, pozostali, zzerani strachem, cofali się przed ogniem, który zaczynał otaczać ich czerwonym pierścieniem. Nie mieli czasu. Ogień rozprzestrzeniał się nadspodziewanie szybko. Ten, który przed chwilą usiłował ich przekonać, by schowali się w bocznej kaplicy, płonął. Ogień trawił jego ciało, on jednak znalazł jeszcze dość siły, by zrzucić kaptur zasłaniający twarz.

Pozostali próbowali podejść bliżej, ale na próżno, pożar ogarnął już wszystko dookoła, a wrota katedry ustępowały pod naporem strażaków. Rzucili się za mężczyzną, który z drzeniem czekał na nich przy wyjściu z bocznej nawy. Zniknęli dokładnie w chwili, gdy woda ze strażackich węży wdarła się do świątyni, podczas gdy postać spowita ogniem płonęła, nie wydawszy jęku.

Uciekinierzy nie zdawali sobie sprawy, że ktoś schowany w cieniu ambony z uwagą śledzi każdy ich ruch i trzyma w ręku pistolet z tłumikiem, z którego jednak nie zdążył wystrzelić.

Kiedy mężczyźni w czerni zniknęli, zszedł z ambony i zanim zdolali dostrzec go strażacy, nacisnął ukryty w ścianie mechanizm i również zniknął.

* * *

Komisarz Marco Valoni wciągnął do płuc dym z papierosa, który mieszał się w jego gardle z resztkami dymu z pożaru.

Wyszedł przed kościół, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Strażacy uwijali się, dogaszając zgłiszcza, dymiące wciąż w pobliżu prawego skrzydła głównego ołtarza.

Plac otoczony był barierkami, a karabinierzy pilnowali porządku, nie pozwalając zbliżyć się ciekawskim. O tej porze, po południu, ulice Turynu wypełniały się ludźmi. Wszyscy chcieli wiedzieć, czy święty całun ucierpiał w pożarze.

Valoni poprosił dziennikarzy, którzy tłumnie przybyli na miejsce, by pomogli uspokoić ludzi: całunowi nic się nie stało.

Nie powiedział im, że ktoś zginął w płomieniach. Sam jeszcze nie wiedział, kto to był.

Kolejny pożar. Ogień chyba uwziął się na tę starą katedrę.

Valoni jednak nie wierzył w wypadki, katedrze turyńskiej przydarzało się ich zbyt wiele: usiłowania rabunku i - o ile dobrze pamiętał - trzy pożary. Po jednym z nich, zaraz po pierwszej wojnie światowej, na pogorzelsku znaleziono spalone ciała dwóch mężczyzn. Sekcja zwłok wykazała, że obydwaj mieli około dwudziestu pięciu lat i że zanim dosięgnął ich ogień, zginęli od strzału z pistoletu. I jeszcze jedna informacja, od której nawet wytrawny policjant dostawał gęsiej skórki: nie mieli języków, usunięto im je operacyjnie. Tylko po co? I kto do nich strzelał? Nie udało się ustalić, kim byli. To jedna ze spraw, które nigdy nie zostaną rozwiązane.

Ani wierni, ani społeczeństwo nie wiedzieli, że w XX wieku całun turyński spędził sporo czasu poza katedrą. Może to go właśnie ocaliło?

Całunowi, który wyjmowano tylko przy specjalnych okazjach, schronienia użyczył jeden z sejfów w Banku Narodowym. W takich sytuacjach zawsze podejmowane były specjalne środki bezpieczeństwa, mimo to wiele razy relikwia była bardzo poważnie zagrożona.

Do dziś Valoni wspomina pożar z 12 kwietnia 1997 roku.

Jak mógłby zapomnieć! Tamtej nocy do świtu pili z kolegami z wydziału.

Miał wówczas pięćdziesiąt lat i przeszedł skomplikowaną operację serca. Dwa zawały i ratujący życie zabieg chirurgiczny to wystarczająco dużo, by Valoni dał się przekonać Giorgiowi Marchesiemu, swojemu kardiologowi i szwagrowi, że pora już na dolce far niente. Właściwie mógłby poprosić o spokojniejszą pracę, jakąś ciepłą posadkę za biurkiem. Spędzałby czas, czytając gazetę, a przed południem bez pośpiechu sączył cappuccino w kawiarni za rogiem.

Paola przekonywała, że powinien przejść na emeryturę, schlebiała mu, zapewniając, że jeśli chodzi o dokonania zawodowe, może sobie pogratulować, bo wzbił się na wyżyny, piastował najbardziej odpowiedzialne stanowisko - w końcu był dyrektorem - może więc z czystym sumieniem uznać olśniewającą karierę za zakończoną i zająć się życiem. On jednak wolał codziennie chodzić do

biura, niż w wieku pięćdziesięciu lat czuć się jak niepotrzebny wysłużony sprzęt, który można schować na strychu. Przed przejściem na skromniejsze stanowisko postanowił pożegnać się z dyrektorskim stołkiem w policyjnym wydziale do spraw sztuki, i mimo protestów Paoli i Giorgia, uczcić to popijawą i kolacją z kolegami. W końcu przez ostatnie dwadzieścia lat spędzał z nimi prawie cały swój czas, niejednokrotnie po czternaście, piętnaście godzin na dobę, gnębiąc mafie przemytników dzieł sztuki, wykrywając fałszyfikaty obrazów wielkich mistrzów, słowem, broniąc imponującego dziedzictwa kulturowego Włoch.

Wydział do spraw sztuki był organem specjalnym, podległym zarówno Ministerstwu Spraw Wewnętrznych jak i Kultury.

Pracowali w nim zwykli policjanci - karabinierzy - ale również spora grupa archeologów, historyków, ekspertów od sztuki średniowiecznej, sztuki współczesnej, sakralnej... Valoni poświęcił mu najlepsze lata swojego życia.

Sporo wysiłku kosztowało go wspięcie się tak wysoko. Był dumny ze swojej pozycji, ponieważ zawdzięczał ją tylko sobie.

Jego ojciec pracował na stacji benzynowej, matka prowadziła dom. Zarabiali tyle, że starczało na życie. Syn mógł się kształcić tylko dzięki stypendium. Spełnił jednak życzenie matki, która pragnęła dla niego bezpiecznej, pewnej posady, najlepiej w jakimś państwowym urzędzie. Znajomy ojca, policjant, który zajeżdżając na stację benzynową, przy okazji ucinał sobie z nim pogawędkę, pomógł chłopakowi dostać się do korpusu karabinierów. Ten skorzystał z szansy, lecz nie czuł powołania do mundur. Ucząc się nocami, skończył zaocznie historię i powoli, dzięki ciężkiej pracy i odrobinie szczęścia, piął się mozolnie na sam szczyt. Powierzano mu coraz bardziej odpowiedzialne zadania, wysyłano w teren. Ileż przyjemności czerpał z podróży po kraju, jak bardzo cieszyły go pierwsze wyjazdy za granicę...

Na Uniwersytecie Rzymskim poznał Paolę. Studiowała sztukę średniowieczną. Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Pobrali się po kilku miesiącach znajomości. Żyli ze sobą już dwadzieścia pięć lat, mieli dwójkę dzieci i byli wzorową parą.

Paola wykładała na uniwersytecie i nie robiła mężowi wymówek, że tak rzadko bywa w domu. Tylko raz doszło między nimi do poważnej sprzeczki. Było to wtedy, gdy pamiętnej wiosny 1997 roku wrócił z Turynu i oświadczył, że jednak nie przejdzie na emeryturę, ale niech się Paola nie martwi, nie będzie już tak często wyjeżdżał ani narażał się w akcjach, od tej pory będzie tylko dyrektorem i biurokratą. Jego lekarz, Giorgio, stwierdził, że to szaleństwo. Natomiast koledzy z wydziału świętowali ten dzień. Los jednak pokrzyżował jego plany. W pracy zatrzymał go pożar w katedrze. Chciał doprowadzić sprawę do końca, ponieważ narastało w nim przekonanie, że nie był to tylko nieszczęśliwy wypadek, niezależnie od tego, że we wszystkich wywiadach udzielanych prasie tak właśnie twierdził.

Ta sprawa miała go pochłonąć bez reszty - kolejny pożar w katedrze turyńskiej. Nie minęły dwa lata, odkąd prowadził tu śledztwo w sprawie próby kradzieży. Złodzieja złapano przez

przypadek. To prawda, niczego przy nim nie znaleziono, ale tylko dlatego że nie zdążył niczego ukraść. Jakiś ksiądz przechodzący obok katedry zwrócił uwagę na przerażonego mężczyznę, który biegł na oślep, ścigany przenikliwym dźwiękiem alarmu, głośniejszym niż bicie dzwonów. Nie zastanawiając się długo, rzucił się w pogoń za nim, krzycząc: „Złodziej! Złodziej!”. Do pościgu włączyli się dwaj przechodnie, młodzi ludzie, i po krótkiej szarpaninie obezwładnili uciekiniera, ale ten jednak niczego nie powiedział - nie miał języka.

Nie miał też linii papilarnych. Na opuszkach jego palców znajdowały się tylko blizny po głębokich oparzeniach, jednym słowem był to człowiek bez nazwiska i bez ojczyzny, który siedział teraz w turyńskim więzieniu i z którego nigdy nie udało się wycisnąć słowa na temat tego, co się stało.

Valoni nie wierzył w zbiegi okoliczności. To nie może być przypadek, że w katedrze turyńskiej znów zjawili się ludzie bez języków i linii papilarnych.

Ogień prześladował całun turyński. Valoni studiował źródła historyczne, wiedział więc, że odkąd płótno znalazło się w rękach dynastii sabaudzkiej, ocalało z wielu pożarów. Chociażby ten, nocą z trzeciego na czwartego grudnia tysiąc pięćset trzydziestego drugiego roku, kiedy zakrystia kaplicy, w której Sabaudowie przechowywali całun, zaczęła się palić i płomień sięgał już relikwii, trzymanej wówczas w srebrnej skrzyni, подарowanej przez Małgorzatę, księżniczkę austriacką.

Wiek później kolejny pożar nieomal strawił całun. Dwaj sprawcy, złapani na gorącym uczynku, spanikowani, rzucili się w płomienie. Zastanawiające było to, że nawet nie jęknęli, że z ich ust nie wydostała się nawet najcichsza skarga, a przecież płonąc żywcem, musieli straszliwie cierpieć. Czyżby i oni nie mieli języków? Nigdy się tego nie dowie.

Odkąd w 1578 roku dom sabaudzki złożył święty całun w katedrze turyńskiej, niefortunne wydarzenia powtarzały się regularnie. Nie było stulecia, by ktoś nie usiłował wzniecić pożaru lub nie próbował kradzieży, jednak od sprawców nie można było dowiedzieć się niczego - nie mieli języków. Czy mają go zwłoki przewiezione do kostnicy?

Do rzeczywistości przywołał Valoniego czyjś głos:

- Szeffie, przybył kardynał, wie, że był pan w Rzymie... Chce z panem porozmawiać. Jest bardzo zdenerwowany tym, co się stało.
- Wcale mu się nie dziwię. Ma pecha. Nie minęło sześć lat, odkąd płonęła katedra, dwa lata temu było włamanie, a teraz znów ogień.
- Tak, nie może sobie darować, że zgodził się na renowację kościoła. Twierdzi, że katedra, która wytrzymała w nienaruszonym stanie stulecia, teraz, po tylu remontach i spartaczonej konserwacji posypie się w gruzy.

Valoni wszedł bocznymi drzwiami, wnioskując z napisu na tabliczce, że prowadzą do biur. Po korytarzu spacerowało trzech czy czterech księży, wszyscy wyraźnie poruszeni. Dwie starsze kobiety,

dzielące biurko w ciasnym gabinecie, wydawały się niezwykle zajęte, poganiając i instruując policjantów, którzy zbierali dowody, mierzyli ściany kościoła, pobierali odciski palców, wchodzili i wychodzili. Podszedł do niego młody, na oko trzydziestoletni ksiądz. Wyciągnął dłoń. Uścisk był silny.

- Ojciec Yves.
- Miło mi, komisarz Marco Valoni.
- Tak, domyśliłem się. Proszę za mną, Jego Eminencja czeka.

Ksiądz uchylił ciężkie drzwi prowadzące do pokojów kardynała. Znaleźli się w gabinecie, którego ściany wyłożono szlachetnym drewnem i ozdobiono renesansowymi dziełami wyobrażającymi Madonnę, Chrystusa, Ostatnią Wieczerzę... Na stole stał srebrny krucyfiks, misterne dzieło zręcznego jubilera. Marco, rzuciwszy na niego okiem, uznał, że liczy przynajmniej trzysta lat.

Kardynał był jowialnym mężczyzną o ciepłej, serdecznej twarzy, na której teraz malowało się poruszenie.

- Zechce pan spocząć, panie Valoni.
- Dziękuję, Wasza Eminencjo.
- Niech mi pan powie, co tu się właściwie dzieje? Wiadomo już, kim jest nieboszczyk?
- Jeszcze nie wiemy. Można sądzić, że podczas prac remontowych doszło do spięcia, stąd pożar.
- Znowu!
- Tak, Wasza Eminencjo, znowu... Ale prowadzimy wnikliwe śledztwo. Zostaniemy tu jakiś czas, chcę obejrzeć katedrę centymetr po centymetrze. Moi ludzie porozmawiają ze wszystkimi, którzy w ostatnich godzinach, a nawet dniach przebywali w świątyni. Jeśli mógłbym prosić Waszą Eminencję o współpracę...

- Może pan na mnie liczyć, komisarzu. Jak zwykle zresztą. Nikt nie będzie panu przeszkadzał. To tragedia: jeden trup, spłonęły bezcenne dzieła sztuki, mało brakowało, a sam święty całun stanąłby w płomieniach. Nie wiem, co by było, gdybyśmy go stracili.

- Wasza Eminencjo, całun...

- Wiem, panie Valoni, wiem, co chce pan powiedzieć: że badanie na zawartość węgla promieniotwórczego wykazało, iż nie może to być szata, która spowijała ciało naszego Pana, lecz dla wielu milionów wiernych całun turyński jest autentyczny. Niech sobie ta metoda twierdzi, co chce. Kościół pozwala na jego kult. Zresztą są wśród naukowców i tacy, którzy nie potrafią znaleźć

wyjaśnienia, jak powstało odbicie sylwetki, którą uważamy za odbicie ciała Chrystusa i...

- Proszę wybaczyć, nie zamierzałem podważać wartości religijnej całunu. Ja sam, gdy ujrzałem go po raz pierwszy, byłem niezwykle wzruszony i nadal jestem pod wrażeniem postaci odbitej na płótnie... Chciałem zapytać, czy w ostatnich dniach, a może w ciągu ostatnich miesięcy wydarzyło się coś dziwnego, co zwróciło uwagę Waszej Eminencji?

- Nie, nic nie przychodzi mi do głowy. Od ostatniego razu, kiedy usiłowano obrabować ołtarz główny, a było to dwa lata temu, cieszyliśmy się spokojem.

- Proszę się dobrze zastanowić...

- Ale nad czym tu się zastanawiać? Kiedy jestem w Turynie, co dzień odprawiam w katedrze poranną mszę, zawsze o ósmej rano. A w niedziele o dwunastej. Czasem wyjeżdżam do Rzymu, dziś na przykład byłem w Watykanie. Z całego świata przybywają pielgrzymi, żeby zobaczyć całun. Dwa tygodnie temu, zanim zaczął się remont, zjechała tu grupa naukowców z Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych, by przeprowadzić kolejne badania i...

- Kim byli?

- Grupa profesorów, sami katolicy, przeświadczeni o tym, że mimo badań i mimo niepodważalnego wyroku węgla ^{14}C , płótno to jest autentycznym całunem pośmiertnym Chrystusa.

- Czy któryś z nich zwrócił szczególną uwagę Waszej Eminencji?

- Nie, prawdę mówiąc, nie. Przyjąłem ich w swojej kancelarii w pałacu arcybiskupim, rozmawialiśmy może z godzinę, zaprosiłem ich na podwieczorek. Wyłożyli mi kilka swoich teorii, mówili, że uważają, iż badanie metodą izotopu ^{14}C nie jest w pełni wiarygodne, i... właściwie to tyle.

- Czy któryś z nich wydał się Waszej Eminencji nieco dziwny, może zainteresował Waszą Eminencję?

- Widzi pan, panie Valoni, od lat podejmujemy tu naukowców badających całun, sam pan wie, że Kościół jest otwarty na naukę i ułatwia jak może przeprowadzanie takich badań. Byli to bardzo porządni ludzie, sympatyczni i towarzyscy... Może z wyjątkiem jednego, niejakiego Bolarda, który zawsze trzyma się nieco z boku, mało rozmawia, przynajmniej w porównaniu ze swoimi kolegami. Poza tym bardzo niepokoi go fakt, iż w katedrze prowadzone są roboty budowlane.

- A to dlaczego?

- Co za pytanie! Przecież profesor Bolard od lat pracuje przy konserwacji świętej tkaniny. Uważa, że każda renowacja kościoła naraża ją na niepotrzebne ryzyko. Znam go od wielu lat, to poważny człowiek, niezwykle wymagający naukowiec, a także dobry katolik.

- Pamięta pan, kiedy był tu ostatnio?

- Był niezliczoną ilość razy. Jak już mówiłem, współpracuje z naszym kościołem przy konserwacji całunu. Kiedy przyjeżdżają tu inni naukowcy, by badać płótno, zwykle dzwoniemy do niego, żeby nam podpowiedział, jakie środki należy przedsięwziąć, by nie narobili szkód. Zresztą prowadzimy rejestr wszystkich badaczy, którzy nas odwiedzają, zwłaszcza jeśli chcą zajmować się świętym płótnem. Mieliśmy tu ludzi z NASA, tego Rosjanina... jak mu było? No, nie pamiętam... W każdym razie wszystkich uznanych profesorów: Barneta, Hyneka, Tamburellego, Titę, Gonellego... Kogo tam jeszcze... Naturalnie, omal nie pominąłem Waltera McCrone'a, pierwszego badacza, który uparł się, że tkanina nie jest pośmiertną szatą Naszego Pana. Jednak ten McCrone zmarł przed kilkoma miesiącami, niech Bóg ma go w swojej opiece.

Valoni zamyślił się nad profesorem Bolardem. Nie wiedział dlaczego, ale czuł ogromną potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej na jego temat.

- Czy mógłby mi ksiądz jednak powiedzieć, kiedy ten Bolard był tu ostatnio?

- Oczywiście. Ale to bardzo szanowany człowiek, wielki autorytet, nie wyobrażam sobie, co mógłby mieć wspólnego z pańskim śledztwem...

Intuicja podpowiadała Valoniemu, że z kim jak z kim, ale z kardynałem nie powinien dzielić się stwierdzeniem, że tak podszeptuje mu instynkt. Nie należy opowiadać duchownym o przecuciach. W dodatku jemu samemu wydawało się nieco niedorzeczne, by domagać się informacji o jakimś człowieku, tylko dlatego że jest milczkiem. Tymczasem poprosił kardynała o listę wszystkich zespołów naukowych, które badały całun przez ostatnie lata, wraz z datami ich pobytu w Turynie.

- Jak daleko w przeszłość mam sięgnąć? - zapytał rzeczowo kardynał.

- Jeśli to możliwe, prosiłbym o dane z ostatnich dwudziestu lat.

- Człowieku, niechże pan powie, czego dokładnie pan szuka!

- Nie wiem, Wasza Eminencjo. Jeszcze tego nie wiem.

- Jest mi pan winny wyjaśnienie, co mają wspólnego pożary w katedrze ze świętym całunem i naukowcami, którzy go badają. Od lat głosi pan teorię, że wszystkie pożary wiążą się z naszą najcenniejszą relikwią, a ja, mój drogi panie Valoni, nie jestem co do tego przekonany. Komu może zależeć na zniszczeniu całunu? Po co? Jeśli chodzi o kradzieże, sam pan wie, że prawie każdy przedmiot znajdujący się w katedrze wart jest fortunę, a nie brak łajdaków, którzy nie mają szacunku nawet dla Domu Bożego. Chociaż przyznaję, niektórzy z tych nędzników niepokoją mnie, modlę się za nich żarliwie.

- Zgodzi się jednak Wasza Eminencja ze mną, że to nie jest normalne, iż w niektóre z tych... nazwijmy je „wypadków”, wplątani są ludzie bez języków i linii papilarnych. Udostępni mi Eminencja tę listę? To czysta formalność, nie chcemy niczego przeoczyć.

- Zgadza się, że trudno uznać to za normalne i Kościół bardzo to martwi. Wielokrotnie i przy różnych okazjach odwiedzałem w więzieniu tego nieszczęśnika, który usiłował nas okraść przed dwoma laty. Rzecz jasna, zachowałem najwyższą dyskrecję... Kiedy wzywają go do sali widzeń, siada naprzeciwko mnie i pozostaje w takiej pozycji, bierny, niewzruszony, jakby nic nie rozumiał, lub też było mu zupełnie obojętne, co mówię. Tak czy inaczej, zaraz poproszę mojego sekretarza, tego młodego księdza, który pana przyprowadził, by poszukał informacji i wkrótce je panu dostarczył. Ojciec Yves jest bardzo skuteczny, pracuje ze mną od siedmiu miesięcy, od śmierci swojego poprzednika, i muszę przyznać, że odkąd jest przy mnie, odpoczywam. Jest bystry, pobożny i zna kilka języków.

- To Francuz?

- Tak, Francuz, ale jego włoski, jak sam się pan przekonał, jest doskonały. To samo można powiedzieć o jego angielskim, niemieckim, hebrajskim, arabskim, aramejskim...

- Czy ktoś go polecił Waszej Eminencji?

- Owszem, mój serdeczny przyjaciel, asystent zastępcy sekretarza stanu, monsignor Aubry, wyjątkowy człowiek.

Valoni pomyślał, że większość ludzi Kościoła, jakich miał okazję poznać, to osoby wyjątkowe, zwłaszcza ci, którzy poruszają się po Watykanie. Nic jednak nie powiedział, bacznie przyglądając się kardynałowi, który wyglądał na człowieka poczciwego, bardziej jednak inteligentnego i sprytnego, niż dawał po sobie poznać, i obdarzonego niewątpliwie zmysłem dyplomatycznym.

Kardynał podniósł słuchawkę i poprosił księdza Yvesa. Ten pojawił się w mgnieniu oka.

- Niech ojciec wejdzie. Zna już ksiądz komisarza Valoniego. Chciałby dostać spis wszystkich delegacji, jakie odwiedziły nas w związku z całunem przez ostatnie dwadzieścia lat. Bierzmy się więc do pracy, bo mój przyjaciel Valoni bardzo tych informacji potrzebuje.

Ksiądz Yves popatrzył uważnie na komisarza, zanim zapytał:

- Z całym szacunkiem, panie Valoni, ale czy mógłby mi pan zdradzić, czego konkretnie pan szuka?

- Ojciec, nawet pan Valoni nie wie jeszcze, czego szuka. Na początek chce się dowiedzieć, kto przez ostatnie dwadzieścia lat miał styczność z całunem, my zaś zamierzamy mu w tym pomóc.

- Naturalnie, Eminencjo. Postaram się natychmiast sporządzić taką listę, chociaż w tym zamieszaniu trudno będzie znaleźć wolną chwilę, by przeszukać archiwa, a daleko nam do pełnej komputeryzacji.

- Spokojnie, proszę księdza - odparł Valoni - kilka dni mnie nie zbawi, mogę poczekać, ale oczywiście, im szybciej dostanę te dane, tym lepiej.

- Wasza Eminencjo, czy mogę zapytać, co łączy pożar z całunem?

- Ależ ojcze, od lat pytam pana Valoniego, dlaczego za każdym razem, kiedy dotyka nas jakaś klęska, upiera się, że celem był całun turyński.

- Coś podobnego, całun! - zdziwił się ksiądz Yves.

Valoni popatrzył na niego uważnie. Nie wyglądał na kapłana, a przynajmniej w niczym nie przypominał większości księży, z jakimi Valoni miał do czynienia, a mieszkając w Rzymie, poznał ich wielu.

Ojciec Yves był wysoki, przystojny i dobrze zbudowany. Z całą pewnością uprawiał jakiś sport. Nie można było doszukać się w nim nawet odrobiny zniewieścienia, tej miękkości, do której prowadzi cnotliwość, wygodna i dobre jedzenie, a która cechuje tak wielu księży. Gdyby ojciec Yves nie nosił koloratki, wyglądałby jak pracownik nowoczesnej firmy, jeden z tych, którzy zdają sobie sprawę, jak ważny jest wygląd zewnętrzny, i znajdują czas na ruch i wysiłek fizyczny.

- Owszem, ojcze - odparł kardynał - całun. Szczęśliwie Pan Bóg go strzeże, bo z każdej katastrofy wyszedł nienaruszony.

- Zależy mi tylko na tym, by nie przeoczyć żadnego szczegółu - dodał Valoni. - W katedrze doszło do tylu incydentów... Zostawię księdzu moją wizytówkę, dopiszę tylko numer telefonu komórkowego, by mógł ojciec do mnie zadzwonić, jak tylko lista będzie gotowa. I jeszcze jedno, gdyby przypomniało się księdzu coś, co mogłoby pomóc w śledztwie, będę niezmiernie wdzięczny, jeśli ksiądz mnie o tym powiadomi.

- Tak też będzie, panie Valoni, tak będzie.

* * *

Zadzwonił telefon komórkowy. Valoni natychmiast odebrał.

Telefonował lekarz sądowy, który poinformował sucho, że ciało spalone w katedrze należało do mężczyzny mniej więcej trzydziestoletniego, niezbyt rosnącego, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, szczupłej budowy ciała. Nie miał języka.

- Jest pan pewny, doktorze?

- Na tyle, na ile można mieć jakąkolwiek pewność w przypadku zwęglonych zwłok. Denat nie miał języka, ale nie stracił go w ogniu, usunięto go wcześniej, nie umiem powiedzieć kiedy. Trudno to określić, jeśli weźmie się pod uwagę, w jakim stanie były zwłoki.

- Coś jeszcze, doktorze?

- Wyślę panu raport. Zadzwoiłem do pana, jak tylko uporałem się z sekcją, tak jak pan prosił.
- Zjrzę do pana, doktorze, można?
- Oczywiście. Nigdzie się nie ruszam, może pan wpaść w każdej chwili.

* * *

- Marco, czy coś się stało?

- Nic.

- Szefie, za dobrze cię znam. Z daleka widać, że humor nie dopisuje.

- Masz rację, Giuseppe, coś mnie gnębi i nie potrafię powiedzieć co.

- A ja owszem. Jesteś tak samo poruszony jak my wszyscy faktem, że pojawił się kolejny niemowa. Poprosiłem Minervę, by sprawdziła w komputerze, czy istnieje jakaś sekta religijna, która obcina języki i zajmuje się kradzieżami. Wiem, że to dziwny pomysł, ale musimy prowadzić nasze poszukiwania we wszystkich kierunkach, a Minerva to geniusz internetowy.

- Rozumiem. I co, znaleźliście jakieś ślady?

- Przede wszystkim nic nie zginęło. Antonino i Sofia twierdzą zgodnie, że nie wyniesiono ani obrazów, ani kandelabrow, ani rzeźb... Wszystkie cuda zgromadzone w katedrze nadal w niej pozostają, chociaż niektóre trochę ucierpiały od ognia. Płomienie zniszczyły prawą kazalnicę, ławki dla wiernych, a z osiemnastowiecznej płaskorzeźby wyobrażającej niepokalane poczęcie, zostały popioły.

- Wszystko to znajdę w raporcie?

- Oczywiście, szefie, ale raport nie jest jeszcze gotowy.

Pietro nie wrócił jeszcze z katedry. Przesłuchiwał robotników, którzy zakładali nowe instalacje elektryczne. Wygląda na to, że to spięcie wywołało pożar.

- Jeszcze jedno spięcie - westchnął Valoni.

- Właśnie, szefie, zupełnie jak w dziewięćdziesiątym siódmym. Pietro rozmawiał z ludźmi z przedsiębiorstwa, które prowadzi renowację, i już poprosił Minervę, by poszukała w Internecie jakichś informacji o właścicielach firmy, a przy okazji, gdyby coś się znalazło, to i o pracownikach. Są wśród nich imigranci, więc tym trudniej będzie dotrzeć do informacji. Poza tym, razem z Pietrem przepytaliśmy wszystkich pracowników episkopatu. Kiedy wybuchł pożar, nikogo nie było w

katedrze. O trzeciej po południu jest zamknięta. Nawet robotnicy mają wtedy przerwę, to pora obiadowa.

- Znaleźliśmy zwłoki tylko jednej osoby. Miał współników?

- Tego nie wiemy, ale niewykluczone. Trudno by było jednemu człowiekowi przygotować i dokonać włamania do katedry turyńskiej, chyba że ktoś mu to zlecił, kazał wynieść jedno określone dzieło. Wtedy złodziej nie potrzebowałby pomocy, to prawda. Nie wiemy jednak, czy tak było.

- A jeśli nie był sam, to gdzie podzieli się jego współnicy? - zastanawiał się Valoni.

Poczuł nieprzyjemne łaskotanie w żołądku. Paola twierdziła, że całun turyński stał się jego obsesją, i kto wie, czy nie miała racji. Jego myśli zaprzętały teraz ludzie bez języków. Był przekonany, że coś mu umyka, że jest jeszcze jakiś wątek, jakaś luźna nitka, którą trzeba z czymś powiązać, i że jeśli ją odnajdzie i zacznie ciągnąć za jeden koniec, odpowiedź znajdzie się sama. Mógłby pójść do turyńskiego więzienia i zobaczyć się z niemową. Kardynał powiedział coś istotnego: kiedy odwiedzał więźnia, ten zaskakiwał zubożeniem, jak gdyby nie rozumiał, co się dookoła dzieje. To jakiś ślad - być może niemowa nie jest Włochem i nie rozumie, co się do niego mówi? Dwa lata temu on sam przekazał go karabinierom, przekonawszy się, że nie ma języka i że nie reaguje na jego pytania. Tak, musi udać się do więzienia. Niemowa to jedyny ślad. Jaki z niego głupiec, że do tej pory tego nie wykorzystał.

Kiedy zapalał kolejnego papierosa, przyszło mu do głowy, by zadzwonić do Johna Barry'ego, attache kulturalnego przy ambasadzie amerykańskiej. W rzeczywistości John był agentem służb specjalnych, jak prawie wszyscy attache kulturalni wszystkich ambasad świata. Rządowi nie brakuje wyobraźni, kiedy usiłują zakamufłować swoich agentów za granicą. John był miłym facetem, chociaż pracował dla CIA. Nie działał w terenie jak rasowy agent, miał za zadanie jedynie analizować informacje, interpretować je i przysyłać raporty do Waszyngtonu.

Przyjaźnili się z Valonim od wielu lat. Była to przyjaźń dodatkowo scementowana pracą, gdyż wiele skradzionych przez mafię dzieł sztuki trafiało do rąk bogatych Amerykanów, którzy, już to ze szczerzej fascynacji sztuką, już to z próżności czy zachłanności, bez żadnych oporów kupowali kradzione obiekty. Zdarzało się wiele kradzieży na indywidualne zamówienie.

John w niczym nie przypominał typowego Amerykanina, a już na pewno nie agenta CIA. Miał pięćdziesiąt lat, podobnie jak Valoni zakochany był w Europie, chociaż doktorat z historii sztuki zrobił na Harvardzie. Ożenił się z Lisą, Angielką, absolwentką archeologii, niezwykle ujmującą osobą. Nie była szczególnie ładna, ale za to tak pełna energii, że zarażała wszystkich entuzjazmem i radością, i w rezultacie uważana była za bardzo atrakcyjną kobietę. Zaprzyjaźniła się z Paolą, czasem więc wychodzili we czwórkę na kolację, a nawet spędzili razem jeden weekend na Capri.

Tak, zadzwoni do Johna, jak tylko wróci do Rzymu. Musi też skontaktować się z Santiagiem Jimenezem, przedstawicielem Europolu we Włoszech, pracowitym i życzliwym Hiszpanem, z którym również był w pewnej zażyłości. Zaprosi ich na kolację. Być może, pomyślał, mogliby mu pomóc w

poszukiwaniach, choć na razie sam nie wiedział dokładnie, czego szuka.

* * *

Josar ujrzał wreszcie mury Jerozolimy, zalane blaskiem wschodzącego słońca.

Towarzyszyło mu czterech ludzi. Skierowali się ku Bramie Damasceńskiej, przez którą o tej porze zaczęli wchodzić do miasta okoliczni wieśniacy, w przeciwną zaś stronę wyruszały karawany, zaopatrujące miasto w sól.

Pieszy oddział rzymskich żołnierzy rozpoczął patrol, krocząc wzdłuż murów.

Josar pragnął jak najszybciej zobaczyć się z Jezusem.

Wierzył w niego, wierzył, że Jezus jest synem Boga, nie tylko z powodu cudów, jakie czynił (Josar sam był świadkiem wielu), lecz również dlatego że kiedy zatrzymywał na kimś wzrok, widać było, że czyta w ludzkiej duszy, że nie umkną mu nawet najbardziej skryte myśli. Przy Jezusie nie trzeba było wstydzić się tego, kim się jest, jego oczy wypełniało zrozumienie i przebaczenie, emanowała z niego siła, słodycz i miłosierdzie.

Josar kochał Abgara, swego króla, bo ten zawsze traktował go jak brata. Tylko dzięki niemu mógł cieszyć się pozycją i bogactwem, czuł jednak, że jeśli Jezus nie przyjmie zaproszenia Abgara do Edessy, on, Josar, stanie przed swym panem i poprosi go o pozwolenie na powrót do Jerozolimy.

A wtedy podąży za Nazarejczykiem. Był gotów porzucić swój dom, fortunę i wygodne życie. Pójdzie za Jezusem i postara się żyć tak, jak ten naucza. Tak postanowił.

* * *

Skierował się do gospody należącej do człowieka o imieniu Samuel, który za kilka monet udzielił mu noclegu i zaopiekował się końmi. Gdy tylko się rozgości, natychmiast wyjdzie na miasto, by popytać o Jezusa. Uda się do domu Marka lub Łukasza, ci na pewno wiedzą, gdzie go znaleźć. Niełatwo będzie przekonać Jezusa do podróży do Edessy. Zapewnię go, że droga nie jest długa, postanowił Josar. Powiem też, że może wrócić, kiedy tylko uzdrowi króla, o ile nie zechce zostać z nim na zawsze.

Po drodze do domu Marka Josar kupił parę jabłek od ubożego kaleki, którego zapytał o ostatnie wieści z Jerozolimy.

- Co mam ci opowiedzieć, cudzoziemcze? Co dzień wstaje słońce i wędruje po niebie na zachód. Rzymianie... Czy aby na pewno nie jesteś Rzymianinem? Nie, nie nosisz się jak oni...

Podnieśli nam podatki ku większej chwale cesarza, dlatego Piłat obawia się buntu i usiłuje zyskać sobie przychylność kapłanów świątyni.

- Co wiesz o Jezusie z Nazaretu?

- Więc i ty chcesz się czegoś o nim dowiedzieć? Nie jesteś aby szpiegiem?

- Nie, dobry człowieku, nie jestem szpiegiem, jedynie podróżnym, który słyszał o cudach, jakie Jezus czyni.

- Jeśli jesteś chory, on może cię uzdrowić. Wielu twierdzi, że ich dolegliwości zniknęły po dotknięciu jego palców.

- Ty w to nie wierzysz?

- Panie, ja pracuję od wschodu do zachodu słońca, przycinam drzewa w moim sadzie i sprzedaję jabłka. Mam żonę i dwie córki, muszę je wyżywić. Wypełniam wszystkie nakazy religii, staram się być dobrym Żydem i wierzę w Boga. Czy człowiek z Nazaretu jest Mesjaszem, jak twierdzą niektórzy, nie mnie o tym sądzić, nie mówię ani nie, ani tak. Wiedz jednak, cudzoziemcze, że kapłani nie przepadają za nim, podobnie jak Rzymianie, bo Jezus nie drży przed ich potęgą i rzuca im wyzwania. Powiem ci coś jeszcze - nie można sprzeciwić się Rzymianom i kapłanom i wyjść z tego cało. Tego Jezusa czeka marny koniec.

- Wiesz, gdzie przebywa?

- Wędruje to tu, to tam ze swoimi uczniami, chociaż dużo czasu spędza na pustyni. Nie wiem, możesz zapytać woziwodę za rogiem. To zwolennik Jezusa, dawniej był niemy, teraz odzyskał mowę, Nazarejczyk go uzdrowił.

Josar niespiesznie przemierzał miasto, aż w końcu odnalazł dom Marka. Tam powiedziano mu, że jeśli chce zobaczyć Jezusa, musi się udać pod południowy mur, gdzie Nauczyciel przemawia do tłumów.

Wkrótce go ujrzał. Ubrany w prostą tunikę, mówił do swoich uczniów pewnym, choć łagodnym głosem.

Josar poczuł na sobie wzrok Jezusa, który zauważył go, uśmiechnął się i gestem ręki zachęcił, by się zbliżył, po czym objął go i kazał mu usiąść obok siebie. Jan, najmłodszy z uczniów, odsunął się, by zrobić mu miejsce.

Tak upłynęło przedpołudnie, a kiedy słońce znalazło się wysoko, Judasz, jeden z uczniów Jezusa, rozdzielił między zebranych chleb, figi i wodę. Zjedli w milczeniu. Potem Jezus wstał, gotowy do odejścia.

- Panie - wyszeptał Josar - przychodzę do ciebie z prośbą od mego króla, Abgara z Edessy.

- Czegóż chce Abgar, zacny Josarze?

- Mój pan jest chory i błaga cię, byś mu pomógł, i ja też cię o to błagam, bo to dobry człowiek i dobry król, bardzo sprawiedliwy dla swych poddanych. Edessa to małe miasto, lecz Abgar gotów jest podzielić się nim z tobą, jeśli dokonasz cudu.

Szli obok siebie, Jezus położył dłoń na ramieniu Josara, a ten poczuł się uprzywilejowany, że znajduje się tak blisko człowieka, którego uważa za boskiego syna.

- Przeczytam list i odpowiem twojemu królowi - odrzekł krótko Jezus.

Tej nocy Josar zjadł wieczerzę z Jezusem i jego uczniami, z niepokojem słuchając wieści o rosnącej niechęci kapłanów do Nauczyciela. Pewna kobieta, Maria Magdalena, podsłuchiwała na rynku, jak kapłani namawiają Rzymian, by pojмали Jezusa, oskarżając go o podżeganie do zamieszek i wystąpień przeciwko władzom.

Jezus słuchał w milczeniu, nie przestając jeść. Wydawało się, że wie o wszystkim, jak gdyby nie przynieśli mu żadnej nowiny. Potem opowiadał im o przebaczeniu. Mówił, że powinni wybaczać tym, którzy ich krzywdzą, i okazywać im współczucie. Uczniowie odpowiadali na to, że to trudne i że nie można obojętnie przyjmować zniewag.

Jezus wysłuchał ich cierpliwie, a potem przekonywał, że darowanie win zapewnia pokrzywdzonym spokój duszy. Na koniec poszukał wzrokiem Josara i przywołał go do siebie.

- Josarze, oto moja odpowiedź dla Abgara - powiedział, wręczając mu list.

- Panie, czy pojedziesz ze mną?

- Nie, Josarze. Nie mogę ci towarzyszyć, muszę bowiem wypełnić to, co każe mój Ojciec. Poślę jednego z moich uczniów. Jednakże twój król ujrzy mnie jeszcze w Edessie i jeśli znajdzie wiarę, wyzdrowieje.

- Którego pošlesz? I jak to możliwe, panie, że Abgar ujrzy cię w Edessie, skoro zamierzasz pozostać tutaj?

Jezus uśmiechnął się i patrząc uważnie na Josara, rzekł:

- Nie podążasz za mną i nie słuchasz mnie? Twój król będzie zdrowy i zobaczy mnie w Edessie nawet wtedy, gdy nie będzie mnie już na tym świecie.

I Josar mu uwierzył.

Światło słońca wlewało się przez okienko izby. Josar pisał list do Abgara, podczas gdy właściciel gospody szykował prowiant na drogę dla jeźdźców, którzy mieli zawieźć odpowiedź do króla.

List od Josara do Abgara, króla Edessy.

Panie, moi ludzie niosą dla Ciebie odpowiedź od Nazarejczyka. Proszą Cię, Panie, byś miał wiarę, gdyż on utrzymuje, że wyzdrowiejesz. Wiem, że cud się stanie, ale nie pytaj mnie kiedy ani w jaki sposób. Proszę Cię o pozwolenie, bym mógł pozostać w Jerozolimie, przy Jezusie. Serce podpowiada mi, że powinienem zabawić tu dłużej. Muszę go słuchać, słuchać jego słów, i - jeśli on na to pozwoli - podążać za nim jako najpokorniejszy z jego uczniów. Wszystko, co posiadam, dałeś mi Ty, Panie, więc rozporządzaj moim majątkiem i niewolnikami, i oddaj to wszystkim potrzebującym. Jeżeli zostanę tu, by podążać za Jezusem, nic nie będzie mi potrzebne. Czuję, że coś się wydarzy, gdyż kapłani ze świątyni nienawidzą Jezusa, który głosi, że jest Synem Bożym i żyje według żydowskiego prawa, którego oni nie przestrzegają.

Proszę Cię nade wszystko, Królu, o zrozumienie i byś pozwolił mi wypełnić moje przeznaczenie.

Abgar odczytał list od Josara i wielce się strapił; Żyd nie przybędzie do Edessy, Josar zaś pozostanie w Jerozolimie.

Ludzie wysłani przez Josara jechali bez wytchnienia, by wręczyć królowi oba listy. Jako pierwszy przeczytał list od Josara, teraz pora na pismo Jezusa, jednakże z królewskiego serca ulotniła się już nadzieja i nie dbał o to, co napisał Nazarejczyk.

Do komnaty weszła królowa i popatrzyła na męża z niepokojem.

- Ponoć nadeszły wieści od Josara.

- W rzeczy samej - westchnął król. - Nie są to dobre wieści. Żyd nie przybędzie. Josar prosi, bym udzielił mu zgody na pozostanie w Jerozolimie. Wszystko, co posiada, mam rozdać potrzebującym. Został uczniem Jezusa.

- Czy ten człowiek naprawdę jest tak niezwykły, że Josar porzuca wszystko, by za nim podążać? Tak bardzo chciałabym go poznać.

- Więc i ty mnie opuścisz?

- Panie, wiesz, że tego nie zrobię, ale wierzę, że ten Jezus jest bogiem. Co pisze w swoim liście?

- Jeszcze nie zламаłem pieczęci, zaczekaj, przeczytam ci.

Błogosławiony bądź Abgarze, który nie widziałeś mnie, lecz we mnie uwierzyłeś. Napisano

bowiem o mnie, że widzący mnie nie uwierzą, a niewidzący uwierzą we mnie i będą błogosławieni. Piszesz, abym przybył do Ciebie, lecz ja powinienem dokonać tego, do czego zostałem przeznaczony i powrócić do Ojca, który mnie wysłał. Gdy wzniosą się do niego, wyślę do Ciebie jednego z moich uczniów, który uleczy Cię i da Tobie i Twym bliskim życie wieczne.

- Królu mój, Żyd cię uzdrowi.

- Skąd bierze się twoja pewność?

- Musisz uwierzyć, wszyscy musimy wierzyć i czekać w nadziei.

- Czekać... Nie widzisz, że choroba mnie pokonuje? Co dzień jestem słabszy, wkrótce nie będę mógł nawet tobie pokazać się na oczy. Wiem, że moi poddani plotkują, a wrogowie knują, i szepczą, że nasz syn Maanu wkrótce zostanie królem.

- Jeszcze nie wybiła twoja godzina, Abgarze. Wiem o tym - powiedziała z żarem królowa.

* * *

Z powodu zakłóceń na linii śpiewny głos Minervy był ledwie słyszalny.

- Rozłącz się, ja do ciebie zadzwonię, jestem w biurze - powiedziała Sofia.

Policyjny wydział do spraw sztuki dysponował dwoma pokojami w kwaterze karabinierów, które podczas pobytów służbowych w Turynie służyły Valoniemu i jego ludziom za wygodny gabinet do pracy.

- Opowiadaj, Minervo - poprosiła Sofia. - Nie ma co czekać na szefa, wstał wcześniej i poszedł prosto do katedry. Powiedział, że zostanie tam do południa.

- Ma wyłączoną komórkę, odzywa się poczta głosowa.

- Zachowuje się trochę dziwnie, sama wiesz, iż od lat utrzymuje, że ktoś chce zniszczyć cała Turyn. Czasem myślę, że ma rację. We Włoszech nie brak kościołów i katedr, a jednak to katedrę turyńską ciągle coś się przydarza. Było już chyba z pół tuzina włamań, a pożarów groźnych i niegroźnych nie zliczę. W takiej sytuacji każdy miałby twarde orzech do zgryzienia. I jeszcze te wszystkie niemowy... Przyznasz, że włos się jeży na głowie, jak się pomyśli, że znaleziono trupa bez języka i linii papilarnych. Jak zwykle nie do zidentyfikowania.

- Marco prosił, żebym poszukała informacji, czy jakaś sekta nie obcina języków swoim wyznawcom. Twierdzi, że wprawdzie jesteście historykami, ale czasem coś wam umyka. Na razie niczego nie znalazłam. Tyle tylko, że firma, która przeprowadza remont w katedrze, działa w Turynie od ponad czterdziestu lat i nie narzeka na brak zleceń. Ich najlepszym klientem jest właśnie Kościół.

Przez ostatnie lata wymieniali instalacje elektryczne w większości klasztorów i kościołów w okolicy, odnawiali nawet rezydencję kardynała. To spółka akcyjna. Dowiedziałam się, że jednym z udziałowców jest bardzo ważna persona, człowiek, który ma akcje linii lotniczych, zakładów chemicznych... A więc ta firma konserwatorska to małe piwo w porównaniu z całą resztą, jaką trzyma w ręku.

- O kim mówisz?

- Nazywa się Umberto D'Alaqua, a jego nazwisko regularnie pojawia się na łamach gazet ekonomicznych. Rekin finansjery, który - teraz słuchaj uważnie - zajmuje się układaniem kabli i rur. Ale to nie wszystko. Ma również akcje innych spółek, niektóre z nich już nie istnieją, lecz w pewnym momencie każdą coś łączyło z katedrą turyńską. Przypomnij sobie, że przed pożarem w dziewięćdziesiątym siódmym były inne pożary, a konkretnie we wrześniu osiemdziesiątego trzeciego, na parę miesięcy przed tym, jak członkowie dynastii sabaudzkiej podpisali akt, w którym podarowali całun Watykanowi.

Tamtego lata przystąpiono do czyszczenia fasady katedry i całą wieżę obudowano rusztowaniami. Nikt nie wie, jak do tego doszło, w każdym razie wybuchł pożar. W firmie, która zajmowała się myciem zabytków, Umberto D'Alaqua również miał udziały. Pamiętasz, jak z powodu robót kamieniarskich popękały rury na placu katedralnym i w całym sąsiedztwie? Otóż w firmie, która układała chodniki, również ma udziały... zgadnij kto? No właśnie, niejaki D'Alaqua.

- Chyba jesteś przewrażliwiona. Nie widzę niczego dziwnego w tym, że facet robi interesy z kilkunastoma firmami w Turynie. Takich jak on musi być wielu.

- Wcale nie jestem przewrażliwiona. To wynika z danych, jakie zebrałam. Marco chciał wiedzieć wszystko, a wśród „wszystkiego” często pojawia się nazwisko Umberto D'Alaqua. Kimkolwiek jest, musi mieć dobre układy z kardynałem Turynu, a przez to z Watykanem. I jeszcze jedno - nie jest żonaty.

- Dobrze, wyślij to wszystko mailem do szefa. Marco będzie miał co czytać, kiedy wróci.

- Jak długo zostanieie w Turynie?

- Nie wiem. Marco jeszcze nie zdecydował. Chce porozmawiać z kilkoma osobami, które przebywały w katedrze, zanim wybuchł pożar. Nalega też, by porozumieć się z tym niemym złodziejem aresztowanym dwa lata temu oraz z robotnikami i pracownikami episkopatu. Pewnie zostaniemy tu jeszcze trzy czy cztery dni. Dam ci znać, co i jak.

Sofia postanowiła sama pójść do katedry i porozmawiać z Valonim, chociaż wiedziała, że szef woli być sam. W przeciwnym razie poprosiłby Pietra, Giuseppego lub Antonina, by mu towarzyszyli. Każdemu jednak przydzielił jakieś zadanie.

Pracowali z nim od wielu lat. Cała czwórka wiedziała, że Valoni ma do nich zaufanie. Pietro i Giuseppe byli wytrawnymi detektywami, niepodatnymi na korupcję karabinierami. Antonino i Sofia

mieli doktoraty z historii sztuki. Wraz z Minervą, informatykiem, stanowili mózg ekipy Valoniego. Zespół był oczywiście o wiele większy, lecz Valoni nie ufał innym pracownikom tak jak im. Przez lata pracy całą czwórkę połączyły mocne więzy przyjaźni. Sofia pomyślała, że spędza w pracy więcej czasu niż w domu. W domu nikt na nią nie czekał. Nie wyszła za męża. Tłumaczyła się sama przed sobą, że nie miała czasu na ułożenie sobie życia: najpierw studia, doktorat, praca w policyjnej jednostce zajmującej się skradzionymi dziełami sztuki, podróże... Skończyła czterdzieści lat i czuła, że na polu uczuciowym poniosła klęskę. Siebie samej nie oszuka: choć od czasu do czasu chodziła do łóżka z Pietrem, ten nigdy nie obiecywał, że rozwiedzie się dla niej z żoną, a ona nie była pewna, czy chce, by to zrobił.

Dobrze było im tak jak teraz: wspólny pokój na wyjazdach, czasem miły wieczór po pracy. Pietro odprowadzał ją do domu, wypijali po kieliszku wina, jedli kolację, szli do łóżka, a koło drugiej czy trzeciej nad ranem on wstawał i starając się nie robić hałasu, wracał do siebie.

W biurze zachowywali pozory, ale Antonino, Giuseppe i Minerva już dawno zauważyli, że łączą ich coś więcej niż koleżeństwo. Marco stwierdził kiedyś wprost, że są dorośli, mogą robić, na co im przyjdzie ochota, tyle tylko, że oczekuje, iż sprawy prywatne nie przeszkodzą w pracy zespołu.

Pietro zgadzał się z nią, że jeśli się posprzeczą, nie może się to przekładać na pracę, a nawet nie wolno im o tym rozmawiać przy kolegach. Dotychczas im się to udawało, choć prawdą było, iż rzadko dochodziło do kłótni, a jeśli się zdarzały, nie działa się nic, czego nie dałoby się naprawić. Oboje wiedzieli, że więcej z tego związku nie wycisną, dlatego też żadne z nich nie miało zbyt wygórowanych oczekiwań.

* * *

- Szefie...

Valoni podskoczył na dźwięk głosu Sofii. Siedział w ławce, kilka metrów od gabloty, w której przechowywany był całun.

Uśmiechnął się na widok współpracownicy, i pociągnął ją za rękę, by usiadła obok.

- Niesamowite, prawda? - westchnął.

- Rzeczywiście - przyznała Sofia. - Choć to falsyfikat.

- Falsyfikat? Nie byłbym taki pewny. W tej tkaninie jest jakaś tajemnica, coś, czego naukowcom nie udało się wytłumaczyć. NASA stwierdziła, że odbicie człowieka jest trójwymiarowe. Jedni utrzymują, że to wynik jakiegoś promieniowania, którego nauka jeszcze nie potrafi nazwać, inni znów, że te ślady to ślady krwi.

- Marco, sam wiesz, że badanie metodą węgla promieniotwórczego jest rozstrzygające. Doktor

Tite i laboratoria pracujące nad datowaniem całunu nie mogłyby pozwolić sobie na błąd. Płótno pochodzi z trzynastego lub czternastego wieku, powstało prawdopodobnie między rokiem tysiąc dwieście sześćdziesiątym a tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym. Tak orzekli naukowcy z niezależnych ośrodków. Prawdopodobieństwo błędu wynosi pięć procent. Kościół pogodził się z tym wyrokiem.

- Nadal jednak nie wiadomo, w jaki sposób powstał obraz na tkaninie. Chciałem ci tylko przypomnieć, że na trójwymiarowych zdjęciach znaleziono kilka słów, wokół twarzy trzy razy powtarza się napis: INNECE.

- To może być skrót od wyrażenia in necem - „na śmierć” - wyjaśniła Sofia.

- A po tej samej stronie, od góry do dołu, skierowane do środka, biegną litery: S N AZARE.

- Co przypomina słowo: NAZARENUS, czyli Nazarejczyk, mieszkaniec miasta Nazaret.

- Na górze są inne litery, IBER... - ciągnął Valoni.

- A niektórzy twierdzą, że brakujące znaki układałyby się w słowo: TIBERIUS.

- A monety?

- Na powiększonych fotografiach widać kółka wokół oczu. Zwłaszcza na prawym rozpoznano odcisk monety. W tamtych czasach było to powszechnym zabiegiem, pieniędzy przytrzymywał zamknięte powieki zmarłego.

- I można odczytać...

- ...TIBERIOY CAIKAPOC, co brzmi identycznie jak Tyberiusz Cesarz, czyli napis, jaki pojawia się na monetach bitych w czasach Poncjusza Piłata. Monety bito z brązu, z pastorałem wróżbitów na awersie.

- Jako historyk, nie przyjmujesz niczego za pewnik - mruknął Valoni.

- Marco, mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Jeśli nie tobie, to komu mógłbym pozwolić je zadać?

- Jesteś wierzący? Ale naprawdę wierzący? Bo wszyscy jesteśmy katolikami, jak przystało na Włochów, i na całe życie pozostaje w nas coś z nauk dzieciństwa. Wiara natomiast to coś zupełnie innego, a mnie się wydaje, Marco, że ty masz wiarę, że jesteś przekonany, iż człowiek odbity na całunie to sam Chrystus i jest ci obojętne, co stwierdzą naukowcy. Ty masz wiarę.

- Widzisz, droga pani doktor, odpowiedź nie jest taka prosta. Nie wiem dokładnie, w co wierzę. Niektóre rzeczy odrzucam, bo nie wydają mi się logiczne, dlatego też moje przekonania niewiele łączy z naukami Kościoła, z tym, co księża nazywają wiarą. Ale w tym płótnie jest coś szczególnego, nie chciałbym tego nazywać magią, ale to coś więcej niż tylko kawałek materiału.

Czuję, że ta tkanina skrywa jakąś tajemnicę.

Zapadła cisza. Patrzyli na lnianą tkaninę z zarysem ciała człowieka, który cierpiał tak samo jak Jezus. Człowieka, który według badań i pomiarów antropometrycznych profesora Judica - Cordiglia, ważył około osiemdziesięciu kilogramów, miał sto osiemdziesiąt jeden centymetrów wzrostu, a jego cech nie dało się przypisać żadnej konkretnej grupie etnicznej.

Katedra była zamknięta dla zwiedzających. Miało tak pozostać, dopóki całun nie trafi do sejfu w Banku Narodowym.

Była to decyzja Valoniego, lecz kardynał przystał na nią chętnie.

Święty całun był najcenniejszym skarbem katedry, jedną z najważniejszych relikwii chrześcijaństwa i jeśli weźmie się pod uwagę wszystkie okoliczności, w banku będzie bezpieczniejszy.

Sofia ścisnęła Valoniego za ramię. Nie chciała, by czuł się osamotniony, pragnęła dać mu odczuć, że w niego wierzy.

Podziwiała go, wręcz uwielbiała, za jego prawość, za to, że pod powierzchownością twarziela krył się wrażliwy człowiek, zawsze gotów wysłuchać innych, że miał dość pokory, by przyznać, iż ktoś ma wiedzę większą niż on. Miał też dość pewności siebie, by nie obawiać się, że w ten sposób podważy swój autorytet.

Kiedy dyskutowali o autentyczności jakiegoś dzieła sztuki, Marco nie narzucał swojego zdania, zawsze pozwalał innym członkom zespołu wyrazić swoją opinię, a Sofia wiedziała, że jej ufa szczególnie. Parę lat temu nazwał ją żartobliwie „naszym rozumkiem”, doceniając jej dorobek: doktorat z historii sztuki, magisterium z martwych języków, dyplom z italianistyki i to, że swobodnie posługiwała się angielskim, francuskim, hiszpańskim i greką, a jako osoba nieobarczona rodziną, znalazła też czas na naukę arabskiego. Nie opanowała go może w stopniu doskonałym, lecz w razie potrzeby mogła się w tym języku porozumieć.

Valoni spojrzał na nią kątem oka, nie przyznając się, że jej gest dodał mu otuchy. Pomyślał, że to szkoda, iż taka kobieta nie znalazła odpowiedniego partnera. Była ładna, nawet bardzo ładna, sama nie zdawała sobie sprawy, jak jest atrakcyjna. Blondynka, niebieskooka, smukła, w dodatku sympatyczna i wyjątkowo inteligentna. Paola wciąż kogoś dla niej znajdowała, ale zwykle kończyło się to porażką, bo mężczyźni czuli się onieśmieleni przewagą intelektualną Sofii, peszyły ich jej rozliczne przymioty. Nie mógł pojąć, że taka kobieta żyje w nieformalnym związku z tym poczciwcem Pietrem, choć Paola twierdziła, że dla Sofii to bardzo wygodny układ.

Pietro dołączył do ich zespołu jako ostatni, dziesięć lat temu. Był dobrym śledczym. Drobiazgowy, nieufny, nie pomijał żadnego szczegółu. Przez wiele lat pracował w wydziale zabójstw i sam wystąpił o przeniesienie, gdyż - jak twierdził - miał już dość krwi. Wywarł dobre wrażenie na Valonim. Kiedy przyszedł na rozmowę kwalifikacyjną, szef uznał, że wypełni lukę w zespole, bo zawsze brakowało rąk do pracy.

Marco i Sofia wstali z ławki i skierowali się w stronę głównego ołtarza. Okrążyli go i weszli do zakrystii, w której chwilę wcześniej zniknął ksiądz, jeden z wielu pracujących w arcybiskupstwie.

- Och, tu pan jest, panie Valoni, a ja pana szukam! - wykrzyknął duchowny. - Kardynał chciałby się z panem spotkać. Za pół godziny przyjedzie specjalny samochód, by przewieźć całun. Dzwonił do nas jeden z pańskich ludzi, Antonino. Kardynał mówi, że nie spocznie, dopóki całun nie znajdzie się w banku, mimo że w kościele roi się od policji i nie sposób się obrócić, by nie natknąć się na karabiniera.

- Dziękuję, ojcze, będziemy pilnowali tkaniny. Pojadę z nią do banku.

- Jego Eminencja życzy sobie, by ojciec Yves, jako przedstawiciel episkopatu, zawiózł całun i zajął się wszystkimi formalnościami.

- Doskonale, to bardzo dobry pomysł. A gdzie znajdę kardynała?

- Jest w swoim gabinecie. Mam pana zaprowadzić?

- Dziękuję, oboje z panią doktor znamy drogę.

Valoni i Sofia weszli do gabinetu kardynała. Duchowny sprawiał wrażenie podenerwowanego.

- To pan, Marco! Zapraszam. Kogo widzę! Pani doktor Galloni! Proszę, zechcą państwo usiąść.

- Eminencjo - zaczął Valoni - oboje z panią doktor pojedziemy z całunem do banku, wiem, że i ojciec Yves się tam wybiera...

- Tak, ale nie dlatego państwa wezwałem. Widzi pan, w Watykanie bardzo się martwią. Monsignor Aubry zapewnia mnie, że Ojciec Święty jest poruszony wieścią o kolejnym pożarze i poprosił mnie, bym na bieżąco przekazywał mu wszystkie ustalenia. Bardzo więc pana proszę, Marco, by informował mnie pan o wynikach śledztwa. Nie muszę dodawać, że może pan ufać naszej dyskrecji. Dobrze wiemy, jak ważna jest dyskrecja w takich przypadkach...

- Eminencjo, na razie nic jeszcze nie wiadomo. W kostnicy mamy ciało bez języka. To mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni, nie ustaliliśmy jeszcze jego tożsamości. Nie wiemy nawet, czy to Włoch, czy cudzoziemiec, chociażby Szwed.

- Mam wrażenie, że nasz więzień to rodowity Włoch.

- Dlaczego Wasza Eminencja tak sądzi?

- Jest śniady, niezbyt wysoki, o oliwkowej skórze...

- Wasza Eminencjo, taki fenotyp odpowiada połowie populacji ludzi.

- Trudno się z panem nie zgodzić. W każdym razie, czy sprawi panu kłopot przekazywanie mi wszystkich ustaleń? Zapiszę panu moje prywatne numery, domowy i komórkowy, tak by przez dwadzieścia cztery godziny na dobę miał mnie pan w zasięgu, na wszelki wypadek. Jeśli dowie się pan czegoś ważnego, proszę dzwonić. Chciałbym wiedzieć, jakie kroki pan podejmuje.

Kardynał zapisał szereg cyferek na odwrocie swojej wizytówki i wręczył ją Valoniemu, który obejrzał ją dokładnie, zanim schował do kieszeni. Nawet nie przyszło mu do głowy, by uświadamiać kardynała, że jak na razie policja porusza się na ślepo i plan śledztwa na najbliższe dni zakłada badanie po omacku nieznanego terenu. Nie zamierzał dzielić się szczegółami śledztwa z arcybiskupem Turynu, by ten przekazywał je monsignorowi Aubry'emu, ten zaś zastępcy sekretarza stanu, ów samemu sekretarzowi stanu, a sekretarz stanu Bóg wie komu jeszcze, oprócz, oczywiście, papieża.

Nic jednak nie powiedział, skinął tylko głową, jakby na wszystko się godził.

- Marco, kiedy już całun bezpiecznie spocznie w pancерnej komorze banku, proszę, by pan i ojciec Yves to potwierdzili.

Valoni z niedowierzaniem zmarszczył czoło. Kardynał traktuje go jak swojego podwładnego! Postanowił jednak puścić mimo uszu tę impertynencję. Podniósł się z krzesła, Sofia również.

- Musimy się pożegnać, Wasza Eminencjo. Lada chwila nadjedzie samochód z banku.

* * *

Trzech mężczyzn leżało na niedbale zaścielonych pryczach, każdy zatopiony we własnych myślach. Nie udało im się, nic już nie wskórają, pora wracać. Mają kilka dni na opuszczenie miasta. Turyn stał się dla nich miejscem niebezpiecznym.

Ich towarzysz zginął, padł ofiarą płomieni. Sekcja zwłok ujawni z pewnością, że nie miał języka. Żaden z nich go nie ma. Nawet do głowy im nie przyszło, by wracać do katedry.

W tej chwili oznaczałoby to samobójstwo. Ich łącznik, człowiek pracujący w kurii, opowiadał im, że wszędzie kręcą się karabinierzy, którzy przesłuchują każdego, kto stanie na ich drodze.

Był bardzo zdenerwowany. Powiedział, że nie zaśnie, dopóki nie opuszczą miasta.

Uspokoił go, że szykują się już do wyjazdu, muszą jednak przeczekać w kryjówce przynajmniej parę najbliższych dni, dopóki nie skończy się oblężenie kościoła, a uwagi mediów nie przyciągnie inna katastrofa.

Piwnica pachniała wilgocią, było w niej tak ciasno, że żaden z nich nawet nie marzył o spacerze. Ich łącznik w katedrze zostawił im prowiant, powinno tego wystarczyć na trzy, cztery dni.

Powiedział, że dopóki nie zyska pewności, iż zagrożenie minęło, nie przyjdzie. Od tego czasu upłynęły dwa dni. Im wydawało się, że minęła wieczność.

* * *

Kilkanaście tysięcy kilometrów dalej, w nowojorskim biurowcu ze szkła i stali, w gabinecie o dźwiękoszczelnych ścianach, którego strzegły najnowocześniejsze urządzenia zabezpieczające, by zapewnić prywatność znajdującym się w nim osobom, kilku mężczyzn świętowało przy kieliszku burgunda porażkę swoich przeciwników.

Już na pierwszy rzut oka można się było domyślić, że to grono wybrańców. Było ich siedmiu, w wieku od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu lat, wszyscy w nienagannie skrojonych garniturach. Do tej pory zdążyli szczegółowo przeanalizować informacje, jakie dotarły do nich po pożarze w Turynie. Źródłem wiedzy nie były gazety ani telewizja. Dysponowali relacją z pierwszej ręki, starannie sporządzoną przez postać w czerni, która śledziła wydarzenia z ukrycia.

Poczuł ulgę, taką jak wcześniej musieli odczuwać ich poprzednicy, za każdym razem, gdy udało się zapobiec zbliżeniu do całunu ludzi bez języków.

Najstarszy z nich uniósł nieznacznie rękę, a pozostali popatrzyli na niego z uwagą.

- Jedyne, co mnie martwi - powiedział - to ten policjant, szef wydziału do spraw sztuki. Skoro ma taką obsesję na punkcie tej sprawy, może w końcu natrafić na jakiś ślad, który przywiedzie go do nas, po nitce do kłębka.

- Należy zaostrzyć środki bezpieczeństwa i pomóc naszym wtopić się w otoczenie. Rozmawiałem z Paulem, spróbuje się dowiedzieć, jakie kroki poczynił ten Valoni. Nie będzie łatwo, przy pierwszym potknięciu możemy się odsonić. Moim zdaniem, wielki mistrzu, powinniśmy zachować spokój, nic nie robić, a tylko czujnie obserwować.

Słowa te wypowiedział wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna po pięćdziesiątce. Z siwymi włosami i szlachetnymi rysami twarzy z powodzeniem mógłby posłużyć za modela do posągu cesarza Rzymu.

Najstarszy z obecnych, którego mówca nazwał wielkim mistrzem, skinął głową.

- Czy są jakieś sugestie? - zapytał.

Wszyscy zgodzili się, że lepiej nie wykonywać żadnych ruchów, a tylko przyglądać się z oddali, w jakim kierunku posuwa się Valoni. Postanowili skontaktować się z Paulem, by zdobywając dla nich informacje, nie nalegał zbyt i z niczym się nie zdradził.

Mężczyzna o ogorzałej twarzy, średniego wzrostu, w którego głosie pobrzmiwał lekki

francuski akcent, zadał pytanie:

- Czy podejmą kolejną próbę?

Starzec odparł bez wahania:

- Nie, tak szybko się nie odważą. Najpierw spróbują opuścić Włochy, a potem skontaktować się z Addaiem. To zaś - nawet jeśli szczęście będzie im sprzyjać i uda im się szybko dostać przed jego majestat - potrwa jakiś czas. Addai nie pośle też od razu kolejnej grupy.

- Od poprzedniego razu upłynęły dwa lata - przypomniał człowiek o profilu rzymskiego cesarza.

- A my pozostaniemy na naszych pozycjach, tak jak trwaliśmy przez cały czas. Teraz umówimy się na kolejne spotkanie i zmienimy hasła.

* * *

Josar podążał za Jezusem, nie odstępując go na krok. Przyjaciele nauczyciela przywykli do jego obecności, czasem nawet zapraszali go, by dzielił z nimi schronienie, kiedy zatrzymywali się gdzieś na odpoczynek. To od nich dowiedział się, że Jezus wie już, że umrze i że mimo ich ponagleń i serdecznych rad, by uciekał, upierał się, że musi zrobić to, co mu nakazał jego Ojciec.

Trudno było pojąć, że ojciec pragnie śmierci syna, lecz Jezus mówił o tym z takim spokojem, że Josar zaczynał wierzyć, iż taki jest właściwy porządek rzeczy.

Kiedy Nauczyciel go widział, zwykle wykonywał jakiś przyjazny gest. Pewnego dnia rzekł:

- Muszę wypełnić, co do mnie należy, albowiem po to zesłał mnie tu Ojciec. Ty, Josarze, również masz misję do wypełnienia. Dlatego tu jesteś i będziesz świadczył o tym, kim jestem, o tym, co widziałeś, a ja będę w pobliżu również wtedy, kiedy już mnie nie będzie.

Josar nie rozumiał jego słów, ale nie śmiał zadawać pytań ani mu się sprzeciwiać.

Z dnia na dzień wokół Jezusa narastała wrogość - kapłani chcieli, by to Rzymianie pojмали go i skazali, tymczasem Piłat, prokurator Judei, zabiegał o to, by zrobili to Żydzi. Jezus był przecież jednym z nich.

Nauczyciel udał się na pustynię. Często tak robił. Tym razem miał pościć przez wiele tygodni, przygotowując się jak powiedział - do przyjęcia swego losu, aby się wypełniły zamysły Ojca.

Pewnego ranka Josara obudził gospodarz zajazdu, w którym nocował.

- Żołnierze pojмали Nazarejczyka.

Josar zerwał się z łóżka, przecierając oczy. Podbiegł do dzbana stojącego w kącie izby i spryskał twarz wodą, by się obudzić. Potem porwał płaszcz i pośpiesznie udał się w stronę świątyni. Spotkał tam jednego z przyjaciół Jezusa, który stał w tłumie, z przerażeniem słuchając wieści.

- Co się stało, Judaszu?

Judasz zaczął płakać, pochylił głowę i usiłował przepchnąć się przez tłum, chcąc uciec przed Josarem. Ten jednak dogonił go i zacisnął rękę na jego ramieniu.

- Co ci się stało? Dlaczego uciekasz przede mną?

Judasz usiłował oswobodzić się z uścisku Josara, na próżno.

Zamiast więc szarpać się, wzbudzając zaciekawienie przechodniów, wykrztusił:

- Pojмали go. Zabrali go Rzymianie, by go ukrzyżować, a ja...

Po policzkach Judasza płynęły łzy. Josar jednak nie zwalniał żelaznego uścisku na jego ramieniu, by nie przyszło mu do głowy uciekać.

- To ja, Josarze, ja go zdradziłem - szlochał Judasz. - Zdradziłem najlepszego z ludzi. Za trzydzieści srebrników wydałem go Rzymianom.

Rozwścieczony Josar odepchnął go i popędził na oślep, jakby postradał zmysły. Biegł bez celu, nie wiedząc, dokąd się udać. Jeszcze raz trafił na plac przed świątynią, tam omal nie poturbował człowieka, którego poznał kiedyś, gdy słuchał nauk Jezusa. Oprzytomniał na widok znajomej twarzy.

- Gdzie on jest? - wysapał.

- Nazarejczyk? Ukrzyżują go. Piłat chce przypodobać się kapłanom - usłyszał odpowiedź.

- O co go oskarżają?

- Twierdzą, że bluźni przeciwko Bogu, bo głosi, iż jest Mesjaszem.

- Ależ Jezus nigdy nie bluźnił, nigdy nie twierdził, że to on jest Mesjaszem! Przecież to najzaczniejszy człowiek na ziemi!

- Miej się na baczności, Josarze. Chodziłeś za nim, ludzie cię widzieli, ktoś może na ciebie donieść.

- Ty też przychodziłeś go słuchać...

- W rzeczy samej, dlatego też radzę ci z całego serca, byś był czujny. Ci, którzy chodzili z

Nazarejczykiem, nie mogą spać spokojnie.

- Zdradź przynajmniej, gdzie go znajdzie, dokąd go zabrali...
- Umrze w piątek, zanim zajdzie słońce.

* * *

Twarz torturowanego Jezusa wykrzywił grymas cierpienia.

Żołnierze wcisnęli mu na głowę wieniec z cierni, które wbijały się w jego czoło, raniąc je do krwi. Po twarzy spływała czerwona strużka i wsiąkała w zarost na policzkach.

Josar, bezgłośnie poruszając ustami, liczył uderzenia flagrum, którym dwóch żołnierzy smagało Jezusa, wymierzając mu zasądzoną karę. Sto dwadzieścia...

Wlokąc krzyż, na którym miał zawisnąć, jęcząc z bólu po każdym uderzeniu bata, Jezus osunął się na kolana, raniąc je na kamienistej drodze. Josar podbiegł, by go podtrzymać, jednak jeden z żołnierzy odepchnął go silnym kuksańcem.

Jezus spojrział na swojego ucznia z wdzięcznością.

Josar poszedł za Jezusem aż na wzgórze, na którym krzyżowano złoczyńców. Zapłakał, kiedy żołnierz, ciągnąc skazańca za lewą rękę, wbił gwóźdź w jego nadgarstek. Potem zrobił to samo z prawą ręką, lecz gwóźdź nie od razu przebił ciało i deskę, żołnierz musiał więc uderzyć dwukrotnie, zanim metal utkwiał wreszcie w drewnie. Stopy przybił jednym gwoździem, kładąc lewą na prawej.

Czas wydawał się wiecznością. Josar błagał Boga, by jak najszybciej zesłał na Jezusa śmierć.

Jan, ukochany uczeń, szlochał cicho, patrząc na mękę swego Nauczyciela. Josar również nie potrafił powstrzymać łez.

W końcu żołnierz wbił włócznię w bok ukrzyżowanego i z rany obficie pociekła krew i woda.

Skazaniec skonał. Josar podziękował za to Bogu.

Był piątek, kwiecień. Wiosenne chmury zasnuły niebo naładowane energią nadciągającej burzy. Kiedy zdjęto z krzyża ciało Nazarejczyka, ledwie starczyło czasu, by należycie je przygotować do pochówku. Prawo żydowskie nakazuje poniechać każdej pracy, nawet zawinięcia zwłok w całun, dopóki słońce nie dosięgnie horyzontu.

Nazajutrz przypadało święto Paschy, trzeba więc było śpieszyć się z pochówkiem, pogrzebać zwłoki jeszcze tego samego dnia. Josar, zapłakany i bezradny, przyglądał się, jak Józef z Arymatei

przygotowuje zwłoki, owijając je prostokątnym kawałkiem miękkiego płótna.

Tej nocy Josar nie zasnął. Następną również spędził bezsenne. Ból duszy był zbyt wielki.

Trzeciego dnia po ukrzyżowaniu udał się do grobowca wykutego w skale. Zastanowiło go panujące tam zamieszanie Maria, matka Jezusa, oraz Jan, wybrany uczeń, wraz z innymi naśladowcami Nauczyciela krzyczeli, że ciało Mistrza zniknęło.

W grobie, na kamieniach, na których powinny spoczywać zwłoki, leżało tylko płótno, w które owinał je Józef, a którego nie śmiał dotknąć żaden z obecnych. Prawo żydowskie zabrania kontaktu z nieczystymi przedmiotami.

Płótno podniósł Josar. Nie był Żydem, nie musiał przestrzegać żydowskiego prawa. Przycisnął całun do piersi i ogarnął go błogi spokój. Czuł obecność Nauczyciela. Tuląc ten prosty kawałek tkaniny, miał wrażenie, że przytula samego Jezusa. Wiedział już, co zrobi. Natychmiast wyruszy do Edessy i wręczy całun Jezusa Abgarowi, a ten wyzdrowieje. Dopiero teraz zrozumiał, co Mistrz chciał mu powiedzieć.

Wyszedł z groty, z nikim się nie żegnając, i odetchnął świeżym powietrzem. Niosąc złożone płótno przewieszane przez ramię, odnalazł drogę do zajazdu i spakował swój skromny dobytek, by jak najprędzej opuścić Jerozolimę.

* * *

Południowy upał zniechęcał mieszkańców Edessy do wychodzenia z domów. Królowa okładała wilgotnymi szmatkami czoło schorowanego Abgara, spokojnym głosem zapewniając, że choroba nie naruszyła jeszcze jego skóry.

Ania, tancerka z Kaukazu, była teraz cieniem człowieka.

Od dawna trzymała się z daleka od miasta, jednak Abgar nie chciał zostawić jej na łaskę losu i posyłał jej żywność do jaskini, gdzie zamieszkała. Tego ranka człowiek, który położył nieopodal wejścia do groty worek zboża i bukłak świeżej wody, widział nieszczęsną, czekającą, aż on odjedzie.

Dopiero wtedy ośmieliła się wciągnąć dary do swojej kryjówki. Posłaniec był wstrząśnięty. Po powrocie opowiedział królowi, że ta niegdyś olśniewająca urodą twarz zmieniła się w bezkształtną bryłę. Abgar nie chciał tego słuchać, zwymyślał posłańca i schronił się w swoich komnatach. Ze strachu ścisnęło go w trzewiach, dostał gorączki, która sprawiła, że zaczął majaczyć.

Królowa jak lwica broniła dostępu do męża. Niektórzy przeciwnicy króla już zaczęli snuć domysły, kto też zostanie jego następcą. Z dnia na dzień napięcie rosło. Najgorsze było to, że nie nadchodziły żadne wieści od Josara. Został z Jezusem z Nazaretu, zapewne opuścił ich na zawsze. Abgar skarżył się, że porzucił go wierny przyjaciel, królowa jednak wierzyła, że Josar wkrótce

wróci i błagała króla, by nie tracił ducha, choć w niej samej nadzieja trzepotała się jak motyl w siatce.

- Pani! Pani! Josar wrócił! - Niewolnica wpadła do komnaty, w której leżał Abgar, wachlowany przez królową.

- Josar! Gdzie on jest? - krzyknęła królowa.

Wybiegła na korytarz, nie zważając na zdumione spojrzenia żołnierzy i dworzan, których mijała po drodze, i zderzyła się z Josarem.

Jej wierny przyjaciel, mając jeszcze na szatach kurz drogi, wyciągnął rękę na powitanie.

- Josarze, sprowadziłeś go? Gdzie jest Nazarejczyk? - dopytywała się rozgorączkowana kobieta.

- Pani, król będzie zdrowy.

- Ale gdzie on jest, Josarze? Powiedz natychmiast, kiedy przybędzie Żyd?

W jej głosie słyhać było długo skrywaną rozpacz.

- Zaprowadź mnie do Abgara - poprosił Josar.

Królowa poprowadziła go do komnaty, w której odpoczywał jej mąż. Król uniósł powieki. Na widok Josara jego twarz się rozpozogodziła.

- Wróciłeś, wierny przyjacielu - wyszeptał.

- Wróciłem, Abgarze, a ty wyzdrowiejesz.

Strażnicy pilnujący wejścia do komnaty zastąpili drogę grupce wścibskich dworzan, którzy nie chcieli przegapić sceny powitania króla z jego najlepszym przyjacielem.

Josar pomógł Abgarowi usiąść i podał mu lniane płótno, które ten przycisnął do piersi, nie pytając nawet, czym jest ta tkanina.

- Oto Jezus - rzekł Josar. - Jeśli uwierzysz, wyzdrowiejesz. Powiedział, że zostaniesz uleczoney i dlatego wysłał mnie do ciebie z tym darem.

Pewność, z jaką Josar wypowiadał te słowa, przekonały Abgara, który jeszcze mocniej przycisnął tkaninę.

- Wierzę - wyszeptał.

I wtedy stał się cud. Na twarz króla powróciły kolory, ślady choroby znikły. Abgar poczuł, że

wracają mu siły, że krew zaczyna szybciej krążyć w jego żyłach, a duszę wypełnia spokój.

Królowa płakała, oszołomiona cudem. Żołnierze i dworzanie, stłoczeni na progu komnaty, zamarli, zdjęci nabożną trwogą.

- Abgarze, Jezus uzdrowił cię, tak jak obiecał - wykrzyknął ze śmiechem Josar. - Oto tkanina, w którą owinięto po śmierci jego ciało. Musisz wiedzieć, mój panie, że Piłat i żydowscy kapłani kazali ukrzyżować Jezusa, wcześniej poddawszy go torturom - dodał, poważniejąc. - Nie smuć się jednak, albowiem On powrócił do swego Ojca, i z miejsca, w którym się znajduje, pomoże nam i będzie pomagał wszystkim ludziom aż po kres czasów.

Wiść o cudzie rozeszła się po świecie, niesiona z kurzem końskich kopyt wszystkimi drogami królestwa. Abgar wciąż domagał się, by Josar opowiadał mu o Jezusie, nie chciał uronić niczego z nauk Nazarejczyka. On, Abgar, królowa oraz wszyscy poddani mają przyjąć religię Jezusa, nakaże więc zburzyć stare świątynie, by zbudować nowe, w których Josar będzie nauczał jego i jego lud, i uczyni z mieszczan gorliwych wyznawców i naśladowców Nauczyciela.

Josar przystąpił więc do nauczania Abgara i edessańczyków nowej religii, jak przystało na ucznia Jezusa, i w mieście nie było już miejsca na jakąkolwiek inną wiarę.

- Co zrobimy z całunem, Josarze? - spytał pewnego dnia król.

- Królu mój, musisz znaleźć bezpieczne miejsce, by go ukryć.

Jezus przysłał ci go, byś mógł wyzdrowieć, musimy więc strzec tej tkaniny jak żrenicy oka. Wielu poddanych prosi mnie, bym pozwolił im dotknąć płótna i muszę ci powiedzieć, że uczyniło ono nowe cuda.

- Każe więc zbudować świątynię, Josarze.

Codziennie, gdy słońce wdierało się do miasta od wschodu, Josar, korzystając z pierwszego światła, zasiadał do pisania.

Pragnął opisać cuda Jezusa, których sam był świadkiem, oraz te, o których opowiedzieli mu przyjaciele Nauczyciela, gdy mieszkał w Jerozolimie. Potem szedł do pałacu i opowiadał Abgarowi, królowej i wszystkim, którzy garnęli się do nowej wiary, to, co wiedział o naukach Nazarejczyka.

Na twarzach słuchaczy malowało się zdumienie, kiedy mówił, że nie należy nienawidzić ani życzyć źle nawet wrogom.

Jezus nauczał, by nadstawiać drugi policzek. Królowa, która na własne oczy widziała uzdrowienie Abgara, i której wiara nie słabła, pomagała Josarowi siać ziarno nauk Jezusowych.

Nie upłynęło wiele czasu, a Edessa stała się miastem chrześcijańskim, Josar zaś wysyłał listy do przyjaciół Jezusa, którzy podobnie jak on głosili ludowi dobrą nowinę.

Kiedy zakończył spisywanie historii żywota Nazarejczyka, Abgar nakazał swoim skrybom, by sporządzili kilkanaście kopii. Nie chciał, by ludzie zapomnieli o życiu i czynach tego niezwykłego Żyda, który ocalił go od śmierci, choć sam nie chodził już po tym świecie.

* * *

Valoni zaparkował samochód. Miał wrażenie, że przyjeżdżając tutaj, tylko traci czas. Dwa lata temu nie zdołał wydobyć z zatrzymanego niemowy żadnych zeznań. Skierował go nawet na badania lekarskie, lecz laryngolog zapewnił, że więzień ma dobry słuch - nie stwierdzono żadnych wad fizycznych, które przeszkadzałyby w słyszeniu. Niemy więzień wydawał się jednak tak zamknięty w swoim świecie i oderwany od rzeczywistości, że nie sposób było stwierdzić na pewno, czy słyszy.

Wątpliwe, by od ostatniej bezowocnej wizyty Valoniego jego stan się zmienił, lecz komisarz miał poczucie, że powinien się z nim zobaczyć. Postanowił, że zrobi wszystko, by dowiedzieć się, co ukrywa ten mężczyzna bez linii papilarnych.

Nie zastał naczelnika więzienia, ten wydał jednak swoim podwładnym polecenie, by udostępnił policjantowi wszystko, o co poprosi. Valoni chciał jedynie zostać sam na sam z niemową.

- Nie ma problemu - odparł przełożony strażników. - To spokojny skazany. Nie ma z nim kłopotów. Swoją drogą, trafił nam się mistyk z bożej łaski. Woli przesiadywać w kaplicy, niż wychodzić z innymi na spacer. Niewiele zostało mu do odsiedzenia. Dostał wszystkiego trzy lata, bo nie spowodował poważnych strat. Mała szkodliwość społeczna... Jeszcze roczek i nasz ptaszek wyfrunie na wolność. Gdyby miał adwokata, już mógłby się starać o wcześniejsze zwolnienie za dobre sprawowanie, ale nikt się nim nie zajmuje.

- Rozumie, co się do niego mówi?

- Ha! Tego nikt nie wie. Czasem wydaje się, że tak, a czasem nie. Trzyma nas w niepewności. To wyjątkowy przypadek, nie wiem, co o nim myśleć. Nie wygląda na pospolitego złodziejaska. Nie zachowuje się jak większość włamywaczy. Wiele lat temu mieliśmy tu podobnego więźnia, ale zachowywał się inaczej, na odległość wyczuwało się, że to przestępca... Nie wiem, jak to wytłumaczyć. A ten? Spędza czas, gapiąc się przed siebie, albo przesiadyje w kaplicy.

- Nie czyta? Może prosił o gazety?

- Ani razu o nic nie poprosił. Telewizji też nie ogląda, nawet transmisji z mistrzostw świata w piłce nożnej. Listów nie dostaje, sam też ich nie wysyła.

Kiedy niemy wszedł do pokoju, w którym czekał na niego Valoni, w jego oczach nie sposób było doszukać się śladu zaciekawienia, ani tym bardziej zaskoczenia, co najwyżej obojętność. Stał obok drzwi, ze spuszczonego wzrokiem. Czekał.

Valoni wskazał krzesło, lecz niemowa nadal stał bez ruchu.

- Nie wiem, czy mnie pan rozumie, zakładam, że tak.

Więzień poruszył skrzydełkami nosa. Laik nie zauważyłby tego drgnienia, ale komuś, kto zawodowo zajmuje się ludzkimi zachowaniami, a do takich osób zaliczał się Valoni, ten szczegół nie mógł umknąć.

- Pańscy przyjaciele znów próbowali okraść katedrę. Tym razem wywołali pożar. Szczęśliwie całun turyński ocalał.

Niemowa doskonale panował nad emocjami, na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień i nie wyglądało na to, że taka samokontrola wymaga od niego dużo wysiłku. Valoni odnosił jednak wrażenie, że choć uderza na ślepo, to jednak nie trafia w próżnię, ponieważ człowiek, który przed nim stoi, spędził dwa lata w więzieniu i z pewnością jest bardziej zmęczony psychicznie niż wtedy, gdy go zatrzymano.

- Podejrzewam, że pobyt w tym miejscu musi być przygnębiający. Nie zajmę panu dużo czasu, bo sam nie mam go zbyt wiele. Pozostawał panu rok kary - mówię, że pozostawał, bo przy okazji ostatniego pożaru sięgnęliśmy do pańskich akt. Parę dni temu pewien człowiek zginął w płomieniach, on również był niemy, podobnie jak pan. Nie wypuścimy więc pana, dopóki nie zakończymy śledztwa i nie powiązemy ze sobą wszystkich wątków, co może potrwać jakiś czas - dwa, trzy, cztery lata. Trudno powiedzieć. Dlatego tu przyszedłem.

Jeśli powie mi pan, kim jest i kim są pańscy przyjaciele, kto wie, czy nie dojdziemy do porozumienia? Mógłbym się postarać o warunkowe zwolnienie, stałby się pan chronionym świadkiem koronnym. To oznacza zyskanie nowej tożsamości. Starzy znajomi nigdy pana nie odnajdą. Warto to przemyśleć. Ja mogę rozwiązać tę sprawę w jeden dzień, albo przeciągnąć ją na dziesięć lat, ale dopóki sprawa jest otwarta, będzie pan gnął w celi.

Valoni wręczył mu wizytówkę z numerem telefonu.

- Kiedy zechce mi pan coś zakomunikować, proszę pokazać tę wizytówkę strażnikom, zadzwonią do mnie.

Niemowa nie wyciągnął ręki po biały kartonik, Valoni postanowił więc zostawić go na oddzielającym ich stole.

- Sam pan zdecyduje. W końcu chodzi o pańskie życie, nie moje - rzucił na odchodnym.

Kiedy wyszedł z pokoju widzeń, oparł się pokusie, by się odwrócić. Odgrywał twardziela. Były dwie możliwości: albo się wygłupił, bo niemowa nie zrozumiał ani jednego jego słowa, albo przeciwnie, udało mu się zasiać niepokój w tym człowieku, a teraz trzeba poczekać na plony.

Ale czy go rozumiał? Czy w ogóle rozumie włoski? Jak się tego dowiedzieć? Przez moment

odniósł wrażenie, że więzień jednak coś pojmuje. Ale przecież mógł się mylić.

* * *

Niemowa wrócił do swojej celi. Położył się na pryczy i wbił wzrok w sufit. Wiedział, że przez cały dzień kamery omiatają każdy zakątek więzienia, nic nie ujdzie uwagi doświadczonego strażnika siedzącego przed monitorem, dlatego jeśli nie chce się z czymkolwiek zdradzić, nadal musi zachowywać się biernie.

Do odzyskania wolności pozostał mu jeszcze rok. Teraz ten policjant oznajmia mu, że nie ma co marzyć o wyjściu. A może tylko go podpuszczał? Choć kto wie, czy nie mówił poważnie?

Ponieważ celowo nie oglądał telewizji, nie docierały do niego najnowsze wiadomości. Addai nakazał im, by jeśli któryś dostanie się w ręce policji lub służb bezpieczeństwa, izolował się od innych więźniów, odsiadywał wyrok bez szemrania i szukał sposobu, by wrócić do domu.

Teraz dowiaduje się, że Addai posłał kolejną grupę, a to znaczy, że ponowił próbę. Wybuchł pożar, jeden z towarzyszy stracił życie, policja znów szuka śladów, ale drepczą w kółko, zupełnie zdezorientowani.

W więzieniu miał czas na myślenie i wnioski były oczywiste: w ich szeregach jest zdrajca, bo to niemożliwe, by za każdym razem, gdy planują akcję, coś się nie udawało i wpadali w potrzask lub trafiali do aresztu.

Tak, jeden z nich to zdrajca, w przeszłości też się tacy zdarzali. Był tego pewien. Musi wrócić i przekonać Addaia, by gruntownie zbadał tę sprawę, by znalazł winnego tyłu niepowodzeń i jego własnego nieszczęścia.

Musi jednak jeszcze poczekać, choć dużo go to będzie kosztowało. Skoro ten policjant proponuje mu układ, to znaczy, że niczego nie mają, w przeciwnym razie postawiliby go przed sądem. Więc to tylko blef, a on nie może zmięknąć. Czerpał siłę z tego, że jest niemy, i z izolacji, jaką sobie narzucił.

Wprawdzie był dobrze przygotowany, ale ile wycierpiał przez te dwa lata, nie czytając książek i nie odbierając wiadomości ze świata zewnętrznego, nie porozumiewając się, nawet na migi, z innymi więźniami.

Strażnicy byli przekonani, że jest niegroźnym pomyleńcem, który żałuje, iż próbował obrabować katedrę, stąd jego częste wizyty w kaplicy. Nieraz słyszał, jak o nim rozmawiają.

Wiedział, że im go żal. Nadal więc musi grać swoją rolę.

Mimo pokusy, nie zabrał ze stołu wizytówki tego policjanta.

Nawet jej nie dotknął. Musi czekać, aż upłynie kolejny przeklęty rok.

* * *

- Pańska wizytówka została na stole, tam gdzie ją pan położył. Nawet jej nie obejrzał - poinformował Valoniego przełożony strażników.

- Zauważyliście ostatnio jakieś zmiany?

- Nic, zachowuje się tak samo jak zawsze. Kiedy wyprowadzamy więźniów z celi, idzie do kaplicy, resztę czasu spędza na pryczy, wpatrując się w sufit. Kamery filmują go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby zaczął zachowywać się inaczej niż zwykle, z pewnością bym pana o tym powiadomił.

Valoni odłożył słuchawkę. Lada moment miała przybyć Minerva. Poprosił ją, by przyjechała do Turynu, ponieważ chciał zwołać naradę całego zespołu i zastanowić się, czym dysponują.

Zostaną tu jeszcze dwa, najwyżej trzy dni. Potem muszą wracać do Rzymu. Nie mogą przecież poświęcić tej sprawie całego swojego czasu. Najgorsze, co mogłoby go spotkać, to zarzuty, że ten przypadek stał się jego obsesją. Wielcy „szeryfowie” nie zrozumieliby, dlaczego ta sprawa tak go absorbuje.

Całun turyński pozostał nietknięty, z katedry nic nie zginęło.

Znaleziono wprawdzie zwłoki jednego ze złodziei i nie sposób ustalić, kim był, ale nikt się tym specjalnie nie przejmował.

Do gabinetu weszli Sofia i Pietro. Giuseppe pojechał na lotnisko po Minervę, a Antonino, jak zwykle punktualny, już od jakiegoś czasu czytał akta.

- Co słyhać, szefie? - powitała Valoniego Sofia.

- Nic nowego. Naczelnik więzienia zapewnia, że po moich odwiedzinach niemowa zachowuje się jak zwykle, jakby nigdy mnie tam nie było.

- Czyli normalka - skwitował Pietro.

- Można to tak ująć.

Serdeczny śmiech i energiczny stukot obcasów obwieścił nadejście Minervy. Weszli razem z Giuseppem, uśmiechnięci od ucha do ucha.

Minerva, niewysoka brunetka, ani brzydka, ani ładna, ani gruba, ani specjalnie szczupła,

zawsze miała dobry nastrój.

Była szczęśliwą żoną inżyniera informatyka, który, podobnie jak ona, był prawdziwym magikiem, jeśli chodzi o urządzenia elektroniczne.

Zasalutowali przed szefem, który dał znak, by rozpocząć zebranie.

- Otóż - zaczął Valoni - podsumujmy wszystko, co dotychczas udało nam się ustalić, a potem poproszę was, byście podzielili się ze mną swoimi opiniami. Pietro, ty pierwszy...

- Firma, która przeprowadza renowację katedry, nazywa się COCSA. Przesłuchałem wszystkich robotników pracujących przy wymianie instalacji elektrycznych, nic nie wiedzą i mam wrażenie, że mówią prawdę. Większość z nich to Włosi, choć są też wśród nich imigranci: dwóch Turków i trzech Albańczyków. Papiery mają w porządku, a nawet ważne pozwolenia na pracę. Z ich zeznań wynika, że przychodzą do kościoła o wpół do dziewiątej, kiedy kończy się poranna msza. Po wyjściu wiernych drzwi są zamykane i do szóstej po południu nie odprawia się żadnych nabożeństw. Robotnicy robią sobie krótką przerwę na obiad między wpół do trzeciej a czwartą.

Punktualnie o czwartej wracają na stanowiska i pracują do szóstej.

Instalacje elektryczne nie są wcale takie przestarzałe, ale wymieniają je przy okazji, bo montują nowocześniejsze oświetlenie w niektórych kaplicach. Uzupełniają też ubytki farby na ścianach, bo pęcznieje od wilgoci. Szacują, że skończą za dwa, trzy tygodnie.

Nie pamiętają, by w dzień, kiedy wybuchł pożar, działo się coś nadzwyczajnego. W miejscu, w którym zaczęło się palić, pracował jeden z Turków, Tarik, i dwóch Włochów. Nie mają pojęcia, dlaczego doszło do zwarcia. Wszyscy trzej zapewniają, że kiedy wychodzili na obiad do pobliskiego baru, skrupulatnie zabezpieczyli przewody. Nie potrafią wyjaśnić, co się stało.

- A jednak się stało - mruknęła Sofia.

Pietro posłał jej ponure spojrzenie i mówił dalej:

- Pracownicy nie narzekają na pracę ani na firmę. Ponoć dobrze zarabiają i są przyzwoicie traktowani. Dowiedziałem się od nich, że ze strony katedry roboty nadzoruje ojciec Yves, że jest bardzo życzliwy, ale jego uwagi nie ujdzie najmniejsze uchybienie, doskonale wie, jaki ma być efekt końcowy. Kardynała widują, kiedy odprawia poranne nabożeństwo, parę razy ksiądz Yves oprowadził go po odnowionych częściach katedry.

Valoni zapalił cygaro, nie zwracając uwagi na pełne wyrzutu spojrzenie Minervy.

- Niemniej opinia biegłych nie pozostawia miejsca na wątpliwości - ciągnął Pietro. - Zapaliły się kable zwisające nad ołtarzem w kaplicy Matki Boskiej, stąd pożar. Czyżby drobne niedbalstwo? Robotnicy zaklinają się, że zabezpieczyli kable, że zostawili wszystko w idealnym porządku, ale czy to prawda, czy próbują się usprawiedliwić, nie wiem. Przesłuchałem tego księdza Yvesa. Zapewnił

mnie, że robotnicy to dobrzy fachowcy, rzadko ma zastrzeżenia do ich pracy, ale jest przekonany, że któryś dopuścił się jakiegoś zaniedbania.

- Kto był w katedrze, kiedy doszło do wypadku? - zapytał Valoni.

- Wygląda na to, że tylko kościelny, starszy człowiek, sześćdziesiąt pięć lat. W biurach urzędnicy pracują do czternastej, potem wychodzą na obiad i wracają koło szesnastej trzydzieści. Pożar wybuchł koło trzeciej, więc na miejscu był tylko ten kościelny. Doznał szoku. Kiedy go przesłuchiwałem, rozplakał się, był przerażony. Nazywa się Francesco Turgut, to Włoch, choć jego ojciec pochodzi z Turcji. On sam urodził się w Turynie. Jego ojciec pracował w fabryce Fiata, matka była córką poprzedniego kościelnego i pomagała swojej matce sprzątać nawy. Do zakrystii przylega stróżówka, takie małe mieszkanie, więc kiedy jego rodzice się pobierali i nie mieli pieniędzy na własne lokum, wprowadzili się do kościelnych pomieszczeń i zamieszkali z teściami. Francesco tam się urodził, więc katedra to jego dom. Czuje się winny, że nie udało mu się zapobiec pożarowi.

- Słyszał jakieś hałasy? - chciała wiedzieć Minerva.

- Nie, była pora sjeisty, oglądał telewizję, zdrzemnął się trochę. Wstaje bardzo wcześnie, żeby otworzyć kościół i biura. Mówi, że poderwał się, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi, a jakiś człowiek, przechodząc przez plac, zapytał go, skąd ten dym w kościele. Pobiegł tam od razu, niestety, informacja się potwierdziła, wezwał więc natychmiast straż pożarną i od tej pory jest niepokonany, nie może się pozbierać. Żal mi go.

- Pietro, a tobie jak się wydaje? Pożar wybuchł przypadkiem?

- Gdybyśmy nie znaleźli ciała bez języka, powiedziałbym, że to przez czyjeś niedbalstwo. Mamy jednak zwłoki mężczyzny, o którym nic nie wiemy. Co tam robił? Którędy dostał się do środka? Stróż twierdzi, że zanim zamknie kościół, robi dokładny obchód, i że nikogo nie widział. To jeden z jego obowiązków: upewnić się, czy nikt nie został we wnętrzu. Przysięga, że kiedy gasił światła, w katedrze było pusto.

- Może się zagapił? To starszy człowiek - podsunęła Sofia.

- Albo zmyśla - uciął Pietro.

- Ktoś wszedł do środka, mimo że kościół był zamknięty - stwierdził Giuseppe.

- Tak właśnie było. Ktoś dostał się bocznym wejściem prowadzącym do kancelarii, tamtędy też można wejść do świątyni. Zamek wyłamano. Kimkolwiek był ten człowiek, doskonale wiedział, dokąd prowadzą te drzwi. W dodatku nie narobił hałasu, nikt niczego nie zauważył, zresztą musiał wiedzieć, że nikogo nie ma w biurach.

- Możemy mieć pewność - stwierdził Giuseppe - że złodziej, lub też złodzieje, znają kogoś, kto tu pracuje, lub też ma jakiś związek z tym kościołem. Kogoś, kto uprzedził ich, że tego dnia o danej porze w kościele nie zastaną żywej duszy.

- Skąd ta pewność? - zapytała Minerva.

- Bo w przypadku tego pożaru - ciągnął Giuseppe - i domniemanego włamania przed dwoma laty, oraz tak samo jak wtedy, gdy kościół stanął w płomieniach w dziewięćdziesiątym siódmym, i jak przy okazji całej serii innych wypadków, złodzieje zawsze wiedzieli, że w środku nikogo nie ma. Jest tylko jedno wejście, poza głównym, które otwiera się dla wiernych i zwiedzających, i jest to wejście do biur. Poza tym wszystkie inne drzwi są zamknięte. Sprawcy zawsze dostawali się wejściem od strony bocznej nawy. Te drzwi również są na stałe zaryglowane, ale dla zawodowców to pestka. Sądzymy, że nasz niemy nieboszczyk działał w zespole, jego wspólnicy mieli więcej szczęścia i udało im się uciec. Napadu na katedrę nie dokonuje się w pojedynkę. Stwierdziliśmy ponadto, że wszystkie te rzekome rabunki zdarzają się wtedy, gdy w kościele prowadzone są jakieś roboty. Sprawcy wykorzystują tę okoliczność, by spowodować zwarcie, zalanie, innymi słowy, zamieszanie. Tym razem także niczego nie ukradli. Dlatego musimy odpowiedzieć sobie na pytanie: czego szukają?

- Całunu turyńskiego - rzucił bez namysłu Valoni. - Tylko po co? Chcą go zniszczyć? Ukraść? Nie wiem. Zastanawiam się, czy wyważone drzwi to nie fałszywy ślad, który dla nas zostawiają. Bo wydaje się to zbyt oczywiste... Nie wiem. Minervo, udało ci się coś ustalić?

- Mogę tylko dodać, że w tym przedsiębiorstwie budowlanym, COCSA, ma udziały Umberto D'Alaqua. Zresztą mówiłam już o tym Sofii. To poważna firma, mają duże obroty, pracują w turyńskiej katedrze i w całym kraju. D'Alaqua to znana postać, bardzo szanowana w Watykanie. To ktoś w rodzaju doradcy finansowego, doradzał przy bardzo intratnych inwestycjach, udzielał znaczących pożyczek na transakcje, w których Watykan wolał nie figurować. To zaufany człowiek Stolicy Apostolskiej, brał udział w delikatnych misjach dyplomatycznych. Prowadzi rozliczne interesy, od budownictwa po handel stalą, eksploatację pól naftowych i tak dalej. W COCSIE ma udziały większościowe. Interesująca postać. Kawaler, wyjątkowo przystojny mimo swoich pięćdziesięciu siedmiu lat, wstrzemięźliwy. Nie afiszuje się ani majątkiem, ani wpływami. Nie bywa na modnych przyjęciach, nie słyszano też, by zadawał się z jakąś kobietą.

- Homo...? - podsunęła Sofia.

- Nie, to też nie. Nie należy również do Opus Dei ani do innego świeckiego zgromadzenia, ale słowo daje, zachowuje się, jakby złożył śluby czystości. Ma za to hobby: to zapalony archeolog. Finansował wykopaliska w Izraelu, Egipcie i Turcji, sam nawet pracował na kilku stanowiskach archeologicznych w Ziemi Świętej.

- Nie wydaje mi się, żeby człowieka jego pokroju można było podejrzewać o chęć ukradzenia lub zniszczenia cennej relikwii. Z tego, co mówisz, wnioskuję, że to poważny gość - skonstatowała Sofia.

- Możliwe, ale i tak to dość szczególna postać - nie ustępowała Minerva. - Podobnie jak ten profesor Bolard. Słyszałeś o nim, szefie? To wybitny francuski naukowiec. Chemik i mikrobiolog, jeden z najbardziej uznanych badaczy całunu. Od ponad trzydziestu pięciu lat prowadzi studia nad

całunem turyńskim, dlatego co trzy lub cztery miesiące przyjeżdża do Turynu. To jeden z naukowców, którym Kościół powierzył konserwację płótna. Bez jego zgody nie zrobią ani kroku.

- To by się zgadzało - podchwycił Giuseppe. - Zanim przewieziono tkaninę do banku, ojciec Yves rozmawiał z Bolardem, a ten udzielił szczegółowych wskazówek, jak obchodzić się z płótnem. W pancernej komorze już od lat jest niewielka nisza, urządzona zgodnie z instrukcjami profesora Bolarda i innych uczonych, i tam właśnie przechowywany jest całun.

- Otóż Bolard - podjęła Minerva - okazuje się być również właścicielem dużego przedsiębiorstwa chemicznego, jest kawalerem, bardzo majątnym, podobnie jak D'Alaqua, i nigdy nie słyszano o jakichś skandalach czy romansach z jego udziałem. Uprzedzę twoje pytanie - nie jest gejem.

- Czy ci panowie, D'Alaqua i Bolard, mieli okazję się poznać? - zapytał Valoni.

- Zdaje się, że nie, ale nie zbadalam jeszcze tego wątku. Nie byłoby to dziwne, gdyż Bolard również pała namiętnością do historii starożytnej.

- A dowiedziałaś się czegoś o księdzu Yvesie? - zainteresował się Valoni.

- Bystry chłopak z tego ojczulka. Francuz z pochodzenia, ma korzenie w starej francuskiej arystokracji, wywodzi się z nader wpływowej rodziny. Jego ojciec, już nieżyjący, był dyplomata, jedną z ważnych figur w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w czasach de Gaulle'a. Starszy brat jest deputowanym do Zgromadzenia Narodowego, nie licząc rozmaitych stanowisk w rządzie Chiraca. Siostra jest sędzią Sądu Najwyższego, on zaś zrobił zawrotną karierę w Kościele. Cieszy się protekcją monsignora Aubry'ego, asystenta zastępcy sekretarza episkopatu, ale poparcia udziela mu również kardynał Paul Visier, odpowiedzialny za finanse Watykanu. Odnosi się do niego z wielką sympatią, może dlatego że na uniwersytecie studiował wraz z Jeanem, starszym bratem ojca Yvesa. Awansował go i dzięki temu ksiądz Yves zdobył doświadczenie dyplomatyczne. Zajmował stanowiska w nuncjaturach w Brukseli, Bonn, Meksyku i Panamie. To właśnie rekomendacja monsignora Aubry'ego sprawiła, że mianowano go sekretarzem kardynała Turynu, i krąży pogłoski, iż wkrótce zostanie biskupem pomocniczym diecezji. W jego życiorysie nie znalazłem niczego zastanawiającego, tyle tylko, że nie każdy kleryk może marzyć o podobnej karierze w Kościele, bo nie każdego popiera wpływowa rodzina. Przemawia za nim coś jeszcze: ma wszechstronne wykształcenie. Oprócz teologii studiował filozofię, jest dyplomowanym znawcą kilku martwych języków, wiecie, łacina, aramejski, oczywiście swobodnie posługuje się angielskim, francuskim i tak dalej. Jeśli coś go wyróżnia, to zamiłowanie do sztuk walki. Zdaje się, że jako dziecko był cherlawy, więc ojciec, by uchronić go przed losem szkolnej ofiary, postanowił posłać syna na karate. Spodobało mu się. Zdobył nawet czarny pas, potem opanował po mistrzowsku kick boxing i aikido. Sztuki walki to jego jedyna słabostka, ale jeśli się weźmie pod uwagę, jakie słabostki miewają słudzy Watykanu, ojciec Yves wypada na tym tle zupełnie niewinnie. I jeszcze coś. Chociaż jest wyjątkowo przystojny, a przynajmniej dobrze wychodzi na zdjęciach, nie słyszano, by zdarzały mu się „przygody sentymentalne”, żadnych flirtów, ani z dziewczętami, ani z chłopcami. Nic, bezwzględny celibat.

- Czy mamy coś jeszcze? - zapytał Valoni, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- Nic. To wszystko - odparł Giuseppe. - Znów znaleźliśmy się w martwym punkcie. Bez poszlak. I co gorsza, nie znamy motywów. Zbadamy te drzwi, chociaż uważasz, że to fałszywy trop, ale w takim razie, do diabła, którędy oni wchodzi i wychodzą? Przeczesał katedrę od dołu do góry i mogę powiedzieć, że sekretne wejścia to czysta fikcja.

Kardynał wydawał się szczerze ubawiony, kiedy zapytaliśmy go o taką możliwość. Zapewnił, że do katedry nie prowadzą żadne tajemne przejścia. I ma rację. Sprawdziliśmy plany tuneli i kanałów pod miastem i okazuje się, że w tym rejonie takich nie ma. Oczywiście turyści zarabiają kokosy na oprowadzaniu turystów po tunelach i opowiadaniu im historii swojego bohatera, Pietra Mikki.

- Motywem zbrodni był całun turyński - powiedział Valoni z naciskiem, nie kryjąc zniecierpliwienia. - Przychodzą tu dla całunu. Nie wiem, czy chcą go ukraść, czy zniszczyć, ale tym, co ich sprowadza, jest to płótno, co do tego mam pewność. Jakies sugestie?

Zapadła krępująca cisza. Sofia starała się podchwycić spojrzenie Pietra, ten jednak, ze spuszczoną głową, wydawał się bardzo zajęty zapalaniem cygara, postanowiła więc sama się odezwać.

- Marco, ja wypuściłabym tego niemowę z więzienia...

Wszystkie spojrzenia powędrowały w jej stronę. Czy aby się nie przesłyszeli?

- On może stać się naszym koniem trojańskim - ciągnęła odważnie. - Przekonasz się, Marco. Jeśli rzeczywiście komuś chodzi o całun i działa tak metodycznie, to znaczy, że istnieje jakaś organizacja. Posyłają tych niemych bandytów, a wcześniej wypalają im opuszki palców, by zatrzeć linie papilarne. Jeśli któryś da się złapać, jak ten więzień, mogą zachować milczenie, odizolować się, nie ulec pokusie mówienia. Bez odcisków palców nie można ustalić tożsamości, korzeni tych ludzi. Moim zdaniem, Marco, twoje groźby pod adresem niemowy nie odniosą skutku. Jestem pewna, że sam nie poprosi o widzenie z tobą. Raczej doczeka do końca wyroku. Został mu tylko rok. Mamy dwa wyjścia. Albo zaczekamy jeszcze ten rok, albo przekonasz szefów, by zatwierdzili nowy kierunek śledztwa i wypuścili niemowę z więzienia. Gdy znajdzie się na wolności, nie będziemy odstępować go na krok, będziemy chodzili za nim jak cienie. Będzie musiał dokądś pójść, z kimś się skontaktować. To nitka, po której możemy dotrzeć do kłębka. Jeśli zdecydujesz się na ten plan, należy go dobrze przygotować. Nie możemy tak od razu się odsłonić, lepiej poczekać parę miesięcy. Trzeba wymyślić dobry scenariusz, żeby niemowa nie nabrał podejrzeń, dlaczego tak nagle postanowiliśmy wypuścić go na wolność.

- Boże, ależ byliśmy głupi! - wykrzyknął Valoni, uderzając pięścią w stół. - Jak to możliwe, żebyśmy byli aż tak głupi! My, karabinierzy, wszyscy... Od dwóch lat mamy trop, a siedzimy z założonymi rękami. Popatrzyli na niego niepewnie, czekając na wyjaśnienia. Sofia nie wiedziała, czy właśnie zaaprobował jej plan, czy zdał sobie sprawę z czegoś, co umykało uwagi pozostałych.

- Zrobimy to, Sofio, zrobimy! - wykrzykiwał Valoni. - To doskonały pomysł! Właśnie tak powinniśmy postąpić. Porozmawiam z ministrem, wszystko mu wyłożę, muszą tylko załatwić sprawę z sędzią, prokuratorem czy kim tam jeszcze... Kiedy wypuszczą więźnia, uruchomimy specjalną operację, by śledzić każdy jego ruch.

- Szefie - przerwał mu Pietro - nie śpiesz się tak. Najpierw pomyślmy, jak sprzedać tę rewelację samemu niemowie. Czy to nie dziwne, że z dnia na dzień wyjdzie na wolność? Dwa miesiące, jak proponowała Sofia, to mało czasu, wzięwszy pod uwagę, że dopiero co oznajmiłeś mu, iż przez parę lat będzie gnął w więzieniu. Jeśli nagle go wypuścimy, szybko się zorientuje, że to pułapka, nie ruszy się z miejsca i nigdzie nas nie doprowadzi.

Minerva wierciła się na niewygodnym krześle, Giuseppe wydawał się roztargniony, a Antonino nawet nie drgnął. Wiedzieli, że teraz muszą wyrazić swoje zdanie. To był rodzaj rytuału.

Valoni wymagał od członków swojego zespołu, by udoskonalali każdy pomysł, jasno mówiąc, co o nim sądzą. On podejmował decyzje, ale dopiero wtedy, gdy wysłuchał ich opinii.

- Antonino, dlaczego nic nie mówisz? - ponaglał Valoni.

- Plan Sofii wydaje mi się rewelacyjny. Uważam, że powinniśmy tak zrobić, ale zgadzam się z Pietrem, że nie możemy działać pochopnie, a więc zbyt szybko darować reszty kary niemowie. Myślę, że powinien odsiedzieć cały wyrok.

- Tymczasem mamy siedzieć i czekać, aż tamci wrócą po całun! - wykrzyknął Valoni.

- Całun - odparł Antonino - znajduje się w pancерnej komorze banku i może tam poleżeć przez najbliższe parę miesięcy. To nie pierwszy raz, kiedy przez tak długi okres nie będzie udostępniany wiernym.

- Słusznie - poparła go Minerva. - Rozumiem, że teraz, kiedy już mamy tego twojego konia trojańskiego, nie możecie usiedzieć na miejscu. Ale jeśli nie zaczekamy, możemy wypuścić z rąk nasz jedyne ślad. Jestem pewna, że jeśli uwolnimy niemowę teraz, nie zrobi żadnego fałszywego kroku.

- Giuseppe?

- Widzisz, szefie, wkurza mnie, tak samo jak ciebie, że kiedy mamy już cały szkielet śledztwa, będziemy czekali, nie kiwnąwszy palcem.

- Nie chcę czekać - powiedział stanowczo Valoni. - Nie możemy czekać cały rok, jak proponuje Pietro.

- Tak nakazywałby zdrowy rozsądek - zgodził się Giuseppe. - Ja bym coś robił.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na Sofii. Valoni uniósł brwi, zachęcając ją do mówienia.

- Moim zdaniem należy ponownie przepytac robotników. Musimy mieć absolutną pewność, że spięcie w instalacji było wypadkiem. Musimy też zbadać wątek COCSY, a nawet porozmawiać z D'Alaą. Być może coś nam umyka.

- Masz jakieś podejrzenia, Sofio? - spytał Valoni.

- Nic konkretnego, ale intuicja podpowiada mi, że musimy jeszcze raz przesłuchać robotników.

Pietro spojrzal na nią z rozdrażnieniem. To on prowadził przesłuchania i wywiązał się z tego zadania doskonale. Miał teczkę ze wszystkimi danymi, zarówno dotyczącymi Włochów, jak i cudzoziemców, a w policyjnych komputerach i w bazie danych Interpolu nie znalazł niczego, co mogłoby świadczyć przeciwko nim. Ich kartoteki były czyste.

- Nie ufasz im, bo część z nich to cudzoziemcy?

Dla Sofii słowa Pietra były ciosem poniżej pasa.

- Sam wiesz, że nie. Po prostu uważam, że musimy jeszcze raz przesłuchać zarówno cudzoziemców, jak i Włochów, a może nawet samego kardynała.

Valoni zdał sobie sprawę, że ta dwójka ze sobą rywalizuje, i bardzo mu się to nie spodobało. Cenił oboje, choć może trochę wyższe noty dawał Sofii Galloni, którą szczerze podziwiał.

Teraz uważał, że Sofia ma rację, że być może coś im umyka, dlatego też nie zaszkodzi powtórzyć przesłuchań. Tylko jak to powiedzieć Pietrowi, który był dzisiaj wyjątkowo rozdrażniony? Czy przez zazdrość, że to nie on opracował tak błyskotliwy plan? A może posprzeczał się z Sofią, ot, zwykła kłótnia kochanków, i teraz boczą się na siebie na oczach kolegów? Jeśli tak, on zaraz to ukróci. Dobrze wiedzą, że nie toleruje sytuacji, kiedy problemy osobiste wpływają na pracę.

- Wszyscy jeszcze raz sprawdzimy, co udało się dotychczas ustalić. Nie zamykamy żadnego wątku śledztwa.

Pietro wiercił się, jakby było mu niewygodnie na krześle.

- O co wam właściwie chodzi? Chcecie ze wszystkich zrobić podejrzanych? - rzucił.

Valoni zaczynał mieć dość. Dlaczego Pietro mówi do niego tak wyzywającym tonem?

- Nadal będziemy prowadzili śledztwo - zapewnił spokojnie. - Natychmiast wracam do Rzymu. Chcę porozmawiać z ministrem sprawiedliwości, by zapalił zielone światło dla tego naszego konia trojańskiego. Zastanowię się, jak to zrobić, by nie czekając cały rok, uwolnić niemego więźnia wtedy, kiedy będzie się tego najmniej spodziewał. W Rzymie czeka nas dużo pracy, musimy się więc rozdzielić. Część z nas zostanie w Turynie, inni wyjadą, pamiętając, że powrót do Rzymu nie oznacza odsunięcia od sprawy. Po prostu jest coś do zrobienia w stolicy. Kto zostaje?

- Ja - natychmiast zgłosiła się Sofia.
- Ja też - odezwali się jednocześnie Giuseppe i Antonino.
- Doskonale. Wobec tego Minerva i Pietro jadą ze mną. O ile wiem, samolot odlatuje o piętnastej, więc zdążymy jeszcze zabrać bagaże z hotelu.
- Coś mi się wydaje - odezwała się Minerva - że mogę wam się przydać z moimi komputerami.

* * *

Mężczyzna podniósł klapę w podłodze i skierował snop światła latarki w głąb piwnicy. W środku przebywała trójka ludzi, każdy z nich był niemową, teraz patrzyli na niego ze zniecierpliwieniem. Zszedł po rozklekotanych stopniach i poczuł na karku delikatne mrowienie. Pragnął, by ci ludzie opuścili już kryjówkę, by nie musiał się o nich troszczyć i narażać na niebezpieczeństwo, wiedział jednak, że każda pochopna decyzja może sprawić, że sam trafi za kratki, a co gorsza, że będą razem łykali wstyd kolejnej porażki i narażą się na pogardę Addaia, który może nawet usunąć ich ze zgromadzenia.

- Gliniarze z Rzymu już wyjechali - oznajmił. - Pożegnali się dzisiaj z kardynałem, a ich szef, niejaki Valoni, zabawił dłuższą chwilę u ojca Yvesa. Wydaje mi się, że już możecie wyjść z kryjówki, bo z tego, co usłyszałem, można wywnioskować, że karabinierzy nie podejrzewają o udział w wypadku nikogo prócz waszego zmarłego kolegi. Pamiętajcie, co wam przykazał Addai: każdy ma własny plan ucieczki.

Najstarszy z mężczyzn, trzydziestokilkulatek, skinął głową i napisał na kartce: „Jesteś pewien, że nic nam nie grozi?”.

- Na sto procent. Czy czegoś wam potrzeba?

Ten, który zdawał się przewodzić całej trójce, ponownie sięgnął po długopis: „Musimy się trochę ogarnąć. Nie możemy wyjść na ulicę w takim stanie. Przynieś nam wodę i miednicę. Mamy transport?”.

- Po północy, koło pierwszej, zejdę po ciebie. Pójdziemy tunelem do starego cmentarza. Tam wyjdiesz na zewnątrz przez grobowiec. Ciężarówka będzie czekać na stacji Merci Vanchiglia, po drugiej stronie placu, ale nie dłużej niż pięć minut. Tu masz jej numer rejestracyjny - podał mu karteczkę z zanotowanymi cyframi - zawiezie cię aż do Genui. Tam wsiądziesz na statek „Gwiazda Morska” jako marynarz i nie minie tydzień, a znajdziesz się w domu.

Niemy znów skinął głową. Pozostali czekali na swoją kolej.

Byli młodszy, każdy koło dwudziestki. Jeden miał czarne, przycięte po wojskowemu włosy, był

wysoki i barczysty. Drugi, nieco wątleszej budowy, był niższy, o jaśniejszych włosach i rozbieganych oczach. Z jego twarzy nigdy nie schodził wyraz niepokoju.

Mężczyzna zwrócił się teraz do krótkowłosego:

- Ciebie ciężarówka zabierze jutro o świcie. Pójdziemy tą samą drogą przez tunel; aż do cementarza. Kiedy wyjdiesz na ulicę, skróć w lewo i skieruj się w stronę rzeki. Będzie tam czekać inna ciężarówka. Przekroczycie granicę szwajcarską, stamtąd pojedziecie do Niemiec. W Berlinie już są gotowi, by się tobą zająć. Znasz adres ludzi, którzy zabiorą cię do domu.

Chłopak patrzył na niego w skupieniu. Mężczyzna poczuł strach, bo w piwnych oczach niemowli dostrzegł gniew.

- Potem twoja kolej - spojrzał na trzeciego. - Wyjdiesz jako ostatni. Musisz tu zostać jeszcze dwa dni. Po ciebie również przyjedzie samochód, o drugiej w nocy. Zawiezie cię prosto do domu. Powodzenia. Zaraz przyniosę wam wodę.

Odwrócił się, by wyjść, ale ten krótko ostrzyżony chwycił go mocno za ramię, dając znak, że ma jeszcze pytania, po czym szybko coś napisał.

- Chcesz wiedzieć, co się stało z Mendibhem? Od lat siedzi w więzieniu, przecież o tym słyszałeś. Postąpił jak szaleniec, nie chciał czekać na kolegów, dostał się do katedry i dotarł do samej kaplicy. Nie wiem, co zrobił, w każdym razie natychmiast włączył się alarm. Dostałem jasne rozkazy od Addaia - żadnego ryzyka. Nie mogłem mu więc pomóc. Złapali go, kiedy biegł przez plac Castelo. Jeśli będziecie stosowali się do instrukcji, unikniecie problemów. Nikt nie wie ani o tej piwnicy, ani o tunelu. W turyńskich podziemiach są kilometry takich tuneli, ale nie wszystkie zostały naniesione na oficjalne plany, dlatego na razie nikt nie odkrył naszego przejścia. Jeśli to się stanie, zetrą nas z powierzchni ziemi.

Kiedy mężczyzna wyszedł z piwnicy, niemi popatrzyli na siebie znacząco. Ten, który wyglądał na przywódcę, zaczął pisać coś na skrawkach papieru. Były to wskazówki na drogę dla towarzyszy. Za kilka godzin wyruszą w długą i trudną podróż. Na razie szczęście im dopisuje, dowodem tego jest fakt, że wciąż żyją. Nie będzie jednak łatwo wydostać się z miasta. Trzej niemi na pewno wzbudzą podejrzenia. Oby dobry Bóg zechciał wysłuchać ich modlitw i pozwolił im bezpiecznie dotrzeć do Addaia.

Mężczyźni padli sobie w objęcia, płacząc z radości.

* * *

- Josarze! Josarze!

Do komnaty, w której odpoczywał Josar, wbiegł młody człowiek. Słońce pojawiło się już nad

horyzontem, lecz Josar spał jeszcze, najwyraźniej zmęczony.

Z trudem unosił powieki. Kiedy w końcu otworzył oczy, zobaczył nad sobą wyrosniętego chłopaka, swojego siostrzeńca Izaza.

Izaz uczył się fachu skryby. Jego mistrzem był Josar, spędzali więc razem dużo czasu. Potem chłopak biegł na lekcje do filozofa Marcjona, który uczył go greki, łaciny, matematyki, retoryki oraz filozofii.

- Przybyła karawana, pewien kupiec wysłał do pałacu gońca, by wypytał o ciebie. Mówi, że jedzie z nim Tadeusz zwany Juda, przyjaciel Jezusa, i że przywożą ci wieści od Tomasza.

Josar podniósł się z uśmiechem. Myjąc się, wypytywał Izaza:

- Czy to na pewno Tadeusz? Nie wiedziałem, że wybiera się do Edessy. Nie pomyliłeś się?

- Królowa posłała mnie, bym cię obudził. Ja tylko powtarzam jej słowa.

- Ach, chłopcze! Nie mogę w to uwierzyć! Nie wyobrażasz sobie, jaka radość mnie przepełnia! Tadeusz był jednym z naśladowców Jezusa. A Tomasz... Tomasz jednym z dwunastu najwierniejszych uczniów. Tadeusz z pewnością przynosi wieści z Jerozolimy, od Piotra, Jana...

Josar ubrał się prędko. Chciał jak najszybciej znaleźć się tam, gdzie przybywają karawany po długiej wędrówce. Zabierze ze sobą Izaza, żeby chłopak poznał Tadeusza.

Wyszli ze skromnego domu, w którym mieszkał teraz Josar. Gdy wrócił z Jerozolimy, sprzedał swój dobytek, a pieniądze rozdał najuboższym. Zamieszkał w skromnym domu, a cały jego majątek stanowiło łóżko, stół, parę zydli i pergaminy, setki zwojów, w których się zaczytywał, i te, które sam pisał.

Josar i Izaz szybkim marszem przemierzali ulice Edessy, docierając aż do granic miasta. Tam właśnie znajdował się karawanseraj. O tej porze kupcy szykowali towary, by zabrać je na targowisko, a niewolnicy krzatali się wokół namiotów, karmiąc i pojąc zwierzęta, wiążąc tobołki, dokładając drew do ognia.

- Josarze!

Głęboki głos naczelnika straży królewskiej, Marwuz, sprawił, że Josar się odwrócił.

- Król wysłał mnie, bym eskortował cię do pałacu wraz z Tadeuszem, który przyjechał z Jerozolimy.

- Dziękuję, Marwuzie. Zaczekaj tu, ja tymczasem spróbuję go odszukać, a potem pojedziemy razem do pałacu.

- Już o niego pytałem. Zatrzymał się w namiocie pewnego kupca. Widzisz ten szary namiot w

burzowym kolorze? Właśnie tam miałem się udać.

- Zaczekaj, Marwuzie, zaczekaj, chciałbym spokojnie uściskać mojego przyjaciela.

Żołnierz dał znak swoim ludziom, by się zatrzymali, a Josar poszedł do namiotu kupca. Izaz podążał dwa kroki za nim.

Widział, jak raduje się wuj, że za chwilę spotka się z jednym z uczniów Pana. Wiele mu o nich opowiadał: o Janie, ulubieńcu Nauczyciela, o Piotrze, któremu Jezus ufał, choć wiedział, że ten ma się go zaprzec. O Marku i Łukaszu; o Mateuszu, Tomaszu i tylu innych, których imion nie zapamiętał.

Josar z mocno bijącym sercem zbliżył się do namiotu.

Wyszedł właśnie z niego postawny mężczyzna o łagodnych rysach twarzy, ubrany jak bogaci kupcy z Jerozolimy.

- To ty jesteś Josar?

- Ja, panie.

- Wejdz więc. Tadeusz już na ciebie czeka.

Josar wszedł do namiotu. Przyklękawszy na poduszce rzuconej na podłogę, Tadeusz pisał coś na pergaminie. Mężczyźni spojrzeli na siebie i roześmiali się serdecznie. Tadeusz wstał i objął Josara.

- Przyjacielu, tak się cieszę, że cię widzę - przemówił.

- Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś się spotkamy. Napęlniasz moje serce radością, dzięki tobie wracają wspomnienia! Znów czuję bliskość Nauczyciela!

- On cię kochał, Josarze, ufał ci. Wiedział, że twoje serce wypełnia dobro i że zanieziesz jego słowa, dokądkolwiek się udasz.

- Tak też czynię, Tadeuszu, tak czynię, zawsze pełen obaw, że nie zdołam przekazać jak należy słów Mistrza.

W tej chwili do namiotu wszedł kupiec.

- Tadeuszu, zostawię cię tu z przyjacielem, byście mogli porozmawiać. Moi słudzy zaraz przyniosą wam daktyle, ser i świeżą wodę i nie będą was więcej niepokoili. Chyba że będziecie czegoś potrzebowali. Ja muszę udać się do miasta, gdzie już pojechały moje towary. Wrócę po południu.

- Josarze - odezwał się Tadeusz - ten dobry kupiec nazywa się Jozua i podczas podróży do Jerozolimy korzystałem z jego ochrony. To dobry człowiek. Słuchał nauk Jezusa, lecz trzymał się z

boku, ponieważ obawiał się, że Nauczyciel go nie przyjmie. Ale Jezus, który widział wszystkich, nawet tych najcichszych, powiedział mu któregoś dnia, by podszedł bliżej, a jego słowa okazały się balsamem dla duszy Jozuy, który niedawno owdowiał. To dobry przyjaciel, pomógł nam i zawsze jest gotów nieść słowa Mistrza do różnych zakątków świata.

- Bądź pozdrowiony, Jozuo - odparł Josar. - Znajdujesz się wśród przyjaciół, powiedz tylko, czy możemy ci czymś służyć?

- Dziękuję, bracie, ale nie brak mi niczego. Doceniam jednak twą ofiarność. Wiem, że podążałeś za Nauczycielem.

Tadeusz i Tomasz bardzo cię szanują. Udam się teraz do miasta i wrócę przed zmrokiem. Cieszcie się spotkaniem, na pewno macie sobie wiele do powiedzenia.

Jozua wyszedł z namiotu, tymczasem niewolnik, czarny jak noc, ustawił przed nimi półmiski z daktylami i dzban wody.

Wyszedł równie cicho, jak się pojawił.

Izaz przypatrywał się tej scenie w milczeniu. Nie miał odwagi przypominać o swojej obecności. Zdawało mu się, że wuj o nim zapomniał, lecz Tadeusz uśmiechnął się i dał mu znak, by podszedł.

- A ten młodzieniec?

- To mój siostrzeniec, Izaz. Uczę go rzemiosła skryby. Być może kiedyś będzie pracował w pałacu. To dobry chłopiec, słucha nauk Jezusa.

Nagle do namiotu wszedł Marwuz.

- Josarze, wybacz, że ci przerywam, lecz Abgar przysłał służącą z pałacu. Nie może doczekać się ciebie i człowieka z Jerozolimy.

- Masz rację, Marwuzie, tak się wzruszyłem spotkaniem, że zapomniałem, iż król czeka na nasze wieści. Na pewno chce cię poznać i godnie podjąć, Tadeuszu. Trzeba ci wiedzieć, że Abgar porzucił pogańskie wierzenia i czci teraz Boga jedynego, Naszego Pana i Ojca. A królowa i cały dwór również przyjęli do serca Jezusa. Zbudowaliśmy nawet skromną świątynię, w której gromadzimy się, by modlić się do Boga Ojca i rozmawiać o naukach Jezusa. Spisałem to, co zapamiętałem z jego słów, ale skoro tu jesteś, sam możesz opowiedzieć nam o wszystkim, czego nas uczył, i lepiej niż ja wytłumaczyć, jaki był Jezus i jak postanowił umrzeć, by nas zbawić.

- Udajmy się więc do króla - zgodził się Tadeusz - a po drodze opowiesz mi o tym, co się wydarzyło. Pewni kupcy przynieśli do Jerozolimy wieści, jakoby Abgar wyleczył się ze śmiertelnej choroby, dotknąwszy szaty, w którą po śmierci owinięte było ciało Pana. Chcę, byś mi opowiedział o tym cudzie uczynionym przez naszego Zbawiciela i jak zaszczepiłeś wiarę w Niego w tym pięknym

mieście.

Abgar się niecierpliwił. Królowa, jak zwykle nie odstępując go ani na chwilę, usiłowała go uspokoić. Josar i Tadeusz tak długo nie nadchodzili. Słońce już mocno przypiekało, a ich wciąż nie było. Królowa gorąco pragnęła wysłuchać ucznia Jezusa, by dowiedzieć się jeszcze więcej o Zbawicielu. Poprosi go, by został u nich na zawsze, albo chociaż przez jakiś czas, by wszyscy mogli posłuchać o Panu.

On, Abgar, władca tego kwitnącego miasta, nie zawsze rozumiał sens słów Mistrza, lecz przyjmował je z ufnością, albowiem żarliwie wierzył w człowieka, który uleczył go, choć sam już nie żył.

Wiedział, że w mieście nie wszyscy pogodzili się z jego zarządzeniem, by zastąpić bogów czczonych tu od zarania dziejów Bogiem bez twarzy, który posłał swego syna na Ziemię, na ukrzyżowanie. Syna, który mimo cierpienia, jakie go czekało, kazał wybaczać wrogom i zapewniał, że łatwiej będzie wejść do nieba nędzarzom niż bogaczom.

Niektórzy poddani nadal oddawali w swoich domach cześć bogom przodków, udawali się też do jaskiń w górach, by ofiarowywać wino księżycowemu bogu.

Król przymykał na to oko, ponieważ wiedział, że nie może narzucić ludowi nowej wiary i że, jak utrzymywał Josar, z czasem przekona niedowiarków, iż Bóg jest tylko jeden.

Poddani nie tyle wątpili w boskość Jezusa, ile myśleli, że jest on po prostu jednym z wielu bogów, takim go też akceptowali, nie odrzucając kultu przekazanego im przez ojców.

Josar opowiadał Tadeuszowi, jak stojąc w grocie, w której złożono Jezusa, poczuł potrzebę, by zabrać ze sobą tkaninę, w którą owinięte było jego ciało, wiedząc, iż żaden z jego przyjaciół nie odważy się jej dotknąć, bo zgodnie z żydowskim prawem całun pośmiertny to przedmiot nieczysty. Tadeusz kiwał głową, potwierdzając opowieść przyjaciela. Nie zauważono braku płótna, zapomniano o tym kawałku tkaniny, dopóki nie rozeszły się wieści, że sprawiła ona cud, przywracając zdrowie królowi Abgarowi. Zdziwiło ich to i oczarowało, chociaż towarzysze Jezusa przywykli do cudów.

W końcu Tadeusz wyjawiał Josarowi powód swego przybycia.

- Tomasz zawsze serdecznie cię wspomina. Pamięta, jak nalegałeś, by Nauczyciel udał się do Edessy uzdrowić króla, oraz że Jezus zobowiązał się przysłać tu jednego ze swych apostołów. Dlatego też, dowiedziawszy się, iż całun uzdrowił Abgara i że ty głosisz nauki Zbawiciela, poprosił mnie, bym przyjechał ci pomóc. Pozostanę tak długo, jak długo będziecie mnie potrzebowali, i pomogę ci głosić wśród tych dobrych ludzi Słowo Pańskie. Jednak nadejdzie czas, gdy będę musiał wyjechać, bo wiele jest miast i wielu ludzi, którym powinniśmy nieść prawdę.

- Czy chcesz zobaczyć całun? - zapytał Josar.

Tadeusz zawahał się. Był Żydem, prawo żydowskie było jego prawem, temu samemu prawu podlegał Zbawiciel. Niemniej ten kawałek tkaniny kupiony przez Józefa z Arymatei, w który owinięli ciało Jezusa, zdawał się być nasączony mocą samego Zbawiciela. Nie wiedział, co powiedzieć, ani jak się zachować.

Josar zdawał sobie sprawę, jaką walkę toczy w sumieniu przyjaciel.

- Nie martw się, znam wasze prawo i je szanuję - powiedział, kładąc rękę na jego ramieniu. - Nas jednak, mieszkańców tego starego grodu, pośmiertna szata nie mierzi, wolno nam brać ją do rąk. Nie musisz nawet na nią patrzeć, powiem ci tylko tyle: Abgar polecił najlepszemu rzemieślnikowi w Edessie zrobić skrzynię, by schować w niej całun, który znajduje się teraz w bezpiecznym miejscu, pilnie strzeżony przez strażę króla. Ta tkanina czyni cuda, uzdrowiła Abgara i wielu innych, którzy zbliżyli się do niej z ufnością i wiarą. Musisz wiedzieć, że krew i pot zostawiły na niej ślad twarzy i ciała Jezusa. Mówię prawdę, przyjacielu. Patrząc na płótno, widzę naszego Nauczyciela i cierpię, wspominając ból, jaki zadali mu Rzymianie.

- Nadejdzie taka chwila, że poproszę cię, byś pokazał mi tę cudowną tkaninę, muszę jednak poszukać przyzwolenia w mym sercu, bo oznaczać to będzie złamanie prawa mojego ludu.

Dotarli do pałacu. Abgar powitał ich serdecznie. Królowa, stojąc u jego boku, nie potrafiła ukryć podniecenia, z jakim wyczekiwała przybycia apostoła.

- Jesteś tu mile widziany jako przyjaciel Jezusa - zapewniła. - Możesz pozostać w naszym mieście jak długo chcesz, będziesz naszym gościem i niczego ci nie zabraknie. Prosimy tylko, byś opowiadał nam o Zbawcy, byś wspominał jego słowa i czyny, ja zaś, jeśli mi na to pozwolisz, poproszę skrybów, by uważnie słuchali twych słów i zapisywali je skrzętnie na pergaminach. Tą drogą ludzie tu i w innych miastach poznają życie i nauki Mistrza.

Przez cały dzień i część nocy Tadeusz wraz z Josarem opowiadał królowi i dworzanom o cudach, jakich dokonał Jezus.

Tadeusz pozostał w Edessie. Zamieszkał jednak w skromnej izbie w domu położonym w sąsiedztwie domu Josara. Podobnie jak Josar po powrocie z Jerozolimy, nie chciał, by przysłano mu niewolnika do posługi. Uzgodnili z królem, że to Josar będzie jego skrybą i spisze wszystko, co Tadeusz opowie mu o Jezusie.

* * *

W Nowym Jorku świeciło ostre słońce, co było rzadkie o tej porze roku. Staruszek oderwał wzrok od szyb, które filtrowały poranne światło, wyrwany z zamyślenia przez dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę. W tym gabinecie nie musiał niczego się obawiać, skomplikowany system komunikacji uniemożliwiał założenie podsłuchu.

- Słucham - powiedział mocnym głosem.
- Pierwszy niemowa jest już w drodze.
- Nie było komplikacji?
- Korzystają z tych samych kontaktów co poprzednio, to ich utarte, sprawdzone szlaki, a policja niczego nie podejrzewa.
- A drugi?
- Wyruszy jeszcze dziś w nocy. Trzeci jutro. Przywiezie go ciężarówka, która transportuje śruby i gwoździe. To ten najbardziej nerwowy.
- Porozmawiam dziś z naszymi ludźmi w Urfie. Musimy się dowiedzieć, jak zareaguje Addai i co zamierza zrobić.
- Będzie wściekły.
- Zobaczymy. Czy mamy nowe informacje o człowieku Addaia w katedrze?
- Jest bardzo zdenerwowany. Na szczęście nie wzbudza podejrzeń, ponieważ wszyscy myślą, że stary pocziwiec po prostu głęboko przeżywa wypadek. Ani kardynał, ani ten policjant niczego się nie domyślają.
- Trzeba nadal mieć go na oku.
- Tak będzie.
- A nasz brat?
- Prowadzą w jego sprawie śledztwo. Kim jest, jakie ma upodobania, w jaki sposób doszedł do stanowiska. Mnie też przesłuchiwali, podobnie jak innych braci. Trzeba przyznać, że ten policjant, Marco Valoni, to inteligentny człowiek i zebrał dobry zespół.
- Bądźmy ostrożni.
- Będziemy.
- W przyszłym tygodniu Boston.
- Zjawię się tam.

* * *

Sofia i Pietro siedzieli w milczeniu. Wyglądali na skrępowanych. Valoni udał się do szefa karabinierów Turynu, a Minerva, Giuseppe i Antonino postanowili pójść na kawę do pobliskiego baru. Wszyscy rozumieli, że muszą zostawić tych dwoje samych, by mogli porozmawiać. Każdy zauważył, że ich stosunki stały się ostatnio napięte.

Kiedy Sofia, nie spiesząc się, chowała papiery do teczki, Pietro, zatopiony w myślach, patrzył przez okno na ulicę. Nie odzywał się, bo nie chciał robić Sofii wyrzutów, że nie wtajemniczyła go w operację „Konia trojański”. Sofię zaś gryzło sumienie. Wydawało jej się, że zachowała się dziecinnie, nie mówiąc Pietrowi o swoim pomysle.

- Obraziłeś się na mnie? - zapytała, by przerwać kłopotliwą ciszę.
- Skądże. Nie masz obowiązku zwierzać mi się z każdej myśli.
- Daj spokój, Pietro, zbyt dobrze cię znam i wiem, kiedy coś ci się nie podoba.
- Nie chcę się kłócić. Ty obmyśliłaś plan, mnie się wydaje, że za bardzo się śpieszymy i powinien dojrzeć.

Udało ci się jednak przekonać szefa, dobrze się wstrzebiłaś.

Zrobimy jak chcesz, od tej pory wszyscy będziemy pracowali tylko nad powodzeniem „Konia trojańskiego”. Nie wracajmy do tego tematu, bo w końcu się zdenerwujemy i będzie awantura.

- Zgoda. Zadam ci tylko jedno pytanie: dlaczego uważasz, że to nie jest dobry plan? Dlatego że ja go wymyśliłam, czy po prostu widzisz jakieś słabe strony?

- Błędem będzie skrócenie niemowle odsiadki. Zacznie coś podejrzewać i nigdzie nas nie doprowadzi. A co do przesłuchań robotników, proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu, żebyś się tym zajęła. Powiesz mi potem, czy coś się wyjaśniło.

Sofia była zadowolona, że Pietro musi wyjechać. Wolą pracować tylko z Giuseppem i Antoninem. Gdyby został z nimi Pietro, nie uniknęliby awantury, a najgorsze, że ucierpiałaby na tym praca. Sofia nie miała na punkcie całunu takiego bzika jak Valoni, ale podobała jej się ta sprawa. Stanowiła wyzwanie.

Tak, lepiej, że Pietro wyjeżdża. Minie parę dni i wszystko wróci do normy.

W końcu się pogodzą i będzie jak dawniej.

* **

- Od którego miejsca zaczynamy, pani doktor?
- Wydaje mi się, Giuseppe, że najlepiej porozmawiać jeszcze raz z robotnikami. Przekonamy

się, czy to, co powiedzą, będzie odbiegało od wersji, jaką usłyszał Pietro. Powinniśmy też zebrać o tych ludziach trochę informacji, gdzie i z kim mieszkają, jaką opinią cieszą się wśród sąsiadów, czy w ich życiu nie zaszły jakieś nieoczekiwane zmiany...

- Wywiad środowiskowy zajmie zbyt dużo czasu - przerwał jej Antonino.

- Owszem, dlatego Marco poprosił szefa karabinierów o paru ludzi do pomocy. W końcu nikt tak dobrze jak oni nie zna miasta i szybko się połapiają, jeśli w zeznaniach pojawią się nieścisłości. Może się tym zająć Giuseppe, a my wrócimy do katedry, jeszcze raz popytamy robotników, porozmawiamy ze stróżem, z tym księdzem Yvesem, ze starymi pannami w kancelarii...

- Zgoda, ale jeśli ktoś rzeczywiście ma coś do ukrycia, takim wypytywaniem tylko wzbudzimy podejrzenia i sprawa nie ruszy z miejsca. Możesz mi wierzyć, przerabiałem to z niejednym bandziorem - zapewnił Giuseppe.

- Jeśli któryś za bardzo się zdenerwuje, sam się zdradzi - uznała Sofia. - Uważam, że powinniśmy dotrzeć do D'Alaquy i też z nim porozmawiać.

- To gruba ryba. Zbyt gruba. Jeśli popełnimy jakąś gafę i go rozzłoszczymy, w Rzymie mogą nam podciąć skrzydełka.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Antonino, ale trzeba spróbować. Jestem bardzo ciekawa tego człowieka.

- Ostrożnie, pani doktor, żebyśmy się przez tę twoją ciekawość nie musieli rumienić!

- Nie bądź głupi, Giuseppe. Powinniśmy porozmawiać z tym człowiekiem. Przecież ludzie z jego firmy zawsze byli obecni, gdy w katedrze coś się działo. Jak na mój gust, to podejrzane. Dziwię się, że twój policyjny węch jeszcze cię nie ostrzegł.

Postanowili podzielić się pracą. Antonino porozmawia z pracownikami katedry, Giuseppe weźmie na siebie robotników, Sofia natomiast spróbuje umówić się na spotkanie z D'Alaquą.

Postarają się uwinąć w ciągu tygodnia, a potem postanowią, co dalej. Może trafią na jakiś ślad.

Sofia przekonała Valoniego, by pociągnął za odpowiednie sznurki i postarał się o spotkanie z Umbertem D'Alaquą.

Komisarz był trochę niezadowolony, ale musiał się z nią zgodzić, że to spotkanie może wiele wnieść do śledztwa. Wysłał więc pismo do ministra kultury, by ten ułatwił mu kontakt.

Minister orzekł w pierwszej chwili, że chyba poszaleli, jeśli myślą, że ktoś pozwoli im infiltrować takiego giganta jak COCSA, a zwłaszcza kręcić się wokół kogoś formatu D'Alaquy. Ostatecznie jednak Valoni przekonał go, że bez tego nie ruszą z miejsca i że pani doktor Galloni to dobrze wychowana dama, która nie pozwoli sobie na najmniejsze uchybienie w etykiecie, więc na

pewno nie zrobi niczego, co mogłoby wywołać niesmak tego potężnego człowieka.

Minister umówił ich na następny dzień, na dziesiątą rano.

Kiedy Valoni powiedział o tym Sofii, uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Szeffie, jesteś nieoceniony. Wyobrażam sobie, ile cię to musiało kosztować.

- Żebyś wiedziała. I lepiej miej się na baczności. Jeśli popełnisz choćby najmniejszą gafę, minister pošle nas oboje do ścierania kurzu w archiwum. Zaklinam cię, Sofio, bądź ostrożna. D'Alaqua ma wpływy nie tylko we Włoszech. Z tego, co słyszałem od ministra, ma coś do powiedzenia w wielu krajach. Prowadzi interesy w Ameryce, na Bliskim Wschodzie, w Azji... Do takiego człowieka trzeba celować z broni odpowiedniego kalibru.

- Mam dobre przeczucia.

- Postaraj się, by twoje przeczucia nie ściągnęły na nas nieprzyjemności.

- Zaufaj mi.

- Gdybym ci nie ufał, nie rozmawialibyśmy o tym.

Stojąc przed lustrem ze spiralką od tuszu w ręku, Sofia czuła narastające zdenerwowanie. Długo zastanawiała się, co włożyć, w końcu wybrała beżową garsonkę od Armaniego.

Zjadła śniadanie w pokoju, ale zanim wyszła, pożegnała się z Antoninem i Giuseppem.

- Powodzenia, pani doktor, wyglądasz prześlicznie. Zupełnie jakbyś szła na randkę.

- Zebrało ci się na żarty, Giuseppe. Jestem zdenerwowana. Jeśli coś sknocę, wpakuję szefa w kłopoty.

- Zgadzam się z Giuseppem, prezentujesz się cudownie, nie wiem, czy nie za dobrze jak na tego dziwaka. Ponoć jest odporny na kobiece wdzięki. Ale twoim atutem zawsze była główka i to na nią stawiam.

- Dzięki, Antonino, dziękuję wam obu. Trzymajcie za mnie kciuki.

* * *

Gdy zobaczyła sekretarza firmy, z trudem ukryła zaskoczenie. Po pierwsze, spodziewała się ujrzeć za biurkiem długonogą pannę, nie zaś mężczyznę, po drugie ten dżentelmen w średnim wieku, ubrany z dyskretną elegancją, bardziej wyglądał na menedżera niż na sekretarza, nawet jeśli jego szef zajmował bardzo wysokie stanowisko. Przedstawił się jako Bruno Moretti i zaproponował jej kawę,

prosząc, by zaczekała, aż pan D'Alaqua skończy rozmawiać z innym gościem.

Sofia podziękowała za kawę, nie chciała naruszyć starannego makijażu. Pomyślała, że Bruno Moretti dostał zadanie, by ją wysondować. Kiedy jednak zostawił ją samą w tym zadziwiającym salonie, którego ściany udzieliły gościny płótnom Canaletta, Modiglianiego, Braque'a i Picassa, musiała przyznać, że się pomyliła.

Zadumała się nad dziełem Modiglianiego i nie zauważyła, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich wysoki, przystojny i elegancki pięćdziesięciolatek, który przyglądał jej się surowym, choć zaciekawionym wzrokiem.

- Dzień dobry, doktor Galloni.

Sofia odwróciła się i poczuła, że jej policzki oblewa rumieniec, zupełnie jakby robiła coś niewłaściwego.

D'Alaqua imponował nie tylko wytworną sylwetką i stylem, lecz również niewzruszoną pewnością siebie. Bezpieczeństwo i opoka, skonstatowała Sofia w duchu.

- Dzień dobry. Przepraszam, zapatrzyłam się na ten obraz Modiglianiego, jest autentyczny...

- Naturalnie.

- Jest tyle fałszerstw... Ten jednak to z całą pewnością oryginał. Za późno ugryzła się w język. Czego spodziewała się po obrazie wiszącym w pokoju przyjęć tak potężnego człowieka?

D'Alaqua pewnie uzna ją za głupią gęś, i będzie miał rację. On tymczasem zauważył jej napięcie i nie mógł zrozumieć, co ją tak zdenerwowało. Przecież zdążyli zamienić zaledwie parę banalnych zdań.

- Zapraszam panią do gabinetu, tam będzie nam wygodniej - powiedział.

Gabinet urządzone był zaskakująco - nowoczesne wygodne meble od modnego projektanta, na ścianach dzieła wielkich mistrzów: szkice Leonarda, Madonna z okresu Quattrocenta, Chrystus El Greca, Arlekin Picassa, Miro... Na niewielkim stoliku stał ujmujący prostotą krucyfiks z drewna oliwnego.

Umberto D'Alaqua dał jej znak, by usiadła na kanapie, on zaś zajął fotel obok.

- Czym mogę służyć, pani doktor?

- Panie prezesie, podejrzewamy, że ktoś zaproszył ogień w katedrze. Sądzymy, iż żadne z wydarzeń, które spowodowało szkody w świątyni, nie było dziełem przypadku.

Na twarzy mężczyzny nie drgnął żaden mięsień, żadnym gestem nie zdradził niepokoju ani zaskoczenia. Patrzył na nią spokojnie, oczekując dalszego ciągu, jak gdyby to, co usłyszał nie miało z

nim nic wspólnego.

- Czy robotnicy pracujący przy remoncie kościoła to zaufani ludzie?

- Pani doktor, COCSA jest jedną z wielu spółek, którym prezesuję. To chyba oczywiste, że nie znam całego personelu.

Mamy od tego, jak w każdej firmie, dział kadr. Jestem pewny, że moi pracownicy udostępnią państwu wszystkie niezbędne dane na temat robotników pracujących w kościele. Jeśli potrzebuje pani dodatkowych informacji, z przyjemnością poproszę dyrektora działu kadr, by oddał się do pani dyspozycji i udzielił wszelkiej pomocy.

D'Alaqua sięgnął po telefon i poprosił, by połączono go z dyrektorem.

- Panie Lazotti, chciałbym pana prosić, by znalazł pan teraz czas dla doktor Galloni z policji, z wydziału do spraw sztuki. Potrzebuje dodatkowych informacji o pracownikach remontujących katedrę. Za chwilę mój sekretarz przyprowadzi ją do pana. Dziękuję.

Sofia była rozczarowana. Sądziła, że zaskoczy D'Alaquę, mówiąc mu wprost, że podejrzewają, iż „wypadki” były starannie przygotowane, tymczasem on po prostu odsyła ją do działu kadr.

- Czy to, co powiedziałam, wydaje się panu niedorzeczne?

- Pani doktor, jesteście profesjonalistami, przypuszczam, że dobrze wykonujecie swoją pracę. Nie mam zdania na temat pani podejrzeń czy też kierunku śledztwa.

Widać było, że D'Alaqua uważa rozmowę za zakończoną.

Sofia poczuła się nieswojo. Nie chciała jeszcze wychodzić, miała wrażenie, że nie wykorzystała swojej szansy.

- Czy mogę służyć czymś jeszcze, pani doktor?

- Nie, właściwie nie... Po prostu zależało nam, by dowiedział się pan, że podejrzewamy, iż pożar nie był nieszczęśliwym wypadkiem, w związku z czym przesłuchamy ponownie pańskich ludzi.

- Pan Lazotti udzieli policji wszelkiego wsparcia. Będzie pani mogła zapoznać się ze wszystkimi dokumentami dotyczącymi pracowników przedsiębiorstwa.

Poddała się. D'Alaqua nie powie ani słowa więcej. Wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- Bardzo dziękuję, że okazał pan wyrozumiałość.

- Miło mi było panią poznać, pani doktor.

Sofia gotowała się ze złości na samą siebie. Speszyła się już na samym początku. Skąd mogła

wiedzieć, że Umberto D'Alaqua będzie najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała w życiu? W jednej chwili postanowiła, że zerwie nedorzeczny związek z Pietrem. Nie mogła znieść nawet myśli, że spotyka się z kolegą z pracy.

Bruno Moretti, sekretarz D'Alaqua, zaprowadził ją do gabinetu Maria Lazottiego. Ten przyjął ją bardzo życzliwie.

- Proszę powiedzieć, czego pani potrzebuje?

- Chciałabym zajrzeć do teczek robotników remontujących katedrę. Zależy mi na poznaniu wszystkich informacji, jakimi pan dysponuje. Nawet tych dotyczących ich życia prywatnego.

- Przekazałem już wszystkie informacje pani kolegom z wydziału oraz miejscowym karabinierom, ale z ogromną przyjemnością przygotuję nowe dossier. Co się zaś tyczy informacji o życiu prywatnym, obawiam się, że niewiele możemy zrobić w tej sprawie. To duża firma, trudno znać osobiście wszystkich pracowników, ale może majster z budowy będzie mógł coś powiedzieć.

Do gabinetu weszła sekretarka i wręczyła Lazottiemu teczkę.

Podziękował i podał ją Sofii.

- Panie Lazotti, czy pamięta pan inne wypadki, podobne do tego w katedrze turyńskiej?

- Do czego pani zmierza?

- COCSA wykonuje wiele robót dla Kościoła. Konserwacje, remonty... właściwie pracowali państwo we wszystkich katedrach Włoch. Włoch i sporej części Europy. A wypadki na budowach zdarzają się nawet wtedy, gdy rygorystycznie stosujemy się do przepisów bezpieczeństwa. Niestety.

- Czy mogłabym dostać od pana listę wszystkich wypadków, do jakich doszło podczas remontów obiektów sakralnych?

- Dołożę wszelkich starań, by pani pomóc, nie będzie to jednak łatwe, bo na każdym placu budowy dochodzi do wypadków, nie wiem nawet, czy je gdzieś odnotowujemy. Zwykle kierownik budowy pisze sprawozdanie. Jaki okres panią interesuje?

- Dajmy na to... ostatnie pięćdziesiąt lat.

Lazotti popatrzył na nią z niedowierzaniem, nie zakwestionował jednak jej prośby.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy. Dokąd mam wysłać materiały?

- Zostawię panu wizytówkę i numer telefonu komórkowego. Proszę zadzwonić. Jeśli nadal będę w Turynie, przyjdę po te materiały. W przeciwnym razie proszę je przesłać do biura w Rzymie.

- Przepraszam, pani doktor, ale... czego pani właściwie szuka?

Sofia popatrzyła na niego uważnie i zdecydowała, że powie prawdę.

- Szukam ludzi, którzy wzniecali pożary w katedrze turyńskiej.

- Słucham?! - wykrzyknął zaskoczony Lazotti.

- Tak, poszukujemy sprawców pożarów, ponieważ podejrzewamy, że zostały wzniesione celowo.

- Podejrzewacie naszych pracowników? Ależ... Na Boga! Komu mogłoby zależeć na zniszczeniu katedry?

- Właśnie to staramy się ustalić.

- Jesteście pewni? To bardzo poważne oskarżenie...

- To jeszcze nie oskarżenie, to tylko podejrzenia, dlatego prowadzimy śledztwo.

- Oczywiście, pani doktor, pomożemy wam, jak tylko będziemy mogli.

- Nie mam co do tego wątpliwości, panie Lazotti.

Sofia wyszła z budynku ze stali i szkła zastanawiając się, czy dobrze zrobiła, dzieląc się swoimi podejrzeniami z D'Alaquą oraz szefem działu kadr. Być może D'Alaqua już zapomniał o jej wizycie. Lub wprost przeciwnie - dzwoni właśnie ze skargą do ministra.

Postanowiła natychmiast zatelefonować do Valoniego, by opowiedzieć mu ze szczegółami przebieg wizyty w COCSIE.

Jeśli D'Alaqua zechce poskarżyć się w ministerstwie, Valoni musi być przygotowany do obrony.

* * *

- Ja, Maanu, księżę Edessy, syn Abgara, zanoszę modlitwy do ciebie, Sinie, księżycowy bogu bogów, byś pomógł mi zniszczyć tych, którzy mieszają w głowach naszemu ludowi i zachęcają go do porzucania twego kultu i zdrady bogów naszych przodków.

Na skalistym wzniesieniu nieopodal Edessy mieściło się sanktuarium boga Sina. Jaskinię słabo oświetlały pochodnie, które Sultanept, z pomocą Maanu i Marwuzza, umieścił na jej ścianach.

Płaskorzeźba z wyobrażeniem boga Sina, wykuta w skale, wydawała się mieć ludzką twarz, tak wiernie odtworzył ją artysta.

Maanu palił kadzidło i aromatyczne zioła, które oszałamiały go i pomagały porozumieć się z bogiem. Był to księżycowy bóg, Sin, wszechmocny, którego nigdy nie przestał wielbić ani on, ani inni wierni tradycji ludzie Edessy, jak jego oddany sługa Marwuz, dowódca królewskiej gwardii, mający po śmierci Abgara stać się głównym doradcą młodego króla.

Sin wysłuchiwał chyba modlitw Maanu, bo przedarł się przez chmury, zalewając księżycową poświatą swoje sanktuarium.

Sultanept, wielki kapłan Sina, zapewniał Maanu, że to znak od boga, że ich nie opuścił.

Sultanept mieszkał wraz z pięcioma kapłanami w Sumurtarze.

Ich schronieniem stał się labirynt tuneli i podziemnych izb, gdzie służyli bogom, Słońcu, Księżycowi i planetom, początkowi i końcowi wszechświata.

Maanu obiecał Sultaneptowi, że przywróci mu jego potęgę i bogactwo, które wytracił z jego rąk Abgar, przekreślając wiarę przodków.

- Książę mój, powinniśmy już wracać. Król może cię wzywać. Odkąd wyszliśmy z pałacu, upłynęło wiele godzin.

- Nie wezwie mnie, Marwuzie, jest pewny, że siedzę z przyjaciółmi w gospodzie albo cudzołożę z jakąś tancerką. Mój ojciec nie dba o to, co robię, nie interesuję go nic a nic, zawiódł się na mnie, bo nie chciałem adorować Jezusa. To wszystko wina królowej. To ona namówiła go do zdrady naszych bogów, za jedyne Boga przyjmując tego Nazarejczyka. Zapewniam cię jednak, Marwuzie, że lud skieruje jeszcze oczy na księżycowego boga i zburzy świątynie, które królowa kazała wznieść na chwałę tego Żyda.

Kiedy Abgar umrze, zabijemy królową, Josara i Tadeusza.

Marwuz zadrzał. Nie szanował królowej, tej twardej kobiety, która, odkąd Abgar zachorował, rządziła krajem. Nieraz czuł, jak władczyni przewierca go lodowatym spojrzeniem, zdając sobie sprawę, że trzyma on stronę Maanu. Lecz czy odważyłby się podnieść na nią rękę? Zamordować ją? Był pewien, że Maanu go o to poprosi.

Co do Josara i Tadeusza... Nie zawaha się. Przebije ich mieczem. Ma dość ich kazań, ich wyrzutów, gdy oddaje się uciechom z jakąś kobietą, która przypadła mu do gustu, lub gdy ku czci boga upija się do nieprzytomności przy pełni księżyca.

Bo on, Marwuz, zachował wiarę w bogów swych ojców, w bogów swego miasta, nie chciał adorować tego cnotliwego nędzarza, o którym nie przestają pleść Josar i Tadeusz.

Izaz spisywał wszystko, co opowiadał mu Tadeusz. Jego wuj, Josar, nauczył go sztuki pisania, i chłopak marzył, by pewnego dnia zostać nadwornym skrybą.

Był z siebie dumny, bo Abgar i królowa pochwalili pergaminy, na które tak starannie prznosił opowieści Tadeusza o Jezusie. Apostoł często go przywoływał, by podyktować parę wersów, bo akurat przypominał sobie jakiś epizod, który łatwo mógłby ulecieć z pamięci. Chłopak znał doskonale wszystkie przygody Tadeusza.

Tadeusz często mrużył oczy, zdawało się, że za chwilę zaśnie, tymczasem z jego ust zaczynały płynąć wspomnienia. Opowiadał, jaki był Jezus, jak przemawiał i jakich czynów dokonał.

Josar spisał już swoje wspomnienia, posłał je do kopistów, jedną kopię zaś złożył w królewskim archiwum. To samo zrobi z opowieściami Tadeusza. Tak rozkazał Abgar, który marzył o tym, by Edessa pozostawiła swoim potomnym całą prawdę o Jezusie.

Josara i Tadeusza łączyła szczególna więź, obaj bowiem znali Jezusa. Izaz cieszył się, że wuj ma takiego towarzysza. Josar szanował Tadeusza za to, że był uczniem Jezusa i u niego szukał odpowiedzi na pytania zadawane mu przez mieszkańców Edessy, przychodzących do niego po poradę i modlitwę.

Każdego dnia Tadeusz wraz z Josarem udawali się do pierwszej świątyni, jaką królowa kazała wznieść na cześć Pana.

Tam modlili się i rozmawiali z kobietami i mężczyznami, którzy przybywali szukać pocieszenia, czekając, aż ich modlitwy dotrą do Boga, który uzdrowił Abgara. Służyli też wiernym zbierającym się w nowej świątyni, wzniesionej przez wielkiego architekta królewskiego, Marcjusza.

Tadeusz poprosił Marcjusza, by ta nowa świątynia była równie prosta jak pierwsza, by wyglądała niczym skromne domostwo, tyle tylko, że z dużym dziedzińcem, na którym można będzie głosić Słowo Boże. Uprzedził Marcjusza, że Jezus przegnał kupców ze świątyni w Jerozolimie, jego duch zaś może gościć tylko tam, gdzie panuje prostota i pokój.

Słońce wschodziło nad Bosforem, kiedy „Gwiazda Morska” sunęła po wodach u wybrzeży Sztambułu. Na pokładzie marynarze uwijali się jak w ukropie, przygotowując się do cumowania.

Kapitan obserwował śniadego młodzieńca, który w milczeniu mył pokład. W Genui jeden z ludzi zachorował i musiał zostać na lądzie, więc pierwszy oficer zatrudnił tego niemowę, upewniwszy się przedtem, że jest dobrym marynarzem. W tamtej chwili kapitan zgodziłby się na wszystko, byle tylko jak najszybciej wypłynąć, nie zwrócił więc uwagi na to, że na rękach rzekomego żeglarza nie było ani jednego odcisku - miał delikatne białe dłonie, ręce człowieka, który nigdy nie musiał zarabiać nimi na życie. Niemowa jednak dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków, a po jego oczach trudno było poznać, co czuje i myśli. Oficer twierdził, że marynarza polecił mu znajomy z tawerny portowej Zielony Sokół. Kapitan nie bardzo w to wierzył, ale nie zamierzał drażnić tematu.

Kiedy oficer oznajmił mu, że niemowa schodzi na ląd w Stambule, kapitan wzruszył tylko ramionami i nie dociekał, skąd tamten to wie.

Kapitan był genueńczykiem, pływał od czterdziestu lat, zawinął do tysiąca portów, miał do czynienia z przeróżnymi ludźmi, ale w tym chłopaku było coś szczególnego. Na twarzy wymalowaną miał porażkę, w jego ruchach widać było rezygnację, jakby wiedział, że osiągnął kres. Lecz czego miał być to kres i skąd to zwątpienie, kapitan nie wiedział.

* * *

Stambuł był piękniejszy niż zwykle. Niemy marynarz westchnął cicho, obserwując uważnie port. Wiedział, że ktoś po niego wyjdzie, możliwe, że ten sam człowiek, który ukrywał go, kiedy przybył tu z Urfy. Chciał wrócić do domu, uściskać ojca, spotkać się z żoną i posłuchać radosnego śmiechu córki.

Bał się spotkania z Addaiem, jego rozczarowania. Jednak w takich chwilach o to nie dbał. Znów czuł, że żyje, cieszył się, że wraca do rodzinnego miasta. To i tak więcej, niż udało się jego bratu przed dwoma laty. Człowiek z katedry opowiadał mu, że Mendibh wciąż siedzi w więzieniu, do którego trafił owego fatalnego popołudnia, kiedy policja aresztowała go jak pospolitego złodzieja. Gazety donosiły, że tajemniczy włamywacz został skazany na trzy lata więzienia. Za rok powinien więc wyjść na wolność.

Zszedł ze statku, z nikim się nie żegnając. Ubiegłej nocy kapitan wypłacił mu pensję i zapytał, czy nie chce zostać do końca rejsu. Niemowa na migi dał mu do zrozumienia, że nie.

Wyszedł z portu i ruszył przed siebie, nie wiedząc, dokąd się udać. Jeśli jego człowiek w Stambule nie przyjdzie w umówione miejsce, znajdzie jakiś sposób, by dostać się do Urfy. Ma przecież pieniądze zarobione na statku.

Nagle usłyszał za plecami czyjeś kroki. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z mężczyzną, który parę miesięcy temu przenocował go w swoim domu.

- Idę za tobą już od jakiegoś czasu - powiedział mężczyzna. - Musiałem się upewnić, że nikt cię nie śledzi. Dziś w nocy będziesz spał u mnie. Przyjdą po ciebie o świcie. Lepiej, żebyś do tego czasu nie kręcił się po mieście.

Niemowa niechętnie skinął głową. Miał ochotę pospacerować po Stambule, zagubić się w uliczkach bazaru, poszukać perfum dla żony i zabawek dla córki. Nie robi jednak tego.

Jeśli coś mu się stanie, Addai będzie wściekły, on zaś cieszył się jak dziecko, że wraca do domu, i nie chciał, by jakiś wypadek zakłócił tę radość.

* * *

- Udało mi się!

Głos Valoniego brzmiał wesoło, wręcz triumfująco. Sofia uśmiechnęła się, dając znaki Antoninowi, by zbliżył ucho do słuchawki.

- Niełatwo było przekonać ministra, ale w końcu dał mi carte blanche. Wypuszczą niemowę, kiedy będzie nam to pasowało, pozwolili nam również go śledzić.

- Brawo, szefie! - wyrwało się Antoninowi.

- Antonino, jesteś tam?

- Jesteśmy oboje - odpowiedziała Sofia. - Nie mogliśmy się spodziewać lepszych wiadomości.

- Tak, muszę przyznać, że jestem z siebie zadowolony, a nie było łatwo. Teraz musimy tylko zdecydować, kiedy i pod jakim pozorem skrócić wyrok naszemu więźniowi. A wam jak poszło?

- Opowiadałam ci już, że widziałam się z D'Alaquą...

- Jeśli o to chodzi, w ministerstwie nic nie mówili...

- Przesłuchujemy robotników i pracowników katedry, ale za parę dni wracamy.

- Dobrze. Wtedy zastanowimy się, co robić dalej. Mam pewien plan.

- Jaki?

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, pani doktor, wszystko w swoim czasie. Ciao!

- Niech ci będzie... Ciao!

* * *

Nad Edessą jeszcze nie świtało, kiedy Josar usłyszał energiczne pukanie do drzwi. W progu stał gwardzista, który przyniósł rozkazy od samej królowej - Josar ma jeszcze przed zachodem słońca wraz z Tadeuszem przybyć do pałacu.

Josar pomyślał, że królowa, której bezsenność kazała czuwać przy Abgarze, nie zdaje sobie sprawy, jak jest wcześnie, lecz chmurne spojrzenie strażnika mówiło, że stało się coś złego.

Zaraz powiadomi Tadeusza i po południu udadzą się na pałacowe wzgórze.

Na kolanach, z zamkniętymi oczami, modlił się, starając się uśmierzyć niepokój, który zagościł w jego duszy.

Kilka godzin później przybiegł Izaz, przynosząc plotki z pałacu. Abgar gaśnie w oczach. Medycy mówią, że słaba jest nadzieja, by wyszedł zwycięsko z pojedynku ze śmiercią.

Przeczuwając bliski koniec, król poprosił małżonkę, by przyprowadziła do niego kilku przyjaciół. Ku swemu zdumieniu, zaproszony został również młody Izaz.

Kiedy przybyli do pałacu, straż natychmiast zaprowadziły ich do komnat Abgara. Król leżał blady w łóżu, królowa chłodziła jego czoło okładami z wody różanej. Na ich widok odetchnęła z ulgą.

W komnacie byli też dwaj inni ludzie: Marcjusz, architekt królewski, oraz Senin, najbogatszy kupiec Edessy, spokrewniony z królem, którego był oddanym przyjacielem. Królowa dała znak przybyszom, by podeszli do Abgara, i odprawiła wszystkich służących. Nakazała strażom, by nikogo nie wpuszczano.

- Przyjaciele, chcę się z wami pożegnać i przekazać wam moją ostatnią wolę - powiedział król cichym, łamiącym się głosem.

Umierał i wszyscy o tym wiedzieli, a szacunek i przywiązanie, jakie do niego żywili, nie pozwoliły im składać fałszywych zapewnień, że nie wszystko stracone, że jeszcze jest nadzieja.

Dlatego też stali w ciszy, słuchając, co ma im do powiedzenia.

- Moi szpiedzy ostrzegali mnie, że kiedy umrę, mój syn, Maanu, zacznie okrutnie prześladować chrześcijan i zechce zabić niektórych z was. Tadeusz, Josar i Izaz muszą wyjechać z Edessy, zanim wydam ostatnie tchnienie. Maanu nie odważy się podnieść ręki na Marcjusza ani Senina, choć to również chrześcijanie, albowiem pochodzą oni ze szlachejnych rodów, jeśli więc włos spadnie im z głowy, wie, że ich krewni zemszczą się okrutnie.

Maanu spali świątynie Jezusa, podobnie jak domy niektórych moich poddanych, najbardziej zasłużonych dla głoszenia wiary.

Wielu mężczyzn, kobiet i dzieci straci życie. Mój syn będzie chciał posiać strach wśród chrześcijan i zmusić ich, by powrócili do czczenia dawnych bóstw. Drzę o całun Jezusa, boję się, że moi wrogowie zniszczą tę świętą tkaninę. Maanu poprzysiągł, że spali ją na rynku na oczach wszystkich mieszkańców Edessy i zrobi to w dniu mojej śmierci. Wy, przyjaciele, musicie ją ocalić.

Cała piątka wysłuchała w skupieniu słów króla. Josar patrzył na królową, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że z jej dawnej urody pozostał ledwie ślad, a pasma włosów, które wymknęły się spod chusty, są srebrne. Postarzała się, chociaż w jej oczach nie zgasł żar, a ruchy nie utraciły

wdzięku. Co się z nią teraz stanie? Wszyscy wiedzieli, że Maanu, rodzony syn, jej nienawidzi.

Abgar wyczuł troskę Josara. Wiedział, że jego przyjaciel skrycie kocha królową.

- Josarze, poprosiłem królową, by opuściła tę ziemię, póki jeszcze jest czas, lecz ona nie chce mnie słuchać.

- Pani - odezwał się Josar - twoje życie narażone jest na jeszcze większe niebezpieczeństwo niż nasze.

- Josarze, jestem królową Edessy, a królowe nie uciekają jak szczury z tonącego okrętu. Skoro muszę umrzeć, niech to się stanie tu, wśród ludzi tak jak ja kochających Jezusa. Nie opuszczę tych, którzy w nas wierzyli, przyjaciół, z którymi się modliłam. Nie porzucę Abgara. Nie zniosłabym myśli, że zostaje sam, zdany na łaskę losu. Jak długo żyje król, Maanu nie odważy się podnieść na mnie ręki. Teraz wysłuchajcie wszyscy królewskiego planu.

Abgar usiadł, ściskając rękę małżonki. Przez ostatnie dni wschód słońca zastawał ich na rozmowach, obmyślali plan, który teraz czas wyłożyć przyjaciołom.

- Mój ostatni rozkaz brzmi: strzeżcie całunu Jezusa. Ocalił mi życie, dzięki niemu mogłem dożyć starości. To święte płótno nie jest moją własnością, należy do wszystkich chrześcijan, to dla nich musicie go chronić. O jedno was tylko proszę, nie wynoście go poza mury Edessy, niech zostanie w tym mieście na wieki. Jezus chciał tu przybyć i tu pozostanie. Tadeuszu, i ty, Josarze, musicie dać całun architektowi. Ty zaś, Marcjusz, sam wiesz najlepiej, gdzie go ukryć tak, by nie dosięgł go gniew Maanu. A po tobie, Seninie, spodziewam się, że przygotujesz ucieczkę Tadeusza i Josara, oraz młodego Izaza. Mój syn nie odważy się napaść na twoją karawanę. Oddaję ich pod twą opiekę.

- Abgarze, gdzie mam ukryć świętą tkaninę? - zapytał Marcjusz.

- Sam o tym zadecydujesz, dobry przyjacielu. Ani ja, ani królowa nie możemy znać tego miejsca. Musisz wybrać kogoś, komu powierzysz tajemnicę i udzielisz bezpiecznego schronienia, w czym pomoże ci Senin. Żałuję, że mój żywot dogasa. Nie wiem, ile dni mi zostało, mam nadzieję, że wystarczająco dużo, byście zdążyli zrobić wszystko, o co was proszę.

* * *

Kiedy Marcjusz dotarł do muru otaczającego miasto, świtało.

Robotnicy czekali na jego dyspozycje. Jako królewski architekt nie tylko wznosił budowle przynoszące chwałę Edessie, nadzorował również wszystkie roboty miejskie, tak jak teraz, przy zachodniej stronie muru, gdzie budowniczowie wznosili nową bramę.

Zdziwił się na widok Marwuza rozmawiającego z majstrem Jereminem.

- Bądź pozdrowiony, Marcjusz - powitał go Marwuz.
- Czego szuka w tym miejscu dowódca gwardii królewskiej? Czyżby wzywał mnie Abgar?
- Przysłał mnie Maanu, który wkrótce zostanie królem.
- Jeśli taki będzie wyrok boski.

Marwuz wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał donośnie w ciszy poranka.

- Będzie nim, Marcjusz, z całą pewnością zostanie królem, sam o tym wiesz, przecież wczoraj byłeś u Abgara i mogłeś się przekonać, że osaczyła go śmierć.

- Czego chcesz? Mów prędko, robota czeka.

- Maanu chce wiedzieć, jaka była ostatnia wola Abgara. Wie, że nie tylko ty, ale również Senin, Tadeusz, Josar, a nawet młody skryba Izaz staliście przy łożu króla aż do zmroku. Książę przekazuje ci, że jeśli pozostaniesz lojalny, nic ci nie grozi, a jeśli nie, nie wiadomo, co może cię spotkać.

- Więc przychodzisz z pogrozkami od Maanu? Czyżby książę miał aż tak mało szacunku do samego siebie? Za stary jestem, by się czegokolwiek obawiać. Maanu może mi najwyżej odebrać życie, które i tak dobiega końca. A teraz odejdz i pozwól mi pracować.

- Powiesz mi, co przekazał wam Abgar?

Marcjusz odwrócił się bez słowa i zaczął sprawdzać zaprawę z gliny, którą mieszał jeden z robotników.

- Pożałujesz tego, Marcjusz! Słono za to zapłacisz! - wykrzyknął Marwuz, spinając konia i ruszając galopem do pałacu.

Płynęły godziny, architekt wydawał się bez reszty zatopiony w pracy. Majster przyglądał mu się spod oka. Marwuz przekupił go, by szpiegował nadwornego architekta. Żał mu było staruszka, który zawsze odnosił się do niego życzliwie, ale dni mistrza minęły, a Marwuz obiecał, że Maanu odwdzięczy się sownie za przysługę.

Słońce stało w zenicie, kiedy Marcjusz dał znak majstrowi, że czas na odpoczynek. Pot spływał po plecach murarzy, sam majster odczuwał zmęczenie i marzył tylko o tym, by usiąść i odpocząć.

Wkrótce nadeszli dwaj młodzi służący z domu Marcjusza, każdy uginając się pod ciężkim koszem wypełnionym świeżymi owocami i wodą, które architekt zaczął rozdzielać między robotników.

Przez godzinę wszyscy odpoczywali, chociaż, jak to się często zdarzało, Marcjusz nie przestawał myśleć o swoich projektach, wchodził na rusztowania, badając wytrzymałość wzmocnianych murów oraz obrysy wielkiej bramy, którą w jego zamysłach miał zwieńczyć kunsztowny relief.

Wyczerpany, zamknął oczy, robotnicy również byli zbyt zmęczeni, by rozmawiać.

Dopóki słońce nie zaczęło żegnać się z dniem, ześlizgując się ku zachodowi, Marcjusz ociągał się z ogłoszeniem, że na dziś koniec. Dzień podobny był do dnia, upływ czasu mierzyli postęпами w pracy. Majster niecierpliwił się. Niewiele miał do powiedzenia o poczynaniach Marcjusza, jednak musiał pójść do gospody na spotkanie z Marwuzem.

W końcu architekt pożegnał się z robotnikami i ruszył wraz z dwoma służącymi do domu.

Marcjusz od lat był wdowcem, dzieci nie miał, więc troszczył się o swoich służących jak o własnych synów.

Podobnie jak on byli chrześcijanami i wiedział, że go nie zdradzą.

Ubiegłej nocy, zanim wyszli z pałacu Abgara, uzgodnili z Tadeuszem i Josarem, że gdy tylko architekt obmyśli, gdzie bezpiecznie ukryć całun, natychmiast ich o tym powiadomi.

Opracowali plan, w jaki sposób Josar przekaże mu płótno, nie budząc podejrzeń Maanu, gdyż, jak ostrzegł Abgar, niewykluczone, że jego syn ma ich na oku. Postanowili, że oprócz Marcjusza jedynie Izaz będzie znał tajemnicę skrytki, dlatego też, gdy tylko otrzyma wskazówki od nadwornego architekta, powinien, korzystając z pomocy Senina, uciec z miasta. Tadeusz rozkazał, by jechał do Sydonu, gdzie powstała niewielka, lecz prężna wspólnota chrześcijańska. Jej duchowy przywódca, Tymeusz, został posłany przez Piotra, by głosić Słowo Boże.

Izaz znajdzie wsparcie w Tymeuszu, ten zaś będzie wiedział, co zrobić z całunem Chrystusa.

Mimo próśb Abgara, by ratowali swoje życie, Tadeusz i Josar postanowili pozostać w Edessie, dzieląc los wszystkich chrześcijan. Żaden nie chciał opuszczać całunu, nawet jeśli nie dane im będzie wiedzieć, gdzie ukryje go Marcjusz.

Tadeusz i Josar przyszli do świątyni wraz z innymi chrześcijanami z miasta. Wspólnie modlono się o zdrowie Abgara, zanosząc błagania do Boga, by znów okazał królowi miłosierdzie.

Tego ranka Josar starannie złożył płótno, wkładając je do kosza, tak jak nakazywał plan Marcjusza. Zanim słońce zaczęło przygrzewać, udał się na targ z koszem na ramieniu, przystając tu i tam i zagadując przekupniów. O umówionej porze ujrzał jednego ze sług Marcjusza, jak kupuje owoce. Podszedł do straganu i wylewnie przywitał się z młodzieńcem, który niósł taki sam koszyk. Nikt nie powinien zauważyć, jak kosze zmieniają właścicieli. Szpieczy Maanu nie widzieli niczego podejrzanego w tym, że Josar wita się z innym chrześcijaninem, który jest sługą jego przyjaciela Marcjusza.

Majster również nie nabrał żadnych podejrzeń, kiedy mistrz wspiął się na rusztowanie z koszykiem na owoce, wyjął z niego jabłko i zatopiony w myślach, pogryzał owoc, przechadzając się wzdłuż budowli, sprawdzając jej wytrzymałość, szukając słabszych miejsc i szczelin, które należało załatać. Marcjusz zawsze lubił sam kłaść cegły, cieszyła go praca fizyczna. Że też nie może na chwilę usiąść, nawet o tej porze, kiedy popołudniowy skwar usypia zmysły, pomyślał majster.

Marcjusz odświeżył się zimną wodą, którą przyniósł mu sługa. Odpocząwszy po upalnym dniu, architekt zmienił przepoconą tunikę na świeżą. Czuł, że jego dni są policzone.

Kiedy tylko Abgar umrze, Maanu zażąda, by zdradził mu, gdzie ukryto całun Jezusa, albowiem nie spocznie, dopóki go nie zniszczy. Będzie torturował wszystkich, którzy w jego mniemaniu mogą mieć coś wspólnego z cennym płótnem, a on jest jednym z przyjaciół Abgara, których Maanu będzie podejrzewał w pierwszej kolejności. To dlatego postanowił, że jeszcze tej samej nocy uda się do Tadeusza i Josara, i że wprowadzi w życie swój plan, gdy tylko upewni się, że Izaz jest już daleko.

Dwaj młodzi słudzy towarzyszyli mu w drodze do świątyni, w której spodziewał się znaleźć przyjaciół zatopionych w modlitwie. Kiedy tam dotarł, usiadł w ustronnym miejscu, z dala od ciekawskich spojrzeń. Abgar ostrzegał ich, że wszędzie roi się od szpiegów.

Izaz dostrzegł Marcjusza ukrytego w cieniu. Chwilę później, gdy wraz z Tadeuszem i Josarem rozdzielał chleb i wino wśród wiernych, niepostrzeżenie zbliżył się do architekta. Ten wcisnął mu do ręki starannie złożony skrawek pergaminu, chłopak ukrył go w fałdach tuniki. Potem poszukał wzrokiem rosłej sylwetki mężczyzny, który sprawiał wrażenie, że czeka na jego sygnał. Izaz wymknął się dyskretnie ze świątyni, a za nim podążył olbrzym. Ruszyli w stronę karawanseraju.

Karawana Senina była gotowa do drogi. Harran, człowiek, którego najął Senin jako przewodnika, niecierpliwił się, chciał już ruszać w drogę.

Wskazał Izazowi i olbrzymowi o imieniu Obodas ich miejsce i dał znak do wymarszu.

Do samego świtu Izaz nie rozwinął pergaminu wręzonego mu przez Marcjusza. Gdy w końcu odczytał dwie linijki, w których architekt dokładnie opisał miejsce ukrycia świętego płótna, porwał pergamin na drobne skrawki i rozrzucił na pustyni.

Obodas przypatrywał mu się z uwagą i czujnie rozglądał się na boki. Odebrał rozkazy od Senina, by ochraniać młodzieńca.

Dopiero gdy upłynęły trzy noce, Harran i Obodas uznali, że są na tyle daleko od Edessy, że mogą odpocząć i pchnąć gońca do domu Senina. Podróż zajmie mu trzy dni, a do tej pory Izaz będzie bezpieczny.

Abgar był w agonii. Królowa posłała po Tadeusza i Josara, by ostrzec ich, że śmierć króla jest bliska.

Upłynęło dziesięć dni, odkąd Abgar wezwał przyjaciół.

Teraz król nie rozpoznawał nikogo, prawie nie otwierał oczu, a tylko nikła mgielka osiadająca na lusterku, które żona przystawiała do jego ust, uspokajała ją, że zostało w nim jeszcze trochę życia.

Maanu nie opuszczał pałacu, niecierpliwie wyczekując śmierci ojca. Królowa nie pozwalała mu przestąpić progu królewskiej sypialni, lecz nie dbał o to, bo i tak wiedział, co dzieje się za drzwiami. Wsunął w dłoń młodej niewolnicy parę monet i obiecał jej, że stanie się wolną mieszkanką Edessy, jeśli będzie opowiadała mu o stanie konającego króla, ta zaś pracowała gorliwie, by odzyskać wolność.

Królowa wiedziała, że szpiedzy uważnie ich obserwują, więc gdy przybyli Josar i Tadeusz, kazała wyjść wszystkim służącym i rozmawiała z przyjaciółmi szeptem. Odetchnęła z ulgą, dowiedziawszy się, że święte płótno jest bezpieczne.

Obiecała, że gdy Abgar odda ducha Bogu, będą pierwszymi, którzy się o tym dowiedzą. Zawiadomi ich przez pewnego skrybę, Tycjusza, który również jest chrześcijaninem i ich sprzymierzeńcem. Pożegnanie było rozdzierająco smutne, ponieważ wiedzieli, że już nigdy się nie spotkają. Królowa poprosiła Tadeusza i Josara o błogosławieństwo i modlitwę, by znalazła siły, kiedy wybijie godzina śmierci, na którą skazał ją syn, Maanu.

Josar płakał rzewnymi łzami, bo nie mógł pogodzić się z myślą o rozstaniu. Królowa nie była już tak piękna jak niegdyś, jednak jej oczy błyszczały energią, a jej ruchy nadal były pełne wdzięku i królewskiej godności. Świadoma, jak bardzo kocha ją były nadworny skryba, uściśnęła mu dłoń i objęła go. Tym gestem pragnęła wyrazić, że wie o jego uczuciu i że ona również kocha tego najbardziej oddanego z przyjaciół.

Agonia Abgara trwała trzy dni. Gdy nastała noc, tylko królowa czuwała przy małżonku. W pewnej chwili otworzył oczy, uśmiechnął się do niej z miłością i wydał ostatnie tchnienie, pojednany z Bogiem i z samym sobą. Królowa ścisnęła jego rękę, a potem zamknęła mu delikatnie powieki i pocałowała w usta. Modliła się do Boga, by przyjął Abgara do swego królestwa.

Zachowując najwyższą ostrożność, przemknęła ciemnymi korytarzami do pokoju, w którym od wielu dni oczekiwał Tycjusz, skryba.

Spał, lecz obudził się, gdy królowa położyła rękę na jego ramieniu. Nie musieli nic mówić. Ona wróciła do królewskiej komnaty, a Tycjusz ostrożnie wymknął się z pałacu i pobiegł do domu Josara.

Josar, wysłuchawszy relacji o śmierci Abgara, poczuł się straszliwie osamotniony. Musi przekazać wieść Marcjuszowi, sam architekt go o to prosił, bo tylko w ten sposób może zrealizować swój plan. Musi też natychmiast powiadomić Tadeusza, gdyż los ich obu jest przesądzony.

- No, Marco, mów, co cię gnębi.

Tak bezpośrednio pytanie z ust Santiaga zaskoczyło Valoniego.

- To aż tak widać?

- Nie oszukasz starego gliniarza - odpowiedział z uśmiechem Santiago.

Paola też się uśmiechnęła. Na prośbę Marca, by zaprosiła na kolację Johna, attache kulturalnego ambasady amerykańskiej oraz Santiaga Jimeneza, przedstawiciela Europolu w Rzymie.

John przyszedł z żoną Lisą. Santiago był kawalerem, dlatego zwykle robił im niespodzianki, przyprowadzając za każdym razem inną panią. Tym razem zabrał swoją siostrę Anę, młodą, tryskającą energią dziennikarkę, która przyjechała do Rzymu na szczyt szefów rządów państw unijnych.

- Zapewne dotarło już do was, że w katedrze turyńskiej doszło do kolejnego wypadku - zaczął Valoni.

- Sądziś, że to coś więcej niż nieszczęśliwy wypadek? - zapytał John.

- Niestety, tego się właśnie obawiam. Przez ostatnie stulecia w katedrze miało miejsce wiele podobnych zdarzeń - pożary, usiłowania kradzieży, zalania. Historia całunu turyńskiego była równie dramatyczna. Jeśli przepracowało się w naszym fachu parę lat, człowiek przestaje wierzyć w fatalne zbiegi okoliczności.

- Ciekawa jest historia całunu - wtrąciła Lisa. - To ginął bez wieści, to znów odnajdywał się w najmniej oczekiwanym miejscu, te wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie był narażony...

Czy twierdzisz, że ktoś chce go zniszczyć albo ukraść?

- Ukraść? Nie, nigdy nie rozważaliśmy takiej możliwości. Już prędzej zniszczyć, bo te wszystkie wypadki, z których cudem ocalał, mogły się przecież skończyć o wiele groźniej. Całun mógł po prostu przestać istnieć.

- Całun Chrystusa znajduje się w katedrze turyńskiej - zaczęła opowiadać Lisa - odkąd dynastia sabaudzka postanowiła go tu przechowywać, po tym, jak kardynał Mediolanu, Karol Boromeusz, złożył przysięgę, że uda się pieszo ze swojego miasta aż do Chambery, gdzie znajdował się wówczas całun. Tą pielgrzymką chciał przebłagać Boga, by powstrzymał dżumę dziesiątkującą ludność miasta. Członkowie domu sabaudzkiego, poruszeni troską i pobożnością kardynała, postanowili umieścić relikwię w połowie drogi, w Turynie, by oszczędzić kardynałowi tak długiej i

wyczerpującej wędrówki. I tu pozostała. Od tamtej pory w katedrze doszło do tylu wypadków, że faktycznie trudno uwierzyć w zbiegi okoliczności. Ale jeszcze trudniej uwierzyć, by jedna i ta sama osoba wywołała pożar przed piętnastoma dniami i w ubiegłym stuleciu, wobec tego...

- Liso, oszczędź sobie złościwości - zganił ją John. - Marco ma rację, za tymi wypadkami może kryć się coś ważniejszego.

- Owszem, dlatego pytam: o co chodzi? Kto to robi i do czego zmierza? Niestety, żadne rozsądne wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy. Możliwe, że jakiś szaleniec chce zniszczyć całun.

- Możliwe, ale ten rzekomy szaleniec mógł maczać palce w wypadkach w ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu, dwudziestu lat. A co z wcześniejszymi? - zapytała Ana. - To dopiero historia! Chciałabym o tym napisać...

- Ano, nie jesteś w pracy - mruknął Santiago.

- Daj jej spokój, Santiago - machnął ręką Valoni. - Jestem pewny, że mogę liczyć na dyskrecję twojej siostry, chociaż to rasowa dziennikarka. Proszę was tylko, pomóżcie mi znaleźć rozwiązanie, wybrnąć z tego ślepego zaułka. Sam już nie wiem... Być może moi ludzie, a ja wraz z nimi, za mocno zaangażowaliśmy się w tę sprawę i brakuje nam dystansu. Upieramy się jednak, a głównie ja, że wszystkie te incydenty nie były przypadkowe. Santiago, Johnie, chciałbym was o coś poprosić - rzućcie okiem na to małe dossier, które przygotowałem. Opisuje zdarzenia związane z katedrą i całunem z ostatnich stu lat. Wiem, że nadużywam waszej życzliwości, bo jesteście bardzo zajęci, chciałbym jednak, byście to przeczytali, a gdy już wyciągniecie wnioski, spotkamy się ponownie.

- Możesz na mnie liczyć. Zresztą sam wiesz, jeśli zechcesz poszperać w archiwum Europolu, masz to załatwione - zapewnił Santiago.

- Dziękuję.

- Przyjacielu, przeczytam ten raport i powiem ci szczerze, co o tym sądzę. Wiesz, że chętnie ci pomogę, czegokolwiek potrzebujesz, oficjalnie i nieoficjalnie - powiedział John.

- Ja również chciałabym przeczytać ten raport... - odezwała się nieśmiało siostra Santiaga.

- Ano, ty nie pracujesz w policji - upomniał ją brat. - Nie masz z tym nic wspólnego. Marco nie może pokazać ci oficjalnego sprawozdania, to poufny dokument.

- Przykro mi, Ano - dodał Valoni.

- Cóż, tym gorzej dla was, bo intuicja podszeptuje mi, że jeśli coś się za tym kryje, cokolwiek to jest, musicie do tego podejść z perspektywy historycznej, a nie politycznej. Ale skoro tacy jesteście...

Umówili się na kolację za tydzień. Tym razem gości podjąć miała Lisa.

* * *

- Wiesz, braciszku, zastanawiam się, czy nie zostać jeszcze u ciebie przez parę dni.

- Ano, bądźmy szczerzy. Wiem, że historia, którą opowiedział nam Marco to materiał na dobry artykuł, ale tak się składa, że to mój przyjaciel i nie mogę zawieść jego zaufania. Poza tym wpędziłabyś mnie w kłopoty. Gdyby się wydało, że moja siostra zajmuje się upublicznianiem spraw będących przedmiotem śledztwa... Przecież to oczywiste, że mogłaś się o tym dowiedzieć tylko ode mnie. Spieprzyłabyś mi karierę, jeśli wolno mi użyć tak dobitnego sformułowania.

- Nie bądź melodramatyczny. Nie napiszę ani linijki, przysięgam.

- Dochowasz tajemnicy?

- Możesz spać spokojnie, przecież jestem twoją siostrą. Poza tym, ja szanuję tajemnice, takie są reguły mojego zawodu.

- Że też przyszło ci do głowy, żeby iść na dziennikarstwo!

- A co, wolałbyś, żebym pracowała w policji?

- Dobrze już, lepiej chodźmy na drinka. Znam jedno fajne miejsce, na pewno ci się spodoba. To bardzo modny lokal, po powrocie do Barcelony będziesz się miała czym pochwalić.

- Cudownie, ale tak czy siak, mógłbyś bardziej mi ufać. Przydam wam się! Obiecuję, że nic nikomu nie powiem i nie napiszę ani słowa. Uwielbiam takie historie!

- Ano, nie mogę pozwolić, żebyś wplątała mnie w śledztwo, z którym nie mam nic wspólnego. Zajmują się tym kompetentni ludzie z odpowiedniego wydziału. Ściągnęłabyś mi na głowę kłopoty, już ci mówiłem.

- Ale nikt się nie dowie. Przysięgam! Proszę, zaufaj mi. Mam już dość pisania o polityce i tropienia skandali wśród posłów. Wprawdzie nie narzekam, w pracy od początku idzie mi jak z płatką, ale dotychczas nie natrafiłam na żadną naprawdę interesującą historię, a to może być strzał w dziesiątkę.

- Zapomniałaś już, że przed chwilą deklarowałaś, że można mieć do ciebie zaufanie, a przede wszystkim, że o tym nie napiszesz?

- I nie napiszę!

- Więc co miała znaczyć ta ostatnia kwestia?

- Proponuję układ. Pozwolisz mi badać tę sprawę na własną rękę, nikomu o tym nie wspominając. Powiem ci, co udało mi się ustalić, o ile cokolwiek znajdę. Jeśli jednak natrafę na jakiś ślad, który pomoże wam rozwikłać tajemnicę wypadków w kościele, a śledztwo zakończy się sukcesem, poproszę, byście pozwolili mi opisać wszystko, a przynajmniej część tej sprawy. Ale do końca śledztwa nie puszcę pary z ust.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Bo to nie moja sprawa. Nie mogę i nie powinienem iść na żadne układy ani z tobą, ani z nikim innym. Co mi przyszło do głowy, żeby zabrać cię na tę kolację do Valoniego!

- Nie złość się, Santiago. Przecież dobrze ci życzę i za nic w świecie nie chciałabym ci zaszkodzić. Owszem, jestem dziennikarką, uwielbiam tę pracę, ale przede wszystkim liczysz się ty, a ja nigdy nie przedkładam sukcesów zawodowych nad zaufanie ludzi, nigdy. A zwłaszcza zaufanie własnego brata.

- Chciałbym móc ci zaufać, Ano. Chcę ci ufać. Nie mam innego wyjścia. Ale jutro wracasz do Hiszpanii. Nie powinnaś się tu kręcić.

* * *

Niemym mężczyzną wpatrywał się obojętnie w drogę, po której sunął sznur samochodów. Kierowca ciężarówki podwożący go do Urfy wydawał się niemym jak on. Odkąd wyruszyli ze Stambułu, milczał jak zaklęty. Odezwał się tylko raz, kiedy przyszedł do domu, w którym niemowa na niego czekał.

- Jestem z Urfy, przyjechałem po Zafarina.

Jego opiekun wiedział, o co chodzi, pokiwał głową i wywołał Zafarina z pokoju. Zafarin rozpoznał człowieka mającego eskortować go do domu. Pochodził z jego miasta, jeszcze jeden zaufany sługa Addaia.

Gospodarz wręczył mu na drogę torbę daktyli, pomarańcze i dwie butelki wody i odprowadził do zaparkowanego samochodu.

- Zafarinie - odezwał się - ten człowiek dowiezie cię do samego Addaia, można mu ufać. Jakie instrukcje dostałeś? - zwrócił się do kierowcy.

- Ma jak najszybciej znaleźć się w mieście. Jego powrót nie może zwrócić niczyjej uwagi.

- Musi tam dotrzeć cały i zdrowy.
- Dojedzie bezpiecznie, zapewniam cię.

Zafarin rozsiadł się wygodnie obok kierowcy. Miał nadzieję, że ten przywiózł mu wieści od Addaia, od rodziny, jakieś plotki z miasta, on jednak skupił się wyłącznie na drodze, prowadząc w zupełnej ciszy. Od czasu do czasu pytał, czy pasażer nie jest głodny albo czy nie chce iść do toalety, i to wszystko.

Na twarzy kierowcy widać było zmęczenie wieloma godzinami jazdy. Zafarin zaproponował mu na migi, że zmieni go za kierownicą, lecz ten odmówił.

- Już niedaleko, a ja wolę uniknąć problemów. Addai nie wybaczyłby mi, gdybym zrobił jakieś głupstwo, a ty, jak słyszałem, ostatnio się nie popisałeś.

Zafarin zacisnął zęby. Ryzykował życie, a ten gbur wyrzuca mu, że się nie popisał! Co on może wiedzieć o niebezpieczeństwie, na jakie narażał się on i jego towarzysze?

Ruch na drodze wzrastał się z godziny na godzinę. E - 24 to jedna z najbardziej uczęszczanych tras w Turcji, prowadzi do Iraku, na pola naftowe. Roi się tu od samochodów cywilnych i pojazdów wojskowych, które patrolują granicę turecko - syryjską. Szukających kurdyjskich partyzantów działających w tym regionie.

Już za godzinę będzie w domu. W tej chwili tylko to się liczy.

- Zafarin, Zafarin!

Łamiący się ze wzruszenia głos matki brzmiał w jego uszach jak niebiańska muzyka. Stała przed nim, drobna i wysuszona, w chuście na głowie. To ona rządziła w domu. Nikt nie odważył się jej sprzeciwić.

Jego żona, Ajat, miała łzy w oczach. Błagała go, by nie jechał, by nie podejmował się tego zadania. Jak jednak sprzeciwić się rozkazom Addaia? Ojciec i matka wstydziłiby się przed całą wspólnotą.

Wysiadł z ciężarówki i w jednej chwili Ajat zarzuciła mu ramiona na szyję, podczas gdy matka obejmowała go z drugiej strony, zazdrosna o uściski synowej. Objęli się całą trójką, a kiedy Zafarin poczuł jeszcze siłę chłopskich rąk swojego ojca, dał się ponieść wzruszeniu i zapłakał. Przypomniały mu się dawne lata, gdy był małym chłopcem i wracał do domu z podrapaną twarzą i sińcami po bójce na ulicy lub w szkole.

Ojciec go wtedy pocieszał. Zawsze dawał mu poczucie bezpieczeństwa, pewność, że Zafarin może na niego liczyć; niech się dzieje co chce, ojciec jest po to, by go bronić. Teraz zaś Zafarin zdał sobie sprawę, że będzie potrzebował jego wsparcia, kiedy nadejdzie chwila, by stanąć przed Addaiem. Tak, Addai wzbudzał w nim strach.

Ogród otaczający neoklasycystyczny dom oświetlony był jaśniej niż zwykle. Policjanci z całego okręgu i agenci tajnych służb rywalizowali w trosce o bezpieczeństwo gości przybyłych na to ekskluzywne przyjęcie. Na liście osób, do których trafiły zaproszenia, figurował prezydent Stanów Zjednoczonych z małżonką, podobnie zresztą jak minister skarbu, minister obrony narodowej, wielu senatorów i wpływowych kongresmanów, republikanów i demokratów, nie licząc prezesów wiodących korporacji i koncernów amerykańskich i europejskich, oraz tuzina bankierów, grupy prawników z najważniejszych kancelarii, lekarzy i licznych osobistości świata nauki.

Mary Stuart obchodziła pięćdziesiąte urodziny, a jej mąż, James, chciał ją uhonorować przyjęciem, które zgromadzi wszystkich przyjaciół.

W gruncie rzeczy, myślała Mary, ci wszyscy goście to raczej dobrzy znajomi, a nie przyjaciele. Oczywiście nie podzieliła się tym spostrzeżeniem z Jamesem, bo nie chciała robić mu przykrości, ona jednak wolałaby inną niespodziankę, na przykład podróż do Włoch, bez pośpiechu i towarzyskich zobowiązań. Ach, gdyby tak mogli zgubić się w Toskanii, gdzie trzydzieści lat temu spędzili miesiąc miodowy. Taki pomysł jednak nigdy nie przyszedłby Jamesowi do głowy.

- Umberto!
- Mary, moja droga, wszystkiego najlepszego!
- Nie wyobrażasz sobie, jaka to dla nas radość, znów cię widzieć!
- Największą radość sprawił mi James, wyróżniając mnie zaproszeniem na to przyjęcie. Proszę, mam nadzieję, że ci się spodoba.

Mężczyzna wręczył jej pudełeczko owinięte w biały błyszczący papier.

- Niepotrzebnie zawracałeś sobie głowę...

Mary szybko otworzyła pudełko i oniemiała na widok figurki, którą odwinęła z bibułki.

- Ta figurka pochodzi z drugiego wieku przed Chrystusem. Przedstawia damę czarującą i piękną jak ty.

- Cudowna. Wielkie dzięki. Czy to nie za wiele? Jestem wzruszona. James! James!

James Stuart podszedł do żony i Umberta D'Alaquy. Panowie uścisnęli sobie serdecznie dłonie.

- Niech no zobaczę, czym też tym razem zaskoczyłeś Mary? Ależ to piękne! No cóż, przy takim

prezencie mój to kopciuszek.

- James, proszę, nie mów tak, wiesz, że jestem zachwycona. Mąż podarował mi te kolczyki i pierścionek. To najpiękniejsze perły, jakie widziałam w życiu.

- To najpiękniejsze perły, jakie w ogóle istnieją, zapewniam cię. Może zaopiekujesz się tą piękną damą, tymczasem ja zaproszę Umberta na drinka?

Dziesięć minut później James Stuart zostawił Umberta z prezydentem i kilkoma innymi panami, sam tymczasem zaczął przechadzać się od grupki do grupki gości. Mimo sześćdziesięciu dwóch lat James czuł się w sile wieku. Miał wszystko, czego mógł pragnąć od życia: kochającą rodzinę, zdrowie, powodzenie w interesach. Huty stali, laboratoria farmaceutyczne, zakłady utylizacji odpadów i udziały w niezliczonych firmach czyniły z niego jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi na świecie.

Odziedziczył skromne imperium przemysłowe po swoim ojcu, potrafił jednak pomnożyć to dziedzictwo. Szkoda, że ich dzieci nie wykazują talentu do biznesu. Gina, najmłodsza, studiuje archeologię i wydaje majątek na finansowanie i udział w wyprawach do najdziwniejszych miejsc globu. Wdała się w jego szwagierkę, Lisę, chociaż miał nadzieję, że córka będzie trochę rozsądniejsza. Tom studiuje medycynę i nie ma pojęcia o czymś takim jak rudy żelaza i stopy stali. Ten jednak przynajmniej się ożenił i został ojcem. James uwielbiał wnuki i liczył na to, że nie zabraknie im zdolności i chęci, by przejąć imperium dziadka.

Przyjęcie rozkręciło się na dobre, co chwila rozlegały się salwy śmiechu, bo u Stuartów spotkało się wielu znajomych, którzy nie widzieli się od lat. Niczyjej uwagi nie zwróciło siedmiu mężczyzn, od jakiegoś czasu rozmawiających we własnym gronie, uważnie obserwujących wszystko, co się dzieje. Gdy ktoś ich mijał, zmieniali temat rozmowy, udając, że są zmartwieni kryzysem irackim, ostatnim szczytem w Davos czy innymi poważnymi sprawami, które powinny ich niepokoić, zważywszy na to, kim są i czym się zajmują.

Najstarszy z nich, wysoki i smukły, zdawał się przewodzić rozmowie.

- Przyznaję, że to był doskonały pomysł, żeby się tutaj spotkać - powiedział z uśmiechem.

- Owszem - odpowiedział inny z wyraźnym francuskim akcentem. - Tu nie zwracamy niczyjej uwagi.

- Marco Valoni poprosił ministra sprawiedliwości o wypuszczenie na wolność niemowy, tego, który siedzi w więzieniu w Turynie - powiadomił kolejny dżentelmen tak doskonałą angielszczyzną, że nie sposób się było domyślić, iż jego ojczystym językiem jest włoski. - To właściwie pomysł jednej ze współpracownic Valoniego, niejakej doktor Galloni. Ta inteligentna osóbka doszła do wniosku, że więzień może ich naprowadzić na jakiś ślad. Zresztą to ona przekonała Valoniego, by przenieść na wylot COCSE.

- Czy można tę doktor Galloni odsunąć jakoś od śledztwa?

- Owszem, zawsze można naciskać, twierdząc, że jest niekompetentna, że to czyjaś protegowana albo agentka obcych służb. COCSA mogłaby zaprotestować przeciwko tym przesłuchaniom, pociągnąć za odpowiednie sznurki w Watykanie, by wpłynąć na włoski rząd. Można też zadziałać przez Ministerstwo Gospodarki, które z całą pewnością wolałoby, by nikt nie naraził na szwank opinii jednego z największych przedsiębiorstw w kraju z powodu jakiegoś niegroźnego pożaru. Jeśli wolno mi jednak wyrazić zdanie, powinniśmy poczekać z jakimikolwiek ruchami wobec pani Sofii Galloni.

Jeden z mężczyzn wbił wzrok w tego, który skończył swój wywód. Coś w tonie głosu kolegi zwróciło jego uwagę. Postanowił zaskoczyć go, by przekonać się, jak zareaguje.

- Moglibyśmy również przyczynić się do jej zaginięcia... - podsunął. - Nie możemy pozwolić, by jakaś pani doktor wtrącała się w nasze sprawy. Zgadza się ze mną?

Pierwszy wyraził opinię dżentelmen z francuskim akcentem:

- Jeśli o mnie chodzi, uważam, że to zbędne. To byłby fatalny błąd. Na razie czekajmy.

- Zgadza się, pośpiech nie jest wskazany - poparł go Włoch. - Byłoby błędem odsuwanie pani Galloni lub też doprowadzanie do jej zniknięcia. To tylko rozdrażni Valoniego, który utwierdzi się w przekonaniu, że za tymi wszystkimi wypadkami coś się kryje i sprawi, że on i cały jego zespół nie przerwą śledztwa, nawet jeśli ktoś wyda im taki rozkaz. Doktor Galloni oznacza dla nas ryzyko, bo to inteligentna osoba, ale możemy pozwolić sobie na to ryzyko. Mamy pewną przewagę - znamy każdą myśl i każdy ruch tego policjanta i jego ludzi.

- Nikt nie podejrzewa, kim jest nasz informator?

- To jedna z najbardziej zaufanych osób Valoniego.

- Rozumiem. Czy są jeszcze jakieś nowiny? - zapytał najstarszy z mężczyzn.

Ten o wyglądzie angielskiego arystokraty wyrecytował, jakby czytał z kartki:

- Zafarin przed dwoma dniami dotarł do Urfy. Jeszcze nie wiemy, jak zareagował Addai. Towarzysz Zafarina, Rasit, przybył do Stambułu, a trzeci, Dermisat, dotrze tam dzisiaj.

- Dobrze, to znaczy, że są bezpieczni. Teraz to problem Addaia, nie nasz. Musimy zająć się tym niemową w turyńskim więzieniu.

- Nie od rzeczy byłoby, by jakieś zdarzenie zatrzymało go tam na dłużej. W przeciwnym razie będą mu deptali po piętach aż do samego Addaia - zasugerował Anglik.

- To bardzo rozsądna uwaga - poparł go mężczyzna z francuskim akcentem.

- Możemy to zrobić? - zapytał inny.

- Owszem, mamy swoich ludzi w tym zakładzie. Trzeba poruszać się z najwyższą ostrożnością, bo jeśli coś stanie się niemowie, Valoni nie zadowolili się oficjalnym raportem.

- Cóż, wścieknie się, ale będzie musiał się z tym pogodzić. Bez niemowy sprawa się dla niego kończy, przynajmniej na jakiś czas.

- A całun?

- Ukryty w banku. Kiedy roboty w katedrze dobiegną końca, wróci do kaplicy. Kardynał chce odprawić uroczystą mszę dziękczynną za to, że Bóg raz jeszcze ocalił święte płótno.

- Panowie... ubijacie jakiś interes? - zapytał prezydent, podchodząc do grupki mężczyzn.

- Mary, widzisz tamtego mężczyznę? Kto to jest? - spytała Lisa.

- Jeden z naszych najbliższych przyjaciół, Umberto D'Alaqua. Nie pamiętasz go?

- A, tak, teraz sobie przypominam. Trzeba przyznać, że robi świetne wrażenie. To wyjątkowo przystojny mężczyzna.

- Zatwardziały kawaler. Szkoda, bo nie dość, że przystojny, to jeszcze przemiły człowiek.

- Niedawno coś o nim słyszałam... Tylko gdzie... Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę...

Lisa pamiętała, gdzie ostatnio natknęła się na nazwisko D'Alaqua. W raporcie, który Valoni przysłał Johnowi. Po pożarze katedry turyńskiej padała nazwa firmy i nazwisko właściciela, D'Alaqua. Nie mogła jednak ani słowem zdradzić się z tym przed siostrą. John nigdy by jej tego nie wybaczył.

- Jeśli chcesz go poznać, mogę cię przedstawić. Podarował mi figurkę z drugiego wieku przed naszą erą. Prześliczna. Potem ci ją pokażę, postawiłam ją w moim gabinecie.

Siostry podeszły do D'Alaquy.

- Umberto, pamiętasz Lisę?

- Naturalnie, Mary, jak mógłbym zapomnieć twoją siostrę.

- Minęło tyle lat...

- Właśnie. Skoro ty, Mary, nie podróżujesz do Włoch tak często, jak powinnaś... Liso, o ile pamiętam, pani mieszka w Rzymie, prawda?

- Owszem, nadal mieszkamy w Rzymie. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym żyć w jakimkolwiek innym miejscu.

- Z Lisą mieszka w Rzymie moja córka, robiłam doktorat - wyjaśniła Mary. - Poza tym Lisie udało się zaangażować ją do zespołu prowadzącego wykopaliska w Herkulanum.

- Ach, teraz sobie przypominam, przecież jest pani archeologiem.

- Tak, Gina odziedziczyła po cioci namiętność do grzebania w ziemi.

- Nie wyobrażam sobie cudowniejszej pracy niż badanie przeszłości - westchnęła Lisa. - Ale, ale, jeśli dobrze pamiętam, to i pan, Umberto, bywał na wykopaliskach.

- Owszem, nadal od czasu do czasu uciekam z miasta, by popracować trochę na świeżym powietrzu.

- Fundacja Umberta finansuje wiele prac archeologicznych - zauważyła Mary.

James Stuart podszedł do D'Alaquy, by przedstawić go innym gościom. Lisa była niepokieszona, z przyjemnością porozmawiała dłużej z mężczyzną odnotowanym w aktach Valoniego. Kiedy opowie Johnowi o tym spotkaniu, na pewno jej nie uwierzy. A Marco? Ależ będzie zaskoczony! Roześmiała się w duchu, gratulując sobie intuicji, kiedy przyjmowała zaproszenie Jamesa na niespodziankę urodzinową dla żony.

Zaświtał jej pewien pomysł. Kiedy Mary przyjedzie do Rzymu, wydadzą kolację, na którą zaproszą również D'Alaquę i Valoniego. Oczywiście może się zdarzyć, że D'Alaqua poczuje się niezręcznie, a Mary się na nią pogniewa. Musi o tym jeszcze porozmawiać z siostrzenicą. Razem ułożą listę gości.

* * *

Młody służący płakał ze strachu. Twarz Marcjusza zalana była krwią. Drugi sługa puścił się biegiem na poszukiwanie Josara, by powiadomić go o tym, co uczynił architekt.

Josar i Tadeusz nie byli zaskoczeni straszną nowiną.

- ...wtedy rozległ się przeraźliwy krzyk - opowiadał służący, drżąc. - A kiedy wbiegliśmy do izby Marcjusza, ten leżał w kałuży krwi, a obok niego odcięty język. Wciąż trzymał w ręku ostry sztylet, którym go sobie obciął. Stracił przytomność, nie wiemy co robić. Ostrzegał nas, że tej nocy coś się wydarzy i uspokajał, byśmy się nie lękali, cokolwiek ujrzymy. Ale, na Boga, żeby tak się okaleczać! Dlaczego? Po co?!

Josar i Tadeusz starali się uspokoić chłopaka, odchodzącego ze strachu od zmysłów. Natychmiast ruszyli do domu Marcjusza. Znaleźli przyjaciela nieprzytomnego, leżącego na łóżku w zakrwawionej pościeli. Obok siedział inny służący, zawodząc i rozdierając szaty.

- Uspokójcie się! - rozkazał Josar. - Wkrótce przybędzie medyk i opatry Marcjusza. Musicie być silni. Nie może was pokonać strach ani żal, w przeciwnym razie życie waszego pana zawisnie na włosku.

Kiedy nadszedł medyk, kazał wszystkim wyjść z izby i został sam z pomocnikiem.

- Już po wszystkim - oznajmił, kiedy wreszcie wyszedł. - Marcjusz odpoczywa. Chciałbym, by przez kilka dni pozostał w półśnie, trzeba mu podawać te krople rozpuszczone w wodzie. Uśmierzą ból i będzie spał spokojnie, dopóki rana się nie zablizni.

- Musimy poprosić cię o przysługę - odezwał się Tadeusz. - My również chcemy pozbyć się języków.

Medyk, który podobnie jak oni był chrześcijaninem, popatrzył na nich zdumiony.

- Nasz Pan, Jezus Chrystus, nie godziłby się na to... zaczął.

- Musimy poświęcić języki, bo to jedyny sposób, by Maanu nie zmusił nas do mówienia - wyjaśnił Josar. - Będzie nas torturował, by dowiedzieć się, gdzie ukryty jest całun Jezusa. My tego nie wiemy, ale moglibyśmy zdradzić coś, co narazi na niebezpieczeństwo człowieka, który wie wszystko. Nie chcemy uciekać, pragniemy zostać z naszymi braćmi, bo musisz wiedzieć, że ofiarą gniewu Maanu padną wszyscy chrześcijanie.

- Pomóż nam, proszę - nalegał Tadeusz. - Nie mamy tyle odwagi, co Marcjusz...

- Wasze prośby sprzeciwiają się prawom boskim. Moim obowiązkiem jest przywracanie zdrowia chorym, nie wolno mi okaleczyć żadnej ludzkiej istoty.

- Więc zrobimy to sami - oświadczył Josar.

Jego zdecydowanie przekonało medyka.

Najpierw udali się do domu Tadeusza, gdzie lekarz zmieszał z wodą zawartość małej buteleczki. Kiedy Tadeusz zasnął, lekarz poprosił Josara, by wyszedł z komnaty i udał się do swego domu. On wkrótce do niego przyjdzie.

Josar niecierpliwie oczekiwał na przybycie medyka. Ten wszedł do domu przygarbiony i smutny.

- Połóż się na łóżku i wypij to - polecił Josarowi. - Zaraz zaśniesz. Kiedy się obudzisz, nie będziesz mógł mówić.

Niech Bóg mi wybaczy.

- Już ci wybaczył - szepnął Josar.

Wiadomość o śmierci Abgara dotarła już do każdego zakątka pałacu. Królowa spodziewała się, że wkrótce w drzwiach królewskiej komnaty stanie jej syn.

Służący wraz z medykami przygotowali ciało Abgara do wystawienia na widok publiczny. Król poprosił ich, by zmówili modlitwę za jego duszę, zanim pochowają jego szczątki w królewskim grobowcu.

Nie wiedziała, czy Maanu pozwoli na chrześcijański pochówek, lecz była gotowa o to walczyć.

Przez wszystkie godziny, które spędziła w samotności, czuwając przy ciele męża, zastanawiała się, czym sobie zasłużyła na nienawiść syna. Znalazła odpowiedź. Tak naprawdę знаła ją od dawna, chociaż nigdy, aż do dzisiejszej nocy, nie miała odwagi przyznać tego sama przed sobą.

Nie była dobrą matką. Nie, nie była nią. To Abgar dostał całą jej miłość, nie pozwoliła, by ktoś czy coś, nawet jej dzieci, odsunął ją choćby na chwilę od królewskiego boku.

Oprócz Maanu wydała na świat jeszcze czterech synów i trzy córki. Jeden z chłopców zmarł wkrótce po urodzeniu.

O córki nie musiała się martwić. Były spokojne, grzeczne, szybko wydali je za mąż, by wzmocnić sojusze z innymi królestwami. Nie tęskniła za nimi, najważniejsza była jej miłość do męża.

Dlatego cierpiała w milczeniu, choć rozdzierał ją ból, gdy król zakochał się w Ani, tancerce, która zaraziła go śmiertelną chorobą. Nie pozwoliła, by z jej ust wyrwało się choć słowo wyrzutu, by cokolwiek zepsuło jej związek z królem.

Nie miała czasu dla Maanu, tak pochłaniało ją uczucie do męża.

Teraz czekała ją śmierć, była pewna, że Maanu nie daruje jej życia. Była taka samolubna! Czy Bóg jej wybaczy?

Na korytarzu rozległy się energiczne kroki i gniewny głos Maanu:

- Chcę zobaczyć mojego ojca!
- Król umarł - odpowiedział strażnik.
- Więc zostałem władcą Edessy - stwierdził zimno. - Marwuz! Wyprowadź królową.
- Nie synu, jeszcze nie. Moje życie jest w twoich rękach, najpierw jednak pogrzebiemy Abgara jak króla. Pozwól mi wypełnić jego ostatnią wolę.

Do następcy tronu na uginających się nogach podszedł Tycjusz, wyciągając w jego stronę zwój pergaminu.

- Mój król, Abgar, podyktował mi swe ostatnie życzenia - powiedział cicho skryba.

Marwuz szepnął coś do ucha Maanu, ten omiół wzrokiem komnatę i zobaczył, że służący, skrybowie, medyk, strażnicy i dworzanie przyglądają się tej scenie w pełnym napięciu oczekiwaniu. Nie może pozwolić, by poniosła go nienawiść, nie może zrazić do siebie przyszłych poddanych, bo zaczną szemrać i knuć przeciwko niemu. W tej chwili dotarło do niego, że matka znów nad nim góruje. Zaprażył ją zabić, tu, na miejscu, własnymi rękami, musiał jednak poczekać i pochować swojego ojca, jak przystało na króla.

- Czytaj więc, Tycjusz - rozkazał.

Skryba drżącym z przejęcia głosem powoli odczytał ostatnią wolę Abgara. Maanu przełykał ślinę, czerwony z gniewu i bezsilności.

Abgar rozkazał, by urządzono mu chrześcijański pochówek i by cały dwór modlił się za jego duszę. Na nabożeństwo powinien stawić się Maanu, towarzysząc matce.

Przez trzy dni i trzy noce jego ciało ma spoczywać w pierwszej świątyni. Następnie orszak, prowadzony przez Maanu i królową, uda się do królewskiego grobowca.

Tycjusz czuł, że głos więźnie mu w gardle. Popatrzył na królową, potem na Maanu. Z fałd szaty wyjął kolejny pergamin.

- Jeśli pozwolisz, panie, przeczytam również, jakie dyspozycje zostawił Abgar swemu następcy.

Przez pełną ludzi komnatę przebiegł szmer zaskoczenia.

Maanu zazgrzytał zębami, myśląc, że ojciec nawet po śmierci nie daje mu spokoju.

Ja, Abgar, król Edessy, rozkazuję memu synowi, Maanu, następcy tronu, by szanował chrześcijan, zezwalając im na trwanie przy ich praktykach religijnych. Czynię go również odpowiedzialnym za bezpieczeństwo jego matki, królowej, której życie jest mi tak drogie. Królowa może wybrać miejsce, w którym zechce zamieszkać, będzie traktowana z szacunkiem, niczego jej nie zabraknie.

Ty, mój synu, będziesz gwarantem mej woli. Jeśli nie spełnisz mych ostatnich rozkazów, Bóg cię ukarze i nie zaznasz pokoju ani za życia, ani po śmierci.

Wszystkie spojrzenia powędrowały ku nowemu władcy.

Maanu trząśnięty z wściekłości. Zamiast niego przemówił Marwuz:

- Pożegnamy Abgara zgodnie z jego wolą - oświadczył spokojnie. - Teraz zaś niech każdy wróci do swych obowiązków.

Dworzanie zaczęli się rozchodzić. Królowa, blada i opanowana, czekała, aż syn zdecyduje o jej losie.

Gdy komnata opustoszała, Maanu wycedził:

- Nie wyjdiesz stąd, matko, dopóki cię nie wezwę. Nie będziesz z nikim rozmawiała. Ani z dworzanami, ani z posłami. Zostaną przy tobie dwie służące. A ty, Marwuzie, będziesz odpowiedzialny za wypełnienie moich rozkazów.

Maanu szybko wyszedł z komnaty. Dowódca gwardii zbliżył się do królowej.

- Pani, lepiej będzie, jeśli posłuchasz rozkazów króla.

- Nie sprzeciwiam im się, Marwuzie.

Królowa wpatrywała się w niego tak intensywnie, że zawstydzony mężczyzna spuścił wzrok i czym prędzej opuścił komnatę.

Maanu wydał bardzo dokładne polecenia: Abgar zostanie pochowany tak, jak sam zadysponował, w chwilę po zamurowaniu jego grobu zaś straż zatrzyma najważniejszych chrześcijańskich przywódców i prowodyrów, znienawidzonych Josara i Tadeusza. Zostaną też zburzone wszystkie świątynie, w których gromadzą się chrześcijanie na modlitwy. Ponadto - i tym miał zająć się Marwuz - święta tkanina trafi do pałacu.

Królowej nie pozwolono wyjść z komnaty aż do trzeciego dnia po śmierci Abgara. Zwłoki jej męża spoczywały przez ten czas na katafalku, ustawionym pośrodku pierwszej świątyni, którą Abgar kazał zbudować ku chwale nowego Boga.

Straże czuwały przy królu, lud Edessy zaś złożył mu ostatni hołd, przybywając wspominać człowieka, który przez dziesięciolecia zapewniał im pokój i dostatek.

- Jesteś gotowa, pani?

Marwuz przybył, by zaprowadzić królową do świątyni.

Stamtąd, wraz z Maanu, miała iść w orszaku do grobowca, w którym spocznie Abgar.

Królowa założyła najpiękniejszą tunikę i najcenniejsze klejnoty. Włosy przykryła bogato haftowaną chustą. Wyglądała wspaniale, choć cierpienie naznaczyło jej piękną twarz.

Niewielka chrześcijańska świątynia nie mogła pomieścić wszystkich wiernych. Przybył cały dwór i dygnitarze Edessy.

Królowa poszukała wzrokiem Josara i Tadeusza, nie mogła ich jednak wypatrzeć w tłumie. Poczula niepokój. Gdzie podziewają się przyjaciele?

Maanu założył koronę Abgara. Zażądał, by na uroczystości obecni byli Tadeusz i Josar, lecz gwardziści nie mogli ich znaleźć.

Modlitwę rozpoczął młody uczeń Tadeusza, prowadzący ceremonię pogrzebową. Kiedy królewska świta miała rozpocząć marsz do grobowca, Marwuz podszedł do króla i szepnął:

- Panie, przeszukaliśmy domy najgorliwszych chrześcijan, lecz nigdzie nie natrafiliśmy na ślad płótna. Nigdzie nie ma też Tadeusza i Josara...

Zamilkł nagle, bo dostrzegł ich, jak śmiertelnie bladzi torują sobie drogę przez tłum. Królowa wyprostowała się i starając się za wszelką cenę powstrzymać łzy, wyciągnęła do nich rękę.

Josar popatrzył na nią z czułością, lecz nie odezwał się ani słowem. Milczał również Tadeusz.

Maanu wydał rozkaz, by kondukt ruszył.

Tłum szedł w ciszy do samego grobowca. Po zakończeniu ceremonii królowa modliła się przez kilka chwil. Kiedy zamurowano wejście do grobowca, Maanu pokazał coś na migi Marwuzowi, ten zaś dał znak strażnikom, którzy na oczach wszystkich rzucili się na Tadeusza i Josara i ich związali.

Poddani w jednej chwili zrozumieli, że Maanu nie uszanuje woli Abgara i będzie prześladował chrześcijan.

Wybuchła panika. Ludzie rzucili się do ucieczki, biegli szukać schronienia w swoich domach. Wielu wiedziało, że jeszcze tej nocy muszą uciekać z Edessy, byle dalej od Maanu.

Nie wszystkim jednak dane było uciec. Żołnierze palili i plądrowali domy najgorliwszych wyznawców Jezusa. Wielu pojmano i stracono bez sądu przed królewskim grobowcem.

Śmiertelny strach malował się na twarzy królowej, którą Marwuz włókł do pałacu. Widziała, jak prowadzono do lochów Tadeusza i Josara. Żaden z nich nie stawiał oporu, nie wypowiedzieli nawet słowa sprzeciwu.

Swąd spalenizny docierał aż na wzgórze, na którym stał pałac królewski. Krzyki niesły się nad miastem niczym skowyt zranionych zwierząt. Edessa zamarała w panicznym strachu, tymczasem Maanu w sali tronowej pił wino i napawał się widokiem przerażonych twarzy dworzan.

Królowa stała nieruchomo, patrząc na Josara i Tadeusza, którzy milczeli, z rękami związanymi za plecami, w tunikach podartych od uderzeń bata.

- Bij mocniej, chcę słyszeć, jak błagają o litość! - wykrzykiwał król.

Gwardziści pastwili się nad starcami, ci jednak nie wydali jęku, wzbudzając podziw dworzan i

jeszcze bardziej podsycając wściekłość króla.

Kiedy Tadeusz upadł, królowa krzyknęła. Na twarzy Josara łzy mieszały się z krwią, a plecy poznaczone były krwawymi pręgami.

- Dość już! Przestańcie! - błagała królowa.
- Jak śmiesz rozkazywać! - wrzasnął Maanu.
- Tchórze, dręczenie niedołęźnych starców uwłacza królewskiej godności!

Maanu wymierzył matce policzek. Ta zachwiała się i upadła. Przez salę przebiegł szmer zgrozy.

- Umrą tu, na oczach wszystkich, jeśli nie wyjawią mi, gdzie ukryli płótno. Umrą też ich pobratymcy, wszyscy, kimkolwiek są!

Gwardziści wprowadzili Marcjusza, za nim zaś dwóch przerażonych służących.

- Powiedział wam, gdzie ukryli płótno? - zwrócił się król do gwardzistów.
- Nie, królu.
- Chłostać go, dopóki nie zacznie mówić.

- Możemy go chłostać, ale nie piśnie słowa. Jego słudzy powiedzieli, że przed kilkoma dniami obciął sobie język.

Królowa popatrzyła na Marcjusza, po czym przeniosła wzrok na leżących na posadzce Tadeusza i Josara. Zrozumiała, że mężczyźni woleli się okaleczyć, niż pozwolić, by tortury skłoniły ich do wyjawienia tajemnicy świętego płótna.

Padła na kolana i wybuchnęła płaczem, bolejąc nad losem swych przyjaciół, wiedziała bowiem, że przyjdzie im drogo zapłacić za tę zuchwałość.

Maanu był purpurowy z gniewu. Podeszedł do niego przestraszony Marwuz.

- Królu mój, znajdziemy kogoś, kto wie, gdzie ukryli to płótno, przeczeszemy całą Edesę, znajdziemy go, choćby zapadł się pod ziemię...

Król nie zważał na jego słowa. Zbliżył się do matki, jednym szarpnięciem poderwał ją z ziemi i potrząsając nią, wykrzyczał:

- Więc ty mi powiedz, gdzie jest! Powiedz mi, bo i tobie wyrwę język!

Królowa szlochała spazmatycznie. Niektórzy co szlachetniejsi dworzanie płakali, kiedy padały

na nią ciosy wymierzone ręką jej syna. Gdyby żył Abgar, kazałby go zabić!

- Przestań, wasza królewska mość! - odważył się krzyknąć jeden z dworzan.
- Królu mój, uspokój się, nie bij swej matki! - błagał inny.
- Jesteś królem, musisz okazać łaskę! - przekonywał następny.

Marwuz złapał króla za ramię, kiedy ten szykował się do zadania kolejnego ciosu.

- Panie!

Maanu opuścił rękę i wsparł się na Marwuzie, zmęczony wybuchem. Czuł się upokorzony przez matkę i tych dwóch starców.

Marcjusz patrzył na tę scenę i błagał Boga, by okazał miłosierdzie, by się nad nimi zlitował. Pomyślał o cierpieniu Jezusa na krzyżu, o torturach, jakim poddali go Rzymianie i o tym, jak on im wybaczył. Poszukał w głębi serca wybaczenia dla Maanu, lecz jedynym uczuciem, na jakie mógł się zdobyć, była nienawiść.

Dowódca gwardii wydał rozkaz, by odprowadzono królową do jej komnat. Poprosił króla, by usiadł i podał mu puchar wina, które ten wypił łączywie.

- Muszą umrzeć - wysyczał Maanu, ocierając usta.
- Tak, umrą wszyscy - zapewnił go Marwuz.

Dał znak żołnierzom, ci zaś wywlekli nieprzytomnych Tadeusza i Josara. Marcjusz płakał bezgłośnie. Teraz wezmą się za niego. Król podniósł wzrok znad kielicha i spojrzał groźnie na architekta.

- Wszyscy umrzecie, chrześcijanie. Wasze domy, wasze pola, cały wasz dobytek rozdám moim wiernym poddanym. Ty, Marcjusz, zdradziłeś mnie podwójnie. Jesteś jednym z największych arystokratów Edessy, a oddałeś serce chrześcijanom, którzy rzucili na ciebie urok, tak cię otumanili, że obciąłeś sobie język. Znajdę tę waszą tkaninę i zniszczę ją. Zetrę w proch. Przysięgam ci to.

Na znak Marwuzza żołnierz wyprowadził Marcjusza.

- Król chce odpocząć. To był długi dzień - rzekł Marwuz do dworzan.

Kiedy zostali sami, Maanu wybuchnął płaczem. Matka odebrała mu rozkosz zemsty.

- Chcę, by królowa umarła - szlochał.

- Umrze, panie, musisz jednak trochę poczekać. Wpierw odnajdziemy całun i skończymy z wszystkimi chrześcijanami, potem przyjdzie kolej na królową.

Tej nocy krzyki strachu i trzask płonących domów docierały do każdego zakątka pałacu. Maanu nie wypełnił ostatniej woli ojca.

* * *

Sofia zatelefonowała do ojca Yvesa. Ten ksiądz ją intrygował.

Nie wiedziała dlaczego, odnosiła jednak wrażenie, że za jego otwartością i chęcią współpracy coś się kryje.

Pomyślała, że zaskoczy ojca Yvesa, jeśli zaprosi go na obiad, ten jednak nie wydawał się zdziwiony i odparł, że jeśli kardynał nie będzie go potrzebował w kancelarii, chętnie się z nią spotka.

I oto siedzieli w niedużej przytulnej trattorii nieopodal katedry.

- Cieszę się, że kardynał pozwolił księdzu przyjąć zaproszenie. Bo widzi ojciec, chciałabym porozmawiać o katedrze, o tym, co się tam niedawno wydarzyło.

Kapłan słuchał z uwagą, choć wynikało to raczej z grzeczności niż z prawdziwego zainteresowania.

- Ojcze, chciałabym usłyszeć prawdę. Czy wierzy ksiądz, że ten pożar był nieszczęśliwym wypadkiem?

- Kto jak kto, ale ja nie mogę kłamać... - powiedział z uśmiechem ojciec Yves. - Naturalnie, uważam, że był to wypadek, chyba że wie pani o czymś, o czym ja nie mam pojęcia.

Patrzył jej w oczy. Miał czyste, życzliwe spojrzenie, chociaż Sofia była pewna, że nie jest z nią szczery.

- Przypuszczam, że to skrzywienie zawodowe, ale nie wierzę w zbiegi okoliczności. W katedrze turyńskiej było ich zbyt wiele.

- Podejrzewa pani, że ktoś wzniecił pożar? Po co? I kto by się odważył podnieść rękę na Dom Boży?

- Staramy się to ustalić. Proszę nie zapomnieć, że mamy trupa, zwłoki młodego mężczyzny. Kim był? Co tam robił?

Sekcja zwłok ujawniła, że nie miał języka. W więzieniu siedzi jeszcze jeden niemowa. Pamięta ksiądz tę próbę kradzieży sprzed kilku lat? Nie trzeba być geniuszem, by dostrzec związek między tymi dwiema sprawami.

- Przepraszam, trochę się pogubiłem.. Mnie nie przyszłoby to do głowy. W końcu na świecie zdarzają się wypadki, zwłaszcza w budowlach tak starych jak katedra turyńska. A co do zwłok pozbawionych języka i niemego więźnia, cóż, nie wiem, co na to odpowiedzieć, nie wiem, jaki może istnieć między nimi związek.

- Szczerze powiedziawszy, nie wygląda ojciec na typowego księdza.

- Słucham?

- No cóż, kiedy tak rozmawiamy, odnoszę wrażenie, że nie mam do czynienia z pierwszym lepszym wikarym...

- Nadal nie rozumiem...

- Chciałam powiedzieć, że doceniam fakt, iż nie siedzi przede mną zwykły ksiądz, lecz ktoś wykształcony i inteligentny. Dlatego zależało mi na tym spotkaniu. Liczę na szczerłość i otwartość.

Sofia nie potrafiła ukryć, że zabawa w kotka i myszkę, jakiej próbował ojciec Yves, bardzo ją irytuje.

- Przykro mi, ale muszę wyprowadzić panią z błędu. Jestem tylko kapłanem i należymy do dwóch różnych światów. Rzeczywiście, miałem szczęście odebrać dobre wykształcenie, ale moja wiedza nie ma nic wspólnego z tym, o czym pani mówi. Nie jestem policjantem i nie potrzebuję się martwić oto, czy coś jest mniej, czy bardziej podejrzane.

Ton głosu księdza stał się szorstki. On też nie starał się zatuszować narastającej irytacji.

- Przykro mi, może jestem zbyt obcesowa, ale nie umiem prosić o pomoc.

- O pomoc? Mnie? W jaki sposób mógłbym pani pomóc?

- Czasem wystarczy drobiazg, coś, co naprowadzi nas na właściwy trop, pomoże znaleźć nitkę, która doprowadzi nas do rozwiązania zagadki. Będę z księdzem szczerą: nie wierzymy, że pożar wybuchł przypadkiem. Ktoś zaprószył ogień, nie wiemy tylko, dlaczego to zrobił.

- A w czym ja mógłbym pomóc? Proszę mówić konkretnie...

Sofia uświadomiła sobie, że popełniła błąd, oznajmiając mu wprost, że nie ma do niego zaufania.

- Chciałabym wiedzieć, co ksiądz sądzi o robotnikach pracujących w katedrze. Pracują dla kościoła od wielu miesięcy, czy żaden z nich nie zwrócił ojca uwagi? Może padły jakieś słowa, może zastanowił księdza jakiś gest? Dobrze by było, gdyby powiedział mi ksiądz coś o personelu kurii. Sama nie wiem... o sekretarce, stróżu, nawet o kardynale...

- Proszę pani, ja i wszyscy członkowie episkopatu pomagamy jak możemy karabinierom i pani

współpracownikom. Byłoby poważnym nadużyciem z mojej strony, gdybym dzielił się z panią podejrzeniami, jakie mam wobec robotników czy urzędników kurii. Nie mam do powiedzenia niczego, co nie zostało powiedziane, i jeśli uważa pani, że nie był to wypadek, należy przeprowadzić śledztwo. Nie muszę dodawać, że może pani liczyć na naszą pomoc. Szczerze powiedziawszy, nie rozumiem, jaką grę pani prowadzi. Chyba się pani domyśla, że powiem kardynałowi o tej rozmowie.

Powietrze między nimi iskrzyło od napięcia. Wyglądało na to, że ojciec Yves jest naprawdę zły. Sofia czuła się niezręcznie.

- Nie proszę, by mówił ksiądz źle o robotnikach lub współpracownikach... - wyjąkała.

- Naprawdę? Więc jedno z dwojga: albo uważa pani, że wiem o czymś, ale nie chcę powiedzieć, bo mam coś do ukrycia, albo domaga się pani nie wiem jakich szczegółowych informacji na temat budowlańców i moich współpracowników z kurii, i to natychmiast, tu i teraz, nie wiadomo w jakim celu.

- Nie zamierzałam wyciągać od pana plotek. Zmieńmy temat: dlaczego przyjął ksiądz zaproszenie na lunch?

- Dobre pytanie!

- Więc proszę na nie odpowiedzieć!

Kapłan wbił wzrok w Sofię. Jego spojrzenie było tak intensywne, że poczuła się nieswojo i zaczerwieniła.

- Wyglądała pani na poważną i kompetentną osobę.

- To nie jest odpowiedź.

- Owszem.

Żadne z nich nie tknęło jedzenia. Ojciec Yves poprosił o rachunek.

- To ja zapraszałam.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, zaprasza arcybiskupstwo.

- Cóż, myślę, że nie do końca się zrozumieliśmy. Jeśli to moja wina, proszę mi wybaczyć.

Ojciec Yves znów uważnie na nią popatrzył. Tym razem jednak w jego spojrzeniu nie było emocji.

- Zostawmy to więc - rzucił po chwili.

- Nie lubię niedomówień, wolałabym...

Przerwał jej niecierpliwym gestem ręki.

- Nieważne, nie wracajmy do tego.

Wyszli na ulicę. Świeciło blade słońce. Szli w milczeniu w stronę katedry. W pewnej chwili ksiądz Yves przystanął i znów spojrzał jej w oczy. Zaskoczona Sofia stwierdziła, że bezwiednie się uśmiechnęła.

- Zapraszam panią na kawę - powiedział.

- Na kawę? - Wydawało jej się, że się przesłyszała.

- Na co tylko ma pani ochotę. Na zgodę. Obawiam się, że byłem trochę szorstki. Są ludzie, którzy zawsze znajdą powód, by się posprzeczać, i mam wrażenie, że my właśnie tacy jesteśmy.

Sofia się roześmiała. Nie wiedziała, dlaczego ksiądz zmienił zdanie, ale była z tego zadowolona.

- Zgoda, wstąpmy gdzieś.

Gdy przechodzili przez jezdnię, wziął ją delikatnie pod ramię. Minęli katedrę, i nie odzywając się do siebie, doszli do starej kawiarni z drewnianymi stołami, gdzie po sali kręcili się szpakowaci kelnerzy.

- Jestem trochę głodny - wyznał ojciec Yves.

- Nic dziwnego, tak się ksiądz rozgniewał, że nic nie zjedliśmy.

- Zamówimy coś słodkiego?

- Nie jadam słodczy.

- W takim razie co?

- Tylko kawa.

Dali znak kelnerowi i usiedli, lekko zakłopotani, wpatrując się w siebie.

- Kogo pani podejrzewa, pani doktor?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Przecież to ona zamierzała go zaskakiwać.

- Na pewno chce ksiądz znowu o tym rozmawiać?

- Jeszcze jak!

- Zgoda. Nie podejrzewamy nikogo, nie mamy żadnych śladów, wiemy tylko, że części tej układanki do siebie nie pasują.

Valoni, mój szef, jest przekonany, że wypadki łączą się z relikwią.

- Z całunem turyńskim? Dlaczego?

- Bo w katedrze turyńskiej zdarzają się częściej niż we wszystkich kościołach Europy razem wziętych; bo całun znajduje się w katedrze turyńskiej; bo tak podpowiada Valoniemu intuicja.

- Ale, dzięki Bogu, całun nie ucierpiał. Jeśli mam być szczery, nie rozumiem, jaki jest związek między wypadkami, a tym płótnem.

- Intuicja i przeczucia... cóż, trudno dyskutować z takimi argumentami. Valoni jednak je ma i zaraził nimi wszystkich członków naszego zespołu.

- Czy sądzi pani, że ktoś chciałby po prostu zniszczyć całun, podobnie jak Pietę Michała Anioła? Jakiś nieszczęsny szaleniec, który chce zapisać się na kartach historii?

- Tak brzmiałaby najprostsza odpowiedź. A co ksiądz sądzi o tych nieszczęśnikach z wyrwanym językiem?

- Jest ich tylko dwóch, a przypadki, pani doktor, nawet jeśli trudno w to uwierzyć, się zdarzają.

- My uważamy, że niemowa w więzieniu... - Sofia w porę ugryzła się w język, bo mało brakowało, a wypaplałaby temu przystojnemu, ujmującemu księdzu szczegóły śledztwa.

- Proszę nie przerywać.

- Otóż uważamy, że niemy więzień coś wie.

- Domyślam się, że próbowano go przesłuchiwać.

- Nie może mówić i sprawia wrażenie, że nie rozumie, co się do niego mówi.

- Pewnie został przesłuchany pisemnie...

- Z marnym skutkiem.

- Pani doktor, a gdyby tak wszystkiego nie komplikować?

A jeśli założymy, że doszło do serii niebezpiecznych wypadków, za którymi nie kryje się nic tajemniczego?

Rozmawiali przez godzinę, ale Sofia nie dowiedziała się niczego ciekawego. Spędzili miło

czas, to wszystko.

- Jak długo zostanie pani w Turynie?
- Jutro wyjeżdżam.
- Proszę śmiało do mnie dzwonić, jeśli będę mógł się na coś przydać...
- Przedtem zastanowię się dwa razy. Nie mogę dopuścić, by ksiądz znów się na mnie pogniewał.

Rozstali się w przyjaźni. Ojciec Yves obiecał, że zadzwoni do niej, kiedy następnym razem będzie w Rzymie. Sofia zapewniła, że odezwie się, kiedy przyjedzie do Turynu. Ot, zwykła wymiana grzeczności.

* * *

Valoni zwołał zebranie na wczesne popołudnie. Chciał wyłożyć im plan mający doprowadzić do uwolnienia niemego więźnia.

Sofia przyszła ostatnia. Valoni odniósł wrażenie, że jest jakaś odmieniona. Atrakcyjna jak zawsze, lecz dziwnie promienna.

- Plan jest prosty - zaczął. - Wiecie już, że co miesiąc we wszystkich więzieniach zbiera się komisja, w której skład wchodzi sędzia i kurator, psychologowie, pracownicy opieki społecznej oraz naczelnik więzienia. Odwiedzają więźniów, szczególnie tych, których wyrok dobiega końca, którzy dobrze się sprawują i zasłużyli sobie na małe nagrody, jak na przykład przepustka. Jutro jadę do więzienia, by spotkać się z nimi. Chcę ich poprosić, by odegrali dla nas małe przedstawienie.

Zespół słuchał z uwagą.

- Zależy mi - ciągnął Valoni - by w najbliższym miesiącu członkowie komisji penitencjarnej zaszli do celi niemowcy i przeprowadzili rozmowę w jego obecności, jakby byli święcie przekonani, że nie rozumie ani jednego ich słowa. Poproszę kuratorkę i psychologa, by dyskusja prowadziła do ostatecznej zgodnej konkluzji, że nie ma sensu nadal trzymać niemego skazańca, skoro dobrze się sprawuje, nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa i zgodnie z prawem może skorzystać ze zwolnienia warunkowego. Lepiej go wypuścić niż obciążać kosztami utrzymania skarb państwa. Naczelnik uda, że ma pewne opory. Chcę, by scenę tę powtarzano podczas trzech czy czterech kolejnych wizyt, aż w końcu, naturalnym biegiem rzeczy, wypuszczą go na wolność.

- Czy mamy pewność, że wszyscy zgodzą się na współpracę? - zapytał Pietro.
- Minister rozmawiał już ze swoimi ludźmi. Nie wydaje mi się, by stawiali przeszkody, w

końcu nie chodzi o zbrodniarza czy terrorystę, tylko pospolitego złodziejaszka.

- Dobry plan - pochwaliła Minerva.

- Rzeczywiście - przyznał Giuseppe.

- To jeszcze nie wszystko. Mam niespodziankę dla Sofii. Dzwoniła do mnie Lisa, żona Johna Barry'ego. Lisa jest siostrą Mary Stuart, żony, wyjaśniam niewtajemniczonym, Jamesa Stuarta, który, gdyby ktoś jeszcze o tym nie słyszał, jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie. To przyjaciel prezydenta Stanów i połowy świata, oczywiście tej bogatszej. Na liście jego znajomych znajdują się najzamożniejsi biznesmeni i bankierzy. Sama śmietanka. Najmłodsza córka państwa Stuart, Gina, podobnie jak Lisa jest archeologiem i akurat przebywa w Rzymie, w domu ciotki. Poza tym sponsoruje wykopaliska w Herkulanum. Otóż Mary i James Stuartowie zamierzają za dwa tygodnie przyjechać do Rzymu. Lisa wyda kolację, na którą zaprosi wielu przyjaciół Stuartów mieszkających we Włoszech, wśród nich Umberta D'Alaquę. Tak się składa, że ja również jestem zaproszony i kto wie, może John i Lisa będą tak mili i zgodzą się, abyś przyszła i ty, Sofio.

Sofia się rozpromieniła. Nie ukrywała, jak bardzo jest zadowolona z perspektywy ponownego spotkania z D'Alaquą.

- Wydaje mi się, że już bliżej do tego człowieka podejść nie można - zakończył Valoni.

Po zebraniu Sofia zaczęła na szefa.

- To zastanawiające, że siostra Lisy jest żoną rekina finansjery - zaczęła.

- Nie, w gruncie rzeczy to dość proste. Ojciec Mary i Lisy jest profesorem historii średniowiecznej w Oksfordzie. Zresztą obie studiowały historię, tyle że Lisa poświęciła się archeologii, a Mary zainteresowała się średniowieczem, a więc poszła w ślady ojca. Lisa dostała stypendium doktoranckie we Włoszech, siostra często ją odwiedzała. Mary zaczęła pracować w domu aukcyjnym Sotheby's jako ekspert od sztuki średniowiecznej. Tym sposobem poznała paru ważniaków, wśród nich przyszłego męża. Pokochali się i pobrali. Lisa zaś spotkała Johna i za niego wyszła. Obie panie są chyba zadowolone z wyboru. Mary obraca się w najlepszym towarzystwie, Lisa cieszy się uznaniem w świecie naukowym. Siostra wspiera ją, podobnie jak swoją córkę, Ginę, dofinansowując wykopaliska.

Nie ma tu żadnej tajemnicy.

- Całe szczęście, że przyjaźnicie się z Johnem.

- Tak, to bardzo porządni ludzie. John to jedyny znany mi Amerykanin, którego nie interesuje wyścig szczurów i opiera się, kiedy oferują mu coraz bardziej atrakcyjne posady w innych krajach. Oczywiście korzysta z wpływów Stuartów, by przez tyle lat utrzymać swój angaż dyplomatyczny we Włoszech.

- Sądzisz, że zgodzą się, żebyś przyprowadził mnie na przyjęcie?
- Spróbuję ich przekonać. D'Alaqua wywarł na tobie duże wrażenie, prawda?
- Ogromne. Właśnie w takich facetach chcą się zakochiwać kobiety.
- Zakładam, że ty się jednak nie zakochasz.
- Uff, lepiej niczego nie zakładaj - roześmiała się Sofia.
- Ostrożnie, pani doktor, igrasz z ogniem!
- Nie martw się, Marco, mocno stoję na ziemi i nie zamierzam się od niej odrywać. Zresztą D'Alaqua jest poza moim zasięgiem, możesz spać spokojnie.
- Zadam ci osobiste pytanie. Jeśli uznasz, że wtrącam się w nie swoje sprawy, możesz mnie posłać do diabła. Co się dzieje z Pietrem?
- Nie zamierzam posyłać cię do diabła, tylko powiem prawdę: to koniec. Więcej z tego związku nie wyciśniemy.
- Powiedziałaś mu o tym?
- Umówiliśmy się na kolację właśnie po to, żeby o tym spokojnie porozmawiać. On nie jest głupi i wie, co się święci.
- Cieszę się.
- Cieszysz się? Z czego?
- Bo to nie jest facet dla ciebie. To dobry, porządny człowiek, ma fantastyczną żonę, która oszaleje ze szczęścia, odzyskując męża. Ty, Sofio, pewnego dnia powinnaś odejść od nas i zacząć karierę w innym środowisku, z lepszymi perspektywami. W gruncie rzeczy nasz wydział jest dla ciebie za ciasny.
- Nie mów tak! Wiesz, jaka jestem zadowolona z tej pracy. Nie chcę ani odchodzić, ani niczego zmieniać.
- Nie kłóć się ze mną. Wiesz, że mam rację. Ja umieram ze strachu na samą myśl o wyrwaniu się z tego ciepełka.

Wszedł Pietro, przerywając ich rozmowę. Valoni pożegnał się, ponieważ rano odlatywał do Turynu.

- Idziemy do ciebie? - zapytał Pietro.

- Nie, lepiej znajdziemy jakąś miłą restaurację.

Pietro zaprowadził ją do niewielkiej tawerny przy Trastavere.

Sofia uświadomiła sobie, że w tym samym miejscu jedli razem po raz pierwszy, kiedy ich związek dopiero kiełkował. Zamówili kolację i rozmawiali o błahostkach, odwracając uwagę, gdy trzeba będzie uderzyć w poważniejszy ton.

- Pietro...

- Spokojnie, wiem, co masz mi do powiedzenia, i zgadzam się z tobą.

- Wiesz?

- Każdy by się domyślił. W pewnych sprawach jesteś czytelna jak książka, nie umiesz udawać.

- Pietro, lubię cię, ale, bądźmy szczerzy, nie jestem w tobie zakochana, więc nie chcę mieć teraz żadnych zobowiązań. Pozostaniemy przyjaciółmi.

- Ja cię kocham. Musiałbym być ślepy, żeby się w tobie nie zakochać, wiem jednak, że nie dorastam...

Sofia przerwała mu, zakłopotana.

- Nie mów tak, nie gadaj głupstw, proszę.

- Jestem gliniarzem i wyglądam na gliniarza. Ty jesteś wykształconą kobietą i masz klasę. W dzinsach czy w kreacji od Armaniego, zawsze jesteś damą. Miałem wielkie szczęście, że podarowałaś mi trochę swojego czasu, ale wiedziałem, że pewnego dnia zamkniesz mi drzwi przed nosem i niestety ten dzień nadszedł. To D'Alaqua?

- Nawet na mnie nie spojrział! Nie, Pietro, nie chodzi o żadnego mężczyznę. Po prostu nasz związek niczego nam już nie przyniesie. Kochasz żonę, ja to rozumiem. To dobra kobieta, zresztą bardzo ładna. Nigdy się z nią nie rozwiedziesz, nie zniesiesz myśli o rozstaniu z dziećmi.

- Sofio, gdybyś postawiła mi ultimatum, odszedłbym od niej.

Zapadła cisza. Sofii zbierało się na płacz, opanowała się jednak. Była zdecydowana zerwać z Pietrem, nie poddawać się wzruszeniu, które kazałoby jej cofnąć decyzję, jaką powinna była podjąć dawno temu.

- Myślę, że rozstanie będzie lepsze dla nas obojga. Zostaniemy przyjaciółmi?

- Nie wiem.

- Dlaczego?

- Bo nie wiem. Szczerze powiedziawszy, nie jestem pewien, jak to zniosę. Nadal będziemy widywali się w pracy, a jednak nie wolno mi będzie o tobie myśleć, a pewnego dnia przyjdiesz i zwierzysz mi się, że w twoim życiu jest inny mężczyzna. Łatwo powiedzieć: „zostańmy przyjaciółmi”... Nie oszukujmy się, nie wiem, czy potrafię. A jeśli okaże się, że nie potrafię, postaram się znaleźć daleko od ciebie, zanim cię znenawidzę.

Te słowa zmartwiły Sofię. Musiała przyznać rację Valoniemu. Nie mylił się ani trochę, kiedy powtarzał, że to błąd, kiedy miesza się uczucia z pracą. Kości zostały rzucone, nie ma odwrotu.

- Raczej to ja odejdę. Zostanę w tej pracy do końca śledztwa, żeby się przekonać, na jakie tropy naprowadzi nas ten niemowa. Potem złożę wypowiedzenie i znajdę sobie inne zajęcie.

- Nie, to by było niesprawiedliwie. Wiem, że ty jesteś w stanie traktować mnie po koleżeńsku jak każdego z nas. To ja będę miał problem, znam siebie. Poproszę, żeby mnie przenieśli.

- Nie, nie, lubisz pracę w tym wydziale, to był duży skok w twojej karierze, nie pozwolę, żebyś zmarnował to przeze mnie. Marco jest zdania, że powinnam szukać innej drogi. Zresztą mnie samą kusi, by wziąć się do czegoś nowego. Wykładać na uczelni... Wybrać się na wyprawę archeologiczną... Kto wie, może się odważyć i otworzyć galerię sztuki? Czuję, że zamykam jakiś etap w życiu. Valoni zdaje sobie z tego sprawę, sam mnie zachęca, żebym poszukała czegoś nowego, i ma rację. Chcę cię tylko poprosić o przysługę: zrób, co możesz, żebym pociągnęła to jeszcze parę miesięcy, dopóki nie zakończymy śledztwa w sprawie pożaru. Bardzo cię proszę, pomóżmy sobie nawzajem jak najlepiej wykorzystać ten czas.

- Postaram się.

Pietro miał łzy w oczach. Sofia była zmieszana, nie sądziła, że aż tak ją kocha.

A może to tylko zraniona męska duma?

* * *

Izaz i Obodas łąpczywie pożerali ser i figi, które przyniósł im Tymeusz. Byli zmęczeni długą wędrówką i nieustannym lękiem, że dopadną ich żołnierze Maanu i zawiozą do Edessy.

Tymczasem zatrzymali się w domu Tymeusza w Sydonie.

Harran, przewodnik karawany, zapewnił ich, że pchnie gońca do Seninu z wiadomościami, że szczęśliwie zakończyli podróż.

Tymeusz ugościł ich serdecznie i kazał odpocząć, zanim opowiedzą mu o tym, co spotkało ich w podróży. Nie był zaskoczony ich przybyciem. Czekał na nich od miesiący, odkąd otrzymał list od Tadeusza, w którym ten zwierzał mu się ze swych obaw: Abgar podupadł na zdrowiu i jeśli umrze, nienawiść jego syna zwróci się przeciwko chrześcijanom. Nawet królowa nie zdoła im pomóc.

Starzec patrzył na nich ze współczuciem, wiedział, jak udręczone są ich dusze. zaproponował, by Izaz i olbrzym Obodas zatrzymali się u niego w domu, dzieląc małą izbę, jedyną, jaką miał prócz własnej, gdyż żył skromnie, bez zbytków, jak przystało prawdziwemu naśladowcy Jezusa.

Opowiedział im, że w Sydonie powstała niewielka wspólnota chrześcijańska. Wierni zbierają się popołudniami na modlitwy, potem zostają jeszcze jakiś czas, by posłuchać nowin ze świata - zawsze znajdzie się wędrowiec przynoszący wieści z Jerozolimy, lub krewniak z nowinami z Rzymu.

Izaz z uwagą słuchał starca, a kiedy obaj z Obodasem się posilili, poprosił Tymeusza o rozmowę w cztery oczy.

Obodas się obruszył. Dostał od Senina wyraźny rozkaz: nie spuszczać z oka młodego Izaza i go bronić.

Starzec Tymeusz, widząc wahanie w oczach olbrzyma, uspokoił go:

- Nie lękaj się, Obodasie. Mamy wywiadowców, którzy uprzedzą nas, jeśli ludzie Maanu trafią do Sydonu. Odpoczywaj w spokoju, ja tymczasem porozmawiam z Izazem. Będiesz nas widział z okna izby.

Obodas nie odważył się sprzeciwić starcowi. Poszedł do izby i usadowił się przy oknie, by dobrze widzieć Izaza.

Rozmawiali szeptem. Lekka poranna bryza niosła ich słowa w stronę morza. Obodas widział, jak zmienia się twarz starca słuchającego relacji chłopaka. Niedowierzenie, ból, strach... takie uczucia malowały się na pooranej zmarszczkami twarzy Tymeusza.

Kiedy Izaz skończył, Tymeusz mocno uściskał mu dłoń i pobłogosławił znakiem krzyża. Potem weszli do domu.

Tymeusz poszedł do izby, w której czuwał Obodas, i obaj młodzieńcy posłusznie, tak jak polecił im starzec, ułożyli się do snu: mieli odpoczywać aż do popołudnia, a wtedy spotkają się z małą grupką chrześcijan z Sydonu, ich nowej ojczyzny.

Wiedzieli już, że nigdy nie wrócą na ziemię swoich przodków.

Jeśli to zrobią, Maanu każe ich zabić, zanim przekroczą bramy miasta.

Tymeusz wszedł do świątyni przylegającej do domu. Tam, padłszy na kolana, modlił się do Boga, prosząc o natchnienie, co zrobić z tajemnicą, jaką powierzył mu Izaz i za jaką Josar, Tadeusz, Marcjusz i inni chrześcijanie oddali życie.

Teraz tylko on i Izaz wiedzą, gdzie ukryty został całun Pana.

Tymeusz martwił się, że pewnego dnia będzie musiał przekazać sekret innej osobie, bo jest już stary i wkrótce umrze. Izaz jest jeszcze młody, co się jednak stanie, kiedy osiągnie podeszły wiek? Może się zdarzyć, że Maanu umrze przed nimi, a wtedy chrześcijanie będą mogli wrócić do Edessy. A jeśli nie? Komu zaufać, komu powiedzieć o miejscu, w którym Marcjusz ukrył całun? Nie mogą zabrać tej tajemnicy do grobu.

Mijały godziny. Tymeusz nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. W końcu, kiedy nadeszło popołudnie, znaleźli go Izaz z Obodasem. Starzec podjął już decyzję.

Podniósł się powoli. Bolały go nogi, zdrętwiały kolana.

Uśmiechnął się do swoich gości, prosząc ich, by poszli za nim do domu wnuka, od którego odgradzał ich tylko niewielki sad.

- Janie! Janie! - zawołał Tymeusz.

Z pobielonego wapnem domu, obrośniętego dzikim winem, wyszła młoda kobieta z dzieckiem na rękach.

- Jeszcze nie wrócił, dziadku. Niebawem zawita, sam wiesz, że zawsze stawia się na czas modlitwy.

- To Alaida, żona mojego wnuka, a to ich mała córeczka, Miriam.

- Wejdźcie do środka, napijcie się wody z miodem - zaprosiła ich Alaida.

- Nie córuś, nie teraz. Nasi bracia wkrótce zaczną schodzić się na modlitwę. Chciałbym tylko, byście z Janem poznali tych dwóch młodzieńców, którzy u mnie zamieszkają.

Skierowali kroki do świątyni, gdzie kilka rodzin gawędziło przyjacielsko. Byli wśród nich wieśniacy i drobni rzemieślnicy, którzy przyjęli wiarę w Jezusa. Tymeusz przedstawiał im Izaza i Obodasa, prosząc obu młodzieńców, by opowiedzieli o swojej ucieczce z Edessy.

Izaz, nieco onieśmielony, zaczął mówić o ostatnich wydarzeniach w Edessie, i odpowiadać na pytania zadawane przez członków wspólnoty. Kiedy skończył, Tymeusz zwrócił się do wszystkich o modlitwę, by Jezus pomógł wiernym w osieroconym przez Abgara mieście. Zebrani pomodlili się, zaśpiewali dodające otuchy pieśni i podzielili chleb i wino przyniesione przez Alaide.

Jan był dobrze zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu, czarnowłosym, z gęstym czarnym zarostem. Spóźnił się na zebranie wspólnoty i przyszedł prosto do domu Tymeusza w towarzystwie Harrana i kilku innych mężczyzn z karawany, dźwigających tobołki.

- Senin, mój pan - zaczął Harran - chciał, bym wręczył wam te dary. Dzięki nim bez trudu wystarczy wam na wikt dla Izaza oraz jego opiekuna, Obodasa. Przysłała ci również sakiewkę złota, przyda wam się w trudnych chwilach.

Izaz z niedowierzaniem oglądał dary. Senin okazał się niezmiernie hojny. Przed wyjazdem jemu również dał woreczek złota, tyle, by nie musieli martwić się o byt do końca swoich dni.

- Dzięki, Harranie, przyjacielu. Modlę się, byś odnalazł Senina w równie dobrym zdrowiu, w jakim go zostawiłeś, i by nie padł ofiarą gniewu Maanu. Powiedz swojemu panu, że te dary, podobnie jak te, które przywiozłeś mi od królowej przed kilkoma miesiącami, przeznaczymy na pomoc biednym, tak jak nauczał nas Jezus, i na zapewnienie spokojnego bytu naszej skromnej wspólnoty. Mniemam, że zabawisz kilka dni w Sydonie, zanim wrócisz do Edessy, więc wystarczy mi czasu, by napisać list do Senina.

Izaza dręczyły koszmary. Widział twarze trawione płomieniem i ziemię grząską od krwi. Kiedy się obudził, był zlany potem.

Wyszedł do sadu, by odświeżyć się wodą ze studni. Mimo wczesnej pory znalazł tam Tymeusza przycinającego cytrynowe drzewko.

Starzec zaproponował mu spacer po plaży, by przywitać rześki poranek.

- Czy Obodas nie przestraszy się, kiedy się obudzi?

- Z pewnością. Ale poproszę Jana, by powiedział mu, dokąd poszliśmy. i w Wydawszy polecenia wnukowi, który mimo wczesnej pory wstał już i również zabrał się do pracy w sadzie, ruszyli na plażę.

Tego ranka Marę Nostrum, jak nazywali Rzymianie Morze Śródziemne, było wzburzone. Fale zaciekle uderzały o brzeg i wyrwały połacie piasku.

Izaz wpatrywał się w morze jak zaczarowany. Po raz pierwszy widział taki bezmiar wód i

wydało mu się, że jest świadkiem cudu.

- Izazie, Bóg chciał uczynić z nas depozytariuszy całunu swego syna. Całun musi pozostać tam, gdzie ukrył go Marcjusz, nieważne na jak długo. Z całą pewnością do czasu, aż Edessa stanie się na powrót miastem chrześcijan i będziemy pewni, że płótnu nic nie grozi. Być może ani ty, ani ja nie dożyjemy tego szczęśliwego dnia, więc po mojej śmierci musisz wybrać godnego człowieka, któremu można będzie powierzyć tę tajemnicę. Kiedy nadejdzie czas, przekaże on ją swemu następcy.

Jeśli Senin przeżyje, będzie nam przysyłał wiadomości o wszystkim, co dzieje się w królestwie. W każdym razie muszę wywiązać się z obietnicy, jaką złożyłem Tadeuszowi, twojemu wujowi Josarowi i królowej, kiedy przed kilkoma miesiącami wysłali do mnie list, by uprzedzić mnie, co może się wydarzyć po śmierci Abgara. Poprosili mnie wówczas, bym, cokolwiek będzie się działo, starał się, by ziarno Chrystusa nie zostało wywiane z Edessy, a jeśli przydarzy się najgorsze, miałem po odczekaniu odpowiedniego czasu znów posłać chrześcijan do miasta.

- Ale to oznaczałoby skazanie ich na śmierć.

- Ci, którzy się tam udadzą, nie będą obnosili się z naszą wiarą. Zadomowią się w królestwie, najmą do uczciwej pracy i spróbują odszukać chrześcijan, którzy ocaleli, by potajemnie odbudować wspólnotę. Nie chcemy wywoływać gniewu Maanu, ani rozpętywać prześladowań, tylko sprawić, by z zasianego ziarna rozrosło się drzewo wiary. Jezus tak chciał, sprawiając, że Josar zabrał jego całun do króla Abgara. On uświęcił tę ziemię swoją obecnością i cudami, których dokonał, my zaś musimy spełnić jego życzenia. Zaczekajmy na powrót Harrana z karawaną, wtedy postanowimy, co i kiedy należy zrobić. Musisz jednak wiedzieć, że całun nigdy nie powinien opuszczać Edessy i trzeba się starać, by wiara w Jezusa nigdy w tym mieście nie zgasła.

Z oddali zmierzała ku nim zwalista postać, Obodas. Olbrzym był zaniepokojony i nieco rozgoryczony.

- Izazie i Tymeuszu, kpicie sobie ze mnie, ja zaś przysiągłem strzec Izaza. Jeśli stanie mu się coś złego, nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Obodasie, musieliśmy porozmawiać - powiedział Izaz.

- Nie będę ci przeszkadzał Izazie, kiedy zechcesz porozmawiać bez świadków z Tymeuszem lub kimkolwiek innym. Będę w pobliżu, żeby mieć cię na oku, ale dość daleko, by cię nie słyszeć. Nie wychodź jednak bez słowa, bo utrudniasz mi wypełnianie obowiązków.

Izaz dał słowo, że odtąd będzie tak postępował. Z czasem miał zaufać Obodasowi bardziej niż komukolwiek na świecie.

Addai siedział za wielkim drewnianym stołem. Jego rosła sylwetka budziła respekt.

Był łysy, ale po zmarszczkach wokół oczu i kącików ust można było odgadnąć, że nie jest już młody. Miał sękatę rękę, a pod pergaminową skórą rysowała się siatka niebieskich żyłek.

W pokoju były dwa okna, lecz ciężkie kotary nie przepuszczały ani promyka słońca. Wnętrze tonęło w półmroku.

Po obu stronach wielkiego stołu stały po cztery krzesła z wysokimi oparciami, na których zasiadało ośmiu na czarno ubranych mężczyzn. Siedzieli sztywno, utkwivszy wzrok w gładkim blacie.

Przed nimi stał Zafarin. Drżał. Tylko obecność ojca powstrzymywała go przed rzuceniem się do ucieczki.

Odźwierny wpuścił do sali kobiety - matkę Zafarina i jego żonę, Ajat.

- Zaczekajcie tu - wskazał im miejsce obok drzwi.
- Poniosłeś klęskę - zwrócił się Addai do niemowy.

Jego donośny głos odbił się echem od drewnianych ścian, pod którymi stały regały wypełnione książkami. Zafarin pochylił głowę, a na jego twarzy malował się ból. Jego ojciec zrobił krok do przodu i bez lęku spojrzał Addaiowi w oczy.

- Oddałem ci dwóch synów - rzekł. - Obaj byli odważni, złożyli ofiarę z własnego ciała, godząc się na okaleczenie, pozbyli się języków dla dobra wspólnoty. Będą niemi do końca życia, dopóki Bóg, Nasz Pan, nie wezwie ich w dniu Sądu Ostatecznego. Nasza rodzina nie zasłużyła na takie traktowanie. Od wieków najlepsi spośród nas poświęcają życie Jezusowi Zbawcy. Jesteśmy ludźmi, Addaiu, tylko ludźmi, dlatego czasem ponosimy porażki. Mój syn twierdzi, że w naszych szeregach jest zdrajca, który wie, kiedy nasze misje wyruszają do Turynu i dokładnie zna twoje plany. Zafarin to bystry chłopak. Sam upierałeś się, by podobnie jak Mendibh, kształcił się na uniwersytecie. Porażka ma początek tu, w naszym łonie. Addaiu, musisz wytropić zdrajcę, który uwił wśród nas gniazdo. Zdrada gości w naszej wspólnotie od lat, tylko tak można wyjaśnić fakt, że dotychczas nie powiodła się żadna próba odzyskania tego, co do nas należy.

Addai słuchał w milczeniu, i choć na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, w spojrzeniu płonął gniew, powstrzymywany największym wysiłkiem. Ojciec Zafarina podszedł do stołu i podał Addaiowi plik kartek zapisanych po obu stronach.

- Proszę, oto zapis wydarzeń. Mój syn dzieli się z tobą również swoimi podejrzeniami.

Addai nawet nie spojrzał na kartki. Wstał i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem, zasepiony i milczący. W końcu zdecydowanym krokiem podszedł do Zafarina i stanął naprzeciwko niego z zaciśniętymi pięściami. Wydawało się, że za chwilę uderzy młodego człowieka w twarz, opanował się jednak i opuścił ręce.

- Wiesz, co oznacza to niepowodzenie? Miesiące! Całe miesiące, a może nawet lata czekania, zanim podejmiemy kolejną próbę. Policja prowadzi drobiazgowo śledztwo, niektórzy z naszych ludzi mogą zostać zatrzymani, a jeśli zaczną mówić, co wtedy?

- Przecież oni nie znają prawdy, nie wiedzą, w czym brali udział - stanął w obronie Zafarina ojciec.

- Milcz! Co ty o tym wiesz? Nasi ludzie we Włoszech, w Niemczech, w innych krajach wiedzą dokładnie tyle, ile trzeba, i jeśli wpadną w ręce policji, ta wydusi z nich zeznania, i w końcu dotrze aż do nas. Co wtedy zrobimy? Obetniemy sobie języki, żeby nie zdradzić Naszego Pana?

- Stanie się tak, jak zechce Bóg - podsumował ojciec Zafarina.

- Nieprawda. To nie wola Boża, to rezultat nieporadności i głupoty tych, którzy nie potrafią wypełnić jego rozkazów. Zresztą, może to moja wina, że nie potrafię wybrać najlepszych ludzi do misji powierzonej nam przez Chrystusa.

Otworzyły się drzwi i ten sam niepozorny człowiek wprowadził kolejnych młodych mężczyzn. Im również towarzyszyli ojcowie.

Rasit, drugi niemowa, i Dermisat, trzeci, padli sobie z Zafarinem w objęcia, co jeszcze bardziej rozeźliło Addaia.

Zafarin nie wiedział, że jego koledzy dotarli już do Urfy.

Addai nakazał milczenie krewnym i przyjaciołom, by cała trójka nie spotkała się, zanim nie staną przed nim.

Przemówili ojcowie Rasita i Dermisata, błagając w imieniu swoich synów o wyrozumiałość i łaskę. Wyglądało na to, że Addai ich nie słucha, wydawał się nieobecny, w milczeniu rozpamiętywał porażkę.

- Odpokutujecie za grzechy, jakie waszym nieudacznictwem popełniście wobec Pana - powiedział w końcu.

- Nie wystarczy ci, że dali sobie obciąć języki? Jak jeszcze chcesz ich ukarać? - odważył się zapytać ojciec Rasita.

- Jak śmiesz ze mną dyskutować! - wykrzyknął Addai.

- Nie, niech Bóg broni! Wiesz, że jesteśmy wierni Panu i posłuszni tobie. Proszę cię tylko o miłosierdzie i współczucie - pospiesznie zapewnił ojciec Rasita.

- Jesteś naszym pasterzem - wtrącił ojciec Dermisata. - Twoje słowo jest prawem, niech się stanie twoja wola, bo przemawiasz w imieniu Pana.

- Padli na kolana, modląc się z pochylonymi głowami. Cóż jeszcze mogli zrobić? Pozostało im czekać na wyrok.

Żaden z ośmiu mężczyzn siedzących za stołem nie odezwał się słowem. Na znak pasterza

wyszli z pokoju, pozwalając mu zamknąć milczący pochód. Przeszli obradować do innego pomieszczenia.

- Co wy na to? - zapytał Addai. - Uważacie, że naprawdę jest wśród nas zdrajca?

Złowieszcze milczenie całej ósemki tylko podsyciło irytację pasterza.

- Nie macie nic do powiedzenia? Nic, po tym wszystkim, co się stało?

- Addaiu, jesteś naszym pasterzem, wybrańcem Pana, to ty nas musisz oświecić - odezwał się jeden z nich.

- Tylko wy znaleźcie cały plan. Tylko wy znacie naszych ludzi. Który z nich jest zdrajcą?

Wśród mężczyzn dało się zauważyć pewne poruszenie, czuli się nieswojo, nie wiedząc, czy słowa pasterza są tylko prowokacją, czy oskarżeniem. To oni, obok Addaia, byli filarami wspólnoty, to ich rodowody sięgały wieki wstecz, ich przodkowie zawsze pozostawali wierni Jezusowi, swojemu miastu i posłannictwu.

- Jeśli jest między nimi zdrajca, zginie.

Mężczyźni byli zaniepokojeni oświadczeniem Addaia, wiedzieli, że stać go na wymierzenie takiej kary. Pasterz był zacnym człowiekiem, żył skromnie, rok w rok pościł przez czterdzieści dni na pamiątkę postu Jezusa na pustyni. Pomagał wszystkim, którzy zwrócili się do niego o pomoc, dając pracę, pożyczając pieniądze czy łagodząc rodzinne niesnaski. Cieszył się w mieście dużym szacunkiem, sądzono, że jest prawnikiem, w każdym razie tak o sobie mówił.

Podobnie jak ośmiu towarzyszących mu mężczyzn Addai od dzieciństwa żył w ukryciu. Modlił się w samotności, z dala od oczu sąsiadów i przyjaciół, gdyż był depozytariuszem tajemnicy, która decydowała o ich życiu, tak jak rządziła życiem ich rodziców i dziadków.

Wolałby nie sprawować tej trudnej i odpowiedzialnej funkcji, ale gdy wybór padł na niego, przyjął ją z godnością, składając te same śluby, jakie od wieków składali jego poprzednicy: wypełni wolę Chrystusa.

Jeden z mężczyzn w czerni odchrząknął. Addai pozwolił mu zabrać głos.

- Mów, Talacie.

- Nie pozwólmy, by podejrzania roznieciły ogień, który strawi zaufanie, jakie do siebie mamy. Nie wierzę, że w naszych szeregach jest zdrajca. Stawiamy czoło potężnym i inteligentnym siłom, dlatego niełatwo nam odzyskać to, co do nas należy. Musimy zabrać się do pracy i obmyślić nowy plan, a jeśli i tym razem się nie powiedzie, spróbujemy znowu. To Pan zdecyduje kiedy.

Talat zamilkł. Siwizna wyglądała na jego włosach jak śnieg, zmarszczki przydawały

dostojeństwa.

- Okaż łaskę tym trzem wybranym - poprosił żarliwie inny mężczyzna, kiedy Addai dopuścił go do głosu, wzywając po imieniu: Bakkalbasi.

- Łaskę? Więc ty, Bakkalbasi, wierzysz, że bycie litościwymi nas ocali? - Addai skrzyżował ręce na piersi i westchnął ciężko. - Czasem myślę, że popełniliście błąd, wybierając mnie na przywódcę wspólnoty, że nie jestem pasterzem, jakiego potrzebuje Chrystus w takich czasach i okolicznościach. Poszczę, odprawiam pokutę i gorąco proszę Boga, by mnie oświecił i wskazał drogę, ale Jezus nie odpowiada, nie daje mi żadnego znaku... - Głos Addaia zdradzał desperację. - Jak długo będę pasterzem, będę postępował i działał zgodnie z nakazami sumienia, w jednym tylko celu: chcę przywrócić naszej wspólnoty to, co dał jej Chrystus, dbając o dostatek, ale przede wszystkim o bezpieczeństwo nas wszystkich. Bóg nie chce widzieć nas martwymi, jak długo możemy służyć mu życiem. Nie potrzebuje więcej męczenników.

- Co chcesz z nimi zrobić? - zapytał Talat.

- Przez jakiś czas pozostaną w odosobnieniu, modląc się i poszcząc. Będę się im przyglądał, a kiedy uznam, że już pora, wrócą do swoich rodzin. Muszą jednak odpokutować za tę klęskę. Ty, Bakkalbasi, wielki matematyku, zajmiesz się rachunkami.

- Jakie rachunki mam zrobić, Addaiu?

- Chcę, byś się zastanowił, czy jest wśród nas zdrajca.

- Więc wierzysz w to, co mówi ojciec Zafarina?

- Tak, i nie ma co przeczyć faktom. Znajdziemy zdrajcę i go zabijemy.

Mężczyźni w czerni poczuli dreszcz strachu. Wiedzieli, że Addai nie rzuca słów na wiatr.

Kiedy wrócili do sali, w której czekali niemi, znaleźli całą szóstkę, ojców i synów, klęczących ze spuszczoneymi głowami, zatopionych w modlitwie. Addai i mężczyźni w czerni usiedli na krzesłach.

- Wstańcie - rozkazał Addai klęczącym.

Dermisat szlochał cicho. Twarz Rasita przesłaniał cień gniewu, Zafarin zaś, jako jedyny, był spokojny.

- Odpokutujecie porażkę czterdziestodniowym odosobnieniem, poszcząc i modląc się o miłosierdzie. Zostaniecie tu ze mną. Będziecie pracowali w sadzie, dopóki starczy wam sił. Gdy przyjdzie czas, powiem wam, co robić dalej.

Zafarin posłał ojcu zatroskane spojrzenie. Ten przemówił w jego imieniu:

- Pozwolisz im pożegnać się z rodzinami?

- Nie. Pokuta już się rozpoczęła.

Addai potrząsnął dzwonkiem. Po chwili wszedł człowiek, który otwierał im drzwi.

- Gunerze, odprowadź ich do kwater z oknami wychodzącymi na sad. Daj im ubrania robocze i przynieś wodę i soki. To wszystko, co będą spożywali. Wy tłumacz im, jaki jest rozkład dnia i zwyczaje. Żegnajcie.

Mężczyźni uściskali swoich ojców. Pożegnanie nie trwało długo, by nie wystawiać na próbę cierpliwości pasterza. Kiedy wyszli z Gunerem, Addai rozkazał:

- Wróćcie do swoich domów i rodzin. Za czterdzieści dni usłyszycie wieści od swoich synów.

Mężczyźni pokłonili się, pocałowali go w rękę i z szacunkiem skinęli głowami ośmiu pasterzom, którzy trwali za stołem bez ruchu, niczym przemienieni w kamienie.

Kiedy wyszli oskarżeni i ich rodziny, oni również opuścili pokój. Addai poprowadził ich korytarzem tonącym w półmroku do niskich drzwi. Prowadziły do kaplicy, z której nie wyszli nawet po zapadnięciu ciemności.

Mimo zmęczenia Addai nie mógł zasnąć. Choć skórę na kolanach miał otartą do krwi od wielu godzin klęczenia, czuł potrzebę, by nadal się umartwiać. Trawił go gniew. Gniew, którego nigdy nie zdołał wytrzebić ze swojej duszy. Szatan tarzał się z radości, popychając go ku grzechowi śmiertelnemu.

Bóg wie, jak bardzo Addai go kocha. Ale czy Bóg wybaczy mu gniew?

Kiedy Guner wślizgnął się bezszelestnie do pokoju, świt już ustąpił porankowi. Wierny sługa przyniósł filiżankę kawy i dzbanek zimnej wody. Pomógł Addaiowi podnieść się z klęczek i usiąść na jedynym krześle w tym ascetycznie urządzonym wnętrzu.

- Dziękuję, Gunerze, ta kawa pomoże mi zmierzyć się z nowym dniem. Co robią pokutnicy?

- Od jakiegoś czasu pracują w sadzie. Są smutni, zupełnie jakby mieli popękane dusze. Ich powieki spuchły od płaczu.

- Nie zgadzasz się ze mną, że to słuszna kara, prawda?

- Jestem twoim pokornym sługą.

- Nie, nie mów tak! Jesteś moim jedynym przyjacielem, bardzo mi pomagasz, dobrze o tym wiesz...

- Służę ci, Addaiu, wiernie ci służę. Matka oddała mnie na służbę, kiedy skończyłem dziesięć

lat. Uważała, że to dla niej zaszczyt, by jej syn ci służył. Na łożu śmierci prosiła mnie, bym zawsze się o ciebie troszczył.

- Twoja matka była świętą.
- Była prostą kobietą, która przyjęła nauki swoich ojców, o nic nie pytając i w nic nie wątpiąc.
- Czyżbyś ty wątpił w naszą wiarę?

- Nie, Addaiu, wierzę w Boga i Pana Naszego Jezusa Chrystusa, powątpiewam jednak w sens tego szaleństwa, któremu oddajecie się od wieków, wy, pasterze naszej wspólnoty. Boga czci się sercem.

- Więc masz chęć kwestionować to, co stanowi podwaliny naszej wspólnoty? Ośmielasz się twierdzić, że święci pasterze, moi poprzednicy, błędzili? Uważasz, że łatwo jest wypełnić nakazy naszych przodków?

Guner spuścił głowę. Wiedział, że Addai go potrzebuje i że kocha go jak brata. Guner był jedyną osobą tak dobrze znającą pasterza. Po tylu latach służby wiedział, że tylko w jego obecności Addai bywa taki, jaki jest naprawdę - popędliwy starzec przytłoczony ciężarem odpowiedzialności, który nikomu nie ufa i nadużywa władzy. Wobec wszystkich, ale nie wobec Gunera, który prał jego bieliznę, czyścił ubrania, dbał o porządek w sypialni. Gunera, który jako jedyny widywał go z zaropiałymi oczami, spoconego po ataku gorączki. Który znał jego słabości i widział wysiłki, jakie Addai czynił, by ukryć słabości pod pancierzem majestatu, kiedy stawał przed szczerymi, niewinnymi duszami, przychodzącymi do niego po pociechę.

Guner nigdy nie odszedłby od Addaia. Złożył śluby czystości i posłuszeństwa, a jego rodzina, to znaczy rodzice, jak długo żyli, a potem bracia i bratankowie, cieszyli się bezpieczeństwem materialnym, jakim wynagradzał ich Addai, i z oddaniem służyli wspólnocie.

Już od czterdziestu lat stał przy pasterzu, poznał go więc jak samego siebie. Ten mężczyzna budził w nim lęk, mimo nici zaufania, jaka połączyła ich z biegiem lat.

- Sądzisz, że jest wśród nas zdrajca?
- Niewykluczone.
- Masz jakieś podejrzenia?
- Nie.
- A jeśli będziesz je miał, i tak nic mi nie powiesz, prawda?

- Nie powiem nic, jeśli nie będę miał pewności. Nie chcę skazywać nikogo na podstawie podejrzeń.

Addai spojrział mu w skupieniu w oczy. Zazdrościł Gunerowi jego dobroci, powściągliwości, myśląc, że w gruncie rzeczy lepiej niż on sam nadawałby się na pasterza, że ci, którzy go wybrali, popełnili wielki błąd, zwiedzeni jego rodowodem, tym absurdalnym, odwiecznym zwyczajem wynagradzania potomków wielkich ludzi i dawania im, częstokroć niezasłużonych, synekur.

Guner wywodził się ze skromnej chłopskiej rodziny. Jego przodkowie, podobnie jak przodkowie Addaia, niewzruszenie trwali przy tajemnicy wyznania.

A gdyby tak zrezygnował z zaszczytów i honorów? Gdyby zwołał radę i mianował Gunera swoim następcą? Nie, nie pozwolił mu na to, pomyślał, że postradał rozum. W gruncie rzeczy nie mijaliby się z prawdą, zaczynał odchodzić od zmysłów, walcząc ze swoją ludzką naturą, starając się ujarzmić gniew, pokazując się wiernym tylko z jednej strony. Uchodził za człowieka, z którego emanuje pewność siebie. Jego misją była troska o tajemnicę wspólnoty, oni zaś tego właśnie po nim oczekiwali.

Z bólem wspominał dzień, w którym jego ojciec, wzruszony do łez, odprowadził go do domu jego poprzednika, staruszka Addaia.

Ojciec, miejscowy prominent, zakonspirowany wojownik w obronie prawdziwej wiary, powtarzał mu, że jeśli będzie się dobrze sprawował, pewnego dnia zastąpi pasterza. On odpowiadał z dziecięcą butą, że wcale tego nie chce, że woli biegać po sadach i ogrodach i podkraść chłopom owoce, kąpać się w rzece i posyłać zalotne spojrzenia koleżankom, które razem z nim budziły się do życia.

Wpadła mu w oko córka sąsiadów, słodka Rania, dziewczyna o migdałowych oczach i ciemnych włosach, o której marzył w mroku swojej sypialni.

Matka szykowała jednak dla niego inną przyszłość, więc ledwie trochę wydorósł, zabrali go do domu starca Addaia, gdzie zamieszkał i złożył śluby przygotowujące go do misji, do której, jak go przekonywali, był namaszczony przez samego Boga. To nie on zdecydował, że zostanie Addaiem.

Jego jedynym przyjacielem przez cały ten bolesny okres był Guner, który milczał, gdy jego przyszły pan wymykał się spod rodzicielskiej kontroli i zakradał pod dom Ranii, by ją podglądać.

Guner, podobnie jak on, był więźniem woli swoich rodziców, których szanował i którym był posłuszny. Ubodzy wieśniacy znaleźli dla swojego syna, a tym samym dla całej rodziny, los lepszy niż praca w polu od świtu do nocy. Rodzice Addaia zaś zapewnili synowi zaszczyty, na jakie zasłużył ktoś z tak zacnego rodu.

Obydwaj mężczyźni nie sprzeciwili się woli rodziców, na zawsze rezygnując z samych siebie.

Jan znalazł Obodasa w sadzie, przekopującego grządkę.

- Gdzie Tymeusz?

- Rozmawia z Izazem. Uczy go, by pewnego dnia stał się dobrym przewodnikiem wspólnoty.

Obodas otarł pot z czoła i poszedł za Janem do domu.

- Przybył Harran z karawaną - oznajmił Jan.

- Harran! Jakże się cieszę! Wyjdźmy mu naprzeciw - wykrzyknął Izaz, zrywając się na równe nogi.

- Jeszcze nie, Izazie. To nie jest karawana Senina, choć podróżuje z nią Harran.

- Co to oznacza? Na Boga, Janie, mam złe przeczucia...

- Tak, lepiej żebyś się wszystkiego dowiedział. Harran został oślepiiony. Kiedy wrócił do Edessy, Maanu kazał mu wyłupić oczy. Jego pana, Senina, zamordowali, a ciało rzucili na pożarcie pustynnym lwom. Harran przysięgał, że nic o tobie nie wie, że zostawił cię w porcie Tyr, że do tej pory musiałeś już dobiec do Grecji, ale to tylko podsyciło furję Maanu.

Izaz zalał się łzami. Czuł się winny nieszczęsnego losu Harrana. Tymeusz serdecznie uściskał jego ramię.

- Poszukamy go w karawanseraju i sprowadzimy tu. Zostanie z nami, jeśli tego zapragnie.

- Długo prosiłem, by przyszedł ze mną wprost do ciebie, ale odmówił. Chciał, byś wpieryw dowiedział się o jego nieszczęściu. Nie chce, byś czuł się w obowiązku mu pomagać.

Izaz, a wraz z nim Obodas i Jan, udali się do karawanseraju.

Kręciło się tam kilku przewodników karawan, jeden z nich wytłumaczył im, gdzie znajdują Harrana.

- Tę karawanę prowadzi krewny Harrana, tylko dlatego udało mu się bezpiecznie dotrzeć do celu. Harran nie ma już w Edessie nikogo. Jego żona i dzieci zostały zamordowane, jego pan zaś, Senin, zmarł od tortur na placu, na oczach mieszczan, którzy zebrali się, by patrzeć na jego mękę. Maanu okrutnie ukarał wszystkich przyjaciół Abgara.

- Ale Harran nie był przyjacielem Abgara...

- Ale był nim jego pan, Senin, a ten nie chciał wyjawić królowi, gdzie ukryty jest całun Jezusa. Maanu zburzył dom Senina, spalił jego dobytek, a nawet złożył na wielkim stosie ofiary ze zwierząt gospodarskich i kazał wychłostać niewolników. Potem niektórym ucięto ręce, innym nogi, Harrana zaś pozbawiono oczu. Wiadomo, że przewodnikowi karawany potrzebny jest dobry wzrok, by bezpiecznie prowadził wielbłądy przez pustynię. Harran powinien się cieszyć, że uszedł z życiem z tej jatki.

Kiedy znaleźli Harrana, siedział na ziemi. Izaz rzucił się, by go uściskać.

- Harran, przyjacielu!

- To ty, Izazie?

- Tak, to ja, Harranie, przyszedłem po ciebie. Zabierzemy cię do domu, zaopiekujemy się tobą, niczego ci nie zabraknie.

Tymeusz serdecznie powitał Harrana. Kazał Janowi gościć go w swoim domu, dopóki nie zbudują oddzielnej izby, którą zajmą we trzech, z Izazem i Obodasem.

Harran uspokoił się, gdy usłyszał, że przygarną go przyjaciele i nie będzie musiał wędrować po świecie, zebrząc. Łamiącym się głosem opowiedział im, jak Maanu kazał spalić domy chrześcijan, nie uszanował nawet najmożniejszych rodów, jeśli ich członkowie wyznawali wiarę w Chrystusa. Nie okazał miłosierdzia ani starcom, ani kobietom, ani dzieciom. Krew niewiniątek splamiła białe marmury miasta, z którego wiatr nie wywiał jeszcze odoru śmierci.

Obodas zadrżał. Z trudem panując nad głosem, zapytał o swoją rodzinę, ojca i matkę, służących Senina i chrześcijan takich jak on.

- Nie żyją. Przykro mi, Obodasie.

Łzy popłynęły po policzkach olbrzyma. Nie udało się go uspokoić nawet Tymeuszowi i Izazowi.

Izaz długo ociągał się z zadaniem pytania, co się stało z wujem Josarem i Tadeuszem.

- Josar podzielił los Senina, został zabity na placu - odpowiedział Harran. - Maanu chciał, by śmierć możnych była ostrzeżeniem dla całego miasta, żeby wiedziano, iż nie ulituje się nad chrześcijanami, kimkolwiek są... Josar nie ugiął się mimo cierpienia, nawet jęk nie wydostał się z jego ust.

Maanu udał się na miejsce kaźni i zmusił królową, by asystowała przy tym okrutnym widowisku.

Na nic zdały się prośby królewskiej matki. Padła na kolana, błagając o życie Josara, gdy tymczasem król upajał się widokiem jej upokorzenia. Tak mi cię żal, Izazie... Boleję nad tym, że przynoszą tak straszne wieści.

Młodzieniec z trudem powstrzymywał łzy. Wszyscy mieli powód do rozpacz. Wszyscy zostali skrzywdzeni i stracili swoich najbliższych. Izaz poczuł bolesny skurcz w żołądku, tym dotkliwszy, im większa budziła się w nim chęć zemsty.

Starzec Tymeusz przyglądał mu się, świadomy wewnętrznej walki, jaką toczy chłopak.

- Zemsta nie jest rozwiązaniem - powiedział spokojnie. - Wiem, że obaj odetchnęlibyście z

ulgą, gdyby Maanu spotkała zasłużona kara, gdybyście mogli ujrzeć, jak cierpi. Zapewniam was, że poniesie karę, albowiem będzie musiał rozliczyć się ze swych czynów przed Bogiem.

- Czy nie mówiłeś, Tymeuszu, że Bóg jest nieskończonym miłosierdziem? - zapytał Obodas przez łązy.

- Jest również nieskończoną sprawiedliwością.

- A królowa? Czy przeżyła? - Izaz bał się, jaką odpowiedź usłyszy.

- Od śmierci twego wuja nikt jej nie widział. Służący z pałacu zapewniają, że umarła ze smutku, a Maanu kazał ją porzucić na pustyni, by jej ciałem nasyciły się zwierzęta. Inni zaś utrzymują, że król kazał ją zamordować. Nikt jej jednak nie widział.

- Pomódlmy się, prosząc Boga, by wykorzenił gniew z naszych serc, by pomógł nam znieść cierpienie z powodu utraty drogich nam ludzi - powiedział Tymeusz.

* * *

Noc przesycona była zapachem kwiatów. Przestronny taras poddasza w górującym nad miastem apartamentowcu wypełniali goście. Rzym rozpościerał się u ich stóp, migocząc tysiącem światła.

Lisa była zdenerwowana. John rozzłościł się, kiedy po przyjeździe ze Stanów oświadczyła mu, że postanowiła wydać przyjęcie na cześć Mary i Jamesa i że zaprosiła również Valoniego i Paolę.

Mąż zarzucił jej, że jest nielojalna w stosunku do własnej siostry.

- Powiesz Mary, dlaczego zaprosiłaś Valoniego? Naturalnie, że nie powiesz, bo nie możesz i nie powinnaś tego robić. Marco to nasz przyjaciel i jestem gotów mu pomóc, ale to nie znaczy, że trzeba w to mieszać rodzinę, a już na pewno ty nie powinnaś się wtrącać. Liso, jesteś moją żoną, nie mam przed tobą żadnych tajemnic, błagam cię tylko, żebyś nie wtrącała się do mojej pracy, podobnie jak ja trzymam się z daleka od twojej. Nie wyobrażałem sobie, że zechcesz posłużyć się własną siostrą. W dodatku w jakim celu? Co cię obchodzi pożar w katedrze?

To była ich pierwsza poważna kłótnia od lat. John wzbudził w niej poczucie winy. Zdała sobie sprawę, że zachowała się lekkomyślnie, by sprawić przyjemność przyjacielom.

Mary nie miała zastrzeżeń co do listy gości, która nadeszła pocztą elektroniczną. Jej siostrzenica Gina również nie zdziwiła się, przeczytawszy: Marco Valoni z żoną Paolą. Wiedziała, że to dobrzy znajomi wujostwa. Spotkała się z nimi przy jakiejś okazji i oboje sprawiali wrażenie miłych i sympatycznych ludzi. Zapytała tylko, kim jest ta pani doktor Galloni, która ma towarzyszyć Valonim. Ciotka wyjaśniła jej, że to naukowiec, pracuje w policji, a inspektor Valoni bardzo ją ceni. Gina nie zadawała więcej pytań.

Czterej kelnerzy roznosili tace z napojami. Kiedy Valoni w towarzystwie dwóch pań, Paoli i Sofii, przekroczył próg domu, nie potrafił ukryć zaskoczenia: dwóch ministrów, kardynał, kilku dyplomatów, wśród nich ambasador Stanów Zjednoczonych, znani biznesmeni i pół tuzina naukowców, przyjaciół Lisy, nie licząc kilku archeologów, znajomych Giny.

- Nie powiem, żebym czuł się tu jak ryba w wodzie - mruknął.
- Ja również - odparła Paola. - Ale już za późno, żeby się wycofać.

Sofia szukała wzrokiem Umberta D'Alaquy. Stał, zajęty rozmową z piękną, ubraną ze smakiem blondynką, bardzo podobną do Lisy. Śmiali się, widać było, że dobrze się czują w swoim towarzystwie.

- Witajcie! Paolo, wyglądasz olśniewająco. A to pewnie pani doktor Galloni. Bardzo mi miło - przywitał ich John.

Marco wyczuł, że przyjaciel czuje się niezręcznie. Był jakiś nieswój, odkąd Lisa wysłała do nich zaproszenie na to przyjęcie. Nie zachęcał ich do przyjścia, a nawet starał się dać im do zrozumienia, że ta impreza raczej nie będzie wydarzeniem towarzyskim sezonu. Valoni zastanawiał się, skąd się bierze ta rezerwa.

W ich stronę zmierzała rozpromieniona Lisa. Kiedy podeszła, okazało się, że jest spięta nie mniej niż John. Może to tylko moja obsesja? Wszędzie węszyć spiski, pomyślał Valoni. Jednak uśmiech Lisy był sztuczny, oczy Johna zaś zdradzały niepokój.

Na ich spotkanie wyszła również Gina, a wtedy ciotka poleciła jej, by przedstawiła ich reszcie gości.

John zauważył, jakie wrażenie robi Sofia na mężczyznach.

Wszyscy wodzili za nią wzrokiem, nawet kardynał. Szybko przyłączyła się do grupki utworzonej przez dwóch ambasadorów, ministra, kilku biznesmenów i bankiera.

W długim białym żakiecie od Armaniego, z rozpuszczonymi jasnymi włosami, za jedyną biżuterię mając kolczyki z maleńkimi brylancikami i zegarek od Cartiera, była bez wątpienia najpiękniejszą kobietą na przyjęciu.

Rozmowa toczyła się wokół wojny w Iraku i minister zapytał ją o zdanie.

- Obawiam się, że się panu narażę, ale jestem zdecydowanie przeciwna. Moim zdaniem Saddam Husajn nie stanowi zagrożenia dla nikogo, z wyjątkiem własnego narodu.

Był to jedyny głos sprzeciwu, co przyczyniło się do ożywienia dyskusji. Sofia wysuwała kolejne argumenty przeciwko atakowi na Irak i udzieliła wszystkim szybkiej lekcji historii.

Wszyscy słuchali jej z uwagą.

Tymczasem Marco i Paola rozmawiali z archeologami, przyjaciółmi Giny, którzy również odnosili wrażenie, że znaleźli się nie w swoim świecie. Sofia nie spuszczała z oka blondynki swobodnie dyskutującej z D'Alaquą. Skorzystała z okazji, że John podchodzi do ich grupki, by przeprosić rozmówców i podejść do Valoniego, Paoli i Lisy.

W tym momencie blondynka odwróciła się i pomachała do nich z uśmiechem.

- To moja szwagierka, Mary Stuart - wyjaśniła Lisa.

- Bardzo do ciebie podobna - przyznał Valoni. - Przedstawisz nas?

Sofia opuściła głowę. Wiedziała, że szef prowadzi jakąś grę.

Mary Stuart rozmawiała z D'Alaquą, nadarzała się więc wspaniała okazja, by zbliżyć się do tego człowieka.

Lisa podprowadziła całą grupkę do miejsca, gdzie stała Mary Stuart z D'Alaquą i jeszcze trzy inne pary. Sofia wbiła wzrok w D'Alaquę, któremu nawet nie drgnęła powieka.

Czyżby jej nie rozpoznał?

- Mary, pozwól, że ci przedstawię dwójkę naszych najlepszych przyjaciół, to Marco i Paola Valoni, oraz pani doktor Galloni, która zechciała im towarzyszyć.

Blondynka posłała im szeroki uśmiech, po czym uprzejmie zaprosiła do rozmowy i jeszcze raz się przedstawiła. D'Alaqua skinął głową, uśmiechając się obojętnie kącikiem ust.

- Bardzo mi miło. Czy państwo, podobnie jak moja siostra, są archeologami? - zapytała uprzejmie Mary Stuart.

- Nie, Mary. Marco jest szefem najbardziej artystycznego wydziału w policji, Paola wykłada na uniwersytecie, Sofia zaś pracuje z Markiem.

- Artystyczny wydział w policji? A cóż to takiego?

- To specjalna jednostka. Prowadzimy dochodzenia w sprawach przestępstw związanych z dziełami sztuki. Kradzieże cennych obrazów, fałszerstwa, przemyt...

- Ależ to fascynujące! - wykrzyknęła bez większego zainteresowania Mary Stuart. - Właśnie rozmawialiśmy o Chrystusie El Greca, który został wystawiony na aukcji w Nowym Jorku. Staram się wydusić z Umberta, czy go kupił...

- Niestety nie - odpowiedział D'Alaqua. - A jak toczy się pani śledztwo? - zwrócił się do Sofii.

Mary i pozostali goście popatrzyli na nich zaskoczeni.

- Znacie się? - zdziwiła się Mary.

- Tak. Przed kilkoma tygodniami pani doktor gościła u mnie w Turynie. Pewnie słyszeliście o pożarze w katedrze. Policja badała wówczas, w jakich okolicznościach do niego doszło.

- A co ty masz z tym wspólnego? - zainteresowała się Mary.

- Moja firma prowadzi renowację katedry. Pani doktor próbuje ustalić, czy przyczyną pożaru była czyjaś nieostrożność, czy też było to podpalenie.

Valoni przygryzł wargę. Musiał przyznać, że D'Alaqua doskonale nad sobą panuje. Zupełnie jakby starał się zademonstrować, że jest niewinny.

- Proszę powiedzieć, pani doktor, czy to mogło być podpalenie? - zapytała jedna z kobiet, księżna, która nieraz gościła na stronach plotkarskich magazynów.

Sofia spojrzała na D'Alaquę z wyrzutem. Niepotrzebnie dał wszystkim do zrozumienia, że ona jest tu trochę nie na miejscu, jak gdyby wprosiła się na to przyjęcie. Wyglądało na to, że Paola i Valoni również czują się skrępowani.

- Kiedy w jakimś miejscu dochodzi do wypadku, tak jak w katedrze, w której zgromadzone są niezliczone dzieła sztuki, mamy obowiązek zbadać wszystkie okoliczności.

- Czy są już pierwsze ustalenia? - nie dawała za wygraną księżna.

Sofia popatrzyła błagalnie na Valoniego.

- Widzi pani - zaczął komisarz - nasze działania są dość rutynowe. Włochy to kraj obdarzony ogromnym dziedzictwem kulturowym, naszym zadaniem jest je ochraniać.

- Tak, ale...

Lisa nie pozwoliła księżnej drażnić tematu, wzywając kelnera z tacą zastawioną kieliszkami. John, korzystając z zamieszania, delikatnie wziął Valoniego pod ramię i poprowadził do innej grupki gości. Paola podążyła za mężem. Sofia jednak stała, jakby wrosła w ziemię, wciąż patrząc na D'Alaquę.

- Sofio - odezwała się Lisa - chcę ci przedstawić profesora Rosso. Nadzoruje wykopaliska w Herkulanum.

- W czym się pani specjalizuje, pani doktor? - zapytała Mary.

- Zrobiłam doktorat z historii sztuki, a wcześniej dyplom z filologii klasycznej i włoskiej. Mówię biegle po angielsku, francusku, hiszpańsku, grecku i dosyć dobrze po arabsku.

Powiedziała to z dumą i natychmiast tego pożałowała. Zbyt późno zrozumiała, że się ośmiesza. Chciała zrobić wrażenie na bogaczach, których tak naprawdę nic a nic nie obchodziło, kim ona jest i ile wie. Była wściekła, że jest obserwowana jak rzadki okaz owada przez wszystkie te piękne, zadbane kobiety i ustosunkowanych mężczyzn.

Lisa znów podjęła próbę odciążenia Sofii do innej grupki gości.

- Liso, pozwól nam nacieszyć się rozmową z panią doktor.

Słowa D'Alaqua zaskoczyły Sofię. Lisa poddała się i odeszła.

Sofia i D'Alaqua zostali sami.

- Zauważyłem, że jest pani odrobinę spięta. Dlaczego?

- Dobry z pana obserwator. Nie wiem dlaczego...

- Niepotrzebnie. Nie powinna też czuć się pani urażona, kiedy Mary zapytała o pani zajęcie. To nadzwyczajna kobieta, inteligentna i wrażliwa, w jej pytaniu nie było podtekstów, może mi pani wierzyć.

- Jestem pewna, że ma pan rację.

- Przyszli państwo tylko po to, by spotkać się ze mną. Chyba się nie mylę?

Zuchwałe stwierdzenie D'Alaqua wywołało rumieńce na twarzy Sofii. Znów czuła się, jakby przyłapano ją na podkradaniu herbatników ze słoika.

- Niezupełnie. Mój przełożony jest przyjacielem Johna Barry'ego, ja zaś...

- Pani zaś wyszła z mojego gabinetu, wiedząc dokładnie tyle, ile wiedziała pani przedtem. Zaaranżowaliście więc wraz z przełożonym to „przypadkowe” spotkanie. Niestety, to intryga szyta zbyt grubymi nićmi.

Sofia płonęła ze wstydu. Nie była przygotowana ani na ten pojedynek, ani na bezceremonialność rozmówcy, który uświadamiał jej niezręczność sytuacji, wyraźnie rozbawiony jej zakłopotaniem.

- Niełatwo się z panem spotkać.

- Ma pani rację. Proszę więc korzystać z okazji i pytać, o co tylko pani chce.

- Jak już powiedziałam, podejrzewamy, że wypadek w kościele został przygotowany i mógł to zrobić jedynie ktoś z pańskiej firmy. Po co?

- Wie pani doskonale, że nie znam odpowiedzi na to pytanie. Pani natomiast ma jakieś

podejrzenia. Najprościej będzie, jeśli się pani nimi ze mną podzieli, a wtedy zobaczymy, czy mogę być pomocny.

Stojący w drugim końcu tarasu Valoni i Lisa ze zdumieniem obserwowali rozmawiających. Lisa, starając się ukryć zdenerwowanie i niesmak, jakim napawała ją ta sytuacja, postanowiła uwolnić D'Alaquę od towarzystwa Sofii.

- Wybacz, Sofio, ale inni przyjaciele Umberta nie mogą się doczekać, by z nim porozmawiać. Mój szwagier James dopytuje się o ciebie, Umberto...

Sofia poczuła się upokorzona. Lisa obraziła ją, nawet jeśli nie miała tego zamiaru.

- Liso, to ja nie pozwalam pani doktor odejść i jeśli pozwolisz, zatrzymam ją jeszcze przez chwilę. Od dawna nie prowadziłem tak zajmującej konwersacji.

- Naturalnie, przepraszam, ja tylko... Gdybyście czegoś potrzebowali...

- Noc jest taka piękna, wy z Johnem cudownie zajmujecie się gośćmi... Jestem wam wdzięczny, że mnie zaprosiliście, dziękuję, Liso.

Lisa patrzyła to na jedno, to na drugie, niewiele rozumiejąc z całej tej sytuacji, i w końcu dała im spokój. Podeszła do Johna i szepnęła mu coś na ucho.

- Dziękuję - powiedziała Sofia.

- Ależ pani doktor, niech pani nie umniejsza swojej wartości.

- Nie sądzę, by mi się to kiedykolwiek zdarzało.

- Tego wieczoru, owszem.

- Nasza obecność na tym przyjęciu to pudło - westchnęła Sofia.

- Wyszło zbyt ewidentnie - przyznał D'Alaqua. - Zdenerwowanie naszych gospodarzy zdradza, że wyreżyserowali to przedstawienie. Dziwne, że Mary i James o tym wiedzieli...

- O niczym nie wiedzieli. Zachodzą w głowę, po co ich siostra nas tu zaprosiła. Przykro mi, popełniliśmy błąd.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

- Pytanie? Jakie pytanie?

- Jakie ma pani podejrzenia?

- Że ktoś chce ukraść relikwię. Nie wiemy jeszcze, czy tylko ukraść, czy zniszczyć, nie ulega

jednak wątpliwości, że to z powodu całunu wybuchł pożar, zresztą w przeszłości, przy okazji licznych pożarów w katedrze...

- To interesująca teoria - przerwał jej D'Alaqua. - Teraz proszę zdradzić, kogo państwo podejrzewają, kto byłby zdolny ukraść lub zniszczyć całun, a przede wszystkim, po co?

- Tego właśnie dotyczy nasze śledztwo.

- Nie mają państwo dowodów, które potwierdzałyby te domysły, prawda?

- Nie - przyznała Sofia.

- Pani doktor, czy uważa pani, że ja mógłbym chcieć zniszczyć całun turyński?

W słowach D'Alaquy pobrzmiwała kpina, która coraz bardziej peszyła Sofię.

- Tego nie powiedziałam. Nie jest pan o nic podejrzany, lecz niewykluczone, że któryś z pana pracowników może być zamieszany w ten wypadek.

- O ile mi wiadomo, pan Lazotti, szef kadr COCSY, nie odmówił państwu współpracy?

- Nie mamy żadnych zastrzeżeń. Był bardzo życzliwy i skuteczny, przysłał nam obszerny raport i wszystkie dane, o jakie go prosiłam.

- Pozwolę sobie zadać jeszcze jedno pytanie: czego państwo oczekiwali, pani przełożony i pani, po dzisiejszym spotkaniu?

Sofia opuściła wzrok i by ukryć zmieszanie, upiła łyk szampana. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Człowiekowi tak poważnemu jak D'Alaqua nie mogła przecież wyznać, że kieruje się intuicją. Czuli, że została przeegzaminowana i że oblała ten egzamin, bo jej odpowiedzi na pytania D'Alaquy nie były zadowalające.

- Miałam nadzieję, że uda mi się z panem porozmawiać, i że wiele będzie zależało od tego, co pan powie...

- Czy nie pora na kolację? - zapytał nagle.

Spojrzała na niego zaskoczona. D'Alaqua wziął ją pod ramię, kierując się w stronę bufetu. Podeszedł do nich James Stuart w towarzystwie ministra finansów.

- Umberto, właśnie zastanawiamy się z Horacjem, jaki wpływ może mieć ptasia grypa w Azji na notowania na europejskich giełdach...

Przez dobrą chwilę D'Alaqua rozprawiał na temat kryzysu w azjatyckiej gospodarce, ku zaskoczeniu Sofii, włączając ją do rozmowy. Sama nie wiedząc kiedy, dała się wciągnąć w ciekawą dyskusję z ministrem finansów, obalając niektóre argumenty Stuarta. D'Alaqua słuchał jej wywodów

z wyraźnym uznaniem.

Tymczasem Marco Valoni nie mógł wyjść z podziwu, że jego podwładna bryluje wśród tak ważnych osobistości, zauważył też, z jakim skupieniem słucha jej Umberto D'Alaqua.

- Państwa znajoma to zachwycająca osoba! - radosny głos Mary Stuart przywrócił Valoniego do rzeczywistości.

A może sprawił to kuksaniec, ukradkiem wymierzony przez żonę?

- O tak, zgadzam się - poparła ją Paola. - To bardzo inteligentna dziewczyna.

- W dodatku piękna - dodała Mary. - Nigdy nie widziałam, by jakaś kobieta tak bardzo przykuła uwagę Umberta.

Musi być rzeczywiście niezwykła, skoro poświęca jej tyle czasu. Widać, że dobrze się czuje w jej towarzystwie, jest wyraźnie zrelaksowany.

- To kawaler, prawda? - zapytała Paola.

- Tak. Nigdy nie potrafiliśmy zrozumieć, dlaczego się nie ożenił. Przecież niczego mu nie brakuje: przystojny, wykształcony, majątny... Nie wiem, dlaczego wy, Liso i Johnie, nie mielibyście się z nim zaprzyjaźnić.

- Mary, świat Umberta to nie jest nasz świat. Podobnie jak ty nie należysz do naszego świata, chociaż jesteś moją siostrą.

- Ależ Liso, nie mów głupstw.

- To nie są głupstwa. W moim codziennym życiu, w mojej pracy, nie ma ministrów, finansistów ani nawet biznesmenów. Podobnie ma się rzecz z Johnem.

- Nie oceniaj ludzi według tego, jakie stanowisko zajmują.

- Wcale tego nie robię. Mówię tylko, że jestem archeologiem, więc w kręgu moich znajomych nie ma wiodących polityków.

- Więc powinnaś zbliżyć się z Umbertem, pasjonuje go archeologia, sfinansował kilka wykopalisk i jestem przekonana, że łączy was niejedno - nalegała Mary.

Sofia i Umberto D'Alaqua usiedli do stołu wraz z resztą gości. D'Alaqua nadskakiwał Sofii, której zdawało się to sprawiać przyjemność. Valoni chciał zamienić z nią parę słów, zapytać, o czym rozmawiała, czy dowiedziała się czegoś istotnego. Nie zamierzał jednak do nich podchodzić, intuicja mówiła mu, że powinien zachowywać się dyskretnie.

Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy Paola przypomniwała mu, że następnego dnia będzie musiała

bardzo wcześnie wstać.

O ósmej ma pierwszy wykład, nie chciała być zmęczona.

Valoni poprosił, by to ona podeszła do Sofii, by się z nią pożegnać.

- Sofio, już wychodzimy, czy chcesz, żebyśmy odwieźli cię do domu?
- Dziękuję, Paolo, tak, tak, wracam z wami.

Sofia oczekiwała, że D'Alaqua zatrzyma ją i zaproponuje odwiezienie, ale nic takiego nie nastąpiło. Podniósł się i pocałował ją w rękę. W podobny sposób pożegnał się z Paolą.

Kiedy byli już przy drzwiach, zerknęła na taras. Umberto D'Alaqua zajęty był rozmową. Poczowała ukłucie rozczarowania.

Ledwie zdążyli wsiąść do samochodu, Valoni pofolgował swojej ciekawości.

- No więc, pani doktor, co takiego wyjawiał ci ten wielki człowiek?
- Nic.
- Jak to?
- Nic mi nie powiedział, poza tym, że każdy by się domyślił, że przyszliśmy na to przyjęcie tylko po to, by go spotkać i przyprzeć do muru. Poczulałam się, jakby ktoś przyłapał mnie in flagranti. A na dodatek zapytał mnie bezczelnie, czy podejrzewamy go o złe zamiary wobec turyńskiej relikwii.
- Tylko tyle?
- Przez resztę wieczoru rozmawialiśmy o ptasiej grypie, cenach ropy naftowej, sztuce i książkach.
- Sprawialiście wrażenie bardzo zadowolonych ze swojego towarzystwa - zauważyła Paola.
- Było bardzo miło, ale to wszystko.
- On wydawał się wręcz uszczęśliwiony - nie dawała za wygraną Paola.
- Zamierzacie spotkać się ponownie? - zapytał Valoni.
- Nie, nie sądzę. Było przyjemnie, ale nic poza tym.
- Touchee?
- Gdybym podchodziła do tego bardziej emocjonalnie, powiedziałabym, że tak, ale jestem

dorośla, więc mam nadzieję, że rozum weźmie jednak górę.

- Wszystko jasne, touchee! - skostatował Marco, nie starając się ukryć uśmiechu.
- Pasujecie do siebie - orzekła Paola.
- Jesteście kochani, ale nie będę robiła sobie nadziei.

Mężczyzna taki jak Umberto D'Alaqua nie interesuje się kobietami takimi jak ja. Nie mamy ze sobą wiele wspólnego.

- Wprost przeciwnie, macie wiele wspólnego. Mary opowiadała, że to miłośnik sztuki, bierze nawet udział w wyprawach archeologicznych, które sam finansuje. A ty, gdybyś miała jakieś wątpliwości, nie tylko jesteś bystra i wykształcona, ale również bardzo atrakcyjna, prawda, Paolo?

- Rzeczywiście, nawet Mary Stuart stwierdziła, że nigdy nie widziała, by D'Alaqua tak nadszkakiwał jakiejś kobiecie.

- Dobrze, dobrze, zmieńmy temat. W każdym razie dał mi jasno do zrozumienia, że wprosilimy się na to przyjęcie. Mam nadzieję, że nie poskarży się jakiemuś ministrowi na naszą natarczywość.

* * *

Deszcz lał strumieniami. Sześciu mężczyzn, wygodnie rozpartych na skórzanych kanapach w bibliotece, rozmawiało z ożywieniem.

Na kominku trząsał ogień, obrazy holenderskich mistrzów zdobiące ściany wskazywały na wyrobiony gust właściciela.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich starszy człowiek, wysoki i chudy. Sześciu mężczyzn podniosło się i jeden po drugim uściskali przybysza.

- Wybaczcie spóźnienie. O tej porze w Londynie panuje duży ruch. Nie mogłem się wymówić od brydża u księcia i jego przyjaciół, naszych braci.

Delikatne pukanie do drzwi zaanonsowało nadejście służącego, który zabrał serwis do kawy i zaproponował całej siódemce coś do picia. Kiedy zostali sami, starzec powiedział:

- Podsumujmy więc to, co wiemy.

- Addai ukarał Zafarina, Rasita i Dermisata za niepowodzenie akcji - odezwał się ciemnowłosy mężczyzna. Był w średnim wieku, z sumiastym wąsem, dobrze ubrany, mówił

nienaganną angielszczyzną, postawą i zachowaniem przypominał żołnierza. - Zamknął ich na farmie na przedmieściach Urfy. Kara potrwa czterdzieści dni, jednak mój człowiek zapewnia, że Addaiowi to nie wystarczy, że szykuje coś jeszcze. Co do wysłania nowych ludzi, nie podjął decyzji, niemniej wcześniej czy później to zrobi. Niepokoi go Mendibh, ten, który siedzi w więzieniu. Addai miał sen, że z winy Mendibha nieszczęście dotknie całą naszą wspólnotę. Mój człowiek martwi się, twierdzi, że od tamtego snu Addai prawie nic nie je i źle wygląda, jest rozkojarzony. W takim stanie może podjąć jakąś nieprzemyślaną decyzję.

Mężczyzna zamilkł. Starzec dał znak innemu z obecnych, że nadeszła jego kolej.

- Policja, a zwłaszcza specje z tego wydziału sztuki, wiedzą bardzo dużo, nie potrafią jednak posłużyć się tą wiedzą, bo nie wierzą, że są tak blisko odpowiedzi.

Popatrzyli na niego przejęci i zaintrygowani. Starzec skinął głową, by mówił dalej.

- Podejrzewają, że nic, co stało się w turyńskiej katedrze, nie jest dziełem przypadku, i utrzymują, że ktoś chce ukraść bądź zniszczyć całun. Nie znaleźli jednak żadnego motywu ani punktu zaczepienia. Nadal przesłuchują pracowników COCSY, przekonani, że naprowadzi ich to na jakiś ślad.

- Nadeszła chwila, by działać - stwierdził przystojny mężczyzna w podeszłym wieku, którego akcent zdradzał, że angielski nie jest jego rodzimym językiem. - Mendibh musi zniknąć, a co się tyczy policjantów, czas wpłynąć na naszych przyjaciół, by powstrzymali tego Valoniego.

- Możliwe, że Addai również uważa, że Mendibh musi zniknąć dla dobra wspólnoty - oświadczył wąsacz przypominający wojskowego. - Być może należałoby zaczekać, co postanowi Addai, zanim sami wykonamy jakiś ruch. Chociaż brzmi to obłudnie, wolałbym nie mieć na sumieniu śmierci tego niemowy.

- Mendibh nie musi umierać, wystarczy, że pomożecie mu dotrzeć do Urfy - powiedział inny mężczyzna.

- To bardzo ryzykowne - wtrącił następny. - Kiedy znajdzie się na wolności, policjanci będą deptali mu po piętach. Nie są głupi, to doświadczony zespół. Uruchomią taką machinę, że może się okazać, iżby ocalić jego życie, trzeba będzie poświęcić życie wielu innych, co nie tylko obciąży nasze sumienie, ale przede wszystkim będzie niebezpieczne.

- Ach, sumienie! - wykrzyknął starzec. - Nieraz musieliśmy o nim zapomnieć, uznając, że nie mamy innego wyjścia. Naszej historii nieobca jest śmierć. Podobnie jak poświęcenie, wiara i miłosierdzie. Jesteśmy ludźmi, niczym więcej, postępujemy zgodnie z tym, co uważamy za słuszne. Mylimy się, grzeszymy, czasem mamy rację... Niech Bóg się nad nami zmiłuje.

Zamilkł. Pozostali mężczyźni opuścili wzrok, zatopieni w myślach.

Przez parę minut nikt się nie odzywał. Na twarzach wszystkich widać było udrękę. W końcu

starzec podniósł wzrok i wyprostowawszy się, powiedział:

- Teraz powiem wam, co moim zdaniem powinniśmy zrobić, i wysłucham waszych opinii.

Kiedy zamykał posiedzenie, była już noc. Deszcz wciąż padał.

* * *

Ana Jimenez nie mogła przestać myśleć o pożarze w katedrze. Co tydzień dzwoniła do brata, pytając go, jak rozwija się śledztwo. Santiago złościł się, zarzucając jej wścibstwo i nie chciał wyjawiać żadnych szczegółów.

- Masz obsesję na tym punkcie, ale nigdzie cię to nie zaprowadzi. Bardzo proszę, Ano, zapomnij o pożarze w katedrze i o całunie.

- Jestem przekonana, że mogłabym wam pomóc.

- To nie twoja sprawa. Zajmują się tym ludzie z odpowiedniego wydziału policji. Valoni to mój dobry przyjaciel, który wierzy, że dwie pary oczu widzą więcej niż jedna, dlatego prosił, byśmy w wolnej chwili zerknęli na te papiery, ale tylko po to, by wyrazić swoje zdanie na ten temat. Zrobił to John, zrobiłem to ja, i myślę, że nie potrzeba mu więcej konsultantów.

- Santiago, pozwól mi rzucić okiem na to dossier. Jestem dziennikarką, czasem dostrzegam rzeczy, które umykają policjantom.

- Nie wątpię, że dziennikarze są bardzo bystrzy i mogą wykonać taką pracę sto razy lepiej niż my.

- Nie wygłupiaj się. Nie ma się o co obrażać.

- Nie wygłupiam się ani się nie obrażam, ale nie pozwolę ci się wtrącać do policyjnego śledztwa.

- Powiedz przynajmniej, co o tym sądzisz.

- Zwykle wszystko jest prostsze, niż się wydaje.

- To nie jest odpowiedź.

- Więcej ode mnie nie usłyszysz.

- Mam ochotę wybrać się do Rzymu, zastanawiam się, czy nie wziąć paru dni urlopu... Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli się u ciebie zatrzymam?

- Owszem, będzie, bo nie wybierasz się do Rzymu na wakacje, tylko żeby wtykać nos w nie swoje sprawy.

- Jesteś nieznośny.

- Sama zaczęłaś.

Ana popatrzyła na stertę kserokopii na stole. Od wielu dni nie czytała niczego innego: traktaty ezoteryczne, książki religijne, opracowania historyczne... Była pewna, że klucz do sprawy leży na jakimś etapie szlaku świętego całunu. Przecież Marco Valoni tak właśnie powiedział: wypadki zdarzają się jeden po drugim, odkąd całun znalazł się w katedrze turyńskiej. Podjęła decyzję. Gdy już dowie się wystarczająco dużo o perypetiach całunu, poprosi o kilka dni urlopu i pojedzie do Turynu. Nie przepadała za tym miastem, nie wybrałaby go na miesiąc miodowy, ale coś jej mówiło, że Valoni ma rację, że za tymi zdarzeniami kryje się ciekawa historia, historia, którą ona chce opisać.

- Eulaliuszu, jakiś młody człowiek chce się z tobą zobaczyć. Przybywa z Aleksandrii.

Biskup dźwignął się z wysiłkiem z klęczek, wspierając się na ramieniu mężczyzny, który przerwał jego modlitwę.

- Powiedz, Efremie, cóż to za ważna osoba, że przeszkadzasz mi w modlitwie?

Efrem, dojrzały mężczyzna o szlachetnej twarzy i opanowanych ruchach, dobrze wiedział, że nie wolno przeszkadzać biskupowi, chyba że wydarzy się coś nadzwyczajnego.

- To nieco dziwny chłopak. Przysłał go mój brat.

- Przybył od Abiba? Jakie wieści przynosi?

- Nie wiem, chce rozmawiać tylko z tobą. Jest zmęczony, wiele tygodni był w drodze.

Eulaliusz wraz z Efremem wyszli z małego kościoła i skierowali się do przylegającego do niego domu.

- Kim jesteś? - zapytał Eulaliusz smagłego młodzieńca, którego spierzchnięte wargi i nieobecne spojrzenie wskazywały na wyczerpanie.

- Szukam biskupa Edessy.

- Stoi przed tobą. A kim ty jesteś?

- Pochwalony niech będzie Pan! Eulaliuszu, mam ci do przekazania ważne wieści. Czy możemy pomówić w cztery oczy?

Efrem popatrzył na Eulaliusza, ten zaś skinął głową. Efrem wyszedł.

- Jeszcze nie powiedziałeś mi, jak się nazywasz - zwrócił uwagę biskup.

- Jan, na imię mi Jan.

- Usiądź i opowiadaj, jakież to wieści przynosisz.

- Trudno w nie uwierzyć, ale ufam, że Pan Bóg pozwoli mi cię przekonać.

- Zaczynaj więc.

- To długa historia. Jak już powiedziałem, nazywam się Jan. Tak samo nazywał się mój ojciec, ojciec mojego ojca, jego dziad i pradziad. Historia mego rodu sięga pięćdziesiątego siódmego roku, kiedy to w Sydonie żył Tymeusz, przywódca pierwszej wspólnoty chrześcijańskiej. Tymeusz był przyjacielem Tadeusza i Josara, uczniów naszego Pana, Jezusa, którzy mieszkali tu, w Edessie. Wnuk Tymeusza nazywał się Jan.

Uroczysty wstęp i powaga na twarzy młodego Jana zaintrygowały Eulaliusza, choć wciąż nie rozumiał do czego przybysz zmierza.

- Wiesz zapewne, że dawniej w tym mieście istniała wspólnota chrześcijańska, której poparcia udzielał król Abgar. Po śmierci króla jego syn, Maanu, zaczął prześladować chrześcijan, odebrał im dobytek, wielu zmarło śmiercią męczeńską za to, że nie chcieli wyprzeć się wiary w Chrystusa.

- Znam historię miasta - przerwał zniecierpliwiony Eulaliusz.

- Więc wiesz pewno, że Abgar, chory na trąd, został uzdrowiony przez Jezusa. Josar przywiózł do Edessy całun, w który owinięte było po śmierci ciało Pana. Kiedy święte płótno dotknęło chorej skóry Abgara, stał się cud i król wyzdrowiał. Na całunie widnieje nadzwyczajny obraz: odbicie sylwetki Chrystusa wraz ze znakami jego męki. Jak długo żył Abgar, tkanina ta była otoczona czcigodnym najcenniejszą relikwią, bo odbiło się na niej oblicze Chrystusa.

- Powiedz, młodzieńcze, dlaczego Abib cię do mnie przysłał?

- Wybacz, Eulaliuszu, wiem, że wystawiam na próbę twą cierpliwość, ale wysłuchaj mnie do końca. Kiedy Abgar przeczuł nadchodzącą śmierć, kazał swoim przyjaciołom, Tadeuszowi, Josarowi i Marcjuszowi, królewskiemu architektowi, ukryć całun w bezpiecznym miejscu. O miejscu tym wiedział tylko Marcjusz i nawet dwaj uczniowie Jezusa, Tadeusz i Josar, go nie znali. Marcjusz obciął sobie język, gdyż wiedział, że czekają go tortury i obawiał się, że może wyjawić, gdzie schował relikwię. Cierpiał męczarnie, podobnie jak wielu innych chrześcijan z Edessy. Oprócz niego tylko jedna osoba wiedziała, gdzie architekt ukrył cenne płótno.

Eulaliusz patrzył na chłopaka z niedowierzaniem. Czuł mrowienie na plecach. Jan nie wyglądał na szaleńca, a jednak historia, którą opowiadał, wydawała się nieprawdopodobna.

- Marcjusz powiedział Izazowi, siostrzeńcowi Josara, gdzie ukrył płótno. Izaz zbiegł z miasta,

zanim dosięgnął go miecz Maanu, i dotarł aż do Sydonu, gdzie mieszkali Tymeusz i jego wnuk Jan, moi przodkowie.

- Zabrał ze sobą płótno?

- Nie. Wiedział jedynie, gdzie zostało schowane. Tymeusz i Izaz przysięgli, że spełnią wolę Abgara i uczniów Jezusa: całun nigdy nie wyjedzie z Edessy, należy do miasta, trzeba go pilnie strzec, dopóki nie będzie pewności, że nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo. Uzgodnili, że kiedy poczują zbliżającą się śmierć, a chrześcijaństwo wciąż będzie w Edessie prześladowane, powierzą sekret komuś innemu, ten zaś nie może zdradzić go nikomu, jeśli nie będzie pewny, że nic już nie grozi relikwii. Tak miało być, dopóki chrześcijanie nie odzyskają spokoju i bezpieczeństwa. Tymeusz i Izaz zdradzili miejsce ukrycia Janowi, wnukowi Tymeusza, więc co pokolenie jeden mężczyzna z mojego rodu staje się powiernikiem tajemnicy tego płótna.

- Boże święty! Co ty mówisz? Czy to nie opowiadka wyszana z palca? Jeśli zmyślasz, zasłużyłeś na karę. Nie wypowiada się imienia pana Boga na daremno. Powiedz, gdzie jest relikwia? Przywiozłeś ją ze sobą?

Jan zdawał się nie słyszeć słów Eulaliusza.

- Przed kilkunastoma dniami zmarł mój ojciec - ciągnął. - Na łożu śmierci powierzył mi tajemnicę świętego całunu. To od niego dowiedziałem się o Tadeuszu i Josarze oraz o Izazie, który przed śmiercią naszkicował plan Edessy, by mój przodek, Jan, lub któryś z jego następców, wiedział, gdzie szukać tkaniny. Mam ten plan. Jest na nim zaznaczone miejsce, w którym Marcjusz schował całun.

Młodzieniec zamilkł. Rozgorączkowane oczy zdradzały, w jak ogromnym żyje napięciu, odkąd poznał sekret.

- Powiedz, dlaczego twoja rodzina dotychczas nie wyjawiała tej tajemnicy światu?

- Ojciec powiedział mi, że lepiej zachować ostrożność, gdyż płótno może wpaść w niepowołane ręce.

Oczy Jana zasły mgłą. Nie dość, że jego duszę rozdzierał ból po śmierci ojca, to musiał unieść ciężar świadomości, iż jest powiernikiem tajemnicy, która może wstrząsnąć całym chrześcijańskim światem.

- Przyniosłeś te plany? - zapytał Eulaliusz.

- Tak...

- Pokaż...

- Nie mogę. Muszę zaprowadzić cię do miejsca ukrycia i nie wolno nam nikomu zdradzić

tajemnicy.

- Synu, czego się obawiasz?

- Całun ma cudowne właściwości, lecz wielu chrześcijan straciło przez niego życie. Musimy być pewni, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Obawiam się, że przybyłem do Edessy w niewłaściwej chwili; moja karawana spotkała się z ludźmi, którzy powiedzieli nam, że szykuje się kolejne oblężenie miasta. Przez całe pokolenia mężczyźni z mojej rodziny byli niemymi strażnikami Chrystusowej szaty, nie mogę jednym nieopatrznym słowem narazić płótna na niebezpieczeństwo.

Biskup przyznał mu rację. Chłopak potrzebował odpoczynku, on zaś chwili zadumy i modlitwy. Poprosi Boga, by go oświecił, by powiedział mu, co czynić.

- Jeśli mówisz prawdę i w jakimś miejscu tego miasta spoczywa całun, nie chcę być tym, który sprowadzi na relikwię niebezpieczeństwo. Odpoczniesz w moim domu, a kiedy nabierzesz sił po trudach podróży, porozmawiamy i zdecydujemy, co będzie dla ciebie najlepsze.

- Nikomu nie powiesz o naszej rozmowie?

- Nie, możesz spać spokojnie.

Stanowczość w głosie Eulaliusza przekonała Jana. Błagał Boga, by jego ufność nie została wystawiona na próbę.

Kiedy ojciec na łożu śmierci opowiedział mu o całunie, ostrzegł go, że los płótna z odbiciem wizerunku Pana spoczywa w jego rękach i kazał przysiąc, że nie zdradzi tajemnicy, jeśli nie będzie pewny, że chrześcijanom nic już nie zagraża.

Jednakże on, Jan, czuł neodpartą potrzebę, by wyruszyć w drogę do Edessy. W Aleksandrii opowiadano o biskupie Eulaliuszu i jego dobroci, uznał więc, że oto nadeszła chwila, by zwrócić chrześcijanom to, czego jego rodzina strzeże od pokoleń.

Może zbyt szybko się śpieszę?, zastanawiał się. Może nie należy wydobywać płótna w chwili, gdy nad Edessą wisi groźba wojny? Czuł się zagubiony, bał się popełnić błąd.

Jan był medykiem, podobnie jak jego ojciec. Do jego domu przychodzili po poradę najwięksi dostojnicy Aleksandrii. Studiował u najlepszych mistrzów, a ojciec przekazał mu całą swą wiedzę.

Jego życie płynęło szczęśliwie aż do śmierci ojca, którego bardzo kochał i szanował. Czasem myślał, że kocha go bardziej niż swoją żonę Miriam, smukłą, słodką kobietę o pięknej twarzy i głębokich czarnych oczach.

Eulaliusz zaprowadził młodzieńca do niewielkiego pomieszczenia, w którym stało łóżko i masywny drewniany stół.

- Każę ci przynieść wody, byś mógł się odświeżyć i podam coś do jedzenia. Odpoczywaj, jak długo zechcesz.

Starzec, zatopiony w myślach, wrócił do kościoła, padł na kolana przed krzyżem i ukrył twarz w dłoniach, prosząc Boga, by pouczył go, co zrobić, jeśli opowiadanie młodzieńca okaże się prawdą.

Stojąc w cieniu bocznej nawy, Efrem przyglądał się biskupowi z niepokojem. Nigdy nie widział Eulaliusza tak strapionego. Postanowił pójść do karawanseraju, i wywiedzieć się, czy jakaś karawana nie wyrusza w kierunku Aleksandrii. Chciał wysłać list do swojego brata Abiba, by ten dowiedział się czegoś o tym przedziwnym młodzieńcu, który tak zmartwił Eulaliusza.

Biskup był zmęczony. Miał nadzieję usłyszeć głos Boga, tymczasem otaczała go cisza. Ani rozum, ani serce nie udzieliły mu żadnych wskazówek.

Efrem czekał na niego na progu domu.

- Powinieneś spać, już późno - zauważył biskup.

- Martwiłem się o ciebie, panie. Czy będę ci potrzebny?

- Chciałbym, byś posłał kogoś do Aleksandrii. Niech Abib wypyta kogo może o tego Jana.

- Już napisałem list do brata, jednak trudno go będzie dostarczyć. W karawanseraju powiedzieli mi, że spóźniłem się o dwa dni. Karawana do Egiptu już wyruszyła i nie wiadomo, kiedy następna zbierze się do drogi.

- Kupcy się niepokoją, szerzą się pogłoski, że wojna z Persami jest nieunikniona, dlatego karawany jedna po drugiej w pośpiechu opuściły miasto. Eulaliuszu, pozwól, że zapytam, jakież to wieści przyniósł ten młody człowiek, iż znajduję cię tak zatroskanym.

- Na razie nie mogę niczego wyjawić. Gdybym mógł, od razu poczułbym ulgę. Wspólnie niesiony ciężar wydaje się lżejszy, lecz dałem Janowi słowo, że dochowam tajemnicy.

Kapłan spuścił wzrok, zaboląta go ta odpowiedź. Eulaliusz zawsze darzył go zaufaniem. Biskup, świadomy stanu ducha Efrema, odczuwał pokusę, by odkryć przed nim, co opowiedział mu Jan, potrafił jednak dotrzymać słowa. Mężczyźni pożegnali się, Efrem strapiony, Eulaliusz zaś przygnieciony ciężarem odpowiedzialności.

* * *

- Dlaczego jesteście tak wrogo nastawieni do Persów?

- Mylisz się, to oni w swojej zachłanności umyślili sobie zawładnąć naszym miastem.

Jan rozmawiał z chłopakiem, który służył u Eulaliusza.

Kalman był jego rówieśnikiem, wnukiem starego przyjaciela biskupa, i przygotowywał się do służby kapłańskiej. Był dla Jana najlepszym źródłem informacji. Wyjaśniał mu zawiłości edeskiej polityki, opowiadał o historii miasta oraz wtajemniczał w pałacowe intrygi. Ojciec Kalmana był marszałkiem dworu, dziadek zaś nadwornym kronikarzem. Chłopak pragnął pójść w ślady dziadka, ale znajomość z Eulaliuszem sprawiła, że zamarzył, by zostać kapłanem, a kto wie, czy nie biskupem.

Efrem wszedł cicho do izby. Młodzieńcy nie zauważyli jego obecności. Przez parę sekund słuchał ich ożywionej rozmowy, po czym chrząknął znacząco.

- Ach, to ty, Efremie! Szukałeś mnie? Właśnie rozmawiam z Janem...

- Nie, nie szukałem cię, chociaż skoro sam wchodzisz mi w drogę, pozwól sobie przypomnieć, że powinniśmy właśnie w tej chwili razem czytać święte pisma.

- Masz rację, wybaczone moje lenistwo.

Efrem uśmiechnął się ze zrozumieniem, zwracając się do Jana:

- Eulaliusz chce z tobą mówić. Pracuje w swojej komnacie, idź tam bez zwłoki.

Jan pożegnał się i wyszedł, by odszukać biskupa. Efrem był poczciwcem, pobożnym kapłanem, lecz Jan zauważył w jego spojrzeniu cień zazdrości. Nie czuł się przy nim swobodnie.

Delikatnie zapukał do drzwi komnaty.

- Wchodź, synu, śmiało. Mam wieści. Niestety, nie są dobre. - Głos biskupa zdradzał niepokój. - Obawiam się, że wkrótce zaatakują nas Persowie - mówił. - Jeśli dojdzie do oblężenia, nie będziesz mógł opuścić miasta i twoje życie będzie zagrożone, podobnie jak życie nas wszystkich. Już od miesiąca przebywasz w Edessie, wiem, że uważasz, iż jeszcze za wcześnie, by wyjawić mi, gdzie ukryto całun. Drzę jednak o twoje życie, Janie, i o płótno, które nosi odbicie prawdziwej twarzy Jezusa Chrystusa. Jeśli to, co mi opowiedziałeś, jest prawdą, musisz ratować całun i czym prędzej opuścić Edessę. Nie możemy narażać się na ryzyko, że miasto zostanie zburzone, a prawdziwy wizerunek Chrystusa zaginie lub przestanie istnieć.

Na twarzy Jana malowała się niepewność. Biskup widział, że chłopak jest przerażony. Odkąd przybył do miasta, on, Eulaliusz także nie zaznał spokoju i bał się o świętą tkaninę.

Czasem wątpił w jej istnienie, innym znów razem czyste spojrzenie młodzieńca kazało mu wierzyć każdemu jego słowu.

- Nie, nie mogę wyjechać! Nie mogę zabrać ze sobą płótna!

- Uspokój się, Janie, musimy podjąć rozsądną decyzję, żyjemy w ciężkich czasach. W Aleksandrii masz żonę, nie możesz tu dłużej przebywać, nie wiadomo, jaki los czeka królestwo. Powierzono ci wielką tajemnicę, musisz jej chronić. Nie proszę cię, byś mi zdradził, gdzie jest płótno, powiedz tylko, jak mogę ci pomóc, byś mógł je odzyskać i zawieźć w bezpieczne miejsce.

- Eulaliuszu, muszę zostać, wiem, że muszę tu zostać, nie mogę teraz odejść i narażać całunu na zagrożenia, jakie niesie podróż. Ojciec kazał mi przysiąc, że wypełnię wolę Abgara, apostoła Tadeusza i Josara. Nie mogę wywieźć całunu z Edessy. Złożyłem przysięgę.

- Janie, musisz być mi posłuszny - przypomniał Eulaliusz.

- Zostanę i poddam się woli bożej - upierał się Jan.

- A jaka niby jest ta wola boża?

Młodzieniec popatrzył smutno na biskupa i dopiero wtedy zrozumiał, jakie rozterki przeżywać musi ten starzec od chwili jego przybycia, odkąd poznał niezwykłą historię całunu.

Eulaliusz był cierpliwy i miał dobre serce, teraz jednak zdobył się na stanowczość i usilnie nakłaniał Jana do wyjazdu.

To kazało Janowi zastanowić się głęboko nad tym, jak powinien postąpić.

A jeśli okaże się, że i ojciec przez całe życie tkwił w błędzie?

A jeśli na przestrzeni wieków, jakie upłynęły od śmierci Chrystusa, ktoś zawłaszczył sobie świętą tkaninę? Jeśli to wszystko to tylko legenda?

Stary biskup widział, co dzieje się z Janem, i serdecznie mu współczuł.

- Edessa wytrzymała oblężenia, wojny, głód, pożary, powodzie... - odrzekł spokojnie. - Poradzi sobie i z Persami, ty jednak, synu, musisz posłuchać nakazu rozsądku, dla swego własnego dobra i dla dobra tajemnicy, której twoja rodzina strzeże przez tyle dziesięcioleci. Musisz ocalić życie. Szykuj się do drogi, Janie, za trzy dni opuścisz miasto. Grupa kupców zorganizowała karawanę; to ostatnia okazja, by się ratować.

- A jeśli zdradzę ci, gdzie jest ukryta święta tkanina?

- Pomogę ci przenieść ją w bezpieczne miejsce.

Jan opuścił komnatę. Był wzburzony. Nie wiedział, co czynić. Zbierało mu się na płacz. Wyszedł na ulicę. Świeżości poranka jeszcze nie wyparł żar czerwcowego południa. Włócząc się bez celu, po raz pierwszy uświadomił sobie, że mieszkańcy Edessy przygotowują się do obrony przed atakiem, nieuchronnie zagrażającym miastu.

Robotnicy pracowali niestrudzenie przy umacnianiu murów, wszędzie krzatali się żołnierze.

Sklepikarze wyprzedali prawie wszystkie towary, a w spojrzeniu każdego mijanego przechodnia widać było strach.

Jan pomyślał, że jest egoistą, bo już od jakiegoś czasu przebywa w mieście, lecz nie zwraca uwagi na nic, co się tu dzieje. Po raz pierwszy od przyjazdu zatęsknił za Miriam, której nie posłał nawet wiadomości, że bezpiecznie dotarł do celu. Eulaliusz miał słuszość: albo natychmiast opuści Edesę, albo podzieli los jej mieszkańców. Poczuł na plecach dreszcz, bo zrozumiał, że to drugie może oznaczać śmierć.

Nie wiedział, ile godzin włóczył się po ulicach, ale dopiero gdy wrócił do domu Eulaliusza, poczuł pragnienie i głód.

Eulaliusz, Efrem i Kalman rozmawiali z żołnierzami przysłanymi z pałacu.

- Wejdz, Janie. Hannan i Maruta przynoszą smutne wieści - powiedział biskup. - Wkrótce rozpocznie się oblężenie, lecz Edessa nie podda się Persom. Dzisiaj pod bramy miasta podjechały dwa wozy. Za jedyny ładunek miały głowy żołnierzy z oddziału, który udał się na zwiady, by wybadać siły Chosroesa. To oznacza tylko jedno: wojnę.

Hannan i Maruta przyglądali się aleksandryczykowi bez większego zainteresowania i nie przerywali swojej opowieści.

Jan słuchał ich coraz bardziej przygnębiony. Zdał sobie sprawę, że sytuacja stała się na tyle groźna, że trudno mu będzie opuścić miasto. Byli w gorszych opałach, niż sądził Eulaliusz: żadna karawana nie odważy się wyruszyć z Edessy. Nikt nie będzie narażał się na pewną śmierć na samym początku wyprawy.

Kolejne dni upływały Janowi jak zły sen. Z miejskich murów widział perskich żołnierzy skupionych wokół ognisk. Ataki powtarzały się jeden za drugim, czasem nie ustawały przez cały dzień.

Ludzie nie wychodzili z domów, a żołnierze przez całe dni nie opuszczali murów, walcząc dzielnie. Na razie nie brakowało żywności ani wody, ponieważ król zarekwirował pszenicę i trzodę na prowiant dla wojska.

- Śpisz, Janie?

- Nie, Kalmanie, od wielu nocy źle sypiam. Wciąż słyszę świst strzał i krzyki żołnierzy. Nie mogę zasnąć.

- Miasto wkrótce musi się poddać. Nie uda nam się dłużej odpierać ataków wroga.

- Wiem, Kalmanie, wiem o tym. Nie nadążam z opatrywaniem rannych i leczeniem kobiet i dzieci, które umierają mi w ramionach, padając ofiarą dzumy. Na rękach mam odciski od łopaty, tyle grobów już wykopałem. Żołnierze Chosroesa nikomu nie darują życia. Jak czuje się Eulaliusz? Nie

mogłem się nim zająć, boleję nad tym.

- On chce, byś pomagał bardziej potrzebującym. Osłabił go długi post, ból szarpie kości. Ma wzdęty brzuch, ale się nie skarży.

Jan westchnął. Nie spał od wielu nocy, biegając z jednego końca murów na drugi. Pomagał opatrywać śmiertelne rany żołnierzy, nie mógł jednak ulżyć ich cierpieniu, bo wyczerpał mu się zapas ziół i leczniczych naparów.

Zdesperowane kobiety stawały u drzwi jego domu, błagając go, by ocalił ich synów, on zaś nie potrafił powstrzymać łez bezsilności, bo nie mógł pomagać ludziom tak, jak by chciał.

Jego życie się zmieniło, odkąd dwa lata temu (to już dwa lata!) wyruszył z Aleksandrii. Kiedy ogarniała go senność, wydawało mu się, że czuje zapach morza, że dotykają go delikatne ręce Miriam, że je ciepłe potrawy przygotowane przez starą piastunkę i widzi pomarańczowy sad otaczający dom. Przez pierwsze miesiące oblężenia przeklinał swój los, wyrzucając sobie, że wybrał się do Edessy, goniąc za snem, teraz jednak nie czynił już sobie wymówek. Nie miał na to sił.

- Zajrzę do Eulaliusza - powiedział, wstając..

- Pójdę z tobą - odrzekł Kalman. - Skierowali się do komnaty, w której, leżąc krzyżem, modlił się biskup.

- Eulaliuszu... - szepnął medyk.

- Szczęść Boże, Janie - powitał go biskup, wstając z trudem i siadając przy stole. - Usiądź tu, obok mnie.

Eulaliusz skurczył się, przez cienką siną skórę przeświecały kości. Jan był wstrząśnięty. Pomyślał, że przybył do Edessy, by pokazać chrześcijanom twarz Jezusa, lecz nie odważył się wypełnić powierzonego mu zadania. Przez długie miesiące oblężenia nawet nie pomyślał o zwoju świętego płótna. Teraz zaś, przeczuwając śmierć unoszącą się nad Eulaliuszem, zrozumiał, że wkrótce zacznie krążyć również nad nim.

- Kalmanie, zostaw nas na chwilę - poprosił.

Biskup dał młodemu kapłanowi znak, by posłuchał polecenia Jana.

Jan popatrzył w skupieniu na biskupa, wziął go za rękę i usiadł obok niego.

- Wybacz, Eulaliuszu, od samego początku robię wszystko nie tak, jak należy, a największym grzechem, jakiego się dopuściłem, był brak zaufania. Zgrzeszyłem pychą, nie zdradzając ci miejsca ukrycia całunu. Wyjawię ci je jednak, a ty zdecydujesz, co powinniśmy uczynić. Niech Bóg mi wybaczy, jeśli w tym, co powiem, zabrzmie zwątpienie, ale jeśli na płótnie rzeczywiście odbity jest wizerunek Syna Bożego, to On nas wybawi, tak jak ocalił życie Abgarowi.

Eulaliusz słuchał w milczeniu. Przez ponad czterysta lat całun Chrystusa spoczywał w otworze wykutym w murze, nad zachodnią bramą miasta, w jedynym miejscu, jakie dotychczas wytrzymało zaciekle ataki perskich wojsk.

Starzec dźwignął się z wysiłkiem i nie wstydząc się łez, uściskał aleksandryczyka.

- Chwała niech będzie Panu! Moje serce wypełnia radość. Wejdiesz na mur i wydostaniesz płótno. Każę Efremowi i Kalmanowi pójść z tobą. Czuję, że Jezus jeszcze może zlitować się nad nami i sprawić cud.

- Nie, nie mogę powiedzieć żołnierzom, którzy narażają życie, że zamierzam poszukać skrytki w murze! Pomyślą, że postradałem rozum, albo że ukryłem tam jakiś skarb... Nie, nie mogę tam pójść.

- Pójdiesz, Janie.

Głos Eulaliusza odzyskał stanowczość. Jan opuścił głowę, wiedząc, że musi być mu posłuszny.

- Pozwól, Eulaliuszu, bym powiedział, że przychodzę z twojego rozkazu.

- Bo tak jest. Zanim przyszlście, usłyszałem głos Matki Jezusowej, która powiedziała, że Edessa się obroni. Stanie się tak, jeśli Bóg tego zechce.

Do komnaty dobiegały okrzyki żołnierzy, pomieszane z żalnym płaczem dzieci i krzykiem kobiet. Eulaliusz wezwał Kalmana i Efrema.

- Miałem sen. Pójdziecie z Janem do zachodniej bramy.

- Ależ Eulaliuszu! - wykrzyknął Efrem - Żołnierze nas nie przepuszczą...

- Pójdziecie i zrobicie to, co każe Jan. Edessa ocaleje.

Oburzony kapitan kazał kapłanom wracać, skąd przyszli.

- Bramy mogą w każdej chwili runąć pod naporem wroga, a ci każą mi szukać jakiejś dziury w murze! Rozum wam odebrało! Nie obchodzi mnie, kto was tu przysłał, choćby i sam biskup! Idźcie precz!

Jan oświadczył kapitanowi, że czy to z jego pomocą, czy bez niej, dostaną się nad zachodnią bramę.

Pod gradem strzał trzej mężczyźni kuli bez wytchnienia na oczach osłupiałych żołnierzy, resztkami sił broniących tej części miejskich murów.

- Coś tu jest! - wykrzyknął nagle Kalman.

Parę minut później Jan trzymał w ręku poczerniały koszyk.

Otworzył go i pogłodził starannie złożoną tkaninę, po czym, nie czekając na towarzyszy, puścił się pędem do domu Eulaliusza.

Ojciec mówił prawdę: jego rodzina przechowywała płótno, w które Józef z Arymatei owinał ciało Jezusa.

- Biskup zadrżał ze wzruszenia, ujrawszy poruszonego Jana.

Ten wyjął tkaninę i rozłożył ją przed zdumionym starcem, który ledwo wstawszy z łoża, padł na kolana, wpatrując się w odbitą na płótnie twarz mężczyzny.

* * *

- Cóż to za pasjonująca lektura? Nawet nie zauważyłaś, kiedy wszedłem.

- Przepraszam, Marco - odparła Sofia. - Rzeczywiście, nie zdawałam sobie sprawy, że tu jesteś. Poruszasz się tak bezszelestnie, jakbyś przeniknął przez ścianę.

- Co czytasz?

- Historię całunu turyńskiego.

- Przecież znasz ją na pamięć. Prawie wszyscy Włosi ją znają.

- Mam nadzieję, że natchnie mnie jakimś pomysłem.

- W związku z naszym śledztwem?

- Nie chcę niczego przeoczyć.

Valoni patrzył na nią zdezorientowany. Albo się zestarzał i widzi tylko tyle, ile chce zobaczyć, albo Sofia ma rację i może warto zbadać jakieś okoliczności z przeszłości.

- Znalazłaś coś?

- Nie, na razie tylko czytam. Mam nadzieję, że w końcu zapali mi się jakieś światełko - uśmiechnęła się Sofia, pokazując swoje czoło.

- Jak daleko zaszłaś?

- Właściwie dopiero zaczęłam. Jestem w czwartym wieku, kiedy to biskupowi Edessy, Eulaliuszowi, przyśniło się, że pewna kobieta wyjawiała mu, gdzie leży całun. Wiesz pewnie, że przez długi czas nikt nie wiedział, gdzie jest całun, a nawet, że istnieje, ale Ewagriusz...

- Cóż to za Ewagriusz? - zainteresowała się Minerva, która właśnie weszła.

- Otóż Ewagriusz Scholastyk w swojej Historii Kościoła pisze, że w pięćset czterdziestym czwartym roku Edessa pokonała wojska Chosroesa Pierwszego, które oblegały miasto, a wszystko to dzięki mandylionowi. Obniesiono go w procesji po blankach murów i...

- W dalszym ciągu nie wiem, kim był Ewagriusz ani co to takiego mandylion - przerwała Sofii Minerva.

- Jeśli cierpliwie posłuchasz do końca, wszystkiego się dowiesz.

- Przepraszam, masz rację. Rozmawiacie, a ja się wtrącam. - Minerva wyglądała na nadąsaną.

Valoni przyglądał jej się z rozbawieniem. Nigdy nie potrafiła zapanować nad zniecierpliwieniem i złym humorem.

- Sofia zgłębia historię całunu - wyjaśnił Valoni. - Kiedy weszłaś, rozmawialiśmy właśnie o jego pojawieniu się w Edessie w pięćset czterdziestym czwartym roku, podczas perskiego oblężenia. Edeseńczycy byli tak zdesperowani nieustępliwością wroga i bezskutecznością swojej obrony, że w każdej chwili mogli poddać miasto. Deszcz płonących strzał spadał na maszyny oblężnicze Persów, nie udawało się ich jednak skutecznie podpalić.

- I co zrobili? - zainteresowała się Minerva.

- Jeśli wierzyć Ewagriuszowi Scholastykowi - podjęła wątek Sofia - Eulaliusz, biskup Edessy, miał sen, w którym jakaś kobieta powiedziała mu, gdzie ukryty jest całun. Odnaleźli go nad zachodnią bramą, w niszy wykutej w murze. Odkrycie to przywróciło im wiarę w zwycięstwo, ponieśli więc tkaninę wzdłuż blank muru, skąd nadal posyłali płonące strzały w stronę perskich machin, które teraz zaczęły zajmować się ogniem, Persowie zaś rzucili się do ucieczki.

- Piękna historia, tylko czy prawdziwa? - westchnęła Minerva.

- My, historycy, uznajemy za fakty wiele legend, a jak niewinne bajki traktujemy wydarzenia historyczne. Nie trzeba daleko szukać przykładów: Troja, Mykeny, Knossos... to wszystko miasta, które przez całe wieki spychano do sfery mitów, tymczasem Schliemann, Evans i inni archeolodzy uparli się, że dowiodą ich istnienia i udało im się - odpowiedziała Sofia.

- Biskup chyba wiedział, że całun tam był, bo nawet najbardziej łatwowierne osoby nie wierzą w sny, prawda?

- Tak też to zrozumieliśmy - odparł Valoni. - Prawdopodobnie masz rację. Eulaliusz zapewne wiedział, gdzie jest całun, może nawet sam kazał go tam umieścić, by w odpowiedniej chwili się „odnalazł” i mógł zostać uznany za cud. Tylko niech mi ktoś znajdzie mądrego, który będzie wiedział na pewno, co wydarzyło się przed piętnastoma wiekami. Co do twojego pytania o mandylion, to greckie słowo, oznacza święte oblicze. Mandylion to też całun, tyle że złożony tak, że widać tylko

twarz.

Do pokoju weszli Pietro, Giuseppe i Antonino, prowadząc zazartą dyskusję o piłce nożnej. Valoni wezwał cały zespół, by oznajmić im, że za dwa miesiące niemowa opuści więzienie, dlatego czas przygotować się do śledzenia jego dalszych poczynąń.

Pietro spojrział kątem oka na Sofię. Od pewnego czasu unikali się, i choć rozmawiali ze sobą, jeśli musieli, nie ulegało wątpliwości, że nie czują się swobodnie w swoim towarzystwie.

Valoni starał się tak rozdzielać pracę, by nie zostawiać ich sam na sam i nie wiązać wspólnym zadaniem. Było oczywiste, że Pietro nadal jest zakochany w Sofii.

- Los nam sprzyja - oznajmił Valoni. - Za parę dni komisja penitencjarna przeprowadzi wizytację zakładu. Kiedy dojdą do celi niemowy, zapytają naczelnika, kuratorkę i więziennego psychologa, co sądzą o naszym skazanym. Cała trójka stwierdzi zgodnie, że to nieszkodliwy złodziejasek i nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa.

- Czy to nie za proste? - spytał Pietro.

- Nie, nie pójdzie tak łatwo. Kuratorka proponuje, by zabrać go do specjalnego ośrodka, gdzie spróbują zdiagnozować, czy jest zdolny do życia w społeczeństwie bez nadzoru kuratora. Zobaczymy, czy się zdenerwuje, kiedy usłyszy, że ma w perspektywie szpital psychiatryczny. Potem wokół sprawy zapadnie cisza. Strażnicy nie będą rozmawiali o ewentualnym wypuszczeniu niemowy na wolność w jego obecności, przynajmniej przez pierwsze dni, tylko będą go obserwowali. Po miesiącu komisja znów przeprowadzi kontrolę, a po dwóch tygodniach niemowa będzie na wolności. Sofio, chcę, żebyś pojechała z Giuseppem do Turynu, by zacząć organizować akcję.

Na koniec Valoni przypomniał wszystkim, że tego wieczoru są zaproszeni do niego na urodziny.

* * *

- Więc jednak zwolnicie niemowę. Narazacie się na spore ryzyko.

- Tak, ale oprócz niego nie mamy żadnych dowodów, same poszlaki. Albo niemowa doprowadzi nas po nitce do kłębka, albo do końca życia nie zamkniemy tej sprawy.

Valoni rozmawiał z Santiagiem Jimenezem. Sączyli campari, które podała im żona jubilata.

Paola starannie przygotowała przyjęcie urodzinowe męża i zaprosiła najbliższych przyjaciół. Nie miała wystarczająco dużego stołu, by pomieścić wszystkich, ustawiła więc bufet i do pomocy przy roznoszeniu drinków i dań dla dwudziestki gości zaangażowała córki.

- Sofia i Giuseppe zmontują całą operację w Turynie. Jadą tam w przyszłym tygodniu.

- To ciekawe, moja siostra, Ana, również wybiera się do Turynu. Dostała bzika na punkcie tej relikwii. Wyobraź sobie, przysłała mi list na ten temat. Uważa, że klucz do sukcesu w sprawie całunu tkwi w przeszłości. Wspominam ci o tym, bo chociaż od waszego spotkania przy kolacji nie odważyła się opublikować ani linijki na ten temat, postanowiła przeprowadzić własne śledztwo, a kiedy nie pozwoliłem jej pojechać do Rzymu, uznała, że uda się wprost na miejsce zdarzenia. To kochana dziewczyna, bystra, zdecydowana i wścibska jak każdy dziennikarz. Trzeba przyznać, że ma intuicję. Podejrzewam, że jej poszukiwania nie pokrzyżują ci planów, ale gdyby dotarło do ciebie, że jakaś dziennikarka wtyka nos tam, gdzie nie powinna, i masz przez nią kłopoty, daj mi znać. Przykro mi, to są skutki uboczne bliskich kontaktów z mediami, nawet jeśli media to twoi krewni.

- Pokażesz mi ten list? Może to przypadek, ale parę dni temu Sofia zaczęła czytać o historii całunu i doszła do wniosku, że może nas ona naprowadzić na właściwy ślad.

- Coś podobnego! Możesz na mnie liczyć, wyślę ci ten list, ale pamiętaj, że to tylko spekulacje, nie sądzę, by ci się do czegoś przydał.

- Natychmiast przekażę go Sofii. Chociaż masz rację, strach mieszać dziennikarzy do śledztwa. W końcu wpakują cię w tarapaty, bo dla jednego reportażu są w stanie...

- Nie musisz mi tego mówić, Marco. Ale powiem ci coś jeszcze. Ana to uczciwa dziewczyna, jesteśmy bardzo zżyci, nigdy nie chciałyby mi zaszkodzić. Doskonale zdaje sobie sprawę, że jako wysłannik Hiszpanii do Europolu nie mogę sobie pozwolić na zatarg z miejscowymi władzami, dlatego że moja krewna dowiedziała się o faktach, do których osoby postronne nie powinny mieć dostępu. Nie zrobi więc niczego, co mogłoby mi zaszkodzić.

- Sam przyznałeś, że jest wścibska i że wybiera się do Turynu, by przeprowadzić własne śledztwo.

- Owszem, ale nie sprzeda do prasy nawet słowa z tej historii, a jeśli dowie się czegoś interesującego, podzieli się tym ze mną. Ma świadomość, czym ryzykuję, jeśli wyda się, że były przecieki z tajnego śledztwa.

- Jesteś pewny, że jeśli coś znajdzie, powie ci o tym?

- Tak, nawet chciała zaproponować ci układ: ona przekaże ci wszystkie ustalenia, co do których będzie miała sto procent pewności, a ty opowiesz jej o waszych odkryciach. Ma się rozumieć, od razu jej powiedziałem, żeby nawet nie marzyła o żadnym układzie ani z tobą, ani z żadną inną osobą z twojego zespołu, ale znam ją i wiem, że gdy tylko na coś natrafi, będzie chciała to zweryfikować, wtedy zadzwoni do mnie i poprosi, bym ci o tym opowiedział.

- Doczekaliśmy się wolontariuszki... Nie martw się, uprzedzę Giuseppego i Sofię, żeby uważali w Turynie.

- Na co mamy uważać? - zapytał kobiecy głos.

- O wilku mowa! Santiago opowiadał mi oswojej siostrze Anie. Nie wiem, Sofio, czy się poznałyście...

- Chyba tak, parę lat temu, nie była z tobą na przyjęciu, kiedy Turcio odchodził na emeryturę?

- Faktycznie. Ana akurat była w Rzymie i zabrałem ją ze sobą. Często do mnie przyjeżdża, jestem jej starszym, zresztą jedynym bratem. Nasz ojciec zmarł, kiedy jeszcze była mała. To nas bardzo zbliżyło.

- Już ją sobie przypominam. Sympatyczna dziewczyna, nawet rozmawialiśmy chwilę o kontaktach policji z mediami, ona dowodziła, że czasem dochodzi do małżeństwa z rozsądku, każda strona ma w tym interes, ale wcześniej czy później następuje separacja.

- Cieszę się, że przypadłyście sobie do gustu, bo bardzo możliwe, że spotkasz ją w Turynie. Ma zamiar prowadzić własne śledztwo w sprawie całunu - wyjaśnił Valoni.

Sofia nie kryła zdumienia. Santiago wytłumaczył jej, w jakich okolicznościach Ana zainteresowała się całunem turyńskim i jak szybko zainteresowanie to przerodziło się w idee fixe.

- Wiesz, co opowiedział mi Santiago? Że zdaniem Any kluczem do wydarzeń związanych z całunem jest przeszłość tej tkaniny.

- Mnie też przyszło to do głowy, nawet ci wspomniałam...

- Już wszystko opowiedziałem Santiagowi. Prześle nam list napisany przez Anę. Warto rzucić na niego okiem, ta dziennikarka może zapędzić nas w kozi róg.

- Dlaczego z nią nie porozmawiać?

- Na razie zostawmy to tak jak jest, nie zmieniamy toku spraw - odpowiedział zamyślony Valoni.

- Nie pierwszy raz, i dobrze o tym wiesz, policja dogaduje się z mediami przy prowadzeniu jakiegoś śledztwa - zauważył Santiago.

- To prawda, chciałbym jednak, by ta historia jak najdłużej nie wychodziła poza ściany naszego wydziału. Jeśli Ana dowie się czegoś ciekawego, spotkamy się z nią.

Paola wprowadziła do salonu Lisę i Johna.

- Cieszę się, że przyszliście - powiedział serdecznie Valoni.

- Ledwo zdążyłem. Wracam prosto z Waszyngtonu. Sam wiesz, jacy są szefowie, a ci z Departamentu Stanu nie różnią się pod tym względem od reszty. Cały tydzień spędziłem na absurdalnych spotkaniach, które służą tylko temu, by uzasadnić podwyżkę czyjejs i tak wygórowanej pensji.

- Słyszeliście, że zaproponowali mu przeniesienie do Londynu? - zapytała Lisa.

- Skusicie się na zmianę? - zainteresowała się Paola.

- Nie, odpowiedziałem, że nie. Wolę zostać w Rzymie. Ci na górze uważają, że Londyn to awans, i chyba mają rację, ja jednak wolę Rzym. Wiem, wiem, dla was jestem tylko jankesem, ale ja sam czuję się rzymianinem pełną gębą.

Guner wyczyścił czarny garnitur Addaia i powiesił go w garderobie. Zanim poszedł do swojej sypialni, uporządkował jeszcze papiery Piętrzące się na biurku pasterza i odłożył na półkę książki.

Addai pracował do późna. Słodkawy aromat tureckiego tytoniu wsiąkł w ściany skromnie umeblowanego pokoju, Guner otworzył więc okna na oścież i przez kilka minut patrzył na ogród. Nie usłyszał cichych kroków Addaia, nie wiedział, że ten przypatruje mu się z troską.

- O czym rozmyślasz, Gunerze?

Służący odwrócił się, starając się ukryć zaskoczenie.

- Nad niczym szczególnym. Taka ładna dziś pogoda, że nogi same rwą się do wędrówki.

- Możesz to zrobić, gdy tylko wyjadę. Powiem ci więcej, możesz nawet spędzić parę dni z rodziną.

- Nie wiedziałem, że planujesz podróż.

- Tak, jadę do Włoch i Niemiec, by spotkać się z naszymi ludźmi. Ta sprawa nie daje mi spokoju, muszę ustalić, gdzie popełniamy błąd i gdzie zakradła się i uwiła sobie gniazdo zdrada.

- Narazasz się na niebezpieczeństwo, nie powinieneś jechać.

- Nie mogę ściągnąć ich tutaj, to dopiero byłoby niebezpieczne.

- Umów się z nimi w Stambule. Przez okrągły rok do miasta przyjeżdżają turyści, nikt nie zwróci na was uwagi.

- Wszystkim nie uda się przyjechać. Łatwiej się przemieszczać jednej osobie niż kilku. Zresztą, już postanowione: jutro wyjeżdżam.

- Co powiesz ludziom?

- Powiem im, że jestem zmęczony i muszę zrobić sobie krótkie wakacje. Wyjeżdżam odwiedzić przyjaciół w Niemczech i we Włoszech.

- Jak długo cię nie będzie?

- Tydzień, dziesięć dni, niewiele więcej. Korzystaj więc z wolnego czasu i odpoczywaj. Dobrze ci zrobi, jeśli na jakiś czas zniknę ci z oczu. Od kilku tygodni jesteś spięty, jakbyś się na mnie gniewał. Dlaczego?

- Powiem ci prawdę: żal mi tych chłopców, od których wymagasz takiego poświęcenia. Świat się zmienił, a ty się upierasz, że wszystko ma zostać po staremu. Nie możesz nadal posyłać młodych ludzi na pewną śmierć i obcinać im języków, żeby w razie czego, gdyby jednak udało im się przeżyć, nie puścili pary z ust...

- Jeśli zaczną mówić, zniszczą nas. Przetrwaliśmy przez dwadzieścia wieków dzięki ofiarom i milczeniu naszych przodków. Owszem, wymagam wielkich poświęceń, ja również poświęciłem swoje życie, bo nigdy nie należało ono do mnie, tak jak i twoje nie należy do ciebie. Śmierć za naszą sprawę to honor, utrata języka również. Zresztą ja nie wrywam im języków, sami się na to godzą, bo wiedzą, że to nieuniknione. W ten sposób chronią nas i siebie.

- Dlaczego nie chcemy się ujawnić?

- Postradałeś rozum? Naprawdę wierzysz, że przetrwamy, jeśli wyjawimy im, kim jesteśmy? Co się z tobą dzieje, czy szatan zawładnął twoim umysłem?

- Czasem myślę, że to w tobie zamieszkał szatan. Stałeś się twardy i okrutny. Nie masz dla nikogo litości. Doszedłem do wniosku, że ta surowość to zemsta za to, że stałeś się kimś, kim nie chciałeś być.

Zapadła cisza. Mężczyźni patrzyli na siebie, żaden nie spuścił wzroku. Guner pomyślał, że powiedział więcej, niż zamierzał, Addai zaś był zaskoczony, że po raz kolejny przyjmuje bez sprzeciwu wymówki Gunera. Ich żywoty były splecione, lecz żadnemu nie przyniosło to szczęścia. Czy Guner mógłby go zdradzić? Odrzucił tę myśl. Nie, to niemożliwe. Nie zrobiłby tego. Addai ufał mu jak własnej matce, powierzył mu swoje życie.

- Spakuj moją walizkę, rano muszę być na lotnisku.

Guner nie odpowiedział. Odwrócił się, zaciskając zęby i udając, że pochłania go zamykanie okien. Odetchnął głębiej dopiero, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi zamykających się za Addaiem.

Na podłodze, tuż przy łóżku pasterza, zauważył złożoną kartkę. Przykucnął, by ją podnieść. Był to list napisany po turecku. Guner nie mógł się powstrzymać i go przeczytał.

Addai niejednokrotnie pokazywał mu swoją korespondencję i dokumenty, i pytał o zdanie. Guner wiedział, że nie powinien czytać cudzych listów, ale coś mu mówiło, że treść tego powinien poznać.

List nie był podpisany. Nadawca donosił, że komisja penitencyjna turyńskiego zakładu karnego rozpatruje wcześniejsze zwolnienie Mendibha i prosił Addaia o instrukcje, co robić, gdy ten wyjdzie na wolność.

Dlaczego Addai nie schował tak ważnego listu? Zupełnie jakby zależało mu, żeby Guner go znalazł. Czyżby myślał, że to on jest zdrajcą?

Z listem w ręku Guner skierował się do gabinetu Addaia.

Zapukał cicho i zaczekał, aż pasterz zaprosi go do środka.

- Addaiu, ten list leżał na podłodze przy twoim łóżku. - Pasterz popatrzył na niego spokojnie i wyciągnął rękę, by odebrać kartkę. - Przeczytałem go. Domyślam się, że zostawiłeś go specjalnie, żeby mnie sprawdzić. Zacząłeś podejrzewać, że to ja jestem zdrajcą. Nie, nie jestem. Tysiąc razy powtarzałem sobie, że powinienem od ciebie odejść, tysiąc razy byłem bliski ogłoszenia całemu światu, kim jesteśmy i co robimy. Nie zrobiłem tego jednak, i nie zrobię ze względu na pamięć mojego ojca, żeby moja rodzina mogła żyć dostatnio, żeby dzieci moich braci miały lepszy los niż ja. Nie robię tego ze względu na nich i dlatego że nie wiem, jaki los mógłby mnie spotkać. Jestem człowiekiem, nędznym człowiekiem, zbyt starym, by zaczynać wszystko od nowa. Jestem takim samym tchórzem jak ty, obaj nimi byliśmy, godząc się na nasz los.

Addai patrzył na niego bez słowa, usiłując dojrzeć na twarzy Gunera ślad emocji, coś, co można by potraktować jako dowód jego przywiązania.

- Już wiem, dlaczego postanowiłeś rano wyjechać. Martwisz się, że Mendibh sprowadzi na nas nieszczęście. Powiedziałeś o tym jego ojcu?

- Skoro już wszystko wiesz, przyznam ci się, że martwi mnie, że chcą wypuścić Mendibha. Nasz łącznik w więzieniu widział, jak ten policjant go odwiedził. Zdaje się, że i naczelnik więzienia coś szykuje. Nie możemy ryzykować.

- Co zamierzasz zrobić?

- Wszystko co będzie konieczne, by nasza wspólnota mogła przetrwać.

- Posuniesz się nawet do zabicia Mendibha?

- To ty czy ja to powiedziałem?

- Znam cię dobrze i wiem, do czego jesteś zdolny.

- Jesteś moim jedynym przyjacielem, nigdy niczego przed tobą nie ukrywałem i znasz wszystkie tajemnice naszej wspólnoty, zdaję sobie jednak sprawę, że nie masz dla mnie ani krzty serdeczności, nigdy nie darzyłeś mnie sympatią.

- Mylisz się, Addaiu, bardzo się mylisz. Zawsze byłeś dla mnie dobry, od pierwszego dnia, kiedy przybyłem do twojego domu. Miałem wtedy dziesięć lat. Wiedziłeś, z jakim żalem rozstaję się z rodzicami, i starałeś się, bym mógł ich jak najczęściej odwiedzać. Nigdy nie zapomnę, jak odprowadzałeś mnie do domu, zostawiałeś na całe popołudnie, a sam spacerowałeś dla zabicia

czasu po wsi, żeby nie krępować nas swoją obecnością. Nie mogę ci niczego zarzucić, byłeś dla mnie bardzo dobry. Jeśli chcesz wiedzieć, czy stałeś mi się bliski, moja odpowiedź brzmi... tak, ale wyznaję, że czasem nienawidzę cię za to, że jestem z tobą połączony więzami, których nie można zerwać. Nie zdradzę cię jednak, jeśli tego się boisz.

- Wiem, że w naszych szeregach czai się zdrajca, moim obowiązkiem zaś jest przewidzieć każde niebezpieczeństwo.

- Pomysł z listem był zbyt oczywisty.

- Może chciałem, byś uznał ten list za ostrzeżenie, gdybyś rzeczywiście był zdrajcą. Jesteś moim jedynym przyjacielem, jedyną osobą, której nie chciałbym stracić.

- Twój wyjazd do Włoch to duże ryzyko.

- To ryzyko zamieni się w poważne zagrożenie dla nas wszystkich, jeśli będę siedział z założonymi rękami.

- W Turynie mamy ludzi, którzy tylko czekają na twoje dyspozycje, zrobią wszystko, co im każesz. Jeśli policja rzeczywiście coś szykuje, nie powinieneś wchodzić im w drogę.

- Dlaczego uważasz, że policja coś szykuje?

- Tak wynika z listu. Chyba nie zastawiasz na mnie kolejnej pułapki...

- Najpierw pojedę do Berlina, potem do Mediolanu i Turynu. Bardzo szanuję rodzinę Mendibha, wiesz o tym, ale nie pozwolę, by chłopak ściągnął na nas kłopoty.

- Możesz zabrać go z Turynu, gdy tylko wypuszczą go na wolność.

- A jeśli to podstęp? Jeśli zwalniają go, by go śledzić? Sam bym tak zrobił na ich miejscu. Nie mogę pozwolić, by narażał wspólnotę na niebezpieczeństwo, dobrze o tym wiesz. Jestem odpowiedzialny za wiele rodzin, twoją również. Chcesz, by nas zmiażdżyli, odebrali wszystko, co mamy? Czyżbyśmy mieli zdradzić pamięć, jaką przodkowie zapisali nam w testamencie? Jesteśmy tym, czym musimy być, nie czym chcielibyśmy być.

- Wyjazd do Turynu to niepotrzebna brawura.

- Nie jestem lekkomyślny, wiesz o tym najlepiej, ale w liście ostrzegają nas, że może się szykować zasadzka. Muszę coś zrobić, żebyśmy w nią nie wpadli.

- Dni Mendibha są policzone.

- Kiedy człowiek się rodzi, jego dni już są policzone.

Zostaw mnie teraz, muszę popracować. Zawiadom mnie, kiedy przyjdzie Talat.

Guner wyszedł z gabinetu i udał się wprost do kaplicy. Tam, padłszy na kolana, rozplakał się jak dziecko i wpatrując się w krzyż na ołtarzu, szukał lekarstwa na swoje cierpienie.

- Czasami podejrzewam, że masz jakąś nerwicę - powiedział Giuseppe, patrząc, jak Valoni spaceruje z kąta w kąt.

- Posłuchaj, Giuseppe, jestem pewny, że ci złodzieje wchodzą i wychodzą jakimś tajemnym przejściem. Podziemia Turynu są podziurawione jak ser gruyere, same tunele, dobrze o tym wiesz.

Sofia w milczeniu słuchała kolegów, przyznając rację Valoniemu. Niemi złoczyńcy wyrastali jak spod ziemi i znikali, jakby się pod ziemię zapadli. Policjanci byli już pewni, że operacje wymierzone w całun - zakładając, że rzeczywiście chodzi o kradzież całunu z katedry, jak utrzymywał Valoni, są dziełem jakiejś organizacji. To ona zlecała niemowom włamanie.

W ostatniej chwili szef zdecydował się zabrać z nimi do Turynu. Minister kultury załatwił mu pozwolenie u ministra obrony na zbadanie tuneli, zwykle zamkniętych dla osób postronnych. Na planach podziemnych tuneli, którymi dysponowało wojsko, nie było takiego, który prowadziłby do katedry. Instynkt jednak podszeptował Valoniemu, że się mylą, więc korzystając z pomocy komendanta wojsk inżynieryjnych i czterech saperów z tego samego oddziału imienia Pietra Mikki, mieli sprawdzić zamknięte tunele. Podpisał dokument, w którym oświadczał, że wie o ryzyku z tym związanym, minister zaś zaznaczył, że nie wolno mu narażać na niebezpieczeństwo życia komendanta i oddelegowanych do tego zadania żołnierzy.

- Przystudiowaliśmy wszystkie plany i nie ma tunelu, który prowadzi do katedry - nie dawał za wygraną Giuseppe.

- Nie wiemy wszystkiego o podziemiach miasta - wtrąciła się Sofia. - Gdyby tak zacząć kopać, Bóg jeden wie, co byśmy odkryli. Niezbadane galerie, korytarze, które nagle się urywają. Nie wiadomo, czy któryś nie prowadzi do samej katedry. To byłoby logiczne. Nie zapominaj, że miasto wielokrotnie było obleżone, a w katedrze przechowywane są bezcenne eksponaty, które turyńscy z pewnością chcieli ochronić przed najeźdźcami. Nie zdziwiłabym się, gdyby któryś z korytarzy pozornie wiodących donikąd, kończył się w samym kościele.

Giuseppe zamilkł. Szanował Valoniego i Sofię za ich wiedzę.

Byli historykami i widzieli rzeczy, jakie umykały zwyczajnym śmiertelnikom. W dodatku ta sprawa była oczkiem w głowie komisarza. Wiedział, że albo rozwikła tajemnicę, albo zakończy karierę, ponieważ od miesiąca nie zajmuje się niczym innym niż pożar w katedrze.

Zatrzymali się w hotelu Alexandra w pobliżu turyńskiej starówki. Następnego dnia mieli ostro wziąć się do pracy.

Valoni spenetruje podziemia, Sofię czeka audiencja u kardynała, Giuseppe zaś spotka się z karabinierami, by ustalić, ilu ludzi będą potrzebowali do śledzenia niemowy.

Wieczorem Valoni zaprosił wszystkich na kolację do restauracji rybnej Al Ghibellin Fuggiasco. Ożywioną rozmowę nad zastawionym stołem przerwało nieoczekiwane wejście ojca Yvesa.

Podszedł do nich z uśmiechem, wymieniając z każdym serdeczny uścisk dłoni, jakby ich widok szczerze go ucieszył.

- Nie wiedziałem, że i pan wybiera się do Turynu, panie Valoni. Kardynał powiedział mi tylko, że pani doktor złoży nam wizytę, zdaje się jutro?

- Tak, jutro - potwierdziła Sofia.

- Jak się toczy śledztwo? Roboty w katedrze już się zakończyły, wierni znów mogą adorować całun. Wzmocniliśmy środki bezpieczeństwa, COCSA zainstalowała supernowoczesny system przeciwpożarowy. Nie sądzę, by powtórzyły się kłopoty.

- Oby miał ksiądz rację - westchnął Valoni.

- Nie będę przeszkadzał, udanej kolacji.

Odprawdzili go wzrokiem do stolika, przy którym siedziała młoda brunetka. Valoni się roześmiał.

- Wiecie, z kim je kolację nasz ojczulek?

- Z pewną całkiem ładną czarnulką. Ach, ci nasi księża... - mruknął zniesmaczony Giuseppe.

- To Ana Jimenez, siostra Santiaga.

- Rzeczywiście. Nie poznałem jej.

- Teraz to ja podejść do ich stolika, żeby się przywitać - oznajmił Valoni.

- Może się przysiądą? Zaprosimy ich na drinka? - podsunęła Sofia.

- To by znaczyło, że wzbudzili nasze zainteresowanie, a chyba nie o to nam chodzi?

Komisarz przemaszerował przez całą salę i stanął przy stoliku księdza. Ana Jimenez posłała mu szeroki uśmiech, zapraszając serdecznie, by do nich dołączył. Przyjechała do Turynu cztery dni temu, chętnie z nim porozmawia.

Valoni odpowiedział, że z przyjemnością zaprosi ją na kawę, jeśli będzie miał wolną chwilę, i że nie zamierza długo zabawić w mieście. Kiedy zapytał, pod jakim numerem telefonu można ją zastać, Ana poprosiła, by dzwonił do hotelu Alexandra.

- To miły zbieg okoliczności, my również zatrzymaliśmy się w tym hotelu.

- Brat polecił mi to miejsce. Zdaje się, że to dobry hotel na parodniowy pobyt.
- W takim razie na pewno nadarzy się okazja, by porozmawiać.

Valoni pożegnał się i wrócił do swojego stolika.

- Ta młoda dama zatrzymała się w tym samym hotelu co my.
- Cóż za przypadek! - mruknął Giuseppe.
- Nie, to żaden przypadek. Santiago polecił jej ten hotel.

Można się było tego spodziewać. Będzie zbyt blisko, starajmy się więc jej unikać.

- Cóż, nie wiem, czy chcę unikać takiego cukiereczka! - wykrzyknął ze śmiechem Giuseppe.

- Oświadczam ci, że jednak będziesz jej unikał, i to z dwóch powodów: po pierwsze, Ana jest dziennikarką i uparła się, że ustali, co kryje się za wypadkami w katedrze, po drugie, jest siostrą Santiaga, a ja nie życzę sobie żadnych skandali i złamanych serc, zgoda?

- Zgoda, tylko żartowałem.

- Ana Jimenez to nieustępliwa i inteligentna kobieta - odezwała się Sofia. - Lepiej z nią nie zadzierać. W liście, który przysłała bratu, zawarła wiele interesujących wątków, choć to tylko sprytne spekulacje. Nie broniłabym się, gdyby nadarzyła się okazja zamienić z nią słowo.

- Sofio, nie powiedziałem kategorycznie „nie”, ale musimy być bardzo ostrożni.

- A jak mam rozumieć jej zażyłość z księdzem Yvesem? - myślała na głos Sofia.

- To sprytna dziewczyna, udało jej się skłonić go, by zaprosił ją na kolację - orzekł Valoni.

- Intryguje mnie ten ksiądz.

- Dlaczego, Sofio?

- Trudno to sprecyzować, ale wydaje się zbyt poprawny, zbyt przystojny, zbyt sympatyczny, choć ani na moment nie można zapomnieć, że jest księdzem. Nie kokietuje. Przyglądam mu się przez cały czas. Wprawdzie rozmawia z kobietą, jest bardzo uprzejmy, ale nawet nie próbuje flirtować, chociaż, jak zauważył Giuseppe, fajna dziewczyna z tej Any.

- Gdyby chciał ją poderwać, nie zabierałby jej w tak uczęszczane miejsce - zauważył Valoni. - Żaden z nas by tego nie zrobił.

Starzec odłożył słuchawkę i zapatrzył się w krajobraz za oknem. Angielska wieś tonęła w zieleniach i szmaragdach rozświetlonych wschodzącym słońcem.

Siedmiu mężczyzn czekało w napięciu, aż starzec zabierze głos.

- Wyjdzie za miesiąc. Komisja penitencjarna rozważy w przyszłym tygodniu propozycję zwolnienia - powiedział wreszcie.

- To w tym celu Addai poleciał do Niemiec, a jak twierdzi nasz łącznik, przekroczy również granicę Włoch. Mendibh stał się jego głównym problemem, zagrożeniem dla wspólnoty - stwierdził jeden z mężczyzn, zapewne Włoch.

- Chce go zlikwidować? - _ zagadnął dżentelmen z francuskim akcentem.

- Nie można pozwolić, by gliniarze deptali mu po piętach. Addai wie, że to podstęp - odparł mężczyzna o wyglądzie wojskowego.

- Gdzie zostanie zlikwidowany? - nalegał Francuz.

- Najprawdopodobniej w więzieniu - odpowiedział Włoch. - Tak będzie najbezpieczniej. Co najwyżej zrobi się mała afera. Mendibh na wolności łatwo mógłby wsypać ludzi Addaia, choćby przypadkiem.

- Macie jakieś propozycje? - dopytywał się starzec.

- Niech to Addai rozwiąże problem. Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich - Czy mamy jakąś ochronkę Mendibha, gdyby wyszedł żywy z więzienia? - zapytał starzec.

- Tak - odparł Włoch. - nasi bracia postarają się zmylić policję.

- Nie wystarczy, że się postarają. Nie może im się nie udać - stwierdził stary człowiek stanowczo.

- Uda im się - zapewnił Włoch. - Mam nadzieję, że w najbliższym czasie poznam wszystkie szczegóły planu karabinierów co do operacji pod kryptonimem „Koń trojański”.

- Doskonale. Rozwiązanie może być tylko jedno: wyrwanie Mendibha z rąk karabinierów, w przeciwnym razie...

Starzec nie dokończył. Wszyscy wiedzieli, że trzeba coś zrobić, by Mendibh nie stał się bezwiednie koniem trojańskim.

Ciche pukanie do drzwi, poprzedzające wejście służącego w liberii, było znakiem do zakończenia nocnej sesji.

- Proszę pana, goście zaczynają się budzić na polowanie - oznajmił służący.

Mężczyźni w eleganckich strojach do konnej jazdy jeden za drugim wychodzili z gabinetu, kierując się do przytulnej jadalni, w której czekało na nich śniadanie. Parę minut później do jadalni weszła starsza arystokratka w towarzystwie męża.

- Proszę, proszę, myślałam, że tylko z nas takie ranne ptaszki! - wykrzyknęła.
- Pewnie korzystając ze spotkania, omawiają panowie interesy - dodał jej mąż.

Francuski dżentelmen zapewnił ich, że nie mogą się doczekać polowania. Do jadalni wchodzili kolejni goście. Zebrało się trzydzieści osób. Rozmawiali z ożywieniem, niektórzy głośno oburzali się na Izbę Gmin za to, że zamierza zabronić polowań na lisy.

Starzec patrzył na nich zrezygnowany. Polowanie napawało go wstrętem. To uczucie podzielało siedmiu jego towarzyszy.

Nie mogli jednak wymówić się od tej, jakże angielskiej, rozrywki. Członkowie rodziny królewskiej uwielbiali spędzać w ten sposób czas, poprosili go więc, by jeszcze raz zorganizował polowanie w swojej rozległej, obfitującej w zwierzynę posiadłości.

* * *

Większą część poranka Sofia spędziła w towarzystwie kardynała. Nie widziała ojca Yvesa. Tym razem do gabinetu Eminencji zaprowadził ją inny ksiądz.

Kardynał był zadowolony, bo roboty w katedrze wreszcie dobiegły końca. Nie mógł się nachwalić Umberta D'Alaquy, który osobiście zadbał o przyspieszenie prac, delegując do kościoła więcej robotników, i to bez podnoszenia ceny.

Pod okiem profesora Bolarda całun wrócił do swojej gabloty w kaplicy Guarini. Kardynał dał wyraz rozczarowaniu, że ani Valoni, ani pani doktor nie zadzwonili do niego, by powiedzieć mu o wynikach śledztwa. Sofia przeprosiła, tłumacząc się zaabsorbowaniem pracą, i by wkupić się nieco w łaski duchownego, streściła mu w kilku słowach to, co wolno jej było zdradzić.

- Więc twierdzi pani, że istnieje jakaś organizacja lub człowiek, który chce ukraść całun? Wywołuje pożar w kościele, by korzystając z zamieszania, wynieść relikwię? Uff, strasznie to zagmatwane. A po co komu całun?

- Tego jeszcze nie wiemy. Może to jakiś kolekcjoner, ekscentryk, albo nawet mafia, która zażąda niebotycznego okupu za zwrot tkaniny.

- Mój Boże!

- Jeśli możemy być czegoś pewni, Wasza Eminencjo, to tego, że wszystkie te nieszczęśliwe

wypadki w katedrze mają związek z całunem.

- Więc mówi pani, że wasz zwierzchnik poszukuje podziemnego korytarza prowadzącego do katedry? Ależ to absurd. Przecież prosili państwo ojca Yvesa, żeby dokładnie przejrzał archiwa, i zdaje się, że wysłał wam bardzo szczegółowe informacje na temat historii katedry, a dokumenty nawet nie napomykają o takim przejściu.

- Co niestety nie oznacza, że takowe nie istnieje.

- Ani że istnieje. Byłbym raczej sceptyczny jeśli chodzi o te niestworzone historie, jakie wypisują o starych kościołach.

- Eminencjo, jestem historykiem...

- Tak, tak, wiem o tym. Z szacunkiem i podziwem odnoszę się do państwa osiągnięć i pracy waszego wydziału, nie chciałem pani obrazić, proszę mi wybaczyć.

- Wcale nie poczułam się obrażona. Proszę mi jednak wierzyć, że cała historia nie została jeszcze napisana, nie wiemy o wszystkich zdarzeniach z przeszłości, a zwłaszcza o tym, czego chcieli nasi przodkowie.

W hotelowym holu Sofia o włos uniknęła zderzenia z Aną Jimenez. Szybko zorientowała się, że ta na nią czekała.

- Pani doktor...

- Witam, co u pani słyhać?

- Dziękuję, wszystko dobrze. Poznaje mnie pani?

- Tak, siostra Santiaga Jimeneza, naszego dobrego znajomego.

- Wie pani, co robię w Turynie?

- Bada pani okoliczności pożaru w katedrze.

- Wiem, że pani szef nie jest tym zachwycony.

- To chyba oczywiste. Pani też nie byłaby zadowolona, gdyby policja wtrącała się do pani pracy.

- Pewnie! Staralabym się ich zgubić. Wiem, że zabrzmiałoby to naiwnie, ale sądzę, że mogę państwu pomóc. Można mieć do mnie zaufanie. Jestem bardzo blisko związana z bratem, nie zrobiłabym niczego, co mogłoby narazić go na przykrości. Owszem, chciałabym napisać reportaż, ale nie zrobię tego. Obiecuję, że nie napiszę nawet linijki, dopóki nie zamkną państwo śledztwa i wszystko się nie wyjaśni.

- Sama pani rozumie, że policja nie może włączyć pani do zespołu prowadzącego śledztwo...

- Możemy jednak pracować równolegle. Ja będę informowała państwa o tym, co ustaliłam, a państwo odwdzięczą mi się tym samym.

- Ano, to oficjalne tajne śledztwo.

- Wiem o tym.

Sofia zastanawiała się, dlaczego dziewczyna tak przejmuje się tą sprawą.

- Dlaczego to dla pani takie ważne?

- Trudno to wyjaśnić. Nigdy nie interesowałam się całunem turyńskim, ani nie zwracałam uwagi na to, co dzieje się w katedrze. Dopiero niedawno, na kolacji u pani przełożonego, Valoniego... To tam po raz pierwszy usłyszałam o tej sprawie i połknęłam bakcyła. Brat zabrał mnie na tę kolację, bo sądził, że to tylko towarzyskie spotkanie, tymczasem wypłynęła ta sprawa, pan Valoni zapytał Santiaga i jeszcze jednego kolegę, Johna Barry'ego, co sądzą o pożarze. Rozprawiali o tym całą noc... Spekulacje, poszlaki, przypuszczenia... No i zaintrygowała mnie ta historia - Co udało się pani ustalić?, - Ma pani ochotę na kawę? - zapytała Ana.

- Chętnie - odparła Sofia. - I proszę mi mówić po imieniu.

Ana Jimenez odetchnęła z ulgą, tymczasem Sofia besztowała się w duchu, że tak łatwo dała się namówić na rozmowę z tą dziennikarką. Owszem, dziewczyna wzbudzała sympatię, zdawało się, że można jej ufać, Valoni jednak miał rację - po co mieliby ją w cokolwiek wtajemniczać?

- Dobrze, opowiadaj - ponagliła ją Sofia, gdy usiadły.

- Przeczytałam kilka wersji historii całunu, jest pasjonująca.

- Owszem, to ciekawe.

- Moim zdaniem ktoś chce dostać całun. Pożary to tylko sztuczka, żeby odwrócić uwagę policji. Celem jest sama relikwia.

Sofia była zaskoczona, że jej rozmówczyni doszła do tego samego wniosku co oni, nadstawiła więc uszu.

- Powinniśmy poszukać w przeszłości. Ktoś chce nie tyle ukraść to płótno, co je odzyskać - orzekła stanowczo Ana.

- Ktoś z przeszłości?

- Ktoś związany z historią relikwii.

- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Nie wiem, ale ufam swojej intuicji. Mam tysiąc teorii, jedna bardziej szalona od drugiej...
- Wiem, czytałam twój list.
- I co o tym myślisz?
- Że na pewno masz bujną wyobraźnię, bez wątpienia talent pisarski, a możliwe, że również rację.
- Wydaje mi się, że ojciec Yves wie o całunie więcej, niż przyznaje.
- Skąd ten pomysł?
- Bo jest tak uczynny, poprawny, niewinny i tak przejrzysty, że zaczynam podejrzewać, że coś ukrywa. Poza tym, jest bardzo pociągający, zauważyłaś?
- Owszem, to przystojny mężczyzna. Gdzie go poznałaś? - chciała wiedzieć Sofia.
- Zadzwoiłam do kurii, powiedziałam, że jestem dziennikarką i że chcę napisać artykuł o całunie turyńskim. W kancelarii pracuje pewna pani, dojrzała matrona, która zajmuje się kontaktami z prasą. Przez dwie godziny opowiadała mi to, co sama mogę przeczytać w broszurach dla turystów, w dodatku udzieliła mi lekcji historii dynastii sabaudzkiej. Koniec końców wyszłam stamtąd znudzona jak mops. Ta dobra kobieta nie była wymarzonym informatorem. Zadzwoiłam jeszcze raz, prosząc o rozmowę z samym kardynałem. Zapytali mnie oczywiście, kim jestem i czego chcę. Wyjaśniłam, że jestem dziennikarką, która interesuje się pożarami i innymi wypadkami w katedrze. Znow przełączyli mnie do tej zacnej damy, która tym razem nie była już tak życzliwa. Nalegałam, by umówiła mnie na spotkanie z kardynałem. W końcu postawiłam wszystko na jedną kartę i powiedziałam jej, iż wiem, że coś ukrywają i że opublikuję moje podejrzenia. Przedwczoraj zadzwonił do mnie ojciec Yves. Przedstawił się jako sekretarz kardynała. Jego zwierzchnik nie może się ze mną spotkać, ale on jest do mojej dyspozycji. Umówiliśmy się, pogadaliśmy. Wydawał się szczery, kiedy relacjonował ten ostatni pożar. Potem oprowadził mnie po katedrze, po czym wypiliśmy kawę. Uzgodniliśmy, że będziemy w kontakcie i wrócimy do tematu. Kiedy zadzwoniłam wczoraj, by umówić się na spotkanie, powiedział, że przez cały dzień będzie zajęty i zapytał, czy zgodzę się zjeść z nim kolację. To wszystko.
- To dość szczególny ksiądz - wyrwało się Sofii, jak gdyby myślała na głos.
- Łatwo sobie wyobrazić, że kiedy odprawia mszę, katedra pęka w szwach - zauważyła Ana.
- Podoba ci się?
- Gdyby nie był księdzem, starałabym się go poderwać.

Sofia była trochę skonsternowana rezolucją swojej rozmówczyni. Ona sama nigdy nie zdobyłaby się na takie wyznanie. Te młode dziewczęta... Ana miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, należała do pokolenia, które śmiało sięga po to, na co ma ochotę, bez hipokryzji i rozglądania się na boki, chociaż w tym przypadku kapłaństwo ojca Yvesa zdawało się ją powstrzymywać. Przynajmniej na razie.

- Mnie również intryguje ten ksiądz, ale prześwieciliśmy go i nie trafiliśmy na nic podejrzanego. Zdarzają się tacy ludzie, przejrzyści jak łza. Nieważne! Jaki masz plan?

- Gdybym dostała od ciebie jakąś wskazówkę... mogłybyśmy wymieniać się informacjami...

- Nie, nie mogę i nie powinnam tego robić.

- Nikt się nie dowie.

- Ano, nie chcę, byś odniosła złe wrażenie, ale ja nie robię niczego za plecami innych, a zwłaszcza za plecami tych, którym ufam i z którymi pracuję. Wydajesz mi się bardzo sympatyczna, ale ja mam swoją pracę, a ty swoją. Jeśli Valoni w pewnej chwili stwierdzi, że czas włączyć cię do naszych działań, będę zachwycona, jeśli nie, nie będę rozpaczala.

- Jeśli ktoś chce ukraść bądź zniszczyć całun turyński, opinia publiczna ma prawo o tym wiedzieć.

- Nie wątpię. Ale to ty utrzymujesz, że ktoś ma taki zamiar. My prowadzimy śledztwo w sprawie pożaru. Kiedy dobiegnie ono końca, powiadomimy naszych zwierzchników, ci zaś opinię publiczną, jeśli będzie to konieczne.

- Nie prosiłam, żebyś robiła coś za plecami szefa.

- Ano, zrozumiałam, o co mnie prosisz. Odpowiedź brzmi:

nie. Przykro mi.

Ana jak niepyszna wstała od stołu, przygryzając dolną wargę.

Zostawiła niedopite cappuccino.

- Cóż, jak nie, to nie. W każdym razie, jeśli na coś natrafię, wolno mi będzie do ciebie zadzwonić?

- Naturalnie.

Dziewczyna uśmiechnęła się grzecznie na pożegnanie i szybko wyszła z kawiarni. Sofia zastanawiała się, dokąd to idzie tak pewnym krokiem. Zadzwoniła jej komórka. Kiedy usłyszała głos ojca Yvesa, miała ochotę się roześmiać.

- O wilku mowa! Za ledwie parę minut temu rozmawiałam o księdzu.

- Coś podobnego! Z kim?

- Z Aną Jimenez.

- Ach, z tą dziennikarką. To urocza dziewczyna, bardzo błyskotliwa. Zbiera materiały o pożarze w katedrze. Słyszałem, że pani przełożony, Valoni, jest przyjacielem jej brata, który z kolei pracuje dla Europolu.

- Rzeczywiście. Santiago Jimenez przyjaźni się z Alonim i z nami wszystkimi. To dobry kolega i bardzo kompetentny policjant.

- Tak, wygląda na przyzwoitego człowieka. Ale, ale, dzwonię do pani w imieniu kardynała. Chce zaprosić panią i pani zwierzchnika na bankiet.

- Bankiet?

- Kardynał podejmuje grono katolickich naukowców, którzy dość regularnie przyjeżdżają do Turynu, by prowadzić badania całunu. Przy okazji zajmują się jego konserwacją. Powstał nawet specjalny komitet, przewodniczy mu profesor Molard. Za każdym ich przyjazdem kardynał organizuje małe przyjęcie. Nie zaprasza zbyt wielu gości, najwyżej trzydzieści, czterdzieści osób, i chciałby państwa widzieć w tym gronie. Swego czasu inspektor Valoni żywo interesował się tymi naukowcami i akurat nadarza się okazja, by ich poznać.

- Więc i ja jestem zaproszona?

- Oczywiście, pani doktor, sam Eminencja sobie tego życzy.

- Dobrze, proszę więc powiedzieć gdzie i kiedy.

- Pojutrze, w rezydencji kardynała o siódmej wieczorem.

Spodziewamy się też kilku przedsiębiorców, którzy z nami współpracują, poza tym może przyjsć burmistrz, jacyś samorządowcy, a może nawet monsignore Aubry, pomocnik zastępcy sekretarza stanu, oraz Jego Eminencja kardynał Visiers.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie.

- Czekamy na państwa.

* * *

Valoni był w złym humorze. Większą część dnia spędził w turyńskich podziemiach. Niektóre

odcinki korytarzy pamiętały XVI wiek, inne XVIII, nawet Mussolini dostrzegł potencjał tych galerii, niektóre nawet kazał przedłużyć. Obchód podziemi był trudnym zadaniem. Pod ziemią mieścił się inny Turyn, a raczej wiele różnych Turynów, stare terytorium turyńczyków skolonizowanych przez Rzym, oblężonych przez Hannibala, zaatakowanych przez Longobardów, aż zapanowała nad nim dynastia sabaudzka. Było to miasto, w którym historia na każdym kroku krzyżowała się z mitem, pozostawiając temu drugiemu duże pole do popisu.

Badania archeologiczne wykazały, że niektóre z podziemnych przejść pochodzą sprzed XVI wieku, sięgając nawet pierwszych stuleci naszej ery.

Komendant Colombaria okazał się równie cierpliwy i życzliwy, co nieprzejednany, kiedy Valoni starał się go nakłonić, by zapuścił się w któryś z niezbadanych czy gorzej utrzymanych korytarzy lub proponował wykuć otwór w ścianie, by przekonać się, czy nie kryje się za nią zakamuflowany łącznik.

- Dostałem rozkaz, by oprowadzić pana po galeriach i nie zamierzam niepotrzebnie narażać życia, zapuszczając się w miejsca, gdzie strop nie jest podparty stemplami i grozi zawaleniem. Nikt nie dał nam upoważnienia do wiercenia otworów w ścianach. Żałuję, ale nie.

Żałował też Valoni, który pod koniec wyprawy odnosił wrażenie, że zmarnował pół dnia, włączając się po tym podziemnym labiryncie.

- Nie złość się, komendant Colombaria ma rację, on tylko wypełnia obowiązki. Całe szczęście, że nie zabraliście się do kucia ścian. To czyste szaleństwo. - Giuseppe usiłował uspokoić szefa, ale jego starania nie przynosiły efektów.

Sofii nie poszło lepiej.

- Marco, gdybyś chciał zrealizować twoje szalone zamysły, musiałbyś mieć zgodę ministra kultury i turyńskiej komisji do spraw sztuki. No i jeszcze przydzieloną grupę archeologów i techników do prowadzenia prac w tunelach. Ale na piękne oczy nie pozwolą ci kopać tam, gdzie ci się spodoba.

- Jeśli nie spróbujemy przejść zamkniętymi tunelami, nigdy się nie przekonamy, czy tajemne przejście istnieje.

- Więc pogadaj z ministrem i...

- Minister w końcu pośle mnie do diabła. Już dał mi do zrozumienia, że ma po dziurki w nosie przypadku „całun turyński”.

Sofia i Giuseppe popatrzyli na siebie zaniepokojeni, nie odezwali się jednak słowem.

- Dajmy temu spokój. Kardynał zaprasza nas na bankiet - powiedziała w końcu Sofia.

- Nas? Na bankiet?

- A tak. Dzwonił do mnie ksiądz Yves. Do Turynu przyjeżdżają naukowcy zajmujący się konserwacją płótna, kardynał stara się im zawsze przypodobać, więc pojutrze urządza na ich cześć małe przyjęcie, na które zaprasza miejscowe szyszki.

Zdaje się, że chciałeś poznać tych naukowców, i dlatego kardynał umieścił nas na liście gości.

- Nie mam ochoty na imprezy. Wolałbym porozmawiać z nimi w innych okolicznościach... sam nie wiem... w katedrze, kiedy będą oglądali całun... No, ale musimy tam pójść. Oddam smoking do odprasowania. A ty, Giuseppe, masz jakieś wieści?

- W policji turyńskiej nie ma ludzi, których można by oddelegować do naszego zadania. Musimy zwrócić się o posiłki do Rzymu. Rozmawiałem z Europolem. Mogą nam przydzielić trzy osoby do pracy w terenie. Ty musisz pogadać z tymi w Rzymie.

- Nie chcę tu ludzi z Rzymu. Wolę kogoś z naszego zespołu. Kto może przyjechać?

- W wydziale mają masę roboty. Nikt tam nie siedzi beczynnie - zauważył Giuseppe. - Chyba że oderwiesz jedną osobę od normalnych zajęć i przeniesiesz ją tutaj.

- To dobre wyjście. Wystarczą nasi ludzie i wsparcie tylu miejscowych, ilu uda się załatwić. Chociaż to oznacza, że wszyscy będziemy musieli robić za gliniarzy.

- Myślałem, że jesteśmy gliniarzami - parsknął Giuseppe.

- Owszem, ty i ja. Ale Sofia nie ani Antonino i Minerva.

- Chyba nie przyszło ci do głowy kazać im śledzić niemowę?

- Wszyscy będą mieli zajęcie, jasne?

- Jasne jak słońce, szefie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, umówiłem się z kolegą karabinierem. To porządny gość, gotów nam pomóc. Zaprosiłem go na kolację. Przyjdzie za pół godziny. Chciałbym, żebyście wypili z nami po kieliszku, zanim wyjdziecie.

- Ja z przyjemnością - oświadczyła Sofia.

- Dobrze - zgodził się Valoni. - Wykąpię się i już wychodzę. A pani doktor jakie ma plany na wieczór?

- Właściwie żadnych, jeśli chcesz, możemy zjeść coś razem w hotelu.

- Ja zapraszam, może minie mi zły humor.

- Nie, to ja zapraszam.

- Jak sobie życzysz.

* * *

Sofia kupiła jedwabną garsonkę. Nie przywiozła ze sobą odpowiedniego stroju na większe wyjście, wybrała się więc w okolice ulicy Roma, by odwiedzić ulubiony sklep Armaniego.

Przy okazji kupiła krawat dla Valoniego.

Lubiła stroje Armaniego za prostotę i nieformalny akcent, jaki miały nawet eleganckie kostiumy.

- Zostaniesz królową imprezy - zapewnił ją Giuseppe.
- Nie mam co do tego wątpliwości - dodał Valoni.
- Zapiszę was do mojego fanklubu - roześmiała się Sofia.

Ojciec Yves czekał na nich w drzwiach. Nie był ubrany w sutannę, nawet nie założył koloratki, tylko garnitur - granatowy, wpadający w czerń, i krawat od Armaniego, identyczny jak ten, który Sofia podarowała szefowi.

- Pani doktor... Panie Valoni... zapraszam, kardynał bardzo się ucieszy.

Valoni popatrzył spod oka na krawat księdza.

- Ma pan dobry gust, świetnie dobrany krawat, panie Valoni - powiedział z uśmiechem ksiądz.
- Właściwie to pani doktor ma dobry gust, zrobiła mi mały prezent.
- Mogłem się domyślić! - wykrzyknął ojciec Yves.

Podeszli do kardynała, który przedstawił im monsignora Aubry'ego, wysokiego, chudego Francuza. Nosił się z wyszukaną elegancją, ale miał dobrotliwy wygląd. Mógł mieć koło pięćdziesiątki i widać było, że to doświadczony dyplomata. Natychmiast zainteresował się przebiegiem śledztwa w sprawie całunu.

Rozmawiali z nim już dłuższą chwilę, kiedy dostrzegli, że wszystkie spojrzenia kierują się ku drzwiom. Oznaczało to nadejście osobistości: kardynała Visiera i Umberta D'Alaquy.

Turyński kardynał i monsignor Aubry przeprosili Sofię i Valoniego i pośpieszyli ich przywitać. Sofia poczuła szybkie bicie serca. Nie przypuszczała, że będzie miała jeszcze okazję spotkać się z D'Alaquą, a kardynalskie pokoje były ostatnim miejscem, gdzie mogła się go spodziewać. Ciekawe, czy znów potraktuje ją z chłodną uprzejmością.

- Pani doktor, skąd ten rumieniec? - mruknął Valoni.

- Zarumieniłam się? No tak, ładne rzeczy...

- Było bardzo prawdopodobne, że zaprosi D'Alaquę.

- Nie przyszło mi to do głowy.

- To jeden z dobrodziei Kościoła, zaufany człowiek. Część finansów Watykanu dyskretnie przepływa przez jego ręce. Pozwól sobie przypomnieć, co Minerva pisze w swoim sprawozdaniu: to on finansuje komitet naukowy.

- Masz rację, po prostu nie przewidziałam, że tu będzie.

- Spokojnie, wyglądasz fantastycznie. Jeśli D'Alaqua jest wrażliwy na kobiece wdzięki, skapituluje.

- Sam wiesz, że nikt nie słyszał, żeby miał jakieś kobiety. To dziwne.

- Bo czekał na ciebie.

Przerwali te przekomarzania, gdy stanął przy nich ksiądz Yves w towarzystwie burmistrza i dwóch starszych dżentelmenów.

- Chcę panom przedstawić doktor Galloni i komisarza Valoniego, szefa wydziału sztuki rzymskiej policji. Pan burmistrz, profesor Bolard i doktor Castiglia...

Wywiązała się ożywiona rozmowa na temat całunu. Sofia odsunęła się nieco, prawie nie uczestnicząc w dyskusji.

Podskoczyła, kiedy wyrósł przed nią Umberto D'Alaqua, a za nim kardynał Visier. Po kurtuazyjnym powitaniu D'Alaqua wziął ją pod ramię i ku osłupieniu niektórych gości, odprowadził na bok.

- Jak tam śledztwo?

- Nie powiem, żebyśmy zrobili duże postępy. Potrzeba na to czasu.

- Nie wiedziałem, że panią spotkam...

- Kardynał nas zaprosił. Wiedział, że chcemy poznać członków komitetu naukowego i mam nadzieję, że uda nam się spotkać z tym znaczącym gronem, zanim wszyscy się rozjadą.

- Więc przybyli państwo do Turynu specjalnie na to przyjęcie?

- Niezupełnie.

- W każdym razie cieszę się, że panią widzę. Jak długo pani zostanie?
- Cztery, pięć dni, może trochę dłużej.
- Sofio!

Sam na sam z D'Alaquą zakłócił skrzekliwy głos starszego mężczyzny. Sofia uśmiechnęła się szeroko na widok swojego wykładowcy sztuki średniowiecznej, wybitnego naukowca, autora niezliczonych artykułów i książek, gwiazdy na firmamencie europejskiego świata akademickiego.

- Moja najlepsza studentka! Co za miłe spotkanie! Gdzie się pani podziewała?
- Profesor Bonomi! Tak się cieszę!

- Umberto, nie wiedziałem, że znasz Sofię. Zresztą powinienem się domyślić, bo to jedna z najlepszych specjalistek od historii sztuki we Włoszech. Szkoda, że nie chciała się poświęcić pracy naukowej. Proponowałem, by została moją asystentką, ale moje błagania na nic się nie zdały.

- Ależ panie profesorze!
- Tak, tak, nie miałem zdolniejszych uczniów niż pani, sofio.
- Nie wątpię - wtrącił się D'Alaqua. - Wiem, że pani doktor jest niezwykle kompetentna.

- Kompetentna i błyskotliwa, Umberto, a na dodatek bardzo dociekliwa. Proszę wybaczyć niedyskrecję, ale co pani tutaj robi?

Sofia poczuła się zakłopotana. Nie miała ochoty tłumaczyć się przed swoim dawnym wykładowcą, wiedziała jednak, że nie uniknie odpowiedzi na to pytanie.

- Pracuję w policji, w wydziale do spraw sztuki, jestem tu służbowo.
- W policji! Nie sądziłem, że zostanie pani detektywem.
- Właściwie to praca naukowa, nie zajmuję się tradycyjnie rozumianym śledztwem.
- Proszę ze mną, Sofio, przedstawię panią moim kolegom po fachu, to cenne kontakty.

D'Alaqua wziął ją pod ramię, nie pozwalając, by profesor go wyprzedził.

- Wybacz, Guido, ale chciałem przedstawić panią Jego Eminencji...

- Skoro tak... Umberto, mam nadzieję, że zobaczę cię jutro na koncercie Pavarottiego, a potem przyjdiesz na kolację którą wydaję na cześć kardynała Visiera?

- Naturalnie.

- Może przyprowadzisz Sofię? Chciałbym tam widzieć moją ukochaną dziewczynkę, jeśli nie ma żadnych zobowiązań na jutrzejszy wieczór.

- Cóż, ja...

- Byłbym zachwycony, gdyby zechciała mi pani towarzyszyć - zapewnił pośpiesznie D'Alaqua.
- Oczywiście, jeśli ma pani wolny wieczór. Teraz, pozwoli pan, kardynał na nas czeka... Do zobaczenia wkrótce.

D'Alaqua zaprowadził Sofię do grupki otaczającej kardynała Visiera. Ten przyjrzał jej się z zaciekawieniem, jakby próbował wywnioskować, czego można się po niej spodziewać. Był uprzejmy, ale chłodny jak sople lodu. Odnosiło się wrażenie, że z D'Alaquą łączy go pewna zażyłość.

Dłuższą chwilę rozmawiali o sztuce, po czym przeszli do polityki, by w nieunikniony sposób skończyć na całunie turyńskim.

Valoni przyglądał się, jak doskonale Sofia wtopiła się w to doborowe towarzystwo. Nawet nadęty kardynał nagradzał uśmiechem jej błyskotliwe komentarze. Pomyślał, że jest nie tylko wyjątkowo inteligentna, ale również bardzo atrakcyjna.

Nikt nie przejdzie obojętnie obok tak pięknej kobiety, nawet ten napuszony kardynał.

Pierwsi goście pożegnali się po dziewiątej. D'Alaqua wychodził w towarzystwie Aubry'ego i obydwu kardynałów, towarzyszył im też profesor Bolard i dwaj inni naukowcy.

Zanim wyszedł, odszukał Sofię, która rozmawiała z Valonim i z Guido Bonomim.

- Dobranoc państwu, Sofio, Guido, panie Valoni...

- Gdzie jesz dzisiaj kolację, Umberto? - zapytał profesor Bonomi.

- W willi Jego Eminencji.

- A więc spotkamy się jutro, mam nadzieję, że w towarzystwie pani doktor...

Sofia poczuła, że się czerwieni. Nie uszło to uwagi D'Alaquy.

- Oczywiście. Skontaktuję się z panią. Do jutra.

Sofia i Valoni pożegnali się z kardynałem i ojcem Yvesem.

- Dobrze się państwo bawili? - zapytał kardynał.

- Tak, dziękuję, Wasza Eminencjo - odparł Valoni.

- Umówili się już państwo z naszym komitetem naukowym? - dopytywał się ksiądz Yves.

- Tak, jutro przyjmie nas doktor Bolard - odpowiedział Valoni.

- Yves, może zabierzesz państwa na kolację?

- Z przyjemnością. Jeśli państwo chwilę zaczekają, zarezerwuję stolik w Vecchia Lanterna.
Odpowiada?

- Proszę nie robić sobie kłopotu...

- To żaden kłopot, panie Valoni, chyba że nie chce pan jeść ze mną kolacji z powodu tego krawata...

* * *

Po północy ksiądz pożegnał ich w drzwiach hotelu. Spędzili przyjemny wieczór. Śmiali się beztrąsko, rozmawiając o głupstwach, jedząc wyśmienitą kolację w jednej z najelegantszych i najdroższych restauracji w Turynie.

- Wyczerpuje mnie to życie towarzyskie! - westchnął Valoni, kiedy kierowali się do baru, by wymienić się wrażeniami.

- Było bardzo miło - przyznała Sofia.

- Jesteś urodzoną księżniczką, więc czułaś się wśród tych ludzi jak ryba w wodzie. Ja zaś jestem prostym gliniarzem i byłem tam służbowo - zaznaczył Valoni.

- Marco, nie jesteś żadnym prostym gliniarzem, masz dyplom z historii, a o sztuce nauczyłeś mnie więcej niż uniwersytet.

- Nie przesadzaj. Stary Bonomi cię uwielbia.

- To genialny wykładowca, poza tym, że primadonna wśród krytyków sztuki. Zawsze był dla mnie bardzo życzliwy.

- Wydaje mi się, że się w tobie podkochiwał.

- Co ty wygadujesz! Byłam po prostu dobrą studentką, zaliczałam na celujący wszystkie przedmioty. Przyznaję, byłam kujonem.

- Dobrze, dobrze. A co powiesz o panu D'Alaquisie?

- Sama nie wiem... Trochę przypomina księdza Yvesa. Obaj są inteligentni, dobrze

wychowani, uprzejmi, przystojni i... nieosiągalni.

- Nie wygląda na to, by D'Alaqua był dla ciebie nieosiągalny, zwłaszcza że nie jest księdzem.
- Nie, nie jest, ale ma w sobie coś... wygląda, jakby był z innego świata, jak gdyby szykował dla wszystkich jakiś wielki plan... Budzi we mnie dziwne odczucia, jak by to ująć...
- Zauważyłem, że przypadłaś mu do gustu.
- Nie bardziej niż inni. Chciałabym móc powiedzieć, że ten mężczyzna się mną interesuje, ale to nieprawda. Marco, nie będę się oszukiwała, jestem dorosła i wiem, kiedy się komuś podobam.
- Co ci powiedział?
- Przez tę krótką chwilę, kiedy zostaliśmy sami, wypytywał mnie o śledztwo. Staralam się nie zdradzać, że przeprowadzamy tu operację. Powiedziałam, że chciałeś poznać ludzi, którzy opiekują się całunem.
- Co sądzisz o Bolardzie?
- To ciekawe, ale to ten sam typ człowieka co D'Alaqua i ksiądz Yves. Teraz już wiemy, że to dobrzy znajomi, co zresztą było do przewidzenia.
- Wiesz, mnie też się wydaje, że to dość specyficzni ludzie. Nie wiem jeszcze, co mi się w nich nie spodobało, ale mam złe przeczucia. Emanują potęgą, pozwalając innym odczuć swoją wielkość. Może to ich wygląd, elegancja, pewność siebie... Są przyzwyczajeni do wydawania rozkazów i posłuchu. Nasz gaduła, profesor Bonomi, zdradził mi, że ten Bolard żyje tylko nauką i dlatego jest zatwardziałym starym kawalerem.
- Dziwi mnie jego oddanie całunowi, przecież wie, że badanie izotopu I4C datuje tkaninę na okres średniowiecza.
- Tak, zastanawiałem się nad tym. Zobaczymy, co uda nam się jutro z niego wycisnąć. Chcę, żebyś była na tym spotkaniu. A co to za historia z kolacją u Bonomego?
- Naciskał na D'Alaquę, żeby zabrał mnie do opery, a potem przyprowadził do niego do domu, bo wydaje kolację, by uhonorować kardynała Visiera. D'Alaqua nie mógł się wymigać, musiał zgodzić się na moje towarzystwo. Nie wiem, czy powinnam iść...
- Owszem, powinnaś pójść i nadstawić ucha. To polecenie służbowe. Wszyscy ci poważani i wpływowi ludzie trzymają trupy w szafie. Zastanawiam się, czy któryś nie wie czegoś o naszej katedrze.
- Marco, proszę! To absurd! Nie możesz myśleć, że wszyscy mają coś wspólnego z pożarami i niemowami...

- Wiem co mówię. Rozmawiasz z policjantem. Nie ufam grubym rybom. Żeby dojść tam, dokąd doszli, musieli wdepnąć w niejedno gówno i ściąć wiele głów. Pozwól sobie przypomnieć, że za każdym razem, kiedy rozbijamy szajkę złodziei dzieł sztuki, okazuje się, że kradzież zlecił jakiś ekscentryczny milioner, który śni o tym, by w swojej prywatnej kolekcji zgromadzić całe dziedzictwo kulturowe ludzkości. Ty jesteś urodzoną księżniczką z bajki, ale masz do czynienia z rekinami, które pożerają wszystko, co napotykają na swojej drodze. Nie zapomnij o tym jutro, ani w operze, ani na kolacji u Bonomego. Ich dobre maniery, elokwencja, cały ten zbytek, to tylko fasada. Mam do nich mniej zaufania niż do kieszonkowców z Trastevere.

- Znowu muszę sobie kupić jakiś ciuch...

- Kiedy wrócimy, poproszę, by przyznano ci zwrot kosztów związanych ze śledztwem. Tymczasem, księżniczko, postaraj się omijać Armaniego szerokim łukiem, w przeciwnym razie zostawisz u nich całą miesięczną pensję.

- Postaram się, ale nie obiecuję.

* * *

Zarumieniona panna młoda przyjmowała życzenia, nie widząc końca kolejki gości, którzy przyszli na jej wesele. Sala była pełna. Addai pomyślał, że ślub bratanicy Bakkalbasiego to doskonała okazja, by spotkać się w Berlinie z większością braci.

Podróżował z Bakkalbasim, jednym z ośmiu biskupów wspólnoty, oficjalnie zamożnym kupcem z Urfy.

Zebrawszy siedmiu zwierzchników wspólnoty z Niemiec i drugie tyle z Włoch, skierował się do spokojnego kąta sali, gdzie panowie sięgnęli po długie cygara. Jeden z siostrzeńców Bakkalbasiego stał nieopodal, pilnując, by nikt im nie przeszkadzał.

Addai wysłuchał raportów swoich ludzi, którzy szczegółowo zdali mu relację z życia wspólnoty na tych barbarzyńskich ziemiach.

- W przyszłym miesiącu Mendibh wyjdzie na wolność.

Naczelnik więzienia wiele razy rozmawiał przez telefon z szefem policjantów, którzy prowadzą tę sprawę. Niedawno kuratorka skarżyła się naczelnikowi więzienia, że nie wypada odgrywać takiego przedstawienia przed więźniem. Przypomniała, że już od dawna radzi, by wysłać Mendibha do specjalnego ośrodka, że jest święcie przekonana, że on nie rozumie, co się do niego mówi, i że urządzenie cyrku, w którym ona ma się rzekomo opowiedzieć za wypuszczeniem go na wolność tylko po to, by sprawdzić, czy rozumie, co mówią, uważa za oburzające i niegodziwe. Dała mu do zrozumienia, że nigdy więcej nie weźmie udziału w podobnym przedstawieniu.

- Kto jest twoim łącznikiem w więzieniu? - zapytał Addai.

- Moja bratowa, sprzątaczką. Od lat sprząta biura i niektóre części samego więzienia. Tak się przyzwyczaili do jej obecności, że traktują ją jak powietrze. Kiedy rano przychodzi naczelnik, a ona jest zajęta pracą, daje jej znak, by sobie nie przeszkadzała, gdy on tymczasem załatwia jakiś telefon lub rozmawia z pracownikami. Ufają jej. To starsza kobieta, kto by mógł podejrzewać o złe zamiary siwą panią z wiadrem i ścierką.

- Czy można się dowiedzieć z wyprzedzeniem, kiedy zostanie zwolniony?

- Tak, to możliwe - odparł mężczyzna.

- W jaki sposób? - chciał wiedzieć Addai.

- Podania o skrócenie wyroku przychodzą do naczelnika więzienia faksem, odbiera je rano. Moja bratowa dociera do pracy wcześniej, i już została poinstruowana, żeby przeglądać nadesłane dokumenty, a jeśli znajdzie się wśród nich nakaz zwolnienia Mendibha, ma do mnie natychmiast zadzwonić. Kupiłem jej telefon komórkowy tylko dla tej jednej rozmowy.

- Czy mamy więcej ludzi w więzieniu?

- Dwóch braci skazanych za zabójstwo. Jeden był kierowcą pewnego dygnitarza w Turynie, drugi prowadził zieleniak. Którejś nocy doszło do awantury w dyskotecce, postawili się gościom, którzy zaczepiali ich dziewczyny. Nasi byli szybsi i jeden z awanturników dostał cios nożem i zmarł. Ale to dobrzy chłopcy i bardzo oddani sprawie.

- Niech Bóg im wybaczy czyn popełniony w afekcie. Należą do naszej wspólnoty?

- Bezpośrednio nie, ale jeden z ich krewnych jest naszym oddanym wyznawcą. Rozmawiał z nimi. Zapytaliśmy, czy mogliby... czy mogliby...

Mężczyzna był speszony, lecz Addai, nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

- Co odpowiedzieli?

- Zależy za jakie pieniądze. Jeśli ich rodziny dostaną milion euro, podejmą się tego.

- Skąd będą wiedzieli, czy pieniądze rzeczywiście nadeszły?

- Przyjdzie do nich krewny, który potwierdzi, czy dostali pieniądze i kiedy mają... zresztą, sam kazałeś.

- Pieniądze będą. Ale musimy się przygotować także na to, że Mendibh jednak wyjdzie z więzienia żywy.

Do rozmowy włączył się elegancki młody człowiek z gęstym zarostem.

- Pasterzu, gdyby do tego doszło, będzie się z nami kontaktował tradycyjnymi kanałami.

- To znaczy?

- O dziewiątej rano pójdzie do parku Carrara. Będzie się przechadzał jak znudzony turyńczyk nieopodal pomnika Appiusza Klaudiusza. O tej porze codziennie przechodzi tamtędy mój kuzyn Arslan, który odprowadza córeczki do szkoły. Już od lat, kiedy nasi bracia wpadają w tarapaty, idą tam, upewniając się, czy nikt ich nie śledzi. Kiedy z przeciwka nadchodzi Arslan, rzucają na ziemię kartkę, na której wskazane jest miejsce, gdzie mogą się spotkać za kilka godzin. Kiedy do Turynu przyjeżdża któryś z twoich wysłanników, dostaje dokładnie takie same instrukcje. Arslan kontaktuje się ze mną, zawiadamia mnie o miejscu spotkania, my zaś szykujemy siatkę ludzi, by upewnić się, czy nikt nie śledzi wysłannika. Jeśli okaże się, że trwa cichy pościg, nie podchodzimy do niego, ale staramy się za nim iść i kontaktujemy się, kiedy niebezpieczeństwo wydaje się zażegnane. Jeśli nie dochodzi do spotkania, nasz brat wie, że dzieje się coś złego i próbuje jeszcze raz. Tym razem idzie do straganu z owocami na via della Accademia Albertina i kupuje jabłka. Płacąc, podaje ukradkiem kartkę z adresem kolejnego miejsca. Straganiarz należy do wspólnoty i natychmiast nas powiadamia. Trzecia możliwość...

- Lepiej, żeby nie trzeba było uciekać się do trzeciej próby. Jeśli wyjdzie żywy z więzienia, nie powinien przeżyć pierwszego spotkania. Czy to jasne? Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Za Mendibhem pójdą karabinierzy, doświadczeni policjanci. Trzeba znaleźć odpowiednich ludzi, którzy zrobią co należy i znikną, zanim zjawi się policja. Nie pójdzie łatwo, ale nie wolno dać mu szansy na kontakt z kimkolwiek z nas, rozumiane?

Mężczyźni przytaknęli, zasepieni.

- Jestem wujem ojca Mendibha - odezwał się najstarszy.

- Przykro mi.

- Wiem, że robisz to, by nas ocalić, ale czy naprawdę nie ma innej możliwości, by wywieźć go z Turynu?

- Niby jak? - Addai wzruszył ramionami. - Urządzą pościg, będą mu deptali po piętach, obfotografują i sfilmują każdego, kto odważy się do niego podejść. Odczuwam taki sam ból jak i ty, nie mogę jednak pozwolić, by do nas dotarli. Przetrwaliśmy dwa tysiące lat, kosztowało to życie niejednego z naszych przodków, nie wspominając o wyrwanych językach, utraconym dobytku i rodzinach. Nie możemy zdradzić ani ich, ani samych siebie. Powtarzam, boleję nad tym, ale nie widzę innego wyjścia.

- Rozumiem. Pozwolisz zrobić to mnie, jeśli wyjdzie z więzienia?

- Ty chcesz to zrobić? Przecież należysz do starszyny naszej wspólnoty. Zresztą, jak mógłbyś to zrobić, będąc jego wujem?

- Zostałem sam. Moja żona i córki zginęły przed trzema laty w wypadku samochodowym. Nie mam tu nikogo. Zamierzałem wrócić do Urfy, by dożyć swoich dni w domu moich krewnych. Wkrótce skończę osiemdziesiąt lat, przeżyłem już tyle, że Bóg przebaczy mi, jeśli to ja odbiorę życie Mendibhowi i sobie samemu. Tak będzie najrozsądniej.

- Chcesz odebrać sobie życie?

- Tak, pasterzu. Kiedy już będzie po wszystkim. Kiedy Mendibh skieruje swoje kroki do parku Carrara, będę już na niego czekał. Wyjdę mu naprzeciw, nie będzie niczego podejrzewał, przecież jestem jego krewnym. Obejmę go, zadając śmiertelny cios. Potem wbiję sobie nóż w serce.

Wszyscy zamilkli, poruszeni wyznaniem starca.

- Nie jestem przekonany, że to dobry pomysł - odparł Addai. - Zrobią ci sekcję zwłok, ustalą, kim jesteś.

- Nie, nie uda im się. Wcześniej wyrwiecie mi zęby i wypalicie opuszki palców. Dla policji będę człowiekiem bez tożsamości. Zmęczyłem się już życiem. Pozwól, niech to będzie moja ostatnia, najbardziej bolesna posługa ku chwale wspólnoty. Czy Bóg mi wybaczy?

- Bóg wie, po co to wszystko robimy.

- Więc kiedy Mendibh wyjdzie z więzienia, poślij po mnie i przygotuj mnie na śmierć.

- Tak się stanie. Jeśli jednak nas zdradzisz, ucierpi cała twoja rodzina w Urfie.

- Nie obrażaj mnie takimi pogroźkami. Nie zapominaj, kim jestem, kim byli moi przodkowie.

Addai opuścił głowę na znak zgody, po czym zapytał o Turguta.

Odpowiedział mu inny mężczyzna, niski, krzepki, o wyglądzie portowego tragarza, choć w rzeczywistości był strażnikiem w Muzeum Egipskim.

- Francesco Turgut jest przerażony. Ci z policji już wielokrotnie go przesłuchiwali, wydaje mu się też, że niejaki ksiądz Yves, sekretarz kardynała, przygląda mu się podejrzliwie.

- Co wiemy o tym księdzu?

- To Francuz, ma pewne wpływy w Watykanie, niedługo zostanie biskupem pomocniczym Turynu.

- Możliwe, że jest jednym z nich?

- Niewykluczone. Wskazują na to pewne przesłanki. To nie jakiś przeciętny wikary. Pochodzi z arystokratycznej rodziny, zna wiele języków, odebrał gruntowne wykształcenie, uprawia sport... i przestrzega celibatu. Zresztą, sam wiesz, oni nigdy nie naruszają tej zasady. To protegowany

kardynała Visiera i monsignora Aubry'ego.

- Co do których mamy pewność, że do nich należą.

- Bez wątplenia. Sprytnie dostali się do Watykanu i umiejętnie ulokowali na najwyższych stanowiskach w kurii. Nie zdziwiłbym się, gdyby któregoś dnia jeden z nich został papieżem. To byłaby kpina...

- Turgut ma siostrzeńca w Urfie, Ismeta, to porządny chłopak, poproszę go, by przeniósł się do swojego wuja.

- Kardynał jest łaskawy, podejrzewam, że zgodzi się, by Francesco przyjął siostrzeńca pod swoje skrzydła.

- Ismet to bystry chłopak, jego ojciec prosił mnie, bym się nim zajął. Każę mu, by zamieszkał z Turgutem. Musi się ożenić z jakąś Włoszką, w swoim czasie zastąpi wuja. Poza tym będzie miał na oku księdza Yvesa i wybada, czy jest jednym z nich.

- Co do tego nie mam wątpliwości.

- Dzięki Ismetowi zyskamy pewność. Rozumiem, że nasz tunel nadal jest dostępny?

- Tak. Dwa dni temu szef tych historyków z policji zszedł do podziemi z kilkoma żołnierzami. Kiedy wyszedł, wystarczyło zobaczyć jego sfrustrowaną minę, mówiła sama za siebie. Nie, nie natrafili na ślad tunelu.

Mężczyźni nie przerywali rozmowy, sącząc wino do późnej nocy, kiedy to młoda para pożegnała rodzinę. Addai, abstynent, nie pił. W towarzystwie Bakkalbasiego i trzech mężczyzn opuścił lokal i skierował się do domu jednego z braci ze wspólnoty.

Następnego dnia zamierzał wybrać się do Turynu, tak im przynajmniej powiedział. Zastanawiał się jednak, czy nie wrócić do Urfy. Wszyscy wiedzieli, co mają robić, udzielił im dokładnych wskazówek. Mendibh powinien umrzeć, by ocalić wspólnotę.

Noc upłynęła Addaiowi na modlitwie. Szukał Boga w powtarzanych wciąż pacierzach, wiedział jednak, że Bóg go nie słucha. Tak naprawdę nigdy nie czuł jego bliskości, nie dostał od niego żadnego znaku, choć poświęcił dla niego swoje życie i życie tylu bliźnich. A jeśli Boga nie ma? A jeśli to jedno wielkie kłamstwo? Czasem ulegał podszeptom diabła i myślał, że ich wspólnota opiera się na wierze w mit, w legendę, że nic z tego, co opowiadano im w dzieciństwie, nie jest prawdą.

Nie było jednak odwrotu. Jego życie zostało dokładnie zaplanowane, a jego jedynym celem było odebranie im całunu Chrystusa. Wiedział, że będą mu w tym przeszkadzali, jak robią to od wieków, odkąd skradli święte płótno. Kiedyś jednak wspólnota je odzyska, a dokona tego on, Addai.

Kiedy weszła do loży D'Alaquy, nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Siedzieli w niej kardynał Visier, profesor Bolard i trzech inni panowie, których natychmiast rozpoznała - członek rodziny Agnelli z żoną, dwaj bankierzy i burmistrz Torriani wraz z małżonką. Przedtem D'Alaqua przysłał do hotelu samochód, który zawiózł ją do opery, a przy wejściu czekał na nią asystent dyrektora teatru, by odprowadzić ją do loży.

D'Alaqua powitał ją serdecznie, dłużej przytrzymując jej rękę.

Kardynał Visier jedynie lekko się uśmiechnął.

D'Alaqua posadził Sofię między burmistrzem i jego żoną a profesorem Bolardem. Sam zajął miejsce obok kardynała.

Sofia czuła na sobie zainteresowane spojrzenia mężczyzn.

Wiedziała, że wygląda szczególnie pociągająco, ponieważ bardzo starannie przygotowywała się do wyjścia. Po południu poszła do fryzjera, potem jednak wróciła do salonu Armaniego, tym razem po elegancki komplet - czerwoną marynarkę ze spodniami, choć czerwony nie był sztandarowym kolorem tego stylisty. Wyglądała zjawiskowo, przynajmniej tak twierdzili Valoni i Giuseppe.

Marynarka miała głęboki dekolt i burmistrz z trudem odrywał wzrok od miejsca, gdzie kończyło się wycięcie.

Valoni był zaskoczony, że D'Alaqua nie przyjechał po Sofię osobiście, tylko wysłał po nią samochód. Sofia zrozumiała podtekst: nie jest nią zainteresowany, traktuje ją jak jeszcze jednego gościa.

Było jasne, że D'Alaqua trzyma ją na dystans i mimo całej subtelności, z jaką to robił, nie miała wątpliwości, co chce dać jej do zrozumienia.

Podczas przerwy została zaproszona do prywatnego saloniku D'Alaquy, gdzie czekał na nich szampan i przekąski, których nawet nie tknęła, by nie zlizać karminowej szminki.

- Podoba się pani opera, pani doktor?

Kardynał Visier mierzył ją uważnym spojrzeniem.

- O tak. Pavarotti jest dziś w świetnej formie.

- W rzeczy samej, chociaż rola w Cyganerii nie jest jego największym osiągnięciem.

Guido Bonomi wylewnie witał gości D'Alaquy.

- Sofio, wygląda pani olśniewająco! - wykrzyknął. - Zawsze zaskakuje mnie pani uroda, chociaż widzieliśmy się zaledwie wczoraj. Zachwyciła mnie już pani jako studentka, a teraz pani urok wcale nie zmalał. Mam tu całą kolejkę kolegów, którzy niecierpliwą się, by panią poznać, i grono zazdrosnych żon, ponieważ ich mężowie częściej kierowali lornetkę na panią niż na tenora. Należy pani do tych kobiet, które przyćmiewają wszystkie inne.

Sofia uśmiechnęła się kwaśno. Pochlebstwa Bonomiego wydały jej się nie na miejscu. Traktował ją zbyt poufale, co było krępujące. Posłała mu niezadowolone spojrzenie, krzywiąc się lekko. Bonomi zrozumiał przesłanie zielonych oczu i nie zaryzykował dalszych komplementów.

- Doskonale, oczekuję państwa na kolacji. Eminencjo, pani doktor, burmistrzu... - wybąkał.

D'Alaqua zauważył skrepowanie Sofii i podszedł do niej.

- Guido już taki jest - starał się ją uspokoić. - To fantastyczny człowiek, znakomitość w świecie mediewistyki, być może tylko zbyt obcesowy. Proszę się na niego nie gniewać.

- Nie gniewam się na niego, lecz na siebie. Zastanawiam się, co ja tutaj robię? Nie należę do towarzystwa. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, po przedstawieniu wrócę do hotelu.

- Nie, proszę nie odchodzić. Myślę, że powinna pani zostać i wybaczyć staremu profesorowi, który nie potrafi w inny sposób wyrazić swojego podziwu.

- Bardzo mi przykro, ale wolę wyjść. Właściwie nie powinnam iść na kolację do profesora, byłam tylko jego studentką, zaprosił mnie przez uprzejmość. Niepotrzebnie przyjąłam zaproszenie do pańskiej łoży. Wśród pana gości, pana przyjaciół, czuję się niezręcznie, jakbym się narzucała. Zupełnie tu nie pasuję, przepraszam, że naraziłam pana na taki dyskomfort.

- Ależ nie czuję żadnego dyskomfortu, zapewniam panią.

Dzwonek obwieścił początek drugiego aktu, więc oboje skierowali się do łoży.

Sofia zauważyła, że D'Alaqua rzuca jej ukradkowe spojrzenia. Miała ochotę wybiec z teatru, nie mogła jednak sobie na to pozwolić, nie chciała się ośmieszać, zachowując się jak pensjonarka. Wytrzymała do samego końca, pożegna się grzecznie i nigdy więcej ich ścieżki się nie przetną. Ten człowiek nie ma nic wspólnego z całunem i choć Sofia nieufnie podchodziła do ludzi zamożnych i wpływowych, nie podejrzewała, że Umberto ma jakiś związek z pożarami czy kradzieżami dzieł sztuki. Podejrzenia Valoniego wydały jej się śmieszne.

Po zakończonym przedstawieniu biła brawo na stojąco, po czym pożegnała się z burmistrzem, jego żoną, z małżeństwem Agnelli i bankierami. Na końcu podeszła do kardynała Visiera.

- Dobranoc, Wasza Eminencjo.

- Już pani wychodzi?

- Tak.

Zaskoczony Visier poszukał wzrokiem D'Alaquy. Ten rozmawiał z Bolardem na temat sopranu i doskonałej arii Pavarottiego.

- Pani doktor, chciałbym, by zjadła pani z nami kolację - zapewnił Sofię kardynał.

- Eminencjo, rozumie pan lepiej niż ktokolwiek moje zakłopotanie. Wolę wyjść. Lepiej unikać niezręcznych sytuacji.

- Szkoda, ale skoro nie mogę pani przekonać... Mam jednak nadzieję, że wkrótce się spotkamy. Pani krótka rozprawa o współczesnych metodach badawczych wydała mi się bardzo nowatorska. Ja sam studiowałem archeologię, zanim całkowicie oddałem się służbie Kościołowi.

- Samochody już na nas czekają... - przerwał im D'Alaqua.

- Pani doktor nie pojedzie z nami - powiadomił go Visier.

- Żałuję, próbowałem ją przekonać, ale skoro woli wyjść wcześniej, nie będę dłużej nalegał. Sofio, ten sam samochód, który panią przywiózł, odwiezie panią do hotelu.

- Dziękuję, mam ochotę na spacer. Hotel jest niedaleko.

- Przepraszam, pani doktor - wtrącił się kardynał - wydaje mi się, że to zbyt lekkomyślne. Turyn to nie jest bezpieczne miasto. Będę spokojniejszy, jeśli zgodzi się pani na podwiezienie.

Sofia ustąpiła, by nie wyjść na uparciucha czy obrażalską.

- Zgoda, bardzo dziękuję.

- Proszę nie dziękować, jest pani poważną osobą i ma pani zasady. To widać. Podejrzewam, że uroda jest dla pani raczej utrudnieniem niż atutem, bo nigdy nie posłuży się nią pani dla korzyści.

Słowa kardynała przywróciły jej pewność siebie. D'Alaqua odprowadził ją do samochodu.

- Pani doktor, cieszę się, że pani przyszła.

- Dziękuję.

- Zabawi pani jeszcze parę dni w Turynie?

- Tak, możliwe, że zostanę na następne dwa tygodnie.

- Zadzwoń. Chciałbym zaprosić panią na obiad. Oczywiście jeśli znajdzie pani czas...

Sofia, niezmiernie zakłopotana, wyszeptała tylko „dziękuję”, gdy D’Alaqua zatrząskiwiał drzwiczki samochodu, udzielając szoferowi instrukcji, jak dojechać do hotelu.

Nie wiedziała, że Guido Bonomi dostanie od kardynała Visiera ostrą reprimendę.

- Profesorze, potraktował pan niegrzecznie doktor Galloni, a tym samym tych, którzy z nią rozmawiali. Pana wkład w sprawy Kościoła jest bezsprzeczny, wszyscy jesteśmy wdzięczni za pańskie dokonania jako głównego eksperta w dziedzinie sztuki sakralnej średniowiecza, to jednak nie powód, by zachowywać się... grubiańsko.

D’Alaqua słuchał tego w milczeniu.

- Paul, nie sądziłem, że pani doktor robi na tobie takie wrażenie.

- Zachowanie Bonomiego było niegodne, jakbym miał do czynienia z prostakiem. Obraził tę panią bez żadnego powodu. Czasem się zastanawiam, jak to się dzieje, że jego talent nie obejmuje innych obszarów życia. Galloni sprawia wrażenie osoby bardzo prawej, zdolna, wykształcona... Gdybym nie był duchownym, natychmiast bym się w niej zakochał... Oczywiście, gdybym nie był... gdybym nie był... tym, kim jesteśmy.

- Szczerze wręcz brawurowa - mruknął D’Alaqua.

- Umberto, wiesz równie dobrze jak ja, że celibat to trudny wybór, równie ciężki, co niezbędny. Ja dotrzymałem przyrzeczenia. Bóg wie, że przestrzegałem zasady, co nie znaczy, że kiedy widzę inteligentną, a przy tym piękną kobietę, nie potrafię tego docenić. Byłbym hipokrytą, gdybym temu przeczył. Od tego mamy oczy, by widzieć, i tak jak zachwycamy się posągiem dłuta Berniniego, poruszają nas marmury Fidiasza czy kamienna powaga etruskich sarkofagów, tak potrafimy docenić wartość niektórych osób. Nie obrażajmy naszej inteligencji, udając, że nie dostrzegamy urody i innych zalet pani doktor Galloni. Przypuszczam, że zrobisz coś, by wynagrodzić jej dzisiejszą zniewagę.

- Naturalnie, zaproszę ją na obiad. Niewiele więcej mogę zrobić.

- Wiem o tym, nie możemy ofiarować jej niczego więcej...

- Sofio...

Ana Jimenez natknęła się na Sofię, kiedy ta wysiadała z samochodu przed hotelem.

- A niech to, ależ się wystroiłaś! Wracasz z jakiejś imprezy?

- Wracam z koszmaru. Co słyhać? - mruknęła Sofia.

- Nic ciekawego. To wszystko okazuje się trudniejsze, niż myślałam, lecz się nie poddam.

- Słusznie.

- Jadłaś kolację?

- Nie, ale najpierw zadzwonię po szefa, jeśli jeszcze nie jadł, zaproszę go na dół, do restauracji.

- Czy mogę się do was dostać?

- Ja nie widzę przeszkód, nie wiem natomiast, co powie szef. Zaczekaj, zaraz się dowiemy.

Sofia wróciła z recepcji z kartką w ręku. Valoni zostawił dla niej wiadomość.

- Wyszli z Giuseppem na kolację do komendanta turyńskich karabinierów.

- Zjedźmy razem, ja zapraszam.

- O nie, ja zapraszam.

Zamówiły kolację i butelkę barolo i przyglądały się sobie uważnie.

- Sofio, w historii całunu jest jeden niejasny epizod.

- Tylko jeden? Ja bym powiedziała, że cała ta historia jest bardzo tajemnicza i pogmatwana. Najpierw pojawia się w Edessie, potem przepada w Konstantynopolu...

- Przeczytałam gdzieś, że w Edessie działała bardzo prężna i wpływowa wspólnota chrześcijańska, przez której upór emir Edessy musiał stawić czoło wojskom Bizancjum, bo chrześcijanie nie chcieli oddać całunu.

- Tak, to prawda. W roku dziewięćset czterdziestym czwartym Bizantyjczycy zabrali całun, pokonawszy muzułmanów, którzy panowali wówczas w Edessie. Cesarz Bizancjum, Roman Pierwszy Lekapenos, pragnął mieć mandylion, jak nazywali go Grecy, bo uważał, że zapewni mu on opiekę boską, uczyni go niezwyciężonym i uchroni przed niebezpieczeństwem. Posłał wojska pod dowództwem swojego najlepszego generała i zaproponował układ emirowi Edessy. Jeśli dostanie całun, wycofa wojsko, nie wyrządziwszy żadnych szkód, szczerze zapłaci za mandylion i zwróci wolność dwustu muzułmańskim jeńcom. Tymczasem chrześcijanie w Edessie odmówili oddania mandylionu, emir zaś, choć sam był muzułmaninem, wierzył, że płótno może mieć magiczną moc. Postanowił więc stanąć do walki. Wygrali Bizantyjczycy i mandylion pojechał do Bizancjum. Nawet pamiętam datę, szesnasty sierpnia dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Ten dzień został upamiętniony w bizantyjskiej liturgii. W watykańskich archiwach znajduje się tekst homilii arcydiakona Gregoria na przyjęcie relikwii. Cesarz kazał schować całun w kościele Świętej Marii Blacherneńskiej, gdzie w każdy piątek wierni go adorowali. Tam relikwia zaginęła, by pojawić się znów we Francji w czternastym wieku.

- Czy ukradli go templariusze? Niektórzy autorzy utrzymują, że tak właśnie było.

- Trudno powiedzieć. Templariuszom przypisywano niejedno. Uważani są za nadludzi zdolnych do wszystkiego. Może ukradli mandylion, może nie. Krzyżowcy siali spustoszenie, śmierć i chaos, gdziekolwiek się znaleźli. Być może Baldwin de Courtenay, który został cesarzem Konstantynopola, oddał go w zastaw, i w tym miejscu ślad się urywa.

- Czy to możliwe, by oddał w zastaw tak cenną relikwię?

- To jedna z teorii. Nie starczało mu pieniędzy na utrzymanie imperium, żebrał u monarchów i możnych Europy, w końcu zaczął sprzedawać relikwie przywiezione przez krzyżowców z Ziemi Świętej, między innymi swojemu wujowi, Ludwikowi Świętemu, królowi Francji. Być może templariusze, którzy byli kimś w rodzaju bankierów i zbierali relikwie, zapłacili Baldwinowi za całun. Nie ma jednak żadnego dokumentu, który by to potwierdzał.

- Mnie się wydaje, że przywłaszczyli go sobie templariusze.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Sama pani wskazała na taką możliwość. Wywieźli go do Francji i tam pojawił się ponownie.

To była długa i interesująca rozmowa. Ana snuła fantazje na temat templariuszy, a Sofia przytaczała fakty historyczne.

Z Valonim i Giuseppem spotkały się w drodze do windy.

- A co ty tu robisz? - zdziwił się Giuseppe.

- Zjadłyśmy z Aną kolację i przy okazji ucięłyśmy sobie miłą pogawędkę.

Valoni powstrzymał się od komentarza, uprzejmie przywitał się z Aną i poprosił Sofię i Giuseppę, by dotrzymali mu towarzystwa przy ostatnim kieliszku w hotelowym barze.

- Co się stało? - zapytał szeptem Sofię.

- Bonomi się zagalopował. Tak się zachwycił moim wyglądem, że prawie mnie obraził. Poczulałam się bardzo niezręcznie, więc jak tylko skończyło się przedstawienie, wyszłam. Sam rozumiesz, Marco, że nie chcę się pchać tam, gdzie nie powinnam. Nic nie znaczę w tym towarzystwie, to było bardzo upokarzające.

- A D'Alaqua?

- Trzeba przyznać, że zachował się jak prawdziwy dżentelmen. Zresztą, ku mojemu zdziwieniu, kardynał Visier również potrafił się znaleźć. Ale nie mówmy o tym...

Ana usiadła na brzegu łóżka, które zasłane było papierami, notatkami i książkami. Wróciła myślami do rozmowy z Sofią.

Więc jaki był ten Roman Lekapenos, cesarz, który wykradł święty całun Edeseńczykom? Wyobrażała go sobie jako okrutnika, przesądnego i chorego z żądzy władzy.

Historia całunu była dramatyczna: wojny, pożary, grabieże...

Wszystko po to, by go zdobyć, dlatego że tak wielu ludzi przypisywało mu cudowne właściwości.

Ana nie była wierząca, a przynajmniej nie praktykująca.

Owszem, rodzice ją ochrztili, podobnie jak prawie wszyscy rodzice w Hiszpanii, ale nie przypomina sobie, by od czasu pierwszej komunii była w kościele.

Odsunęła papiery, bo poczuła, że morzy ją sen, więc jak zwykle przed zaśnięciem sięgnęła po poezje Kawafisa i przerzucając kartki, znalazła swój ulubiony wiersz:

Szlachetne głosy i ukochane Tych, co umarli lub tych, Co przepadli, jakby już umarli.

Czasem przemawiają w naszych snach Czasem słyszymy je w umyśle.

I z ich brzmieniem na chwilę powracają Dźwięki poezji najpierwszej naszego życia - Niby muzyka nocą, daleko, co gaśnie*.

Zasnęła, rozmyślając o bitwie, jaką bizantyjskie wojsko stoczyło z wojskami emira Edessy. Słyszała głosy wojowników, trzask płonącego drewna, płacz dzieci. Widziała starców, jak na kolanach błagają o cud.

Jeden z nich podszedł do urny, wyjął z niej starannie złożoną tkaninę i wręczył muzułmańskiemu żołnierzowi, który z trudem opanowywał wzruszenie. Był dumny, że udało mu się pozbawić tych ludzi tak cennej relikwii. Jego wojska zaciekle walczyły o mandylion chrześcijan, bo Jezus był wielkim prorokiem, niech Allah otoczy go chwałą.

Dym osmalił ściany domów, bizantyjscy żołnierze zabrali * wszystko, co wpadło im w ręce, ładując na wozy zaprzężone w muły.

Stary biskup Edessy czuł, że Bóg go opuścił. Nieco później, w kamiennym kościele, który ocalał z pożogi, stojąc u stóp krzyża, otoczony kapłanami i najwierniejszymi z chrześcijan, przysiągł, że odzyska mandylion, choćby miał poświęcić temu całe życie.

Oni, potomkowie Tycjusza skryby, kolosa Obodasa, Izaza, bratanka Josara, Jana Aleksandryjczyka, i wszystkich chrześcijan, którzy oddali życie, by chronić mandylion, odzyskają go, a jeśli nie, ich potomkowie nie spoczną, dopóki tego nie dokonają. Przysięgli przed Bogiem, stojąc przed wielkim drewnianym krzyżem, który górował ponad ołtarzem, przed wizerunkiem matki Chrystusa, przed świętymi pismami.

Anę obudził jej własny krzyk. Sen był tak realny...

Wyjęła z lodówki butelkę z wodą mineralną i otworzyła okno, by wpuścić do pokoju świeże poranne powietrze.

Poczuła, że to, co widziała i słyszała we śnie, zdarzyło się naprawdę. Była tego pewna.

Prysznic przywrócił jej równowagę ducha. Nie była głodna, została więc w pokoju, kartkując kupione ostatnio książki i szukając informacji o Baldwinie de Courtenayu, królu żebraków. Niewiele znalazła. Zajrzała więc do Internetu, choć nie miała zaufania do informacji w sieci. Wpisywała w różnych językach hasło „templariusze” i ku swojemu zaskoczeniu znalazła stronę, która najwyraźniej była oficjalną stroną samego zakonu. Przecież templariusze nie istnieją! Zadzwoiła do szefa informatyków w swojej redakcji. Wyjaśniła mu, czego szuka.

Informatyk oddzwonił pół godziny później. Strona internetowa templariuszy jest umieszczona na pewnym londyńskim serwerze. Prawidłowo zarejestrowana, zdecydowanie legalna.

Addai ostrożnie otworzył drzwi, starając się nie narobić hałasu. Był zmęczony po podróży. Żałował, że nie przyjechał prosto do Urfy, bez nocowania w Stambule.

Guner będzie zaskoczony, kiedy rano odkryje jego nieobecność. Addai nie uprzedził, kiedy wraca. Nikt ze wspólnoty nie znał jego planów.

Bakkalbasi został w Berlinie, stamtąd pojedzie do Zurychu, by dopilnować wypłaty pieniędzy dla dwóch więźniów gotowych zabić Mendibha.

Był przekonany, że Mendibh musi umrzeć. Dobry był z niego chłopak, sympatyczny, bystry, ale policja pójdzie jego śladem i w końcu, po nitce do kłębka, dotrze do wspólnoty.

Udało im się przeżyć Persów, krzyżowców, Bizantyjczyków i Turków. Całe wieki są w konspiracji, spełniając powierzoną im misję. Bóg powinien ich wspierać za to, że są prawdziwymi chrześcijanami, nie robi tego jednak, wystawia ich na straszliwe próby, a teraz skazuje na śmierć Mendibha.

- Powoli wspiął się po schodach i wszedł do prywatnej części domu. Łóżko było pościelone. Guner nigdy nie zaniedbywał swoich obowiązków, nawet gdy, tak jak tym razem, korzystał z krótkiego urlopu. Addai miał w nim wiernego przyjaciela i sługę, który umiłował mu życie, spełniając jego zachcianki, zanim ten zdążył wypowiedzieć je na głos.

Tylko on potrafił być bezwzględnie szczery, tylko on miał odwagę go krytykować, czasem nawet Addai wyczuwał w jego głosie nutę wyzwania. A jednak nie, Guner go nie zdradzi. Cóż za nedorzeczne podejrzenie. Jeśli nie będzie mu ufał, nie uniesie tego ciężaru. Przecież jest tylko człowiekiem.

Usłyszał delikatne pukanie do drzwi i szybko je otworzył.

W progu stał Guner.

- Obudziłem cię? - zdziwił się Addai.
- I tak nie mogłem zasnąć. Czy Mendibh umrze?
- Wstałeś z łóżka tylko po to, by mnie o to zapytać?
- Czy coś liczy się bardziej niż ludzkie życie, pasterzu?
- Postawiłeś sobie za cel dręczenie mnie?
- Nie, niech Bóg broni, ja tylko przemawiam do twojego sumienia. Skończ z tym szaleństwem raz na zawsze.
- Idź już, Gunerze, muszę odpocząć.

Guner odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Addaj zaciskając pięści, starał się zdusić rozpierającą go wściekłość.

* * *

Nie spała pani dobrze? - zapytał Giuseppe. Ana w roztargnieniu pogryzała francuski rogalik.

- Ach, to pan! Dzień dobry. Tak, rzeczywiście miałam koszmarną noc. A gdzie Sofia?
- Powinna wkrótce zejść na śniadanie. Nie widziała pani mojego szefa?
- Nie. Dopiero przyszłam.

Wszystkie stoliki w hotelowej restauracji były zajęte. Giuseppe, nie zastanawiając się, usiadł przy stoliku Any.

- Pozwoli pani, że zamówię kawę?
- Naturalnie. Jak rozwija się śledztwo?

- To mozolna praca. A co słyhać u pani?

- Zagrzebałam się po uszy w historii. Przeczytałam mnóstwo książek, szukam w Internecie, ale szczerze powiedziawszy, więcej dowiedziałam się wczoraj od Sofii niż ze wszystkich lektur razem wziętych.

- Nic dziwnego, Sofia umie bardzo obrazowo przekazać wiedzę. Ja również wiele się od niej nauczyłem. Proszę powiedzieć, ma pani jakąś teorię?

- Nic konkretnego. Zresztą dzisiaj mam mętlik w głowie. Śniły mi się same koszmary.

- Tak się dzieje, kiedy człowiek ma nieczyste sumienie.

- Słucham?;

- Żartuję. Tak mawiała moja mama, kiedy w dzieciństwie budziłem się z krzykiem. Pytała mnie groźnie: „Giuseppe, co dzisiaj zbroiłeś?”. Była przekonana, że koszmary senne to głos sumienia.

- Nie pamiętam, żebym zrobiła wczoraj cokolwiek, co mogłoby zaciążyć na moim sumieniu. Jest pan policjantem czy również historykiem?

- Tylko policjantem i to mi wystarczy. Miałem szczęście, że trafiłem do tego wydziału, wiele się nauczyłem przez lata pracy z Valonim.

- Widzę, że wszyscy odnosicie się do szefa z wielkim szacunkiem.

- To prawda. Brat pewnie pani o nim opowiadał?

- Santiago też bardzo go szanuje. Zabrał mnie raz do niego na kolację, spotkałam go też w innych okolicznościach.

Do restauracji weszła Sofia i od razu ich zauważyła.

- Co ci się stało, Ano? Nie wyglądasz najlepiej.

- Chyba powinnam zacząć się martwić. Z daleka widać, 1 że jestem niewyspana?

- Wyglądasz, jakbyś stoczyła walkę z poduszką.

- Trafiłaś w sedno, byłam w samym sercu bitwy, widziałam poćwiartowane dzieci, zgwałcone kobiety, czułam nawet swąd pożaru. Nie powiem, żebym się wyspała.

- Współczuję.

- Sofio, wiem, że masz mnie dość, ale jeśli znajdziesz wolną chwilę, chciałabym wrócić do naszej rozmowy.

- Cóż, jeszcze nie wiem kiedy, ale postaram się znaleźć dla ciebie czas.

Do stołu podszedł Valoni, wertując plik notatek.

- Dzień dobry wszystkim. Sofio, ksiądz Charny zostawił dla mnie wiadomość. Bolard oczekuje nas za dziesięć minut w katedrze.

- Ksiądz Charny? Któż to taki? - zainteresowała się Ana.

- Ksiądz Yves de Charny - odparła Sofia.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - upomniał ją Valoni.

- Muszę być ciekawska - odparła niezrażona Ana. - Inaczej niczego się nie dowiem.

- W porządku. Jeśli jesteście po śniadaniu, bierzmy się do pracy. Giuseppe, ty...

- Tak, idę tam. Później do ciebie zadzwonię.

- Sofio, jeśli się pośpieszymy, nie spóźnimy się do Bolarda. Ano, życzę pani udanego dnia.

- Na pewno będzie udany.

W drodze do katedry Valoni spytał Sofię:

- Jak dużo wie ta Jimenez?

- Nie wiem. Wypytuje mnie o wszystko, sama niczego nie zdradza. Sprawia wrażenie bezradnej, wydaje mi się jednak, że ma więcej atutów, niż daje po sobie poznać. To sprytna dziewczyna. Niby nic, a jednak umiejętnie wyciąga z nas informacje i sama sporo wie.

- Jest bardzo młoda.

- I niegłupia.

- Tym lepiej dla niej. Rozmawiałem z Europolem, pomogą nam. Uszczelnia granice, lotnisko, stacje kolejowe... Kiedy skończymy z Bolardem, podjedziemy do centrali karabinierów. Chcę, żebyś oceniła, jaką akcję zorganizował Giuseppe. Nie możemy liczyć na zbyt wiele posiłków, ale to, co mamy, powinno nam wystarczyć. Siedzenie niemowy też nie powinno być trudne.

- Jak sądzisz, kiedy już znajdzie się na wolności, uda mu się porozumieć ze swoimi?

- Tego nie wiem, ale jeśli należy do jakiejś organizacji, na pewno ma adres kontaktowy. Przecież nie będzie spał na ulicy, musi dokąś pójść. Poprowadzi nas, jestem o to spokojny. Ty zostaniesz w centrali karabinierów, będziesz koordynowała operację.

- Jak to? Nie chcę, wolę iść z wami.

- Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć. Nie jesteś policjantką, nie wyobrażam sobie, jak ganiasz za jakimś niemową po Turynie.

- Nie zna mnie, nigdy mnie nie widział, mogę się przydać.

- Ktoś musi zostać w centrali, a ty jesteś najodpowiedniejszą osobą. Będziemy ci meldowali przez radiotelefony, jak przebiega akcja. Będziesz na bieżąco. John Barry namówił kolegów z CIA, by udzielili nam nieoficjalnego wsparcia. Pożyczą nam miniaturowe nadajniki, żebyśmy mogli śledzić każdy krok niemowy. W centrali będziesz odbierała sygnały tak wyraźne, jak gdybyś była na ulicy. Giuseppe już rozmawiał z naczelnikiem więzienia, pozwoli nam rzucić okiem na obuwie naszego podopiecznego.

- Chcecie włożyć mu mikrofon do buta?

- Taki jest plan. Niestety, on nie ma porządnych butów, tylko adidas, więc będzie to trudniejsze, ale chłopcy z CIA nam pomogą. W Stanach przywykli do pracy z obuwem sportowym, to tylko w Europie nosi się prawdziwe buty.

- Ciekawe spostrzeżenie... Mamy już zezwolenie od prokuratora na przeprowadzenie operacji?

- Nadejdzie najpóźniej jutro.

Ojciec Yves czekał na progu katedry, by zabrać ich do miejsca, gdzie komitet naukowy pod okiem Bolarda pracował nad całunem. Gdy się tam znaleźli, przeprosił ich i zostawił samych, wymawiając się nawałem obowiązków.

* * *

- Panie, przybył posłaniec od waszego wuja.

Baldwin poderwał się z łoża i przecierając oczy, rozkazał dworzaninowi wprowadzić posłańca.

- Musicie się ubrać, mój panie, jesteście cesarzem, a posłaniec to szlachcic z dworu króla Francji.

- Gdybyś mi o tym ciągle nie przypominał, Pascalu, zapomniałbym, że jestem cesarzem. Pomóż mi. Czy został mi jeszcze jakiś płaszcz z gronostajów, czy już wszystkie sprzedane lub poszły w zastaw?

Pascal de Molesmes, francuski arystokrata i wasal króla Francji, którego ten umieścił u boku

swojego nieszczęsnego bratanka, by wspierał go w trudnych chwilach, nie odpowiedział na pytanie cesarza.

Kłopoty materialne cesarstwa stawały się coraz dotkliwsze.

Niedawno władca kazał zdjąć ołów z pałacowych dachówek, by zastawić go u weneckich kupców, którzy robili złote interesy na tarapatach finansowych Baldwina.

Kiedy cesarz zasiadł w sali tronowej, wśród zebranych dostojników przebiegł nerwowy szmer. Wszyscy w napięciu czekali na wieści od króla Francji.

Robert, hrabia Dijon, dotknął kolanem posadzki i pochylił głowę przed cesarzem. Ten dał mu znak, by się podniósł.

- Jakie wieści przynosisz od mojego wuja?

- Jego królewska mość walczy niestrudzenie w Ziemi Świętej, by wyzwolić grób Naszego Pana. Mam dobre wieści o podboju Damietty. Król posuwa się coraz dalej, zdobywa ziemie nad Nilem po drodze do Jerozolimy. Nie może wam teraz pomóc, jak by sobie tego życzył, gdyż wydatki na wyprawy przekraczają znacznie roczne przychody Korony. Zaleca wam cierpliwość i wiarę w Pana. Niedługo wezwie Was jako swego ukochanego siostrzeńca i wam pomoże.

Baldwin zmarszczył czoło. Wydawało się, że zaraz się rozpłacze, jednakże twarde spojrzenie Pascala de Molesmesa przypomniało mu, kim jest.

- Przywiozłem wam również list od jego królewskiej mości.

Rycerz wręczył cesarzowi zapieczętowany lakiem dokument.

Ten sięgnął po niego i nawet nie spojrzawszy, podał Pascalowi de Molesmes'owi. Potem wyciągnął rękę do Roberta, a szlachcic złożył symboliczny pocałunek na cesarskim pierścieniu.

- Czy dostanę odpowiedź na list króla?

- Wracasz do Ziemi Świętej?

- Wpierw muszę udać się na dwór królowej matki, Blanki Kastylijskiej, by doręczyć jej list od syna, mojego dobrodzieja króla Ludwika. Jeden z rycerzy towarzyszących mi w drodze pragnie już wrócić i wesprzeć króla w walce, to on zanieś wiadomość od Waszej Wysokości.

Baldwin skinął głową i wstał. Wyszedł z sali tronowej nawet się nie obejrzawszy, przygnębiony wiadomością, że jego wuj, król Francji nie może mu pomóc.

- Co ja teraz zrobię, Pascalu?

- To, co robiliście już tyle razy, panie.

- Mam znów włóczyć się od dworu do dworu i błagać o litość krewnych, choć w swych ciasnych umysłach nie są w stanie pojąć, jak ważne jest, by świat chrześcijański zachował Konstantynopol? To nie mnie pomagają, lecz światu! Konstantynopol to ostatni bastion w walce z islamem, ziemia chrześcijan, ale Wenecjanie to sknery, w dodatku układają się za moimi plecami z Turkami Ottomańskimi, Genuińczycy dbają tylko o dochody z handlu, moi krewni zaś we Flandrii narzekają, że sami mają za mało pieniędzy, by mnie wesprzeć. To wierutne kłamstwo! Czy znów mam korzyć się przed książętami, błagając ich, by pomogli mi utrzymać imperium? Czy sądzisz, że Bóg mi wybaczy, iż zastawiłem koronę cierniową Jego ukrzyżowanego Syna? Nie stać mnie na żołd dla żołnierzy i zapłatę dla służby, że nie wspomnę o mojej szlachcie. Nie mam nic! W wieku dwudziestu jeden lat włożyłem koronę na głowę, marzyłem, że przywrócę imperium splendor, że odzyskam utracone ziemie, a tymczasem, czego dokonałem? Niczego! Odkąd krzyżowcy podzielili imperium i złupili Konstantynopol, z trudem udaje mi się utrzymać królestwo, nawet dobry papież Innocenty jest głuchy na moje błagania.

- Uspokójcie się, panie, wasz wuj was nie opuści.
- Przecież czytałeś jego list.
- Tak, pisze, że wezwie was, kiedy pokona Saracenów.

Cesarz przebierał palcami po brodzie. Siedział na fotelu, z którego już dawno kazał zerwać złote okucia, by przetopić je na monety. Drżenie lewej stopy zdradzało zdenerwowanie.

- Panie, powinieneś przeczytać list od króla Francji.

Pascal de Molesmes wyciągnął w jego stronę zalakowane pismo, o którym Baldwin już zdążył zapomnieć.

- Ach, skoro pisze do mnie wuj, to pewno chce mnie polecić opiece boskiej, zalecając, bym był dobrym chrześcijaninem i nie tracił wiary w Boga.

Złamawszy lakową pieczęć, cesarz szybko przebiegł wzrokiem pismo. Na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie.

- Na Boga! Wuj chyba sam nie wie, co pisze. Jego prośba...
- Czyżby król domagał się czegoś od waszej wysokości?

- Ludwik zapewnia mnie, że pomimo trudności, z jakimi się boryka, gotów jest wysłać mi pewną ilość złota, jeśli ofiaruję mu mandylion. Marzy o tym, by pokazać go swej matce, pobożnej pani Blance. Ludwik prosi, bym odsprzedał mu relikwię lub wydzierżawił ją na kilka lat. Twierdzi, że spotkał człowieka, który zapewnia go, iż ma ona cudowne właściwości, że wyleczyła króla Edessy z trądu i że kto ją posiada, nie zazna cierpienia. Jeśli przystanę na jego prośbę, upoważnia hrabiego Dijon do prowadzenia pertraktacji.

- Jak postąpisz, panie?

- Ty mnie o to pytasz? Sam wiesz, że mandylion nie jest moją własnością, że choćbym nawet chciał, nie mogę przekazać go memu wujowi.

- Możesz spróbować przekonać biskupa, by podarował ci cudowne płótno.

- To niemożliwe! Choćbym go przekonywał miesiącami, nie odniesie to skutku. Nie mogę czekać. Powiedz mi, co jeszcze mogę oddać w zastaw, czy została nam jakaś licząca się relikwia, która zadowoli mego krewnego?

- Owszem.

- Tak? Któraż to?

- Jeśli przekonasz biskupa, by przekazał ci mandylion...

- Nigdy tego nie uczyni.

- Czyżbyś już próbował go prosić?

- Strzeże go zazdrośnie. Relikwia cudem ocalała, gdy napadli na nas krzyżowcy. Gdy biskup otrzymał ją od swego poprzednika, musiał przysiąc, że będzie jej bronił, choćby miał własnym życiem zapłacić.

- Panie, jesteś cesarzem.

- On zaś biskupem.

- I twoim poddanym. Jeśli nie będzie posłuszny, możesz zagrozić mu obcięciem uszu i nosa.

- Cóż za potworność!

- Stracisz imperium. To święta tkanina, kto ją ma, nie musi się obawiać niczego. Spróbuj, panie.

- Dobrze, porozmawiaj z biskupem. Powiedz mu, że ja cię przysyłam.

- Tak uczynię, ale nie zadowoli się rozmową ze mną. Sam, panie, musisz się do niego udać.

Cesarz nerwowo wyłamywał palce. Bał się stawić czoło biskupowi. Jakich argumentów ma użyć, by go przekonać do oddania mandylionu?

Upił łyk wina. Miało kolor granatu. Dał Pascalowi de Molesmes'owi znak, że chce zostać sam. Musi się zastanowić.

Rycerz spacerował po plaży. Fale z hukiem rozbijały się o skały. Koń czekał na niego cierpliwie, skubiąc zeschnięte źdźbła trawy. Nawet nie trzeba było pętać mu kopyt, był jak oddany przyjaciel, dowiódł tego w tylu bitwach.

Na Bosfor spłynęło światło zmierzchu. Bartolome dos Capelos poczuł w tej pięknej chwili oddech Boga.

Koń zastrzygł uszami, rycerz odwrócił się i wypatrzył w tumanie kurzu sylwetkę jeźdźca.

Położył rękę na mieczu i wyteżał wzrok, chcąc zobaczyć, czy jeździec jest tym, na kogo czeka.

Przybyły zeskoczył z konia i skierował kroki w stronę brzegu morza, gdzie stał nieporuszony Portugalczyk.

- Spóźniłeś się - przywitał go Bartolome.
- Miałem służbę aż do kolacji. Dopiero teraz udało mi się wymknąć niepostrzeżenie z pałacu.
- Co masz mi do powiedzenia? Dlaczego kazałeś mi tu przybyć?

Krępy mężczyzna o oliwkowej cerze i szurzych oczach patrzył przenikliwie na templariusza. Wiedział, że musi być ostrożny.

- Panie, wiem, że cesarz wystąpi do biskupa, by ten oddał mu mandylion.

Bartolomemu nie drgnęła nawet powieka, jak gdyby to, co usłyszał, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

- Skąd o tym wiesz? - spytał krótko.
- Słyszałem, jak cesarz rozmawiał z panem de Molesmes'em.
- Co zamierza cesarz?

- Mandylion to ostatnia cenna relikwia, jaka mu pozostała. Sam wiesz, że królestwo stoi u progu bankructwa. Sprzeda ją swemu wujowi, królowi Francji.

- To dla ciebie, wracaj już.

Templariusz wręczył mężczyźnie kilka monet, ten zaś spiął konia i pogalopował z powrotem, gratulując sobie w duchu szczęścia. Rycerz dobrze mu zapłacił.

Od lat szpiegował w pałacu na rzecz templariuszy. Wiedział, że rycerze czerwonego krzyża

mają więcej wywiadowców, nie wiedział jednak, kto jeszcze spośród dworzan trudni się szpiegowskim fachem.

Tylko templariusze w tym zubożałym cesarstwie posiadali wartościowe, brzęczące monety, wielu więc dworzan, a nawet możnowładców, oferowało im swoje usługi. Portugalczyk nawet nie drgnął, kiedy usłyszał, że cesarz zamierza sprzedać mandylion. Niewykluczone, pomyślał jeździec, że dowiedział się już o tym z innego źródła. Niech im będzie, to nie moje zmartwienie, dostałem sowitą zapłatę.

Bartolome dos Capelos pogalopował do siedziby templariuszy w Konstantynopolu. Budowla otoczona murami, stojąca nad samym morzem, zapewniała schronienie pięćdziesięciu rycerzom oraz ich służbie.

Udał się wprost do kapitułarza, gdzie o tej porze modlili się jego bracia. Andre de Saint - Remy, jego zwierzchnik, dał mu znak, by przyłączył się do modlitwy. Upłynęła przynajmniej godzina, zanim przeor wezwał go do komnaty, w której pracował.

- Usiądź, bracie. Opowiadaj, jakie wieści przynosisz od podczaszego cesarza.
- Potwierdza informacje od dowódcy gwardii królewskiej: cesarz chce oddać mandylion w zastaw.
- Całun Chrystusa...
- Już zastawił koronę cierniową.
- Jest tyle fałszywych relikwii... Ale mandylion to co innego. To płótno przesiąknięte jest krwią Chrystusa i nosi odbicie jego prawdziwego oblicza. Oczekuję zezwolenia naszego wielkiego mistrza, Guillaume'a de Sonnaca, na zakup.

Minał tydzień, odkąd wysłałem do niego list. Napisałem mu, że mandylion to ostatnia prawdziwa relikwia w Konstantynopolu, najcenniejsza ze wszystkich. Musimy ją przejąć i mieć ją pod opieką.

- A jeśli nie dostaniemy na czas odpowiedzi od de Sonnaca?
- Sam podejmę decyzję, mając nadzieję, że wielki mistrz ją uszanuje.
- Co z biskupem?
- Nie chce oddać całunu cesarzowi. Wiemy, że Pascal de Molesmes był u niego. Na razie usłyszał odmowę. Cesarz musi osobiście wybrać się do biskupa.
- Kiedy?
- Za siedem dni. Poprosimy o audiencję u biskupa, ja zaś udam się na spotkanie z cesarzem.

Jutro wydam ci rozkazy, teraz idź, odpocznij.

Nie świtało jeszcze, gdy rycerze kończyli poranne modły.

Andre de Saint - Remy w skupieniu pisał list z prośbą o audiencję u cesarza.

Cesarstwo wschodniorzymskie dogorywało. Baldwin był już tylko cesarzem Konstantynopola i ziem przygranicznych, templariusze z trudem utrzymywali dobre stosunki z kimś, kto tak często ubiegał się u nich o pożyczkę.

De Saint - Remy zaczął pieczętować list, gdy do komnaty wbiegł brat Guy de Beaujeau.

- Panie, jakiś niewierny chce z tobą rozmawiać. Przybył w towarzystwie trzech innych mężów...

Przeor nie oderwał się od swojego zajęcia.

- Znamy go? - zapytał tylko.

- Nie wiem, ma zasłoniętą twarz. Rycerzom strzegącym bramy wręczył drewnianą strzałę, twierdzi, że rozpoznasz ją po nacięciach.

Guy de Beaujeau podał strzałę i zobaczył, jak ciemna chmura wpływa na czoło przeora.

- Niech wejdzie.

Po chwili próg komnaty przekroczył wysoki, silny mężczyzna, ubrany w szaty proste, ale świadczące o szlacheckim pochodzeniu.

Andre de Saint - Remy dał znak dwóm templariuszom, którzy weszli wraz z Saracenenem, by zostawili ich samych. W milczeniu opuścili komnatę.

Kiedy zostali sami, popatrzyli sobie w oczy i wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Ależ, Robercie, po cóż to dziwne przebranie!

- Rozpoznałbyś mnie, gdybym nie posłał ci strzały?

- Oczywiście! Uważasz, że nie potrafiłbym rozpoznać własnego brata?

- To oznacza, niestety, że to kiepskie przebranie i nie wyglądam jak prawdziwy Saracenen.

- Nasi bracia cię nie rozpoznali...

- Na to wygląda. W każdym razie od tygodni nie schodzę z końskiego grzbietu. Jechałem przez ziemie wroga, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Pamiętasz, kiedy byliśmy mali, robiliśmy strzały z

gałązek. Ja zawsze znaczyłem je pięcioma nacięciami, ty zaś trzema.

- Czy natrafiłeś na jakieś przeszkody?
- Wszystkie udało mi się pokonać z pomocą tego młodego brata, Francois de Charneya.
- Ilu mężów z wami podróżuje?
- Tylko dwóch giermków. To niewierni. Im mniej ludzi, tym łatwiej przemknąć, nie wzbudzając podejrzeń.
- Powiedz wreszcie, jakie wiadomości przynosisz od wielkiego mistrza?
- Guillaume de Sonnac nie żyje.
- Jak to? Co się stało?

- Templariusze walczyli u boku króla Francji, udzieliliśmy mu cennego wsparcia, Damietta została podbita. Król jednak płonął z pragnienia, by uderzyć na Al - Mansurę, choć Guillaume de Sonnac przemawiał mu do rozsądku, by nie dał się ponieść słodczy triumfu. Król jest jednak uparty, złożył przysięgę, że odbije Ziemię Świętą i marzył o tym, by wkroczyć do Jerozolimy. Zamierzał otoczyć Saracenów i uderzyć od tyłu. Tymczasem Robert d'Artois, brat Ludwika, popełnił błąd. W bitewnym zamęcie rozpedził na siedem wiatrów niewielki obóz, jaki napotkali po drodze. Niewielkie to zwycięstwo i nie przyniosło mu ono szczególnej chwały, lecz zaalarmowało Ajjubidów. Bitwa była krwawa.

Robert de Saint - Remy ocierał oczy wierzchem dłoni. Powróciły obrazy ziemi przesiąkniętej krwią niewiernych i krzyżowców, walczących zaciekle, niedopuszczających nawet myśli o rozejmie. Miecze stały się przedłużeniem ich ramion i zabijały bez litości.

Do dziś te wspomnienia napawały go przerażeniem.

- Wielu naszych braci straciło życie. Wielki mistrz został ranny, ale udało się go uratować.

Andre de Saint - Remy milczał, nie odrywając wzroku od twarzy młodszego brata.

- Wraz z rycerzem Yvesem de Payens i Beltranem Aragońskim znieśliśmy wielkiego mistrza z pola bitwy. Jednak nasz wysiłek poszedł na marne, mistrz zmarł od gorączki w drodze do obozu.

- Co z królem?

- Wygraliśmy bitwę. Straty były ogromne, tysiące zabitych i rannych mężów. Ludwik jednak twierdził, że Bóg jest po jego stronie i zapewni mu zwycięstwo. Dodawał ducha żołnierzom i okazało się, że miał słuszność, zwyciężyliśmy, choć było to zwycięstwo kruche. Oddziały chrześcijańskie ruszyły w stronę Damietty, lecz wtedy król zachorował na dyzenterię, a żołnierze byli głodni i wyczerpani. Nie wiem, jak do tego doszło, ale wojska poddały się, Ludwik zaś dostał się do

niewoli.

W komnacie zapadła cisza. Bracia, zatopieni w myślach, siedzieli naprzeciwko siebie.

Z dziedzińca fortecy, na którym rycerze ćwiczyli się w rzemiośle wojennym, dobiegał szczepek mieczy.

Ciszę przerwał Andre de Saint - Remy.

- Powiedz, kogo wybrano na wielkiego mistrza?

- Został nim Renaud de Vichiers, preceptor i marszałek zakonu we Francji. Znasz go.

- Tak, znam. To rozważny i pobożny mąż.

- Kazał rozmawiać z Saracenami, by skłonić ich do uwolnienia Ludwika. Można władcy z otoczenia dworu posłać ambasadorów, by skłonili wroga do ustalenia ceny za wolność króla. Kiedy wyjeżdżałem, nie było postępu w rozmowach, jednakże wielki mistrz ufa, że uda mu się skłonić ich do ustępstw.

- Jaka będzie cena?

- Ludwik cierpi ogromnie, choć jest dobrze traktowany i troszczą się o niego saraceńscy medycy. Saraceni domagają się, by oddziały krzyżowców zwróciły Damiettę.

- Czy dowódcy Ludwika rozważają to?

- Uczynią to, co każe im król, tylko on może zmusić ich do kapitulacji. Renaud de Vichiers posłał do króla list z prośbą, by ten przystał na żądania wroga. Nasi szpiedzy twierdzą, że Saracenów tylko taka cena zadowoli.

- Jakie rozkazy przynosisz od wielkiego mistrza?

- Przynoszę zapieczętowane pismo i przesłanie ustne.

- Mów.

- Musimy zdobyć mandylion. Wielki mistrz zapewnia, że to jedyna autentyczna relikwia. Kiedy go już dostaniesz, mamy przewieźć go do naszej twierdzy w Akce. Nikt nie może się dowiedzieć, że dostał się w nasze ręce. Musisz go kupić, zrobić wszystko, by go zdobyć, nikt jednak nie może się dowiedzieć, że to dla zakonu rycerzy świętyńi. Królowie chrześcijańscy są gotowi zabijać za mandylion. Sam papież rości sobie do niego prawa. Podarowaliśmy mu wiele relikwii, które na przestrzeni lat kupowałeś od Baldwina, wiele innych ma Ludwik, król Francji, gdyż podarował mu je lub sprzedał jego bratanek. Wiemy, że Ludwik chce mieć mandylion. Po zwycięstwie pod Damiettą wysłał posłów do cesarza, by negocjowali cenę, kazał też zawieźć dokumenty ze swoimi rozkazami do Francji.

- Tak, słyszałem o tym. Przed paroma dniami był tu Robert, hrabia Dijon i wręczył list cesarzowi.

- Ludwik prosi swojego bratanka o relikwię, w zamian obiecuje wesprzeć go złotem.

Robert de Saint - Remy dał bratu zapieczętowane dokumenty.

- Powiedz, Andre, masz jakieś wieści o naszych rodzicach?

Andre de Saint - Remy opuścił wzrok i zaczął opowiadać zduszonym głosem:

- Matka zmarła. Podobnie jak nasza siostra, Casilda. Wydawała na świat swoje piąte dziecko, gdy dosięgła ją śmierć.

Ojciec, choć już sędziwy, przeżył tę zimę. Większość czasu spędza w domu, ledwie się rusza, cierpi na opuchliznę stóp i epilepsję. Nasz brat, Umberto, zarządza księstwem. Bóg obdarzył go czwórką zdrowych dzieci. Już tak dawno opuściliśmy Saint - Remy...

- Ale ja nie zapomniałem topolowej alei wiodącej do zamku ani zapachu pieczonego chleba, ani śpiewu naszej matki.

- Robercie, sami wybraliśmy los templariuszy, nie wolno nam tęsknić.

- Ach, bracie, zawsze zbyt wiele od siebie wymagałeś.

- Jak to się stało, że towarzyszy ci saraceński giermek?

- Odkąd poznałem Saracenów, nabrałem do nich szacunku. Są wśród nich mędrcy, nie brak im honoru i męstwa. To waleczni wrogowie, dla których żywię głęboki respekt. Muszę ci wyjawić, że w ich szeregach znalazłem też niejednego przyjaciela. Nie może być inaczej, skoro dzielimy to samo terytorium i musimy z nimi pertraktować. Wielki mistrz pragnie, byśmy wszyscy nauczyli się mówić ich językiem, od niektórych wymaga nawet, by przejęli ich zwyczaje, by niezauważenie przedzierać się na terytorium wroga, docierać do miast na przeszpiegi, obserwować lub też przeprowadzać misje ku chwale zakonu i chrześcijaństwa. Moja i tak smagła cera pociemniała jeszcze od słońca Orientu, a ciemne włosy tylko pomagają mi udawać niewiernego. Co się tyczy ich mowy, muszę przyznać, że wiele wysiłku włożyłem, by ją zrozumieć i opanować pismo. Miałem dobrego nauczyciela, giermka, który mi towarzyszy. Pamiętaj, bracie, byłem bardzo młody, gdy wstąpiłem do zakonu, i to Guillaume de Sonnac rozkazał, by najmłodszy pilnie uczył się od Saracenów, żeby się do nich upodobnić. Pytałeś mnie o Alego, mego giermka. To nie jest jedyny niewierny przygarnięty przez zakon. Jego wioskę spalili krzyżowcy. On i jeszcze dwoje innych dzieci przeżyli. Guillaume de Sonnac znalazł tych malców, kiedy błakali się wiele dni jazdy od Akki. Ali, młodszy, był wyczerpany i majaczył w gorączce. Wielki mistrz zabrał dzieci do naszej fortecy, gdzie powróciły do zdrowia i już z nami zostały.

- Są wierni?

- Guillaume de Sonnac pozwalał im modlić się do Allaha, korzystał też z ich pośrednictwa w misjach. Nigdy nas nie zdradzili.

- A Renaud de Vichiers?

- Nie wiem. Nie ma jednak nic przeciwko temu, byśmy udali się w drogę sami, jedynie w towarzystwie Alego i Saida.

- Dobrze już, zostawię cię w spokoju. Wcześniej jednak poproś, by stawił się przede mną Francois de Charney, ów brat, który ci towarzyszy.

Kiedy Andre de Saint - Remy został sam, rozwinął doręczone pisma i zabrał się do czytania rozkazów od Renauda de Vichiers, wielkiego mistrza zakonu templariuszy.

* * *

Komnata o ścianach obitych purpurowym kurdybanem przypominała niewielką salę tronową. Miętko wyściełane krzesła, stół ze szlachetnego drewna, krucyfiks z czystego złota i inne przedmioty dowodziły, że pan domu żyje dostatnio.

Na małym stoliku w licznych kryształowych karafkach stały szlachetne wina, na wielkiej paterze zaś pyszniły się słodczyce, dzieło cukiernika z pobliskiego klasztoru.

Biskup słuchał Pascala de Molesmes'a. Już od godziny ów szlachetny Francuz dwoił się i troił, sięgając po coraz to nowe argumenty, starając się go przekonać, by dał mandylion cesarzowi.

Pascal de Molesmes przerwał swą przemowę, spostrzegłszy, że biskup dawno przestał go słuchać. Cisza przywołała biskupa do rzeczywistości.

- Wysłuchałem cię, panie, i rozumiem twoje argumenty - zapewnił - lecz nie mogę spełnić twej prośby. Król Francji nie powinien uzależniać losu Konstantynopola od posiadania mandylionu.

- Bogobojny król obiecał pomoc cesarzowi. Jeśli nie uda mu się odkupić relikwii, zadowolony się płótnem przynajmniej na jakiś czas. Ludwik chciałby przypodobać się swej matce, jej wysokości Blance Kastylijskiej, pozwalając jej kontemplować prawdziwe oblicze Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Kościół nie straci mandylionu i może liczyć na zapłatę, w dodatku przyczyni się do ocalenia Konstantynopola. Wierz mi, wasze interesy pokrywają się z dążeniami królestwa.

- Nie, to nieprawda. To cesarz potrzebuje złota, by utrzymać w ręku pozostałości imperium.

- Konstantynopol chyli się ku upadkowi... Kiedyś chrześcijanie zapłaczą nad tą stratą.

- Jeśli suma okaże się znacząca, czy Wasza Wielbność zgodzi się na transakcję?

- Nie. Powiedzcie cesarzowi, że to moje ostatnie słowo. Papież Innocenty obłożyłby mnie za to ekskomuniką. Sam od dawna zabiega o mandylion i zawsze grałem na zwłokę, mówiąc, że podróż jest zbyt niebezpieczna. Nie mogę zrobić niczego bez zgody papieża. To on ustali cenę, a na sprzedaży skorzysta Kościół, nie cesarz.

Pascal de Molesmes postanowił wyłożyć ostatnią kartę.

- Przypominam wam, Wasza Wielbność, że mandylion nie jest waszą własnością. To oddziały cesarza Romana Pierwszego Lekapenosza przywiozły go do Konstantynopola, imperium zaś nigdy nie zrezygnowało z pretensji do świętej tkaniny. Kościół jedynie przechowuje mandylion. Baldwin zabiega, by mu go oddać dobrowolnie, on natomiast potrafi hojnie wynagrodzić i was, i Kościół.

Biskup był oburzony słowami de Molesmes'a.

- Grozisz mi, panie? Czy to sam cesarz twoimi ustami odgraża się Kościołowi?

- Baldwin, jak wiecie, jest ukochanym synem Kościoła. Jeśli zajdzie taka potrzeba, odda za niego życie. Mandylion zaś jest dziedzictwem imperium i cesarz ma do niego prawo. Róbcie, co do was należy - Moją powinnością jest bronić wizerunku Chrystusa i zachować go dla chrześcijaństwa.

- Nie sprzeciwialiście się, gdy cierniowa korona, którą przechowywał zakon pantokratora, została sprzedana królowi Francji.

- Bystry z ciebie mąż, panie de Molesmes. Ale czy naprawdę wierzysz, że był to autentyczny wieniec z cierni, który włożono na głowę Chrystusa?

- A wy w to nie wierzycie?

W błękitnych oczach biskupa błysnęła furia.

- Panie de Molesmes - wycedził - twoje argumenty nie trafiają mi do przekonania, to samo możesz powtórzyć cesarzowi.

Pascal de Molesmes pochylił głowę. Pojedynek się skończył, obaj jednak wiedzieli, że jeszcze nie pora na ogłaszanie, kto zwyciężył.

Wyszedł z komnaty, żalując, że nie skosztował wina rodyjskiego, które zaproponował mu biskup. Był to jego ulubiony trunek.

Przed bramą pałacu biskupiego czekali na niego słudzy, pilnując jego konia, wierzchowca czarnego jak noc, najwierniejszego towarzysza.

Czy ma doradzić Baldwinowi, by wtargnął z żołnierzami do pałacu i siłą zmusił biskupa do oddania płótna? Wydawało się, że nie ma innego wyjścia. Innocenty nie odważy się ekskomunikować

Baldwina, zwłaszcza kiedy dowie się, że mandylion przeznaczony jest dla chrześcijańskiego króla. Wydzierzawią go Ludwikowi, wyznaczając wysoką cenę, by przywrócić imperium choć część życiowych soków.

Popołudniowy wiatr nie był zbyt dokuczliwy, toteż Pascal de Molesmes postanowił pogalopować brzegiem Bosforu, zanim wróci do cesarskiego pałacu. Od czasu do czasu z przyjemnością wymykał się z dusznych pałacowych komnat, gdzie intrygi, zdrady i śmierć czaiły się w każdym kącie i nie sposób było odgadnąć, kto jest przyjacielem, kto zaś wrogiem. Ufał tylko Baldwinowi, tak jak swego czasu ufał dobremu królowi Ludwikowi.

Upłynęło wiele zim, odkąd król Francji posłał go na dwór Baldwina w orszaku wiozącym złoto, jakie winien był swojemu bratankowi za cenne relikwie, które ten mu odsprzedał wraz z hrabstwem Namuru. Ludwik polecił Pascalowi, by pozostał na dworze i dostarczał wieści o wszystkim, co dzieje się w Konstantynopolu. W liście, jaki sam de Molesmes osobiście wręczył cesarzowi, Ludwik nakazywał swemu bratankowi, by ufał pocziwemu Pascalowi de Molesmes'owi, lojalnemu mężowi i chrześcijaninowi, gdyż, jak zapewniał król, będzie on miał na uwadze tylko jego dobro.

Od pierwszego spotkania zawiązała się między nimi nić sympatii. Pascal trwał u boku Baldwina już od piętnastu lat, z czasem stając się cesarskim doradcą i przyjacielem. De Molesmes doceniał wysiłki Baldwina, by utrzymać godność mocarstwa i stawić skuteczny opór Bułgarom z jednej strony, Saracenom zaś z drugiej.

Gdyby nie lojalność wobec króla Ludwika i Baldwina, już dawno starałby się o powrót do zakonu templariuszy, by walczyć w Ziemi Świętej. Los jednak rzucił go na dwór w Konstantynopolu, gdzie czyhało nie mniej wrogów i niebezpieczeństw niż na polu bitwy.

Słońce zaczynało chować się za horyzontem, kiedy zdał sobie sprawę, że zapędził się aż w pobliże siedziby templariuszy. Szanował Andrego de Saint - Remy, głowę zakonu.

Był to powściągliwy, skromnie żyjący i rozsądny mąż, którego wiodły przez życie krzyż i miecz. Podobnie jak on był francuskim arystokratą, podobnie jak jego los rzucił go do Konstantynopola.

De Molesmes zapragnął porozmawiać ze swym rodakiem, jednakże pora wydawała się zbyt późna - zmierzchało, o tej godzinie rycerze na pewno pogrążeni są w modlitwie. Postanowił zaczekać do jutra i wysłać do przeora list z prośbą o spotkanie.

* * *

Baldwin II de Courtenay uderzył pięścią w ścianę. Szczęśliwie arras złagodził ból.

Pascal de Molesmes zdał mu szczegółową relację z rozmowy z biskupem. A więc odmowa.

Nie dostanie mandylionu.

Cesarz wiedział, że są znikome szanse, by biskup przystał na jego prośbę, ale i tak prosił o to Boga w swych modlitwach, licząc w duchu, że Bóg sprawi cud, by ratować imperium.

Francuz, poruszony wybuchem gniewu swego pana, patrzył na niego, nawet nie starając się ukryć tego, co czuje.

- Nie patrz na mnie w taki sposób! Jestem najniezwyklejszym człowiekiem na ziemi!

- Uspokój się, panie, biskup będzie musiał dać ci mandylion - - „jak rzekłeś? Chcesz, bym stawiał się w pałacu biskupim i odebrał mu to płótno siłą? Przecież moi poddani nigdy mi nie wybaczą, jeśli pozbawię ich relikwii, której przypisują cudowne właściwości. Papież mnie wyklnie! Tymczasem ty każesz mi się uspokoić, jak gdyby jeszcze nie wszystko było stracone, choć sam dobrze wiesz, że wyczerpaliśmy wszelkie możliwości.

- Historia nauczyła nas, że królowie, by ocalić monarchię, muszą czasem podejmować trudne decyzje. Właśnie to cię czeka. Zamiast się nad sobą użalać, przystąp do działania.

Cesarz usiadł, ziewając szeroko, nawet nie wysilając się, by zasłonić usta dłonią.

- Może przyjdzie ci, panie, do głowy lepsze rozwiązanie - mruknął... - Czyżbyś widział inne wyjście? - zdziwił się de Molesmes.

- Przecież jesteś moim doradcą, myślże więc, rusz głową.

- Panie, mandylion jest twoją własnością, żądaj tego, co ci się prawnie przynależy, dla dobra królestwa. Oto moja rada.

- Wyjdź.

De Molesmes opuścił salę i skierował się do kancelarii.

Tam, ku swemu zaskoczeniu, stanął twarzą w twarz z Bartolome dos Capelosem.

Ucieszył się ze spotkania z templariuszem, nie omieszkał zapytać go o zdrowie przeora i innych braci, których zdążył poznać. Po paru minutach uprzejmej pogawędki zapytał, co sprowadza go do pałacu.

- Mój zwierzchnik, Andre de Saint - Remy, prosi cesarza o audiencję.

Poważny ton templariusza kazał de Molesmes'owi zaostrzyć czujność.

- Cóż się wydarzyło, mój przyjacielu? Czyżbyś przynosił złe wiadomości?

Portugalczyk został poinstruowany, by milczeć, a zwłaszcza nie mówić nic na temat delikatnej

sytuacji króla Francji.

Najwyraźniej w pałacu jeszcze o niczym nie słyszano, gdyż kiedy Robert, hrabia Dijon, wyruszał z Damietty, miasto nadal było w rękach Francuzów i trwał triumfalny przemarsz wojska.

Bartolome dos Capelos odpowiedział wymijająco:

- Już czas jakiś Andre de Saint - Remy nie widuje się z cesarzem i w ciągu ostatnich miesięcy zdarzyło się niejedno.

De Molesmes zrozumiał, że nic więcej od Portugalczyka nie usłyszy, wyczuł jednak, że zanoszą się na ważne spotkanie.

- Odnotuję twoją prośbę. Kiedy tylko cesarz wyznaczy dzień i godzinę, sam osobiście was o tym powiadomię, a przy sposobności odwiedzę przeora.

- Jeśli wolno mi o cokolwiek prosić... nie zwlekaj z uzyskaniem audiencji.

- Odbędzie się najszybciej, jak to będzie możliwe, znasz mnie, przyjacielu templariuszu. Niech Bóg cię prowadzi.

- Niech i ciebie osłania.

Pascal de Molesmes zamyślił się. Powaga Portugalczyka z pewnością oznaczała, iż templariusze mają wiadomość niezwyklej wagi, którą przekażą tylko samemu cesarzowi. Kto wie, czego zażądają w zamian?

Tylko templariusze mieli dość pieniędzy i informacji w tym szarpanym wojnami świecie, w którym przyszło mu żyć.

Bogactwo i wiedza dawały im ogromną potęgę, większą niż władza królów, a nawet samego papieża.

Baldwin sprzedawał już templariuszom relikwie i wiedział, że ci dobrze za nie płacą. Jego stosunki z de Saintremym opierały się na wzajemnym szacunku. Przeor komandorii rycerzy zakonu świątyni tak samo jak Baldwin martwił się upadkiem imperium. Niejednokrotnie wspierał je pożyczką, której cesarz nie mógł zwrócić, ale by zabezpieczyć należność, deponował relikwie, które ostatecznie przechodziły na własność templariuszy. Podobnie zresztą jak inne wartościowe przedmioty, które dopóty nie miały wrócić do monarszego pałacu, dopóki cesarz nie spłaci długów.

Pascal de Molesmes odpędził ponure myśli i zajął się przygotowaniem wizyty Baldwina w siedzibie biskupa. Musi pojechać ze switą uzbrojonych żołnierzy. Zabierze ich wystarczająco dużo, by otoczyć pałac biskupi i kościół Świętej Marii Blacherneńskiej, gdzie ukryty jest mandylion.

Nikt nie może dowiedzieć się o ich planach, by nie niepokoić ludu ani biskupa, który uważał

Baldwina za pobożnego chrześcijanina, niezdolnego podnieść ręki na Dom Boży. De Molesmes wiedział, że cesarz rozważa tę możliwość i że w desperacji zrozumie, iż jedynym wyjściem będzie oddanie mandylionu królowi Ludwikowi.

Kazał wezwać hrabiego Dijon, by wraz z nim opracować szczegóły przejęcia cennej relikwii. Król Francji udzielił hrabiemu szczegółowych instrukcji, co ma zrobić, gdyby jego bratanek zdecydował się jednak oddać mu całun. Zapłata czekała w kufrach.

Robert, hrabia Dijon, miał trzydzieści lat. Był niezbyt wysoki, silnie zbudowany, o orlim nosie i niebieskich oczach, cieszył się przychylnością dam z dworu Baldwina.

Sługa, którego Pascal de Molesmes posłał po Roberta, z trudem go odnalazł. Musiał przekupić innych pałacowych służących, zanim wskazali mu drogę do komnaty pani Marii, niedawno owdowiałej damy spokrewnionej z cesarzem.

Kiedy hrabia stanął w kancelarii, jeszcze unosił się nad nim aromat perfum z nutą piżma, których używała ta niewiasta.

- Zdradźże, de Molesmes, cóż to za pilne powody kazały ci mnie szukać?
- Hrabio, muszę poznać instrukcje, jakich udzielił ci dobry król Ludwik.
- Sam wiesz, że król namawia cesarza, by odstąpił mu mandylion.
- Nie bawmy się w kotka i myszkę. Wybacz, że spytam bez ogródek: jaką cenę gotów jest zapłacić król Ludwik za święty całun?
- Czy cesarz skłonny jest przystać na prośbę swego wuja?
- Pozwól, hrabio, że to ja będę zadawał pytania.
- Zanim odpowiem, muszę wiedzieć, czy Baldwin podjął już decyzję.

De Molesmes wystąpił dwa kroki naprzód i śmiało popatrzył mu w oczy, by przekonać się, z jakim człowiekiem ma do czynienia. Francuz wytrzymał to spojrzenie.

- Cesarz rozważa propozycję swego wuja - odrzekł de Molesmes spokojnie. - Musi jednak wiedzieć, jak dużo król Francji gotów jest dać za mandylion, dokąd chce go przewieźć, i kto zagwarantuje bezpieczeństwo relikwii. Jeśli nie będzie tego wiedział, nie podejmie decyzji.

- Dostałem rozkazy, by czekać na odpowiedź cesarza, jeśli zaś Baldwin zgodzi się wręczyć całun Ludwikowi, ja sam zawiozę go do Francji i oddam jego matce, pani Blance, która będzie go strzegła, dopóki król nie powróci z krucjaty. Jeśli cesarz zechce sprzedać mandylion, Ludwik da bratankowi dwa worki złota ważące tyle co dwóch mężczyzn i przywróci mu hrabstwo Namuru. Podaruje mu też ziemie we Francji, z których cesarz będzie mógł czerpać wysoką roczną rentę. Jeśli

cesarz zgodzi się tylko na jakiś czas zastawić całun, król da mu dwa worki złota, jednakże jeśli Baldwin zechce odzyskać relikwię, będzie musiał mu je zwrócić. W przeciwnym razie po upływie terminu mandylion przejdzie na własność króla Francji.

- Ludwik wykorzystuje swoją przewagę - rzucił niezadowolony de Molesmes.

- Proponuję uczciwy układ.

- Nieprawda, to niesprawiedliwe. Sam dobrze wiesz, że mandylion to jedyna autentyczna relikwia chrześcijaństwa.

- Król jest hojny. Dwa worki złota wystarczą Baldwinowi na pokrycie jego rozlicznych długów.

- To za mało.

- Wiesz, panie, nie gorzej ode mnie, że złoto ważące tyle co dwóch mężczyzn jest lekarstwem na wiele kłopotów imperium. To bardziej niż szczodra propozycja, zwłaszcza jeśli cesarz ostatecznie pożegna się z mandylionem, bo w ten sposób zyska coroczny dochód, aż po koniec swych dni. Jeśli natomiast tylko wypożyczy relikwię... Szczerze powiedziawszy, nie jestem pewien, czy kiedykolwiek uda mu się zbierać dwa worki kruszcu i zwrócić je wujowi.

- Owszem, wiesz to, panie. Wiesz lepiej ode mnie, że nawet nadludzkim wysiłkiem nie zdoła odzyskać płótna. Dość już tych podchodów. Masz złoto?

- Mam list z podpisem Ludwika, w którym zobowiązuje się, że uiszczy zapłatę. Mam też trochę złota na zadatek.

- Skąd mamy wiedzieć, czy relikwia dotrze do Francji?

- Dworzanie musieli ci donieść, że podróżuję z liczną świtą. Mój los zależy od tego, czy powrócę do Francji z mandylionem. Rzuciłem na szalę moje życie i honor. Jeśli cesarz przystanie na propozycję, natychmiast wyprawimy do króla posłańca.

- Ile przywiozłeś na zadatek?

- Dwadzieścia funtów złota.

- Każę cię wezwać, kiedy cesarz podejmie decyzję.

- Będę czekał. Chętnie zostanę jeszcze parę dni w Konstantynopolu - zakończył hrabia Dijon z szelmowskim uśmiechem.

Francois de Charney wraz z innymi rycerzami ćwiczył się w strzelaniu z łuku. Andre de Saint - Remy przyglądał mu się z okna kapitulacza.

De Charney, przystojny mężczyzna o młodzieńczej posturze, podobnie jak brat Andrego, Robert, wyglądał na Araba. Zresztą obydwaj starali się możliwie najbardziej upodobnić do Saracenów, by bez przeszkód poruszać się po ziemiach wroga. Ufali swoim saraceńskim giermkom, byli z nimi bardzo zżyci.

Po wielu latach bytowania na Wschodzie zakon bardzo się zmienił. Rycerze nauczyli się szanować wroga, nie wystarczał im podbój, starali się jak najlepiej poznać tych ludzi, rozumiejąc, że wiele można się od nich nauczyć.

Guillaume de Sonnac był rozumnym mężem, i szybko stwierdził, że Robert i Francois mają szczególne cechy, które czynią z nich doskonałych zwiadowców.

Obydwaj nauczyli się swobodnie posługiwać językiem arabskim, kiedy zaś wyruszali w drogę ze swymi giermkami, zamieniali się w niewiernych. Mieli skórę spaloną słońcem i nosili się jak saraceńscy dostojnicy. Nie wyglądali na ludzi krzewiących wiarę w Chrystusa.

Opowiadali o swych przygodach w Ziemi Świętej, o pięknie pustyni, na której nauczyli się żyć, o traktatach starożytnych greckich filozofów, przechowywanych przez Saracenów, o sztuce medycyny, której się od nich nauczyli.

Młodzieńcy nie potrafili ukryć podziwu dla wrogów. Powinno to zaniepokoić de Saint - Remy'ego, lecz on wiedział, jak bardzo są oddani zakonowi.

Zostaną w Konstantynopolu dopóty, dopóki przeor nie wręczy im mandylionu, który zawiozą do twierdzy Świętego Jana w Akce. Andre de Saint - Remy podzielił się z nimi swymi obawami, czy pozwolić im na samotną podróż z tak cenną relikwią, zapewnili go jednak, że to jedyny sposób, by mandylion dotarł nietknięty i bezpieczny do celu, fortecy w Akce, gdzie przechowywano większość skarbów templariuszy. Żeby jednak do tego doszło, Saint - Remy musi dostać całun Chrystusa, a to wymaga cierpliwych, dyplomatycznych zabiegów.

Na tym jednak przeor komandorii w Konstantynopolu znał się doskonale.

* * *

Baldwin przywdział najlepsze szaty. De Molesmes radził mu, by nikomu nie mówił, iż wybiera się do biskupa.

Pascal de Molesmes osobiście wybrał żołnierzy do orszaku, oraz oddział, który miał okrążyć kościół Świętej Marii Blacherneńskiej.

Plan był prosty. Po zapadnięciu zmroku cesarz zjawi się w pałacu biskupim. Poprosi uprzejmie, by przekazano mu mandylion. Jeśli biskup nie spełni jego prośby, żołnierze wtargną do kościoła i odbiorą relikwię siłą.

De Molesmes przekonał Baldwina, by nie dał się zbyć odmową biskupa. W razie potrzeby można nawet uciec się do pogróżek. Zabiorą ze sobą siłacza Vlada, przybysza z północnych ziem, który ma ciężką rękę i powolny rozum, dlatego spełnia natychmiast wszystkie rozkazy Baldwina.

Ciemność zawładnęła miastem i tylko płonące pochodnie przed wejściami domostw oraz dym unoszący się z kominów zdradzały, że ich mieszkańcy szykują wieczorną strawę.

Głuche walenie w drzwi poniosło się po całym pałacu.

Biskup popijał właśnie cypryjskie wino, czytając list od papieża Innocentego. Służący otworzył pałacowe odrzwia i serce zamarło mu w piersi, gdyż stanął twarzą w twarz z samym cesarzem.

Przybysze pewnym krokiem weszli do pałacu. Baldwin z trudem ukrywał zdenerwowanie. De Molesmes emanował jednak taką pewnością siebie, że cesarzowi wstyd się było wycofać.

Biskup uchylił drzwi swojej komnaty, zaintrygowany hałasem dobiegającym ze schodów. Zaniemówił, kiedy wyrósł przed nim Baldwin, a tuż za jego plecami Pascal de Molesmes i kilkunastu żołnierzy eskorty.

- Co was tu sprowadza?! - wykrzyknął biskup, cofając się.

- To tak się wita cesarza? - wycedził Francuz.

- Wasza Wielbność - odezwał się Baldwin - przyszedłem do was z wizytą. Żałuję, że nie zdążyłem uprzedzić, ale nie pozwoliły mi na to pilne sprawy państwowe.

Uśmiech na twarzy Baldwina nie uspokoił biskupa, który stał nieruchomo pośrodku komnaty.

- Pozwolisz nam usiąść? - zapytał cesarz.

- Wejdźcie, wejdźcie, zamknijmy drzwi. Nie spodziewałem się waszych odwiedzin, stąd moje zaskoczenie. Wezwę służbę, by godnie was podjąć. Każę zapalić więcej pochodni i...

- Nie trudźcie się - przerwał mu de Molesmes. - Szkoda zachodu. Cesarz zaszczyił Waszą Wielbność odwiedzinami, raczcie go wysłuchać.

Biskup, wciąż stojąc, najwyraźniej się wahał. Zaniepokojeni hałasami służący nieśmiało zaglądali do komnaty, w każdej chwili gotowi spełnić rozkazy swego pana.

Pascal de Molesmes podszedł do drzwi i kazał im wrócić do swoich zajęć, uspokajając, że to tylko przyjacielska wizyta cesarza u biskupa Konstantynopola. A jako że pora jest późna, nie będą potrzebowali służby, wina naleją sobie sami.

Cesarz z głębokim westchnieniem usiadł w fotelu, biskup zaś, odzyskawszy pewność siebie, odezwał się butnie:

- Cóż to za ważne sprawy sprowadzają was do mego domu o tak późnej porze? Czy to wasze dusze szukają pocieszenia, czy też martwią was sprawy dworu?

- Dobry pasterzu, przybywam jako syn Kościoła, by opowiedzieć Waszej Wielbności o kłopotach naszego królestwa. Dbasz o dusze, biskupie, racz jednak pamiętać, że ci, którzy mają dusze, mają też ciała, i chcę z tobą pomówić o sprawach ziemskich, bo kiedy cierpi państwo, cierpią ludzie.

Baldwin westchnął, na próżno szukając w oczach Pascala aprobaty i zachęty. Rycerz, wyraźnie znudzony, ledwie dostrzegalnym gestem dał mu znak, by mówił dalej.

- Nie gorzej niż ja znasz potrzeby Konstantynopola. Nie trzeba być wtajemniczonym w sprawy dworu, by wiedzieć, że w skarbcu widać już dno i że ciągłe utarczki z naszymi sąsiadami bardzo nas osłabiły. Od miesięcy żołnierze nie dostają pełnego żołdu, urzędnicy pałacowi dopominają się o zaległą zapłatę, nawet ambasadorzy nie pobierają należnej płacy. Żałuję, że nie przyczyniam się daninami do powiększania majątku Kościoła, chociaż jestem jego oddanym synem.

Baldwin zamilkł, obawiając się, że biskup uniesie się gniewem. Ten jednak słuchał go uważnie, zastanawiając się, jakiej odpowiedzi ma udzielić cesarzowi.

- Choć nie klęczę w konfesjonale - podjął Baldwin - ze szczerości serca czynię cię współnikiem moich zmartwień. Muszę ocalić królestwo. Jedyńm ratunkiem jest sprzedanie mandylionu memu krewnemu, królowi Francji, niech Bóg ma go w swej opiece. Ludwik gotów jest dać nam wystarczająco dużo złota, byśmy spłacili długi. Jeśli oddam mu mandylion, ocalę Konstantynopol. Dlatego, wasza wielbność, proszę cię jako cesarz, byś dał mi święty całun. Trafi

do rąk nie mniej pobożnych chrześcijan niż my.

Biskup popatrzył na niego zamyślony. Odchrząknął, zanim przemówił.

- Panie, stajesz przede mną w swej cesarskiej chwale, by domagać się relikwii, która jest dla Kościoła bezcenna. Twierdzisz, że w ten sposób wybawisz Konstantynopol z kłopotów. Na jak długo jednak? Jak możesz domagać się, bym dał ci coś, co do mnie nie należy? Mandylion jest dziedzictwem Kościoła i całego chrześcijańskiego świata. Byłoby świętokradztwem, gdybym pozwolił ci go sprzedać. Wierni obywatele Konstantynopola nie pozwolą na to, za bardzo są oddani cudownemu wizerunkowi Chrystusa. Nie mieszajmy spraw ziemskich z boskimi, waszych spraw ze sprawami chrześcijaństwa. Zrozumcie, przyjaciele, że nie mogę dać wam świętego całunu, który adorują co piątek wszyscy chrześcijanie. Wierni nigdy nie zgodzą się, byś sprzedał relikwię, byś ją posyłał do Francji, nawet jeśli król Ludwik zobowiąże się, że będzie pilnie jej strzegł.

- Nie przyszedłem słuchać twych wywodów, Wasza Wielbność, nie błagam też, byś mi dał mandylion. Ja ci rozkazuję.

Baldwin był zadowolony, że tak stanowczo wypowiedział ostatnie słowa. Popatrzył na de Molesmes'a, szukając uznania w jego oczach.

- Jestem ci winny szacunek, bo jesteś cesarzem. Ty zaś musisz mi być posłuszny, jako pasterzowi Kościoła - odparł spokojnie biskup.

- Wasza Wielbność, nie pozwolę, by imperium wykrwawiło się na moich oczach! To pycha każe ci zatrzymać relikwię. Jako chrześcijanin boleję nad tym, że muszę rozstać się z mandylionem, jednak jako cesarz żądam, byś mi go oddał.

Biskup podniósł się z krzesła i krzyknął:

- Ośmielasz się mi grozić?! Wiedz, że jeśli podniesiesz rękę na Kościół, Innocenty obłoży cię ekskomuniką!

- Czy ekskomuniką obejmie też króla Francji za to, że kupił mandylion?

- Nie oddam wam świętego całunu. Należy do Kościoła i tylko sam papież może nim dysponować...

- Nie należy do Kościoła i dobrze o tym wiesz. To cesarz Roman Pierwszy Lekapenos odebrał go Edessie i przywiózł do Konstantynopola. Należy do imperium, tym samym więc do cesarza. Kościół był tylko depozytariuszem relikwii, teraz to imperium przejmuje nad nią opiekę.

- Zdajmy się na decyzję papieża. Napiżemy do niego, wyłożymy swoje racje, ja zaś poddam się jego woli.

Baldwin zawahał się. Wiedział, że biskup chce zyskać na czasie, jakże jednak przeciwstawić

się tak rozsądnej propozycji?

Pascal de Molesmes stanął przed biskupem i popatrzył na niego, nie kryjąc złości:

- Zdaje się, że Wasza Wielebność nie zrozumiał słów cesarza.

- Panie de Molesmes, zaklinam cię, nie mieszaj się do tych spraw!

- Odbieracie mi głos? Jakim prawem? Jestem tak samo jak wy poddanym cesarza Baldwina i moją powinnością jest dbać o interesy imperium. Oddaj mandylion i raz na zawsze zakończmy ten spór.

- Jak śmiesz przemawiać do mnie w taki sposób! Panie, każ zamilknąć twemu urzędnikowi!

- Zamilknijcie obaj - rozkazał Baldwin. - Wasza Wielebność, masz zwrócić, co do ciebie nie należy, bo w przeciwnym razie odbiorę mandylion siłą.

Biskup dopadł drzwi komnaty i zawołał strażę. W korytarzu zadudniły kroki gwardzistów.

- Jeśli ośmielicie się tknąć choćby jedną nitkę świętego całunu, napiszę do papieża i sprawię, by was wyklął. A teraz precz! - zagrzmiął.

Baldwin, zaskoczony gniewem biskupa siedział nieporuszony, lecz Pascal de Molesmes z furią podszedł do drzwi i krzyknął:

- Wojsko!

W mgnieniu oka żołnierze wbiegli po schodach i wpadli do komnaty.

- Grozisz cesarzowi? - wycodził de Molesmes. - Skoro tak, każę cię pojmać i osadzić w więzieniu za zdradę. Wiesz, że za takie przewinienie jest tylko jedna kara: śmierć.

Biskup dygotał ze strachu, patrzył zrozpaczony na swoich strażników, modląc się, by sami przystąpili do działania. Ci jednak stali, spoglądając po sobie niepewnie, Pascal de Molesmes zaś odezwał się do oszołomionego Baldwina:

- Panie, zaklinam cię, rozkaż, by Jego Wielebność udał się ze mną do kościoła i oddał mi mandylion.

Baldwin wstał i powoli podszedł do biskupa.

- Pan de Molesmes wypełnia moje rozkazy. Pójdiesz z nim i wręczysz mu mandylion. Jeśli tego nie zrobisz, mój sługa Vlad zawlecze cię do pałacowych kazamat i twoje oczy już nigdy nie ujrzą słońca.

Nie obejrząwszy się na biskupa, pewnym krokiem wyszedł z komnaty otoczony kordonem

żołnierzy, przekonany, że zachował się jak prawdziwy cesarz.

* * *

Olbrzym Vlad wyrósł przed biskupem, gotów wypełnić rozkazy swego pana. Duchowny pojął, że opór na nic się nie zda. Starając się, by zabrzmiało to godnie, rzekł:

- Dam wam mandylion i sam napiszę o tym papieżowi.

W otoczeniu żołnierzy, pod czujnym okiem Vlada, udali się do kościoła Świętej Marii Blacherneńskiej. To tam, w srebrnej skrzyni, spoczywała relikwia. Biskup otworzył skrzynię kluczem, który miał zawieszony na szyi, i nie mogąc powstrzymać łez, wyjął całun i wręczył go de Molesmes'owi.

- To świętokradztwo! Bóg was za to ukarze!

- A jaką karę szykuje dla ciebie za to, że bez wiedzy papieża sprzedawałeś relikwie, by się wzbogacić?

- Jak śmiesz oskarżać mnie o coś takiego?

- Jesteś biskupem Konstantynopola, powinieneś wiedzieć, że nic, co ma tu miejsce, nie uchodzi uwagi pałacu.

Kanclerz ostrożnie wziął całun z rąk biskupa, który padł na kolana, zalewając się łzami.

- Radziłbym, Wasza Wielbność uspokoić się i zrobić użytek ze swej inteligencji, bo tej Stwórca ci nie pożałował.

Lepiej unikać konfliktów między cesarstwem a Rzymem, bo nikomu nie przynoszą one korzyści. Nie masz do czynienia jedynie z Baldwinem, stoi za nim król Francji. Przemyśl to, zanim podejmiesz jakiegokolwiek kroki.

* * *

Cesarz czekał na de Molesmes'a, nerwowo spacerując po komnacie. Miał zamęt w głowie, nie wiedział, czy słuchać sumienia i pokajać się za to, że sprzeciwił się kościelnemu dostojnikowi, czy też być dumnym z tego, że zachował się, jak na cesarza przystało.

Czerwone cypryjskie wino osładzało oczekiwanie. Odprawił małżonkę i służących, i wydał strażom rozkazy, by nie wpuszczali nikogo, dopóki nie wróci kanclerz.

Kiedy usłyszał kroki, sam otworzył drzwi.

Kanclerz przybył eskortowany przez Włada, niosąc złożony mandylion. Gdy przekraczał próg komnaty, uśmiech zadowolenia nie schodził z jego twarzy.

- Musiałeś użyć siły? - zapytał niepewnie Baldwin.

- Nie, panie. Nie było to potrzebne. Jego wielebność oddał mi relikwię z własnej woli.

- Trudno w to uwierzyć. Napiszę do papieża, choć jestem pełen obaw. Innocenty może mnie wykląć.

- Twój wuj, król Francji, nie dopuści do tego. Sądzisz, że Innocenty sprzeciwi się Ludwikowi? Nie odważy się zażądać od niego mandylionu. Nie zapominaj, że dla niego to święty całun i że teraz należy do ciebie, nigdy nie był własnością Kościoła. Możesz uciszyć głos sumienia.

De Molesmes podał tkaninę Baldwinowi, ten zaś z nabożeństwem schował ją w bogato zdobionym kufrze obok łoża i kazał Władowi pilnować kufra, a jeśli będzie trzeba, zabić każdego, kto się do niego zbliży.

* * *

Cały dwór stawił się w bazylice Hagia Sophia. Każdy dworzanin wiedział o sporze cesarza z biskupem, nawet do prostego ludu dotarły echa zatargu władzy świeckiej z kościelną.

W piątek wierni udali się do kościoła Świętej Marii Blacherneńskiej, by pomodlić się przed relikwią, i odkryli, że skrzynia jest pusta.

Lud Konstantynopola był oburzony. Nikt jednak, komu miłe było życie, nie odważył się dać temu oburzeniu wyrazu. Mimo rozpacz po utracie relikwii mieszkańcy imperium oddawali się swej ulubionej rozrywce - zakładom. Snuto domysły, co teraz stanie się z całunem, i przyjmowano zakłady, czy biskup stawi się na porannej sumie i czy cesarz wypowie papieżowi otwartą wojnę.

Ambasador Wenecji gładził się po brodzie, czekając na wiadomości, Genuńczyk nie odrywał oczu od drzwi. Obydwu byłoby na rękę, gdyby papież obłożył ekskomuniką cesarza, gdyż skorzystałyby na tym ich republiki. Nie było jednak pewności co do tego, czy Innocenty poważy się na ten krok.

Baldwin wszedł do bazyliki ubrany w monarszą purpurę, w towarzystwie małżonki i najwierniejszych dworskich dostojników. Orszak zamykał kanclerz Pascal de Molesmes.

Baldwin zasiadł na zdobionym złotymi i srebrnymi okuciami tronie, stojącym na środku świątyni, i popatrzył łagodnie na swych poddanych.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na biskupa. Gdy w końcu się pojawił, ubrany w szaty pontyfikalne, i podszedł wolno do ołtarza, przez świątynię przebiegł szmer. Msza przebiegła spokojnie, w swym kazaniu zaś biskup nawoływał do życia w zgodzie i do przebaczenia. Cesarz przyjął komunię z jego rąk, podobnie jak cesarzowa i ich dzieci. Do ołtarza podszedł również kanclerz. Dwór pojął przesłanie: Kościół nie przeciwstawi się królowi Francji. Po zakończonej ceremonii cesarz wydał ucztę, podczas której lało się wino sprowadzone z księstwa Aten. Baldwin był w doskonałym humorze.

Do kanclerza podszedł hrabia Dijon.

- Panie de Molesmes, czyżby cesarz podjął już decyzję? - zapytał.
- W rzeczy samej, drogi książę, w rzeczy samej, cesarz udzieli wam wkrótce odpowiedzi.
- Powiedz, czego mam się spodziewać?
- Musimy jeszcze omówić parę szczegółów...
- Czego dotyczą?
- Nie bądź niecierpliwy. Ciesz się ucztą, a jutro z rana Staw się u mnie.
- Potrafisz sprawić, by cesarz mnie przyjął?
- Zanim przyjmie cię cesarz, musimy pomówić. Jestem pewny, że dojdziemy do porozumienia, które zadowoli twój i mój król.
- Przypominam ci, że jako Francuz, podobnie jak ja, jesteś poddanym Ludwika.
- Poczciwy król Ludwik! Kiedy wysłał mnie do Konstantynopola, polecił mi, bym służył jego bratankowi jak jemu samemu.

Hrabia Dijon zrozumiał, co de Molesmes chciał mu powiedzieć: bądź lojalny wobec Baldwina.

- A więc do jutra - rzucił hrabia, szukając w tłumie Marii, kuzynki Baldwina, która nader gorliwie starała się umilić jego pobyt w Konstantynopolu.

* * *

Nie świtało jeszcze, kiedy Andre de Saint - Remy wyszedł z kaplicy, za nim zaś ruszyli pozostali rycerze. Zasiedli w refektarzu, gdzie za cały posiłek posłużył im chleb i wino.

Przeor klasztoru był oschłym człowiekiem, który trzymał się z daleka od blichtru dworu,

troszcząc się, by do jego zgromadzenia nie przeniknęły rozwiązłość i zamięłowanie do wygodnego życia.

Po śniadaniu bracia templariusze, Bartolome dos Capelos, Guy de Beaujeau i Roger Parker udali się do komnaty, w której pracował de Saint - Remy.

Chociaż przeor dotarł tu zaledwie parę chwil przed nimi, zdążył zniecierpliwzić się czekaniem.

- Kanclerz dotychczas nie raczył mnie powiadomić, czy cesarz mnie przyjmie - zaczął zirytowany. - Zapewne z powodu ostatnich wydarzeń ma dużo zajęć. Mandylion jest w kufrze, który Baldwin postawił obok swego łoża. Jeszcze dzisiaj de Molesmes przystąpi do negocjowania ceny z hrabią Dijon. Dwór nie wie, jaki los spotkał króla Francji, choć należy się spodziewać, że lada moment przybędzie poseł z Damietty, który przyniesie złe nowiny. Zamiast czekać na wezwanie kanclerza, wybierzemy się zaraz do pałacu. Muszę oznajmić cesarzowi, że jego najdostojniejszy wuj został jeńcem Saracenów. Pójdziecie ze mną, lecz nie mówcie nikomu, co zamierzam mu powiedzieć.

Rycerze podążyli za swym zwierzchnikiem, z trudem dotrzymując mu kroku. Dotarli do dziedzińca, gdzie stajenni czekali z osiodłanymi wierzchowcami. Orszak zamykali trzej służący na koniach i trzy objuczone sakwami muły.

Gdy dojeżdżali do pałacu w Blachernos, słońce już zachodziło. Służba pałacowa nie wierzyła własnym oczom: przyjechał sam przeor komandorii z Konstantynopola. Muszą go sprowadzać ważne powody, albowiem tak świetny rycerz nie przybywałby z wizytą po zachodzie słońca.

Kanclerz pogrążony był w lekturze, gdy jeden ze służących wsunął się do komnaty, by donieść mu o przybyciu de Saint - Remy'ego i jego świty.

Niepokój ogarnął Pascala de Molesmes. Tak podziwiany przez niego Andre de Saint - Remy nie stawiałby się na dworze, nie poprosiwszy przedtem o audiencję u cesarza. Chyba że wydarzyło się coś poważnego.

Nie ociągając się, wyszedł mu na spotkanie.

- Mój przyjacielu, nie spodziewaliśmy się...
- Muszę natychmiast widzieć się z cesarzem - odparł szorstko de Saint - Remy.
- Powiedz, proszę, co się stało?

Templariusz zawahał się.

- Przynoszę wieści dla cesarza - powiedział po chwili. - Muszę porozmawiać z nim bez świadków.

De Molesmes pojął, że niczego więcej się nie dowie od tego dumnego templariusza. Mógłby co

prawda oświadczyć, że Baldwin nikogo nie przyjmuje, zanim on, jego kanclerz, sam nie oceni, czy sprawa jest naprawdę pilna. Był jednak świadom, że w ten sposób niczego się nie dowie, a jeśli oczekiwanie się przeciągnie, de Saint - Remy odjedzie, nie podzieliwszy się z nikim nowinami.

- Zaczekajcie tu. Powiem cesarzowi o waszym przybyciu.

Templariusze skracali sobie czas oczekiwania cichą modlitwą. Po jakimś czasie do komnaty wszedł hrabia Dijon, który miał umówione spotkanie z kanclerzem.

- Panowie...

Templariusze zdawali się go nie dostrzegać. Hrabia zmieszał się nieco, ponieważ nie spodziewał się spotkać tu takich gości.

Po półgodzinie pojawił się kanclerz. Skrzywił się na widok hrabiego Dijon, choć spotkanie z wysłannikiem króla Francji było dla niego niezmiernie ważne.

- Cesarz przyjmie Waszą Wysokość w prywatnej komnacie. Ty zaś, hrabio, musisz poczekać, bowiem cesarz może mnie wezwać w każdej chwili.

Baldwin siedział w komnacie sąsiadującej z salą tronową.

Nie potrafił ukryć zaniepokojenia tą nieoczekiwaną wizytą.

Przeczuwał, że templariusze przynoszą złe wieści.

- Mówcie, kawalerowie, cóż to za pilna sprawa, że nie może poczekać do umówionej audiencji?

- Panie, musisz wiedzieć, że twój wuj, Ludwik, król Francji jest w niewoli w Al - Mansurze - oznajmił de Saint - Remy. - W tej chwili negocjowane są warunki jego uwolnienia. Sytuacja jest poważna. Uznałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

Cesarz pobladł. Przez parę sekund nie mógł wydusić słowa.

Czuł, jak serce łomocze mu w piersi, a dolna warga drży jak wtedy, gdy będąc dzieckiem, musiał największym wysiłkiem woli powstrzymywać łzy, gdyż inaczej ojciec ukarałby go za okazanie słabości.

Templariusz widział, co dzieje się z Baldwinem, mówił więc dalej, by dać mu czas na dojście do siebie.

- Wiem, jak bardzo wasza wysokość kocha swego wuja. Zapewniam, robimy wszystko, co w naszej mocy, by go uwolnić.

- Kiedy się dowiedzieliście? Kto wam powiedział? - bełkotał Baldwin.

De Saint Remy nie odpowiedział na te pytania, oświadczył tylko:

- Panie, doskonale znane mi są kłopoty imperium, przybywam, by oferować ci pomoc.

- Pomoc? W czym ty mógłbyś mi pomóc?

- Zamierzasz sprzedać mandylion królowi Ludwikowi. Król przysłał hrabiego Dijon, by negocjował cenę. Wiem, że święty całun jest już w twoich rękach i że kiedy dojdziecie do porozumienia, król zabierze go do Francji, by podarować go pani Blance. Genueńscy bankierzy chcą, byś spłacił długi, ambasador Wenecji zaś napisał do ciebie, wielmożny panie, że niedługo będzie gotów kupić resztki cesarstwa, i to po niezbyt wygórowanej cenie. Jeśli nie spłacisz choć części długów, ani się obejrzysz, a zostaniesz cesarzem bez cesarstwa.

Tak brutalne słowa jeszcze bardziej przygnębiły Baldwina, który nerwowo wyłamywał palce pod szerokimi rękawami purpurowej szaty. Nigdy nie czuł się tak osamotniony jak teraz. Szukał wzrokiem kanclerza, lecz templariusze uprzedzili tamtego, że chcą porozmawiać z cesarzem bez świadków.

- Co radzicie mi uczynić, rycerze? - zapytał Baldwin.

- Zakon gotów jest kupić mandylion. Już dziś możesz dostać dość złota, by pospłacać najpilniejsze zobowiązania. Genua i Wenecja dadzą ci spokój. Chyba że znów cesarstwo popadnie w długi. Jedyne warunki, jakie stawiamy, to milczenie. Musisz przysiąc na swój honor, że nikomu, nawet swemu zaufanemu kanclerzowi nie zdradzisz, że sprzedałeś płótno templariuszom. Nikt nigdy nie może się o tym dowiedzieć.

- Dlaczego żądacie dochowania tajemnicy?

- Wiesz przecież, że zawsze działamy dyskretnie. Jeśli nikt nie będzie wiedział, gdzie znajduje się mandylion, chrześcijanie unikną swarów i podziałów. Ufamy ci, twemu rycerskiemu i cesarskiemu słowu, ale w dokumencie sprzedaży zostanie napisane, że jeśli zdradzisz warunki umowy, zaciągniesz dług wobec zakonu. Zażądamy też natychmiastowego oddania złota, które jesteś nam winny.

Cesarz z trudem oddychał.

- Skąd mam wiedzieć, czy Ludwik naprawdę dostał się do niewoli?

- Wiesz przecież, że jesteśmy mężami honoru, nie zastawiamy pułapek ani nie uciekamy się do podstępów.

- Kiedy miałbym odebrać złoto?

- Natychmiast.

Andre de Saint - Remy doskonale zdawał sobie sprawę, jak wielką pokusę stanowi dla Baldwina ta propozycja. Wystarczy jedno słowo, by skończyły się jego najgorsze koszmary, jeszcze tego ranka mógłby wezwać Wenecjanina i Genuńczyka, by oznajmić im, że jest gotów spłacić długi.

- Nikt na dworze nie uwierzy, że pieniądze spadły nam z nieba.

- Powiesz im prawdę, że dostałeś wsparcie od templariuszy. Nie musisz zdradzać, za co. Pomyślą, że to kolejna pożyczka.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Uszanujemy twoją wolę, panie.

Zapadła cisza. Baldwin zastanawiał się, czy podjął właściwą decyzję. De Saint - Remy milczał, pewny odpowiedzi cesarza, bo doskonale znał ludzką naturę. Baldwin wbił wzrok w templariusza i powiedział bardzo cicho:

- Zgoda.

Bartolome dos Capelos podał przeorowi dokument, ten zaś wręczył go cesarzowi.

- To nasza umowa. Przeczytaj i podpisz, a nasi słudzy złożą złoto tam, gdzie wskażesz.

- Więc wiedzieliście, że ustąpię? - zapytał Baldwin łamiącym się głosem.

Saint - Remy milczał, nie odrywając wzroku od cesarza. Ten zaś wziął gęsie pióro, nakreślił swój podpis i przystawił cesarską pieczęć.

- Zaraz przyniosę mandylion.

Wyszedł, jakby przeniknął przez arras, gdyż nawet wyteżając wzrok, trudno było zauważyć ukryte drzwi. Po chwili wrócił i podał im starannie złożone płótno. Templariusze odwinęli fragment tkaniny, by upewnić się, czy to prawdziwy mandylion.

Na znak przeora Roger Parker, rycerz ze Szkocji oraz Portugalczyk dos Capelos, opuścili cesarską komnatę i szybkim krokiem skierowali się do wyjścia z pałacu, gdzie czekali ich słudzy.

Pascal de Molesmes, siedzący w przedsionku, widział, jak templariusze i ich słudzy wchodzi i wychodzą, nosząc ciężkie worki. Wiedział, że na nic pytanie, co zawierają. Był też zdumiony, że cesarz go nie wezwał. Kusilo go, by wślizgnąć się do komnaty, nie chciał jednak narażać się na gniew cesarza.

Kiedy wszystkie sakwy ze złotem bezpiecznie spoczęły w sekretnej skrytce w ścianie za arrasem, Baldwin pożegnał templariuszy.

Dotrzyma tajemnicy, nie tylko dlatego że dał cesarskie słowo, ale też dlatego, że bał się de

Saint - Remy'ego. Przeor był pobożnym mężem, oddanym służbie Panu, jednak był człowiekiem, któremu nie zadrzy ręka, jeśli będzie musiał bronić tego, w co wierzy i czemu poświęcił życie.

Gdy Pascal de Molesmes wszedł w końcu do komnaty cesarza, znalazł Baldwina zamyślonego, lecz spokojnego, jakby spadł mu z serca ciężki kamień.

Cesarz opowiedział mu, jaki los spotkał króla Francji, i wyznał, że okoliczności zmusiły go do wzięcia kolejnej pożyczki od templariuszy. Dopóki król nie odzyska wolności, opędzi się tą pożyczką przynajmniej część długów zaciągniętych u Wenecjan i Genuńczyków.

Kanclerz wysłuchał go z troską, choć przeczuwał, że Baldwin coś przed nim ukrywa.

- Co stanie się z mandylionem? - zapytał tylko.

- Ukryję go dobrze. Musi czekać na uwolnienie Ludwika. Dopiero wówczas zadecyduję, co z nim zrobić. Może to znak od Pana, że grzeszymy, kupcząc jego świętym obrazem? Wezwij ambasadorów, trzeba ich powiadomić, że oddamy złoto, które jesteśmy winni. I poślij po hrabiego Dijon, opowiem mu, jaki los spotkał króla Francji.

* * *

Andre de Saint - Remy ostrożnie rozkładał całun, patrząc na ukazujący się wizerunek ciała Ukrzyżowanego. Rycerze padli na kolana i modlili się wraz ze swoim przeorem.

Nigdy nie widzieli całego całunu. Skrzynia, w której był przechowywany w kościele, pozwalała patrzeć jedynie na twarz. Teraz widzieli całą postać. Stracili rachubę czasu, nie wiedzieli, jak długo pogrążeni byli w modlitwie, ale musiało być późne popołudnie, kiedy de Saint - Remy wstał, ostrożnie złożył płótno i zabrał je do komnaty. Po kilku chwilach posłał po swojego brata Roberta i kawalera Francois de Charneya.

- Musicie jak najszybciej wyruszyć w drogę.

- Jeśli się zgodzisz, wyruszymy, kiedy zapadnie noc - odrzekł Robert.

- Czy to nie nazbyt niebezpieczne? - zapytał przeor.

- Nie. Lepiej, by nikt nie widział, jak wyjeżdżamy - wtrącił de Charney.

- Zapakuję mandylion tak, by nie ucierpiał w podróży.

Dam wam również list i pewne dokumenty dla mistrza Renauda de Vichiers'a. Pod żadnym pozorem nie zbaczajcie z drogi do Akki. Niech towarzyszą wam inni bracia, może Guy de Beaujeau, Bartolome dos Capelos...

- Bracie - przerwał mu Robert - proszę, byś pozwolił nam jechać tylko we dwóch. Łatwiej nam będzie wtopić się w krajobraz, w razie potrzeby możemy liczyć na naszych giermków. Jeśli wyruszy cały orszak, wszyscy się domyślą, że wieziemy coś cennego.

- Wieziecie najcenniejszy skarb chrześcijaństwa...

- ...za który oddamy życie - dokończył de Charney.

- Niech tak będzie. Teraz muszę napisać list. I módlcie się, módlcie, prosząc Boga, by pozwolił wam bezpiecznie dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

Zapadła noc. Czarnego nieba nie rozświetlała ani jedna gwiazda. Robert de Saint - Remy i Francois de Charney cicho wymknęli się ze swych cel. Pospieżyli do komnaty przeora.

Noc przesycona była ciszą, wszyscy rycerze spali.

Robert de Saint - Remy lekko popchnął drzwi do komnaty swego brata i zwierzchnika. Znaleźli go na klęczkach, modlącego się przed krzyżem.

Gdy ich usłyszał, podniósł się i bez słowa podał Robertowi niedużą sakwę.

- W środku, w drewnianej skrzynce, jest mandylion. Tu macie dokumenty. Musicie je doręczyć wielkiemu mistrzowi. A to złoto na drogę. Niech Bóg was prowadzi.

Bracia padli sobie w objęcia. Nie wiedzieli, czy dane im będzie jeszcze kiedyś się zobaczyć.

Kawaler de Charney i Robert de Saint - Remy, ubrani w saraceńskie stroje, udali się do stajni, gdzie czekali już na nich giermkowie, uspokajając rwące się do drogi konie. Na żądanie żołnierzy podali hasło i wyruszyli, zostawiając za sobą bezpieczeństwo klasztoru, który był ich domem. Mieli udać się do Akki, do twierdzy Świętego Jana.

* * *

Mendibh spacerował po małym więziennym podwórku, wystawiając twarz do bladego słońca, które tylko oświetlało poranek, nie dając ciepła.

Usłyszał wystarczająco dużo, by zrozumieć, że musi wzmóc czujność. Zdenerwowanie więziennej psycholog i kuratorki mówiły jasno, że za jego plecami toczy się jakaś gra i że najprawdopodobniej w tej grze on jest przynętą na grubszą zwierzynę.

Poddali go badaniom lekarskim, jeszcze raz zaprowadzili na konsultację do psychologa, nawet sam naczelnik więzienia wziął udział w jednej z tych męczących sesji, podczas których psycholog usilnie próbowała zmusić go do jakiejś reakcji.

W końcu komisja penitencjarna podpisała zgodę na zwolnienie, brakowało tylko podpisu sędziego. Za siedem dni, jako wolny człowiek, znajdzie się za więzienną bramą.

Wiedział, co ma robić. Będzie włóczył się po ulicach, dopóki nie upewni się, że nikt go nie śledzi, potem skieruje się do parku Carrara i będzie tam wracał przez wiele dni, obserwując z daleka Arslana. Nie upuści na ziemię kartki zdradzającej jego tożsamość, dopóki nie upewni się, że nikt nie zastawił na niego pułapki.

Bał się o swoje życie. Policjant, który odwiedził go w celi, nie wyglądał na naiwnego. Najpierw groził, że poruszy niebo i ziemię, by na całe życie zamknąć go w więzieniu, a teraz, nagle, z dnia na dzień, wszyscy mówią o tym wcześniejszym zwolnieniu. Coś się szykuje. Może wydaje im się, że kiedy wyjdzie na wolność, doprowadzi policję do swoich ludzi? To o to im chodzi, jest tylko narzędziem w ich rękach. Musi się mieć na baczności.

Chodził od muru do muru, nie zdając sobie sprawy, że przyglądają mu się dwie pary oczu. Wysocy, dobrze zbudowani młodzi mężczyźni, bracia Baherai, szeptem omawiali szczegóły zamachu na jego życie.

Tymczasem komisarz Valoni rozmawiał z naczelnikiem więzienia i z najwyższym rangą strażnikiem.

- Raczej mało prawdopodobne, by coś się nie powiodło, ale nie możemy zaniedbać żadnego szczegółu. Trzeba więc zapewnić niemowie ochronę na te kilkanaście dni, jakie zostały mu do końca wyroku - mówił Valoni.

- Ależ panie komisarzu, ten niemowa nikogo nie interesuje.

Jest, ale jakby go nie było. Nie ma kolegów, z nikim się nie kontaktuje. Nikt nie zrobi mu krzywdy, zapewniam pana - przekonywał strażnik.

- Nalegam! Nie możemy sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko. Nie wiemy, z kim mamy do czynienia. Być może to tylko Bogu ducha winny złodziej nieudacznik, lecz niewykluczone, że jednak ktoś więcej. Staraliśmy się nie robić zamieszania, ale i tak nie ma pewności, jak dużo dotarło do niepowołanych uszu. Trzeba zadbać o jego bezpieczeństwo.

- Panie Valoni, w tym zakładzie nigdy nie było żadnych problemów - upierał się naczelnik. - Nikt nie wyrównywał rachunków, nie było zamachów na naszych aresztantów, dlatego wybaczy pan, ale nie podzielam pańskich obaw.

- Pan, panie Genari, jako przełożony służb więziennych, z pewnością orientuje się, kto tu rządzi. Chcę porozmawiać z tym więźniem.

Genari wykonał gest, jakby oganiał się od natrętnej muchy.

Nie było sposobu, by przekonać tego policjanta, by nie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

Spodziewa się, że on, Genari, wyśpiewa mu, kto tym wszystkim trzęsie. Nie ma mowy, jeszcze nie zwariował.

Valoni wyczuł rezerwę strażnika, zmienił więc taktykę.

- Spróbujmy inaczej, panie Genari. Wśród waszych podopiecznych, zwłaszcza tych, którzy siedzą już długo, musi być ktoś, przed kim inni więźniowie czują respekt. Proszę go do mnie przyprowadzić.

Naczelnik wiercił się na fotelu, tymczasem Genari uparcie milczał.

- Genari, zna pan to więzienie jak nikt - powiedział w końcu - ktoś musi pełnić rolę, o jakiej mówi pan Valoni. Proszę go tu przyprowadzić.

Genari wstał. Wiedział, że jeśli przeciągnie strunę, zacznie wzbudzać podejrzenia przełożonego i tego wścibskiego policjanta z Rzymu. Zakład działał bez zarzutu, wszyscy przestrzegali pewnych niepisanych reguł, a teraz Valoni uparł się, by on mu zdradził, kto pociąga za sznurki.

Posłał podwładnego po Frasquella. O tej porze pewnie wisi na telefonie. Udziela instrukcji swoim synom, na odległość pomaga im prowadzić rodzinny narkobiznes. Fakt, że brudne interesy zaprowadziły go do więzienia, kiedy sypnął go jeden z pionków gangu, nie skłonił go do rezygnacji z tak dochodowej działalności.

Frasquello wszedł do ciasnego gabinetu szefa strażników, z grymasem niezadowolenia.

- Czego chcecie? - warknął.

- Jest tu pewien policjant, uparł się, by z panem porozmawiać.

- Nie gadam z gliniarzami.

- Z tym jednak powinien pan porozmawiać, w przeciwnym razie przewróci do góry nogami całe więzienie.

- Nic nie zyskam, gadając z psami. Macie problemy, to je rozwiązujcie sami, mnie zostawcie w spokoju.

- Nie ma mowy! - wykrzyknął Genari. - Pójdzie pan ze mną i porozmawia z panem komisarzem. Im wcześniej skończycie, tym szybciej da nam spokój.

- Czego chce ten glina? Do czego mu jestem potrzebny? Nie mam kumpli w policji i nie szukam ich przyjaźni. Zostawcie mnie w spokoju.

Więzień zrobił krok w kierunku drzwi, ale zanim zdążył sięgnąć do klamki, Genari rzucił się na niego i wykręcił mu rękę.

- Puszczaj! Odbiło ci?! Jesteś martwy! - zawył Frasuquello.

W tej chwili otworzyły się drzwi. Na progu stał Valoni i przyglądał się mężczyznom. Z oczu obydwu biła wściekłość.

- Puść go! - rozkazał Genariemu.

Ten puścił ramię Frasuquella, który stał bez ruchu, uważnie przyglądając się komisarzowi.

- Woląłem przyjść tu sam, niż wzywać pana do gabinetu naczelnika - wyjaśnił Valoni Genariemu. - Zdaje się, że rozmawiał pan przez telefon, poprosiłem więc, by zamiast panu przerywać, wskazano mi drogę do tego pokoju. Zdaje się, że zjawiłem się w samą porę, bo udało się panu zlokalizować naszego człowieka. A pan niech usiądzie - zwrócił się do Frasuquella, który stał nieporuszony.

Genari posłał więźniowi spojrzenie pełne nienawiści.

- Siadać! - powtórzył Valoni.

- Nie znam pana, ale znam swoje prawa i wiem, że nie mam obowiązku rozmawiać z policją. Muszę zadzwonić do adwokata.

- Do nikogo pan nie zadzwoni, tylko posłucha, co mam do powiedzenia i zrobi to, co każę. W przeciwnym razie przeniosą pana do innego zakładu, gdzie nie będzie pod ręką dobrego wujaszka Genariego i skończą się te fanaberie.

- Nie boję się waszych gróźb.

- Nikt tu nikomu nie grozi.

- Dość tego! Czego pan chce?

- Widzę, że wrócił panu zdrowy rozsądek. Dobrze, powiem wprost: zależy mi, by nic złego nie przydarzyło się pewnej osobie siedzącej w tym więzieniu.

- To chyba informacja dla Genariego. On jest klawiszem, ja tylko więźniem.

- Ale to pan się postara, by włos nie spadł z głowy tej osobie.

- Ach tak! A niby jak mam to zrobić?

- Nie wiem. To pańska sprawa.

- Założmy, że się zgodzę. Co zyskam?

- Pewne udogodnienia.

- Cha, cha, cha... O to już się troszczy wujaszek Genari. Za kogo mnie pan bierze?

- Zgoda, zajrzę do pańskich akt, zobaczymy, czy za współpracę z wymiarem sprawiedliwości można skrócić wyrok.

- Nie wystarczy, że pan zajrzy do akt, muszę mieć gwarancję.

- Nie udzielam gwarancji. Porozmawiam z naczelnikiem więzienia, zasugeruję, by komisja penitencjarna wzięła pod uwagę pańskie dobre sprawowanie, wyniki testów psychologicznych, stopień przygotowania do powrotu na łono społeczeństwa. Nic więcej nie zrobię, tylko tyle.

- Więc nie ma umowy.

- Skoro tak, zaczynamy tracić te małe przywileje, do których przywykliśmy pod okiem Genariego. Cela zostanie gruntownie przeszukana, będzie się pan musiał ściśle stosować do więziennego regulaminu. Genari zostanie przeniesiony do innej placówki.

- O kogo wam chodzi?

- Zrobi pan to, o co proszę?

- Muszę wiedzieć, o kogo chodzi.

- Jest tu niemy więzień, młody chłopak...

Frasquello wybuchnął śmiechem.

- Mam osłaniać tego niedojdę? Nikt się nim nie interesuje, nikomu nie wadzi. Wie pan dlaczego? Bo nic nie znaczy, jest tu nikim, jakiś biedny kaleka.

- Nie chcę, by przez najbliższe siedem dni stało mu się coś złego.

- A co mogłoby mu grozić?

- Nie wiem. Ale pan zapobiegnie ewentualnym przykrościom.

- Dlaczego tak was interesuje ten niemowa?

- To nie pańska sprawa. Niech pan zrobi, o co proszę, a my nie będziemy więcej zakłócać pana spokojnych wakacji na koszt państwa.

- Zgoda. Zostanę niańką tego niemowy.

Valoni opuścił gabinet z lżejszym sercem. Frasquello był nie w ciemną bity. Dotrzyma obietnicy.

Teraz ciąg dalszy. Musi zdobyć adidas niemowy i umieścić w podeszwie jednego z nich nadajnik. Naczelnik obiecał mu, że jeszcze tej nocy pośle do celi strażnika, który pod jakimś pretekstem wyniesie buty na zewnątrz.

John posłał do Turynu Larry'ego Smitha, zdolnego elektronika, który, jak głosiła fama, potrafi umieścić mikrofon nawet pod paznokciem. Wkrótce będzie miał okazję się wykazać.

* * *

Książę de Valant poprosił o audiencję u kanclerza. Przybył do pałacu w towarzystwie bogato odzianego młodego kupca.

- Jakież to ważne sprawy cię sprowadzają, książę? - spytał kanclerz. - Dlaczego pragniesz widzieć się z samym cesarzem?

- Panie kanclerzu, wysłuchaj, proszę, tego rycerza, to mój przyjaciel, szanowany kupiec z Edessy.

Pascal de Molesmes, ze znudzonym, choć uprzejmym wyrazem twarzy, pozwolił młodemu kupcowi mówić. Ten wyłożył mu powody swego przybycia.

- Wiem, że imperium tonie w długach. Przyjechałem, by złożyć cesarzowi pewną propozycję.

- Propozycję cesarzowi? - Z tonu głosu kanclerza trudno było wywnioskować, czy jest zirytowany, czy rozbawiony zuchwałością młodzieńca. - A cóż to za propozycja?

- Reprezentuję grupę kupców z Edessy. Jak sami wiecie, dawno temu pewien bizantyjski cesarz siłą odebrał jej mieszkańcom bezcenną relikwię: mandylion. Jesteśmy dobrymi obywatelami, miłujemy pokój, żyjemy godnie, pragniemy jednak przywrócić naszej społeczności to, co było jej własnością i zostało jej odebrane. Nie przychodzę prosić, byście oddali mi ją natychmiast, gdyż wszyscy wiedzą, że cesarz zamierzał sprzedać ją królowi Francji. Ten natomiast zaklina się, że bratanek mu jej nie sprzedał. Oznaczałoby to, że mandylion wciąż jest w rękach Baldwina. Chcemy go odkupić. Zapłacimy każdą cenę.

- O jakiej społeczności mówisz? Przecież Edessa jest w rękach niewiernych, czy nie tak?

- Jesteśmy chrześcijanami, a obecni panowie Edessy nigdy nas nie prześladowali. Płacimy ogromne podatki, za to cieszymy się pokojem i rozwijamy handel. Nie mamy powodów, by się skarżyć. Mandylion należy jednak do nas i musi powrócić do miasta.

Pascal de Molesmes z coraz większym zainteresowaniem słuchał tego bezczelnego gołowąsa, który bez ogródek proponował, że odkupi najświętszą relikwię.

- Ile gotowi jesteście zapłacić?
- Dziesięć worków złota, każdy ważący tyle co dorosły mężczyzna.

Na twarzy kanclerza nie drgnął żaden mięsień, choć kwota była ogromna. Cesarstwo znów popada w długi, Baldwin rozpaczliwie poszukuje kogoś, kto pożyczycy mu pieniądze, nie wystarcza już wsparcie jego wuja, króla Ludwika.

- Powiem cesarzowi o waszej propozycji. Poślę po was, kiedy udzieli mi odpowiedzi.

Baldwin z ciężkim sercem wysłuchał kanclerza. Wszak przysiągł, że nie wyjawia światu, iż mandylion jest już w rękach templariuszy. Wiedział, że jeśli złamię tę przysięgę, straci życie.

- Musicie powiedzieć temu kupcowi, że nie przyjmuję jego propozycji.
- Ależ panie, przynajmniej ją rozważ!
- Nie. I nigdy nie proś mnie, bym wyzbywał się mandylionu! Nigdy!

Pascal de Molesmes ze spuszczoną głową wyszedł z sali tronowej. Napięcie, jakie odmalowało się na twarzy Baldwina na samo wspomnienie relikwii, wydało mu się dziwne. Już od dwóch długich miesięcy święty całun znajdował się w rękach cesarza, lecz ten nikomu nie chciał go pokazać, nawet jemu, swemu zaufanemu kanclerzowi.

Chodziły słuchy że złoto, które tak ochoczo wręczył mistrz templariuszy cesarzowi Konstantynopola jako pożyczkę, stanowi zapłatę za przejęcie mandylionu. Baldwin jednak zaklinał się na wszystkie świętości, że całun jest w bezpiecznym miejscu.

Kiedy król Ludwik został uwolniony i mógł powrócić do Francji, natychmiast wysłał hrabiego Dijon z jeszcze korzystniejszą propozycją. Ku zdumieniu całego dworu, cesarz okazał się nieprzejednany i zapewnił wszystkich, że tej relikwii nie odstąpi nawet własnemu wujowi. Teraz, kiedy odrzucił kolejną, jeszcze bardziej szczerą propozycję, w głowie Pascala de Molesmes'a coraz pewniej torowała sobie drogę myśl, że Baldwin nie ma już mandylionu, gdyż sprzedał go templariuszom.

Po południu kazał wezwać księcia de Valant, by przekazać mu stanowczą odmowę cesarza. De Molesmes był zaskoczony, kiedy kupiec z Edessy zapewnił go, że jest gotów podwoić cenę.

- Więc to prawda, co mówią na dworze? - zapytał książę de Valant, słysząc odmowę kanclerza.
- A o czymże to rozprawia dwór?
- Mówią, że cesarz nie ma całunu, sprzedał go templariuszom, by spłacić długi zaciągnięte u Wenecjan i Genuńczyków. Tylko tak można wytłumaczyć to, że nie chce przyjąć złota od kupców z

Edessy.

- Nie słucham plotek i wam też radzę, byście nie wierzyli we wszystko, co się mówi - uciął de Molesmes. - Przekazałem wam słowa cesarza, nie ma się nad czym rozwodzić.

Pascal de Molesmes pożegnał gości, choć w duchu podzielał ich podejrzenia: święty całun jest w rękach templariuszy.

* * *

Twierdza zakonu templariuszy wznosiła się na nadmorskim klifie. Dla patrzącego z oddali złoty kolor skały zlewał się z piaskiem nieodległej pustyni. Budowla dumnie górowała nad rozległą równiną, i była jednym z ostatnich bastionów chrześcijaństwa w Ziemi Świętej.

Robert de Saint - Remy przecierał oczy, jak gdyby potężne mury, które przed nim wyrosły, były tylko fatamorganą. Spodziewał się, że lada chwila otoczeni zostaną przez oddział rycerzy obserwujących ich już od paru godzin z okien wysokich baszt. Ani on, ani Francois de Charney nie różnili się wyglądem od Saracenów. Używali nawet takich samych rumaków i siodeł.

Jego giermek i tym razem okazał się dobrym przewodnikiem i oddanym przyjacielem. Robert zawdzięczał mu życie. Kiedy zaatakował ich patrol Ajjubidów, giermek walczył dzielnie u boku pana i własnym ciałem zasłonił go przed ciosem włóczni. Żaden z napastników nie uszedł z życiem, jednak ranny Ali przez wiele dni był bliski śmierci. Robert de SaintRemy troszczył się o niego jak o brata, ani na chwilę nie odstępował od jego łoża.

Ali doszedł do siebie dzięki naparom i maściom sporządzonym przez Saida, giermka kawalera de Charneya, który nauczył się sztuki lekarskiej od medyków templariuszy, uzupełniając tę wiedzę o nauki Arabów, z którymi miał do czynienia podczas rozlicznych podróży. To Said wyjął grot włóczni z boku Alego, przemył ranę i posmarował pastą z ziół, którą zawsze miał przy sobie. Podał mu też do picia cuchnący syrop, który sprowadził na niego kojący sen.

Kiedy de Charney pytał Saida, czy Ali przeżyje, ten odpowiadał: „Tylko jeden Allah zna odpowiedź”. Upłynęło siedem dni i Ali poczuł się lepiej, choć już wydawało się, że wędruje po niebieskich ścieżkach. Oddychał z wysiłkiem, ból ścisnął mu płuca, ale Said uznał, że jego towarzysz będzie żył.

Musiło upłynąć kolejne siedem dni, nim giermek zdołał samodzielnie usiąść, i jeszcze tydzień, zanim odważył się dosiąść konia. Posadzili go na wierzchowcu, sprytnie przymocowując do siodła, by w razie utraty przytomności nie spadł na ziemię. Ali powoli odzyskiwał siły. Teraz towarzyszył rycerzom do fortecznej bramy. Nie zdążyli jednak podjechać do samych wrót, bo otoczył ich tuzin jeźdźców. To templariusze wyjechali im na spotkanie.

Goście musieli powiedzieć, co ich tu przywiodło, dostali eskortę do samej fortecy i trafili

przed oblicze wielkiego mistrza.

Renaud de Vichiers, wielki mistrz zakonu templariuszy, przyjął ich serdecznie. Mimo zmęczenia podróżą, nim upłynęła godzina, opowiedzieli mu, co przydarzyło się im po drodze i wręczyli list oraz dokumenty od de Saint - Remy'ego, a także sakwę z mandylionem.

De Vichiers polecił, by ich nakarmiono i pozwolono odpocząć. Ali miał być zwolniony z wszelkich obowiązków, dopóki nie odzyska zdrowia.

Kiedy wielki mistrz został sam, drżącą ręką wyjął z sakwy szkatułę z relikwią. Ze wzruszenia zaschło mu w gardle, za chwilę bowiem miał ujrzeć oblicze Pana.

Delikatnie rozłożył płótno, po czym upadł na kolana, dziękując Bogu za to, że odsłonił przed nim swą twarz.

Po południu, po dwóch dniach od przybycia Roberta i Francois, wielki mistrz wezwał do kapitułarza wszystkich kawalerów zakonu. Mandylion leżał na długim stole tak, by każdy mógł go zobaczyć. Niektórzy rycerze z trudem powstrzymywali łzy. Po modlitwie Renaud de Vichiers oświadczył, że całun Chrystusa pozostanie w skrzyni, by nie spoczęło na nim niepowołane oko. Są teraz w posiadaniu bezcennego skarbu i jeśli będzie trzeba, oddadzą za niego życie. Potem zażądał, by złożyli przysięgę: żaden z nich nie zdradzi, gdzie znajduje się mandylion. Będzie to jedna z największych tajemnic templariuszy.

* * *

Minerva, Pietro i Antonino przybyli pierwszym porannym samolotem. Jeszcze tego popołudnia byli zaproszeni przez Valoniego na obiad.

Pietro traktował Sofię z dystansem, był nawet niemiły, czuła się w jego towarzystwie niezręcznie. Wiedziała jednak, że musi to znosić tak długo, jak długo zostanie w policji.

Będą pracowali w jednym zespole, co jeszcze bardziej utwierdzało ją w decyzji, by odejść, kiedy tylko zakończą sprawę całunu.

Kończyli lunch, gdy zadzwoniła komórka Sofii.

- Słucham?

Rozpoznawszy głos, oblała się rumieńcem. Wstała od stołu i wyszła z jadalni, co nie mogło nie zwrócić uwagi kolegów.

Kiedy wróciła, nikt nie zadawał pytań, widać było jednak, że Pietro jest spięty.

- Marco, dzwonił D'Alaqua. Zaprosił mnie na obiad z profesorem Bolardem i całym komitetem naukowym do spraw całunu, jutro. To obiad pożegnalny.

- Przyjęłaś zaproszenie, prawda?

- No, nie... - wyjąkała zmieszana.

- To niedobrze, zależy mi na tym, byś przeniknęła do tego środowiska.

- Jutro robimy próbę generalną naszej operacji, jeśli mnie pamięć nie myli, mam ją koordynować - przypomniała Sofia.

- To prawda, ale nadarza się doskonała okazja, by jeszcze raz znaleźć się w tym towarzystwie.

- Nic straconego, umówiłam się z D'Alaquą na pojutrze.

Popatrzyli na nią zdumieni. Valoni nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Ach tak! Jak mam to rozumieć?

- Zwyczajnie. Ponowił zaproszenie, tyle że na następny dzień, bez zacnego naukowego towarzystwa.

Minerva zerknęła ukradkiem na Pietra, który zaciskał palce na krawędzi stołu. Antonino też był zakłopotany, udzielało mu się napięcie kolegi, poprosili więc Valoniego, by przeszedł do ustalania szczegółów czekającej ich operacji.

* * *

W dżinsowej kurtce i spodniach, nieumalowana, z włosami związanymi w koński ogon, Sofia zaczynała żałować, że dała się zaprosić na obiad. Wpadła jak śliwka w kompot.

Nie wyglądała źle. Może ubrała się zbyt swobodnie, ale metka Versacego robiła swoje. Zależało jej, by D'Alaqua przyjął do wiadomości, że ona jest w pracy i traktuje to spotkanie jako część swoich obowiązków służbowych.

Samochód wyjechał z Turynu, parę kilometrów dalej skręcił w wąską drogę, która kończyła się na podjeździe imponującej, ukrytej w lesie willi, o architekturze inspirowanej renesansem.

Brama rozsunęła się bezszelestnie, choć Sofia nie zauważyła, by szofer D'Alaquy nacisnął guzik pilota. Willa na pewno ma ochronę, ale nikt nie wyszedł im naprzeciw i nie zapytał, kim jest pasażerka.

Domyślała się, że każdy ich krok śledzą ukryte kamery.

W drzwiach czekał na nią Umberto D'Alaqua, ubrany w elegancki, ciemnoszary garnitur z mięsistego jedwabiu.

Wnętrze rezydencji ją oszołomiło. Dom wyglądał jak galeria sztuki, kto wie, czy nie było to muzeum zaadaptowane na mieszkanie.

- Zaprosiłem panią do domu, bo pomyślałem, że spodobają się pani niektóre z moich obrazów.

Przez godzinę oprowadzał ją po pokojach. Wszędzie wisały bezcenne dzieła.

Rozmawiali z ożywieniem o sztuce, polityce i literaturze.

Czas mijał tak szybko, że Sofia była zdziwiona, kiedy D'Alaqua dał jej do zrozumienia, że powinien już jechać na lotnisko, bo o siódmej odlatuje do Paryża.

- Przepraszam, zasiedziałam się.

- Ależ skąd! Dochodzi szósta, gdybym nie musiał być wieczorem w Paryżu, poprosiłbym panią, by została pani na kolację. Wracam za dziesięć dni. Jeśli nadal będzie pani w Turynie, mam nadzieję, że się spotkamy.

- Trudno powiedzieć. Być może do tej pory doprowadzimy tę sprawę do końca, albo przynajmniej będziemy zbliżali się do finału.

- Gdybym mógł zapytać, jaką sprawę...

- Śledztwo w sprawie pożaru w katedrze.

- No przecież! Jak się rozwija?

- Pomyślnie, to ostatnia faza.

- Nie może pani nic więcej zdradzić?

- Cóż...

- Rozumiem. Opowie mi pani, kiedy śledztwo dobiegnie końca i wszystko się wyjaśni.

Sofia była wdzięczna, że D'Alaqua potrafił się znaleźć w tej sytuacji. Valoni nie pozwolił jej pisać ani słowa. Choć wyzbyła się podejrzeń w stosunku do D'Alaquy, nie mogła nie być posłuszna poleceniom szefa.

Czekały na nich dwa samochody. Jeden miał zawieźć Sofię do hotelu, drugi D'Alaquę na lotnisko, gdzie stał jego prywatny samolot. Pożegnali się uściskiem dłoni.

- Dlaczego chcą go zabić?

- Nie wiem. Od wielu dni przygotowują grunt. Usiłują przekupić strażnika, by nie zamykał drzwi od jego celi. Chcą wejść tam rano i poderznąć mu gardło. Nikt niczego nie usłyszy, przecież ten niemowa nie wyda z siebie żadnego dźwięku.

- Strażnik na to pójdzie?

- Możliwe. Podobno, chcą mu odpalić pięćdziesiąt tysięcy euro.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Dwaj inni więźniowie, też Turcy.

- Zostaw mnie samego.

- Zapłacisz mi za informację?

- Zapłacę.

Frasquello zamyślił się. Dlaczego bracia Baherai chcą zabić niemowę? Bez wątplenia to zabójstwo na zlecenie, tylko czyje?

Wezwał swoich kapusiów, dwóch mężczyzn skazanych na dożywocie za zabójstwo. Rozmawiali pół godziny. Potem kazał strażnikowi wezwać Genarięgo.

Szef służb więziennych wszedł do celi Frasquella po północy.

Ten oglądał właśnie telewizję, nawet nie wstał, żeby się przywitać.

- Usiądź - mruknął. - Możesz powiedzieć swojemu kumpłowi z policji, że miał rację. Chcą zabić niemowę.

- Kto ma to zrobić?

- Bracia Baherai.

- Dlaczego? - zapytał zaskoczony Genari.

- Dlaczego, dlaczego! Skąd mam wiedzieć? A resztą, co mnie to obchodzi? Ja robię swoją robotę, reszta to wasza sprawa.

- Możesz temu zapobiec?

- Idź już.

Genari opuścił celę, szybkim krokiem skierował się do swojego gabinetu i zadzwonił na numer komórkowy Valoniego.

Valoni czytał. Był zmęczony. Przez pół dnia ćwiczyli operację śledzenia niemowy. Potem wrócił do podziemi i przez dwie godziny przemierzał historyczne korytarze, opukując ściany w nadziei, że usłyszy charakterystyczny dźwięk pustki za murem. Komendant Colombaria, z trudem hamując irytację, szedł za Valonim, starając się go przekonać, że nie znajdzie tu więcej niż to, co widać gołym okiem.

- Panie Valoni, to ja, Genari.

Komisarz spojrział na zegarek, było po północy.

- Miał pan rację. Ktoś chce zabić niemowę. Frasquello odkrył, że dwaj więźniowie, bracia Baherai, Turcy, zamierzają jutro zlikwidować Mendibha. Zdaje się, że dostali za to pieniądze. Trzeba jak najszybciej zabrać waszego podopiecznego z więzienia.

- Nie możemy tego zrobić. Zacznie coś podejrzewać i cała operacja spali na panewce. Frasquello zrobi to, co mu kazaliśmy?

- Tak. To on mi przypomniał, że teraz kolej na pana.

- Wiem. Jest pan w więzieniu?

- Tak.

- To dobrze. Obudzę dyrektora. Będę za godzinę. Chcę mieć wszystkie informacje, jakie uda się zgromadzić o tych braciach.

- Pochodzą z Turcji, spokojni chłopcy, zabili człowieka podczas bójki, ale to nie zawodowcy.

- Opowie mi pan wszystko za godzinę.

Valoni obudził naczelnika więzienia i zażądał, by natychmiast spotkał się z nim w swoim gabinecie. Następnie zadzwonił do Minervy.

- Spałaś?

- Czytałam. Coś się stało?

- Ubierz się. Za piętnaście minut spotykamy się w holu.

Chcę, żebyś poszła do centrali karabinierów i poszukała w ich komputerze informacji o dwóch ptaszkach. Jadę do więzienia, zadzwonię stamtąd do ciebie, by przekazać ci wszystko, czego się dowiedziałem.

- Ale co się stało?
- Ktoś chce zabić niemowę.
- Boże!
- Za piętnaście minut na dole.

Kiedy Valoni dotarł do więzienia, naczelnik już na niego czekał. Ziewał, nie potrafiąc ukryć zmęczenia.

- Chcę dostać kartoteki tych Baherai - rzucił Valoni.

- Braci Baherai? Czyżby coś przeszkrobali? A, to ten Frasquello coś naopowiadał... Wierzy mi pan, komisarzu? - Naczelnik przeniósł spojrzenie na strażnika i dodał: - Genari, niech pan posłucha, jak już skończy się to szaleństwo, wyjaśni mi pan swoje powiązania z Frasquellem.

Naczelnik odszukał akta braci i wręczył je Valoniemu, a ten usiadł na sofie i zaczął przeglądać dokumenty. Po chwili zadzwonił do Minervy.

- Zaczynam zasypiać - usłyszał w słuchawce.

- To lepiej się obudź i znajdź mi wszystko, co ma związek z rodziną tych Turków. Wprawdzie bracia urodzili się we Włoszech, ale ich rodzice byli imigrantami. Chcę wiedzieć o nich wszystko, adresy, kontakty, koligacje, włączając w to krewnych i pociotków. Zapytaj w Interpolu, porozmawiaj z turecką policją. Za trzy godziny chcę mieć sprawozdanie.

- Trzy godziny? Chyba śnisz. Potrzebuję czasu do jutra.
- O siódmej.
- Zgoda. Pięć godzin to więcej niż trzy.

* * *

Restaurację hotelową otwierano punktualnie o siódmej.

Obsługa wciąż ustawiała na stołach półmiski i rozkładała nakrycia, choć niektórzy goście zasiedli już do śniadania.

Minerva, z oczami zaczerwienionymi z niewyspania, przyszła spotkać się z Valonim.

Szef czytał gazetę i pił kawę. Podobnie jak ona, nie wyglądał najlepiej.

Minerva położyła na stole dwie teczki i opadła na krzesło.

- Jestem wykończona!

- Wyobrażam sobie. Znalazłaś coś interesującego?

- Zależy, co uważasz za interesujące.

- No, mów.

- Bracia Baherai to synowie tureckich imigrantów. Ich rodzice najpierw wyjechali do Niemiec, a stamtąd do Turynu.

Znaleźli pracę we Frankfurcie, ale ich matka nie mogła się jakoś w Niemczech zaaklimatyzować, postanowili więc próbować szczęścia gdzie indziej. W Turynie mieli krewnych. Ich dzieci to już Włosi, turyńscy. Ojciec zatrudnił się w zakładach Fiata, matka znalazła zajęcie jako gosposia. Bracia poszli do szkoły, uczyli się przeciętnie. Starszy był grzeczniejszy i dość zdolny, miał lepsze stopnie. Po szkole średniej dostał pracę w Fiacie, podobnie jak ojciec, młodszy zaś został kierowcą jakiejś szyszki z władz lokalnych. To nie przypadek, po prostu matka pracowała w domu jego pracodawcy, niejakiego Regio. Starszy nie wytrzymał długo w fabryce, nie nadawał się na robotnika. Wynajął stragan na rynku i zajął się sprzedażą warzyw i owoców. Dobrze im się wiodło, nigdy nie mieli kłopotów z policją ani z urzędami. Ojciec jest na emeryturze, matka też. Nie mają żadnego majątku, jedynie dom, który kupili piętnaście lat temu. Przed paroma laty, w sobotnią noc, bracia poszli ze swoimi dziewczynami na dyskotekę. Jacyś podpici faceci zaczęli zaczepiać ich partnerki. W raporcie policyjnym można przeczytać, że chłopcy wyjęli noże i wdali się w bójkę z pijakami. Jednego zabili, drugiego zranili tak, że do dziś ma bezwładne ramię. Zostali skazani na dwadzieścia lat, właściwie na całe życie. Narzeczone nie czekały, powychodziły za mąż.

- Wiemy coś o ich rodzinie w Turcji?

- Prości ludzie. Pochodzą z Urfy, niedaleko irackiej granicy. Interpol dostał od tureckiej policji wszystko, co udało im się zebrać o rodzinie Baherai. Nieliczne i niezbyt ciekawe fakty. Ojciec ma w Urfie młodszego brata, zbliża się do emerytury. Pracuje przy szybach naftowych. Ach, prawda, jest jeszcze siostra. Jej mąż jest nauczycielem, mają ośmioro dzieci. Dobrze im się wiedzie, nie byli w nic wmieszani.

Kiedy przeprowadzaliśmy wywiad środowiskowy, sąsiedzi byli zdziwieni, że o nich pytamy. Kto wie, czy nie zaszkodziliśmy tym biedakom, sam wiesz, jak szybko takie sensacje się rozchodzą.

- Coś jeszcze?

- Tak. W Turynie mieszka krewny matki, niejaki Amin, na pierwszy rzut oka wzorowy obywatel. Księgowy, od wielu lat w tej samej agencji reklamowej. Ożeniony z Włoszką, ekspedientką w butik. Mają dwie córki, starsza studiuje, młodsza niedługo skończy szkołę średnią. W każdą niedzielę są w kościele na mszy.

- Chodzą do kościoła?

- A co w tym dziwnego, że ludzie chodzą do kościoła? Jesteśmy we Włoszech.

- A ten krewny to nie muzułmanin?

- Ożenił się z Włoszką, wzięli ślub kościelny, to znaczy, że się przechrzczył, choć nie ma o tym wzmianki w aktach.

- Sprawdź to. Dowiedz się też, czy bracia Baherał chodzili do meczetu.

- Do meczetu?

- Masz rację, jesteśmy we Włoszech. W każdym razie ktoś musi wiedzieć, czy byli dobrymi muzułmanami. Udało ci się zajrzeć na ich konta?

- Owszem. Nic ciekawego. Ten ich krewny ma przyzwoitą pensyjke, jego żona podobnie. Wystarcza im na wygodne życie, choć spłacają raty za mieszkanie. Nie zanotowano żadnego nadzwyczajnego przelewu. Ta rodzina jest bardzo blisko ze sobą związana, wszyscy odwiedzają więźniów, przynoszą im jedzenie, słodycze, tytoń, książki, ubrania, starają się, by więziennicze życie nie było dla nich zbyt ciężkie.

- Tak, wiem. Mam tu wyciąg z rejestru odwiedzin. Niejaki Amin odwiedził ich w tym miesiącu dwa razy, choć zwykle przychodził tylko raz.

- Nie wiem, czy to podejrzane.

- Musimy zbadać każdy, nawet najmniej istotny szczegół.

- Zgoda, ale nie tracąc z oczu najważniejszego.

- Wiesz, co mnie zastanawia? Że chodzi na mszę i wziął ślub kościelny. Muzułmanie nie zmieniają tak łatwo wyznania.

- Może przesłuchamy wszystkich Włochów, którzy nigdy nie przekroczyli progu kościoła? Posłuchaj, moja przyjaciółka przeszła na judaizm, bo zakochała się w Izraelczyku, kiedy była na praktykach wakacyjnych w kibucu. Matka tego chłopaka była ortodoksyjną żydówką, za nic by się nie zgodziła, żeby jej ukochany synek związał się z gojką. Moja koleżanka okazała się bardziej elastyczna, postanowiła zmienić wiarę i teraz co sobotę chodzi do synagogi. Nie wierzy w ani jedno słowo, ale i tak chodzi.

- Dobrze, to było o twojej przyjaciółce, a my tu mamy do czynienia z dwoma Turkami, którzy chcą zabić niemowę.

- Tak, ale nie mieszaj do tego ich krewniaka. Nie zrobisz z niego podejrzanego, tylko dlatego że chodzi na mszę.

Do jadalni wszedł Pietro, z zainteresowaniem nadstawiając uszu. Chwilę później zeszli na śniadanie Antonino i Giuseppe.

Jako ostatnia zjawiała się Sofia.

Minerva opowiedziała o wszystkim, czego dowiedziała się w ciągu ostatnich godzin, Valoni zalecił, by każde przeczytało kopię raportu przygotowanego przez koleżankę.

- Wnioski? - zapytał, kiedy skończyli czytać.

- To nie są zawodowi mordercy. Jeśli zlecono im tę robotę, to dlatego że mają powiązania z niemową, lub też ktoś ma do nich ogromne zaufanie - uznał Pietro.

- W więzieniu nie brak takich, którzy pocięliby go bez mrugnięcia okiem za darmo, ale zleceniodawca nie wie, jak dotrzeć do takich ludzi, a to znaczy, że nie ma kontaktów z półświatkiem, albo, jak uważa Pietro, z nieznanymi nam powodów ufa braciom, którzy nie wyróżniają się niczym szczególnym. Nie robili podejrzanym interesów, nie ukradli motocykla sąsiadowi... Owszem, zamordowali jednego gościa, ale stało się to podczas pijackiej burdy.

- Dobrze, Giuseppe, mamy już dość podsumowań, może dodasz coś, czego jeszcze nie wiemy.

- Wydaje mi się, że koledzy już sporo powiedzieli - wtrącił się Antonino. - Musimy znaleźć ogniwo, które to wszystko łączy. Ktoś chce śmierci niemego, bo wie, że może nas dokądś doprowadzić. To znaczy, że doszło do infiltracji, ktoś dowiedział się o operacji pod kryptonimem „Koń trojański”, w przeciwnym razie już dawno skończyliby z niemową, oni jednak chcą go zabić właśnie teraz.

Na kilka sekund zapadła cisza.

- Kto wiedział o operacji? - zapytała w końcu Sofia.

- Dużo osób - odrzekł Valoni. - Antonino ma rację, chcą go zabić, żeby nie doprowadził nas do kogoś ważniejszego. Trzeba przyznać, że dość szybko rozpoznali nasze plany. Minervo, Antonino, chcę, żebyście znaleźli więcej informacji o rodzinie Baherai, to oni stanowią brakujące ogniwo. Muszą mieć powiązania z kimś, kto chce śmierci tego człowieka. Sprawdźcie to wszystko jeszcze raz, nie pomińcie żadnego szczegółu. Ja wracam do więzienia.

- Dlaczego nie porozmawiać z rodzicami i krewnymi braci? - zapytał Pietro.

- Natychmiast wzbudzimy podejrzenia, wypłoszymy lisa z nory. Nie możemy też wyciągnąć niemowy z więzienia, bo od razu zacznie coś podejrzewać i nie zaprowadzi nas do swojej organizacji. Musimy mieć pewność, że przeżyje, trzymać go z daleka od tych Baherai - zakończył Valoni.

- A kto się tym zajmie? - dopytywała się Sofia.

- Pewien boss narkotykowy, niejaki Frasquello. Umówiliśmy się, że komisja penitencjarna zbada jego przypadek, może uda się nieco skrócić mu wyrok. Dobrze, do roboty.

* * *

Anę Jimenez spotkali w holu. Szła do wyjścia, ciągnąc walizkę na kółkach.

- Chyba eskortujecie coś cennego, nigdy nie widziałam wszystkich państwa naraz - zażartowała.

- Wyjeżdżasz? - zainteresowała się Sofia.

- Tak, jadę do Londynu, a potem do Francji.

- Służbowo?

- Właściwie tak, służbowo. Zadzwoń do ciebie. Może będę potrzebowała twoich rad.

Bagażowy poinformował, że taksówka już czeka, Ana pożegnała się więc, posyłając im szeroki uśmiech.

- Ta dziewczyna zaczyna mi działać na nerwy - mruknęła Minerva.

- Nigdy za nią nie przepadałaś - zauważyła Sofia.

- Nie, nie zrozum mnie źle, lubię ją, nie podoba mi się tylko, że wtrąca się do naszej pracy. Po co jedzie do Londynu, a potem do Francji? Albo wie o czymś, o czym my nie wiemy, albo stara się udowodnić jedną ze swoich szalonych teorii.

- Jest bardzo inteligentna - odparła Sofia - a jej teorie niekoniecznie są takie szalone. Schliemanna też traktowano jak wariata, a jednak odkrył Troję.

- Tylko tego brakowało, żebyś robiła za jej adwokata.

W każdym razie niepokoi mnie ten wyjazd do Londynu. Nie wiem, czego ona szuka, ale na pewno ma to coś wspólnego z całunem turyńskim. Zadzwoń do Santiago.

Strażnik przyjął pieniądze. Była to duża suma, za tak nieskomplikowane zadanie - po prostu nie domknął drzwi dwóch cel. W jednej siedział niemy więzień, w drugiej bracia Baherai.

Zwyczajnie zapomniał przekręcić klucz w zamku. Zdarza się.

W więzieniu panowała cisza. Upłynęły dwie godziny, odkąd więźniowie położyli się spać. Korytarze były słabo oświetlone, strażnicy drzemali.

Bracia popchnęli drzwi. Były otwarte. Ich współnik dotrzymał słowa. Przywierając do ściany, skierowali się na drugi koniec korytarza, gdzie mieściła się cela niemowy. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zanim minie dziesięć minut, wrócą do siebie i nikt się o niczym nie dowie.

Pokonali już połowę długości korytarza, kiedy młodszy z braci poczuł, że na jego szyi zaciska się dłoń. Nie zdążył nawet jęknąć. Dostał w głowę i stracił przytomność. Starszy odwrócił się zbyt późno i na jego nosie wylądowała czyjaś pięść. Chciał krzyknąć, ale nie mógł, ktoś go dusił. Baherai poczuł, że uchodzi z niego życie.

Bracia ocknęli się na korytarzu. Przestraszony strażnik miotał się i krzyczał. Kiedy przewożono ich do części szpitalnej, cieszyli się, że żyją, wiedzieli jednak, że ktoś ich zdradził.

Lekarz zalecił obserwację. Zostali brutalnie pobici, ich twarze były krwawą miazgą, opuchlizna nie pozwalała otworzyć oczu. Pielęgniarka zaaplikowała każdemu zastrzyk uspokajający, żeby mogli zasnąć. Kiedy Valoni dotarł do gabinetu naczelnika, ten, zmartwiony, opowiedział mu, co się stało. Musi złożyć raport władzom miasta i karabinierom.

Valoni uspokoił go i poprosił o widzenie z Frasquellem.

- Wywiązałem się ze swojego zadania - warknął Frasquello, gdy tylko przekroczył próg gabinetu.
- A ja z mojego. Co się stało?
- Grunt, że się udało. Niemowa żyje, Turcy też. Nikt za bardzo nie ucierpiał.
- Niech pan nie traci czujności, mogą powtórzyć zamach.
- Kto? Ci dwaj? Nie wierzę.
- Oni czy inni, nie wiem. Niech pan uważa.
- Kiedy porozmawia pan z komisją więzienną?

- Jak tylko się to skończy.
- To znaczy?
- Mam nadzieję, że to kwestia trzech, czterech dni.
- Zgoda. Lepiej niech pan dotrzyma słowa, panie władzo, bo jak nie, drogo pan za to zapłaci.
- Niech pan nie będzie głupi i daruje sobie te pogróżki.
- A pan niech dotrzyma słowa, dobrze radzę.

Frasquello wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami, odprowadzany zdumionym spojrzeniem naczelnika.

- Ależ Marco, uważa pan, że komisja złagodzi mu wyrok?
- Współpracował z nami, powinni wziąć to pod uwagę. A propos, kiedy dostaniemy buty niemowy? Mój człowiek nie może wiecznie siedzieć w Turynie, musimy w końcu umieścić ten mikrofon.

- Nie przychodzi mi do głowy żaden pretekst...

- Więc niech je zabiorą do czyszczenia. Powiedźcie mu, że kiedy skazani wychodzą na wolność, służby starają się, by wyglądali schludnie. Jeśli nie rozumie, co się do niego mówi... Wszystko jedno. Jeśli rozumie, to chyba nietrudno go będzie przekonać. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny pomysł. Dziś w nocy, po zamknięciu cel, mam dostać te buty. I niech je ktoś wyczyści.

Addai pracował w swoim gabinecie. Aż podskoczył na dźwięk telefonu komórkowego. Kiedy słuchał, jego twarz powoli tężała. Rozłączył się, czerwony ze złości.

- Guner! Guner! - krzyczał na cały korytarz, choć rzadko podnosił głos.

Służący wyrósł przed nim jak spod ziemi.

- Co się stało, pasterzu?

- Natychmiast odszukaj Bakkalbasiego i sprowadź, choćby był na końcu świata. Za pół godziny chcę tu widzieć wszystkich pasterzy.

- Powiedz, co się stało?

- Klęska. Idź już i zrób, o co proszę.

Kiedy został sam, przycisnął palce do skroni. Od paru dni dokuczała mu migrena. Źle spał i nie miał apetytu. Nie chciało mu się żyć. Był zmęczony, miał dość bycia Addaiem.

Wiadomości nie mogły być gorsze. Wykryto plan braci Baherai Ktoś im przeszkodził. Może ci Baherai to gaduły i sami wszystko wypapłali, albo niemowa dostał ochronę na kilka dni przed wyjściem na wolność? To na pewno oni, znów oni, albo ten gliniarz wtykający nos tam, gdzie me powinien. Zdaje się, że ostatnio wcale nie wychodzi z gabinetu naczelnika więzienia. Coś knuje, tylko co? Dotarło do niego, że Marco Valoni kilka razy rozmawiał z handlarzem narkotykami, niejakim Frasquellem. Tak, teraz wszystko zaczyna się układać... pewnie Valoni kazał mu pilnować Mendibha. Chłopak jest ich jedynym śladem, muszą go osłaniać. Z pewnością o to właśnie chodzi, rozmówca nawet mu to zasugerował. A może miał na myśli coś innego? Addai przymknął oczy, czując jak ból wypala mu mózg. Poszukał klucza i otworzył nim skrzyneczkę, z której wyjął pigułki. Zażył dwie, potem usiadł z zamkniętymi oczami, by poczekać, aż ból minie. Przy odrobinie szczęścia, zanim przyjdą pozostali pasterze, poczuje się lepiej.

* * *

Guner delikatnie zastukał do drzwi gabinetu. Kiedy wszedł, zastał Addaia z głową opartą o stół i z zamkniętymi oczami.

Podszedł, potrząsnął nim delikatnie, a ten się ocknął.

- Zasnąłeś.

- Tak. Bolała mnie głowa.

- Musisz wybrać się do lekarza, te migreny cię wykończą, przydałoby się zrobić EEG. Nie, nie jesteś w najlepszej formie.

Pasterze czekają w dużym salonie, ogarnij się trochę, zanim do nich zejdiesz.

- Tak, tak... Zaproponuj im coś do picia.

- Już podałem herbatę.

Po kilkunastu minutach Addai dołączył do rady wspólnoty.

Siedmiu pasterzy w czarnych togach zasiadło wokół masywnego stołu.

Addai zdał im relację z wydarzeń w turyńskim więzieniu.

- Chcę byś ty, mój drogi Bakkalbasi, udał się do Turynu - powiedział na zakończenie. - Mendibh wyjdzie za dwa czy trzy dni i zechce się z nami skontaktować. Nie możemy do tego dopuścić. Nasi ludzie nie mogą sobie pozwolić na kolejne błędy. Dlatego tak ważne jest, byś tam pojechał koordynować operację. Musisz być ze mną w stałym kontakcie. Mam przeczucie, że stoimy na krawędzi katastrofy.

- Mam wieści od Turguta.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na starca o żywych, niebieskich oczach.

- Jest chory, przechodzi głęboką depresję. Dręczy go mania prześladowcza. Twierdzi, że ktoś za nim chodzi, że w biskupstwie przestali mu ufać i że policjanci z Rzymu zostali w Turynie tylko po to, by mieć go na oku. Powinniśmy go stamtąd wydostać.

- Nie, nie teraz, to byłoby szaleństwo - odparł Bakkalbasi.

- Czy Ismet jest przygotowany? - zapytał Addai. - Każ, by szykował się do wyjazdu, zamieszka z wujem, będzie go wspierał.

- Jego rodzice się zgodzili, ale chłopak trochę się ociąga, ma tu dziewczynę - wyjaśnił Talat.

- Dziewczynę! I z tego powodu naraża na niebezpieczeństwo całą wspólnotę! Wezwijcie jego rodziców. Jeszcze dzisiaj wyjedzie do Turynu, razem z naszym bratem Bakkalbasim. Niech rodzice Ismeta zadzwonią do Turguta i oznajmią mu, że wysyłają swego syna, by się nim opiekował. Nie ociągajcie się.

Stanowczy ton Addaia nie pozostawiał miejsca na dyskusje.

Godzinę później mężczyźni opuścili posiadłość, pouczeni, jak dalej postępować.

Ana Jimenez nacisnęła guzik dzwonka przy drzwiach eleganckiego wiktoriańskiego domu w zamożnej dzielnicy Londynu.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich starszy pan, zapewne woźny.

- Dzień dobry pani, czym mogę służyć? - zapytał uprzejmie.

- Chciałabym porozmawiać z dyrektorem tej instytucji.

- Jest pani umówiona?

- Tak. Jestem dziennikarką, nazywam się Ana Jimenez, umówił mnie kolega z „Times’a”, Jerry Donalds.

- Proszę wejść i chwilę poczekać.

Hol domu był ogromny, drewnianą podłogę pokrywały miękkie perskie dywany, na ścianach wisiały płótna przedstawiające sceny z Biblii.

Ana skracała sobie oczekiwanie oglądaniem obrazów, spodziewając się, że woźny zaraz wróci i zaprowadzi ją do gabinetu. Nagle zdała sobie sprawę, że od dobrej chwili przygląda jej się starszy dżentelmen.

- Ach, dzień dobry, przepraszam, nie zauważyłam...

- Dzień dobry, pani Jimenez.

- Przepraszam, nie usłyszałam, kiedy pan wszedł.

- Zapraszam do mojego gabinetu. Więc jest pani znajomą Jerry'ego Donaldsa?...” Ana wolała zbyć to pytanie szerokim uśmiechem, bo tak naprawdę wcale nie знаła Jerry'ego Donaldsa. Jego nazwisko otwierało jednak wiele drzwi w Londynie. Donalds był przyjacielem dyplomaty, znajomego Any, który swego czasu pracował w Anglii, a niedawno został przeniesiony na wysokie stanowisko w Unii Europejskiej. Z trudem skłoniła go, by jej pomógł, w końcu jednak się udało i skontaktował ją z dziennikarzem, który wysłuchał jej bardzo uprzejmie, poprosiwszy, by dała mu trochę czasu. Po dwóch dniach zadzwonił do Turynu, oznajmiając, że zgodził się ją przyjąć wybitny profesor Anthony McGilles.

Profesor przysunął sobie skórzany fotel, wskazując Anie miejsce na sofie. Gdy tylko usiedli, wszedł służący z herbatą.

Przez parę minut Ana odpowiadała na pytania McGillesa, który interesował się jej dorobkiem dziennikarskim i sytuacją polityczną w Hiszpanii. W końcu profesor zapytał:

- Rozumiem, że interesują panią templariusze?

- Tak, byłam bardzo zaskoczona, że jeszcze istnieją, a nawet mają stronę internetową.

- To tylko ośrodek badań. Co właściwie chciałaby pani wiedzieć?

- Czy w dzisiejszych czasach istnieją templariusze, co robią, czym się zajmują... Chciałabym również zapytać o parę faktów z historii, które miały z nimi związek.

- Widzi pani, templariusze, tak jak pani ich sobie wyobraża, już nie istnieją.

- W takim razie informacje, jakie znalazłam w Internecie, nie są prawdziwe?

- Niezupełnie. Dowodem na to jest nasze dzisiejsze spotkanie. Chcę tylko zastrzec, że nie powinna pani wyobrażać sobie współczesnych templariuszy jako rycerzy z mieczami. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku.

- Tak, jestem tego świadoma.

- Jesteśmy placówką naukową. Zajmujemy się studiami historyczno - społecznymi. Naszym orężem stał się intelekt.

- Czy to państwo są prawdziwymi dziedzicami templariuszy?

- Kiedy papież Klemens Piąty rozwiązał zakon, templariusze przystąpili do innych

zgrupowań. W Aragonii był to zakon rycerzy z Montesa, czyli joannitów, w Portugalii król Dionizy założył zakon rycerzy Chrystusa, w Niemczech przyłączyli się do Krzyżaków, w Szkocji zaś templariusze nigdy nie rozwiązali zgromadzenia. Wiernie przestrzegali reguły. Tylko dzięki żelaznej dyscyplinie przetrwali do dziś. Wchodzili w skład gwardii papieskiej, wspierali również jakobitów w Szkocji. W tysiąc siedemset piątym roku zakon wyszedł z ukrycia. W tymże roku uchwalono nowy statut i wybrano Filipa Orleańskiego na wielkiego mistrza. Templariusze wnieśli swój udział do Wielkiej Rewolucji Francuskiej, przyczynili się do stworzenia cesarstwa Napoleona, wywalczenia niepodległości Grecji, wchodzili też w szeregi francuskiego ruchu oporu podczas drugiej wojny światowej...

- W jaki sposób? Mają jakąś organizację? Jak ona się nazywa?

- Przez cały ten czas rycerze wiodą spokojne życie, poświęcone modlitwie i studiom. Oczywiście udział we wszystkich tych wydarzeniach brali zawsze za wiedzą i przyzwoleniem swoich braci. Jest wiele organizacji, klubów, jeśli pani woli, w których spotykają się ci rycerze, dzisiaj nazwałbym ich dżentelmenami. To legalne zrzeszenia, rozsiane po całym świecie, mają swoje statuty, zgodne z prawem każdego kraju. Musi pani spojrzeć na zakon templariuszy z nieco innej perspektywy, bo zapewniam, że w trzecim milenium nie znajdzie pani takiego zgromadzenia, jakim było ono w dwunastym czy trzynastym wieku, po prostu nic podobnego nie mogłoby istnieć. Nasza organizacja zajmuje się zgłębianiem historii zakonu, od dnia założenia aż po czasy obecne. Badamy archiwa, szukamy starych dokumentów. Widzę, że jest pani rozczarowana... - Nie, chodzi o to, że... - Oczekiwała pani rycerza w zbroi? A tymczasem siedzi przed panią emerytowany profesor uniwersytetu w Cambridge. Żałuję, że sprawiłem zawód. Ale jak pani widzi, całkiem zwyczajny ze mnie człowiek, poza tym, że jestem wierzący, wyznaję pewne zasady, miłuję prawdę i sprawiedliwość.

Ana wyczuwała, że za słowami Anthony'ego McGilles'a kryje się o wiele więcej, że to niemożliwe, by wszystko było tak oczywiste, takie proste.

- Skoro jest pan tak miły, chociaż nadużywam pańskiej cierpliwości, czy mógłby mi pan opowiedzieć o pewnym wydarzeniu, w które, jak sądzę, byli zaangażowani templariusze? Nie mogę powiązać pewnych faktów.

- Z największą przyjemnością. Jeśli nie potrafię pani odpowiedzieć, przejdziemy do naszego archiwum, jest skomputeryzowane. Proszę tylko powiedzieć, o jakie wydarzenie pani chodzi?

- Chciałabym wiedzieć, czy templariusze wywieźli święty całun z Konstantynopola w czasach Baldwina Drugiego? Wtedy właśnie zniknął, a pojawił się ponownie we Francji dopiero w tysiąc trzysta pięćdziesiątym siódmym roku.

- Ach, całun turyński! Jako historyk uważam, że zakon nie miał nic wspólnego z jego zaginięciem.

- Możemy to sprawdzić w archiwum?

- Naturalnie, pomoże pani profesor McFadden. Zostawiam panią w dobrych rękach, muszę iść na zebranie. Zapewniam, że mój kolega nie odmówi pani pomocy, zwłaszcza że jest pani protegowaną naszego drogiego przyjaciela Jerry'ego Donaldsa.

Profesor McGilles poruszył niewielkim srebrnym dzwoneczkiem. Natychmiast zjawił się woźny.

- Richardzie, zaprowadź panią Jimenez do biblioteki. Przyjdzie do niej profesor McFadden.
- Dziękuję panu za pomoc, profesorze.
- Mam nadzieję, że na coś się przydałem. Do widzenia.

* * *

Guillaume de Beaujeu, wielki mistrz zakonu templariuszy, włożył dokument do szkatułki i schował ją w sekretarzyku.

Był zmartwiony. List przysłany przez braci z Francji nie pozostawiał złudzeń. Na dworze Filipa już nie mają tylu przyjaciół, co w czasach świętego króla Ludwika, niech go Bóg otacza chwałą, bo nie było mężniejszego i zacniejszego władcy w całym chrześcijańskim świecie.

Filip IV był im winny złoto, dużo złota, a im bardziej rosły jego długi, tym większą darzył ich niechęcią. W Rzymie niektóre zakony nie potrafiły ukryć zazdrości o potęgę templariuszy.

Jednakże tej wiosny, tysiąc dwieście dziewięćdziesiątego pierwszego roku, Guillaume de Beaujeu miał kłopot poważniejszy niż intrygi na dworach Francji i Rzymu. Francois de Charney wraz Saidem przynieśli złe wieści.

Rycerz i jego giermek, nierozłączni jak paznokiec z palcem, przez miesiąc mieszkali w obozie mameluków, nastawiając ucha na rozmowy żołnierzy wroga, z którymi dzielili chleb, wodę i modlitwy do Allaha Miłosiernego. Uchodzili za egipskich kupców, zabiegających o prowiantowanie wojska.

Mamelucy panują już w Egipcie i Syrii, a teraz zajęli Nazaret, miasto, w którym przyszedł na świat Pan. Ich flaga powiewa nad portem w Jaffie, zaledwie parę mil od twierdzy Świętego Jana w Akce.

De Charney bardziej przypominał muzułmanina niż chrześcijanina, stapał się z tym ludem, jak gdyby urodził się na ich ziemi, a nie w dalekiej Francji. Twierdzi, że już wkrótce, najwyżej za dwa tygodnie, dojdzie do ataku na twierdzę w Akce. Tak mówią żołnierze, tak zapewniają oficerowie, z którymi zbratał się w ich obozie. Dowódcy mameluków cieszą się, że już niedługo się wzbogacą, niech tylko zawładną skarbami fortecy w Akce, która upadnie, tak jak wiele innych fortec przez nich

zaatakowanych.

Lekki marcowy wiatr zapowiadał, że nad skąpaną w chrześcijańskiej krwi Ziemię Świętą nadciągają upały. Już od dwóch dni oddział templariuszy napełniał kufry złotem i klejnotami.

Wielki mistrz rozkazał im wsiąść na statek, gdy tylko będą gotowi, popłynąć na Cypr, a stamtąd do Francji. Nikt nie chciał wyruszać w tę podróż, prosili Guillaume'a de Beaujeu, by pozwolił im zostać i pomóc braciom w walce. Wielki mistrz był nieugięty: dalsze losy zakonu w dużej mierze zależą od nich, bo ich zadaniem jest ocalenie skarbu templariuszy.

Najbardziej niepokieszony wydawał się Francois de Charney.

Powstrzymywał łzy, kiedy de Beaujeu oznajmił mu, iż szuka dla niego misję tak daleko od Akki. Francuz błagał go, by pozwolił mu walczyć o krzyż, mistrz jednak był głuchy na jego prośby. Decyzja zapadła.

Wielki mistrz zszedł po schodach do chłodnych fortecnych podziemi, tam zaś, w sali strzeżonej przez rycerzy, starannie sprawdził kufry, które miały jechać do Francji.

- Załadujemy te skrzynie na trzy galery. Bądźcie w każdej chwili gotowi do drogi. Z trzech okrętów któryś dotrze do celu. Wiecie już, w jakim porządku i na którym statku ma się każdy zaokrętować...

- Ja jeszcze nie wiem - odezwał się Francois de Charney.

- Wy, rycerzu, pójdziecie ze mną do kapitułarza, tam wszystko wam powiem - odparł Guillaume de Beaujeu, przyglądając mu się przenikliwym wzrokiem.

Spojrzenie de Charneya przepełniała troska i determinacja.

Rycerz ten, choć skończył już sześćdziesiąt lat, nadal był krępkim mężczyzną, któremu lat odejmowała śniada, spalona słońcem cera. Był weteranem wśród templariuszy. Wyszedł cało z tysiąca niebezpieczeństw, jako zwiadowca nie miał sobie równych, zwłaszcza odkąd jego przyjaciel, Robert de Saint - Remy, poległ od saraceńskiej strzały podczas obrony Trypolisu.

Wielki mistrz widział w jego spojrzeniu smutek. De Charney zmuszony był porzucić ziemię, którą od dawna traktował jak ojczyznę, ziemię, gdzie często sypiał pod gwiazdami, którą przemierzył z karawanami na wielbłądzim grzbiecie.

Dla Francois de Charneya powrót do Francji oznaczał tragedię.

- Wiedz, mój drogi, że tylko tobie mogę powierzyć tę misję - zaczął wielki mistrz. - Lata temu, kiedy jako żółtodziób wstępowałeś do zakonu, wraz z rycerzem de Saint - Remy przywieźliście do Konstantynopola relikwię, płótno, które po śmierci Pana posłużyło za całun. Dzięki niemu zobaczyliśmy twarz Zbawiciela i możemy się do niego modlić. Mówisz o starości, ale możesz być

spokojny, wiem, ile masz siły i odwagi, dlatego tobie polecam, byś strzegł całunu Pana. Ze wszystkich naszych skarbów ten jest najcenniejszy, bo zachował się na nim ślad twarzy i krwi Chrystusa. Ty go ocalisz. Wpierw jednak powrócisz do obozu mameluków. Musimy się dowiedzieć, czy coś może przeszkodzić okrętom w dopłynięciu do celu, czy na morzu nie czeka zasadzka. Kiedy wypełnisz tę misję, udasz się na Cypr, sam dobierzesz załogę. Wierzę w twój rozsądek, ufam, że bezpiecznie dowieziesz całun do Francji. Nikt nie może wiedzieć, co przewozicie. Gotuj się do drogi.

Rycerz de Charney, wraz z giermkim, starym Saidem, jeszcze raz dostał się w mameluckie szeregi. W żołnierzach wyczuwało się napięcie poprzedzające bitwę, skupieni wokół ognisk, wspominali swoje rodziny, z tęsknotą przywołując coraz bardziej zacierający się w pamięci obraz twarzy synów, którzy pod nieobecność ojców wyrastają na mężczyzn.

Przez trzy dni słuchał uważnie, aż w końcu dowiedział się, że za dwa dni nastąpi atak na twierdzę.

Jeszcze tej nocy wymknęli się z obozu. Wjeżdżali do zamku wraz z pierwszymi promieniami poranka, które złociły potężne mury. Guillaume de Beaujeu natychmiast rozkazał swoim rycerzom, by przygotowali się do odparcia ataku.

De Charney pomógł towarzyszom przygotować obronę. Starał się też łagodzić kłótnie, jakie co rusz wybuchały wśród chrześcijan.

Zapadała noc, kiedy wielki mistrz wezwał go do siebie.

- Rycerzu, pora ruszać. Popełniłem błąd, posyłając was do Saracenów. Nie mamy już łodzi, odpłynęli na nich uciekinierzy z twierdzy, musicie więc ruszać lądem.

Francois de Charney odetchnął głęboko, zanim przemówił:

- Wiem. Chciałbym o coś prosić.
- Pozwólcie mi wyruszyć jedynie w towarzystwie Saida.
- Narażacie się na niebezpieczeństwo.
- Nikt nie będzie niczego podejrzewał, wezmą nas za mameluków.
- Rób, jak uważasz.

Mężczyźni uściskali się serdecznie. To miało być ich ostatnie spotkanie. Wiedzieli, że wielki mistrz polegnie jak wielu innych w obronie twierdzy Świętego Jana w Akce.

De Charney szukał odpowiedniego kawałka płótna. Musiało mieć te same wymiary co święty całun. Nie chciał, by relikwia ucierpiała w podróży, lecz nie mógł jej schować do kufra.

Dotarcie do Konstantynopola będzie trudne, a co dopiero droga do Francji. Im mniej będzie miał przy sobie tobołków, tym lepiej.

Podobnie jak Said, przywykł do spania pod namiotem i żywienia się tym, co znaleźli po drodze, już to w lesie, już to na pustyni. Potrzebowali tylko dobrych siodeł.

Męczyły go wyrzuty sumienia, że zostawia braci, których czeka pewna śmierć. Wiedział, że opuszcza tę ziemię na zawsze, że już nigdy tu nie wróci, że w słodkiej Francji będzie wspominał suche powietrze pustyni i nocne czuwanie w saraceńskich obozach, w których zawarł tyle przyjacieli... Ludzie są ludźmi, nieważne, do jakiego Boga zanoszą modły.

Said miał mu towarzyszyć tylko na początku, dalej Francois pojedzie sam. Nie może wymagać od przyjaciela, nawet jeśli jest jego panem, by porzucił swą ojczyznę. Nie, Said nigdy nie przyzwyczai się do życia we Francji, choćby nawet Francois oczarował go opowieściami o swoim miasteczku, Lyrey pod Troyes. To tam nauczył się jeździć konno, galopując po zielonych łąkach rodzinnych włości, i władać mieczykiem, który wykuł dla niego kowal, bo ojciec chciał, by synowie wyrosli na dzielnych rycerzy. Said postarzał się, tak jak i jego pan, za późno już, by zaczynał nowe życie.

De Charney starannie owinał całun drugim kawałkiem płótna i schował go do sakwy, którą zawsze nosił przy sobie. Poszedł po Saida i powiedział mu, jakie otrzymał rozkazy. Zapytał, czy chce mu towarzyszyć na pierwszym odcinku szlaku, zanim ich drogi rozejdą się na zawsze. Said zgodził się, choć wiedział, że kiedy wróci, po Akce nie będzie już śladu.

* * *

Zdawało się, że ogień leje się z nieba. Płonące strzały przelatowały nad murami, podpalając wszystko, co napotkały na swej drodze. Szóstego kwietnia roku pańskiego tysiąc dwieście dziewięćdziesiątego pierwszego, mamelucy rozpoczęli oblężenie twierdzy. Teraz już od wielu dni nękali fortecę, zaciekle bronioną przez templariuszy.

Guillaume de Beaujeu kazał się wszystkim wypowiadać i przystąpić do komunii świętej jeszcze pierwszego dnia oblężenia. Wiedział, że niewielu uda się przeżyć. Poprosił towarzyszy, by oddali swe dusze w opiekę Bogu.

Francois de Charvey był już w drodze. Mistrz ufał, że uda mu się ocalić całun Chrystusa i bezpiecznie dowieźć go do Francji. Był pewny, że wybrał najlepszego opiekuna dla relikwii. Młodzieniec, który czterdzieści lat temu przywiózł ją z Konstantynopola, teraz, jako dojrzały mąż,

otoczy skarb taką samą opieką w drodze na Zachód. Insh ‘ Allah!

Ilu rycerzy pozostało? Ledwie pięćdziesięciu broniło murów, nie godząc się na poddanie twierdzy. Ludzie uciekali w panice.

Guillaume de Beaujeu walczył od wielu godzin, ani na chwilę nie odkładając miecza. Nie potrafił powiedzieć, ilu wrogów zabił ani ilu jego ludzi poległo. Poprosił rycerzy, by starali się uciec, zanim twierdza padnie. Wszyscy jednak walczyli desperacko, wiedząc, że już wkrótce odpowiedzą za swoje czyny przed Bogiem.

Wielki mistrz odpierał ataki dwóch Saracenów, starając osłaniać się tarczą. Nagle poczuł w piersi przenikliwy ból, otoczyła go ciemność... Insh ‘ Allah!

Jan de Perigod zdołał przeciągnąć zwłoki dowódcy i złożyć je pod murem. Wkrótce do wszystkich dotarła straszna wieść: wielki mistrz nie żyje. Akka skazana była na klęskę. Lecz Bóg nie chciał, by nastąpiło to tej nocy.

Mamelucy wrócili na noc do swojego obozu, gdzie pachniało pieczonym w ziołach jagnięciem i rozbrzmiewały pieśni zwycięstwa. Rycerze świątyni zgromadzili się w kapitularku, by wybrać wielkiego mistrza. Byli wyczerpani, nie dbali o to, kto zostanie ich dowódcą, skoro i tak jutro czeka ich śmierć.

Modlili się jednak, prosząc Boga, by ich oświecił. Następcą dzielnego Guillaume’a de Beaujeu został Thibaut Gaudin.

Dwudziestego ósmego maja tysiąc dwieście dziewięćdziesiątego pierwszego roku w Akce panował upał. Przed wschodem słońca, na rozkaz Thibauta Gaudina, rycerze udali się na mszę.

Zanim zaszło słońce, nad Akką zatrzepotała flaga wroga.

Inish’ Allah! Forteca przypominała cmentarzysko. Z życiem uszła ledwie garstka rycerzy.

Miała wrażenie, że znajdowała się w samym środku bitewnego zamętu. Szybko oprzytomniała, przypominając sobie, że jest w centrum Londynu, w wygodnym pokoju hotelu Dorchester. Czują, jak struga potu spływa jej po plecach.

Skronie pulsowały, serce łomotało jakby przebiegła kilkaset metrów.

Wstała i poszła do łazienki. Włosy lepiły jej się do twarzy, nocna koszula przesiąknięta była potem. Ana rozebrała się, odkręciła prysznic. Już po raz drugi przyśnił jej się ten koszmar. Gdyby wierzyła w wędrowkę dusz, przysięgłaby, że tam była, w twierdzy Świętego Jana w Akce, jako świadek upadku templariuszy. Mogłaby rozpoznać twarz Guillaume’a de Beaujeu, kolor oczu Thibauta Gandina. Była tam, czuła to. Znała tamtych mężczyzn, mogłaby to przysiąc.

Wyszła spod prysznicza odświeżona i w lepszym nastroju.

Włożyła T - shirt. Nie miała koszuli nocnej na zmianę. Nie chciała wracać do łóżka i leżeć w przepoconej pościeli. Tej nocy już nie zaśnie. Zniechęcona, włączyła komputer.

Wyjaśnienia profesora McFaddena, podobnie jak dokumenty, które dla niej wyszukał, głęboko zapadły jej w pamięć. McFadden opowiedział jej szczegółowo o upadku twierdzy w Akce.

Jego zdaniem była to jedna z najbardziej gorzkich chwil w historii zakonu. Opowiadał tak obrazowo... Pewnie dlatego przyśniło jej się oblężenie twierdzy, podobnie jak wtedy, gdy Sofia Galloni opowiedziała jej o oblężeniu Edessy przez wojska bizantyjskie.

Jutro spotka się jeszcze raz z tym profesorem i spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej...

* * *

Zapach morza dodawał mu sił i napełniał otuchą. Francois de Chamey nie chciał oglądać się za siebie, ale nie potrafił powstrzymać szlochu, kiedy wszedł na pokład okrętu i uświadomił sobie, że opuszcza Cypr, a tym samym Orient. Bracia gorliwie oddali się swoim obowiązkom, by nie widzieć jego łez. Sądził, że to z powodu starości. Kiedy żegnał się z Saidem, płakał tak, jakby postradał zmysły. Po tylu spędzonych razem latach rycerz i jego giermek po raz pierwszy serdecznie się uściskali.

Dla Saida wybiła godzina powrotu w ojczyście strony, on zaś, Francois de Charney, jechał do kraju, który pamiętał jak przez mgłę. Jego domem stał się zakon templariuszy, ojczyzną zaś Wschód. Do Francji wracało jedynie jego ciało, dusza pozostała w Akce.

Podróż przebiegała spokojnie, choć Morze Śródziemne jest zdradzieckie, o czym przekonał się kiedyś Ulisses. Polecenia Guillaume'a de Beaujeu były jednoznaczne: zawieźć święty całun do zakonu templariuszy w Marsylii, tam odebrać nowe rozkazy. De Charney musiał przysiąc, że ani na chwilę nie rozstanie się z relikwią.

Ból, jaki uwił sobie gniazdo w jego sercu, łagodziło towarzystwo kilku templariuszy, którzy podobnie jak on wracali do Francji. Dzięki nim smutek rozstania i trudy podróży nie były tak dotkliwe. Port w Marsylii wywarł na nim duże wrażenie;

dziesiątki łodzi i statków, rozgadany i pokrzykujący tłum.

Kiedy zeszli na ląd, czekali już na nich rycerze wysłani przez zwierzchnika zakonu. Żaden nie wiedział, w jakim celu przybywa de Charney, nikomu nie przyszło do głowy, że wiezie coś tak cennego. De Beaujeu dał mu list do wizytariusza templariuszy w Marsylii i do przeora zgromadzenia. Oni, zapewnił, najlepiej zadysponują naszym skarbem.

Przeor był szlachcicem oschłym w obejściu, lecz o gołęmbim sercu, jak miał się wkrótce przekonać de Charney. Wysłuchał opowieści w milczeniu. Potem poprosił o relikwię.

Templariusze od dawna wiedzieli, jak wygląda oblicze Chrystusa, bo Renaud de Vichiers kazał na podstawie świętego płótna sporządzić obraz. Nie było domu ani klasztoru, w którym nie znalazłaby się kopia tego obrazu. A jednak Vichiers stanowczo zalecał dyskrecję, wizerunku tego nigdy nie miały zobaczyć oczy ciekawskich, miał być przechowywany w ukrytych kaplicach, do których rycerze schodzili się tylko na modlitwę.

W ten sposób przez długi czas to, że templariusze posiadali jedyną niebudzącą wątpliwości relikwię po Chrystusie, pozostawało tajemnicą.

Francois de Charney otworzył sakwę i wyjął zawiniątko.

Najpierw odwinął płótno, a potem rozpostarł całun...

Mężczyźni padli na kolana, modląc się żarliwie, tak wielkiego cudu stali się świadkami.

Jacques Vezelay, przeor, wraz z Francois de Charneyem, dziękowali Bogu za to, co ukazało się ich oczom.

* * *

Strażnik wszedł do celi i zabrał się do przeszukiwania szafy.

Zgarnął ubrania z wieszaków. Mendibh przyglądał mu się w milczeniu.

- Zdaje się, że wkrótce się stąd zmyjesz. Jak chcą kogoś wypuścić, starają się ich trochę ogarnąć, żeby przyzwocie wyglądali. Pralnia ekspresowa. Nie wiem, czy rozumiesz, co się do ciebie mówi, ale na jedno wychodzi, zabieram te szmaty. A, i te wstrętne buciory. Muszą cuchnąć jak łajno, od dwóch lat nie zdejmujesz ich z nóg.

Podszedł do łóżka i podniósł sportowe buty Mendibha. Ten poruszył się, jak gdyby go to zaniepokoiło, ale strażnik dźgnął go palcem w pierś na znak ostrzeżenia.

- Nie podskakuj, dobra? Ja wypełniam polecenia przełożonych, zabieram to do pralni. Jutro przyniosą ci wszystko z powrotem, czyste i pachnące.

Mendibh został sam i zamknął oczy. Nie chciał, by kamery ochrony wychwyciły jego niepokój. Wydało mu się dziwne, że zabierają mu odzież, zwłaszcza buty. Do prania? Po cóż mieliby to robić?

* * *

Valoni pożegnał się z naczelnikiem więzienia. Spędził tu prawie cały dzień. Mimo protestów lekarza przesłuchał braci.

Na próżno. Nie chcieli się przyznać, dokąd szli, kiedy zostali napadnięci, ani kogo podejrzewają o napad. Valoni wiedział, że byli to ludzie nasłani przez Frasquella, chciał się jednak upewnić, czy bracia ich rozpoznali.

Milczeli jak zakłęci, tylko od czasu do czasu jęcząc, że głowy pękają im z bólu, a ten gliniarz torturuje ich natrętnymi pytaniami. Nie mieli złych zamiarów, zauważyli, że drzwi od celi są otwarte i wyrzeli na korytarz. Każdy by tak zrobił.

A wtedy ktoś na nich napadł. Ani słowa więcej, ani słowa mniej. Tak brzmiała ich wersja.

Naczelnik zasugerował Valoniemu, by powiedział im wprost, że wie, iż chcieli zamordować niemowę, komisarz jednak odrzucił tę sugestię. Nie chciał alarmować tych na zewnątrz, kogoś, kto, jak się potwierdziło, zlecił braciom zabójstwo.

W takim więzieniu nie brak kapusiów. Nigdy nie wiadomo, kto może być ogniwem łączącym ich z ulicą.

Kobieta wyszła z gabinetu, nie oglądając się za siebie.

Chwilę wcześniej zajrzała do dyrektorskiej łazienki, by wymienić ręczniki. Stanowiła część więziennego krajobrazu, wchodziła do wszystkich pomieszczeń, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania.

Kiedy Valoni dotarł do hotelu, Antonino, Pietro i Giuseppe siedzieli jeszcze w barze. Sofia poszła już spać, Minerva zaś obiecała, że zejdzie do nich, jak tylko zadzwoni do domu.

- Cóż, niemowa wyjdzie za trzy dni. Mamy coś nowego?

- Nic szczególnego - odparł Antonino. - Tyle tylko, że w Turynie pełno jest imigrantów z Urfy.

Valoni ściągnął brwi.

- Możesz wyrażać się jaśniej?

- Pracowaliśmy z Minervą jak woły. Chciałeś się czegoś dowiedzieć o rodzinie Baherai, zaczęliśmy więc szukać, wprowadzać dane do komputera i odkryliśmy, że stary Turgut, kościelny w katedrze, pochodzi z Urfy, to znaczy nie tyle on, co jego ojciec. Historia jego rodziny przypomina historię naszych braciszków. Ojciec przyjechał za pracą, zatrudnił się u Fiata, poznał Włoszkę, pobrali się i został. Turgut urodził się w Turynie. Nie łączy ich żadne pokrewieństwo z braćmi Baherai, tylko pochodzenie. Pamiętasz Tarika?

- Jakiego Tarika?

- To jeden z robotników, pracował w kościele, kiedy doszło do pożaru. Otóż on też pochodzi z Urfy - wyjaśnił Giuseppe.

- Najwyraźniej mieszkańcy tego miasta upodobali sobie Turyn - stwierdził Valoni.

Do baru weszła Minerva. Widać było, że jest zmęczona.

Valoni poczuł wyrzuty sumienia; ostatnio przeciąża ich wszystkich pracą, ale nikt tak dobrze jak Minerva nie zna się na komputerach, Antonino zaś ma analityczny umysł, który trzyma w ryzach porywy fantazji kolegów z zespołu. Był pewny, że oboje wykonali dobrą robotę.

- No, Marco - wykrzyknęła Minerva - chyba nie powiesz, że nie zarabiamy na swoje utrzymanie!

- Owszem, już słyszałem, ilu mieszkańców Urfy wyemigrowało do Turynu. Co jeszcze udało wam się ustalić?

- Że to nie są praktykujący muzułmanie, o ile w ogóle muzułmanie. Wszyscy chodzą do kościoła - wyjaśniła Minerva.

- Nie zapominajcie, że Kemal Ataturk zlaicyzował Turcję, więc nic dziwnego, że nie mamy do czynienia z praktykującymi muzułmanami. Dziwne tylko, że tak sumiennie chodzą na mszę. Z tego by wynikało, że to chrześcijanie - zauważył Antonino.

- Czy w Urfie są chrześcijanie? - zapytał Valoni.

- Jak twierdzą tureckie władze, nie - odpowiedziała Minerva.

Antonino odchrząknął, jak zwykle, kiedy chciał zabrać głos.

- Ale w dawnych czasach było to miasto chrześcijańskie i nazywało się Edessa. Bizantyjczycy oblegali je w dziewięćset czterdziestym czwartym, by zdobyć święty całun, który znajdował się w rękach małej chrześcijańskiej wspólnoty, chociaż Edessą rządili wówczas muzułmanie.

- Obudźcie Sofię - przerwał mu Valoni.

- Po co? - zapytał Pietro.

- Bo szykuje się burza mózgów. Sofia niedawno podpowiedziała mi, że być może klucz do rozwiązania naszej sprawy leży w przeszłości. Ana Jimenez też o tym wspominała.

- Nie traćmy zdrowego rozsądku, proszę!

Słowa Pietra rozżłościły Valoniego.

- Dlaczego uważasz, że tracę zdrowy rozsądek?

- Bo widzę, że dałeś się ponieść wyobraźni tych dwóch dam. Sofia i nasza koleżanka Ana puściły wodze fantazji i są przekonane, że pożary w katedrze wiążą się z przeszłością. Wybacz, ale moim zdaniem to typowo babskie podejście. Kobiety fascynują tajemnice, irracjonalne wyjaśnienia, ezoteryka...

- Co ty sobie wyobrażasz?! - Minerva była oburzona. - Męski szowinista i palant!

- Spokojnie, spokojnie... - prosił Valoni. - Tylko tego brakowało, żebyśmy się wszyscy pokłócili. Powiedz Pietro, co o tym wszystkim sądzisz.

- Urfa to dawna Edessa. Dobrze, ale co z tego? Czy mało miast w historii powstało na gruzach innych? Tu, we Włoszech, każdy kamień to historia, ale nikomu nie przychodzi do głowy szukać w przeszłości wskazówek do każdego współczesnego zabójstwa czy pożaru. To czyste szaleństwo.

Wiem, że to dla ciebie specjalny przypadek, Marco, wybacz jednak, że powiem to wprost: uważam, że masz obsesję na tym punkcie i przesadzasz, tak tę sprawę rozdmuchując. Co w tym dziwnego, że wielu Włochów tureckiego pochodzenia wywodzi się z miasta zwanego Urfą? Ilu Włochów z jednego miasteczka w tym samym roku wyjechało do Frankfurtu, by w ciężkich czasach zarabiać na chleb pracą w niemieckich fabrykach? A jednak przy każdym przestępstwie popełnionym przez Włocha policja niemiecka nie podejrzewa Juliusza Cezara i legionów rzymskich. Chcę tylko powiedzieć, że nie możemy tracić zdrowego rozsądku. Jest wielu hochsztaplerów, którzy piszą nawiedzone książki o całunie turyńskim, nie pozwólmy, by zrobili nam wodę z mózgu.

Komisarz zastanowił się nad słowami Pietra. Nie brakowało im logiki, kto wie, czy nie ma racji. Valoni był jednak starym policyjnym wyjadaczem i jak doświadczony pies myśliwski, który całe życie uganiał się za zwierzyną, ufał swojemu instynktowi. A instynkt podszeptował mu, że trzeba zbadać ten trop, nawet jeśli wydaje się nieco fantastyczny.

- Wysłuchałem cię, kto wie, czy nie masz racji, ale skoro nie mamy nic do stracenia, nie pozwolę, by wymknął nam się jakiś wątek. Proszę, Minervo, zadzwoń do Sofii, może jeszcze nie położyła się spać. Co wiemy o Urfie?

Antonino wręczył mu pełny raport o Urfie czy też Edessie.

Przewidział, że szef o niego poprosi.

- Wszyscy wiedzą, że całun znajdował się w Edessie - nie ustępował Pietro. - Nawet ja o tym wiedziałem, nasłuchałem się od was tej historii do znudzenia.

- Owszem, ale nowością jest, że mamy tu kilku obywateli z Urfy, którzy jednak wykazują pewne powiązania z całunem - nie dawał za wygraną Valoni.

- Ach tak? A można wiedzieć, jakie to powiązania? - kpił Pietro.

- Jesteś zbyt dobrym policjantem, żebym ci to musiał wyjaśniać, ale skoro nalegasz... Turgut pochodzi z Urfy, jest kościelnym w katedrze, był w pracy w dzień pożaru i podczas wszystkich wcześniejszych wypadków. Ciekawe, że nigdy niczego nie zauważył. Mamy też niemowę, który zamierzał coś ukraść. Interesujące, że nie jest to jedyny niemy, jaki stanął na naszej drodze. Parę miesięcy temu inny niemowa spłonął na węgielek, a w całej historii całunu byli jeszcze inni niemi i inne pożary. Potem okazuje się, że dwaj bracia tureckiego pochodzenia, co ciekawe, również pochodzący z Urfy, usiłowali zamordować naszego niemowę. Dlaczego? Chcą, żebyście jutro poszli z Giuseppem przesłuchać kościelnego. Powiedzcie mu, że śledztwo jest w toku i chcecie z nim porozmawiać, być może przypomni sobie jakiś szczegół.

- Tylko zdenerwujemy staruszka. Prawie się rozplakał, kiedy przesłuchiwaaliśmy go po raz pierwszy - przypomniał Giuseppe.

- Dlatego trzeba przesłuchać go jeszcze raz. Wydaje mi się, że to ich najślabsze ogniwo. Poprosimy również o zgodę prokuratora na założenie podsłuchu w telefonach naszych sympatycznych

przyjaciół z Urfy.

Minerva wróciła z Sofią. Usiadły, posyłając Pietrowi wrogie spojrzenia. Kiedy koło trzeciej nad ranem zamykano bar, narada wciąż trwała. Sofia zgadzała się, że powinni podjąć ten wątek, który nieoczekiwanie doprowadził ich do Urfy, i iść jego śladem. Antonino i Minerva byli tego samego zdania. Giuseppe pozostał sceptyczny, ale nie dyskutował z kolegami, podczas gdy Pietro z trudem ukrywał niezadowolenie.

Poszli spać przekonani, że zbliżają się do końca śledztwa.

* *

Starzec się obudził. To brzęczyk telefonu komórkowego wyrwał go z głębokiego snu. Minęły ledwie dwie godziny, odkąd się położył. Książę był w doskonałym humorze i nie wypuszczał ich aż do północy. Kolacja była wykwintna, rozmowa zabawna, jak przystało na dżentelmenów w ich wieku i ich pokroju, kiedy spotykali się w zamkniętym gronie.

Nie odebrał telefonu, kiedy na wyświetlaczu odczytał numer z Nowego Jorku. Wiedział, co ma robić. Wstał z łóżka, otulił się szlafrokiem z kaszmiru i skierował do gabinetu. Kiedy się tam znalazł, zamknął drzwi na klucz i usiadłszy za stołem, nacisnął ukryty guzik. Parę minut później rozmawiał przez telefon, korzystając ze specjalnego systemu komunikacyjnego, niedostępnego dla najnowocześniejszych urządzeń podsłuchowych.

Informacje, jakie odebrał, były niepokojące: ludzie z wydziału prowadzącego dochodzenie w sprawie pożaru w katedrze zbliżają się do wspólnoty i Addaia, chociaż jeszcze nie wiedzą o istnieniu pasterza.

Plan Addaia, by zabić Mendibha, nie powiódł się.

Ale nie to było najgorsze. Zespół operacyjny Valoniego puścił wodze fantazji i doktor Galloni konstruowała tezy, które ocierały się o prawdę, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

Z drugiej strony do akcji wkroczyła ta hiszpańska dziennikarka.

Świtało, kiedy opuścił gabinet. Poszedł do sypialni i przystąpił do przygotowań. Czekał go długi dzień. Za cztery godziny ma ważne spotkanie w Paryżu. Obecność obowiązkowa, choć niepokoiła go ta improwizacja - łatwo mogą zwrócić na siebie uwagę.

Popołudnie przeszło w zmierzch, a potem w nieprzenikniętą noc. Jakub de Molay, wielki mistrz zakonu templariuszy, czytał przy świetle świec list od Pierre'a Berarda z Vienne, który informował go o szczegółach soboru.

Zmarszczki żłobiły szlachetne oblicze wielkiego mistrza.

Długie nocne czuwanie zostawiło ślad w jego spojrzeniu, miał zaczerwienione, zmęczone oczy.

Złe czasy nastały dla templariuszy.

Naprzeciwko Villeneuve du Temple, imponującej ufortyfikowanej budowli, wznosił się majestatyczny pałac królewski, w którego komnatach Filip szykował zagładę zakonowi.

W skrzyniach królewskiego skarbcza widać było dno, Filip był jednym z największych dłużników zakonu. Pożyczyli mu tyle złota, że aby pospłacać wszystkie długi, król musiałby żyć dziesięć razy dłużej niż zwykły śmiertelnik.

Filip IV nie zamierzał jednak spłacać długów. Miał lepszy pomysł: stanie się dziedzicem zakonu, nawet gdyby musiał podzielić się częścią fortuny z Kościołem.

Kusił rycerzy szpitala jerozolimskiego obietnicami nadań, jeśli wesprą go w jego kampanii wytoczonej przeciwko templariuszom. Wokół papieża Klemensa skupiało się grono wpływowych duchownych, którym płacił za to, by intrygowali przeciwko zakonowi.

Odkąd udało mu się kupić fałszywe zeznania od Esquieu de Flotyana, Filip otaczał templariuszy coraz ciasniejszym kręgiem i z dnia na dzień zbliżał się do chwili, w której wymierzy im śmiertelny cios.

Król podziwiał w duchu Jakuba de Molay za odwagę i szlachetność, cnoty, których jemu brakowało. Drżał na samą myśl, że ma stanąć przed przejrzystym lustrem uczciwych oczu wielkiego mistrza. Nie spocznie, dopóki nie zobaczy go płonącego na stosie.

Tego popołudnia, jak podczas wielu poprzednich, Jakub de Molay modlił się w kaplicy za rycerzy zamordowanych z rozkazu Filipa.

Odkąd Filip spotkał się z Klemensem w Poitiers, sprawował pieczę nad majątkiem templariuszy. Teraz wielki mistrz z niecierpliwością oczekiwał rozwiązania soboru wienneńskiego.

Filip udał się tam osobiście, by naciskać na Klemensa i kościelny trybunał. Nie wystarczało mu, że zarządza czymś, co do niego nie należy, chciał mieć to na własność, a sobór wienneński stwarzał świetną okazję, by wymierzyć zakonowi śmiertelny cios.

Skończywszy czytać, Jakub de Molay potarł zaczerwienione oczy i poszukał pergaminu. Przez dłuższą chwilę wodził piórem po papierze, stawiając kanciaste litery. Kiedy list był gotowy, wielki mistrz wezwał do siebie zaufanych rycerzy: Beltrana de Santillanę i Gotfryda de Charney.

Beltran de Santillana, wysoki i mocno zbudowany mężczyzna, który przyszedł na świat w wielopokoleniowym domu zagubionym w Górach Kantabryjskich, lubił ciszę i medytację.

Wstąpił do zakonu jako osiemnastolatek, a zanim stał się bratem i nauczycielem innych braci, walczył w Ziemi Świętej.

Tam poznał i tam ocalił życie Jakuba de Molaya, zasłaniając go własnym ciałem. Pamiątką po

tym była długa blizna, biegnąca zaledwie parę cali od serca.

Gotfryd de Charney z kolei, wizytariusz zakonu w Normandii, był ascetycznym, oschłym człowiekiem, którego ród wydał na świat niejednego templariusza, jak chociażby jego wuja, Francois de Charneya (niech Bóg ma go w swej opiece, bo zgasł z melancholii lata temu, po powrocie do ojczyzny).

Jakub de Molay ufał Gotfrydowi jak sobie samemu. Razem walczyli w Egipcie i miał okazję przekonać się o jego odwadze i pobożności. Zdecydował, że to on, wraz z Beltranem de Santillaną, przeprowadzą tę delikatną misję.

Templariusz Pierre Berard poinformował go w liście, że papież Klemens jest o krok od ustąpienia Filipowi. Dni zakonu są policzone, w Vienne zostanie ogłoszone rozwiązanie zakonu.

To kwestia dni, dlatego trzeba szybko rozporządzić uszczuplonym majątkiem, by ocalić to, co jeszcze pozostało.

Gotfryd de Charney i Beltran de Santillaną weszli do komnaty wielkiego mistrza. Ciszę nocy zakłócała wrzawa dobiegająca z ulic Paryża.

Jakub de Molay, opanowany i pewny siebie, poprosił ich, by usiedli. To będzie długa rozmowa, bo mają do omówienia wiele kwestii.

- Beltranie, musisz natychmiast wyjechać do Portugalii.

Nasz brat, Pierre Berard, donosi, że za kilka dni papież rozwiąże nasz zakon. Nie wiemy, jaki los spotka naszych braci w innych krajach, lecz we Francji przyszłość templariuszy jest przesądzona. Zastanawiałem się, czy nie wysłać cię do Szkocji, gdyż na królu Robercie Brusie ciąży ekskomunika i nic sobie nie robi z papieskich zarządzeń. Ufam jednak dobremu królowi Dionizemu z Portugalii, od którego otrzymałem gwarancję, że będzie osłaniał zakon. Król Filip odebrał nam większą część dóbr. Nie brak złota jednak mnie martwi i nie utracone ziemie, tylko nasz wielki skarb, prawdziwy skarb zakonu, całun Chrystusowy. Od lat chrześcijańscy królowie podejrzewają, że jest źródłem naszej potęgi, i ostrzą sobie na niego zęby, bo wydaje im się, że relikwia ma niezwykłą moc i czyni niezniszczalnym tego, kto ją posiada. Wydaje mi się, że gdy święty król Ludwik błagał nas, byśmy pozwolili mu modlić się przed wizerunkiem Chrystusa, nie czynił tego szczerze. Chciał się jedynie dowiedzieć, czy mamy całun.

Zawsze udawało nam się dochować sekretu i tak powinno pozostać. Filip cieszy się na myśl, że wtargnie do naszej twierdzy i przeszuka ją od piwnic po dach. Wierzy swoim doradcom, którzy wmawiają mu, że jeśli znajdzie całun, będzie mógł zawładnąć całym chrześcijańskim światem. Zaślepia go ambicja.

Musimy ocalić nasz skarb tak, jak kiedyś zrobił to wasz dobry wuj de Charney. Ty, Beltranie, udasz się do naszej posiadłości w Castro Marim, przekroczysz Gwadianę i oddasz całun przeorowi, naszemu bratu Jose de Sa Beiro. Zaniesiecie mu list z dyspozycjami, jak ma postępować, by dobrze

chronić nasz skarb.

Tylko wy, Sa Beiro, de Charney i ja wiemy, gdzie znajduje się święty całun i tylko Sa Beiro w godzinie śmierci przekaze sekret swemu następcy. Zostaniecie w Portugalii, przechowując tam relikwię. Jeśli będzie to potrzebne, wyślę nowe instrukcje.

Podczas podróży do Hiszpanii wstąpicie do wielu domów i posiadłości templariuszy, zawieziecie do wszystkich przeorów dokument z moimi instrukcjami co do dalszego postępowania, na wypadek gdyby na zakon spadło nieszczęście.

- Kiedy mam wyruszyć?

- Jak tylko będziesz gotowy.

Gotfryd de Charney nie potrafił ukryć rozczarowania, gdy spytawszy:

- Powiedz, wielki mistrzu, na czym polega moja misja? - usłyszał: - Udasz się do Lirey i zostawisz tam płótno, w które twój wuj, wiele lat temu, owinał święty całun. Powinno ono pozostać na ziemiach Francji, lecz ukryte w bezpiecznym miejscu. Od lat zadaję sobie pytanie o cud, jaki nastąpił, gdy wasz wuj odwijał płótno, by wręczyć całun wielkiemu mistrzowi w Marsylii. Obie tkaniny są święte, choć tylko w jedną owinięte było ciało Pana. Liczę na szlachetność rodu de Charney i wiem, że twój brat i wasz stary ojciec będą przechowywali tę tkaninę, dopóki zakon nie zażąda jej zwrotu.

Francois de Charney dwa razy przemierzył pustynię, by zawieźć święty całun do templariuszy. Teraz zakon znów obdarza zaufaniem tę mężną chrześcijańską rodzinę.

Zapadła cisza, mężczyźni starali się opanować wzruszenie.

Jeszcze tej samej nocy, choć różnymi drogami, dwaj templariusze wyruszyli z cennymi relikwiami. Jakub de Molay miał rację - Bóg sprawił cud na płótnie złożonym przez Francois de Charneya. Była to delikatna tkanina, o takiej samej fakturze i w tym samym odcieniu co całun, którym na polecenie Józefa z Arymatei owinięto ciało Jezusa.

Od wielu dni byli w drodze, niemal nie zsiadali z koni.

Wreszcie ich oczom ukazało się miasto Bidasoa. Beltran de Santillana, w towarzystwie czterech rycerzy i ich giermków, nie szczędził koniom ostróg. Chcieli jak najszybciej znaleźć się w Hiszpanii, jak najdalej od zakusów króla Filipa. Wiedzieli, że mogą ich ścigać królewscy posłańcy. Filip miał wszędzie swoich szpiegów i ktoś na pewno zauważył, że niewielki konny oddział wyjechał z twierdzy Villeneuve du Temple.

Jakub de Molay prosił ich, by nie zakładali szat ani zbroi templariuszy. Lepiej nie wzbudzać niczyjego zainteresowania.

Beltran de Santillana z radością rozpoznawał krajobrazy tak dawno niewidzianej ojczyzny i z lubością rozmawiał w języku kastylijskim z wieśniakami i z braćmi, którzy przyjmowali go w szkołach i siedzibach templariuszy.

Po trzydziestu dniach w siodle dotarli w pobliże wioski estremadurskiej Jerez, zwanej też osadą rycerską, gdyż mieściła I się tu wielka posiadłość rycerzy świątyni. Beltran de Santillana oznajmił swym towarzyszom, że zatrzymają się na kilkudniowy odpoczynek.

Teraz, w Kastylii, zatęsknił za przeszłością, za czasami, gdy nie wiedział, co przyniesie mu los i marzył tylko o tym, by zostać rycerzem, który wyzwoli Grób Pański i zwróci go chrześcijanom.

To ojciec zachęcił go, by wstąpił do zakonu i stał się wojownikiem Pana. Początki były trudne. Lubił ćwiczenia z mieczem i łukiem, lecz zachowanie czystości nie było łatwe dla kogoś z takim temperamentem. Nastąpiły twarde lata pokuty i poświęcenia, zanim nauczył się panować nad swym ciałem, podporządkował je duszy i stał się godnym, by szerzyć słowo Pana.

Skończył już pięćdziesiąt lat, widział u siebie pierwsze oznaki starości, lecz w czasie tej podróży po rozległej Kastylii znów poczuł się młody.

Na horyzoncie wznosił się zamek. Żyzna dolina dostarczała dość żywności, by wykarmić mieszkańców warowni, a obfite w wody strumienie nie dały im zaznać pragnienia.

Wieśniacy pracujący w polu z daleka dostrzegli jeźdźców i pomachali im przyjaźnie na powitanie. Templariusze cieszyli się opinią zacnych rycerzy. Na ich spotkanie wyszedł młody giermek, zajął się ich rumakami i wskazał ścieżkę wiodącą do zamkowej bramy.

Beltran de Santillana opowiedział przeorowi o tym, co dzieje się we Francji, i wręczył mu dokument zapieczętowany przez Jakuba de Molaya.

Przez wszystkie te dni de Santillana z przyjemnością rozmawiał z templariuszem urodzonym tak jak on w górzystej Kantabrii. Wspominali imiona wspólnych przyjaciół, żartowali ze służących w pałacu, w którym się urodzili, pamiętali nawet, jak wołali na krowy, które pasły się na łąkach, dumnie i obojętnie na pokrzykiwania dzieci.

Rozstawali się z radością w duszy. Beltran de Santillana nie wspominał o misji, jaką mu powierzono. Nikt go zresztą nie pytał, ani przeor, ani tym bardziej bracia templariusze, bo i oni o niczym nie wiedzieli.

* * *

Przez Gwadianę przeprawili się w małej osadzie z chatami o białych, rozgrzanych słońcem ścianach. Przewoźnik, właściciel tratwy, którą dzień w dzień przewoził z brzegu na brzeg ludzi i ich dobytek, powiedział im, jak dotrzeć do Castro Marim.

Jose Sa Beiro, mistrz Castro Marim, był uczonym mężem, który studiował medycynę, astronomię, matematykę, i dzięki znajomości arabskiego czytał klasyków, gdyż to Arabowie odkryli, przetłumaczyli i przechowali dla potomności pisma Arystotelesa, Talesa z Miletu, Archimedesesa i wielu innych starożytnych mędrców.

Walczył w Ziemi Świętej, poznał szorstkość jej jałowego krajobrazu, a jednak z tęsknotą wspominał noce oświetlone tysiącem gwiazd, które w Oriencie zdawały się wisieć tak nisko, że chciało się zbierać je z nieba pełnymi garściami.

Z baszty w murze okalającym zamek widać było dalekie migotanie morskich fal.

Warownia, przyczajona w zakolu Gwadiany, była trudna do zdobycia.

Przeor przyjął ich serdecznie, kazał odpocząć i zmyć kurz drogi. Nie chciał z nimi rozmawiać, dopóki nie najedzą się, nie napiją i nie rozgoszczą w skromnych izbach, jakie im przydzielili.

Po krótkim odpoczynku Beltran de Santillana udał się na rozmowę z przeorem. Do gabinetu przez wielkie otwarte okno wpadał powiew znad rzeki.

Kiedy rycerz skończył swą opowieść, przeor poprosił, by pokazał mu relikwię. Kastylijczyk rozłożył płótno i obydwaj poczuli głębokie wzruszenie. Nie do uwierzenia, jak starannie odbił się każdy szczegół sylwetki Chrystusa. Były tam ślady męki i niewysłowionego cierpienia.

Jose Sa Beiro delikatnie gładził tkaninę, zdawał sobie bowiem sprawę, jaki przywilej go spotkał. Oto prawdziwe oblicze Pana, tak dobrze znane templariuszom, odkąd wielki mistrz de Vichiers posłał do wszystkich domów zakonnych obrazy sporządzone według wizerunku odbitego na płótnie.

Mistrz przeczytał list od Jakuba de Molay i zwracając się do Beltrana de Santillany, powiedział:

- Rycerzu, będziemy chronili tę relikwię. Wielki mistrz zaleca mi, by nie mówić nikomu, że znalazła się ona w naszym zamku. Musimy poczekać na wieści z Francji i postanowienia soboru - nie pozostaną one bez wpływu na losy zgromadzenia.

Jakub de Molay zaleca, bym natychmiast posłał naszego człowieka do Paryża. Musi jechać w przebraniu, nie wolno mu się zbliżać do żadnej z naszych siedzib ani starać o spotkanie z żadnym z braci, ma mieć oczy i uszy szeroko otwarte, a kiedy dowie się, jaki los czeka templariuszy, ma natychmiast zawrócić do domu. Wtedy przyjdzie czas, by zdecydować, czy całun pozostanie w Castro Marim, czy też lepiej przenieść go gdzie indziej, w bezpieczniejsze miejsce. Poszukam rycerza, który najlepiej wywiąże się z zadania.

* *

Miasto Troyes zostało daleko w tyle. Już niewiele godzin dzieliło Gotfryda de Charneya i jego

sługę od włości Lirey.

Odkąd wyruszył, nie opuszczało go wrażenie, że jest śledzony.

Płótno włożył do starej zniszczonej sakwy podróżnej.

Chłopi zbierali narzędzia z pól, gdyż dzień miał się ku końcowi. Templariusz czuł, że wzruszenie ściska mu gardło, gdy ujrzał kraj dzieciństwa. Nie mógł się doczekać, kiedy ujrzy Paula, swego starszego brata.

Paul powitał go serdecznie, zapewniając, że może się czuć jak u siebie w domu. Ojciec, teraz bliższy grobu niż życia, zawsze szanował zakon i kiedy tylko mógł, wspierał templariuszy.

Rodzina była dumna, że aż dwaj członkowie rodu, Francois i Gotfryd, wstąpili w szeregi zakonu.

Przez kilka dni Gotfryd cieszył się spokojem i towarzystwem bliskich. Z radością bawił się z bratankiem, który miał na imię tak samo jak on i który pewnego dnia zostanie dziedzicem rodowych włości. Był to dzielny i rozgarnięty chłopiec. Biegał wszędzie za swym wujem, nie odstępując go na krok.

- Jak urosnę, zostanę templariuszem - mówił. - Proszę cię, wuju, naucz mnie walczyć. Chcę się bić jak prawdziwy rycerz.

W takich chwilach Gotfryd czuł ucisk w żołądku, wiedział bowiem, że przed zakonem nie ma już przyszłości. Ten brzdąc nie dowie się, co to za zaszczyt być templariuszem.

W dzień rozstania mały Gotfryd z płaczem żegnał wuja. Nie rozumiał, dlaczego ten nie chce zabrać go ze sobą do Ziemi Świętej. Biedny chłopiec nie wiedział, że wuj stoi w obliczu wojny z wrogiem, który za nic ma szlachetną walkę i rycerski honor. Wróg ten jednak to nie żaden innowierca, lecz Filip, król Francji.

* * *

Wielki mistrz modlił się w swej komnacie, gdy służący powiadomił go o przybyciu de Charneya. Przeżegnał się szybko i wybiegł mu na spotkanie.

Jakub de Molay podzielił się z przyjacielem nowinami. Król oskarża templariuszy o pogaństwo i sodomie, już wkrótce wszystkich uwięzi, muszą więc być przygotowani na najgorsze: tortury i obelgi, a potem śmierć w męczarniach. Zarzuca się im, że czczą szatana i składają ofiary bożkowi zwanemu Bafomet. Istnieje bowiem figura, przed którą modlą się templariusze jak świat długi i szeroki, a której tajemnica przeniknęła przez mury zakonu. Może w jakimś kraju niewierny służący, przekupiony paroma talarami, podzielił się z wrogiem opowieściami o zakonnym życiu i o tym, że

rycerze zwykli zamykać się w kaplicy, gdzie nikt obcy nie ma wstępu, a gdzie na ścianie wisi obraz przedstawiający dziwną postać.

Twierdza w Villeneuve du Temple przestała być miejscem świętym i nie do zdobycia. Żołnierze króla skonfiskowali wszystko, co znaleźli. Filip był wściekły, że nie znalazł nawet śladu skarbu templariuszy. Nie wie, że już wiele miesięcy temu Jakub de Molay rozdzielił złoto między domy zakonne, że większość skarbu znajduje się w Szkocji, dokąd kazał wywieźć również tajne dokumenty zakonu. W Villeneuve nie zostało prawie nic, i to jeszcze bardziej podsycało wzburzenie króla.

Wysłannik króla przybył do fortecy, domagając się widzenia z wielkim mistrzem. Jakub de Molay przyjął go spokojny i opanowany.

- Przybywam w imieniu króla.
- Domyślam się, dlatego was przyjmuję.

Wielki mistrz nie usiadł i nie zaproponował tego księciu Szampanii. Ten, zakłopotany, posłał mu gniewne spojrzenie.

Godność, jaka emanowała z postawy wielkiego mistrza, onieśmielała go.

- Jego wysokość chce wam zaproponować układ: daruje wam życie w zamian za płótno, w które było owinięte ciało Jezusa. Król jest przekonany, że relikwia znajduje się w rękach templariuszy, tak utrzymywał święty król Ludwik. W archiwum królewskim są na to dokumenty, relacje naszego ambasadora w Konstantynopolu i listy króla Baldwina do jego wuja, króla Francji. Są też zapiski naszych szpiegów na dworze cesarza.

Wiemy, że całun Chrystusa jest w zakonie. Ukrywacie go.

Jakub de Molay wysłuchał w milczeniu przemowy księcia Szampanii. W duchu dziękował Bogu, iż podszeptał mu, by ratował całun, który teraz bezpiecznie spoczywa w Castro Marim, pilnowany przez zanego Jose Sa Beiro.

- Wielmożny książę - odpowiedział sucho mistrz - zapewniam cię, że nie mam relikwii, o której mówisz, możesz być jednak pewny, że nawet gdybym ją miał, nie zgodziłbym się na nic jej wymienić. Król nie powinien sądzić, że wszyscy ludzie kierują się takimi jak on pobudkami.

- Panie de Molay, król wykazuje się wspaniałomyślnością, darując ci życie - wycodził książę.
- Zwłaszcza że masz coś, co należy do Korony, do Francji i całego chrześcijańskiego świata.

- Dlaczego ta relikwia miałaby należeć do króla Filipa?

Książę Szampanii z trudem nad sobą panował.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że święty król Ludwik wysłał znaczne ilości złota swemu siostrzeńcowi, cesarzowi Baldwinowi, ten zaś sprzedał mu inne relikwie. Nie muszę też dodawać, że hrabia Dijon przebywał na dworze Baldwina, pertraktując w sprawie sprzedaży mandylionu, i że cesarz zgodził się na tę transakcję.

- Nie jest moją sprawą handel ani układy między królami.

Moje życie należy do Boga. Powiedz królowi, że nie mam relikwii, a nawet gdybym ją miał, na nic bym jej nie zamienił.

Nigdy bym się czymś takim nie zhańbił.

* * *

Wkrótce po tej rozmowie Jakub de Molay, Gotfryd de Charney i reszta templariuszy, którzy jeszcze pozostawali w Villeneuve du Temple, została pojmana i zamknięta w pałacowych kazamatach.

Filip, król Francji, zwany Filipem Pięknym, rozkazał katom, by bez litości torturowali rycerzy, zwłaszcza wielkiego mistrza, aż wyduszą z niego, gdzie ukrywa świętą relikwię z wyobrażeniem Chrystusa.

Jęki bólu odbijały się echem od grubych murów więzienia.

Templariusze stracili rachubę czasu, niektórzy przyznali się do zbrodni, których nie popełnili, z nadzieją, że kat przestanie rozciągać im kończyny, przypalać stopy żelazem i zdierać z nich skórę. Na nic jednak nie zdały się te wyznania, kaci nadal pastwili się nad nimi bez litości.

Co parę dni do podziemi schodził mężczyzna z osłoniętą twarzą i stojąc w kącie, przypatrywał się z lubością cierpieniom rycerzy. Był to król Filip, chory z chciwości i okrucieństwa.

Znajdował przyjemność w patrzeniu na ludzką mękę.

Pewnego popołudnia człowiek z zasłoniętą twarzą rozkazał, by przyprowadzono przed jego oblicze Jakuba de Molay.

Wielki mistrz ledwie widział, lecz domyślił się, czyja twarz kryje się pod chustą. Stał wyprostowany, a nawet uśmiechnął się lekko, gdy król zaczął nalegać, by zdradził, gdzie przechowuje relikwię.

Wreszcie Filip zrozumiał, że tortury na nic się nie zdadzą.

Ten człowiek umrze, a niczego nie powie. Trzeba więc publicznie napiętnować tych heretyków

i ogłosić, że zakon templariuszy przestał istnieć.

Osiemnastego marca roku pańskiego tysiąc trzysta czternastego został podpisany wyrok śmierci na wielkiego mistrza zakonu templariuszy oraz rycerzy, którzy przeżyli tortury.

Dziewiętnastego marca wzniesiono wielki stos, na którym miał spłonąć dumny Jakub de Molay. To widowisko obiecał uświetnić swoją obecnością sam król.

Gapie zaczęli gromadzić się na placu wraz z brzaskiem, by mieć jak najlepszy widok. Lud zawsze chętnie patrzył na upokorzenie możnych i potężnych, a takim właśnie wydawał się być zakon templariuszy, nawet jeśli bracia czynili więcej dobra niż zła.

Wszyscy dworzanie zajęli już swoje miejsca, król zaczął flirtować z damami.

Jakub de Molay i Gotfryd de Charney zostali przywiezieni na miejsce kaźni na jednym wozie.

Gdy ogień zaczął obejmować ich okaleczone ciała, Jakub de Molay popatrzył dumnie na króla. Lud Paryża, wraz ze swym władcą, usłyszał słowa wielkiego mistrza. Templariusz wyznał, że jest niewinny, a osąd czynów króla Francji i papieża Klemensa pozostawia Bogu.

Dreszcz przebiegł po plecach Filipa zwanego Pięknym.

Skulił się ze strachu, musiał sobie przypomnieć, że jest królem i że nic mu nie zagraża. Postąpił przecież zgodnie z wolą papieża i najwyższych władz kościelnych.

Nie, to niemożliwe, by Bóg stał po stronie templariuszy, tych heretyków, którzy adorują bałwana zwanego Bafometem, których obciąża grzech sodomii. To zdrajcy, mający układy z Saracenami. On, Filip, wypełnia nakazy Kościoła, bo jest gorliwym chrześcijaninem.

On, Filip, król Francji, jest gorliwym chrześcijaninem, lecz czy przestrzega boskiego prawa?

* * *

- Skończyła pani?

- Uf, ale się przestraszyłam! Właśnie czytałam o egzekucji Jakuba de Molay. Włosy się jeżą na głowie. Chciałam zapytać, na czym niby polega ta boska sprawiedliwość?

Profesor McFadden posłał jej znudzone spojrzenie. Ana Jimenez od dwóch dni szperała w archiwach i zadawała mu mnóstwo pytań, które zupełnie nie przystawały do jego akademickiego autorytetu.

Była inteligentna, lecz brakowało jej podstawowej wiedzy, musiał więc udzielić jej paru lekcji

historii. Dziewczyna niewiele wiedziała o krucjatach i rozdzieranym wojnami średniowiecznym świecie. Nie uszło jednak jego uwagi, że wiedza akademicka dziennikarki jest odwrotnie proporcjonalna do jej niebywałej intuicji. Szukała i wiedziała, gdzie szukać, by znaleźć. Tu słowo, tam zdanie, tu wydarzenie, i już dysponowała gotowymi wskazówkami do dalszych poszukiwań.

Starął się być ostrożny, odciągał jej uwagę od wydarzeń, które w dziennikarskich rękach mogłyby zamienić się w bombę.

Założył okulary, by wytłumaczyć jej, na czym polega osąd boski. Ana Jimenez patrzyła na niego zdumiona i nie mogła powstrzymać dreszczu przejęcia, gdy profesor recytował dramatycznym tonem słowa Jakuba de Molay.

- Papież Klemens zmarł po czterdziestu dniach, Filip Piękny zaś po ośmiu miesiącach. Obaj mieli straszliwą śmierć, już pani o tym opowiadałem. Bóg okazał się sprawiedliwy.

- Cieszę się ze względu na Jakuba de Molay.

- Słucham?

- Ten wielki mistrz przypadł mi do gustu. Wydaje się, że był z niego mądry i sprawiedliwy człowiek, Filip Piękny zaś to tylko opętany podlec. Miło mi więc słyszeć, że w tym przypadku Bóg zechciał być sprawiedliwy. Szkoda, że nie zawsze tak się dzieje - westchnęła. - Tylko czy za tą sprawiedliwą śmiercią nie kryje się zemsta templariuszy?

- Ależ nie!

- A skąd pan to wie?

- Wiele dokumentów dokładnie opisuje okoliczności zgonu króla Filipa oraz papieża i zapewniam panią, że nie znajdzie pani ani jednego źródła, które sugerowałoby, że templariusze mieli z tym coś wspólnego. Zresztą, to nie byłoby zgodne z rycerskim kodeksem. Powinna to pani wiedzieć po przeczytaniu tego wszystkiego.

- Cóż, ja bym tak właśnie postąpiła.

- To znaczy jak?

- Zebrałabym w tajemnicy grono rycerzy i dokonała zamachu na papieża i Filipa Pięknego.

- Rycerze zakonu nigdy by tak nie postąpili.

- Proszę mi jeszcze powiedzieć, jakiego skarbu szukał król? Z dokumentów wynika, że już wcześniej zdążył praktycznie ogołocić skarbiec templariuszy, bo ciągle pożyczzał od nich pieniądze. A jednak Filip nalegał, by Jakub de Molay oddał mu skarb. Co to za skarb? Musiało to być coś konkretnego, o dużej wartości.

- Filip Piękny sądził, że templariusze mają więcej złota. Miał obsesję na tym punkcie, twierdził, że Jakub de Molay go oszukuje i ukrywa gdzieś góry cennego kruszcu.
- Nie, nie wydaje mi się, by szukał złota.
- Ach tak? To ciekawe. A czego, pani zdaniem, szukał?
- Jak powiedziałam, czegoś konkretnego, jakiegoś przedmiotu o dużej wartości dla zakonu i króla Francji, a najprawdopodobniej również dla chrześcijaństwa.
- No cóż, więc proszę powiedzieć, o cóż takiego chodzi, bo zapewniam, że po raz pierwszy słyszę podobną... podobną...
- Gdyby nie dobre maniery, powiedziałby pan: „podobną bzdurę”. Być może słusznie, jest pan uczonym, ja dziennikarką, pan trzyma się faktów, ja spekuluję.
- Historii, moja pani, nie pisze się na podstawie spekulacji, tylko wydarzeń potwierdzonych przez liczne źródła.
- Z dokumentów wynika, że kilka miesięcy przed uwięzieniem wielki mistrz wyprawił posłańców do licznych domów zakonnych, jednak oni nigdy nie wrócili. Czy zachowały się kopie listów, jakie wieźli?
- Kilka tak. Są to kopie, które zostały przebadane i uznane za autentyczne. Inne zaginęły.
- Czy mogę zobaczyć te, które przetrwały?
- Postaram się sprawić pani tę przyjemność.
- Byłoby cudownie, gdybym mogła je zobaczyć już jutro, bo wieczorem wyjeżdżam.
- Ach tak?
- Widzę, że odetchnął pan z ulgą.
- Ależ proszę pani...
- Wiem, że jestem natrętna i przeszkadzam panu w pracy...
- Postaram się przygotować na jutro dokumenty. Wraca pani do Hiszpanii?
- Nie, jadę do Paryża.
- Rozumiem... Proszę przyjść jutro rano.

Ana Jimenez miała ochotę porozmawiać z Anthonyem McGillem, ale ten przepadł jak kamień w wodę.

Była zmęczona. Cały dzień spędziła, ślęcząc nad dokumentami z ostatnich miesięcy istnienia zakonu templariuszy. Daty, suche fakty, anonimowe relacje, od tego wszystkiego pękała jej głowa.

Na szczęście była obdarzona ogromną wyobraźnią (co zawsze wyrzucał jej brat), kiedy więc po raz kolejny czytała:

Wielki mistrz Jakub de Molay wysłał list do posiadłości w Moguncji. Zawiózł go rycerz de Larney, który wyruszył rano, piętnastego lipca, w towarzystwie dwóch giermków, starała się wyobrazić sobie twarz de Larneya, czy jechał na białym, czy na czarnym koniu, czy dokuczał mu upał albo czy giermkowie byli w złym humorze. Wiedziała jednak, że jej wyobraźnia nie ogarnie rzeczywistości, w jakiej żyli ci mężczyźni, a przede wszystkim nie uda jej się odgadnąć, co zawarł Jakub de Molay w listach do przeorów zakonów.

Istniał dokładny spis wszystkich rycerzy, którzy wyruszyli z listami, były też wzmianki, że niektórzy z nich wrócili, jak chociażby Gotfryd de Charney, wizytariusz Normandii. Po innych słuch zaginął, a przynajmniej kroniki nie odnotowały ich powrotu.

Nazajutrz wybierała się do Paryża. Miała umówione spotkanie z profesorem historii na Sorbonie. Po raz kolejny musiała uruchomić znajomości, by dotrzeć do osoby, która była największym autorytetem w dziedzinie historii XIV wieku.

Wszystko wskazywało na to, że chodzi właśnie o panią profesor Elianne Marchais, sześćdziesięcioletnią damę, autorkę książek, które czytali tylko naukowcy dorównujący jej erudycją.

Ana wróciła do hotelu. Choć Dorchester stanowczo nie był na jej kieszeń, pozwoliła sobie na ten luksus. Spała tu niczym prawdziwa księżniczka. Poza tym, stwierdziła, w dobrym hotelu można czuć się bezpiecznie. Od jakiegoś czasu nie opuszczało jej wrażenie, że jest obserwowana. Starła się być rozsądna i przekonywała samą siebie, że tak jej się tylko wydaje. Po co ktoś miałby ją śledzić? Jeśli już, to ludzie z policji, żeby upewnić się, czy nie łamie danego słowa.

Poprosiła, by przyniesiono jej do pokoju kanapkę i sałatkę.

Chciała jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

Ci z policji mogą myśleć, co im się podoba, ona jednak była przekonana, że to templariusze kupili święty całun od nieszczęsnego Baldwina. Nie pasowało tylko jedno: w jaki sposób to płótno znalazło się później w Lirey, małym francuskim miasteczku? Jak tam trafiło?

Ana miała nadzieję usłyszeć od profesor Marchais to, czego nie zdołała wyciągnąć od pocziwego profesora McFaddena.

Musiał coś przed nią zataić, bo za każdym razem, gdy pytała go, czy templariusze mieli całun, ten irytował się i upominał ją, by trzymała się faktów. Nie istniał żaden dokument potwierdzający tę szaloną teorię. Zresztą templariuszom zawsze przypisywano niestworzone rzeczy. Jako historyk był tym oburzony.

Tak więc profesor McFadden zaprzeczał, jakoby templariusze kiedykolwiek weszli w posiadanie całunu. Co więcej, zapewniał, że relikwia ani trochę go nie interesuje, zwłaszcza że, jak wykazały badania, płótno pochodzi z XII lub XIV wieku, nie zaś z I, a jego nie interesują przesady i bajki. Fakty, należy mówić tylko o faktach.

Postanowiła zadzwonić do Sofii. Uwielbiała z nią rozmawiać, a poza tym liczyła, że Sofia udzieli jej wskazówek, jak rozmawiać z profesor Marchais. Sofia jednak nie odbierała telefonu. Ana zajęła się przeglądaniem terminarza i nagle doznała olśnienia: jest! Jak mogła tego nie zauważyć? Może to szaleństwo, ale... a jeśli okaże się, że ma rację? A jeśli te wydarzenia mają korzenie w przeszłości?

Nie spała dobrze. Jak co noc śniły jej się koszmary. Czowała, że jakaś dziwna siła ciągnie ją ku okrutnym scenom z przeszłości. Widziała Jakuba de Molaya i Gotfryda de Charneya, płonących na stosie wraz z innymi rycerzami. Była tam, siedziała w pierwszym rzędzie, przypatrując się, jak pochłaniają ich płomienie. Czowała na sobie czyste spojrzenie wielkiego mistrza, mówiące: Odejdź, przestań szukać, albo dosięgnie cię boża sprawiedliwość.

Znów obudziła się mokra od potu, dygocząc z przerażenia.

Wielki mistrz nie chciał, by nadal prowadziła śledztwo. Umrze, jeśli nie przerwie poszukiwań, była tego pewna.

Przez resztę nocy nie mogła zasnąć. Była tam, dziewiętnastego marca tysiąc trzysta czternastego roku, w przedsionku katedry Notre Dame. Siedziała naprzeciwko stosu, na którym płonął Jakub de Molay, a ten prosił ją, by nie zajmowała się dłużej całunem.

Jej los, powiedziała sobie, jest przesądzony, nie cofnie się, choć bardzo boi się Jakuba de Molaya. Nie może się już wycofać.

* * *

Pasterz Bakkalbasi podróżował razem z Ismetem, siostrzeńcem Francesca Turguta, kościelnego w katedrze. Lecieli ze Stambułu do Turynu. Pozostali członkowie wspólnoty mieli dotrzeć inną drogą, przez Niemcy, z innych części Włoch i z samej Urfy.

Bakkalbasi wiedział, że Addai też się pojawi. Nikt nie wiedział, gdzie jest, ale kontrolował każdy ich ruch, kierując operacją przez telefony komórkowe. Każdy z nich miał ich kilka, lecz Addai ze względów bezpieczeństwa nie pozwalał zbyt często z nich korzystać i zalecał, by, jeśli to tylko możliwe, dzwonili z budek telefonicznych.

Mendibh musi umrzeć, Turgut zaś ma się uspokoić i zacząć zachowywać racjonalnie, w przeciwnym razie on również zginie.

Policja węszyła w Urfie, wypytywała sąsiadów. To znak, że wiedzą więcej, niż powinni.

Kuzyn Bakkalbasiego pracował na komendzie policji w Urfie. Był lojalnym członkiem wspólnoty, więc doniósł im o nagłym zainteresowaniu Interpolu ludźmi, którzy wyemigrowali z Urfy do Włoch. Nie zdradzili, czego szukają, poprosili jednak o kartoteki wielu rodzin. A każda z tych rodzin należała do wspólnoty.

Addai wyznaczył swojego następcę, na wszelki wypadek, gdyby przytrafiło mu się coś złego. W ramach ich wspólnoty istniała inna wspólnota, działająca w konspiracji. To oni przejmą prowadzenie walki, gdy wszystko się wyda. A że tak się stanie, Bakkalbasi był pewny.

Nie wahał się, czy powinien towarzyszyć Ismetowi do domu Turguta. Kiedy kościelny im otworzył, krzyknął ze strachu.

- Milcz, człowieku, dlaczego tak krzyczysz? Chcesz zaalarmować całą kurię? - syknął Bakkalbasi.

Weszli do mieszkania. Turgut, już spokojniejszy, przekazał im najnowsze wieści. Wiedział, że policja depcze mu po piętach, spodziewał się tego od dnia, w którym wybuchł pożar.

A ten ksiądz Yves patrzy na niego w taki sposób... Owszem, jest miły, ale coś w jego wzroku ostrzega, by Turgut miał się na baczności, inaczej umrze, tak, czuje to...

Wypili kawę, pasterz polecił Ismetowi, by nie odstępował wuja na krok. Ten zaś powinien przedstawić go w biskupstwie i oznajmić, że siostrzeniec z nim zamieszka. Pouczył też Turguta, by pokazał Ismetowi ukryte wejście do podziemi, bo może się zdarzyć, że niektórzy przybysze z Urfy będą musieli skorzystać z kryjówek i trzeba im będzie dostarczać wodę i prowiant.

Potem pasterz zostawił ich samych. Miał w planie jeszcze wiele spotkań z innymi członkami wspólnoty, rozszanymi po całym mieście.

* * *

- Co teraz? - zapytał Pietro. - Być może powinniśmy za nim pójść.

- Nie wiemy, kim jest - odparł Giuseppe.

- To Turek, widać z daleka.

- Jeśli chcesz, mogę go śledzić.

- Sam nie wiem... Dobra, chodźmy do kościelnego, zapytamy go jak gdyby nigdy nic, kim był jego gość.

Ismet otworzył drzwi, sądząc, że to pasterz Bakkalbasi zapomniał czegoś zabrać i postanowił wrócić. Zmarszczył brwi na widok dwóch rostrych mężczyzn. Policja, przemknęło mu przez myśl. Gliny zawsze wyglądają jak gliny.

- Dzień dobry, chcielibyśmy porozmawiać z Francesco Turgutem.

Chłopak pokazał na migi, że nie rozumie i po turecku zawołał wuja. Ten stanął w drzwiach, nie mogąc opanować drżenia ust.

- Dzień dobry, panie Turgut. Widzi pan, jeszcze nie zamknęliśmy tego śledztwa w sprawie pożaru. Chcielibyśmy zapytać, czy przypomniał pan sobie może jakieś szczegóły, coś, co zwróciło pana uwagę.

Do Turguta nie docierały słowa Giuseppego. Z całej siły powstrzymywał się, by nie wybuchnąć płaczem.

Ismet podszedł do wuja i obejmując go ramieniem, wydukał trochę po włosku, trochę po angielsku:

- Mój wuj jest starszym człowiekiem, bardzo przeżył ten pożar. Obawia się, że ze względu na jego wiek ktoś w katedrze uzna, że nie nadaje się już do pracy i zostanie zwolniony, bo nie zauważył w porę niczego podejrzanego. Nie mogliby go panowie zostawić w spokoju? Chyba już zeznawał w tej sprawie.

- A pan kim jest? - zapytał Pietro.

- Nazywam się Ismet Turgut, jestem jego bratankiem.

Dopiero dzisiaj przyjechałem. Chciałbym zostać w Turynie, rozejrzeć się za jakąś pracą.

- Skąd pan pochodzi?

- Z Urfy.

- A tam nie ma pracy? - wtrącił się Giuseppe.

- Owszem, na polach naftowych. Wolałbym nauczyć się jakiegoś dobrego fachu, wrócić do

Urfy i założyć własną firmę.

Mam narzeczoną.

Wyglądał na spokojnego chłopaka. Być może mówił prawdę.

- W porządku, rozumiem. A czy pański wuj zna innych ludzi, którzy przyjechali tu z Urfy? - dopytywał się Giuseppe.

Turgut zadrżał. Teraz zyskał pewność, że policja wie o wszystkim. Ismet postanowił ratować sytuację.

- Oczywiście, utrzymuje kontakty z sąsiadami, ja też mam nadzieję, że odnajdę tu znajomych z kraju. Wuj jest w połowie Włochem, ale my, Turcy, nie zapominamy o naszych korzeniach, prawda wuju?

Pietro wyczuł, że chłopak stara się nie dopuścić starego do głosu.

- Panie Turgut, zna pan rodzinę Baherai? - zapytał.

- Baherai! - wykrzyknął Ismet, jak gdyby usłyszał jakąś radosną nowinę. - Chodziłem do szkoły z jednym Baherai, zdaje się, że mają tu jakichś krewnych...

- Wolałbym, żeby to pański wuj mi odpowiedział - nalegał Pietro.

Francesco Turgut przełknął ślinę i szykował się do wygłoszenia wielokrotnie przećwiczonej kwestii.

- Oczywiście, że ich znam, to poważana rodzina, dotknięta ogromnym nieszczęściem. Ich synowie... cóż, popełnili błąd, teraz ponoszą zasłużoną karę, ale zapewniam pana, to zacna rodzina, może pan pytać kogo chce, wszyscy za nich poręczą.

- Odwiedzał pan ostatnio młodych Baherai?

- Nie, ostatnio nie czuję się najlepiej, prawie nie wychodzę z domu.

- Przepraszam - wtrącił się Ismet z niewinną miną - co takiego zrobili ci Baherai?

- A dlaczego sądzi pan, że zrobili coś złego? - przerwał Giuseppe.

- Bo skoro pyta o nich policja, to znaczy, że musieli coś przeskrobać.

Chłopak uśmiechnął się swobodnie, a policjanci patrzyli na niego, niepewni, czy mają do czynienia z bezczelnym kłamcą, czy chłopak jest tak naiwny, na jakiego wygląda.

- Wróćmy do dnia pożaru - nalegał Giuseppe.

- Powiedziałem wam już wszystko, co pamiętam. Gdybym przypomniał sobie coś więcej, skontaktowałbym się z wami - poskarżył się żałośnie staruszek.

- Dopiero przyjechałem - wyjaśnił Ismet - nawet nie zdążyłem zapytać wuja, gdzie będę spał, nie mogliby panowie wrócić za jakiś czas?

Pietro dał znak Giuseppemu. Pożegnali się i wyszli.

- Co sądzisz o bratanku kościelnego? - zapytał Pietro, kiedy znaleźli się na ulicy.

- Sam nie wiem, wygląda na spokojnego chłopaka - mruknął Giuseppe zamyślony.

- Prawdopodobnie przysłali go, żeby miał oko na wuja.

- Czy ja wiem? Nie dajmy się wciągnąć w to polowanie na czarownice. Co do jednego się z tobą zgadzam, Sofia i Valoni coś sobie wymyślili, choć przyznaję, że Marco ma nosa. Ale w tym przypadku to już obsesja.,;

- Wczoraj, kiedy wyraziłem takie samo zdanie, nie poparłeś mnie - przypomniał kwaśno Pietro.

- Po co się kłócić? Wypełniamy rozkazy. Jeśli okaże się, że mają rację, bardzo dobrze, jest sprawa. Jeśli nie, przynajmniej staraliśmy się jakoś wytłumaczyć te podejrzane pożary.

- Podziwiam twój stoicyzm. Jakbym rozmawiał z Anglikiem, a nie z Włochem.

- Za bardzo bierzesz sobie to wszystko do serca, a ostatnio w dodatku zebrało ci się na dyskusje.

- Mam wrażenie, że nasz zespół się rozpada, że już nie jesteśmy tak zgrani jak dawniej - westchnął Pietro.

- Owszem, co do tego nie mam złudzeń, ale jeszcze wrócimy do poprzedniej formy. Ale to również wina twoja i Sofii. Gdy jesteście razem, wszyscy są spięci, można odnieść wrażenie, że nic wam nie sprawia takiej przyjemności jak robienie sobie na przekór. Jak ona „a”, to ty „b”. Szef ma rację, kto miesza pracę z łóżkiem, popełnia błąd.

- Nie prosiłem cię o taką szczerość.

- Racja, ale już od dawna chciałem ci to powiedzieć.

- Zgoda, to nasza wina, moja i Sofii, ale co ja na to poradzę?

- Nic. Podejrzewam, że wam przejdzie, w każdym razie ona wkrótce zmieni pracę. Kiedy uporamy się z tą sprawą, pójdzie w swoją stronę, zaczyna się tu dusić. Za dużo jest warta, żeby się uganiać za złodziejami.

- To nadzwyczajna kobieta - przyznał Pietro.

- Dziwne, że chciała się z tobą zadawać.

- Jesteś przemiły, dołóż mi jeszcze.

- No cóż, trzeba pogodzić się z tym, czym się jest. Zresztą to dotyczy nas obydwu - jesteśmy tylko gliniarzami. Brak nam klasy i wykształcenia. Daleko nam do niej i do Valoniego. Szefunio pobierał nauki, to widać. Ale ja jestem zadowolony z siebie, uważam, że zaszedłem całkiem daleko. W końcu praca w wydziale do spraw sztuki to przyjemna fucha, w dodatku prestiżowa.

- Od twojej szczerości zaczyna mnie mdlić.

- W porządku, już się zamykam. Myślałem tylko, że możemy porozmawiać szczerze, jak kumple, nie bać się prawdy.

- Już podzieliłeś się ze mną prawdą, teraz zostaw mnie w spokoju. Pójdziemy do centrali i poprosimy Interpol, żeby ściągnęli nam z Turcji jakieś informacje o bratanku Turguta. Przedtem jednak musimy porozmawiać z tym księdzem Yvesem.

- Po co? On nie pochodzi z Urfy. - Giuseppe wzruszył ramionami.

- Bardzo zabawne.

- Teraz postanowiłeś przeświecić wszystkich księży?

- Nie bądź głupi. Musimy z nim pogadać.

Ojciec Yves przyjął ich od razu. Pisał właśnie przemówienie dla kardynała na jutrzejsze spotkanie z przeorami zamkniętych zakonów. Rutyna, jak sam stwierdził.

Zapytał ich o postępy w śledztwie, bardziej z uprzejmości niż z zainteresowania, i zapewnił, że po zainstalowaniu nowych zabezpieczeń przeciwpożarowych wydaje się mało prawdopodobne, by wybuchł kolejny pożar.

Gawędzili około kwadransa, ale nie dowiedzieli się niczego ciekawego. Pożegnali się więc grzecznie i poszli.

* * *

Rycerz Joao de Tomar spał konia. W oddali lśniła już Gwadiana i rysowały się baszty twierdzy Castro Marim. Galopował bez odpoczynku od samego Paryża, gdzie był bezradnym świadkiem męczeństwa wielkiego mistrza.

W uszach pobrzmiwało mu jeszcze echo głębokiego głosu Jakuba de Molaya, oddającego Filipa Pięknego i papieża Klemensa pod osąd Boży.

Nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że Pan będzie sprawiedliwy i nie pozwoli, by zbrodnia, jakiej z papieską aprobatą dopuścił się król Francji, uszła mu bezkarnie.

Jakub de Molay stracił życie, lecz do końca zachował godność, albowiem nie było na świecie człowieka przewyższającego go męstwem.

Rycerz umówił się z przewoźnikiem co do zapłaty, a kiedy znalazł się na portugalskim brzegu, pospieszył w stronę posiadłości, która przez ostatnie trzy lata była mu domem, po powrocie z Egiptu i obronie Cypru.

Mistrz Jose Sa Beiro nie kazał rycerzowi czekać na audiencję, tylko przyjął go od razu, zapraszając, by usiadł i napił się wody. Sam usadowił się naprzeciwko, gotów wysłuchać wieści od rycerza, którego wysłał do Paryża na przesłuchania.

Przez dwie godziny Joao de Tomar opowiadał z przejęciem o ostatnich dniach zakonu rycerzy świątyni, kiedy to Jakub de Molay i ostatni templariusze spłonęli na oczach bezlitosnych, żądnych krwi mieszkańców Paryża.

Mistrz był głęboko poruszony, z trudem powstrzymywał łzy.

Filip Piękny skazał zakon na śmierć. Właśnie teraz jego wyrok, podpisany przez papieża, wykonywany jest jak Europa długa i szeroka. Rycerze mieli zostać oddani pod sąd w różnych krajach chrześcijańskich. W niektórych królestwach mogli liczyć na uniewinnienie, w niektórych zaś, zgodnie z papieskim rozporządzeniem, zostaną przyjęci do innych zgromadzeń.

Jose Sa Beiro wiedział, że król Portugalii, Dionizy, ma uczciwe zamiary, tylko czy potrafi sprzeciwić się rozkazom papieża? Powinien jednak dowiedzieć się o wszystkim. Pośle rycerza, by w jego imieniu pertraktował z królem.

- Wiem, że jesteś zmęczony podróżą, muszę cię jednak prosić, byś podjął się nowej misji. Udasz się do Lizbony z listem do króla. Opowiesz mu o tym, czego byłeś świadkiem, nie pominąwszy żadnego szczegółu. Potem czekaj na odpowiedź. Teraz odpocznij, a ja napiszę list do króla. Wyruszysz jutro.....

* * *

Lizbona ukazała mu się w całym swym pięknie, oświetlona blaskiem poranka. Joao de Tomar od wielu dni był w drodze, postanowił więc nieco odpocząć, zwłaszcza że jego koń zranił się w nogę.

Nie chciał wymieniać konia w gospodzie, wolał sam opatrzyć zwierzę i poczekać, aż rana się zagoi, nawet jeśli miałyby to sprawić, że nieco później dotrze do królewskiego pałacu.

Wierzchowiec był jego najwierniejszym przyjacielem, wyniósł go z niejednej bitwy, ratując mu życie. Kiedy koń wydobrzeał, rycerz nie osiodłał go, pozwalając mu biec swobodnie.

Dosiadł innego rumaka, którego dostał w gospodzie za złotą monetę.

Za czasów króla Dionizego Portugalia stała się zasobnym krajem. To on założył uniwersytet i przeprowadził reformy rolne, sprawiając, że po raz pierwszy w historii Portugalia mogła sprzedawać zboże, oliwę i wysmienite wino.

Król przyjął de Tomara po dwóch dniach od jego przyjazdu.

Rycerz po raz kolejny opowiedział o wydarzeniach, których był świadkiem w Paryżu. Wpierw jednak wręczył monarsze list od Josego Sa Beiro.

Król zapewnił, że nie będzie zwlekał z odpowiedzią, gdyż dotarły już do niego wieści o rozporządzeniu papieża.

Joao de Tomar wiedział, że król Dionizy jest w bardzo dobrych stosunkach z klerem, zaledwie parę lat temu podpisał konkordat. Czy odważy się przeciwstawić papieżowi?

Templariusz czekał trzy dni, aż został ponownie wezwany przed oblicze króla. Dionizy podjął mądrą decyzję: nie przeciwstawi się papieżowi ani nie będzie prześladował templariuszy.

Postanowił powołać nowy zakon, Zgromadzenie Rycerzy Chrystusa, do którego wstąpią wszyscy templariusze, przestrzegając reguły własnego zgromadzenia, tyle tylko, że nowe będzie podlegać królowi, nie papieżowi.

W ten sposób bogactwo templariuszy pozostanie w Portugalii, nie zawładnie nim Kościół ani inne zgromadzenia.

W zamian za to król liczy na wdzięczność rycerzy i ich poparcie dla królewskich planów.

Decyzja króla miała zostać ogłoszona zwierzchnikom wszystkich zgromadzeń i domów zakonnych. Portugalscy templariusze przeszli pod królewską jurysdykcję.

Kiedy mistrz Jose Sa Beiro usłyszał o królewskim postanowieniu, że w Portugalii templariusze nie będą prześladowani ani nie spłoną na stosie, lecz ich dobra przejdą na własność króla, zamyślił się głęboko. Musiał podjąć pewną ważną decyzję, możliwe bowiem, że Lizbona zażąda inwentaryzacji majątku zakonu...

Beltran de Santillana starannie złożył święte płótno i schował je do sakwy, z którą od tej pory miał się nie rozstawać.

Zaczekał na przyływ, który zakołysze jego statkiem, a potem poniesie ku wybrzeżom Szkocji.

Na królu Szkocji, Robercie Brusie, ciążyła ekskomunika, więc Szkocja stała się enklawą, w której ma szansę przetrwać władza i potęga zakonu rycerzy świątyni.

Jose Sa Beiro wiedział, że tylko ten kraj może zapewnić bezpieczeństwo skarbowi, wypełniając więc ostatnią wolę Jakuba de Molaya, zamierzał wysłać rycerza Beltrana de Santillanę wraz z Joao de Tomarem, Wilfredem de Payensem i kilkoma innymi dzielnymi mężami, z misją przewiezienia relikwii do siedziby zakonu w Arbroath.

To mistrz zakonu w Szkocji powinien zdecydować, gdzie ukryć całun. To on ma zadbać, by relikwia nigdy nie dostała się w obce ręce.

Mistrz Castro Marim wręczył Beltranowi de Santillanie list do mistrza w Szkocji, wraz z pismem Jakuba de Molaya, w którym ten wykladał powody, dla których mają zachowywać w tajemnicy fakt posiadania Chrystusowego całunu.

Łódź płynęła zakolem Gwadiany, tuż przed miejscem, w którym rzeka uchodzi do morza. Tam czekał okręt, mający zawieźć skarb do zielonych wybrzeży Szkocji. Rycerze nie oglądali się za siebie. Nie chcieli poddać się wzruszeniu, gdyż na zawsze opuszczali portugalską ziemię.

Wreszcie ukazały się klify szkockiego wybrzeża. Rycerze w Szkocji wiedzieli o tym, co spotkało ich braci w całej Europie. Oni ocaleli tylko dzięki dobrym układom ze swoim królem.

Mistrz wezwał wszystkich do kapitulacji. Tam, na oczach oniemiałych rycerzy, rozłożył na długim stole święte płótno.

Odbita na nim twarz przypominała wizerunek Chrystusa na obrazie, przed którym modlili się w kaplicy.

Słońce wschodziło nad morzem, kiedy skończyli się modlić.

Beltran de Santillana został sam z mistrzem szkockiego zakonu. Zamienili tylko kilka słów i ostrożnie złożyli płótno, by schować je w strzeżonym miejscu, jak chciał tego Jakub de Molay.

* * *

Elianne Marchais była drobną kobietą, noszącą się ze staroświecką elegancją. Zgodziła się przyjąć Anę Jimenez, dając jej do zrozumienia, że robi dla niej wyjątek, choć tak naprawdę ciekawa była, czego dziewczynie udało się dowiedzieć.

Profesor Marchais nie przepadała za dziennikarzami, nie znosiła ich tendencji do uproszczeń. Dlatego nie udzielała wywiadów, a kiedy pytano ją o zdanie w jakiejś kwestii, odpowiadała zawsze:

polecam moje książki, zawarłam w nich całą swoją wiedzę na ten temat, nie potrafię opowiedzieć w trzech słowach czegoś, na co potrzebowałam trzystu stron.

Ta dziennikarka jednak miała rekomendację ważnych osób: ambasadora Hiszpanii przy UNESCO, dwóch rektorów prestiżowych hiszpańskich uniwersytetów i trzech profesorów z Sorbony, kolegów Elianne. Dziewczyna albo jest kimś bardzo ważnym, albo jest bardzo uparta i zrobi wszystko, by osiągnąć cel.

Ana Jimenez uznała, że osobie pokroju profesor Marchais trzeba od razu powiedzieć prawdę. Ta albo ją wyśmieje i wyprosi, albo jej pomoże.

Przez dwadzieścia minut opowiadała jej, najlapidarniej jak mogła, że pisze artykuł poświęcony historii całunu i potrzebuje jej opinii, by oddzielić fantazje i domysły od faktów.

- A skąd u pani takie zainteresowanie całunem turyńskim? Jest pani katoliczką?
- Cóż... byłam ochrzczona, chociaż trudno mnie uznać za osobę praktykującą.
- Nie odpowiedziała pani na moje pierwsze pytanie. Dlaczego interesuje się pani całunem?
- Bo jest niezwykle tajemniczy, wywołuje tyle sporów, a jego historia pełna jest dramatycznych wydarzeń - pożarów, kradzieży...

Profesor Marchais uniosła lekceważąco brew i najwyraźniej zamierzała zakończyć rozmowę.

- Pani Jimenez, obawiam się, że nie mogę pani pomóc. Nie specjalizuję się w wiedzy ezoterycznej. Myślę, że powinna pani udać się do kogoś, kto lepiej zrozumie tę jakże interesującą tezę, że całun przyciąga nieszczęścia.

Wstała. Nie była zainteresowana rozmową z tą głupiutką dziennikarką. Za kogo ona ją bierze? Jak śmie do niej przychodzić z takimi bzdurami?

Ana, nie wstając z krzesła i nie przestając patrzeć pani profesor w oczy, chwyciła się ostatniej deski ratunku.

- Chyba źle się wyraziłam, pani profesor. Nie interesuje mnie ezoteryka - zapewniła pospiesznie. - Staram się tylko napisać dobrze udokumentowany artykuł. Szukam faktów, czystych faktów, a nie spekulacji. Dlatego przychodzę do pani, by oddzielić prawdę od niezliczonych koncepcji autorstwa szanowanych skądinąd autorów. Pani wie o wszystkim, co wydarzyło się we Francji na przełomie trzynastego i czternastego wieku!

Profesor Marchais, choć wciąż stała, zaczęła się wahać.

To, co powiedziała przed chwilą dziewczyna, brzmiało poważnie.

- Nie mam zbyt wiele czasu... Co chce pani wiedzieć?

Ana odetchnęła z ulgą.

- Chciałabym się dowiedzieć, w jakich okolicznościach całun pojawił się we Francji.

Nie kryjąc znużenia, profesor Marchais opowiedziała Anie o odnalezieniu relikwii w Lirey.

- Kroniki mówią, że w tysiąc trzysta czterdziestym dziewiątym roku Gotfryd de Charny, dziedzic Lirey, oznajmił, że posiada całun pośmiertny z odbiciem sylwetki Jezusa, do którego jego rodzina żywi wielkie nabożeństwo. Tenże szlachcic wysłał list do papieża Innocentego IV, prosząc o zgodę na zbudowanie kolegiaty, w której można będzie wystawić całun. Jednak papież nie odpowiedział na list pana z Lirey i nigdy kolegiaty nie wzniesiono. Mimo to całun stał się przedmiotem kultu, do czego przyłożyli się kanonicy z Lirey, którzy dostrzegli w tym szansę na zwiększenie swoich wpływów i znaczenia.

- W jaki sposób trafił tam całun?

- W liście, który de Charny posłał do króla Francji i który przechowywany jest po dziś dzień w królewskich archiwach, zapewnia, że utrzymywał w tajemnicy fakt posiadania całunu, by nie mieszać ludziom w głowach, gdyż co i rusz świat dowiadywał się o pojawieniu się innych całunów, w miejscach tak od siebie odległych, jak Akwizgran, Jaen, Tuluza, Moguncja czy Rzym. To właśnie w Rzymie od tysiąc trzysta pięćdziesiątego roku istniało płótno wystawione w bazylice watykańskiej i wszyscy byli przekonani, że to autentyczna relikwia. Gotfryd de Charny przysięgał przed królem i papieżem na honor swojej rodziny, że płótno, nad którym sprawuje pieczę, jest prawdziwym całunem Chrystusa, nigdy jednak nie powiedział, w jaki sposób wszedł w jego posiadanie. Spadek? Zakup? Nie wiemy tego do dziś. Musiał czekać całe lata na zgodę na zbudowanie kolegiaty, chociaż nie zobaczył relikwii wystawionej do adoracji, gdyż zginął w bitwie pod Poitiers, ratując życie królowi Francji, którego zasłonił własnym ciałem. Wdowa po nim podarowała relikwię kościołowi w Lirey, przyczyniając się tym samym do wzbogacenia kanoników, co z kolei wzbudziło zawiść prałatów z innych parafii, i wybuchła prawdziwa awantura. Biskup Troyes zarządził drobiazgowe śledztwo. Znalazł nawet świadka, który zdyskredytował autentyczność relikwii. Pewien malarz przysięgł, że osobiście wykonał obraz na zlecenie dziedzica Lirey, i w ten sposób biskupowi udało się zakazać wystawiania całunu. Dopiero inny Gotfryd, Gotfryd Drugi de Charny, wiele lat później, a dokładnie w tysiąc trzysta osiemdziesiątym dziewiątym roku, uzyskał zgodę na wystawienie płótna do adoracji od papieża Klemensa Siódmego - ciągnęła monotonnym głosem profesor Marchais. - Znów na scenie pojawił się biskup Troyes, zaniepokojony napływem pielgrzymów, wierzących w cudowne właściwości relikwii. Wkrótce przestano wystawiać całun, jednak Gotfryd de Charny porozumiał się z papieżem i ten pozwolił mu na eksponowanie płótna, pod warunkiem że kanonicy z Lirey przedstawią je wiernym jako obraz pędzla współczesnego artysty, który jedynie imituje całun Chrystusowy. Córka Gotfryda Drugiego, Marguerite de Charny, postanowiła oddać relikwię na przechowanie do zamku swojego drugiego męża, księcia de la Roche.

- Dlaczego? - zapytała Ana.

- Otóż w tysiąc czterysta piętnastym roku, podczas wojny stuletniej, wszystko stawało się

wojennym łupem. Uznała więc, że relikwia będzie bezpieczniejsza w zamku jej męża, położonym w Saint Hippolyte - sur - le - Doubs. Kiedy Marguerite po raz drugi owdowiała, dorabiała do skromnej renty pozostawionej przez męża, pobierając opłatę od wiernych, którzy chcieli zobaczyć z bliska całun lub się przed nim pomodlić. Niewiele to pomogło. Wkrótce znalazła się w poważnych kłopotach finansowych, co skłoniło ją do sprzedaży relikwii dynastii sabaudzkiej. Stało się to dwudziestego drugiego marca tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego roku. Kanonicy z Lirey protestowali, bo uważali się za prawowitych właścicieli relikwii, którą zapisała im w spadku wdowa po Gotfrydzie de Charny. Marguerite nie przejęła się tym jednak i korzystała z zamku Varambon i renty z majątku Miribel scedowanych na nią przez Sabaudów. Zachował się dokument umowy, podpisany przez Ludwika Pierwszego, księcia Sabaudii. Dalszy ciąg wszyscy znają.

- Czy to możliwe, by całun dotarł do Francji za pośrednictwem templariuszy?

- Ach, ci templariusze! Jak wiele wokół nich legend i ile niesprawiedliwych osądzeń. Wszystko to wynika z niewiedzy. Cała ta literatura na ich temat to bzdury wyssane z palca. A wie pani dlaczego? Ponieważ wiele organizacji masońskich uzurpuje sobie prawo do dziedzictwa tych rycerzy, twierdząc, że to od nich się wywodzą. Niektóre takie organizacje stawały, pozwoli pani, że ujmę to eufemistycznie, „po właściwej stronie”, na przykład podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej, inne zaś...

- A czy templariusze, czyli zakon rycerzy świątyni, zwany także ubogimi rycerzami Chrystusa, przetrwali?

- Oczywiście. Istnieją organizacje, które, jak już powiedziałam, zapewniają, że są ich spadkobiercami. Proszę sobie przypomnieć, że w Szkocji nigdy nie doszło do rozwiązania tego zgromadzenia. Dla mnie zakon zniknął dziewiętnastego marca tysiąc trzysta czternastego roku, gdy Filip Piękny kazał spalić na stosie wielkiego mistrza Jakuba de Molaya.

- Byłam w Londynie, znalazłam nawet ośrodek studiów prowadzony przez templariuszy.

- Już pani wyjaśniałam, że pewne kluby i organizacje twierdzą, że się od nich wywodzą. Ale to nie leży w sferze moich zainteresowań.

- Dlaczego?

- Pani Jimenez, jestem historykiem...

- Owszem, ale...

- Nie ma „ale”. Jeszcze jakieś pytania?

- Tak. Chciałabym wiedzieć, czy ród de Charny przetrwał do naszych czasów.

- O to musi pani zapytać eksperta.

- Proszę wybaczyć, że nalegam, skąd jednak Gotfryd de Charny miał to płótno?

- Nie wiem. Już pani wyjaśniałam, że on sam nigdy tego nie zdradził, podobnie jak wdowa po nim ani potomkowie, którzy dysponowali całunem, dopóki nie stał się własnością dynastii sabaudzkiej. Relikwia mogła być zwyczajnie kupiona, mogli ją dostać w darze, ktoś to może wiedzieć? W tamtych czasach w Europie krążyło sporo relikwii zdobytych podczas krucjat. Przeważnie były fałszywe, stąd takie zatrzęsienie świętych Graali, całunów, szczątków różnych świętych...

- Czy można gdzieś sprawdzić, czy rodzina de Charny miała coś wspólnego z krucjatami?

- Powtarzam, musi się pani udać do specjalisty. Oczywiście...

Profesor Marchais zamyśliła się, stukając długopisem o stół.

Ana milczała wyczekująco.

- Przyszło mi do głowy, że może Gotfryd de Charny miał jakiś związek z Gotfrydem de Charneyem, wizytariuszem zakonu templariuszy normandzkich, który zginął na stosie wraz z Jakubem de Molayem. Zresztą on również walczył w Ziemi Świętej. To kwestia pisowni i...

- Tak, tak, na pewno! Z pewnością chodzi o tę samą rodzinę!

- Na pani miejscu byłabym ostrożna. To, że dwa fakty do siebie pasują, jeszcze nic nie znaczy. Powiedziałam, że niewykluczone, iż byli spokrewnieni, więc Gotfryd de Charny, który posiadał całun...

- ...mógł nim dysponować, ponieważ lata wcześniej inny Gotfryd przywiózł go z Ziemi Świętej i ukrył w domu rodzinnym. Nie jest to zupełnie niedorzeczne.

- Owszem, jest, bo wizytariusz Normandii był templariuszem. Gdyby rzeczywiście miał relikwię, należałaby ona do zakonu, nie trzymałby jej w domu. Mamy dość bogatą dokumentację na jego temat, wiemy, że był lojalny wobec Jakuba de Molaya i templariuszy...

- Mógł jednak istnieć powód, dla którego nie przekazał płótna templariuszom.

- Wątpię. Co do Gotfryda de Charneya, spekulacje nie wchodzą w grę. Przykro mi, że wprowadziłam panią w błąd.

Moim zdaniem po prostu chodzi o dwie różne rodziny.

- Pojadę do Lirey - oznajmiła Ana.

- Słusznie. Czy coś jeszcze?

- Nie, bardzo dziękuję. Nawet pani nie wie, jak bardzo mi pani pomogła. Kto wie, może ta

zagadka da się jednak rozwiązać?

Elianne Marchais pożegnała się z Aną Jimenez, jeszcze raz utwierdzając się w swojej opinii co do dziennikarzy: płyty, niedouczeni, jak wbijają sobie coś do głowy, trudno im to wyperswadować. Nic dziwnego, że w gazetach czyta się tyle niestworzonych historii.

* * *

Ana wynajęła samochód i pojechała do Lirey następnego dnia. Z zaskoczeniem stwierdziła, że osada liczy teraz najwyżej pięćdziesięciu mieszkańców.

Przechadzała się wśród ruin starego dworu, gładząc kamienie, jakby mogła namacać ścieżkę do rozwiązania zagadki, jakby szorstki kamień mógł dać jej natchnienie. Ostatnio pozwalała się prowadzić intuicji, niczego nie planowała.

Na ścieżce wiodącej tam, gdzie dawno temu stała twierdza szlachcica Gotfryda, zobaczyła staruszkę z psem. Podeszła do niej.

- Dzień dobry...

Staruszka zlustrowała ją z zainteresowaniem od stóp do głów.

- Dzień dobry.

- Piękna okolica - zagadnęła Ana.

- Owszem. Szkoda, że nasza młodzież tego nie docenia i rwie się do miasta.

- W mieście mogą znaleźć pracę.

- Praca jest tam, gdzie się jej szuka, tu w Lirey gleba jest urodzajna. A pani skąd przyjechała?

- Z Hiszpanii.

- Tak też mi się wydawało po akcencie, ale całkiem dobrze mówi pani po francusku.

- Dziękuję.

- A co pani tu robi? Zabłądziła pani?

- Nie, skąd. Jestem dziennikarką, piszę o całunie turyńskim, a ponieważ tu właśnie został znaleziony...

- To prawda, ale to było wieki temu. Teraz znów mówią, że odbicie na całunie wcale nie jest

prawdziwe, tylko ktoś je namalował.

- A pani komu wierzy?

- Wszystko mi jedno, jestem ateistką, a raczej agnostyczką, nigdy nie interesowałam się takimi rzeczami.

- To podobnie jak ja, ale zlecono mi w redakcji, bym napisała reportaż, w końcu praca to praca.

- Tu nie znajdzie pani zbyt wiele, wszystko, co pozostało po twierdzy to kamienie.

- Nie zachowały się jakieś kroniki albo dokumenty po rodzinie de Charny?

- Być może w Troyes, chociaż ich potomkowie mieszkają w Paryżu.

- Jeszcze żyją?

- Było wiele odgałęzień tego rodu, sama pani wie, możni byli płodni.

- Jak ich znaleźć?

- Nie wiem, nie utrzymuję z nimi stosunków, chociaż czasem któreś tu zagląda. Trzy czy cztery lata temu odwiedził nas młody dziedzic jednej z gałęzi rodu Charny. Piękny chłopak! Cała wieś wyszła na drogę, żeby go zobaczyć.

- Kto mógłby wiedzieć, gdzie ich szukać?

- Niech pani zapyta w tym domu na końcu doliny. Mieszka tam pan Didier, zarządca majątku tej rodziny.

Ana pożegnała się i szybkim krokiem powędrowała prosto do domu, który wskazała jej starsza pani. Nie wierzyła, że mogło jej się aż tak poszczęścić. Jeszcze chwila, a spotka potomków de Charny.

* * *

Pan Didier mógł mieć około sześćdziesiątki. Wysoki, krzepki i szpakowaty, o ponurej twarzy, patrzył na Anę nieufnie.

- Panie Didier, jestem dziennikarką, piszę historię całunu turyńskiego. Przyjechałam, żeby zobaczyć Lirey, gdyż tu właśnie została odkryta relikwia. Wiem, że te ziemie należały do rodu de Charny, podobno to oni pana zatrudnili.

Didier posłał jej udręczone spojrzenie. Właśnie ucinął sobie drzemkę w swoim ulubionym fotelu, gdy zadzwonił dzwonek.

Żona była na tyłach domu, w kuchni, więc nie usłyszała i Didier, chcąc nie chcąc, musiał wstać i otworzyć.

- Czego pani chce? - burknął, nie zapraszając jej do środka.

- Żeby mi pan opowiedział o miasteczku, o rodzinie Charny...

- Po co?

- Już powiedziałam, jestem dziennikarką, piszę artykuł.

- A mnie co do tego? Mam coś opowiadać, tylko dlatego że pani jest dziennikarką?

- Chyba nie proszę o nic złego. Wiem, że mieszkańcy tej osady są dumni, że to właśnie tutaj znaleziono całun...

- Zupełnie nas to nie wzrusza. Jeśli chce się pani czegoś dowiedzieć o tej rodzinie, lepiej poszukać ich w Paryżu. Tu proszę nie przychodzić, nie mamy czasu na plotki.

- Panie Didier, chyba źle mnie pan zrozumiał, nie przyszłam na plotki, piszę historię, w której ważną rolę odgrywa ta osada i miejscowi ludzie. Oni mieli całun, tu się odnalazł, to chyba powód do dumy?

- Owszem, dla niektórych z nas tak - odezwał się miły głos.

Do salonu weszła wysoka, dobrze zbudowana kobieta. Wyglądała na nieco młodszą niż pan Didier, biła od niej życzliwość i pogoda.

- Zdaje się, że wyrwała pani mojego męża z drzemki, dlatego jest nie w sosie. Serdecznie zapraszam. Ma pani ochotę na kawę lub herbatę?

Ana bez namysłu weszła do domu.

- Bardzo dziękuję, jeśli nie sprawi to pani kłopotu, napiłabym się kawy.

- Doskonale, za chwilę przyniosę. Proszę usiąść.

Didierowie popatrzyli po sobie. Od razu było widać, że są jak ogień i woda i że często się kłócą. Dopóki gospodyni nie wróci z kuchni, Ana postanowiła paplać o głupstwach. Dopiero kiedy serwis do kawy stanął na stole, powiedziała pani Didier, co ją sprowadza.

- Ród Charny od niepamiętnych czasów był w posiadaniu tych ziem. Powinna pani pójść do kolegiaty, tam znajdzie pani więcej informacji, zwłaszcza w archiwum w Troyes - powiedziała pani

Didier.

Przez dobrą chwilę opowiadała o życiu w Lirey, narzekając na młodzież, która tylko czeka, by uciec do miasta. Obaj jej synowie mieszkają w Troyes, jeden jest lekarzem, drugi pracuje w banku.

Ana słuchała cierpliwie, aż w końcu udało jej się spytać:

- A jacy są ci Charny? Przyjazdy do Lirey muszą być dla nich ogromnie wzruszające...

- Jest tyle odgałęzień tego rodu... Spadkobiercy, których znamy, nie bywają tu zbyt często, my jesteśmy kimś w rodzaju dozorców. Trochę zadzierają nosa, jak to arystokraci. Przed paroma laty odwiedził nas ich daleki krewny. Ależ z niego przystojniak! Bardzo sympatyczny chłopak. Towarzyszył mu zwierzchnik kolegiaty. On zna ich najlepiej. My mamy kontakt z zarządcą, który mieszka w Troyes. Dam pani adres, zadzwoni pani do pana Capell, to bardzo życzliwy człowiek.

Dwie godziny później Ana wyszła z domu Didierów. Z pewnością miała więcej informacji, niż kiedy tu przyjechała. Było późno, we Francji siada się do kolacji już o siódmej, postanowiła więc wrócić do Troyes. Następnego dnia pomyskuje w archiwum i odwiedzi kolegiatę w Lirey, by porozmawiać z przeorem, o ile oczywiście ten znajdzie dla niej czas.

* * *

Kustoszem muzeum miejskiego w Troyes był młody chłopak z trzema kolczykami w nosie i w uszach. Wyznał jej, że w pracy nudzi się jak mops, ale i tak ma szczęście, że udało mu się znaleźć takie zajęcie, zważywszy na to, że z wykształcenia jest bibliotekarzem.

Ana opowiedziała mu, czego szuka, Jean zaś - tak miał na imię - zaproponował, że jej pomoże, byle tylko urozmaicić sobie codzienną rutynę.

Zaczęli od skomputeryzowanego archiwum, potem zaczęli przeglądać stare foliały, niewprowadzone jeszcze do bazy danych w komputerze. Ana nie mogła wyjść z podziwu, chłopak był naprawdę zdolny. Nie dość że bibliotekarz, to jeszcze romanista, starofrancuski nie stanowił dla niego tajemnicy.

- Trafiłem na rejestr wszystkich chrztów w kolegiacie Lirey. To dokument z dziewiętnastego wieku, miejscowy mędrak postanowił ocalić pamięć o swoim miasteczku i w wolnych chwilach przepisywał kościelne archiwa. Zobaczmy...

Pracowali już cztery dni i udało im się częściowo odtworzyć drzewo genealogiczne rodu Charny. Wiedzieli, że daleko im do końca, bo nawet jeśli wypis z niektórych aktów urodzenia był poprawny pod względem ortografii, nic nie wiedzieli o losach tych osób.

- Wydaje mi się, że powinnaś pójść do jakiegoś historyka, kogoś, kto zna się na genealogii.

- Tak, ktoś już mi to doradzał, tylko skąd go wziąć? Znasz może taką osobę?

- Mam przyjaciela, pochodzi z Troyes. Razem zdawaliśmy maturę, potem przeniósł się do Paryża i zrobił doktorat z historii na Sorbonie, był nawet adiunktem. Zakochał się jednak w pewnej szkockiej dziennikarce i zanim upłynęły trzy lata, skończył studia dziennikarskie. Mieszkają w Paryżu, wydają własne czasopismo „Zagadki historii”. Ja sam sięgam po takie rzeczy z oporami - trochę historii, trochę nierozwikłanych zagadek. To pismo jednak wydaje się dość rzetelne. Współpracują z nimi różni naukowcy. On może nam wskazać właściwą osobę. Wprawdzie nie widziałem go od lat, od jego ślubu z tą Szkotką... Miała poważny wypadek i nigdy tu nie wrócili. Ale to mój dobry znajomy, na pewno cię przyjmie. Wcześniej jednak musisz pójść do kolegiaty, może przeor ma jeszcze jakieś kroniki albo wie o tej rodzinie coś interesującego.

* * *

Przeor kolegiaty okazał się miłym siedemdziesięciolatkiem, który zgodził się ją przyjąć już godzinę po tym, jak do niego zadzwoniła.

- Ród Charny zawsze był związany z tym miejscem, od wieków jednak już tu nie mieszkają - powiedział.

- Zna pan kogoś z nich?

- Niektórych. Było tyle odgałęzień tego rodu, że i spadkobierców można liczyć na pięćki. Jedna z rodzin, ta najsilniej związana z Lirey, to bardzo wpływowi ludzie, mieszkają w Paryżu.

- Często tu przyjeżdżają?

- Nie, prawdę powiedziawszy, niezbyt często. Od lat ich nie widziałem.

- Pewna mieszkanka Lirey, niejaka pani Didier, powiedziała mi, że trzy czy cztery lata temu zajrzał tu jakiś chłopak, ponoć bardzo sympatyczny.

- Ach, ten ksiądz!

- Ksiądz?!

- Tak. Co w tym dziwnego, że ktoś jest księdzem? - roześmiał się przeor.

- Ależ nic, absolutnie. W Lirey usłyszałam tylko, że przed paru laty przyjechał tu pewien młodzieniec, wyjątkowo przystojny, nikt jednak nie wspomniał, że był księdzem.

- A skąd mieli to wiedzieć? Był jak każdy chłopak w jego wieku. Może nie wyglądał na księdza, ale z pewnością nim jest i zdaje się, że nawet robi karierę. W każdym razie nie zostanie na

całe życie wikarym prowincjonalnej parafii. Ale to nie Charny, choć zdaje się, że jego przodkowie byli związani z tą ziemią, nie wiem dokładnie, nie opowiadał za dużo. Zadzwonili do mnie z Paryża, żebym go przyjął i pomógł.

W torebce Any odezwała się komórka. Kiedy odebrała, usłyszała podekscytowany głos Jeana:

- Ano, chyba go mam!

- Kogo?

- Powiedz ojcu Salvaingowi, żeby pozwolił ci zajrzeć do ksiąg parafialnych, gdzie figurują spisy urodzin z dwunastego i szesnastego wieku. Kto wie, czy nie masz racji, możliwe, że niektórzy Charny wcześniej nazywali się Charney.

- Skąd wiesz?

- Przeglądałem wypisy z aktów. Nie wiem tylko, czy ktoś zrobił błąd, czy przeciwnie, trafiliśmy w samo sedno. Zamykam biznes i jadę do ciebie.

Ana z trudem zdołała przekonać ojca Salvainga, by udostępnił jej stare dokumenty.

Przeor zawołał brata archiwistę.

- Gdyby była pani historykiem, to co innego, ale jest pani tylko dziennikarką, która w dodatku sama nie wie, czego szuka - powiedział skwaszony mnich.

- Staram się napisać historię całunu, w miarę możliwości pełną.

- A co ma do tego pisownia nazwiska Charny? - nie dawał za wygraną archiwista.

- Chcę się upewnić, czy wizytariusz zakonu templariuszy w Normandii, Gotfryd de Charney, który zginął na stosie wraz z Jakubem de Molayem, nie należał przypadkiem do tej rodziny.

Jeśli tak, być może to on przywiózł tu całun i ukrył w rodzinnym domu. A Gotfryd de Charny czterdzieści lat później w naturalny sposób stał się właścicielem relikwii.

- Chce pani dowieść, że całun należał do rycerzy świątyni - stwierdził raczej, niż zapytał, ojciec Salvaing.

- A nawet jeśli tak nie było, i tak będzie się przy tym upierała, resztę sobie dopisze i jeszcze wszystkich przekona - uciał archiwista.

- Nie, niczego nie dopiszę. Jeśli jakieś wydarzenie nie miało miejsca, to nie, i koniec. Staram się tylko wyjaśnić, skąd wziął się tutaj całun, bo wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że dotarł wprost z Ziemi Świętej, sprowadzony przez jakiegoś krzyżowca lub templariusza. Bo jeśli nie oni, to kto? Skoro Gotfryd de Charny zapewniał, że jest autentyczny, musiał mieć ku temu powody.

- Nigdy tego nie dowiódł - stwierdził przeor.
- Być może nie mógł.
- Bzdury - uciał archiwista.
- Przepraszam, że zapytam, czy wierzą księża, że całun jest autentyczny?

Zakonnicy zamyślili się. Całe życie poświęcili Bogu, bo mieli wiarę, a tylko wiara mogła skłonić człowieka do zrezygnowania z rodziny i miłości. Ich wiara zaś, tak jak wiara wielu innych, czasem słabła, i nie mogli zagłuszyć głosu zdrowego rozsądku.

Pierwszy odezwał się archiwista:

- Kościół od wielu wieków pozwala na kult całunu turyńskiego...
- Wolałabym usłyszeć, co ojciec o tym sądzi.

- Drogie dziecko - zaczął Salvaing - dla milionów wiernych całun turyński to najcenniejsza relikwia. Jego autentyczność była zakwestionowana naukowo, a jednak... muszę przyznać, że byłam wstrząśnięta, kiedy po raz pierwszy ujrzałem go w katedrze turyńskiej. W tej tkaninie jest coś niezemskiego, nieważne, jaki był wynik badań naukowych.

Kiedy przyszedł Jean, już od progu starał się namówić zakonników, by wpuścili Anę do archiwum.

Bracia patrzyli na chłopaka z niesmakiem, a jednak wystarczyło dziesięć minut, by przekonał ich, że musi przekartkować segregatory w bibliotece. W dodatku poprosił archiwistę, by włączył się do poszukiwań.

Po dwóch godzinach znaleźli to, czego szukali: w Lirey mieszkali nie tylko ludzie o nazwisku Charny, lecz również Charney, połączeni więzami pokrewieństwa.

Kiedy znaleźli się z powrotem w Troyes, Ana zaprosiła Jeana na kolację.

- Udało nam się - westchnęła zadowolona.
- Okazało się, że miałaś rację, ci dwaj Gotfrydowie byli spokrewnieni.

- W gruncie rzeczy, to nie moja zasługa. To profesor Elianne Marchais zasugerowała, że nie jest to wykluczone.

I słusznie. Teraz mam prawie pewność, że ten Gotfryd był właścicielem całunu. Kazał go namalować lub naprawdę kupił w dobrej wierze w Ziemi Świętej.

- Gdyby to był autentyk, nie znajdowałby się w rękach templariuszy. Rycerze składali śluby

ubóstwa i wyrzekali się własności, więc to dziwne, że templariusz posiadał cenne płótno. Być może Gotfrydowie byli spokrewnieni, ale przypisujemy pierwszemu posiadanie relikwii bez żadnych podstaw i dowodów.

- Walczył w Ziemi Świętej... - przypomniała Ana.

- To prawda, podobnie jak wszyscy templariusze.

- Owszem, tylko że on jeden nazywał się Gotfryd de Charney.

- Ano, to interesująca teoria, ale trochę naciągana. Właśnie dlatego nigdy do końca nie ufam temu, co piszą w gazetach. Bo wy, dziennikarze, czasem publikujecie jako pewniki rzeczy, które w najlepszym razie można uznać za prawdopodobne.

- Następny! Cały tydzień wysłuchuję utyskiwań pod adresem prasy.

- To świadczy o pewnej nieufności...

- Nie kłamiemy, wiesz o tym? - przerwała mu rozdrażniona.

- Nie mówię, że kłamiesz, masz ciekawe koncepcje, ale to nie wystarczy, by uznać je za niepodważalne fakty historyczne. Usiłuję cię tylko poprosić, żebyś pisząc o tym, narzuciła sobie pewną dyscyplinę. W przeciwnym razie ludzie uznają, że to jeszcze jedna fantastyczna teoria na temat całunu turyńskiego. Sama wiesz, że było ich sporo.

* * *

Ana uznała, że może zaufać Jeanowi. Znali się zaledwie od tygodnia, ale miała wrażenie, że znają się całe życie. Był wrażliwy, inteligentny i rozsądny. Wyglądał jak chłopak, ubierał się młodzieżowo, ale pod tą powierzchownością krył się dojrzały mężczyzna.

Opowiedziała mu prawie wszystko, co wiedziała o całunie, nie wspominając jednak o kontaktach z policją ani informacjach Santiaga. Wreszcie zamilkła i czekała na jego opinię.

- Sporo wiesz - przyznał - ale przez cały czas rozmawiamy tylko o podszeptach intuicji i przecuciach. To, co mówisz, ubrane w zgrabne słowa, może okazać się interesującą historią do jakiegoś pisma kobiecego, ale nic z tego nie wytrzyma próby prawdy. Przykro mi, nie chciałbym cię rozczarować, ale gdybym ja przeczytał w gazecie taką historię, nie uwierzyłbym w ani jedno słowo, uznałbym, że to tylko fantazje jednego z tych pseudopisarzy, którzy wymyślają historie o UFO i wszędzie węszą spiski.

Ana nie potrafiła ukryć rozczarowania, choć musiała uczciwie przyznać, że Jean ma rację - jej teorie nie mają podstaw, niczego nie wie na pewno.

- Nie zamierzam się poddawać - oznajmiła. - Jeśli nie znajdę solidnych dowodów, nie opublikuję ani linijki. Tak się umówiłam sama ze sobą. Będę nadal prowadziła poszukiwania. Teraz muszę się dowiedzieć, czy pewien znany mi pan Charny ma coś wspólnego ze słynnym rodem de Charny.

- Więc znasz kogoś o takim nazwisku?

- Jest pewien przystojniak, bardzo interesujący i tajemniczy typ. Pojadę do Paryża, tam będzie mi łatwiej skontaktować się z jego rodziną, o ile rzeczywiście są spokrewnieni.

- Chciałbym z tobą pojechać.

- No to jedź.

- Nie mogę, muszę poprosić o urlop, nikt mi nie da wolnego z dnia na dzień. Co jeszcze zamierzasz zrobić?

- Zanim pojadę, zajrzę do gabinetu pana Capell, zarządcy majątku tych Charny. Chciałabym też, żebyś przedstawił mnie swojemu przyjacielowi, temu od gazety... jaki ma tytuł? „Zagadki historii”? Potem polecą do Turynu, ale wszystko zależy od tego, co uda mi się ustalić w Paryżu. Zadzwoń do ciebie i wszystko ci opowiem. Wiesz, jesteś jedyną osobą, z którą udało mi się szczerze porozmawiać na ten temat, a że masz dużo zdrowego rozsądku, na pewno utrzymasz na wodzy moją fantazję, kiedy za bardzo się rozbryka.

* * *

Pan Capell był poważnym, małomównym człowiekiem, który w grzeczny, acz stanowczy sposób dał do zrozumienia, że nie zamierza udostępniać jej żadnych informacji na temat swoich klientów. Owszem, potwierdził, potomkowie rodu Charny są liczni, większość mieszka we Francji, jego klienci zaś to tylko jeden z odłamów tego rodu.

Ana nie kryła rozczarowania.

Kiedy dotarła do Paryża, udała się wprost do redakcji „Zagadek historii”, mieszczącej się na pierwszym piętrze dziewiętnastowiecznej kamienicy. Paul Bisol był całkowitym przeciwieństwem Jeana.

Ubrany w doskonale skrojony garnitur, wyglądał raczej na menedżera dużej korporacji niż na dziennikarza. Jean uprzedził go o przyjeździe Any i poprosił, by się nią zaopiekował.

Paul Bisol cierpliwie wysłuchiwał relacji Any. Cały czas patrzył na nią uważnie, nie przerywając żadnym pytaniem, co nieco zbiło ją z tropu.

- Wie pani, w co się pani pakuje? - zapytał w końcu.

- Nie rozumiem...

- Pani Jimenez...

- Mówmy sobie po imieniu.

- Otóż, moja droga Ano, proszę sobie wyobrazić, że templariusze naprawdę istnieją. Nie są to jednak tylko ci wymuskani historycy, których poznała pani w Londynie czy inni dżentelmeni zrzeszeni w mniej lub bardziej tajnych klubach, twierdzący, że są spadkobiercami templariuszy. Jakub de Molay przed śmiercią zadbał o to, by zakon przetrwał, wielu rycerzy zaginęło, nie zostawiając po sobie śladu, zeszedli do podziemia. Wszyscy jednak utrzymywali kontakt z nową prowincją w Szkocji. Rycerze nauczyli się żyć w ukryciu, przenikali do europejskich dworów, nawet do Watykanu, i tak przetrwali do dziś. Nie wymarli.

Ana poczuła niesmak. Odnosiła wrażenie, że Paul mówi jak nawiedzony wizjoner, nie zaś rzetelny historyk. Do tej pory trafiała tylko na osoby, które obalały jej szalone teorie i upominały ją, kiedy dawała się ponieść fantazji, a tu nagle spotyka kogoś, kto utwierdza ją w jej domniemaniach i... przestało jej się to podobać.

Bisol podniósł słuchawkę i powiedział coś do sekretarki.

Potem dał Anie znak, by za nim poszła. Zaprowadził ją do sąsiedniego pokoju. Zapukał. Damski głos zaprosił ich do środka.

Młoda kobieta, nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat, szatynka o zielonych oczach, siedziała za biurkiem, stukając w klawiaturę komputera. Uśmiechnęła się na powitanie, ale nie wstała z fotela.

- Usiądźcie. Więc jest pani przyjaciółką Jeana?

- Niedawno go poznałam, ale dobrze nam się współpracuje i bardzo mi pomógł.

- To cały Jean - przytaknął Paul. - Dusza muszkietera, choć nie chce się do tego przyznać. Cóż, Ano, chciałbym, żebyś powtórzyła Elisabeth wszystko, co mi opowiedziałaś.

Ana zaczynała się niepokoić. Paul Bisol to z pewnością miły człowiek, było w nim jednak coś śliskiego, jakiś wewnętrzny głos kazał jej mieć się na baczności: Elisabeth również wydała jej się nieco odpychająca, choć Ana nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego. Z trudem opanowała chęć, by wybiec. Zmusiła się do opowiedzenia po raz kolejny o perypetiach całunu.

Elisabeth również nie zadawała pytań. Kiedy Ana skończyła, Paul i Elisabeth popatrzyli na siebie, a Ana była pewna, że choć nie odezwali się ani słowem, myślą o tym samym. Ciszę przerwała Elisabeth.

- Cóż, Ano, wydaje mi się, że trafiłaś w samo sedno. Nigdy nie rozważaliśmy twojej teorii, to znaczy, że Gotfryd de Charney mógłby mieć coś wspólnego z Gotfrydem de Charny, ale faktycznie, może to tylko kwestia pisowni, a skoro zapewniasz, że w archiwum Lirey znalazłaś członków obu rodów... Koniec końców, nie ma wątpliwości, że tych dwóch Gotfrydów coś łączy. Tak więc całun należał do templariuszy. W jaki sposób trafił do rąk Gotfryda de Charneya? Pierwsze, co mi przychodzi do głowy to to, że wielki mistrz kazał dobrze ukryć płótno, kiedy stało się jasne, że Filip Piękny wyciągnie rękę po skarby templariuszy. Tak, z pewnością tak było, Jakub de Molay rozkazał Gotfrydowi de Charneyowi, by ukrył całun na swojej ziemi. A wiele lat później płótno pojawiło się w ręku jednego z krewnych, zresztą jego imiennika. Tak było.

- Cóż, nie ma na to żadnych dowodów, to tylko spekulacje - zauważyła Ana.

- Tak się jednak stało - stwierdziła Elisabeth stanowczo. - Tyle krąży pogłosek o tajemniczym skarbie templariuszy. Może to właśnie całun był tym skarbem, w końcu wierzyli, że jest autentyczny.

- Ale nie jest - odparła Ana. - Wiedzieli, że nie jest autentyczny. Całun, jaki wszyscy znamy, pochodzi z trzynastego lub czternastego wieku, więc...

- Owszem, masz rację, ale w Ziemi Świętej ktoś mógł przekonać rycerzy, że to oryginał. W końcu w tamtych czasach trudno było dowieść, czy relikwia jest prawdziwa, czy to fałszerstwo. Jedyne, czego można być pewnym, to że kiedy kazali ją dobrze ukryć, traktowali ją jak autentyk. Twoje teorie, Ano, są słuszne. Musisz być ostrożna, bo nikt nie zbliża się bezkarnie do templariuszy. Mamy doskonałego genealoga, pomoże ci. A co do tego Charny, którego miałaś przyjemność poznać, daj mi godzinę, a może będę mogła powiedzieć ci o nim coś więcej.

Wyszli z gabinetu Elisabeth. Ana pożegnała się z Paulem.

Wczesnym popołudniem miała wrócić do redakcji, by spotkać się z genealogiem i zobaczyć, jakie informacje ma dla niej Elisabeth na temat pana Charny, Yvesa de Charny, zaufanego sekretarza kardynała Turynu.

* * *

Włóczyła się bez celu po uliczkach Paryża. Musiała przemyśleć parę spraw, a myślała jej się lepiej, kiedy była w ruchu.

W południe usiadła przy oknie w małym bistro i zjadła lunch, przeglądając hiszpańskie gazety, które kupiła w jednym z mijanych kiosków. Już od wielu dni nie śledziła wydarzeń w Hiszpanii, nie była na bieżąco. Nawet nie zadzwoniła do swojej redakcji ani do Santiaga. Czuła jednak, że jej śledztwo zbliża się do końca. Była przekonana, że templariusze mają coś wspólnego z całunem, że to oni przywieźli go z Konstantynopola.

Przypomniała sobie noc w Dorchesterze, kiedy wertując terminarz, pomyślała nagle, że może to

coś więcej niż zbieg okoliczności: przystojny francuski ksiądz, sekretarz kardynała Turynu, nosi nazwisko, które przewija się w tylu dokumentach. Dotychczas nie wiedziała niczego pewnego. Zdaje się, że to ksiądz Yves parę lat temu zawitał do Lirey. Rysopis się zgadzał. Nie ma znów tak wielu przystojnych księży.

Być może ojciec Yves ma jakiś związek z templariuszami.

Tylko z którymi? Z tymi z przeszłości czy współczesnymi?

Wyobrażała sobie przystojnego księdza z jego niewinnym uśmiechem, jak przyznaje, że faktycznie, jego przodkowie brali udział w krucjatach, a rodzina rzeczywiście pochodzi z Troyes. Tylko co z tego? Czy to czegokolwiek dowodzi?

Instynkt podpowiadał jej, że ten wątek jednak dokądś prowadzi.

Ten sam wątek, który prowadził od Gotfryda de Charneya do Gotfryda de Charny, a po wielu zakrętach kończył się na księdzu Yvesie.

Tylko że ksiądz Yves nie ma nic wspólnego z pożarami w katedrze. Co do tego nie miała wątpliwości. Gdzie więc jest klucz do zagadki?

Prawie nie tknęła jedzenia. Zadzwoiła do Jeana. Poczuli się pewniej, słysząc jego głos, kiedy przekonywał ją, że Paul Bisol to wprawdzie dziwak, ale poczciwa dusza i można mieć do niego zaufanie.

O trzeciej ponownie wybrała się do redakcji „Zagadek”.

Paul czekał już na nią w gabinecie żony.

- Mamy nowe wiadomości - oznajmiła Elisabeth. - Ten ksiądz pochodzi z bardzo ustosunkowanej rodziny. Jego starszy brat był posłem, teraz jest członkiem Rady Państwa, jego siostra jest sędzią w Sądzie Najwyższym. Wywodzą się z drobnej szlachty, choć od czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej żyją jak prawdziwa burżuazja. Ten ksiądz ma liczących się protektorów w Watykanie, ni mniej ni więcej, tylko sam kardynał de Visiers jest przyjacielem jego starszego brata. Ale to jeszcze nic. Prawdziwa bomba to to, że Edouard, nasz genealog, który od trzech godzin biedzi się nad ich drzewem genealogicznym, uważa, że ten Yves de Charny jest potomkiem rodu Charny, tego, którego członkowie uczestniczyli w krucjatach, a co najważniejsze, Gotfryda de Charneya, wizytariusza zakonu w Normandii, który spłonął na stosie wraz z Jakubem de Molayem.

- Jesteście pewni? - zapytała Ana.

- Tak - odparła bez wahania Elisabeth.

Paul Bisol dostrzegł powątpiewanie w oczach Any.

- Ano, Edouard jest profesorem, bardzo rzetelnym historykiem - zapewnił. - Jean nie przepada za naszym pismem, ale wiedz, że nigdy nie opublikowaliśmy ani jednego artykułu, który nie byłby porządnie udokumentowany. Wyszukujemy zagadki historii i staramy się je rozwiązać. Zasięgamy opinii historyków, czasem tworzymy zespół badawczy składający się z dziennikarzy. Nigdy nie musieliśmy prostować naszych informacji. Nie podpisujemy się pod niczym, co do czego nie mamy pewności. Jeśli ktoś stawia hipotezę, piszemy, że to tylko hipoteza. Ty utrzymujesz, że niektóre z pożarów w katedrze Turyńskiej mają coś wspólnego z przeszłością. Nie wiem, nigdy nam to nie przyszło do głowy, dlatego nie zajmowaliśmy się tym tematem. Uważasz też, że templariusze weszli w posiadanie całunu, i może masz rację. Być może ojciec Yves pochodzi z bardzo starej rodziny arystokratów i templariuszy. Zastanawiasz się, czy ci ostatni mają jakiś związek z pożarami w świątyni. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, ale myślę, że nie. Nie wydaje mi się, żeby byli zainteresowani zniszczeniem całunu. Co do jednego mam pewność: gdyby chcieli go mieć, to by go mieli. To bardzo potężna organizacja, nawet nie wyobrażasz sobie, jak potężna, są zdolni do wszystkiego.

Paul spojrział na Elisabeth, a ta przytaknęła. Ana oniemiała, kiedy zdała sobie sprawę, że fotel Elisabeth podjeżdża w jej stronę. Wyglądał zwyczajnie i w rzeczywistości był meblem biurowym, przystosowanym jednak dla osoby, która nie może chodzić.

Elisabeth zatrzymała fotel obok Any i odchyliła koc, który zakrywał jej nogi.

- Jestem Szkotką, nie wiem, czy Jean ci o tym powiedział?

Mój ojciec nazywa się McKenny, lord McKenny, w gronie jego znajomych jest lord McCall. Nie słyszałaś o nim? To jeden z najbogatszych ludzi na świecie, jednak jego nazwisko nigdy nie pojawia się w gazetach ani dziennikach. Jego świat nie jest z tego świata, to świat, w którym jest miejsce tylko dla największych potęg. Ma fantastyczny zamek, to stara forteca templariuszy w pobliżu Wysp Małych. Nikogo jednak tam nie zaprasza. My, Szkoci, uwielbiamy legendy, więc i o lordzie McCallu krąży niejedna opowieść. Niektórzy rolnicy, mieszkający nieopodal zamku, nazywają lorda „Templariuszem” i przysięgają, że od czasu do czasu, dość regularnie, przylatują do niego w odwiedziny helikopterami goście, wśród nich członkowie angielskiej rodziny królewskiej. Pewnego dnia opowiedziałam Paulowi o lordzie McCallu i przyszło nam do głowy, żeby napisać reportaż o zamkach i twierdzach templariuszy rozsianych po całej Europie. Chodziło o swego rodzaju spis z natury: ile z nich przetrwało, do kogo należą. Pomyśleliśmy, że to dobry pomysł, by lord McCall pozwolił nam odwiedzić swój zamek. Wzięliśmy się do pracy. Początkowo wszystko szło dobrze. Istnieją setki fortec, większość w opłakanym stanie. Mój ojciec poprosił McCalla, by mi pozwolił odwiedzić swoją posiadłość i zrobić zdjęcia. Lord jednak bardzo grzecznie nam odmówił. Nie dałam się zbyć i pewnego dnia po prostu tam pojechałam. Zadzwoiłam z komórki, ale nawet nie podszedł do aparatu. Jego sekretarz poinformował mnie, że pana nie ma, jest w Stanach Zjednoczonych, a on nie może wpuścić mnie na pokoje. Nalegałam, ale był nieugięty: nie ma mowy, bez pozwolenia lorda nikt nie wejdzie na teren jego posiadłości. Nie poddałam się jednak. Pojechałam do zamku przekonana, że jak już się tam znajdę, nie będą mieli innego wyjścia i mnie wpuszczą, pozwalając chociaż rzucić okiem. Przedtem porozmawiałam z miejscowymi. Wszyscy czuli respekt przed lordem, choć zapewniali mnie, że to dobry człowiek, który troszczy się, by niczego im nie brakowało.

Można powiedzieć, że nie tyle go szanują, co wielbią. Jeden z chłopów powiedział mi, że jego syn żyje tylko dzięki temu, że McCall sfinansował operację w Houston. Dotarłam do ogrodzenia oddzielającego majątek lorda od wsi, ale nigdzie nie znalazłam wjazdu do posiadłości. Zaczęłam iść wzdłuż muru z nadzieją, że natrafię na jakąś furtkę albo wyłom, przez który uda mi się przecisnąć. Zobaczyłam w końcu dziurę, zajrzałam - za murem był las, a w lesie kapliczka obrośnięta powojem. Żebyś mogła zrozumieć, co się stało, muszę ci wyjaśnić, że wspinałam się, odkąd skończyłam dziesięć lat. Zdążyłam nawet zdobyć kilka liczących się szczytów. Nie przerażała mnie więc wizja wspięcia się na wysoki mur, choć oczywiście nie miałam przy sobie żadnego sprzętu.

Nie pytaj jak, ale udało mi się wdrapać na ogrodzenie i przeskoczyć na teren posiadłości. To ostatnie, co pamiętam. Usłyszałam huk i poczułam potworny ból nóg. Nawet nie wiem, kiedy upadłam. Wyłam z bólu. Naprzeciwko mnie stał jakiś człowiek i mierzył do mnie ze strzelby. Powiedział coś przez walkie - talkie, przyjechał samochód terenowy, podnieśli mnie i zawieźli do szpitala. Jestem sparaliżowana. Nie strzelali, żeby zabić, ale wystarczająco celnie, by doprowadzić mnie do takiego stanu. Naturalnie wszyscy wybaczyli ochroniarzom lorda McCalla. To ja byłam intruzem, który wdarł się do jego twierdzy.

- Przykro mi.

- Resztę życia spędzę na wózku, a wszystko przez własną głupotę. Jestem jednak przekonana, że dobry pan McCall to ktoś więcej, niż mogłoby się wydawać. Poprosiłam ojca, by przygotował dla mnie szczegółową listę osób, o których wiadomo, że są jakoś powiązani z McCallem. Nie chciał, opierał się, ale w końcu jednak go przekonałam. Ojciec był załamany po moim wypadku. Nigdy nie aprobował tego, co robię, a zwłaszcza tematyki, jaką się zajmuję. Lord McCall to bardzo tajemnicza postać. Kawaler, amator sztuki sakralnej, obrzydliwie bogaty. Co sto dni do zamku przyjeżdżają, a nawet przylatują prywatnymi samolotami dżentelmeni, którzy zostają u niego na dwa, trzy dni. Nikt nie wie, kim są, można się tylko domyślać, że to jakieś szyszki. Prześledziłam jego rozliczne interesy, na tyle, na ile mogłam. Ma udziały w wielu przedsiębiorstwach, można powiedzieć, że żadne wydarzenie w światowej gospodarce nie dzieje się bez niego i jego przyjaciół.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że istnieje grupa ludzi, którzy pociągają za sznurki, są tak bogaci, że mają wpływ na politykę wielu krajów.

- A co to ma wspólnego z templariuszami?

- Od pięciu lat czytam wszystko, co napisano o templariuszach. Czasu mi nie brak, jestem przykuta do fotela. Wyciągnęłam pewne wnioski: poza wszystkimi organizacjami, które uważają się za spadkobierców zakonu, istnieje jeszcze jedna, stworzona przez dyskretnych panów, bardzo bogatych i ustosunkowanych. Nie wiem, ilu ich jest ani kim są. Mam jedynie podejrzenia. Sądzę jednak, że są wśród nich prawdziwi templariusze, spadkobiercy Jakuba de Molaya, McCall jest właśnie kimś takim. Prześledziłam historię jego twierdzy. To ciekawe, ale na przestrzeni dziejów przechodziła z rąk do rąk, zawsze jednak należała do samotnych dżentelmenów, bogatych i

wpływowych, wszyscy zaś mieli jedną obsesję - obrobili jej przed obcymi. Wydaje mi się, że istnieje cicha armia templariuszy, dobrze zorganizowana, której członkowie zajmują wysokie stanowiska jak świat długi i szeroki.

- Podobnie jak masoneria - mruknęła Ana.

- Niektóre loże masońskie uważają się za spadkobierców zakonu. Ja mówię o czymś prawdziwym, o czym jednak nikt nic nie wie. Od pięciu lat poruszam się na wózku. Na podstawie listy ojca, z pomocą pewnego dziennikarza, udało mi się sporządzić schemat tego, co, moim zdaniem, jest prawdziwą organizacją templariuszy. Nie poszło łatwo. Michael, ten dziennikarz, nie żyje. Trzy lata temu miał potworny wypadek samochodowy. Podejrzewam, że to ich sprawka. Jeśli ktoś podejdzie do nich zbyt blisko, ryzykuje życie. Przekonałam się na własnej skórze, co dzieje się z takimi ciekawskimi jak my.

- To brzmi jak teoria spiskowa...

- Ano, wydaje mi się, że istnieją dwa światy - ten, który widzimy i w którym żyje zdecydowana większość ludzi, i świat utajniony: organizacje gospodarcze, masońskie... bo ja wiem...

To ich członkowie rządzą światem. A gdzieś w tym świecie ważną rolę odgrywa zakon templariuszy.

- Nawet jeśli masz rację, nie wyjaśnia to, co wiąże dziś templariuszy z całunem.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Przykro mi. Opowiedziałam ci o tym, bo kto wie, czy ten twój ksiądz Yves... Dokończ.

- ...nie jest jednym z nich.

- Templariuszem z tej tajemniczej organizacji, w której istnienie wierzysz?

- Myślisz, że opowiadam ci jakieś bajeczki, ale weź pod uwagę, że ja też jestem dziennikarką i umiem odróżnić rzeczywistość od fikcji. Powiedziałam ci, co o tym sędzę. Teraz twoja kolej. Działaj. Jeśli całun należał do templariuszy, a ojciec Yves wywodzi się z rodziny Gotfryda de Charneya...

- Ale całun turyński nie jest płótnem, w które owinięte było ciało Chrystusa. Metoda węgla radioaktywnego nie pozostawia miejsca na wątpliwości. Nie wiem, dlaczego ród Charny ją ukrywał ani dlaczego tak nagle całun się pojawił. Tak naprawdę nie wiem nic.

* * *

Ana uświadomiła sobie, że słucha tego wszystkiego bez przekonania. Z takim samym

sceptycyzmem, z jakim ludzie słuchali jej teorii na temat całunu.

Nie lubiła siebie w takich chwilach, gdy traciła zdrowy rozsądek, pakując się w jakąś absurdalną historię. Tym razem starała się udowodnić, że jest sprytniejsza niż policjanci z wydziału do spraw sztuki. Dość tego, uznała. Wraca do Barcelony.

Musi natychmiast zadzwonić do Santiaga. Będzie wniebowzięty, kiedy się dowie, że postanowiła dać sobie spokój z całunem.

Elisabeth i Paul widzieli, jak jest rozdarta. Miała to wypisane na twarzy. Niewiele było osób, z którymi mogli porozmawiać o nowym zakonie templariuszy. Niewielu ludzi wiedziało o ich śledztwie. Nie dzielili się tą wiedzą z nikim, bo zdawali sobie sprawę, że każdego, kto im pomaga, może spotkać coś złego.

- Elisabeth, dasz jej to?

Słowa Paula wyrwały Anę z zadumy.

- Tak.

- Co takiego? - zapytała Ana.

- Weź tę teczkę, to podsumowanie mojej pracy z ostatnich pięciu lat. Mojej i Michaela. Tu znajdziesz nazwiska i biografie osób, które według wszelkiego prawdopodobieństwa są obecnie mistrzami zakonu. Moim zdaniem lord McCall jest wielkim mistrzem. Ale przeczytaj to. Chcę cię też poprosić o przysługę. Mamy do ciebie zaufanie, bo wydaje nam się, że jesteś o krok od przełomowego odkrycia. Nie wiemy jeszcze, co uda ci się ustalić ani w jakim kierunku to pójdzie, ale na pewno ma to coś wspólnego z nimi. Jeśli te papiery dostaną się w niepowołane ręce, zginiemy, możesz być tego pewna. Dlatego zaklinam cię, nie ufaj nikomu. Oni mają wtyczki wszędzie, w sądach, policji, parlamentach, na giełdach... wszędzie. Wiedzą, że u nas byłeś, nie wiedzą tylko, co ci powiedzieliśmy. Zainwestowaliśmy dużo pieniędzy w bezpieczeństwo, mamy sprzęt do wykrywania podsłuchu, a i tak nie wiemy, czy czegoś nie zainstalowali. Są potężni.

- Przepraszam, czy to nie lekka paranoja?

- Myśl sobie, co chcesz, Ano. Zrobisz to, o co cię prosimy?

- Nie martw się, nikomu nie powiem o tej tezcze. Chcesz ją mieć z powrotem, kiedy wszystko przeczytam?

- Zniszcz ją. To tylko podsumowanie, ale zapewniam cię, że ci się przyda. Zwłaszcza jeśli chcesz nadal zajmować się tą sprawą.

- Czy coś ci każe myśleć, że się wycofam?

Elisabeth westchnęła.

- Z twojej twarzy można wyczytać więcej, niż sobie wyobrażasz.

* * *

W kościele unosił się zapach kadzidła. Msza właśnie się skończyła, nieliczni wierni opuścili już świątynię. Addai pośpiesznie skierował się do konfesjonału stojącego najdalej od ołtarza, w ciemnym kącie, w którym nie dosięgnie go niczyje spojrzenie.

Na głowie miał perukę, na szyi koloratkę. W rękę trzymał brewiarz. Umówił się z tym mężczyzną na siódmą. Zostało jeszcze pół godziny. Przyszedł wcześniej, przez ponad dwie godziny krążył po okolicy, rozglądając się, czy nikt go nie śledzi.

Siedząc w konfesjonale, rozmyślał o Gunerze. Zauważył, że Guner stał się bardzo nerwowy, jakby nie czuł się dobrze w jego obecności, jakby miał do niego pretensję. Mógł się domyślać, że wierny sługa ma dosyć tej historii, podobnie jak on sam. Nikt nie wiedział, że Addai jest w Mediolanie, nawet Guner. Pasterz Bakkalbasi kierował akcją pozbycia się Mendibha, on jednak musiał zorganizować inną akcję, o której nie wiedział nikt z jego ludzi. Mężczyzna, na którego czekał, był mordercą. Płatnym zabójcą, który pracuje w pojedynkę i nigdy nie popełnia błędów. Przynajmniej tak było do tej pory.

Dowiedział się o nim od człowieka z Urfy, członka wspólnoty, który przyszedł do niego błagać o wybaczenie za grzechy.

Mężczyzna wyemigrował do Niemiec, a stamtąd do Stanów Zjednoczonych, nie powiodło mu się jednak, jak powiedział, i zszedł na złą drogę. Ani się obejrzał, już był potentatem narkotykowym, który zalewał heroiną Europę. Zgrzeszył, ale nigdy nie zdradził wspólnoty. Wrócił do Urfy, kiedy wykryto u niego ciężką chorobę. Wiedział, że umrze, diagnoza nie pozostawiała co do tego wątpliwości, rak zżerał jego wnętrze, medycyna była bezradna. Postanowił wrócić do domu, do miejsca, w którym upłynęło jego dzieciństwo, i szukać przebaczenia u pasterza. Ofiarował też znaczną kwotę wspólnocie. Bogaci ludzie wierzą, że mogą kupić sobie zbawienie.

Zaoferował swoją pomoc na rzecz świętej misji wspólnoty, lecz Addai odrzucił jego ofiarę. Żaden bezbożnik, choćby wywodził się ze wspólnoty, nie będzie mógł uczestniczyć w świętej misji, nawet jeśli duchowym obowiązkiem pasterza było pocieszenie i danie grzesznikowi ostatniej szansy poprawy.

Wiele jednak rozmawiali, mężczyzna traktował te rozmowy jak spowiedź. Podczas jednej z nich wręczył Addaiowi kartkę z numerem skrzynki pocztowej w Rotterdamie, mówiąc, że jeśli pewnego dnia pasterz będzie szukał kogoś do wykonania trudnego, niemożliwego zadania, ma wysłać list na ten adres.

Addai tak właśnie uczynił. Wysłał niezapisaną kartkę z numerem telefonu komórkowego, który kupił po przyjeździe do Frankfurtu. Dwa dni później zadzwonił nieznajomy. I oto teraz Addai siedział w konfesjonale, czekając na płaćnego zabójcę.

Drgnął. Z rozmyślań wyrwał go szept dochodzący zza kratki konfesjonału:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
- Na wieki wieków.
- Powinien pan być ostrożniejszy, roztargnienie źle się kończy - zauważył nieznajomy.
- Chcę, by zabił pan człowieka.
- Tym się zajmuję. Przyniósł pan jakieś informacje?
- Nie. Sam musi go pan namierzyć.
- To podniesie cenę.

Przez piętnaście minut Addai wyjaśniał zabójcy, na czym polega jego zadanie. Potem tamten wstał z klęczek i zniknął w cieniu bocznej nawy.

Addai wyszedł z konfesjonału, uklęknął w jednej z ławek i wybuchnął płaczem.

* * *

Bakkalbasi usiadł na sofie. Dom w Berlinie był bezpieczny.

Wspólnota prawie nigdy z niego nie korzystała. Ahmed powiedział mu, że należy do przyjaciółki jego syna, która wyjechała na wakacje na Karaiby i zostawiła mu klucze, by co jakiś czas dosypywał jedzenie kotu.

Długowłose pers zamiauczał na jego widok. Bakkalbasi nie lubił kotów, był uczulony na ich sierść, więc natychmiast zaczął kasłać i drapać się po całym ciele. Opanował się jednak.

Po chwili przyszli umówieni ludzie.

Znał ich od dzieciństwa. Trzej pochodzili z Urfy, ale pracowali w Niemczech. Pozostali dwaj przyjechali specjalnie z tego miasta, każdy inną drogą. Wszyscy byli lojalnymi członkami wspólnoty, gotowymi oddać za nią życie, tak jak ich bracia i krewni w dalekiej przeszłości.

Czekała ich bolesna misja: muszą zadać śmierć jednemu ze swoich. Pasterz Bakkalbasi zapewniał jednak, że w przeciwnym razie wspólnota zostanie odkryta. Nie było wyjścia.

Bakkalbasi zdradził im, że wuj ojca Mendibha zobowiązał się zadać niemowle śmiertelny cios. Dadzą mu tę możliwość, ale muszą mieć pewność, że wywiąże się z zadania. Należy więc zorganizować całą operację i śledzić Mendibha od pierwszej chwili, gdy stanie po drugiej stronie więziennej bramy.

Trzeba sprawdzić, czy policja będzie za nim szła, by doprowadził ich aż do wspólnoty.

Mogli liczyć na pomoc dwóch członków wspólnoty turyńskiej, nie powinni jednak narażać się na ryzyko, że któryś z nich zostanie zatrzymany. Ich zadaniem było nie tracić chłopaka z oczu, tylko tyle. Gdy nadarzy się okazja, by go zabić, należy zrobić to bez wahania, choć w pierwszym rzędzie, jak uprzedził ich Bakkalbasi, ten honor przysługuje jego krewnemu.

Każdy miał wrócić do Turynu sam, najlepiej samochodem.

Brak granic wewnątrz Unii Europejskiej umożliwiał im przemieszczanie się z kraju do kraju bez zostawiania śladu w komputerach służb granicznych. Potem powinni udać się na zabytkowy cmentarz w Turynie i poszukać kwatery numer 117.

Mały kluczyk schowany w wazonie zaraz przy wejściu do grobowca otworzy im wejście.

Kiedy już znajdą się w środku, muszą uruchomić ukryty mechanizm, który odsłoni przed nimi sekretne schody pod jednym z sarkofagów, prowadzące do podziemnego korytarza, wiodącego do samej katedry, a nawet do mieszkania Turguta.

Podziemia będą ich domem przez cały pobyt w Turynie. Nie wolno im się zameldować w żadnym hotelu, muszą być niewidzialni. Cmentarz nie był zbyt uczęszczany, chociaż niektórzy ambitni turyści zaglądali tu, by rzucić okiem na barokowe nagrobki. Strażnik, staruszek, którego ojciec wyemigrował z Urfy i ożenił się z Włoszką, był członkiem wspólnoty i dobrym chrześcijaninem.

- Stary Turgut z pomocą Ismeta przygotował dla nich podziemną kwaterę. Nikt ich tam nie znajdzie, bo nikt nie wie o istnieniu tunelu, który zaczyna się w grobowcu na cmentarzu, a kończy w katedrze. Żaden plan podziemnego miasta nie uwzględnił tego przejścia. To tam miało spocząć ciało Mendibha. Pochowane w turyńskich podziemiach na wieczność.

* * *

- Wszystko jasne? - zapytał.

- Tak jest, Marco - powiedzieli Minerva, Sofia i Giuseppe. Antonino i Pietro przytaknęli skinieniem głowy.

Była siódma rano i nie ze wszystkich twarzy zeszły jeszcze ślady snu. O dziewiątej niemowa wyjdzie na wolność.

Valoni drobiazgowo przygotował całą operację śledzenia Mendibha. Pomoże im oddział karabinierów i paru ludzi z Interpolu. Przede wszystkim jednak liczył na swój zespół.

Czekali na śniadanie. Kawiarnię hotelową otwarto tuż przed ich przyjściem i obsługa dopiero nakrywała do stołów.

Sofia nie wiedziała, dlaczego jest taka zdenerwowana. Zauważyła jednak, że i Minervie lekko drżą ręce. Nawet Antonino był spięty i mocno zaciskał usta. Tylko Marco, Pietro i Giuseppe nie wyglądali na zaniepokojonych. Dla nich, zawodowych policjantów, śledzenie kogoś było rutyną.

- Marco, starałam się znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego tylu ludzi z Urfy ma jakieś powiązania z całunem.

W nocy przeglądałam Ewangelie apokryficzne i parę innych książek, które kupiłam poprzedniego dnia, na przykład historię Edessy. Może to niezbyt mądre, ale...

- Słucham, Sofio, wszyscy zamieniamy się w słuch. Opowiedz nam, do jakich doszłaś wniosków - zachęcił ją Valoni.

- Nie wiem, czy Antonino się ze mną zgodzi, ale jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że Urfa to Edessa i że dla pierwszych chrześcijan z Edessy całun był bardzo ważny, bo uzdrowił króla Abgara i traktowano go jak relikwię, to sprawa nabiera innego wymiaru. Później odebrał go im cesarz Rzymu, Lekapenos... Może postanowili go odzyskać?

Sofia zamilkła, szukając właściwych słów.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Valoni.

- O ile zdarzają się zastanawiające zbiegi okoliczności, w tym jednym muszę przyznać ci rację: to nieprawdopodobne, by tak wielu ludzi z Urfy miało związek z całunem. Co więcej, podejrzewam, że nasz niemowa pochodzi z tego miasta, a jego przybycie tutaj również miało związek z relikwią. Nie wiem, może pożary miały tylko odwrócić uwagę, a w gruncie rzeczy chodziło o kradzież tego płótna?

- Co za bzdury! - wykrzyknął Pietro. - Sofio, nie psuj nam ranka takim bredzeniem! To bajki dla dzieci!

- Słuchaj, Pietro, jestem już za duża na bajki. Owszem, to dosyć ryzykowne spekulacje, ale nie przesadzaj i nie odrzucaj od razu wszystkiego, co nie jest zgodne z twoimi teoriami.

- Uspokójcie się, dzieci! - upomniął ich Valoni. - To, o czym mówisz, Sofio, nie tyle nie trzyma się kupy, co przypomina trochę scenariusz filmowy... Sam nie wiem... Znaczyłoby to, że...

- Znaczyłoby to - ucięła Minerva - że w Urfie jest wielu chrześcijan, dlatego wszyscy, których spotykamy w Turynie chodzą do kościoła, biorą śluby kościelne i zachowują jak dobrzy katolicy.

- Chrześcijanie to nie to samo co katolicy - wtrącił Antonino.

- Wiem o tym - odparła Minerva - ale jak już się tu znajdują, wolą wtopić się w otoczenie i modlić do Chrystusa, wszystko jedno, czy robią to w katedrze turyńskiej, czy gdziekolwiek indziej.

- Przykro mi Sofio - westchnął Valoni - w dalszym ciągu nie widzę...

- Masz rację, to tylko szalona teoria, przepraszam - wycofywała się Sofia.

- Nie, nie przepraszaj. Trzeba rozważyć wszystkie możliwości, nie należy odrzucać od razu żadnej teorii, nawet jeśli brzmi nieprawdopodobnie. Chciałbym usłyszeć opinie pozostałych.

Poza Minervą nikt nie podzielał zdania Sofii.

- Mnie się wydaje - zakończył dyskusję Pietro - że mamy do czynienia z organizacją przestępczą, bandą złodziei, być może powiązanych z Urfą, ale bez żadnych podtekstów historycznych.

* * *

W Nowym Jorku była chłodna, deszczowa noc. Mary Stuart podeszła do Umberta D'Alaqua.

- Jestem wyczerpana! Ale prezydent wydaje się taki zadowolony, że byłoby nieuprzejmością wyjść w tej chwili. Co sądzisz o Lanym?

- Inteligentny człowiek i fantastyczny gospodarz.

- James by się z tobą zgodził, ja nie jestem przekonana do tych Winstonów. Ta kolacja... wydaje się trochę na pokaz.

- Mary, jesteś Angielką, ale wiesz, jacy są Amerykanie, którym się powiodło. Lany Winston ma prawo do pewnych przywilejów, to król mórz, największy armator na świecie.

- Tak, to wszystko prawda, ale i tak nie przypadł mi do gustu. W tym domu nie ma ani jednej książki, zauważyłaś? Domy bez książek wiele mówią o swoich właścicielach.

- Przynajmniej nie mamy do czynienia z hipokrytą, pyszniącym się biblioteką pełną luksusowo oprawionych wolumenów, po które nikt nigdy nie sięga.

Po północy siedmiu mężczyzn stanęło w kącie salonu, każdy z lampką szampana w ręku. Palili hawańskie cygara i zdawali się być pochłonięci rozmową o interesach.

- Mendibh lada moment wyjdzie z więzienia. Wszystko jest już gotowe - poinformował najstarszy z nich.

- Martwi mnie ta sytuacja. Pasterz Bakkalbasi ma siedmiu ludzi, Addai zatrudnił zawodowca, a Marco Valoni wyraźnie szykuje się do jakiejś operacji. Czy nie za bardzo się narażamy? Czy nie lepiej pozwolić im to załatwić? - zapytał dżentelmen z Francji.

- Mamy przewagę, gdyż wiemy wszystko o planach Valoniego i Bakkalbasiego. A co się tyczy zabójcy najętego przez Addaia, nie widzę problemu. Wszystko jest pod kontrolą. Mendibh stanowi problem dla Addaia i dla nas, bo Marco Valoni ma obsesję na tym punkcie - ciągnął starzec. - Bardziej jednak martwiłbym się tą dziennikarką, siostrą wysłannika Europolu do Rzymu, i panią doktor Galloni. Obie są niepokojąco bliskie odkrycia prawdy. Ana Jimenez spotkała się z lady Elisabeth McKenny, ta zaś przekazała jej teczkę, podsumowanie swoich poszukiwań. Znaćcie je. Przykro mi, że muszę podjąć taką decyzję, ale lady Elisabeth, dziennikarka oraz doktor Galloni stały się dla nas niewygodne. To inteligentne kobiety, tym większe stanowią zagrożenie.

Zaległa przytłaczająca cisza.

- Co chcesz zrobić? - zapytał w końcu mężczyzna z włoskim akcentem.

- To, co należy. Przykro mi - odpowiedział cicho starzec.

- Nie należy działać pochopnie.

- Nie działamy pochopnie, ale tamci posunęli się dalej, niżbyśmy sobie tego życzyli. Nadszedł moment, by dokonać cięcia. Proszę was o radę, nie tylko o pozwolenie.

- Możemy jeszcze poczekać? - zapytał mężczyzna o wyglądzie wojskowego.

- Niestety nie, chyba że chcemy narazić się na ryzyko. Przykro mi. Wzdragam się przed tą decyzją, tak samo jak wy, ale nie widzę innego rozwiązania. Jeśli któryś z was uważa, że istnieje inna opcja, proszę bardzo, zamieniam się w słuch.

Mężczyźni milczeli. Wszyscy w głębi duszy przyznawali starcowi rację. Prześledzili każdy krok tych trzech kobiet, wiedzieli na ich temat wszystko. Dzięki hakerom i podsłuchowi od lat znali każde słowo, jakie pojawiało się w komputerze Elisabeth, słyszeli każdą jej rozmowę telefoniczną. Zainstalowano podsłuch w redakcji „Zagadek Historii”, w domu dziennikarzy, nawet w fotelu inwalidzkim kobiety.

Ogromne koszty, jakie Paul Bisol poniósł na środki bezpieczeństwa, nie zdały się na nic. Wiedzieli o nich wszystko.

Podobnie już od kilku miesięcy mieli jak na dłoni Sofię i Anę.

Znali nazwę perfum, jakimi się skrapiały, tytuły lektur do poduszki, nazwiska znajomych i kochanków. Śledzili je w dzień i w nocy.

Od paru miesięcy znali również każdy szczegół z życia pracowników grupy dochodzeniowej,

monitorowali wszystkie połączenia telefoniczne z aparatów stacjonarnych i komórkowych, znali każdy krok każdego z policjantów.

- I co teraz? - zapytał starzec.

- Nie chciałbym... - zaczął ten z włoskim akcentem.

- Rozumiem - starzec nie pozwolił mu dokończyć zdania - rozumiem. Nic więcej nie mów. Nie musisz brać udziału w podejmowaniu decyzji.

- Sądzisz, że ulży to mojemu sumieniu?

- Nie, to będzie trudne. Ale może ci pomóc. Wydaje mi się, że potrzebujesz pomocy, pomocy duchowej. Wszyscy w życiu mieliśmy takie chwile. Nie jest łatwo, ale nie wybraliśmy łatwej drogi, porwaliśmy się na rzecz wręcz niemożliwą. Wyzwania, wobec których stajemy, są miarą naszej wartości.

- Po tym, jak poświęciłem całe życie... uważasz, że jeszcze muszę udowodniać, że dorosłem do misji? - głos Włocha drżał.

- Nie, nie sądzę, byś musiał cokolwiek udowodniać - odparł starzec. - Widzę, jak cierpisz. Musisz poszukać pocieszenia, porozmawiać o tym, co czujesz. Ale nie tu i nie z nami wszystkimi. Rozumiem, że się męczysz, ale proszę cię, zaufaj nam i pozwól działać.

- Nie, nie zgadzam się.

- Mogę cię na jakiś czas zwolnić z obowiązków, dopóki nie poczujesz się lepiej.

- Jak uważasz. Co jeszcze zrobisz?

Pozostali rozmówcy zaczęli czuć się nieswojo. Napięcie rosło, lada chwila mogli ściągnąć na siebie ciekawe spojrzenia pozostałych gości.

- Przyglądają się nam - syknął mężczyzna przypominający wojskowego. - Co to za zachowanie? Postradaliście rozum? Przełożmy tę rozmowę na kiedy indziej.

- Nie ma czasu - odparł staruszek. - Proszę was o przyzwolenie.

- Niech się stanie - powiedzieli chórem. Jedynie Włoch zacisnął usta i odwrócił się do nich plecami.

* * *

Sofia i Minerva siedziały w centrali karabinierów. Dochodziła dziewiąta, kiedy Valoni

zawiadomił je, że otwiera się więzienna brama. Niemowa wyszedł na ulicę. Szedł powoli, patrząc przed siebie bez wyrazu. Za jego plecami zatrzasnęła się brama, ale się nie odwrócił. Przeszedł dwieście metrów dzielących go od przystanku autobusowego i zatrzymał się.

„Jest bardzo spokojny”, mówił Valoni do mikrofonu ukrytego w klapie kurtki. „Nie okazuje żadnych emocji, nawet radości, że jest wolny”.

Mendibh uznał, że najprawdopodobniej ktoś go śledzi. Nie widział nikogo, ale wiedział, że są tam, pilnując każdego jego kroku. Musi ich jakoś zmylić. Tylko jak? Postara się zrealizować plan, jaki naszkicował sobie w więzieniu. Dotrze do centrum, poczeka trochę, prześpi się na ławce w parku. Nie miał za dużo pieniędzy, stać go było na trzy czy cztery noclegi w pensjonacie i kanapki. Musi też pozbyć się ubrań i tych adidasów. Wprawdzie wszystko dokładnie obejrzał i nie znalazł niczego podejrzanego, ale instynkt podpowiadał mu, że to nie jest normalne, by ktoś zabierał mu ubranie i oddawał czyste i uprasowane, wraz z wypucowanymi butami. A wszystko to rzekomo z troski o wizerunek więzienia.

Znał Turyn. Addai posłał ich tu na rok przed nieudanym wypadem po całun, tylko po to, by poznali miasto. Posłuchali jego wskazówek: dużo chodzili, przemierzali miasto wzdłuż i wszerz. To najlepszy sposób, by je poznać, pieszo, poza tym musieli nauczyć się tras autobusów.

Zbliżał się do centrum. Nadszedł moment, by uciec od tych, którzy na pewno za nim podążają.

- Zdaje się, że mamy towarzystwo. Na scenie pojawiły się dwa ptaszki - rozległ się w radiu głos Valoniego.

- Kto to taki? - zapytała Minerva.

- Nie mam pojęcia, wyglądają na Turków.

- Turków lub Włochów - usłyszeli głos Giuseppego. - Niczym się od nich nie różnimy, czarne włosy i śniada cera.

- Ilu ich jest? - zainteresowała się Sofia.

- Na razie dwóch - odparł Valoni. - Ale może być ich więcej. Są młodzi. Niemy wygląda, jakby z niczego nie zdawał sobie sprawy. Włóczy się bez celu, gapi na wystawy...

Usłyszały, jak szef udziela instrukcji karabinierom, by nie spuszczały tych ptaszków z oka.

Ani Valoni, ani pozostali policjanci nie zwrócili uwagi na kulejącego staruszka sprzedającego losy na loterię. Nie był zbyt wysoki ani szczególnie niski, niezbyt otyły ani też przesadnie chudy, ubrany skromnie, stapiał się z krajobrazem dzielnicy Crocetta.

Starzec jednak widział ich doskonale. Zabójca wynajęty przez Addaia miał sokoli wzrok; do tej pory wypatrzył dziesięciu policjantów i czterech wysłanników pasterza Bakkalbasiego.

Był poirowany. Człowiek, który zlecił mu tę robotę, nie ostrzegł go, że w okolicy będzie roić się od policji, ani że niemowę będą śledzili ludzie tak bardzo do niego podobni.

Musi uważać, a przede wszystkim zażądać wyższej stawki.

Naraża się na ogromne niebezpieczeństwo. W dodatku zbyt liczne towarzystwo przeszkodzi mu w przeprowadzeniu operacji tak, jak zaplanował.

Kolejny mężczyzna wzbudził jego podejrzenia, ale na krótko.

Nie, ten nie jest policjantem, nie wyglądał też na Turka, z pewnością nie ma nic wspólnego z tą sprawą, chociaż porusza się w dziwny sposób... Poszedł sobie. Falszywy alarm, nie ma powodów do zdenerwowania.

Przez cały dzień Mendibh włóczył się po mieście. Zrezygnował z drzemki na ławce, to byłby błąd. Ten, kto szykuje na niego zamach, miałby dzięki temu łatwiejsze zadanie. Mendibh skierował się do przytułku Sióstr Miłosierdzia, który wypatrzył rano. Przychodzili tam włóczędzy i bezdomni w poszukiwaniu jedzenia i miejsca, gdzie mogliby trochę odpocząć. Tam będzie bezpieczny.

Valoni był wykończony. Kiedy już upewnili się, że niemowa posilił się zupą z kotła u sióstr i pobrał materac, który ułożył nieopodal krzesła zakonnicy pilnującej sali, komisarz zostawił na posterunku Pietra.

Był pewny, że tej nocy Mendibh już nigdzie nie pójdzie, postanowił więc przespać się w hotelu i polecił swoim podwładnym zrobić to samo, zwalnając ich ze służby, oprócz Pietra i grupy wsparcia, którą tworzyli trzej karabinierzy. Tyle wystarczy, by ruszyć za niemową, jeśli zdecyduje się wyjść w nocy z przytułku.

Podczas późnej kolacji w hotelu Sofia i Minerva zasypały go pytaniami. Chciały, by jeszcze raz wszystko im opowiedział, chociaż przez cały dzień na bieżąco relacjonował im, co się dzieje. Poprosiły, by pozwolił im uczestniczyć w patrolowaniu ulic, on jednak stanowczo się temu sprzeciwił.

- Potrzebuję was do koordynowania operacji. Poza tym za bardzo rzucacie się w oczy.

- * * *

Ana Jimenez czekała na paryskim lotnisku na nocny lot do Rzymu. Stamtąd zamierzała udać się do Turynu. Była zdenerwowana. Pobieżne przejrzanie materiałów z teczek Elisabeth utwierdziło ją w przekonaniu, że ma do czynienia z czymś, co ją przerasta. Jeśli prawdą jest tylko jedna czwarta tego, co przeczytała, to już powinna zacząć się bać. Jeśli mimo to postanowiła wrócić do Turynu, to dlatego, że jedno z nazwisk występujących w zapiskach przewijało się już w raporcie, który Marco Valoni pokazał kiedyś jej bratu, więc jeśli Elisabeth mówi prawdę, człowiek ten jest jednym z

mistrzów nowego zakonu templariuszy i ma ścisły związek z całunem.

Ana podjęła decyzję: porozmawia z Sofią, a potem pojawi się bez zapowiedzi w siedzibie episkopatu i zdemaskuje ojca Yvesa.

Pierwsza część planu się nie powiodła, przez cały ranek, aż do południa, Ana bezskutecznie usiłowała połączyć się z Sofią.

W hotelu powiedzieli jej, że pani Galloni wyszła bardzo wcześnie i nikt nie widział, by wróciła. Ana zostawiła jej kilka wiadomości na automatycznej sekretarce, ale Sofia nie oddzwoniła. Wydawała się nieosiągalna. Co do księdza Yvesa, pójdzie do niego jutro z samego rana.

Elisabeth miała rację; jest bliska ważnego odkrycia, choć na razie nie wie jeszcze, co też to może być.

* * *

Ludzie Bakkalbasiego zdołali zgubić karabinierów. Jeden został, by mieć na oku wejście do schroniska dla bezdomnych, pozostali rozeszli się, każdy w swoją stronę. Kiedy dotarli do cmentarza, zapadał wieczór i strażnik czekał na nich, nie kryjąc zdenerwowania.

- Pośpieszcie się, muszę już iść. Dam wam klucz do bramy, jeśli kiedyś wróciecie zbyt późno i już mnie nie będzie, sami sobie otworzycie.

Podprowadził ich do grobowca, którego wejścia strzegł anioł z mieczem w dłoni. Czterej mężczyźni weszli do środka, oświetlając sobie drogę latarką, po czym zniknęli w ciemnościach.

Ismet czekał na nich w podziemnej kryjówce. Przyniósł im wody, by się obmyli, i coś do jedzenia. Byli głodni i wyczerpani i jedyne, czego chcieli, to się zdrzemnąć.

- Gdzie Mehmet?

- Został w pobliżu noclegowni Mendibha, na wszelki wypadek, gdyby tamtemu przyszło do głowy wyjść w nocy na ulicę. Addai ma rację, chcą, by Mendibh doprowadził ich do nas. Przygotowali imponującą operację - wyjaśnił jeden z mężczyzn, który w Urfie był policjantem.

- Odkryli was? - zapytał zmartwiony Ismet.

- Nie, nie sądzę - odparł drugi mężczyzna, również policjant. - Ale nie odrzucam takiej możliwości, jest ich wielu.

- Musimy bardzo uważać, a jeśli wyda wam się, że za wami idą, nie powinniście się tu zbliżać - upomniał ich Ismet.

- Wiemy, wiemy, nie martw się, tym razem nikt za nami nie poszedł.

* * *

O szóstej rano Valoni stał już na posterunku niedaleko noclegowni. Poprosił o jeszcze kilku karabinierów, których oddelegował do śledzenia tych dwóch podejrzanych mężczyzn pilnujących niemowy.

- Starajcie się, żeby was nie zauważyli, chcę mieć ich całych i zdrowych. Jeśli śledzą niemowę, to znaczy, że są z organizacji, której szukamy. Trzeba ich zatrzymać, ale nie teraz, na razie musimy jeszcze trochę podkreślić akcję.

Pietro upierał się, że mimo całonocnej służby nie zejdzie ze stanowiska.

- Nie martw się, nie zasnę. Jak już nie będę mógł wytrzymać, uprzedzę cię i pójdę się zdrzemnąć.

Sofia wysłuchiwała wiadomości od Any nagranej na poczcie głosowej. W głosie dziewczyny słychać było przejęcie. W recepcji przekazali, że pani Jimenez dzwoniła pięć razy. Sofię trochę gryzło sumienie, że do niej nie oddzwania, ale nie miała teraz czasu zastanawiać się nad jej nieprawdopodobnymi teoriami. Zatelefonuje do niej, gdy już zamknie sprawę. Zmierzała do wyjścia, kiedy dogonił ją boy hotelowy.

- Doktor Galloni! Pani doktor!

- O co chodzi?

- Telefon do pani, pilny.

- Nie mogę w tej chwili rozmawiać, powiedz recepcjonistce, żeby zanotowała wiadomość.

- Ale ona mówi, że to pan D'Alaqua i że ma bardzo pilną sprawę.

Zawróciła, nie bacząc na zaskoczenie Minervy, i podeszła do jednego z telefonów w recepcji.

- Nazywam się Galloni, zdaje się, że jest do mnie telefon.

- Wreszcie! Pan D'Alaqua bardzo nalegał, byśmy panią odnaleźli. Proszę chwilę poczekać.

Głos Umberta brzmiał dziwnie, jakby starał się ukryć zdenerwowanie, co zaskoczyło Sofię.

- Sofia...?

- To ja, słucham. Jak się pan miewa?

- Chciałbym się z panią spotkać.
- Byłoby mi bardzo miło, ale...
- Nie ma „ale”, za dziesięć minut podjedzie po panią samochód.
- Przykro mi, ale wychodzę do pracy. Dzisiaj to niemożliwe. Czy coś się stało?

- Owszem, chcę pani złożyć propozycję. Wie pani, że moją wielką pasją jest archeologia, nie zdziwi się więc pani, że wybieram się do Syrii. Mam tam koncesję na pewne złoża i tak się składa, że przy jego eksploatacji zostały odkryte ciekawe obiekty archeologiczne - chciałbym, by je pani oceniła. Po drodze będziemy mieli czas na rozmowę, kto wie, czy nie mógłbym pani zaoferować ciekawej pracy.

- Bardzo panu dziękuję, ale teraz nie mogę, przykro mi.
- Sofio, niektóre okazje trafiają się tylko raz w życiu.
- Zdaję sobie z tego sprawę, ale niektórzy mają obowiązki.

Nie mogę w jednej chwili wszystkiego rzucić, więc jeśli zechce pan poczekać dwa lub trzy dni...

- Nie, nie sądzę, bym mógł czekać trzy dni.
- To takie pilne? Już dzisiaj musi pan jechać do Syrii?
- Tak.
- Przykro mi, może za kilka dni mi się uda...

- Nie, to chyba nie będzie możliwe. Bardzo panią proszę, niech pani ze mną jedzie. Natychmiast.

Sofia zawahała się. Propozycja Umberta D'Alaquy zbiła ją z tropu, tak samo jak jego nieustępliwość.

- Czy coś się stało? Proszę mi powiedzieć., - Staram się...

- Przepraszam, naprawdę żałuję, że nie mogę dzisiaj wyjechać. Muszę już iść, ktoś na mnie czeka, nie mogę się spóźnić.

- Życzę szczęścia.
- Tak... Dziękuję.

Dlaczego życzy jej szczęścia? Była zdeorientowana, nie wiedziała, jak ma rozumieć ten telefon. I skąd ten zrezygowany, smutny ton, kiedy życzył jej szczęścia? Szczęścia w czym? W życiu? W pracy? Czyżby wiedział o operacji pod kryptonimem „Koń trojański”?

Kiedy zakończy się sprawa z niemową, sama do niego zadzwoni. Była przekonana, że za ofertą wyjazdu do Syrii kryje się coś więcej i że wcale nie chodzi o romans.

- * * *

- Czego chciał D’Alaqua? - zapytała Minerva w drodze do centrali.
- Żebym pojechała z nim do Syrii.
- Do Syrii? Dlaczego akurat do Syrii?
- Bo prowadzi tam wykopaliska archeologiczne.
- Więc nie zaproponował ci romantycznego wypadu?
- Wydaje się, że zaproponował mi wypad, tyle że nie romantyczny. Dziwne, jego głos brzmiał, jakby był czymś zmartwiony.

* * *

Kiedy wreszcie dotarli do centrali, okazało się, że Valoni dzwonił już dwa razy, nie mogąc się doczekać ich przyjazdu.

Był w złym humorze. Nadajnik zainstalowany w bucie niemowy przestał działać. Słychać było jakieś szelesty i świsty, ale nie prowadziły do miejsca, w którym przebywał ich „podopieczny”. Albo niemowa znalazł urządzenie, albo się zepsuło.

Dość szybko się przekonali, że zostali przechytrzeni. Turek zmienił buty. Te, które nosił teraz, były starsze i jeszcze bardziej znoszone. Miał na sobie również wyświechtane dżinsy i kurtkę, choć opuszczał więzienie w innym stroju. Ktoś zrobił dobry interes na tej wymianie.

Niemowa wyszedł i udał się w stronę parku Carrara. Widzieli, jak spaceruje wśród drzew. Nigdzie jednak nie było widać dwóch Turków, których zauważyli poprzedniego dnia.

Niemowa niósł kawałek chleba, który kruszył i rzucał ptakom. Minał mężczyznę prowadzącego za rękę dwie córeczki.

Valoniemu wydało się, że w ułamku sekundy mężczyźni porozumieli się wzrokiem, a potem przyspieszyli kroku.

Nie uszło to również uwagi zabójcy. Nie miał wątpliwości, to łącznik jego ofiary. Czekał na chwilę, kiedy będzie mógł oddać strzał, jednak Mendibha osłaniał z tuzin karabinierów.

Strzelanie na oczach policji byłoby samobójstwem. Musi być cierpliwy, będzie obserwował Turka przez kolejne dwa dni, i jeśli sytuacja sienie zmieni, zerwie kontrakt. Nie zamierza aż tak ryzykować. Chełpił się, że jego największą zaletą, poza pewną ręką, jest rozsądek. Nigdy nie zrobił fałszywego kroku.

Ani Valoni i jego ludzie, ani Turcy śledzący niemowę, ani płatny zabójca nie mieli pojęcia, że wszystkich razem nie spuszczają z oka dwaj mężczyźni.

Arslan zadzwonił do kuzyna. Owszem, widział Mendibha, minęli się w parku Carrara. Wydawało się, że dobrze wygląda.

Nie rzucił jednak kartki, jak to było umówione, ani nie dał mu znaku. Pewnie nie czuł się bezpiecznie. Zdaje się, że chciał się tylko pokazać, żeby wiedzieli, że jest na wolności.

Ana Jimenez kazała taksówkarzowi zawieźć się do katedry turyńskiej. Weszła drzwiami prowadzącymi do biur siedziby biskupstwa i zapytała o ojca Yvesa.

- Nie ma go - poinformowała sekretarka. - Towarzyszy kardynałowi w wizycie duszpasterskiej. Nie była pani umówiona, o ile dobrze pamiętam?

- Nie, wiem jednak, że ojciec Yves bardzo by się ucieszył, gdyby mógł się ze mną spotkać - rzuciła Ana, choć wiedziała, że brzmi to trochę bezczelnie. Nie mogła jednak znieść protekcyjnego tonu sekretarki.

Po raz kolejny zadzwoniła do Sofii, i po raz kolejny jej nie zastała. Postanowiła pokręcić się w pobliżu katedry, dopóki nie wróci ksiądz Yves de Charny.

Bakkalbasi odebrał raport od jednego ze swoich ludzi.

Mendibh nadal włóczy się po mieście, zlikwidowanie go jest prawie niemożliwe. Chodzą za nim karabinierzy, jeśli nadal będą go śledzili, w końcu wpadną na trop wspólnoty.

Pasterz nie wiedział, jakie polecenia wydać swoim ludziom.

Operacja wisiała na włosku, Mendibh może się przyczynić do upadku wspólnoty. Należało przyspieszyć wejście do akcji wuja Mendibha. Jakiś czas temu zgodził się, by pod narkozą usunięto mu wszystkie zęby i język i wypalono linie papilarne.

Było to poświęcenie nie mniejsze od ofiary, jaką złożył Marcjusz, architekt króla Abgara.

Mendibh czuł, że jest śledzony. Poza tym wydawało mu się, że rozpoznaje twarz, twarz człowieka z Urfy, nie wiedział tylko, czy ten człowiek jest tu po to, by mu pomóc, czy przeciwnie. Dobrze znał Addaia, wiedział, że nie pozwoli, by z winy jednej osoby zdekonspirowano całą wspólnotę. Gdy tylko zapadnie noc, wróci do przytułku, a jeśli to będzie możliwe, wymknie się na cmentarz, przeskoczy okalający go żywopłot i odnajdzie grobowiec. Dobrze pamięta, jak tam trafić i gdzie ukryty jest klucz. Przejdzie podziemnym korytarzem aż do domu Turguta i poprosi go o pomoc. Jeśli uda mu się tam niepostrzeżenie dotrzeć, Addai może zorganizuje jego ucieczkę. Nie przerażała go wizja spędzenia dwóch czy trzech miesięcy pod ziemią. Chciał przeżyć.

Skierował się na targowisko przy Porta Palazzo, żeby kupić coś do jedzenia, i spróbować zgubić się między straganami.

Tym, którzy go śledzą, trudniej będzie zakamuflować się na targu, a jeśli zaczną odróżniać ich twarze, łatwiej będzie ich zgubić, kiedy nadarzy się szansa ucieczki.

Przyszli po niego do domu. Bakkalbasi dał mu nóż. Stary wziął go bez wahania. Skoro trzeba zabić syna bratanka, woli zrobić to sam, niż pozwolić, by sprofanowali go obcy. Podwójny sygnał z telefonu komórkowego pasterza oznaczał, że nadeszła dla nich wiadomość: Mendibh jest na Porta Palazzo, na targu.

Bakkalbasi kazał kierowcy, by udał się na Porta Palazzo i zatrzymał samochód nieopodal miejsca, w którym widziano Mendibha. Potem objął starego i pożegnał się z nim. Modlił się, by ten podołał zadaniu.

Mendibh od razu zauważył wuja. Staruszek szedł w jego stronę sztywno jak robot. Jego udręczone spojrzenie zapaliło ostrzegawczą lampkę w głowie chłopaka. Wuj nie wyglądał teraz jak szanowany członek wspólnoty, w jego oczach widać było desperację. Co mu się stało?

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Mendibh nie wiedział, co robić. Uciekać czy podejść jak gdyby nigdy nic? Może wuj poda mu jakąś kartkę lub szeptem przekaże wiadomość. Postanowił mu zaufać. Z całą pewnością w jego spojrzeniu jest tylko strach, staruszek nie czuje się pewnie w dużym mieście, może boi się Addaia i policji.

Otarli się o siebie i nagle Mendibh poczuł ból pod żebrem.

W tej samej chwili staruszek osunął się na ziemię tuż przy nim. W jego plecy wbity był nóż. Natychmiast zbiegli się ludzie, a Mendibh rzucił się do ucieczki.

Morderca stał w tłumie gapiów. Nie wywiązał się z zadania.

Zamiast zabić niemowę, zakłuł na śmierć jakiegoś starucha.

Tylko dlaczego tamten trzymał w ręku sztylet? Miał dość tej roboty, nigdy więcej nie podejmie się podobnego zadania.

Jego zleceniodawca nie powiedział mu całej prawdy, a nie sposób pracować, kiedy człowiek nie wie, z czym się mierzy.

Uważał umowę za zerwaną. Nie zwróci zaliczki, za bardzo narażał się przy tej robocie.

Wkrótce na miejsce zbrodni dotarł Valoni i jego ludzie.

Mendibh obserwował ich zza rogu, podobnie jak śledzących go Turków.

- Nie żyje? - zapytał Pietro.

Valoni starał się wyczuć puls na szyi starca. Ten otworzył oczy, stęknął, jakby chciał coś powiedzieć, i wydał ostatnie tchnienie.

- Marco, Marco! Co się stało? - dopytywała się przez radio zdenerwowana Minerva. - Na Boga, powiedz coś!

- Ktoś usiłował zamordować niemowę, nie wiemy jeszcze kto, nikogo nie zauważyliśmy. Zabito staruszka, który tamtędy przechodził. Nie ma przy sobie dokumentów. O, jedzie karetka.

Co za cholerny bałagan!

- Uspokój się. Chcesz, żebyśmy przyjechały? - zapytała Sofia.

- Nie, to niepotrzebne, wracamy do centrali. A gdzie się podział ten niemowa, do cholery! - wykrzyknął Valoni.

- Zgubiliśmy go - powiedział głos w radiotelefonie.

Wymknął się, korzystając z zamieszania.

- Niedojdy! Przecież mówiłem, żebyście nie spuszczaali go z oka!

- Spokojnie, Marco... - uspokajał szefa Giuseppe.

Minerva i Sofia usiłowały wyobrazić sobie scenę, jaka teraz rozgrywa się przy Porta Palazzo. Po tylu miesiącach pracy nad operacją pod kryptonimem „Koń trojański”, koń właśnie oddalił się galopem!

Mendibh z trudem oddychał. Był ranny, starzec zdążył dźgnąć go nożem. Najpierw tylko trochę piekło, teraz jednak ból stał się nie do zniesienia. Najgorsze, że Mendibh zostawiał za sobą strużkę krwi. Zatrzymał się i poszukał zacienionej bramy, musi chwilę odpocząć. Wydawało mu się, że zdołał zgubić policjantów, chociaż nie był do końca pewny. Jego jedyną szansą jest dotarcie na cmentarz. Musi zaczekać, aż zapadnie noc. Tylko gdzie?

* * *

Anę zaciekał widok ludzi biegnących w stronę Porta Palazzo. Właśnie dopijała kawę w jednym z kawiarnianych ogródków. Krzyczano: „Morderca, łapać mordercę!”. Zwróciła uwagę na młodego mężczyznę, on również biegł, ale z wyraźnym trudem. Nagle zniknął w jakiejś bramie. Wiedziona ciekawością, postanowiła zobaczyć, co się stało. Nikt nie potrafił udzielić jej wyczerpujących wyjaśnień, wszyscy powtarzali tylko: „Morderca, morderca”.

Bakkalbasi widział, jak Mendibh rzuca się do ucieczki, zostawiając leżącego na ziemi starca. Kto go zabił? Na pewno nie karabinierzy. Czyżby oni? Po co jednak zabijać niedołęznego staruszka? Zadzwoił do Addaia, by zdać mu relację z tego, co się stało. Pasterz wysłuchał go i wydał dyspozycje.

Ana widziała dwóch chłopaków podobnych do tego, który zniknął w bramie. Kierowali się w tę samą stronę. Nie rozumiała, co się dzieje, wiedziała jednak, że jest świadkiem ważnych wydarzeń. Nie zastanawiając się, ruszyła ich śladem.

Dwaj mężczyźni z Urfy pomyśleli, że kobieta, która idzie za nimi, może być tajną agentką, i przyspieszyli kroku. Ukryją się i będą obserwowali Mendibha, przy okazji mając na oku dziewczynę.

Mendibh znalazł drzwi prowadzące do małej komórki, w której stały kontenery na śmieci. Usiadł na ziemi za pojemnikiem, wyężdżając całą wolę, by nie zemdleć. Stracił sporo krwi, musi zatamować krwawienie i opatrzyć ranę. Zdjął kurtkę i oderwał kawałek podszewki, by zrobić z niej prowizoryczny opatrunek uciskowy. Był wyczerpany, nie wiedział, ile czasu przyjdzie mu spędzić w tym miejscu. A jeśli znajdą go mieszkańcy domu? Może uda mu się tu przeczekać do późnej nocy, aż przyjadą służby miejskie po śmieci? Nagle zrobiło mu się ciemno przed oczami. Stracił przytomność.

* * *

Yves de Charny siedział w swoim gabinecie. Czoło przecinała mu pionowa zmarszczka. Miał kłopot.

- Ojciec, są tu ci dwaj kapłani, przyjaciele księdza, Joseph i David - powiedziała sekretarka, zaglądając do gabinetu. - Powiedziałam im, że dopiero ksiądz przyjechał i nie wiem, czy może ich przyjąć.

- Ależ tak, niech wejdą. Jego Eminencja nie będzie mnie już dzisiaj potrzebował, wyjeżdża do Rzymu. Jeśli pani chce, może pani wziąć wolne popołudnie.

- Słyszał ksiądz o tym zabójstwie, tu niedaleko, przy Porta Palazzo?

- Tak, mówili w radiu. Boże, ile przemocy jest na tym świecie!

- Mnie tam już nic nie zdziwi. Dobrze, jeśli nie ma ksiądz nic przeciwko temu, wyjdę wcześniej. Świetnie się składa, miałam iść do fryzjera, jutro idę na kolację do córki.

Księża Joseph i David weszli do gabinetu. Wszyscy czekali bez słowa, aż za sekretarką zamkną się drzwi.

- Wiesz już, co się stało? - zapytał Yvesa ksiądz David.

- Tak. Gdzie on jest?

- Schował się w jakiejś bramie, tu, niedaleko. Nie martw się, nasi mają go na oku, nie byłoby jednak zbyt rozsądnie teraz go stamtąd wyciągać. Ta dziennikarka zaczęła się naprzeciwko.

- Jak to?

- Zbieg okoliczności. Piła kawę w kawiarnianym ogródku, chyba czekała na ciebie, a kiedy zrobiło się zamieszanie, pobiegła za Turkiem. Jeśli tu przyjdzie, będziemy zmuszeni to zrobić - odpowiedział ojciec Joseph.

- Tu? Nie wydaje się to zbyt rozsądne.

- Przecież nikogo nie ma.

- To prawda, ale nigdy nic nie wiadomo. A co zrobimy z panią doktor?

- Wszystko gotowe, jak tylko wyjdzie z posterunku karabinierów - zakomunikował ojciec David.

- Czasami...

- Czasami masz wątpliwości, jak każdy z nas, ale jesteśmy żołnierzami i wypełniamy rozkazy - stwierdził sucho Joseph.

- W tym wypadku nie uważam, żeby to było konieczne.

- Nie ma wyjścia, trzeba wykonywać rozkazy.

- Co jednak nie znaczy, że nie wolno nam mieć własnego zdania, a nawet okazać, że coś nam się nie podoba.

- * * *

Los był łaskawy dla Valoniego. Giuseppe właśnie oznajmił mu przez radio, że znowu namierzył jednego z Turków, kręci się w pobliżu katedry. Valoni pognął tam, jak gdyby od tego zależało jego życie. Kiedy dotarł do placu, zwolnił, by nie odróżniać się od przechodniów, którzy stali w małych grupkach, komentując wydarzenia sprzed godziny.

- Gdzie są? - wysapał, kiedy znalazł się obok Giuseppego.
- Tam, usiedli przed kawiarnią, to ci sami, których już znamy.
- Ostrzegam, nie chcę, by was ktokolwiek wypatrzył.

Pietro, czekam tu na ciebie, pozostali niech krążą po placu, ale w pewnej odległości. Te nasze ptaszki są bardzo sprytnie i już nam udowodniły, że potrafią fruwać.

Pół godziny później mężczyźni zdali sobie sprawę, że policja znowu depta im po piętach. Najpierw podniósł się jeden, niedbałym krokiem przeciął plac, by wsiąść do pierwszego nadjeżdżającego autobusu. Drugi oddalił się w przeciwnym kierunku i po chwili zaczął biec. Zniknął.

- Jak mogliśmy znowu stracić ich z oczu?! - wykrzyknął Valoni do radiotelefonu.
- Nie krzycz - upomniał go Giuseppe z drugiego końca placu. - Wszyscy na ciebie patrzą, wezmą cię za wariata, który gada sam do siebie.
- Wcale nie krzyczę! - znowu wrzasnął Valoni. - Tylko że to wszystko to amatorszczyzna. Najpierw pozwalamy, by wymknął nam się niemowa, a teraz jego kolesie. Kiedy tylko znowu się pojawiają, natychmiast ich aresztujemy, nie możemy pozwolić, by znowu nam uciekli. Należą do tej organizacji, a z tego, co zdążyłem zauważyć, nie są niemi, wyśpiewają więc wszystko, co wiedzą, niech się nie nazywam Valoni!

Dwaj mężczyźni z Urfy siedzieli przyczajeni, czekając, aż Mendibh opuści kryjówkę. Wiedzieli, że plac patrolują karabinierzy. Ich towarzysze wymknęli się, kiedy zdali sobie sprawę, że są obserwowani, pozostała trójka zaś, grupa wsparcia, była w pobliżu. Zdążyli policzyć wszystkich policjantów obecnych w tej chwili na placu. Nie wiedzieli tylko, podobnie jak Valoni i jego ludzie, że wszyscy są obserwowani przez mężczyzn znacznie lepiej niż oni przygotowanych do działania.

Nadeszło popołudnie. Ana Jimenez postanowiła znowu spróbować szczęścia, może ksiądz Yves już wrócił. Nacisnęła guzik domofonu przy drzwiach biura, ale nikt się nie odezwał.

Popchnęła drzwi. Otwarte. Weszła. Nikogo nie było, a jednak stróż nie przekręcił klucza w zamku. Ruszyła w kierunku gabinetu księdza Yvesa. Już zamierzała wejść, kiedy usłyszała głosy. Wstrzymała oddech i słuchała.

- Więc wejdą podziemnym korytarzem. Zmylili ich. A tamci? Dobrze, zaraz tam pojedziemy. Z pewnością będzie starał się tam ukryć, to najbezpieczniejsze miejsce.

Ksiądz Joseph wyłączył komórkę.

- Doskonale, karabinierzy nie wiedzą, co się dzieje. Zgubili dwóch ludzi Addaia, a Mendibh nadal ukrywa się w bramie. Kręci się tu za dużo osób. Podejrzewam, że może wyjść w każdej chwili. Ta jego kryjówka nie wygląda na zbyt bezpieczną.

- Gdzie jest komisarz Valoni? - zapytał ksiądz David.

- Myślę, że szaleje z wściekłości, bo wszystko wymyka mu się z rąk - odparł ojciec Joseph.

- Jest już bardzo blisko prawdy - wtrącił ksiądz Yves.

- Nie - stanowczo uciął ksiądz David. - Nic nie wie, miał tylko dobry pomysł, żeby użyć Mendibha jako przynęty, bo podejrzewa, że jest członkiem jakiejś organizacji. Poza tym jednak nie wie ani o współnocy, ani o nas.

- Nie rób sobie złudzeń - upomniał go ksiądz Yves. - Za bardzo zbliża się do wspólnoty. Zdali sobie sprawę, że zbyt wiele osób z Urfy związanych jest z całunem. Doktor Galloni trafiła w samo sedno, wczoraj rozmawiała z zespołem operacyjnym. Doszła do wniosku, że przeszłość Urfy wiąże się w jakiś sposób z wydarzeniami w katedrze. Nie przejęli się jej wywodami, oprócz tej informatyczki, ale Valoni jest inteligentny i lada moment wszystkie kawałki w jego układance trafią na swoje miejsce. Ta pani doktor podsunęła mu parę istotnych kwestii. Szkoda, że taka kobieta musi...

- W porządku - przerwał mu ojciec Joseph. - Czekają na nas w podziemiach. Zaczekamy, aż Turgut i jego bratanek znajdą się w środku. Nasi są na cmentarzu.

- Nasi są wszędzie, jak zwykle - stwierdził z dumą ojciec Yves.

Trzej mężczyźni skierowali się do drzwi. Ana schowała się za szafą. Bała się. Wiedziała już, że ojciec Yves nie jest zwykłym księdzem. Pytanie tylko, czy jest templariuszem, czy należy do jakiejś innej organizacji? A ci mężczyźni? Głosy wskazywały, że to młodzi ludzie.

O mało nie zemdląca, kiedy zobaczyła, że wychodzą. Nie zauważyli jej. Szybko przemierzili przedpokój. Czekająca, wstrzymując oddech, a potem, przywierając do ściany, jak to widziała na filmach, poszła za nimi.

Przeszli niskimi drzwiami do pomieszczeń kościelnego.

Ojciec Yves zapukał. Nie było odpowiedzi. Jeden z młodych księży wyjął z kieszeni scyzoryk i podważył zamek.

Ana poczuła, że serce wali jej głucho. Co za scena. Nie wierzyła własnym oczom. Ostrożnie przesunęła się w stronę drzwi mieszkania kościelnego. Nie słyszała rozmowy, pomyślała, że wszyscy przeszli w głąb domu. Postanowiła wejść do środka. Modliła się, by nikt jej nie zobaczył, i na wszelki wypadek zaczęła obmyślać wymówki, gdyby ktoś odkrył jej obecność.

Mendibh usłyszał hałas. Ocknął się jakiś czas temu. Bolała go rana, krew zaschła w potężny strup na brudnej koszuli. Nie wiedział, czy zdoła wstać i utrzymać się na nogach, musiał jednak spróbować.

Rozmyślał nad dziwną śmiercią wuja. Czy to Addai kazał zabić jego krewnego, bo wiedział, że chce mu pomóc?

Nikomu nie można ufać, a już najmniej Addaiowi. Pasterz był mężem świętym, ale twardym, zdolnym do wszystkiego, byle tylko ratować wspólnotę, on zaś, Mendibh, niechcący mógł narazić wszystkich na niebezpieczeństwo. Chciał tego uniknąć, starał się tego uniknąć, odkąd odzyskał wolność, Addai jednak wiedział o rzeczach, z których on nie zdawał sobie sprawy, i było bardzo prawdopodobne, że postanowił go zabić.

Otworzyły się drzwi do zsypu. Kobieta w średnim wieku, z czarnym workiem w rękę, dostrzegła skuloną postać i krzyknęła. Mendibh podniósł się nadludzkim wysiłkiem, przyskoczył i zasłonił jej usta dłonią.

Nie mógł jej uspokoić słowami, nie miał przecież języka, kobieta albo sama się opamięta i zamilknie, albo będzie zmuszony pobić ją do nieprzytomności. Nigdy wcześniej nie podniósł ręki na kobietę, niech Bóg broni, teraz jednak chodzi o jego życie.

Po raz pierwszy, odkąd usunięto mu język, poczuł żal, że nie może mówić. Popchnął kobietę na ścianę. Drżała. Żeby tylko znów nie zaczęła krzyczeć. Postanowił obezwładnić ją ciosem w kark. Osunęła się na posadzkę. Oddychała, choć z trudem. Otworzył jej torebkę i znalazł to, czego szukał: długopis i notes, z którego wyrwał kartkę. Napisał coś szybko.

Kiedy zaczęła dochodzić do siebie, Mendibh zasłonił jej usta i wręczył papier.

„Jeśli zrobisz to, co każę, nic ci nie grozi, ale jeśli zechcesz uciekać, albo krzyczeć, nie masz co liczyć na ratunek. Masz samochód?”

Kobieta przeczytała i skinęła głową. Mendibh zdjął rękę z jej ust, choć nadal trzymał ją z całej siły, by nie zaczęła uciekać.

* * *

- Marco, słyszysz mnie?

- Słyszę.

- Gdzie jesteś?

- W pobliżu katedry.

- Mam wiadomości od lekarza sądowego. Ten starzec, którego zabili, również nie miał języka ani linii papilarnych. Z oględzin wynika, że język stracił parę tygodni temu, opuszki palców wypalili mu mniej więcej w tym samym czasie. Nie miał nic, po czym można by go zidentyfikować, zupełnie nic. Byłbym zapomniał - był bezzębny, ani siekaczy, ani zębów trzonowych, jama ustna pusta jak studnia.

- A niech to!

- Lekarz jeszcze nie skończył sekcji, ale zadzwonił do nas specjalnie, żeby nas powiadomić o kolejnym denacie bez języka.

- Cholera jasna!

- Marco, może powiedziałbyś coś konstruktywnego?

- Przykro mi, Sofio, przepraszam. Wiem, że niemowa, to znaczy nasz niemowa, jest gdzieś w pobliżu. Ktoś chce go zabić albo porwać, albo osłaniać, tego nie wiem. Nasze dwa ptaszki, których udało nam się ponownie namierzyć, znów zdołały odfrunąć, ale na pewno kręci się ich tu więcej. Największy błąd, jaki popełniliśmy, to ten, że odsłoniliśmy się na rynku, kiedy zamordowali staruszkę. Jeśli jest więcej takich ptaszków, rozpoznają nas z daleka, my zaś nie wiemy, kim oni są. A nasz podopieczny przepadł jak kamień w wodę.

- Pozwól nam przyjechać. Nie widzieli mnie i Minervy, więc nas nie namierzą, możemy was odciążyć.

- Nie, to zbyt niebezpieczne. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś wam się stało. Zostańcie na miejscu.

Jakiś głos przerwał rozmowę. Pietro.

- Uwaga, Marco! Mendibh jest na skraju placu. Idzie z jakąś kobietą. Obejmują się! Zatrzymać ich?

- Po co? Co chcesz z nim zrobić? Nie spuszczaście z niego oka, już jadę. Skoro my go wypatrzyliśmy, tamci również. Tylko żadnej fuszerki. Jeśli znów ucieknie, pourydam wam jaja!

* * *

Kobieta poprowadziła Mendibha do swojego samochodu, małego auta popularnej marki, otworzyła drzwi i zanim zdążyła się odwrócić, została wepchnięta na siedzenie pasażera. Mendibh zajął miejsce za kierownicą.

Oddychał z trudem, udało mu się jednak uruchomić samochód i włączyć do popołudniowego

ruchu.

Ludzie Valloniego trzymali się tuż za nim. Podobnie członkowie wspólnoty. Wszystkich razem nie spuszczała z oka milcząca armia.

Niemowa kluczył po mieście. Musiał jakoś pozbyć się kobiety, wiedział jednak, że ta natychmiast pójdzie na policję.

Tak czy inaczej, nie może zabrać jej ze sobą na cmentarz. Jeśli zostawi samochód w pobliżu cmentarnej bramy, karabinierzy bez trudu go odnajdą. Nie mógł jednak chodzić, słabł, stracił dużo krwi. Modlił się, żeby dozorca był w swoim kantorku.

Mógłby zająć się samochodem. Ten dobry człowiek, jest członkiem wspólnoty i na pewno mi pomoże, myślał Mendibh.

Tak, pomoże, chyba że Addai kazał mnie zamordować.

Podjął decyzję: pojedzie na cmentarz. Kiedy znaleźli się blisko, ale nie dość blisko, by zakładniczka domyśliła się, dokąd się uda, zatrzymał samochód.

Sięgnął po torebkę kobiety, wyjął długopis i kawałek papieru i napisał:

„Wypuszczę cię. Jeśli pójdiesz na policję, będzie cię to słono kosztować. Nieważne, że na jakiś czas przydzielą ci ochronę, nadejdzie taki dzień, kiedy to się skończy, wówczas ja się pojawię. Odejdź i nikomu nic nie mów. W przeciwnym razie po ciebie wrócę”.

- Przysięgam, że nic nie powiem, błagam tylko, wypuść mnie... - wyszeptała przerażona kobieta.

Mendibh wziął kartkę, podarł ją na drobne kawałeczki i wyrzucił przez okno. Potem wysiadł z samochodu i wyprostował się, choć sprawiało mu to wielki ból. Bał się, że zemdleje, zanim dotrze do wiadomego miejsca na cmentarzu. Podeszedł do ściany i opierając się o nią, zaczął iść, nasłuchując warczenia oddalającego się auta.

Szedł tak przez dobrą chwilę, przysiadając, kiedy ból go obezwładniał, i modląc się do Boga o ocalenie. Chciał żyć, nie zamierzał oddawać życia ani za wspólnotę, ani za nikogo innego. Złożył już dość ofiar: język i dwa lata spędzone w więzieniu.

Valoni zauważył zataczającego się Mendibha. Było oczywiste, że Turek jest ranny i ledwo trzyma się na nogach.

Komisarz kazał swoim ludziom nie spuszczać go z oka, zachowując jednak bezpieczny dystans. Znowu wypatrzyli wśród przechodniów mężczyzn, którzy również podążali za niemową.

- Uwaga, najwyższy stan gotowości, musimy ich wszystkich zatrzymać. Gdyby tamci

postanowili jednak nie iść dalej za niemową, wiecie, co robić. Rozdzielimy się, jedni pójdą za nimi, pozostali za więźniem.

Ludzie Bakkalbasiego porozumiewali się przyciszonymi głosami, idąc za Mendibhem w rozsądnej odległości.

- Idzie w stronę cmentarza, jestem pewny, że chce dotrzeć do wejścia do podziemia. Jak tylko zejdziemy z widoku, strzelam - uprzedził jeden z nich.

- Cicho bądź, mam wrażenie, że ktoś nas śledzi. Karabinierzy nie są głupi. Może lepiej pozwolić mu wejść do grobowca i pójść za nim. Jeśli dojdzie do strzelaniny, zatrzymają nas wszystkich - zauważył inny.

Zapadał zmierzch. Mendibh przyśpieszył kroku, chciał wejść na cmentarz, zanim strażnik zamknie bramę. Nie byłby w stanie przeskoczyć przez mur. Przyśpieszył kroku, nie zważając na ból, musiał się jednak zatrzymać. Rana krwawiła. Przycisnął do rany apaszkę, którą ściągnął z szyi kobiety.

Przy cmentarnej bramie stał stróż. Rozglądał się, jakby na kogoś czekał wyraźnie spięty, może nawet przestraszony.

Kiedy zobaczył Mendibha, zaczął zamykać kratę, jednak Mendibh najwyższym wysiłkiem dotarł do bramy i zdołał przecisnąć się między jej skrzydłami. Odpychając strażnika, skierował się do kwatery numer sto siedemnaście.

* * *

Głos Valoniego dotarł do wszystkich karabinierów biorących udział w operacji.

- Wszedł na cmentarz, zdaje się, że stróż nie chciał go wpuścić, ale niemowa go odepchnął. Chcę was tu mieć. A co u naszych ptaszków?

- Za chwilę znajdą się w twoim polu widzenia. Kierują się na cmentarz.

Ku zaskoczeniu Valoniego i jego ludzi, tamci mieli klucz do bramy, jeden z nich zręcznie przekręcił go w zamku.

- Nieźle, mają swoje klucze! - wyrwało się jakiemuś karabinierowi.

- Co robimy? - zapytał Pietro.

- Przeskoczmy przez mur, chyba że uda się otworzyć wytrychem - zdecydował Valoni.

Kiedy dotarli do bramy, jeden z karabinierów próbował sforsować zamek wytrychem. Speszony ponaglącym spojrzeniem komisarza, biedził się dłużej niż zwykle, w końcu jednak otworzył.

- Giuseppe, poszukaj stróża. Nie widzieliśmy, by wychodził, musi gdzieś tu być. Albo dobrze się ukrył, albo... Nie wiem, poszukaj go.

- A co potem?

- Najpierw powiesz mi, czego się od niego dowiedziałeś, potem zadecydujemy. Niech pójdzie z tobą karabinier, możesz potrzebować ochrony.

- Tak jest.

- Ty, Pietro, idziesz ze mną. Widzicie ich? - zapytał Valoni karabinierów przez radiotelefon.

- Zdaje mi się, że kierują się do grobowca z marmurowym aniołem przy wejściu - padła odpowiedź.

- Dobrze, wytłumacz nam, gdzie to jest, zaraz tam będziemy.

* * *

Ana Jimenez weszła do mieszkania Turguta, ale nikogo w nim nie było. Zupełnie jakby ojciec Yves i jego towarzysze wyparowali. Przyczaiła się, nasłuchując, ale w mieszkaniu panowała cisza.

Zaczęła się rozglądać, nie zobaczyła jednak niczego podejrzanego. Niepewnie popchnęła drzwi do pokoju. Tam również nikogo nie było, choć zdawało jej się, że łóżko jest przesunięte.

Podeszła na palcach i popchnęła je. Nic. Wróciła do dużego pokoju, pomyszkowała w kuchni, zajrzała nawet do łazienki.

Nikogo nie znalazła. Była jednak przekonana, że muszą tu być, bo na pewno nie wyszli drzwiami.

Jeszcze raz obeszła mieszkanie. W kuchni znajdowała się szafa wnękowa. Spizarnia. Ana postukała w ścianę, nie usłyszała jednak głuchego pogłosu pustki, za szafą był lity mur.

Potem przyjrzała się podłodze z desek, uklękła i zaczęła szukać jakiegoś otworu, bo zaświtało jej w głowie, że muszą istnieć ukryte drzwi, które prowadzą do jakiegoś pomieszczenia.

Postukała w podłogę. Wyglądało na to, że pod spodem jest pusta przestrzeń. Zaczęła szukać czegoś, czym mogłaby podważyć deski. Posługując się nożem i młotkiem, zdołała je obluzować, a

potem wyjąć, jedna po drugiej, aż odsłonił się przed nią spodziewany widok: schody prowadzące gdzieś w ciemność.

Jeśli mężczyźni wyszli z domu, to tylko tędy. Postanowiła poszukać latarki lub zapalek i pójść ich śladem. Minęło kilka chwil, zanim znalazła małą latarkę. Nie dawała zbyt wiele światła, ale niczego lepszego nie było. Ana wrzuciła do torebki duże pudełko zapalek zgarnięte z kuchenki. Szukała czegoś, co jeszcze może jej się przydać; zabrała dwie czyste ściereczki, świeczkę i oddając się w opiekę świętej Gemmy, patronki rzeczy niemożliwych, bo tylko dzięki jej pomocy udało jej się skończyć studia, zaczęła schodzić po stromych schodach, prowadzących Bóg jeden wie dokąd.

* * *

Mendibh po omacku posuwał się podziemnym korytarzem.

Pamiętał każdą piędź tego wilgotnego przejścia. Stróż usiłował przeszkodzić mu w dotarciu do grobowca, ale kiedy Mendibh chwycił kij, gotów użyć go w razie potrzeby, staruch rzucił się do ucieczki. Mendibh namacał klucz pod donicą z kwiatami i przekręcił go w zamku. Gdy wszedł do kaplicy, zobaczył za sarkofagiem szparę odsłaniającą schody wiodące do podziemia, a stamtąd aż do samej katedry.

Brak tlenu i zapach stęchlizny wywoływały zawroty głowy, wiedział jednak, że jego jedyną szansą na przeżycie jest dotarcie do domu Turguta, przezwyciężając więc ból i osłabienie, szedł przed siebie.

Płomień zapalniczki nie wystarczał, by oświetlić drogę.

Mendibh bał się, że zabłądzi.

Ludzie Bakkalbasiego weszli na cmentarz parę minut po nim. Pewnym krokiem skierowali się do grobowca z aniołem.

Mieli klucz. Po paru sekundach podążali za Mendibhem.

- Weszli tędy - stwierdził jeden z karabinierów.

Valoni przyglądał się rzeźbie anioła, wielkości dorosłej kobiety, który trzymając miecz, zdawał się bronić wstępu do grobowca.

- Co teraz? - zapytał Pietro.

- To chyba jasne. Wchodzimy i ich szukamy.

Musieli ponownie skorzystać z fachowej pomocy eksperta od wytrychów. Ten zamek okazał się

bardziej skomplikowany niż poprzedni. Gdy policjant próbował go otworzyć, komisarz i jego ludzie spacerowali niecierpliwie w tę i z powrotem, paląc papierosa za papierosem. Nawet nie przyszło im do głowy, że ktoś ich obserwuje.

* * *

Turgut wraz z Ismetem przechadzali się nerwowo po podziemnym lochu. Towarzyszyli im trzej mężczyźni z Urfy. Parę godzin temu zdołali się wymknąć karabinierom. Pozostali ludzie Bakkalbasiego mieli nadejść lada chwila. Pasterz ostrzegł ich, że mogą się spodziewać przybycia Mendibha, najlepiej więc, jeśli się uspokoją i zaczekają na pozostałych braci.

Potem... sami wiedzą, co robić.

Turgut trząsł się jak osika. Siostrzeniec poklepał go po plecach, starając się dodać mu otuchy.

- Spokojnie, nic się nie dzieje, wiemy, co robić.
- Mam przeczucie, że wydarzy się jakieś nieszczęście.
- Nie kuś złego. Wszystko pójdzie tak, jak zaplanowaliśmy.
- Nie, czuję, że coś się stanie.
- Uspokój się, proszę.

Ani Turgut, ani Ismet nie usłyszeli cichych kroków trzech księży, którzy, kryjąc się w cieniu, obserwowali ich od jakiegoś czasu. Ojciec Yves, ojciec David i Joseph bardziej przypominali komandosów niż kapłanów.

Kiedy Mendibh wpadł do lochu, zdążył zobaczyć Turguta i stracił przytomność. Ismet ukląkł przy nim, by sprawdzić puls.

- Boże... Jak on krwawi! Ma ranę pod płucem, ale chyba samo płuco nie jest uszkodzone, bo już dawno by umarł. Podaj mi wodę, i coś do przemycia rany.

Stary Turgut podszedł i drżącą ręką podał bratankowi butelkę z wodą i ręcznik. Ismet rozerwał koszulę Mendibha i ostrożnie przemył ranę.

- Zdawało mi się, czy widziałem tu apteczkę?

Turgut skinął głową, nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Odszukał apteczkę i podał ją bratankowi.

Ismet jeszcze raz przemył ranę wodą utlenioną, potem przyłożył do niej watę nasączoną

środkiem dezynfekującym.

Tylko tyle mógł zrobić dla Mendibha.

Ludzie Bakkalbasiego nie przeszkadzali mu, choć uważali, że nie warto przejmować się rannym, skoro i tak ma umrzeć.

Tak chciał Addai.

Z cienia wynurzył się kolejny człowiek Bakkalbasiego, policjant z Urfy. Wkrótce potem nadeszli jeszcze dwaj mężczyźni. Przez parę minut opowiadali o tym, co spotkało ich podczas operacji. Rozmowa zagłuszyła kroki dobiegające z podziemnych korytarzy.

Valoni, a wraz z nim Pietro i tuzin karabinierów, wtargnęli do lochu z bronią gotową do strzału.

- Nie ruszać się! Wszyscy są zatrzymani! - krzyknął komisarz.

Nie dokończył, bo tuż obok jego ramienia świsnęła kula.

Kolejne strzały dosięgły dwóch jego podwładnych. Ludzie Bakkalbasiego skorzystali z zamieszania i również zaczęli strzelać.

Valoni i jego ludzie osłaniali się jak mogli, podobnie jak mężczyźni Bakkalbasiego, świadomi, że pierwsze strzały oddał ktoś, z czyjej obecności nie zdawali sobie sprawy.

Valoni starał się otoczyć Turków. Znow padły strzały z ukrycia, i prawie w tej samej chwili usłyszał krzyk kobiety.

- Ostrożnie, Marco, są na górze, uwaga!

Ana już od jakiegoś czasu ukrywała się przed trzema kapłanami, których dogoniła, pokonawszy korytarz wiodący do lochu. Ksiądz Yves odwrócił się, ze zdziwienia otwierając usta.

- Ana!

Dziewczyna rzuciła się do ucieczki, jednak ksiądz Joseph okazał się szybszy. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, była ręka wymierzająca cios. Kapłan uderzył ją z taką siłą, że straciła przytomność.

Strzały padały ze wszystkich stron. Księża musieli teraz dawać odpór karabinierom i ludziom z Urfy.

Turgut, Ismet i dwóch ludzi Bakkalbasiego zostało zabitych.

Z sufitu podziemnego przejścia zaczęły odpadać cegły.

Mężczyźni strzelali na oślep, jakby było im obojętne, kto kogo zabije.

Ana odzyskała przytomność. Głowa jej pękała. Udało jej się usiąść i zobaczyła nad sobą trzech mężczyzn składających się do strzału. Nie знаła tych ludzi. Stwierdziła, że powinna pomóc Valoniemu, chwyciła więc cegłę i z całej siły cisnęła nią w księdza Davida. Nagle z dachu podziemia posypały się kolejne cegły i jedna trafiła księdza Josepha w ramię.

Yves de Charny również był ranny i posłał jej wściekłe spojrzenie. Ana zaczęła biec. Z sufitu sypały się cegły i gruz.

Ogłuszona hukami wystrzałów, nie potrafiła odnaleźć drogi powrotnej. Słyszała, jak ojciec Yves coś do niej krzyczy, nie rozróżniała jednak słów.

Nagle potknęła się i upadła. Ogarnęły ją ciemności. Krzyknęła, kiedy poczuła, że chwytają ją czyjaś ręka.

Nie miała pojęcia, gdzie jest. Była poobijana i przerażona, ból rozsadzał jej czaszkę. Wiedziała, że ramię, które ją podtrzymuje, należy do Yvesa de Charny, spróbowała się wyrwać, on zaś zwolnił uścisk. Nie słychać już było głosu Valoniego ani huku wystrzałów. Co się stało? Gdzie jest? Chciała krzyczeć, ale nie miała siły, z jej ust nie wydobyło się nawet westchnienie.

- Jesteśmy zgubieni, Ano, nie uda nam się stąd wydostać - powiedział urywanym głosem ksiądz Yves. Był ranny. - Zgubiłem latarkę, idąc za panią. Umrzemy w ciemności.

- Proszę tak nie mówić!

- Przykro mi, Ano, bardzo mi przykro. Nie musiała pani umierać, nie zasłużyła sobie pani na taką śmierć.

- To wy mnie zabijacie! Zabijacie nas wszystkich!

Ksiądz zamilkł. Ana poszukała w torebce świeczki i zapalek.

Przy okazji namacała telefon komórkowy. Zapaliła świeczkę i zobaczyła grymas bólu na przystojnej twarzy księdza Yvesa.

Był ciężko ranny. Ana wstała i obeszła wnękę, która stała się ich pułapką. Gruz zasypał przejście, nie pozostawiając najmniejszego otworu. Pomyślała, że nie wyjdzie stąd żywa.

Usiadła obok księdza i zdając sobie sprawę, że musi się pogodzić z tym, co ją czeka, postanowiła zachować się jak urodzona dziennikarka. Ojciec Yves nie widział, jak wyjmując z torebki telefon. Ostatni numer, jaki wybrała, był numerem Sofii Galloni.

- Przykro mi, Ano - wyszeptał ksiądz Yves, gdy ścierką zabraną z kuchni Turguta starała się zatamować krew płynącą z jego rany.

- Tak, już to ksiądz mówił. Teraz proszę mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi.
- Co mam wyjaśnić? Przecież wkrótce umrzemy.
- Chcę wiedzieć, dlaczego umieram. Ksiądz jest templariuszem, podobnie jak księdza koledzy.
- To prawda, jesteśmy templariuszami.
- A tamci ludzie? Kim byli? Wyglądali na Turków.
- To ludzie Addaia.
- Kim jest Addai?
- Pasterzem. Pasterzem Wspólnoty Świętego Całunu. Oni go chcą...
- Wspólnota Świętego Całunu?
- Tak.
- Chcą go ukraść?
- Należał do nich, dał im go Jezus.

Ana pomyślała, że ksiądz majaczy. Przysunęła świeczkę do jego twarzy i zobaczyła, że kapłan się uśmiecha.

- Wcale nie oszalałem. Widzi pani, w pierwszym wieku naszej ery żył w Edessie król Abgar. Zachorował na trąd, ale wyleczył się, dotknąwszy całunu Chrystusa. Tak mówi legenda. W to wierzą potomkowie pierwszej wspólnoty chrześcijańskiej założonej w Edessie.

- Kto przywiózł to płótno?
- Tradycja mówi, że jeden z uczniów Jezusa.
- Całun był potem w wielu miejscach, opuścił Edesę wiele wieków temu...
- Owszem, ale odkąd wojska cesarza Bizancjum...
- Romana Lekapenosa...

- Owszem, Romana Lekapenosa, wykradły im całun, mieszkańcy miasta poprzysięgli, że nie spoczną, dopóki go nie odzyskają. Wspólnota chrześcijańska w Edessie jest jedną z najstarszych na świecie i ani przez jeden dzień nie ustała w wysiłkach, by odzyskać relikwię, my zaś ani na chwilę nie przestaliśmy im w tym przeszkadzać. Już do nich nie należy.

- Ci niemi też są ze wspólnoty?

- Tak, to żołnierze Addaia, młodzi ludzie, którzy starają się odzyskać całun. Pozwalają usunąć sobie język, by niczego nie powiedzieć, jeśli wpadną w ręce policji.

- To barbarzyństwo!

- Utrzymują, że tak zrobił Marcjusz, nadworny architekt Abgara, pierwszy, który ukrył całun przed poganami. My staramy się im przeszkodzić: po pierwsze, by nie dostali całunu, po drugie, by nie dali się złapać policji, bo tym tropem policja mogłaby dotrzeć do nas. Marco Valoni ma rację, pożary w katedrze były wywoływane celowo, podpałała wspólnota, starając się w zamieszaniu wynieść całun. My jednak zawsze byliśmy blisko. Templariusze nie pochwalają kradzieży.

Yves de Charny westchnął głęboko. Kręciło mu się w głowie, ledwo widział twarz Any. Trzymała w ręku komórkę. Nie wiedziała, czy Sofia odebrała jej sygnał, czy słyszy ich rozmowę, ale przynajmniej starała się coś zrobić, by prawda nie umarła razem z nią.

- Co mają wspólnego templariusze z całunem turyńskim i wspólnotą?

- Odkupiliśmy relikwię od cesarza Baldwina, jest nasza.

- To fałszywa relikwia! Sam ksiądz wie, że datowanie na zawartość izotopu ^{14}C wykazało, że to płótno pochodzi z końca trzynastego lub początku czternastego wieku.

- Naukowcy mają rację, płótno pochodzi z końca trzynastego wieku, ale jak sama pani wie, nie potrafią wyjaśnić, dlaczego niektóre pyłki przylegające do tkaniny mają takie same właściwości, jak te sprzed dwóch tysięcy lat znalezione na cmentarnych odkrywkach w pobliżu jeziora Genezaret. Krew należy do człowieka. Ach, płótno! Płótno pochodzi ze Wschodu! Wie pani o tym wszystkim, no i była pani w Lirey.

- Skąd ksiądz o tym wie?

- Wiemy wszystko. Nie ma rzeczy, o której byśmy nie wiedzieli. Intuicja dobrze pani podpowiadała, faktycznie jestem potomkiem Gotfryda de Charny, ostatniego wizytariusza templariuszy w Normandii. Mój ród oddał wielu synów zakonowi.

Ana słuchała zafascynowana. Wiedziała, że Yves de Charny zdradza jej tajemnice, które wraz z nimi zostaną pochowane w tym kamiennym grobie. Nigdy nie będzie jej dane opublikować tej historii, jednak nawet w tej dramatycznej chwili czuła dumę, że udało jej się dotrzeć do prawdy.

- Niech ksiądz mówi dalej.

- Nie zamierzam powiedzieć nic więcej.

- De Charny, staniesz przed obliczem Boga, lepiej mieć czyste sumienie, wyznać grzechy.

- Mam się wypowiadać? Przed kim?

- Przede mną. W ten sposób ulży ksiądz swojemu sumieniu i moja śmierć również nabierze sensu. Jeśli wierzy ksiądz w Boga, on wysłucha.

- Bóg nie musi słuchać, by wiedzieć, co komu leży na sercu. A pani w niego wierzy?

- Nie wiem. Może jednak istnieje?

Ojciec Yves starł pot z twarzy i wziął Anę za rękę. Ona zaś starała się trzymać komórkę jak najbliżej jego twarzy.

- Francois de Charney był rycerzem templariuszem, który od wczesnej młodości żył na Wschodzie. Nie będę pani opowiadał o niezliczonych przygodach mojego przodka, powiem tylko, że wielki mistrz, na parę dni przed upadkiem twierdzy w Akce, polecił mu ocalić całun, przechowywany w fortecy wraz z resztą skarbu templariuszy. Mój przodek owinął relikwię w kawałek płótna o podobnych wymiarach i wrócił do Francji. Jego zaskoczenie, podobnie jak zaskoczenie mistrza w Marsylii, nie miało granic, kiedy po rozwinięciu tkaniny ukazała im się postać Chrystusa odbita na płótnie, które służyło tylko do zabezpieczenia oryginału. Możemy szukać wyjaśnień w chemii, albo uwierzyć, że zdarzył się cud, w każdym razie od tamtej chwili istniały dwa całuny i na obu był obraz Chrystusa.

- Boże mój, to by wyjaśniało...

- To by znaczyło, że naukowcy mają rację, kiedy opierając się na metodzie zawartości węgla radioaktywnego, twierdzą, że tkanina pochodzi z trzynastego lub czternastego wieku. Jednak rację mają również ci, którzy utrzymują, że jest na nim odbite ciało Chrystusa i nie potrafią wyjaśnić, skąd wzięły się pyłki roślin czy ślady krwi. Całun jest święty, przechowuje ślady Męki Pańskiej i wizerunek Jezusa z Nazaretu. On tak wyglądał, Ano, właśnie tak. Oto cud, jakim Bóg wyróżnił ród Charney, chociaż później inne odgałęzienie tej rodziny, Charny, przywłaszczyło sobie naszą relikwię. Reszta historii jest znana, sprzedali ją dynastii sabaudzkiej. Teraz poznała pani tajemnicę świętego płótna, tylko wybrańcy znają całą prawdę. Oto wytłumaczenie rzeczy niewytłumaczalnej, cudu, Ano, bo zdarzył się cud.

- Powiedział ksiądz jednak, że były dwa całuny, autentyczny, odkupiony od cesarza Baldwina, i jeszcze jeden, który znajduje się w katedrze, jakby negatyw oryginalnego. Gdzie jest? Gdzie go przechowujecie?

- Co przechowujemy?

- Autentyczny całun Chrystusa. Przecież w katedrze znajduje się kopia.

- Nie, to nie kopia, ten też jest autentyczny.

- A gdzie jest ten pierwszy?! - wykrzyknęła Ana.

- Nie wiem. Jakub de Molay kazał go ukryć. To tajemnica, którą zna jedynie wielki mistrz i siedmiu mistrzów.

- Na przykład w zamku McCalla w Szkocji?

- Nie wiem. Przysięgam.

- Wie ksiądz, że McCall jest wielkim mistrzem, a Umberto D'Alaqua, Paul Bolard, Armando de Quiroz, Gotfryd Mountbatten, kardynał Visiers...

- Cicho, proszę. Tak mnie wszystko boli, umieram...

- ...to mistrzowie zakonu. Dlatego żyją samotnie, w celibacie, z dala od rozrywek tego świata. Elisabeth miała rację.

- Lady McKenny to inteligentna kobieta, podobnie zresztą jak pani i doktor Galloni.

- Jesteście sektą!

- Nie, Ano. Niech pani nie wyciąga pochopnych wniosków. Proszę mi pozwolić powiedzieć coś na naszą obronę. Zakon przetrwał, bo oskarżenia, jakie przeciwko niemu kierowano, były fałszywe. Król Filip i papież Klemens wiedzieli o tym, ale chcieli za wszelką cenę osiąść nasz skarb. Król, oprócz złota, pragnął mieć całun, wierzył, że dzięki niemu stanie się najpotężniejszym władcą Europy. Przysięgam, Ano, że na przestrzeni wieków my, templariusze, staliśmy po właściwej stronie, przynajmniej ci prawdziwi templariusze. Wiem, że są sekty, organizacje masońskie, które uważają się za spadkobierców zakonu. Ale to nie żadeni spadkobiercy, natomiast my, owszem. Nasza organizacja jest tą, którą założył sam Jakub de Molay, by zakon mógł przetrwać. Braliśmy udział w wielu wydarzeniach historycznych o fundamentalnym znaczeniu dla ludzkości, jak chociażby Wielka Rewolucja Francuska, kampania Napoleona, walka o niepodległość Grecji, byliśmy nawet we francuskim ruchu oporu podczas drugiej wojny światowej. Przyczyniliśmy się do wywołania procesów demokratycznych na całym świecie, nigdy nie wplątaliśmy się w nic, czego należałoby się wstydzić.

- Zakon żyje w ukryciu, w ukryciu zaś nie ma miejsca na demokrację. Zwierzchnicy są bajecznie bogaci...

- Owszem, ale ta fortuna nie należy do nich, tylko do zakonu. Oni tylko nią zarządzają, choć prawdą jest, że inteligentnie postępując, sami też stali się bogaci. Po ich śmierci wszystkie bogactwa wrócą do zakonu.

- Do fundacji, która...

- Tak, do fundacji, która stanowi serce finansów templariuszy i poprzez którą jesteśmy obecni na całym świecie.

Tak, jesteśmy wszędzie, dlatego wyprzedzamy fakty, dlatego zawsze wiedzieliśmy, co robią i mówią pracownicy policji z wydziału do spraw sztuki. Jesteśmy wszędzie - powtórzył słabnącym głosem ksiądz Yves.

- W Watykanie też?

- Niech Bóg mi wybaczy.

To były ostatnie słowa Yvesa de Charny. Ana zamknęła mu oczy i zaczęła szlochać, zastanawiając się, ile czasu minie, zanim i po nią przyjdzie śmierć. Może wiele dni? Została pogrzebana żywcem.

- Sofio, pomóż mi... - szepnęła do słuchawki.

Odpowiedziała jej cisza.

- Ano, Ano, wyciągniemy cię stamtąd! - krzyczała Sofia Galloni.

Połączenie urwało się zaledwie parę sekund temu. Z pewnością rozładowała się bateria w telefonie Any. Sofia słyszała przez radio strzelaninę w podziemiach i krzyki Valoniego i karabinierów. Rzuciła się do wyjścia, kiedy usłyszała sygnał komórki. Myślała, że to Marco. Zmroziło ją, kiedy rozpoznała głosy Any Jimenez i ojca Yvesa. Z telefonem przyciśniętym do ucha, starając się nie uronić ani słowa, słuchała, nie zwracając uwagi na karabinierów, którzy organizowali akcję ratunkową.

Minerva znalazła Sofię zalaną łzami, z ręką posiniałą od ściskania telefonu komórkowego.

- Sofio, na litość boską, co się z tobą dzieje? Uspokój się!

Sofia, z trudem powstrzymując szloch, streściła Minervie wszystko, co usłyszała.

- Idziemy na cmentarz, tu nic nie zdziałamy - rzuciła zdecydowanie Minerva.

Wyszły na ulicę i zaczęły rozglądać się za taksówką, bo przed komendą nie było ani jednego policyjnego samochodu.

Sofia wciąż płakała.

Kiedy taksówka zatrzymała się na światłach, za nią stanęła ogromna ciężarówka. Zapaliło się zielone światło, oba wozy ruszyły i ciszę ulicy rozdarł pisk opon i brzęk tłuczonego szkła.

Addai szlochał bezgłośnie. Zamknął się w swoim gabinecie dziesięć godzin temu, nie wpuścił nawet Gunera.

Poniósł klęskę. Przez jego nieustępliwość straciło życie tylu ludzi. Gazety pisały tylko, że zawaliły się turyńskie podziemia i zginęło kilkunastu robotników, wśród których byli Turcy.

Mendibh, Turgut, Ismet i pozostali bracia zostali na zawsze pogrzebani pod gruzami, nikt nigdy nie wydostał ich ciał.

Zniósł twarde spojrzenie matek Mendibha i Ismeta. Nie wybaczyły mu, nigdy mu nie wybaczą, podobnie jak matki młodych mężczyzn, którym obcięto języki.

Bóg nie stał po jego stronie. Wspólnota powinna się poddać po tylu bezowocnych próbach odzyskania całunu.

Te niepowodzenia to nie były próby, jakim chciał poddać ich Bóg.

Właśnie skończył pisać testament. Pozostawiał dokładne instrukcje co do wyboru swojego następcy: będzie to dobry człowiek, o czystym sercu, pozbawiony ambicji, który będzie kochał życie tak, jak on go nie kochał. Guner. Pasterz wybiera następnego pasterza, tak było zawsze i tak miało pozostać na wieki.

Zakleił kopertę. List zaadresowany był do siedmiu pasterzy wspólnoty, to oni mają wypełnić jego ostatnią wolę. Wyjął z szuflady fiolkę z pigułkami i połknął wszystkie.

Siedział na krześle i czekał, aż nadejdzie sen. Aż wieczność wyciągnie po niego rękę.

Od wypadku upłynęło prawie siedem miesięcy. Utykała na jedną nogę. Przeszła cztery operacje, a i tak noga pozostała krótsza. Nie mogła się już szczyścić alabastrową, świetlistą cerą. Jej twarz przecinały zmarszczki i blizny. Przed czterema dniami wyszła ze szpitala. Nie bolały jej rany na ciele. Ból rozdzierający serce nie dawał się porównać z niczym, czego dotychczas doświadczyła.

Sofia Galloni wychodziła z gabinetu ministra spraw wewnętrznych. Zanim tam poszła, udała się na cmentarz, by zanieść wiązkę kwiatów na grób Minervy i Pietra. Valoni i ona mieli więcej szczęścia, przeżyli. Marco jednak nie wróci już do zdrowia - porusza się na wózku inwalidzkim, jest załamany. Przeżył, kiedy tylu jego ludzi zginęło pod gruzami podziemnego korytarza, który zgodnie z jego przeczuciami prowadził do katedry. Nie potrafił zapobiec nieszczęściu.

Minister spraw wewnętrznych i minister kultury, zwierzchnicy dwóch instytucji, którym podlegał policyjny wydział do spraw sztuki, proponowali jej stanowisko dyrektora wydziału.

Odmówiła.

Wysłała do nich raport, w którym zdała szczegółową relację z dochodzenia w sprawie całunu turyńskiego, nie pomijając rozmowy Any Jimenez z księdzem Yvesem. Sprawa była zakończona, tyle tylko, że nie można jej było upublicznić.

Stała się tajemnicą państwową, Ana zaś spoczęła w turyńskich podziemiach u boku ostatniego templariusza z rodu de Charny.

Ministrowie zapowiedzieli, że cała ta historia nie może ujrzeć światła dziennego, nie może

pozostać po niej najmniejszy ślad. Naturalnie wierzą Sofii, ale przecież i ona może się mylić. Oni zaś nie oskarżą bezpodstawnie takich ludzi jak McCall, Umberto D'Alaqua, profesor Bolard...

Ludzi, którzy stanowili filary międzynarodowej finansjery, ich kapitał wspierał rozwój wielu krajów. Nie można oświadczyć papieżowi, że kardynał Visier jest templariuszem. Nie można ich o nic oskarżyć, bo przecież nie zrobili nic złego, choćby nawet wszystko, co powiedziała Sofia, było prawdą.

Ci ludzie nie spiskowali przeciwko państwu, nie planowali zamachu na demokrację, nie mieli powiązań z mafią... A co się tyczy przynależności do zakonu templariuszy... Cóż, trudno to uznać za przestępstwo, nawet jeśli rzeczywiście byli jego członkami.

Starali się ją przekonać, by zgodziła się przejąć stanowisko po Valonim. Jeśli odmówi, zaproponują je Antoninowi lub Giuseppemu. Co ona o tym sądzi?

Nic nie sądziła, wiedziała tylko, że jeden z nich jest zdrajcą i informował templariuszy o wszystkim, co działo się w wydziale. Sam ojciec Yves przyznał, że wszędzie mają szpiegów.

Nie wiedziała, co ma zrobić ze swoim życiem, wiedziała tylko, że musi stawić czoło mężczyźnie, w którym jest zakochana. Nie może się dalej oszukiwać. Umberto D'Alaqua stał się więcej niż obsesją.

Kiedy mocniej nacisnęła pedał gazu, odezwał się ból w nodze. Sofia nie prowadziła już od wielu miesięcy, od dnia kraksy. Wiedziała, że to nie był zwykły wypadek, ktoś usiłował ją zabić. Z całą pewnością, kiedy D'Alaqua zadzwonił do niej, proponując wyjazd do Syrii, starał się ją ocalić. Templariusze nie mordują, powiedział ksiądz Yves. Chyba że muszą.

Umberto D'Alaqua czekał na nią w drzwiach swojej posiadłości.

- Sofio...

- Przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale...

- Zapraszam do środka.

Poprowadził ją do swojego gabinetu. Usiadł za biurkiem, wyznaczając tym samym dystans, a może broniąc się przed kobietą, która wciąż była piękna, choć jej twarz przecinały blizny. Spojrzenie zielonych oczu było twarde i zarazem bezgranicznie smutne.

- Podejrzewam, że już pan wie, iż wysłałam do ministra raport w sprawie całunu. Napisałam w nim, że istnieje organizacja, założona przez wpływowych ludzi, którym się wydaje, że stoją ponad rządami, ponad społeczeństwem, ponad prawem, i wnoszę o ujawnienie tego faktu opinii publicznej i rozpoczęcie śledztwa. Pan jednak wie, że nic się nie wydarzy.

D'Alaqua milczał, choć nieznacznie skinął głową.

- Wiem, że jest pan jednym z mistrzów zakonu - ciągnęła Sofia - że złożył pan śluby czystości, ale chyba nie ubóstwa? Co do przykazań, wiem, że dotrzymuje pan tych, które panu odpowiadają, pozostałe zaś... Interesujące, zawsze mnie to ciekawiło, jak niektórzy ludzie Kościoła, a pan na swój sposób do nich należy, wierzą, że mogą kłamać, kraść, zabijać, ale wszystko to są drobne grzeszki, wobec wielkiego grzechu, którym jest... dupczenie? Czy obraziło pana to słowo?

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało... śmierci Minervy, kalectwa szefa, śmierci pani... Pietra...

- A męczeństwo Any Jimenez? Pogrzebanej żywcem pod gruzami? Przykro panu? Oby te wszystkie ofiary poruszyły pana sumienie i ani przez chwilę nie dawały spokoju. Wiem, że nic nie zdziałam. Już mi to ktoś próbował uświadomić, starając się zamydlić oczy i przekupić wysokim stołkiem. Jak niewiele wiecie o ludziach!

- Co mógłbym dla pani zrobić? Proszę powiedzieć...

- Co może pan zrobić? Nic, nie może pan nic zrobić, bo nie można przywrócić życia zmarłym. Owszem, może pan powiedzieć, czy nadal figuruję na liście proskrypcyjnej, czy mam czekać na kolejny wypadek i czy to znów będzie ciężarówka, czy tym razem urwie się pode mną winda? Chciałabym to wiedzieć, żeby uniknąć narażania przyjaciół na niebezpieczeństwo i przypadkową śmierć jak Minervę.

- Nic pani nie grozi, daję słowo.

- A co pan robi? Będzie żył spokojnie jak dotąd, jak gdyby to, co się stało, było tylko zwykłym wypadkiem, którego nie dało się uniknąć?

- Jeśli chce pani wiedzieć, wycofuję się. Przekazuję wszelkie pełnomocnictwa do kierowania moimi spółkami w inne ręce, porządkuję sprawy, by firmy mogły działać beze mnie.

Sofia zadrżała. Kochała i nienawidziła tego człowieka.

- Czy to znaczy, że porzuca pan zakon? To niemożliwe, jest pan jednym z mistrzów, jednym z siedmiu mężczyzn rządzących tą organizacją, za dużo pan wie, a tacy ludzie nie uciekają.

- Przed niczym nie uciekam. Nie mam powodu. Po prostu odpowiadam na pani pytanie. Postanowiłem się wycofać, zająć nauką i pomagać stowarzyszeniu w inny sposób.

- A co z celibatem?

D'Alaqua nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Sofio, ja też jestem poraniony - zaczął cicho. - To niewidoczne rany, ale bardzo bolą. Przysięgam, ogromnie mi przykro z powodu wszystkiego, co się stało, co musiała pani wycierpieć... Gdybym mógł cofnąć czas... Niestety, niewiele ode mnie zależy... Wszyscy zdecydowaliśmy o naszej

roli w tym dramacie, nawet Ana.

- Nie, to nieprawda, ona wcale nie decydowała się na śmierć... ani ona, ani Minerva, Pietro, karabinierzy, ludzie ze wspólnoty, nawet wasi ludzie, przyjaciele księdza Yvesa, ani zwykli policjanci. Kim byli wasi żołnierze, tajemnicze wojsko zakonu? Nie, wiem, że mi pan nie odpowie, nie może pan, a raczej nie chce. Do śmierci zostanie pan templariuszem, nawet jeśli utrzymuje pan, że będzie inaczej.

- A co pani robi?

- Naprawdę chce pan wiedzieć?

- Chcę wiedzieć o wszystkim, co pani robi, gdzie będzie, gdzie panią odnajdę.

- Wiem, że przychodził pan do szpitala, a nawet przez parę nocy czuwał przy moim łóżku.

- Proszę odpowiedzieć, co pani robi?

- Lisa, siostra Mary Stuart, zaproponowała mi pracę na uniwersytecie. Od września będę prowadziła zajęcia.

- Cieszę się.

- Z czego?

- Bo wiem, że świetnie pani pójdzie.

Patrzyli na siebie długo, bez słowa. Wszystko już zostało powiedziane. Sofia wstała pierwsza. Umberto D'Alaqua odprowadził ją do wyjścia. Pożegnali się uściskiem dłoni.

D'Alaqua dłużej przytrzymał jej rękę. Schodząc po schodach, czuła na sobie jego spojrzenie.

Idąc do samochodu, myślała o tym, że przeszłości nie można zmienić, choć terażniejszość jest odzwierciedleniem tego, czym byliśmy. Lecz by iść naprzód, nie możemy oglądać się za siebie.

* przekład Nikos Chadzinikolau